

GDY DROGA DO NIEBA PROWADZI
PRZEZ PIEKŁO

Irene Spencer

ŻONA MORMONA

Druga z dziesięciu żon,
matka trzynastorga dzieci

Świat Książki



Irene Spencer

Żona mormona

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

PODZIĘKOWANIA.

CYTATY

PROLOG.

KSIĘGA PIERWSZA: WEZWANA DO CHWAŁY.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

ROZDZIAŁ DRUGI.

ROZDZIAŁ TRZECI.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

KSIĘGA DRUGA: ŻYCIE W REGULE.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

[ROZDZIAŁ SZESNASTY.](#)

[ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.](#)

[ROZDZIAŁ OSIEMNASTY.](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY.](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY.](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI.](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI.](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY.](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY.](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY.](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY.](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY.](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY.](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY.](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY.](#)

[CZĘŚC TRZECIA: BEZ NIESPODZIANEK](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI.](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI.](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY.](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY.](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY.](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY.](#)

[EPILOG.](#)

[O AUTORCE.](#)

[LINKI.](#)

PODZIĘKOWANIA.

Dziękuję szczególnie:

Bogu - do którego zbliżyłam się przez cierpienie, który usłyszał moją modlitwę i przyszedł mi na pomoc po wieloletniej klęsce szarańczy,

Donnie Goldberg - mojej wspaniałej, pięknej córce - gdyby nie jej miłość i pomoc, zapewne nie dożyłabym tej chwili - chwili, kiedy opowiadam swoją historię. Bóg подарował mi ją, by była moją mocą w słabości, by mnie potrzebowała, gdy czułam się niepotrzebna. Nigdy nie napisałabym tej książki bez jej całkowitego zaangażowania i pasji.

Doszło to do skutku dzięki niej i jej dobrej duszy. Jest prawdziwym aniołem.

Thomasowi J. Wintersowi - mojemu nadzwyczajnemu agentowi literackiemu. Dziękuję Bogu, że zesłał mi go prosto z niebios (dając mu w samolocie miejsce obok mej kochanej wnuczki Margaret LeBaron Tucker).

Debby Boyd - aniołowi na tej ziemi, za to, że wzięła mnie pod skrzydła wiedzy i pomogła spełnić marzenia.

Rolfowi Zetterstenowi - z Hachette Book Group USA, i całemu zespołowi, za to, że mój rękopis uznali za wartościowy.

Gary'emu Terashicie - za to, że otworzył swoje serce na moją opowieść, i za to, że wszystko tak doskonale się odbyło.

Susan Kahler - za jej bezcenny wkład i umiejętności redakcyjne.

Maxine Hanks i Duane Newcomb - za to, że jako pierwsze przeczytały mój rękopis, udzieliły mi cennej pomocy i wsparcia.

Budowi Gardnerowi - za uznanie mnie za pisarkę i za inspirację, bym sięgała coraz wyżej.

Marylin Tucker Beesemyer - za to, że była prawdziwą przyjaciółką i niezachwiającym filarem w czasie całej mojej podróży.

Wiele lat temu zauważyła mój potencjał i zasiała we mnie chęć opowiedzenia hi-

storii własnego życia.

Rhonicie Tucker - która potrafi okazać zrozumienie nawet osobom, z którymi dzieli ją różnica poglądów. Jej światło rozjaśniało cienie, jej uśmiech ogrzewał atmosferę, w której dojrzywałam.

Lindzie Craig - mojej najlepszej przyjaciółce od ponad czterdziestu pięciu lat, która obiecała mi, że nigdy, przenigdy, niezależnie od okoliczności, nie wyjdzie za mojego męża. Doceniam jej lojalność. Nie miałam wierniejszego przyjaciela na wspólnej drodze.

Rebecce Kimbel - mojej kochanej siostrze, zawsze gotowej mnie wesprzeć i zachęcić. Dziękuję jej za mądrość, miłość i nieszablonowe myślenie.

Brandzie Goldberg - mojej wspaniałej wnuczce, za to, że była wierna i twarda, kiedy przepisywała, przepisywała i jeszcze raz przepisywała mój rękopis. Cieszę się, że wspólna praca i wspólny śmiech tak bardzo nas zjednoczyły. Jesteś niezwykła!

Moim kochanym dzieciom, dzięki którym moje poświęcenie nabrało sensu:

Donnie, Andre, Stevenowi, Brentowi, Kaylenowi, Barbarze, Margaret, Connie, LaSalle'owi, Verlanie, Sethowi, Lothairowi oraz mojemu małemu aniołkowi - Leah - i szczególnie darowi od Boga - Sandrze - obie są już w niebie, lecz wciąż żyją w moim sercu.



Memu mężowi,

Hectorowi J. Spencerowi, który pozwolił mi ścigać marzenia, kocha moje dzieci i zawsze jest gotów służyć drugiemu człowiekowi. Dziękuję Ci, że jestem nie tylko Twoją ulubioną żoną, ale też Twoją jedyną żoną.



*Dzięki poczuciu humoru człowiek jest w stanie żyć tragicz-
nych okolicznościach,
ale nie stać się tragiczną postacią.*

E.T. „CY” Eberhart.

PROLOG.

Przesuwałam się wolno przejściem pomiędzy dwoma rzędami foteli zatłoczonego autobusu dalekobieżnego, uważając, by nikogo nie szturchnąć wypchaną brązową walizką, kryjącą w sobie wszystko, co posiadałam: dwie czy trzy proste bawełniane sukienki, bieliznę i przybory toaletowe - skąpą, lecz jakże cenną zawartość mojej skrzyni posażnej. W tym, że szesnastolatka w 1953 roku mogła zmieścić cały swój dobytek w jednej walizce, nie było może nic dziwnego, lecz ja właśnie miałam przenieść całe swoje życie w nowe, nieznanne i odległe miejsce - i czułam wagę tego wydarzenia.

Sprawdziłam jeszcze raz na bilecie, które mam miejsce, i zatrzymałam się przy fotelu 12D. Wspierałam się na czubki palców, wepchnęłam bagaż na półkę, a tęga kobieta, która siedziała już na swoim miejscu, uśmiechnęła się przepaszająco i wstała, by mnie przepuścić na wolny fotel przy oknie. Kiwnęłam głową i zaczęłam się koło niej przeciskać - po drodze rzucając jeszcze jedno, ostatnie spojrzenie przez przeciwległe okno, gdzie w zatoczce dla autobusów stał mój brat Richard i jego śliczna żona Jan. Machali do mnie wesoło, a ja próbowałam się uśmiechnąć - może nawet się uśmiechnęłam? Ale kiedy opuścili ręce i się objęli, odwróciłam się od nich na dobre i łzy popłynęły mi po policzkach, mocząc szybę - przez którą jakże pragnęłam ujrzeć piękną, spokojną przyszłość, wartą wszystkich moich wyrzeczeń.

Hałaśliwie, z kłębem dymu, autobus ruszył z dworca. Jechał ulicą State Street, kierując się ku głównej autostradzie prowadzącej z Salt Lake City na południe. Na południe do Teksasu, a potem do Meksyku. Na południe na ranczo, które miało stać się moim nowym domem. Na południe do mojego świeżo poślubionego męża, Verlana LeBarona - dwudziestotrzyletniego przystojnego blondyna (co z tego, że zaczynał przedwcześnie łysieć). Spędziłam z nim do tej pory równo trzy noce, wszystkie w ukryciu, a było to już wiele tygodni temu. Ale oto właśnie w tajemnicy uciekałam z Utah, a w zasadzie z kraju, i oddawałam się całkowicie w jego ręce - bez żadnej gwarancji na lepsze życie niż kilka mglistych, rzuconych na wiatr obietnic.

Świadoma, że to być może moje ostatnie chwile w rodzinnym mieście, z bólem serca, przez łzy patrzyłam na przesuwające się za szybą, od dziecka znajome miejsca - na Hotel Utah, wysokie budynki z czerwonobrazowego piaskowca, mormoński dom towarowy i Temple Square z ogromną szarą granitową świątynią, tajemniczymi murami, bujnymi ogrodami i pokrytym złotem posągami anioła Moroni dmącego w trąbę - boskiego zwiastuna, który w 1823 roku przekazał naszemu prorokowi Józefowi Smithowi wiadomość o tym, gdzie ukryta jest Księga Mormona. Żegnałam się z moim ukochanym widokiem na góry Wasatch, których potężne ściany otaczały pierścieniem dolinę, gdzie Brigham Young wraz z towarzyszami założyli nasze miasto. Ból rozsadzał mi piersi, kiedy ten symbol mocy i niezmienności, od lat ściśle wpisany w mój codzienny krajobraz, zniknął mi w końcu z oczu.

W duszy wypowiedziałam słowa modlitwy: „Boże, daj mi odwagę, bym była wytrwała, jak moi mormońscy ojcowie”.

Wtuliłam się w kołyszący się miarowo fotel i zamknęłam oczy.

Miałam nadzieję, że poradzę sobie z falą tęsknoty za domem, która już zdążyła mnie ogarnąć. Ani moja matka, ani nikt z bliskich nie wiedział o moim małżeństwie. Jeszcze mniej osób wiedziało o tym, że przeprowadzam się na ranczo LeBaronów w Meksyku. Nie uważaliśmy - Verlan, Charlotte i ja - za bezpieczne wtajemniczać kogokolwiek w nasze plany. Trzymanie wszystkiego w sekrecie oszczędziło mi też zapewne wielu wyrzutów typu „a nie mówiłam?”, które natychmiast bym usłyszała. Lecz jak poradzę sobie w obcym miejscu, pod opieką zaledwie dwojga znanych mi ludzi? W tamtej chwili nie byłam nawet pewna, czy któreś z nich rzeczywiście otoczy mnie opieką - mojego męża ledwie znałam, a jego żona miała do niego pierwszeństwo.

Pogrążona w czarnych myślach przycisnęłam mocno rękę do roztrzęsionego żołądka i próbowałam masażem uspokoić szalejący w nim strach. Zdecydowałam się skupić na problemach bieżących - na tym, jak przetrwam najbliższe dwadzieścia cztery godziny podróży do El Paso i jak przekroczę granicę z Meksykiem. Ponieważ w tamtej chwili każdy mój krok był aktem czystego posłuszeństwa Bogu, myślałam, że może On będzie mnie chronił. A ja w podróży będę miała całe godziny na modlitwę o siłę i wytrwanie: „O Boże, pomóż mi niezachwianie dotrzymać tego, co obiecałam...”.

Monotonny szum silnika uspokoił mnie wreszcie na tyle, że zdołałam spojrzeć na moje obawy nieco bardziej obiektywnie. Bardzo starałam się być dzielna i do tej pory przeważnie mi się udawało.

(Nigdy nie brakowało mi odwagi). Lecz moja fundamentalna, mormońska wiara nakazywała żonom być nie tylko kochającymi i cierpliwymi, ale przede wszystkim nigdy, przenigdy nie zazdrościć.

Musiałam być uczciwa. Martwiłam się nie tylko tym, że wkrótce znów zobaczę mojego nowo poślubionego męża. Najbardziej przerażało mnie to, że mam wprowadzić się do żony, która żyje z nim już od dwóch lat.

Ja właściwie nie żyłam z nim jeszcze wcale. I chociaż tętniłam życiem i byłam absolutnie zdeterminowana, by go zaspokoić, to jak dostanę przynależny mi udział, gdy ona zawsze będzie w pobliżu? - „...i pomóż mi być kochającą, cierpliwą i nigdy, prze-nigdy nie zazdrościć...”.

Tłumaczyłam sobie, że nie powinnam narzekać - przynajmniej ją znałam. Była moją przyrodnią siostrą. Lecz to jakoś nie pomagało.

Wiedziałam, że jestem samolubna, i czułam się z tym okropnie. Bóg nakazał moim współwyznawcom żyć w wielożeństwie, w przeciwnym razie czekało nas wieczne potępienie. Objawienie to przyszło bezpośrednio przez proroka Józefa Smitha w 1843 roku: „Oto objawiam ci nowe i wieczne przymierze; i jeżeli nie zachowasz tego przymierza, potępiony będziesz; bowiem nikt nie może odrzucić tego przymierza i otrzymać pozwolenie wstąpienia do mojej chwały”^{*} (Nauki i Przymierza, 132,4). Poligamia była koniecznym wyrzeczeniem, jeśli chcieliśmy uniknąć piekła, a osiągnąć niebo. Tak mnie uczone.

^{*} Wszystkie cytaty pochodzą z Nauk i Przymierzy, Wydawnictwo Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, Salt Lake City, Utah, USA, 1989.

Tak, uczone mnie tego, uczone i uczone.

Gdy autobus pokonywał kilometry wśród wciąż znajomych brązowo-zielonych pól, myślami wróciłam do dzieciństwa, by przypomnieć sobie słowa, którymi mnie przekonywano. Może przekonają mnie i teraz?

KSIĘGA PIERWSZA.

WEZWANA DO CHWAŁY.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Kiedy dorastaliśmy, poligamia była w naszym życiu zasadą naczelną. To „Prawo Niebieskie” było wręcz nierozzerwalnie związane z tym, kim byliśmy i czego mieliśmy dokonać. Poligamia była dla nas „Regułą”. Wszystko od niej zależało -to, co mieliśmy robić lub czego nie mieliśmy robić, kim mieliśmy być, a kim nie (w większości przypadków, jak się okazuje, chodziło o to drugie). Podczas marnych lat spędzonych na Ziemi męzczyzna powinien mieć tyle żon i tyle dzieci, ile tylko zdoła, i dopiero po upływie nędznego ziemskiego bytowania mieliśmy odebrać boską nagrodę -nagrodę za przestrzeganie Reguły.

Jako dzieci byliśmy uczeni nie tylko szacunku wobec Reguły - wpajano nam, że jest ona także prawem przysługującym wybranym z tytułu urodzenia. Urodziliśmy się w świecie przez nią uwarunkowanym i nie było potrzeby tego zmieniać. „Jesteście wybranymi Bogą, jedynymi dziećmi przymierza” - słyszeliśmy w domu, na spotkaniach niedzielnych, podczas wizyt przyjaciół i w ich domach. Czytaliśmy o tym w książkach, jakie wolno nam było czytać. Dlatego z wielką podejrzliwością odnosiliśmy się do nielicznych, dziwnych ludzi, którzy z rzadka, ale jednak, próbowali się do nas przyłączyć. Najczęściej byli to po prostu dewianci - mężczyźni przywabieni usankcjonowanym przez Boga przyzwoleniem na seks z wieloma kobietami, które na dodatek zgodziły się pod przysięgą na taką sytuację. Lecz nie były to dzieci Reguły. Dzieci Reguły rozumiały, że poligamia to przyszła chwała.



Urodziłam się w rodzinie będącej poligamiczną od czterech pokoleń 1 lutego 1937 roku - kiedy ziemię pokrywała cienka warstewka białego szronu, czyli w typowy zimowy dzień w Utah. Byłam (jak się później okazało) środkowym dzieckiem - trzynastym z trzydziestu jeden dzieci mego ojca, a czwartym z sześciorga urodzonych przez moją matkę. Byłam pierwszą, długo oczekiwaną córką matki. Po mnie miała jeszcze dwie.

Matka była drugą z czterech żon ojca. Rhea Allred, jego pierwsza żona (w wielu rodzinach poligamicznych pierwsza żona miała bardzo silną pozycję), była niezwykle

urodziwą brunetką z przepięknymi, brązowymi oczami. Głęboko wierzyła w Regułę i była zdeterminowana, by postępować zgodnie z nią. Mój dziadek Harvey, ojciec Rhei i matki (sióstr przyrodnych z innych matek), nie zezwolił memu ojcu na poślubienie Rhei, dopóki nie obieca mu jednego - że będzie żył w wielożeństwie. Poza ścisłym środowiskiem fundamentalnych mormonów taka sytuacja byłaby nie do pomyślenia, szczególnie gdy tego typu obietnicę wymusza na przyszłym zięciu ojciec panny młodej. Wśród dzieci przymierza jednak poligamia zawsze miała pierwsze miejsce. Tata więc podjął wyzwanie - najpierw słowem, potem czynem.

Moja mama, Olive, była więc przyrodnią siostrą ciotki Rhei.

Ciotka, posłuszna Regule, nakłoniła matkę, by ta wyszła za jej męża, później mojego ojca, Morrisa Q. Kunza. Jednym z najbardziej przykrych i irytujących obowiązków kobiet żyjących w wielożeństwie było właśnie rekrutowanie nowych żon dla własnego męża. Ostatecznie kobiet, które rodziły się w Regule, nie było aż tak wiele, a każdy mężczyzna musiał poślubić ich tyle, ile tylko zdołał. Współzawodnictwo było ogromne. Znużeni, zmęczeni mężowie potrzebowali pomocy, szczególnie gdy lata mijały i starzeli się, ich brzuchy stawały się coraz grubsze, a portfele coraz chudsze. Cnotliwa kobieta, która do perfekcji opanowała radzenie sobie z zazdrością i mogła w imieniu męża nęcić i przywabiać do swego gospodarstwa nowe żony, była nie do przecenienia. Generalnie kobieta była zdolna do takich wyrzeczeń tylko dlatego, że miała za to obiecaną wiekuiącą nagrodę. Oddana ciotka Rhea dobrze wypełniła swą powinność. W taki oto sposób matka i Rhea, które były przyrodnimi siostrami, stały się siostrzanymi żonami.

Matka w dniu ślubu miała dwadzieścia jeden lat (zaawansowany wiek jak na żonę poligamisty) i była piękną, niebieskooką blondynką.

Można byłoby sądzić, że dwie piękne żony to dość dla jednego mężczyzny, ale w poligamii nigdy niczego za wiele. Dwa lata po ślubie z matką ojciec ożenił się z Ellen Halliday - dziewczyną poznaną zaledwie kilka dni wcześniej. I znów dwa lata później, kiedy Ellen opiekowała się ich nowo narodzonym, drugim dzieckiem, ojciec poślubił piętnastoletnią Rachel Jessop - swoją czwartą żonę. Za dwa miesiące miał skończyć dwadzieścia siedem lat.

Reguła nie miała być ani przyzwoleniem na męską rozwiązłość (choć czasem odczuwało się, że tym właśnie jest), ani powodem nieuzasadnionego cierpienia (choć dość często tym właśnie była).

Według naszej wiary, głoszącej, iż „Bóg był niegdyś tym, kim jest człowiek, a człowiek może stać się tym, kim jest Bóg”, Reguła była po prostu drogą do Boga.

Wielu pierwszych mormonów wierzyło w to, że nasza planeta została oddana w posiadanie Adamowi w nagrodę za posłuszeństwo Prawu Niebieskiemu w innym, poprzednim świecie. Adam, który przed wcieleniem ziemskim nosił imię Michała Archanioła, ze względu na swe cnotliwe życie otrzymał status boski i jego domeną stała się Ziemia. Wszystkie żony i dzieci z poprzedniego świata miały mu pomóc w zaludnieniu

planety, którą później władał jako biblijny Bóg Ojciec. Adam przyszedł więc na Ziemię wraz z jedną ze swych niebiańskich żon, by rozpocząć śmiertelne życie - życie dla dobra swych duchowych dzieci. Podstawową misją Adama była prokreacja i zaludnianie świata, by w ten sposób swoje duchowe dzieci przyoblec w ciało, niezbędne im do tego, by mogły same pracować na własne zbawienie.

Adam wybrał Jezusa - swego pierworodnego syna (pierwsze z niezliczonych dzieci w poprzednim świecie) na drugiego członka Trójcy (trzecim został Duch Święty). Jezus, nim oddał życie za grzechy ludzkości, miał tu, na Ziemi, dwie żony, z których jedną była Maria Magdalena. Kiedy Jezus powróci, by wskrzesić zmarłych, wyniesie na najwyższy poziom chwały niebieskiej wszystkie męskie dzieci przymierza, które wywiązały się z życia w Regule. Będzie im nadany status boski i otrzymają we władanie.

Za godnego stania się bogiem uważany jest mężczyzna, który w życiu ziemskim poślubi co najmniej dwie kobiety. Natomiast mężczyzna, który ożeni się siedmiokrotnie (uzyska tak zwane kworum), może być w zasadzie pewien swego przyszłego wejścia w grono bogów. Ziemskie żony i dzieci takiego mężczyzny mają mu pomóc w zaludnianiu nowego świata, który otrzyma we władanie. Im większą więc ma rodzinę na Ziemi, tym łatwiej będzie mu rozpocząć nowe życie w niebiosach. (Istniały również mechanizmy zaocznego poślubiania nieżyjących już kobiet. Miało to przydać zasług ich mężom).

Kobiety same w sobie nie mogą zostać boginiami. Ich nadzieja jest ściśle związana z rolą żony i matki - jednej z wielu żon swojego męża i matki wielu, wielu dzieci. Po wypełnieniu tego zadania należy im się królestwo niebieskie męża i część jego chwały. W ten sposób mogą zostać boginiami i wraz ze swymi siostrzanymi żonami, u boku męża, władać tym królestwem na wieki. Kobieta jest zależna od męża-boga, który musi „przeciągnąć ją przez całun śmierci” do nieba i obdarować swą boskością. Te natomiast, których mężowie nie zasłużą na miano bogów, zostaną przypisane innym mężczyznom, godnym tego zaszczytu. Kobiety niezamężne, jak i te żyjące w monogamii, w przyszłym życiu staną się aniołami. Anioły są zawsze samotne i bezdzietne, sprawują służbę bogom. Pracują jako wysłannicy niebios na śluby zawierane na Ziemi.

Taką oto doktrynę pierwszych mormonów wpajano nam od dziecka.



Tata był strażakiem, którego rodzina, co zrozumiałe, rosła znacznie szybciej niż pensja. Wśród poligamistów był to problem powszechny. Ze swoją pensją nie mógł nawet myśleć o utrzymaniu oddzielnych gospodarstw domowych dla każdej ze swych czterech żon.

To również było nagminne. Żony wciąż potrzebowały, chciały, a zdarzało się, że i żądały prywatności dla siebie i swego potomstwa, lecz mężowie nie byli w stanie zapewnić im tego na dłuższą metę, szczególnie gdy żyli w Regule już długo. W różnych domach przyjmowano rozmaite strategie. W naszym, na przykład, przez pewien czas rozwiązaniem był na w pół wykończony dom czterorodzinny, gdzie mieszkały wszystkie

cztery żony taty Wybudował go sam, z pomocą paru przyjaciół, na działce położonej tuż za Salt Lake City, w Murray - niewielkiej społeczności mormońskiej. Jego cztery rodziny nazywały to miejsce „Farmą”.

Przez kilka miesięcy, w trakcie budowy tego budynku, mieszkaliśmy z matką, braćmi i siostrami w kurniku u sąsiadów.

Miałam zaledwie cztery lata, gdy w nocy obudziły mnie przerażające trzaski piorunów. Po chwili przez dziurawy, pokryty starą papą dach zaczęły lać się strumienie deszczu, przemaczając nas do suchej nitki.

Nazajutrz wprowadziliśmy się do nowego domu, chociaż brakowało w nim jeszcze ścianek działowych i gipsów. Poprzedzielaliśmy pustą przestrzeń rozwieszonymi kocami, lecz przynajmniej cała rodzina taty była już pod jednym dachem. Matka i ciotka Rhea mieszkały na górze, a żony numer trzy i cztery - na dole. W przyszłości każda miała mieć swoją własną, intensywnie wykorzystywaną i najważniejszą w domu kuchnię. Myśleliśmy, że nasz czterorodzinny dom jest całkiem niezłym rozwiązaniem, lecz wówczas nie zdawałam sobie sprawy - byłam na to za mała - jak bardzo cierpiały moje cztery „matki”.

Już pierwszej nocy w domu, na starych materacach, odkryliśmy, że gdy mieszkaliśmy w kurniku, zadomowiły się w nich pluskwy, które teraz wprowadziły się razem z nami do domu. Płakaliśmy, wierciliśmy się i całą noc do krwi rozdrapywaliśmy swędzące ukąszenia. Mama zapaliła światło i zabijała robaki, a my kręciliśmy się bez ustanku pod kołdrami (do dziś pamiętam nieporównywalny z niczym smród rozgniatających pluskiew). Rano matka wyciągnęła materace na sierpniowe słońce i starała się wyłapać wszystkie robaki - chowały się i rozmnażały zwłaszcza w szwach. Polewała je wrzącą wodą z czajnika.

Kiedy materace wyschły na słońcu, mama zabrała je z powrotem do sypialni, lecz pluskwy wciąż nam dokuczały. Po pewnym czasie okazało się, że robaki mieszkają w konstrukcjach ścian, w miejscu łączenia kantówek. Walka z nimi trwała aż do dnia, kiedy się wyprowadziliśmy.



Chociaż tata pracował z pełnym poświęceniem, jego skromna pensja nigdy nie wystarczała na zaspokojenie naszych potrzeb. Matka wraz z resztą żon wspólnymi siłami robiły wszystko co mogły, by jakoś załatać tę ziejącą finansową dziurę. Przydawały się tu pomysłowość i współczucie. W wielu przypadkach musiały po prostu działać razem, by przeżyć.

W 1942 roku nastąpiła jedna z chwil, kiedy połączenie sił okazało się niezbędne. Zima tego roku nastąpiła wcześniej i trzymała mocno w górach Wasatch. Śnieg spadł już w końcu września i zaskoczył trzy ciężarne żony - Rachel, Ełlen i Rheę, które w tej sytuacji musiały zaniechać pracy na dworze, na zimnie. Wszystkie najcięższe obowiązki na rzecz wciąż powiększającej się rodziny spadły więc na moją matkę.

W lodowate dni matka chodziła po opał. Zabierała ze sobą troje najstarszych dzieci Rhei i Ellen oraz dwójkę własnych. Chociaż żadne z nich nie miało gumowych butów ani czapki, by zakryć głowę, matki próbowały opatulić jakoś swoich pomocników - zamiast rękawiczek naciągały im na ręce aż po łokcie stare skarpety, do których już nie można było znaleźć pary. Na to dzieci wkładały zniszczone, kupione w sklepie z używanymi rzeczami lub odziedziczone po starszym rodzeństwie kurtki.

W ten sposób przygotowana, obdarta drużyna wyruszała na poszukiwania - wysypywała się z domu i cicho błędziła po świeżym puchu. Każdy jej członek dzierżył w rękach jutowy worek. Chyłkiem przemykali przez sad sąsiada, skuszeni widokiem nagich, czarnych drzew, a potem przetrząsali białe pola w poszukiwaniu jakiegokolwiek łupu, który da się spalić. Musieli łamać gałęzie na mniejsze kawałki, by zmieściły się do worków. Pracowali tak ponad godzinę, aż ręce najmłodszych dzieci całkowicie kostniały z zimna. Matka kazała im szeroko nadstawić worki i wkładała do każdego z nich tyle opału, ile dane dziecko było w stanie donieść do domu. Kiedy patrzyłam na czerwone twarze i zmarznięte, sztywne ręce zbieraczy chrustu, cieszyłam się, że matka ignorowała moje łzy, kiedy błagałam, by wzięła mnie ze sobą.

Taka wyprawa powtarzała się co rano. Brała kilkoro dzieci uzbrojonych w worki na „spacer” i po drodze zbierały, co popadnie - stare buty, połamane skrzynki i gałęzie. Staraly się nzbierać tyle, by wystarczyło do następnego dnia. Szczęściem było, jeśli te resztki i odpady paliły się w jednym piecu na tyle długo, by każda z żon po kolei zdążyła ugotować posiłek dla swojej rodziny. Czasami opału nie wystarczało, by rozpalić oddzielnie pod każdą kuchnią. Wszystko jedno - ciepło bijące od ognia ogrzewało całą izbę; siedzieliśmy tam i grzaliśmy się w te długie mroźne zimowe miesiące.

Wszystkie cztery żony codziennie korzyły się przed Bogiem, by zaspokoił ich potrzeby, gdyż z dnia na dzień było coraz bardziej jasne, że tata tego nie dokona. W pewnym momencie do jedzenia mieliśmy tylko mąkę kukurydzianą, choć raz na tydzień przywożono nam mocno rozwodnione mleko, którego starczało na jakieś dwa dni. W końcu matka zdecydowała, że to za mało. Pewnego dnia ogłosiła, że zabiera ze sobą trójkę najstarszych dzieci i nie wróci do domu, dopóki nie znajdą czegoś, czym można nakarmić rodzinę. Ciotka Rhea odciągnęła ją na bok i zbeształa za to, że robi nam fałszywą nadzieję, lecz matka była nieugięta - za wszelką cenę chciała zdobyć coś, czym da się nakarmić wygłodzone plemię. Spełniała wolę boską już jedenaście lat i teraz oczekiwała, że Bóg przyjdzie jej na pomoc w tej czarnej godzinie.

Wetknęła pod ramię trzy grube papierowe torby i wyprowadziła towarzystwo na dwór, na pola, gdzie w szybkim tempie powstawały nowe domy.

Gdy szli, matka śpiewała chwałę Najwyższemu. Recytowała fragmenty z Biblii, zapewniała, że „szukajcie, a znajdziecie”. Dzieci również, tak jak potrafiły, prosiły swego Stwórcę, by zesłał im coś do jedzenia.

Kiedy zbliżali się do terenu budowy, matka zobaczyła idącego w ich kierunku męż-

czynnę z taczką. Doznała nagłego olśnienia i wykrzyknęła do dzieci: „Wiem, że cokolwiek ten człowiek zrzuci z taczki, będzie naszym wybawieniem!”. Moje rodzeństwo spokojnie czekało, aż mężczyzna opróżni taczkę. Zrzucił ładunek i odszedł.

Zachowywał się tak, jakby nie widział małego klanu przestępującego z nogi na nogę i wpatrującego się w to, czego się pozbył. Matka odczekała dobre dziesięć minut, by nabrać pewności, że mężczyzna nie przywiezie już nic więcej. Choć nie miała pojęcia, czego właśnie pozbył się ów człowiek, wiedziała, że za chwilę będzie to należeć do niej.

Kiedy się upewniła, że droga jest wolna, wszyscy rzucili się ku zdobyczy. Matka omal nie rozpłakała się ze szczęścia, kiedy zobaczyła, jaką mannę z nieba zesłał jej Bóg - był to kopiec brudnych, kiełkujących ziemniaków. Jeśli dobrze je zagospodaruje, wyżywią całą rodzinę taty przez dwa tygodnie! Szczęśliwe dzieciaki napełniły torby.

Matka kazała im iść do domu powoli, żeby torby się nie przerwały, a cenna zawartość nie wysypała na ziemię. Zaplanowała, że wróca po resztę ziemniaków z pustym wiklinowym wózkiem dzieciennym i dwoma mocnymi workami - po cichu, by nie zwrócić na siebie uwagi nikogo z naszych sąsiadów mormonów monogamistów. Matka za wszelką cenę nie chciała, by rozpuścili plotki o tym, w jak skrajnej nędzy żyjemy.

Lecz trójka głodnych dzieciaków eskortujących podniszczony wózek niemowlęcy była tak podekscytowana myślą o gorącej zupie ziemniaczanej, że radosne okrzyki było słychać pewnie na całej ulicy.



Kościół mormoński porzucił swe dawne obyczaje już pod koniec dziewiętnastego wieku, głównie pod presją władz państwowych, które zabraniały wielożeństwa. Jednakże wielu wyznawców uważało poligamię za integralną część swojej wiary. Przez pewien czas po roku 1890, kiedy to ogłoszono manifest znoszący wielożeństwo, nawet przywódcy Kościoła sekretnie wyznawali i praktykowali Regułę.

Wysyłali też wiernych do stanów zachodnich, aż po granicę z Meksykiem, by tam zakładali kolonie rodzin poligamicznych i w ten sposób strzegli swej wiary. Presja polityczna jednak ostatecznie zwyciężyła. Kolejny manifest, ogłoszony w roku 1904, położył kres poligamii w Kościele mormońskim, który odtąd nazywał się Kościołem Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, lub po prostu Kościołem Świętych w Dniach Ostatnich. Obowiązek wielokrotnego zawierania małżeństw został zawieszony - mężczyźni należący do Świętych w Dniach Ostatnich mieli odtąd żenić się z tylko jedną kobietą.

Rozdarci między prawem ludzkim i boskim mormoni, którzy nie zdecydowali się na odrzucenie poligamii, zmuszeni byli do konspiracji.

Część uciekła do Meksyku, część działała w ukryciu we własnych społecznościach. Nie zważając na zmiany w doktrynie swojego Kościoła, uważali się za prawowitych mormonów, wiernych następców Józefa Smitha i jego pierwszych wyznawców. Ich mi-

sja nabrała teraz szczególnej wagi - w trudnych czasach apostazji mieli zachować wiarę.

Jeszcze bardziej niż dotąd dopingowało ich to do życia w Regule, i to surowego życia. Byli fundamentalistami, a my - ich następcami i dziedzicami.

Za moich czasów ortodoksyjni mormoni byli dla Kościoła Świętych w Dniach Ostatnich niezwykle kłopotliwi. I odwrotnie - właśnie oni zarazem odrzucali Kościół i żywili wobec niego zawiść.

Uważaliśmy się za wybrańców, ludzi czystego serca, prawdziwy „Syjon”. Natomiast wyznawcy Kościoła Świętych w Dniach Ostatnich porzucili Regułę i byli zwykłymi śmiertelnikami. W pewnym sensie byli nawet gorsi od reszty świata, niegdyś bowiem było im dane prawdziwe światło, ale odrzucili je i sprzeniewierzyli się mu.

Modliliśmy się za ich nawrócenie.

Tymczasem musieliśmy się ukrywać. W ukryciu zaś karmiliśmy się Regułą i oddychaliśmy nią, by utwierdzić się jeszcze bardziej w przekonaniu, że to świat i Kościół się mylą, a my przeciwstawiamy się złu. Odcinaliśmy się od wpływów z zewnątrz, a prześladowania traktowaliśmy jako potwierdzenie naszej racji. Jedną z form prześladowania było wykluczenie nas z własnej świątyni - tej samej, o której ukończeniu marzył prorok Brigham Young (następca Józefa Smitha), przez długie lata wiernie przestrzegając i nauczając wielożeństwa. Obecnie do świątyni wpuszczano tylko tych poligamistów, którzy podawali się za członków Świętych w Dniach Ostatnich, lub tych, którzy nie praktykowali Reguły.

Tak - wyznawcy Kościoła Świętych w Dniach Ostatnich wybrali prostszą drogę, a nas pozostawili na uboczu, w ciemnościach. Pomimo to mieli czelność traktować nas jak intruzów.

Och, jak dobrze pamiętam mój pierwszy dzień w szkole. Do tej pory opuszczałam Farmę tylko po to, by odwiedzić przyjaciół rodziny, iść na spotkanie niedzielne (które także odbywały się w zaprzyjaźnionych domach), lub wziąć udział w pikniku rodzinnym w Parku Murray. Wyprawa do Szkoły Podstawowej imienia Lincolna miała być moim debiutem w szerokim świecie, nakazanym przez prawo stanu, w którym mieszkaliśmy, wyczekiwany przeze mnie z radością, a przez moją rodzinę - z obawą. Dorośli robili wszystko co w ich mocy, by nas do tego przygotować.

- Jesteście szczególnie, wybrani - powtarzali nam częściej niż zwykle. - Niewiele będzie w waszej klasie dzieci przymierza, więc musicie strzec się kolegów. Nie pozwólcie, by próbowali was zmienić.

Nie rozmawiajcie z nimi, nie bawcie się razem, nie czytajcie ich książek. Pamiętajcie: jesteście wybrańcami; musicie zachować czystość.

- Uwaga: nie przejmujcie się, gdy będą was przezywać. Musimy przyjąć prześladowanie. Jest tylko dowodem na to, że to my zostaliśmy wybrani, nie oni.

- A, i nie wspominajcie nikomu o Regule.

Gdy nadszedł czas, my - to znaczy trzynaścioro najstarszych dzieci, z dwudziestu jeden, które do tej pory urodziły się memu ojcu i mieszkały pod jednym dachem - odmaszerowaliśmy do szkoły. Szłam pomiędzy Josephem i Mary, trzymałam ich za ręce, podekscytowana jak nigdy dotąd. Cała nasza trójka właśnie skończyła pięć lat i miała odtąd uczyć się do przedszkola. Miałam na sobie nową sukienkę w biało-niebieską kratkę (uszytą z worka po mące), zniszczone, o numer za duże tenisówki mojego brata Richarda, a w warkoczach wstążki.

Starsze rodzeństwo popędzało nas i ignorowało obelgi nastolatków, którzy, przebiegając, rzucali w nas kamieniami i krzyčili: „Patrzcie, idą poligamy!”. Nie rozumiałam, co to znaczy, ale obserwując starsze rodzeństwo, domyśliłam się, że to brzydkie słowo.

Przez lata miałam nosić tę etykietę. Ponieważ wiedziałam, że jestem „wybranim dzieckiem Boga”, dziwiłam się, dlaczego tamte dzieciaki były dla mnie tak okropne.

Roger, mój dziesięcioletni brat, zaprowadził Josepha, Mary i mnie do sali, w której mieściło się przedszkole. Okazało się, że nauczycielka też jest tu nowa. Roger podał jej nasze świadectwa urodzenia i kartkę z naszym adresem i numerem telefonu, po czym poszedł do własnej klasy. Nauczycielka uśmiechnęła się miło, zajrzała do naszych papierów i spytała:

- Jesteście trojaczkami, prawda?

Ponieważ byłam najbardziej śmiała naszej trójki, odpowiedziałam:

- Nie, proszę pani.

- Więc dwoje z was to bliźnięta?

Pokręciłam głową.

Na jej twarzy malowało się zakłopotanie.

- Jak więc to możliwe, że wszyscy macie po pięć lat i jesteście rodzeństwem?

Zastanawiałam się, jak nauczycielka może być taka głupia.

- Wszyscy mamy tego samego tatę. Wszyscy mieszkamy w tym samym domu. Ale mama Mary to Ellen, Josepha - Rachel, a moja - Olive.

Nigdy nie zapomnę jej przerażenia. Zająknęła się:

- T-t-to znaczy, że twój tata ma... trzy żony? - Była zszokowana.

Posłusznie odparłam:

- Tak, proszę pani.

Nauczycielka nabrała tchu i pytała dalej:

- Więc mówisz, że twój tata mieszka ze wszystkimi trzema żonami w jednym domu?

Myślałam, że próbuje zignorować pierwszą żonę tatę, ciotkę Rheę, więc wyjaśniałam:

- O, nie, mój tata ma cztery żony. - I dodałam z dumą: - Ale dzisiaj jest kolej mamy i będzie spał u niej.

Nauczycielka wstała zza biurka i szybko wyszła z sali, by skonsultować sprawę z

dyrektorem, który, jak się okazało, był obeznany z tematem rodzin poligamicznych, gdyż takie dzieci już od dawna chodziły do tej szkoły. Kiedy czekaliśmy na powrót pani, cała klasa gapiała się na nas. Chociaż byłam mała, czułam, że coś jest nie tak.

Zaczęłam podejrzewać, że nie szanują nas tak, jak na to zasługiwaliśmy jako „wybrane dzieci boże”. Do przerwy obiadowej dzieci wytykały mnie już palcami i wyśmiewały się z moich kłapiących tenisówek i naszych wielu matek tak bardzo, że nie wytrzymałam i wybuchłam płaczem.

Kilka miesięcy później, w szkole, chciałam po coś przykleknąć i przez przypadek stanęłam na mojej spłowiałej sukience z worka po mące. Szew w talii rozpruł się i ukazały się majtki w kratkę, z tego samego materiału. Za żadne skarby nie chciałam, żeby inne dzieci zobaczyły mnie w tym stanie. Nauczycielka zamaskowała wszystko za pomocą paru agrafek, lecz niestety - co się stało, to się nie odstanie.

Zarówno poligamia, jak i ubóstwo wyróżniały nas spośród innych, lecz jednocześnie silnie zbliżały do siebie nawzajem - szczególnie wówczas, gdy już wyraźnie potrafiliśmy wyczuć, że rzucamy się w oczy i jesteśmy szykanowani. Musieliśmy się obejść tym, co niezbędne, a czasem i tego brakowało. Tymczasem reszta dzieci regularnie otrzymywała rzeczy dla nas nieosiągalne - nowe buty na początku każdego roku szkolnego, od czasu do czasu nowe ubrania ze sklepu, i, co najważniejsze, akceptację nauczycieli, pracowników szkoły, a przede wszystkim innych dzieci.

Zaczęłam nienawidzić szkoły i tęsknić za bezpieczną przystanią domu.

Mieliśmy tylko jeden samochód i tata jeździł nim codziennie do pracy. Jego żony zaś, gdy musiały załatwić coś w mieście czy zrobić zakupy, jeździły autobusem. Reszta nas raczej nie ruszała się z domu - wychodziliśmy tylko do szkoły i w odwiedziny do innych fundamentalistów. Poza naszym zasięgiem były szkolne, nieobo-wiązkowe zajęcia pozalekcyjne.

Nie wolno było nam czytać niczego poza lekturami szkolnymi i świętymi pismami mormońskimi. Publikował je co miesiąc magazyn „Truth” (Prawda) wydawany przez jednego z umiłowanych braci fundamentalistów. Przez święte księgi mormońskie rozumiem Księgę Mormona, w cudowny sposób objawioną naszemu prorokowi Józefowi Smithowi, przez niego w takiż sposób przetłumaczoną i rozpro-pagowaną, a także Nauki i Przymierza - zbiór fragmentów historii Kościoła Świętych w Dniach Ostatnich i objawień dla wiernych oraz Biblię chrześcijańską, a raczej jej Natchniony Przekład autorstwa Smitha, i inne księgi mormońskie: Perłę wielkiej wartości, Journal of Discourses, Nauczania proroka Józefa Smitha. Oto spis źródeł naszej indoktrynacji.

Napędem duchowym naszego domu była ciotka Rhea - pobożna, poważna i w pełni oddana Regule. Przekonana, że jest to jedyna droga do Boga i wiecznej chwały, pragnęła, byśmy i my byli równie pobożni, poważni i oddani. Za każdym razem, gdy wstałam wcześniej niż zwykle, widziałam, jak ciotka ślęczy nad świętymi pismami lub najnowszym numerem czasopisma „Truth”. Widocznie, by dawać sobie radę z codzienny-

mi bolączkami życia w wielożeństwie, musiała ciągle umacniać się w wierze.

Tematy naszej wiary przewodziły w niemal każdej rozmowie, której byłam świadkiem - czy to u nas w domu, kiedy ktoś nas odwiedził, czy to u znajomych, kiedy to my przychodziliśmy z wizytą.

Dorośli rozprawiali o Regule przy gotowaniu i szyciu, modliliśmy się o jej zachowanie co dzień wspólnie całą rodziną. W czasie spotkań niedzielnych rozdzielano nas, dzieci, do paru grup wiekowych i nauczano Reguły w odpowiednich dla nas dawkach, gdy tymczasem w głównej sali dorośli słuchali cotygodniowego wykładu przypominającego im, co robią, dlaczego to robią i jak mogą robić to lepiej.

Każda skierowana do nas nauka na każdym poziomie naszej percepcji miała podpierać główną, centralną oś naszego życia - poligamię. Oto niektóre z głoszonych zasad - z czasem nabrały one dla nas większego znaczenia niż wieczny głód, pałaca zazdrość i pogarda dla sąsiadów:

1. Jesteśmy wybrańcami Boga i instrumentami w Jego rękach.

Przebywaliśmy w niebie, skąd zstąpiliśmy w dniach ostatnich, by żyć Prawem Niebieskim. Gdy nasze dusze w poprzednim życiu pozostawały jeszcze u Boga, my sami wybraliśmy czas i miejsce naszego narodzenia tak, by móc służyć w poligamii.

2. Naszym zadaniem jest życie w niewinności, w oderwaniu od świata zewnętrznego - jego kultury, wartości i niejasności moralnej.

3. W każdym czasie i za wszelką cenę mamy być posłuszni Bogu - nawet jeśli trzeba będzie złamać prawo kraju, w którym żyjemy.

Prorok Brigham Young podkreślał, że naszym obowiązkiem jest poddać się prześladowaniom, ponieważ świadczą one o opiece boskiej - jeśli nie będziemy prześladowani, oznacza to, że utraciliśmy łaskę Boga.

4. Wszyscy mężczyźni powyżej osiemnastego roku życia mogą osiągnąć wyższy stan kapłański, jeśli tylko wierzą w święte pisma mormońskie, wiernie się modlą, przestrzegają Słowa Mądrości (nie palą, nie piją kawy, herbaty i alkoholu) i zobowiązują się do zawarcia w przyszłości wielu małżeństw. Tacy mężczyźni (inaczej - bracia) mogą uczestniczyć w czynnościach kapłańskich, zenić się, stać na czele swych rodzin i być świadkami objawień Boga.

5. Kobiety mogą wychodzić tylko za mężczyzn w stanie kapłańskim - tylko tacy bowiem przeciągną je przez „całun śmierci”.

Zamężna kobieta ma być całkowicie posłuszna mężowi.

6. Braciom należy się szacunek i posłuszeństwo, a ich mądrość i nakazy nie mogą być kwestionowane. (Są przecież kapłanami - narzędziami w rękach Boga, który przemawia przez ich usta).

7. W stosunku do naszych braci mamy być lojalni - wciąż osłaniać ich przed obserwacją i ingerencją z zewnątrz. Krótko mówiąc, nie wolno nam z nikim rozmawiać o naszych braciach i siostrach fundamentalistach.

Powyższych zasad wiary nie przedstawiano nam może w tak bezwzględny i kategoryczny sposób, ale mniej więcej na tym one polegały. Był to zręczny zbiór nakazów i zakazów, mających na celu jak największą ochronę naszej kontrkultury. Czasami jednak okazywało się, że dla dzieci jest to ciężar wręcz nie do udźwignięcia.

Kiedy byłam trochę starsza, w sąsiedztwie mieszkała inna liczna rodzina poligamiczna - Kelschowie. Spotykałam się z ich dziećmi w niedziele u nich w domu, tam bowiem obie nasze rodziny zbierały się na nauczanie Pisma.

Pewnej niedzieli wcześniej rano siódemka dzieci mego taty pospieszyła w stronę Parku Murray. Po piętach deptało nam ośmioro małych Kelschów. Chcieliśmy zdążyć na bezpłatne lekcje pływania, więc byliśmy grubo za wcześniej i prawie godzinę czekaaliśmy, aż otworzą basen.

W końcu szczupła kobieta w niebieskim kostiumie pływackim otworzyła bramkę. Miała groźną minę, kazała nam ustawić się w kolejce i być cicho.

Joseph, Mary i ja byliśmy pierwsi. Mieliśmy wtedy po dziesięć lat. Za nami stała moja dwunastoletnia siostra Rula, siostry Nan i Norma - ośmiolatki, i Millie, która miała siedem lat. Cała siódemka podała ten sam adres.

Wszystko odbywało się sprawnie i bez zakłóceń, dopóki kobieta nie zaczęła wpisywać danych ósemki dzieci Kelschów. Dwoje z nich miało sześć lat, dwoje osiem, dwoje dziesięć, a dwoje dwanaście.

Dopiero wtedy instruktorka pływania zorientowała się, że cała piętnastka dzieciaków podała jej tylko dwa nazwiska i dwa adresy.

Odłożyła długopis, spojrzała na nas surowo i powiedziała:

- Ktoś tu robi sobie ze mnie żarty. Odeślę was do domu i nie będziecie pływać, dopóki nie dowiem się prawdy.

Zapadła cisza. Ostrzegano nas, byśmy nigdy nikomu nie mówili, że jesteśmy z rodzin poligamicznych, chyba że byłaby to sprawa życia i śmierci. Natychmiast wydedukowałam, że skoro rodziców nie stać na lekcje pływania, a tu lekcje odbywały się za darmo, prawdę trzeba było wyjawić. Na mój rozum była to sprawa życia i śmierci.

Jako rzecznik całej grupy wysunęłam się do przodu, zniżyłam głos, by nie przyciągać nadmiernej uwagi innych - która i tak była już na nas skierowana - i wyjąkałam:

- Proszę pani - Miałam nadzieję, że kobieta jest na tyle inteligentna, że natychmiast się zorientuje, o co mi chodzi. - Wszyscy mamy tego samego tatę, ale różne mamy. - By uniknąć dalszych komplikacji, dodałam: - Naprawdę wszyscy mamy ten sam adres. Tak samo dzieci Kelschów i...

Z każdym moim słowem kobieta wyglądała na coraz bardziej oszołomioną. Wzięła długopis, przekrzywiła głowę i przerwała mi w pół słowa, pokazując na dwójkę dziesięcioletnich Kelschów.

- Jesteście przyrodnim rodzeństwem? - spytała zdumiona.

Pokiwali głowami.

- Dobrze, a wy jesteście braćmi przyrodnymi, tak? - Pytanie było skierowane do dwunastolatków.

Oni też pokiwali głowami.

Kobieta była teraz w ferworze rozwikływania łamigłówek, jaką jej zafundowaliśmy. Wskazywała długopisem po kolei na każdą z grupiek wiekowych w naszej gromadce i wykrzykiwała:

- O, i wy jesteście przyrodni?

Oni potwierdzali.

- A wy nie, a wy tak? - Długopis poruszał się w tę i z powrotem.

Wtem zaatakowała małego ośmioletniego Dale'a Kelscha, którego myśli w tym czasie zawędrowały już gdzieś bardzo daleko:

- Hej, mały, a co z tobą?

Dale spojrzał na nią z całą szczerością i nieśmiało wyznał:

- Ja? Głodny jestem.

Wszyscy wybuchliśmy śmiechem, a kobieta siedziała z nieodgadnionym wyrazem twarzy. W końcu z niechęcią zamachała rękoma, pozwalając nam wszystkim wejść na pływalnię.

Dzięki temu zamieszaniu zrozumiałam, dlaczego tato nigdy nie pozwalał nam zwracać się do siebie „przyrodnia siostra, przyrodni brat”. Dla niego, a w końcu i dla nas, wszystkie jego dzieci były po prostu braćmi i siostrami.



Z wiekiem zaczęłam zadawać coraz więcej kłopotliwych pytań dotyczących naszej doktryny. Skoro Adam był Bogiem, na przykład, to komu się sprzeciwił? Usłyszałam, że takie pytania świadczą o braku szacunku dla wiary. „Bądź cicho i wierz” - karcili mnie starsi bracia i pobożna ciotka Rhea.

Innym razem w naszej szkółce niedzielnej podniosłam rękę i spytałam: „Jak to możliwe, że wszyscy boscy bracia, których znamy -a każdy z nich jest przecież czyimś synem - dostaną kiedyś swoje własne światy, którymi będą rządzić i zaludniać je, a w tym samym czasie będą musieli pomagać swym ojcom zaludniać ich światy?”.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, a ja szybko nauczyłam się, że nasza wiara niewiele ma wspólnego ze zrozumieniem, za to wiele -z posłuszną praktyką. Zaczęłam się martwić nie o same zasady wiary, lecz o to, na ile dobrze je wypełniam. Czy czynimy dobrze? I kiedy przyjdzie kolej na mnie, czy będę wiedziała, jak postąpić, i czy będę w stanie?

ROZDZIAŁ DRUGI.

Naukę, która wywarła najgłębszy wpływ na to, jak pokierowałam swoim życiem, mogę w skrócie przedstawić tak: ludzie w dążeniu do wypełniania Reguły upadają, lecz sama Reguła trwa niezachwianie. Nam przedstawiano to bardziej jako wyzwanie - poligamia zgubi więcej ludzi, niż zbawi, gdyż zaledwie nieliczni spośród tych, którzy się podejmą tego wyzwania, zdołają mu sprostać.

Gdy rozpadały się rodziny fundamentalistów, małżonkowie pogrążali się w poczuciu niesprawiedliwości, a dzieciom brakowało odwagi, by samemu podjąć się poligamią, wina leżała zawsze po stronie człowieka i jego grzechu. Nigdy po stronie Reguły.

Przez lata widzieliśmy, jak wielu w naszych szeregach upadało - na różne sposoby. Byli wśród nich nasi rodzice, ba, nawet nasi przywódcy. Wywierało to na mnie i na moich rówieśnikach dziwny skutek - tym bardziej chcieliśmy się zawziąć, tym ciężiej pracować, by tylko znaleźć się wśród zwycięzców, nie zaś wśród przegranych. Jeśli tak trudno osiągnąć chwałę, musi ona być wiele warta. Prócz tego, jaki właściwie mieliśmy wybór?



Byłam za mała, by zrozumieć problemy narastające pomiędzy ojcem a jego czterema żonami. Wkrótce jednak po tym, jak zaczęłam chodzić do przedszkola, moja matka wyprowadziła się z domu.

Niedługo po niej uczyniły to ciotka Rhea i ciotka Rachel. One również opuściły tatę. Tak, nawet ciotka Rhea. Dla kilkuletniego dziecka, jakim wówczas byłam, stanowiło zagadkę to, dlaczego trzy z czterech naszych matek nagle się wyprowadzają.

Po latach, kiedy dociekałam prawdy, matka wyznała mi, że tata miał problem z alkoholem. Na to nałożyła się niezdolność do utrzymania nas wszystkich i do zaspokojenia potrzeb emocjonalnych i fizycznych każdej z żon. Zmusiło to Rachel, Rheę i matkę do samotnej walki o los swój i dzieci.

Po tej rozmowie matka nie wracała zbyt często do tematu ojca.

Czasami upewniała się tylko, czy pamiętam o jego alkoholizmie, o tym, że przekli-

nał i palił. „Jeśli nie był w stanie przestrzegać nawet Słowa Mądrości, to jak mógł myśleć, że zostanie bogiem?” - mówiła. Ojciec łamał stosunkowo lekkie zasady, mimo że w tym samym czasie przestrzegał najtrudniejszej i najbardziej wymagającej - poligamii.

Żałowałam, że nigdy nie poznałam lepiej swego ojca.

Dorastanie bez niego stało się bardzo samotne. Potrzebowałam jego miłości i akceptacji. Kiedy matka od niego odeszła, czułam się rozerwana pomiędzy nim a lojalnością w stosunku do niej. Nie miałam już wielu okazji, by się z nim spotkać, a gdy doszło do spotkania, bałam się go.

Najżywsze wspomnienie o ojcu dotyczy dnia, kiedy po pracy odebrał mnie z naszego niewielkiego, wynajętego domu i zabrał na noc do siebie i Ellen (to jedyna z żon, która zdecydowała się z nim zostać).

Nie miałam jeszcze sześciu lat i bez mamy czułam się tak nieswojo, że nie byłam w stanie przełknąć kolacji. Tata chyba wyczuł mój niepokój, bo pozwolił mi spać w wielkim mosiężnym łożu, razem z nim i z Ellen.

Przytulał mnie i powtarzał, jaka jestem wyjątkowa. „Nie zapominaj o mnie, Reński. Wiem, że masz na imię Irene, ale dla mnie zawsze będziesz Reński. Przyjedź czasem odwiedzić staruszka, kiedy będziesz mogła”.

Zasnęłam w jego objęciach.

Nigdy nie zapomnę tej nocy. W głębokim śnie wydawało mi się, że czuję coś ciepłego i mokrego. Po chwili usłyszałam krzyki taty:

- Cholera jasna, Ellen, zabierz stąd to dziecko. Całego mnie zasikała! - Wypchnął mnie z łóżka. - Do diabła, Ellen, posadź to dziecko na cholernym nocniku! - krzyknął i poszedł do kuchni zagrzać sobie wodę do mycia. Słyszałam jego głośnie narzekania: - O piątej wychodzę do pracy!

Ciotka Ellen, wybita ze snu, zdjęła mokre majtki przylegające do mojej pupy. Byłam półprzytomna i nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, lecz miałam nadzieję, że udo-brucham tatę, dając się posadzić na nocniku. (Wciąż nie mieliśmy toalety w domu). Musiałam za wszelką cenę utrzymać równowagę nad potężnym dziesięciolitrowym „nocnikiem”, by jego zawartość, wydzielająca duszący zapach, nie dotknęła mojej pupy. Nie udało mi się jednak i nocnik przewrócił się, a jego śmierdząca zawartość rozlała się po całej podłodze. Ja znalazłam się na środku tej kałuży. Byłam przerażona.

- Do cholery, Ellen, dawaj mi tu to dziecko! Umyj ją w tej samej wodzie, to odwiozę ją do domu, zanim się spóźnię do pracy.

W drodze powrotnej nie powiedziałam ani słowa. Nie mogłam nawet patrzeć na ojca. Myślałam, że już mnie nie lubi. Musiał zauważyć, jak trzęsie mi się buzia, bo sięgnął do kieszeni i dał mi ćwierć dolara. Moja głęboka tęsknota za ojcem zaczęła wkrótce słabnąć.



Mimo wszystkich przyrzeczeń, które moi rodzice złożyli sobie nawzajem przed Bogiem i aniołami, no i jednym czy dwoma świadkami, ich związek rozpadł się - rozpadł się przez rzeczywistą biedę, w której przyszło im żyć. Przez biedę i przez to, że tata nie był w stanie zaspokoić najgłębszych potrzeb matki jako kobiety. Po jej śmierci, wiele lat później, odnalazłam jej dziennik, z którego dowiedziałam się, że to właśnie zламаło jej serce.

Próbowała żyć w poligamii, lecz nie było to życie radosne.

Musiała dzielić się ojcem z trzema innymi młodymi żonami i czekać, aż nadejdzie jej kolej, by spędzić z nim trochę czasu, a gdy ten dzień nadchodził, cierpiała, bo czasu było wciąż za mało. Jego pasje były zaspokojone, kiedy pukał do jej drzwi. Jego emocje pochłaniał alkohol, zanim w ogóle sobie je uświadamiał. Nawet kiedy go pragnęła, matka obawiała się go. Czasami zastanawiała się, dlaczego Bóg nie chce, by kobiety i dzieci też były szczęśliwe.

Moja matka żyła w sytuacji - z religijnego punktu widzenia - beznadziejnej. Poświęciła się tradycji, która ją przerosła, pokonała. Ten dylemat przekazała nam. Chociaż kochała Kościół mormoński, był on „zepsuty”, mówiła. Przestał bowiem głosić boskie prawo poligamii, co nie tylko zdezorientowało wiernych w sprawie warunków niezbędnych do osiągnięcia przyszłej chwały, ale też zostawiło wielu z nich na lodzie. Być może upadek Kościoła przyczynił się do upadku niektórych z nich, takich jak matka i ojciec, którzy mimo lat walki i poświęcenia, nie zasługiwali na wywyższenie związane z życiem w poligamii.

Mormonów, którzy odrzucili oba manifesty Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich z roku 1890 i 1904, wzywano do powoływania na świat jak największej liczby dzieci i takim sposobem mnożenia zastępów wiernych. Nikt jednak nie brał pod uwagę problemu utrzymania równie liczego potomstwa. Mężczyzna pojmował więc za żonę jakąkolwiek niewiastę, którą udało mu się nakłonić do pełnienia roli produkcyjnego członka jego „królewskiej rodziny”, po czym każda żona skupiała się na obowiązkach macierzyńskich. Nie lękajcie się, „Bóg zapewni wam to, czego potrzebujecie”. Zbyt często jednak pomoc boska nadchodziła ze strony opieki społecznej okręgu lub stanu. Moja matka, wychowując po odejściu od ojca szóstkę małych dzieci, przez osiem lat była zmuszona do korzystania z pomocy opieki społecznej. Serce pękało jej z bólu, że nie może nam zapewnić rzeczy, których, jak sądziła, potrzebowaliśmy.

Przez wiele lat matka starała się, bez skutku, o uzyskanie oficjalnego „zwolnienia” (rozvodu) z małżeństwa z tatą, lecz było to możliwe tylko za zgodą „kapłana”, który udzielał im ślubu. Człowiek ten powiedział matce, że chętnie ją „zwolni”, lecz tylko pod warunkiem że w zamian za to ożeni się z nim. Matka błyskawicznie podjęła decyzję - wolała być na wieki (na wieki, ponieważ w niebie będzie tylko aniołem, a nie boginią) samotna, niż wyjść za stojącego przed nią obleśnego, otyłego starszego mężczyznę. Wystarczająco nieznośna była dla niej już rola żony numer dwa, więc dlaczego

zniżyć się do poziomu siódmej żony wyższego kapłana?

Wkrótce po tym, jak od niego odeszła, tata pojawił się, by błagać matkę o powrót na łono rodziny. Czuła się tak potwornie samotna, że w chwili słabości uległa mu i się zgodziła. Wróciła do naszego czterorodzinnego domu, by po krótkim czasie wyprowadzić się znowu. Minęło parę miesięcy i matka znów była sama, tym razem w ciąży z szóstym dzieckiem.

Wszystkie ciąży mojej matki były trudne. Zdarzało jej się spędzać miesiąc, a nawet więcej, w łóżku, by uniknąć poronienia. Gdy nadchodził kolejny poród, lękała się, że go nie przeżyje. Tylko dzięki troskliwej opiece i łagodnej perswazji ciotki Rhei przechodziła przez kolejną ciążę i poród. W czasie połogu (wówczas kobiety spędzały w łóżku dziesięć dni po porodzie) ciotka Rhea kąpała ją i wcierała w jej nogi i ręce balsamy. Czuła opiekę ciotki upoważniała poniekąd matkę do udawania przed tatą, że jest słabsza niż w rzeczywistości i nie może jeszcze wrócić do swych stałych obowiązków, na co on reagował zwykle gwałtownie. W takich chwilach matka czuła się jeszcze bardziej samotna i odrzucona. Pławiąc się w obfitości troski, jaką zapewniała jej ciotka, matka starała się nie przyjmować do wiadomości tego, że własny mąż nigdy jej nie pieścił, nie masował, ba, rzadko nawet jej dotykał.

Bez świadomości, że w pobliżu jest ciotka Rhea, bez witamin, bez prawidłowego odżywiania - ponieważ wszystkie pieniądze otrzymywane z opieki społecznej wydawała na nas - matka przeszła swą ostatnią wyczerpującą ciążę, po której stała się słaba i wychudzona.

Mimo to jakimś cudem udało się jej ją donosić. Moja siostra Erma urodziła się przez cesarskie cięcie w szpitalu okręgowym w maju 1943 roku. Było to po czterech latach od urodzenia ostatniego dziecka. Erma wyglądała jak śliczna lalka o czerwonej twarzączce i od razu zdobyła serce matki, która po prostu zwariowała na jej punkcie. Zaczęły ją dręczyć wyrzuty sumienia na myśl o tym, że uważała tę ciążę za swój wielki błąd. Kiedy jednak zdała sobie sprawę z tego, jak trudna będzie troska o nowo narodzone dziecko, ogarnęła ją rozpacz.

Matka była marzycielką, która nigdy nie pogodziła się ze swoim losem. Pamiętam, że była w wielu kierunkach uzdolniona - doskonale śpiewała, pisała na maszynie, szyła, układała wiersze i była świetną nauczycielką. Zawsze pracowała dla dobra innych, służyła im, jeśli tylko miała na cokolwiek siłę. Niestety, dla własnych dzieci była osobą odległą, niedostępną, zatopioną w rozmyślaniach o tym, jak inaczej mogłoby ułożyć się jej życie, złapaną w sidła ubóstwa, izolacji i niespełnionych potrzeb. Czasami wpadała w depresję, a wówczas mieliśmy jej jeszcze mniej. Moi bracia, siostry i ja czuliśmy się przez nią odrzuceni - może nie w takim stopniu, jak przez tatę, lecz emocjonalnie odtrącała nas równie dotkliwie.



W lipcu 1944 władze federalne i stanowe zatrzymały dziewiętnastu mężczyzn ze

stanu Utah pod zarzutem uprawiania wielo-żeństwa. Był wśród nich mój ojciec. Nalot ten miał na celu ostateczne ukrócenie poligamii poprzez zastraszenie aresztowaniem. Była to największa akcja skierowana przeciw poligamistom w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Stan Utah zadeklarował, że była ona niezbędna, by zredukować wykorzystywanie kobiet, dzieci i instytucji socjalnych. Do odpowiednich agencji rządowych napływały setki zgłoszeń o pomoc od kobiet podających się za samotne matki, które zachodziły w kolejne ciąży. Za sprawą mężczyzn kilkakrotnie od nich starszych dzieci rodziły nawet czternastoletnie dziewczynki. Poligamia rozkwitała i niezbędne były stanowcze działania.

W wieku siedmiu lat znalazłam się wraz z liczną grupą innych rodzin poligamicznych na ogromnym zdjęciu opublikowanym w magazynie „Life”. Artykuł był na tyle niezwykły, że redaktorzy zamieścili go na rozkładówce, w najlepszym miejscu czasopiśma. Od lat 90. dziewiętnastego stulecia nie pamiętano ogólnonarodowej publikacji na temat amerykańskiej poligamii.

Spośród aresztowanych mężczyzn piętnastu podpisało deklarację o zaniechaniu poligamii i opuszczeniu swych licznych żon.

Ci zostali uwolnieni. Mój ojciec zaś i trzech pozostali zagorzali fundamentaliści odmówili jej podpisania. Woleli spędzić resztę życia w więzieniu, niż dopuścić do tego, że ich dzieci będą określane jako bękart. Ojciec, choć wówczas mieszkał z tylko jedną żoną, stwierdził, iż jest zanadto przywiązany do praw boskich, w tym do poligamii.

Poligamiści, którzy podpisali owe oświadczenia, wrócili do domów i - jak gdyby nigdy nic - do poligamii, niezrażeni ani aresztowaniem, ani własnym aktem wyparcia się zasad wiary. My, cała zdziwiona reszta, darzyliśmy ich z tego powodu nieco mniejszym szacunkiem. Natomiast tata i jego trzech towarzysze spędzili w więzieniu stanowym Utah dwa i pół roku. Ojciec mawiał, że uczył się w „Wyższej Szkole Łomu”.

Matce nie wolno było odwiedzać taty w więzieniu (to znaczy wchodzić do środka), ponieważ w świetle prawa nie była jego żoną.

Mogła tam wchodzić tylko ciotka Rhea, jego legalna żona. Jednak matka zabrała pewnego razu nas, dzieci, byśmy go odwiedzili. Miała nadzieję, że zdarzy się cud i jakimś sposobem dostaniemy się do środka. Przekonała znajomego, by podwiózł nas do więzienia w dzień odwiedzin. Kiedy znaleźliśmy się na miejscu, a inne rodziny wchodziły i wychodziły z budynku, czekała z całą naszą szóstką na zatłoczonym parkingu. Gdy tata w grupie innych skazanych wyszedł wreszcie na więzienne podwórze, staliśmy i patrzyliśmy, jak matka poprowadziła malutką Ermę za rączkę do ogrodzenia, by jej ojciec mógł ją zobaczyć po raz pierwszy w życiu.

Pamiętam, jak pochylił się do niej z cierpieniem na zalanej łzami twarzy i przez dziurkę w siatce próbował dać Ermie ćwierćdolarówkę, w nadziei że mała da mu się pocałować. Matka wzięła potem Ermę na ręce i szybko odeszła w stronę samochodu, żeby tata nie zorientował się, że sama płacze. Był jej jedyną miłością, lecz by przeżyć,

musiała przestać go kochać i podążać własną drogą. Nauczyła się jednego - pragnienia przynoszą ból, więc postanowiła nigdy już nie pragnąć mężczyzny.

Wydawało mi się, że długa podróż do domu tego popołudnia trwała wieki. Żadne z nas, przerażonych dzieciaków, nie odezwało się ani razu, a matka siedziała między nami, cicho płacząc całą drogę.



Kiedy miałam dwanaście lat, matka wystąpiła o przyznanie jej gruntów rolnych w jałowym, niemal niezamieszkanym rejonie stanu Utah, przy granicy z Nevadą, w miejscu o nazwie Trout Creek. W ramach dostępnego wówczas programu osadniczego nadawano około sześćdziesięciu hektarów ziemi położonej tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, i dotąd nieużytkowanej, w zamian za samo zobowiązanie się do jej zagospodarowania. Matka planowała prowadzić gospodarstwo i uprawiać swoją ziemię, lecz po pewnym czasie okazało się, że gleba jest tak piaszczysta, że nie da się podtrzymać na niej jakiegokolwiek wegetacji. Woda, którą próbowaliśmy podlewać i nawadniać pola, wsiąkała głęboko w piach tak błyskawicznie, że nie zdążyły wchłonąć jej nasiona czy korzonki roślin. Nasza farma była jak wielkie sito.

Matka jednak w owym czasie wystąpiła już o oficjalny rozwód z tatą (który otrzymała z racji bycia jego żoną tylko w obliczu prawa zwyczajowego) i czuła, że pora już opuścić Salt Lake City i skoncentrować się na długo zaniedbywanych dzieciach. Wydawało się, że miejsce takie jak Trout Creek będzie się do tego doskonale nadawało.

Ciotka Rhea, która wiecznie niepokoiła się o to, że matka nakłada na mnie zbyt wiele obowiązków domowych, a do tego pozbawia mnie odpowiedniego wychowania i przykładu religijnego, nalegała, bym mieszkała z nią i siódmką jej dzieci podczas roku szkolnego. Ciotka otrzymała oficjalne „zwolnienie” z małżeństwa z tatą (w przeciwieństwie do mojej matki, ponieważ ślubu obu siostronom udzielało dwóch różnych kapłanów) i mieszkała obecnie w Farmington w stanie Utah, nieco na północ od Salt Lake City. Przebywałam tam, gdy matka oraz dwie moje siostry, Becky i Erma, przeprowadziły się do Trout Creek. Moi bracia w tym czasie nie mieszkali już z nami - Roger ożenił się i osiadł w Salt Lake City, a Douglas i Richard pracowali jako pomocnicy na ranczu jakieś 50 kilometrów od nas. Matka przyjechała mnie odwiedzić na Boże Narodzenie tego roku. Tak bardzo tęskniłam za domem, że błagałam ją, by wzięła mnie ze sobą do Trout Creek.

Chciałam uczestniczyć w tym, jak nasza rodzina układa sobie życie od początku.

Pan Walter Faber zaczął budować dla matki trzypokojowy dom o drewnianej konstrukcji szkieletowej na terenie jej piaszczystego gospodarstwa. Faber, były mormon, przeprowadził się ze swą rodziną do Trout Creek, by założyć tu nową sektę religijną, choć nie poligamiczną. Matka przyjęła jego niezmierną hojność po prostu jako sąsiedzką pomoc i życzliwość. Jeśli zaś chodzi o ziemię, była zdeterminowana, by pożyczonym traktorem wykarczować choć niewielki fragment pod duży ogród warzywny. Kiedy

pojawiłam się ja, wraz z moją siostrą Becky wykopały już studnię, która miała zaopatrzyć całe nasze gospodarstwo w wodę. Musiały wykopać dół o głębokości czterech i pół metra, by na jego dnie pojawiła się woda.

W czasie, gdy trwała budowa domu, mieszkaliśmy u Faberów.

Zapisałam się do szkoły w Partoun. Byłam jedyną siódmoklasistką w szkole średniej, notabene mieszczącej się w jednej sali. Gdy nadeszło lato, dostałam pracę na ranchu Cheta i Neldy Youngów - znajomych moich braci. Opiekowałam się piątką ich dzieci i pomagałam w sprzątaniu. Ich rancho znajdowało się około 150 kilometrów od Trout Creek, więc przez całe lato nie widziałam się z rodziną. Po wakacjach wróciłam do domu ze stoma dolarami w kieszeni i mogłam w końcu wprowadzić się do naszego nowiutkiego domu.

Gdy ujrzałam moją siostrę Becky, wzięłam ją w ramiona i rozpłakałam się.

Cudownie było po prostu być razem. Mieszkaliśmy sześć godzin jazdy od Salt Lake City, gdzieś na odludziu, a ja byłam z powrotem w domu, gotowa do życia w rodzinie. Tęskniłam za trójką moich starszych braci, ale przynajmniej Becky, Erma i matka były w pobliżu.

Miałam dopiero trzynaście lat i wciąż łaknęłam poczucia bezpieczeństwa i komfortu płynącego ze zwykłej bliskości, zwłaszcza po wszystkich zawirowaniach, jakie spotkały naszą rodzinę przez ostatnie lata.

Tego pierwszego wieczoru pomagałam w zwyczajnych, codziennych pracach domowych. Kiedy ciepłe, jesienne słońce chyliło się ku zachodowi, chciałam posiedzieć i pogadać z siostrami. Becky wymyśliła, żebyśmy spała z nią na dworze, gdzie będziemy mogły sobie w spokoju poplotkować. Matka radośnie na to przystała. Ponieważ siedmioletnia Erma jeszcze trochę się mnie wstydziła, nalegałam, żeby i ona się do nas przyłączyła. Przytulając się do siebie w nocy, mogłyśmy okazać sobie naszą głęboką siostrzaną miłość, którą wszystkie czułyśmy.

Becky pomogła mi wytaszczyć na dwór stary materac w biało--niebieskie paski z metalowego łóżka w naszym pokoju. Sapałyśmy głośno, niosąc go przez podwórze, i często zatrzymywałyśmy się, by odpocząć, a potem chichotałyśmy jak wariatki, gdy wreszcie ulokowałyśmy go w wysokiej trawie jakieś trzydzieści metrów od domu. Trawa miała stłumić nasze śmiechy i krzyki. Przebrałyśmy się w nocne koszule, ubrania zwinęłyśmy i położyłyśmy sobie w nogach, i ułożyłyśmy się do snu. Wkrótce zapadła całkowita ciemność. Nad głowami świeciły tylko gwiazdy, rozsypane po nocnym niebie.

Nurtowała mnie jedna rzecz, przez którą nie mogłam zasnąć.

Trochę wcześniej, wieczorem, przyjechał z wizytą sąsiad z niedalekiej farmy. Poczulałam do niego nagłą niechęć, głównie dlatego, że cały czas wpatrywał się w matkę. Instynktownie wiedziałam, że jego tak zwana przyjaźń z nią jest naprawdę tym, co Biblia nazywa pożądaniem. Śmiał się zbyt głośno, właściwie odrażająco ryczał, był nie-

chlujny i odpychający, a kiedy odrywał wygłodniałe spojrzenie od matki, rozglądał się po pokoju chytrym, wydawało mi się, przebiegłym wzrokiem. Na dodatek, kiedy wysyłałam mu ewidentne sygnały, że powinien już wychodzić, ignorował je, wykazując się totalnym brakiem dobrych manier. Kiedy my leżałyśmy już na materacu na dworze, on wciąż był w domu, z matką.

Na myśl o tym czułam niepokój. Z drugiej strony, matka miała już czterdzieści lat i chyba potrafiła utrzymać tego faceta w karchach.

Wiedziałam, że nie można ufać żadnemu mężczyźnie z wyjątkiem braci kapłanów, którzy zawarli z Bogiem przymierze o życiu w wielożeństwie. Horacy Nielson miał czterdzieści osiem lat, był kawalerem i chyba nie kwalifikował się już na kapłana. Nie był nawet fundamentalistą.

Brigham Young, który sam miał przynajmniej dwadzieścia siedem żon, mówił: „Każdy młody mężczyzna, który w wieku dwudziestu jeden lat jest jeszcze kawalerem, stanowi zagrożenie dla społeczności”. Mężczyzna ma być odpowiedzialny i poślubić wiele żon, by sprowadzić na ziemię „specjalne duchy boże”. Jeśli Horacy kochał Pana, to dlaczego do tej pory nie miał przynajmniej sześciu żon i trzydziestki lub więcej dzieci?

Leżałam na brzuchu i rozmawiałam z Becky. Co jakiś czas podnosiłam się, mrużyłam oczy i wpatrywałam się w ciemność, by dojrzeć, czy stary zielony chevrolet Horacego jeszcze tam stoi. Becky próbowała mnie przekonać, że nie, że już pojechał, lecz ja byłam pewna, że nie słyszałam odgłosu silnika. Z każdą chwilą stawałam się coraz bardziej niespokojna. Będę musiała powiedzieć matce parę słów prawdy. Od dzisiaj musi się opamiętać i oświadczyć Horacemu, żeby się trzymał z daleka. Pismo przecież nakazywało nam, byśmy unikali nawet samej „obecności zła”.

Kiedy po jakimś czasie zaczął ogarniać mnie sen, przestałam rozmyślać o całej sprawie, lecz po chwili usłyszałam w oddali wycie kojotów i zerwałam się na równe nogi. Becky i Erma zapewniały, że co noc wyją kojoty i że nic nam nie grozi. W końcu zasnęłam. Tej nocy nic mi się nie śniło.

Obudziło mnie przejmujące zimno. Wsunęłam na stopy sandały i poszłam do wygodki. Moje siostry wciąż spały. Siedziałam na zimnym, nieheblowanym „sedesie” i zastanawiałam się, ile osób wyszło stąd z drzazgą w tyłku. Zaśmiałam się cicho i zła-pałam się na tym, że oto znów jestem rozchichotany lekkoduchem. Wielu znajomych zwracało mi już na to uwagę i starałam się to przezwyciężyć, prosząc Boga o wybaczenie, lecz jakoś do tej pory nie udało mi się zapanować nad tą skłonnością. Trzęsąc się z zimna, pobiegałam z powrotem do materaca i ostrożnie wpełzłam pomiędzy śpiące siostry.

Kiedy ujrzałam dym unoszący się z kuchennego komina, wyciągnęłam spod legowiska zwinięte ubrania i szybko włożyłam dzinsy i bluzkę. Poszłam w stronę domu, a Becky i Erma, rozżalone, że nie chcę zostać z nimi na dworze, popędziły za mną, jesz-

cze w nocnych koszulach.

Nieopodał kuchni czuć już było znajomy, cudny zapach ma-minych racuchów. Na samą myśl o nich ciekła mi ślinka, więc wtargnęłam do kuchni z okrzykiem:

- Pierwsza porcja zarezerwowana!

W kuchni siedział łysy, rozchełstany Horacy, a przed nim na stole dymił talerz ze stosem pysznych racuchów posmarowanych masłem i domowej roboty syropem. Obok siedziała matka. Jakby tego było mało, Horacy miał czelność zaprosić mnie do stołu, na śniadanie w moim własnym domu! Byłam oniemiała. Nienawidziłam go. Horacy, ten dupek, posunął się za daleko.

Spojrzałam mu prosto w oczy - jak wąż, który za chwilę ukąsi.

Zwykle starałam się być dla każdego miła, lecz tego ranka w stronę Horacego popłynęły z moich ust takie przekleństwa, jakich nawet wstydzę się powtórzyć.

Pojął, o co chodzi. Spojrzał na matkę, jakby oczekiwał, że się za nim wstawi, ale ona nie była widocznie w stanie zabrać głosu i opowiedzieć się po którejś ze stron. Po tem powoli wstał i bez słowa poszedł do samochodu.

Matka patrzyła na mnie tak, jakby chciała się rozpłakać, ale zamiast tego skarciła mnie:

- Nie mogę uwierzyć, że moja córka tak się odzywa!

Horacy, który siedział w samochodzie przy włączonym silniku, dodał kilkakrotnie gazu, a wtedy matka jak na komendę odwróciła się, wybiegła z kuchni i wskoczyła na miejsce pasażera. Kiedy odjeżdżali, zawołała:

- Jadę na ranczo Nielsonów. Wrócę później!

Ranczo należało do Horacego i jego rodzeństwa.

Po ich odjeździe Becky i Erma milczały. Chociaż ze złości nie byłam w stanie nic przełknąć, usmażyłam resztę racuchów. Następnie postawiłam na kuchni wiadro z wodą, żeby była ciepła do zmywania.

Opróżniłam kredensy i wyszorowałam w nich półki. Potem porządnie poustawiałam naczynia. Wciąż we mnie kipiało.

Przez kolejne dwie godziny kiedy Becky i Erma ciągle trzymały się ode mnie z daleka, pracowałam dalej - wymiotłam z kuchni i salonu wszechobecny piach i pył i zmyłam biało-złote linoleum, aż błyszczało.

Wytrzepałam dwa dywaniki, jakie mieliśmy, i ułożyłam przed drzwiami, żeby przynajmniej trochę zatrzymywały piach i kurz przed wejściem do domu.

Zaniosłam do studni dwa błyszczące cynkowane wiadra. Żeby je napełnić, musiałam sześć razy opuszczać w głąb studni stary, dziurawy kubeł przymocowany do drewnianego kołowrotu za pomocą liny i potężnego karabińczyka. Przytaszczyłam oba wiadra ze świeżą, czystą wodą do domu i ustawiłam je ostrożnie obok siebie na blacie przy zlewie. Zrobiłam o wiele więcej, niż zamierzałam.

W końcu usłyszałam nadjeżdżający samochód. Wyjrzałam przez okno w kuchni i zo-

baczyłam, jak matka wysiada z furgonetki Horacego.

Wciąż byłam wściekła i sama bałam się swojej reakcji.

Matka, otwierając już drzwi z siatki przeciwko owadom, spytała żalonym głosem:

- Mam jej powiedzieć?

- Nie wiem, rozsądź sama, OHve.

Kiedy znaleźli się przy drzwiach do kuchni, otworzyłam je na oścież i wrzasnęłam na całe gardło: „POWIEDZIEĆ... MI... CO?!”. Już wtedy byłam dosyć uparta, ale jeszcze nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Matka szepnęła przepaszająco:

- Irene, nie gniewaj się... proszę... chciałam ci powiedzieć wczoraj wieczorem... ale nie wiedziałam, jak... - zawahała się - Horacy i ja pobraliśmy się!

Wszystko dotarło do mnie w okamgnieniu. Oszukali mnie, wszyscy mnie oszukali - nie tylko matka i Horacy, lecz także Becky i Erma. To o to chodziło w naszym beztro-skim nocowaniu na dworze. To matka i Horacy chcieli być sami w domu, a ja stałam się przeszkodą.

Moje siostry były po prostu pionkami w ich grze. Komu mam teraz ufać?

Oczy mnie piekły, widziałam wszystko jak przez mgłę.

Okręciłam się na pięcie, trzasnęłam drzwiami i już mnie nie było.

Puściłam się biegiem przez pola, przez zarośla i trawy, byle nabrać rozpędu, byle uciec. Mój wielki, długo oczekiwany powrót do domu, początek nowego życia, był tylko ułudą. Matka wyszła za męża, nie dość, że za monogamistę, to jeszcze obleśnego.

Biegłam, nie zatrzymując się. Brakowało mi tchu, nogi bolały nieznośnie, lecz jakaś siła pchała mnie naprzód, aż natknęłam się na duży jadaloszyn rosnący na wydmie. W cieniu jego gałęzi rzuciłam się na ziemię twarzą w dół i płakałam. Zawodziłam głośno, przeklinałam.

Błagałam nawet Boga, żeby był łaskawy i pozwolił mi umrzeć.

Leżałam w piachu całe godziny. Cień zniknął, paliło mnie teraz południowe słońce, moja bluzka była mokra od potu, lecz ja, na przekór, czerpałam z tego cierpienia przyjemność.

W czasie, gdy tak leżałam na ziemi, przemyślałam całe dotychczasowe życie. Nie lubiłam swojego smutnego, samotnego dzieciństwa, które dopiero teraz, po przemyśle-niach, ujrzałam. Nie mogłam się doczekać, aż dorosnę. Jeśli Bóg pozwoli mi dalej żyć, może postawi na mojej drodze dobrego, wartościowego mężczyznę, który pokocha mnie tak, jak powinno się kochać kobietę, czego nigdy nie zaznała i prawdopodobnie nie zazna moja matka. Być może przy takim mężczyźnie wreszcie poczuję się bezpieczna.

Straciłam matkę. Straciłam już nawet jasność rozumowania, jeśli chodzi o Regułę. Miałam trzynaście lat i nigdy dotąd nie czułam się taka samotna.



Następnego lata z przyjemnością opuściłam Trout Creek i znowu udałam się do pracy na ranchu Cheta i Neldy Youngów koło Milford w Utah. Spędziłam tam łącznie trzy sezony i ów czas wspominam jako cudowny. Youngowie byli dla mnie wspaniali, tworzyli w swoim domu rodzinną atmosferę, w której czułam się kochana.

Nelda nauczyła mnie rzeczy kompletnie zaniedbywanych przez moją matkę, między innymi dlatego, że matka sama nigdy ich nie robiła, poza tym była beznadziejną gospodynią i kucharką. Nelda natomiast nauczyła mnie, jak piec domowy chleb, robić masło, naprawiać ubrania, szyć w ręku, cerować pończochy. Pokazała mi także, jak się rozdziela brudne ubrania na dwie kupki - rzeczy jasne i ciemne, żeby te jasne nie straciły koloru przy praniu. Bardzo mi się to podobało, bo matka nigdy nie zawracała sobie tym głowy.

Na początku wydawało się, że wciąż muszę poprawiać po sobie czynności, które wykonałam nie tak. Ale Nelda w pierwszym roku cierpliwie mi wszystko wyjaśniała, a potem, gdy zaprosiła mnie na dwa kolejne sezony, nie było możliwości, żebym się pewnych rzeczy nie nauczyła. Była to jednak w całości zasługa Neldy. Nie mogłam marzyć o lepszej nauczycielce. Nauka, jaką od niej odebrałam, przygotowała mnie do założenia własnej rodziny.

Podczas pracy Nelda uczyła mnie psalmów. Dzięki temu nabrałam pewności siebie, gdy śpiewałam. Youngowie nie poniżali mnie z powodu mego fundamentalizmu - przeciwnie, ich przykład, przykład życia innego niż moje, przyczynił się do tego, że w owym czasie moje rozterki religijne były dość silne.

A w domu, w Trout Creek, moja matka była zadowolona, że mnie nie ma. Wyobrażała sobie, że w ten sposób rozwiąże się wiele jej problemów. Wiedziałam, że jej małżeństwo to poważny błąd, zanim ona sama sobie to uświadomiła. Horacy był, jak to nazywaliśmy, „atrapą mormona” - mormonem tylko z nazwy. Nie wyznawał żadnej wiary, nie praktykował religii, był kompletnie pozbawiony sfery ducha.

Odzwierciedlało to jego życie.

Jak się później okazało, matka nie wyszła za niego z miłości.

Wyszła za niego z powodu raka. Przez dłuższy czas źle się czuła i kiedy lekarze wreszcie postawili diagnozę, oznajmili, że nie pozostało jej wiele życia. Ukrywała to przed wszystkimi. Z determinacją walczyła o to, by nie zostawić dzieci na pastwę losu i opieki społecznej, więc poślubiła Horacego, który z kolei był człowiekiem uwięzionym w swoim rodzinnym gospodarstwie z braćmi i siostrami i przyłgnął do niej od razu, gdy tylko się pojawiła w Trout Creek. Przyjęła jego natrętną propozycję ślubu, mimo że wcale go nie знаła, żywiąc nadzieję, że gdy jej dni się wypełnią, Horacy będzie dla nas lepszym opiekunem niż ktoś całkiem obcy. Nie zdradziła się przed nami, dziećmi, ze swoją chorobą. Wyznała nam ten sekret dopiero po latach, gdy się okazało, że cudem pokonała raka.

W tym czasie Horacy dał się poznać jako ojczym jeszcze gorszy niż mąż. Odrzucił

nas, dzieci swojej żony, a my odrzuciłyśmy jego. Do dziś wspominam jego dziecinne, ale bolesne wymysły - na przykład nakładanie surowych restrykcji na to, co mogliśmy jeść, podczas gdy on sam ucztował jak król. Nie pozwalał też matce kupować nam ubrań, nawet za jej własne pieniądze. A kiedy matka na kursach korespondencyjnych zdobyła certyfikat nauczycielki i zaczęła pracować w szkole, tak doskwierał mu brak ciągłej uwagi z jej strony, że postanowił w ogóle się nią z nami nie dzielić. Właśnie wtedy jego zachowanie z dziwnego zmieniło się w agresywne.

Pewnego dnia mała Erma miała wysoką gorączkę. Przyszedł Horacy i zobaczył, jak matka trzyma ją na kolanach i łagodnie buja w naszym starym drewnianym fotelu. Bez ostrzeżenia wyrwał Ermę z objęć matki i odepchnął tak gwałtownie, że znalazła się na zapiaszczonej podłodze.

- Zostaw moją kobietę w spokoju, dobra?! - zawołał. - Należy do mnie!

Po raz pierwszy w oczach matki ukazała się nienawiść.

Później Horacy coraz częściej zaczął wysyłać moje siostry poza farmę, żeby mieć matkę tylko dla siebie. Zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, dlaczego ja instynktownie nie znosiłam tego faceta od samego początku. Okazało się, że zamieniła poligamię na śmiertelną zazdrość.

Horacy pracował daleko od domu, na linii montażowej w firmie Tooele Ordnance Depot. Po powrocie z pracy nie zmieniał obuwia i chodził po domu w podkutych butach. Pewnego razu, gdy przyszedł z pracy i natknął się na małą Ermę tulącą się do matki, zepchnął ją na ziemię i zaczął kopać tymi okropnymi, ciężkimi buciorami, aż w końcu matka zdołała go odciągnąć. Lubił mścić się na Ermie, gdyż była najłatwiejszą, najślabszą ofiarą.

Podobne napady złości Horacy próbował trenować i na mnie, kiedy byłam w domu. Po jakimś czasie rozkazał mi wynosić się z „jego” domu. Lecz ja, jak zwykle, nie dałam sobie w kaszę dmuchać.

- Z twojego domu?! - wrzasnęłam. - Zbudowała go matka.

Gdybyś był prawdziwym mężczyzną, zbudowałbyś własny dom.

- Wszystkie jesteście bękartami! - krzyknął i zaczął się podnosić z krzesła.

Stałam akurat przy piecu, poprawiając węgle pogrzebaczem.

Odwróciłam się i wyciągnęłam ten rozpalony do czerwoności miecz w stronę jego twarzy.

- Nie zbliżaj się! - ryknęłam.

Horacy zbladł. Zaczął wymachiwać rękoma, tak że prawie spadł z krzesła, które przewróciło się, uderzając o ścianę.

- Nie rób tego... - błagał. - Olive! Olive!

Na jego szczęście matka przybiegła od razu.

- Irene, dosyć. Odłóż to - rozkazała. Matka bała się Horacego jeszcze bardziej niż mojego ojca.

Bywało, że w nocy słyszałyśmy z Becky przez ścianę, jak ją bije. Próbowaliśmy krzyknąć, powstrzymać go, ale dalej ją krzywdził.

Następnego ranka, gdy widziałam, jak jest posiniaczona, błagałam ją, by go zostawiła, lecz bez skutku. Matka uważała, że należy ponieść koszty popełnionych błędów.

Pewnego razu znalazłam ją na łóżku - leżała i płakała.

Powiedziała, że to dlatego, że w tak nędzny sposób odrzuciła piękną ideę poligamii. Prosiła mnie, bym nigdy nie wyjawiała ciotce Rhei, jak postąpiła, to znaczy, że wyszła za Horacego. Jak mogłam jej odmówić?

Życie z Horacym było tak okropne, że często wraz z Becky uciekałyśmy z domu. Sąsiedzi przechowywali nas całymi tygodniami.

Większość tych ludzi od lat znała naszego ojczyma, więc rozumieli.

Lecz matka w końcu zawsze nas znajdowała i sprowadzała z powrotem do domu, zapewne tłumacząc sobie, że to dla naszego dobra.

Zacząłam tęsknić za innym domem.

ROZDZIAŁ TRZECI.

W końcu uzyskałam pozwolenie matki, by przeprowadzić się do Hurricane w Utah, gdzie wówczas mieszkała z czwórką swoich dzieci (tych, które nie były jeszcze zajęte szukaniem sobie potencjalnych poligamicznych małżonków) i uczyła w szkole ciotka Rhea. Nie uprzedzając jej, że przyjadę, zabrałam się ze znajomymi do Salt Lake City, a stamtąd sama odbyłam sześciogodzinną podróż autobusem do Hurricane. Było to niewielkie, zakurzone miasteczko położone u stóp płaskowyżu, który wspinał się ku kanionowi Zion. Miałam dopiero czternaście lat, a już przemogłam strach i podjęłam tę daleką, przerażającą, dorosłą podróż - tak bardzo pragnęłam znaleźć się w atmosferze życzliwości i stabilności. Cechy te zawsze promieniowały wprost z osoby ciotki. Mimo że zaskoczyłam ją swoim przyjazdem, wydawała się zadowolona, że mnie widzi, i pozwoliła, bym spędziła z nią cały rok i zaliczyła dziewiątą klasę w tamtejszej szkole. Długo nie opuszczały mnie wyrzuty sumienia, że zostawiłam tam, w Trout Creek, na pastwę Horacego siostry, lecz tłumaczyłam sobie, że muszę żyć własnym życiem. Oprócz tego zdawałam sobie sprawę, że zarzewie wszelkich konfliktów leżało między mną a ojczymem, i podejrzewałam, że kiedy mnie tam zabraknie, wszystko potoczy się znacznie spokojniej.

Ciotka Rhea prawdopodobnie nie wiedziała wówczas o małżeństwie matki z Horacym, ale orientowała się, że w życiu jej siostry w Trout Creek sprawy nie układają się dobrze. Uważała za swój święty obowiązek, by własną osobą służyć przykładem i pomóc dzieciom Olive - istotom o najwyraźniej niezaspokojonych potrzebach emocjonalnych - właściwie pojąć sens poligamii i nauczyć się nią żyć. Kiedy więc przyjechałam do Hurricane, ciotka rozpoczęła swoje świadectwo, a robiła to, będąc po prostu sobą: wstawiała świtem i wnikliwie czytała święte pisma, ciągle się modliła, z uniesieniem rozprawiała o ewangelii, zdawała relację ze swoich wielu snów i objawień dotyczących przyszłości. Miałam wrażenie, że czasem nieźle przesadzała, ale słuchałam jej, bo wiele jej zawdzięczałam - przygarnęła mnie i troszczyła się o mnie. Do dziś zastanawiam się, czy zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo wówczas, w dziewiątej klasie,

wszystko to było dla mnie pogmatwane. Chyba musiała, bo inaczej nie wkładałaby tyle energii w to, żeby uporządkować galimatias w mojej głowie.

Okazało się, że były pewne aspekty Reguły, których jeszcze nie poznałam, czy też nad którymi do tej pory w ogóle się nie zastanawiałam. Ciotka zamierzała to nadrobić i wypełnić luki w mojej edukacji. Bądź co bądź wchodziłam właśnie w wiek, kiedy takie rzeczy mogły się okazać niezbędne.

Poligamia była według ciotki piękna także dlatego, że dawała przewagę kobietom, które pragnęły wyjść za mąż (czyli, według niej, kobietom myślącym prawidłowo), to one bowiem wybierały sobie męża, a nie na odwrót. W istocie eliminowało to całkowicie konkurencję pomiędzy przedstawicielkami płci pięknej. Jeśli kobiecie podobał się mężczyzna już żonaty, nie było problemu. Musiała po prostu dać wyraz swojemu pragnieniu, a dotychczasowe żony gotowe były z radością przyjąć ją do swego grona. Im większa rodzina ziemską, tym większe królestwo niebieskie - wszyscy więc powinni się cieszyć, że rodzina się powiększa - czy to o kolejną żonę, czy o dziecko.

Ponieważ każda nowa żona oznaczała kilkoro nowych dzieci, tym większa była z jej przyłączenia do rodziny korzyść. Jeśli natomiast chodzi o mężczyzn - przyszłych bogów - to każda nowa żona powiększała ich przyszłą chwałę w niebie. Dlaczego mieli by komukolwiek odmawiać? W kręgach poligamistów znane było powiedzenie, które ujmowało sprawę bez ceregieli: jeśli mężczyzna nie kocha lub nie pragnie dziewczyny, która chce go poślubić, tak czy siak powinien się z nią ożenić i mieć nadzieję na miłość następnym razem. A jeśli jednak zdecyduje się odrzucić jej względy, to dookoła jest wielu innych braci gotowych je przyjąć z pocałowaniem ręki.

Po drugie, mówiła ciotka Rhea, muszę zrozumieć rolę żony w małżeństwie poligamicznym. Była ona jasna - rodzić dzieci. Dlaczego?

By przestrzec przykazań boskich, by wynieść męża, a przez to i siebie, do chwały niebieskiej, i by przyczynić się do zaludniania światów, którymi mieliśmy władać w wieczności. Prorok Brigham Young podkreślał jeszcze jeden ku temu powód: „Jest wiele czystych i świętych duchów, które czekają, by zająć mieszkania (ciała). Jaka jest zatem nasza powinność? Przygotować dla nich mieszkanie; niechaj nie szukają go w rodzinach niegodziwych, gdzie wyuczają się niegodziwości, rozpusty i wszelkich przestępstw. Powinnością każdego prawego mężczyzny i każdej prawej kobiety jest przygotować mieszkania dla tylu duchów, dla ilu tylko mogą... Oto dlaczego objawiona została doktryna wielożeństwa - inaczej szlachetne dusze, które oczekują na ciała, nie mogłyby ich otrzymać". Z powyższych powodów żony poligamistów zachęcano do rodzenia dziecka co rok przez ile tylko lat zdołają. Byłam młoda, silna i szybko dochodziłam wieku, kiedy mogłam zacząć rodzić dzieci.

Po trzecie, ciotka nauczyła mnie zasad czystości. Przede wszystkim, należało się powstrzymać przed niemal jakimkolwiek fizycznym kontaktem z płcią przeciwną przed zawarciem małżeństwa.

Nawet całowanie się było zabronione. Po ślubie zaś kontakt był dozwolony, ale tylko w ściśle zastrzeżonym zakresie. Odkryłam, że seks w małżeństwie poligamicznym ma spełniać tylko i wyłącznie tę rolę, jaką ma do spełnienia żona - rolę prokreacji. Ciotka Rhea powiedziała, że każda z nas posiada „boską moc rozrodczą”, której możemy używać tylko do zaspokojenia boskich potrzeb. Jeśli mąż i żona uprawiają seks z jakiegokolwiek innego powodu, można to traktować nawet jako cudzołóstwo. Seks jest więc zabroniony w czasie ciąży, karmienia piersią, menstruacji i po menopauzie. Zastanawiałam się, czy dozwolone jest czerpanie z niego przyjemności nawet wtedy, gdy służy właściwemu celowi, czyli corocznemu wydaniu na świat potomka. Nie śmiałam jednak spytać o to mej pobożnej ciotki.

Opowiedziała mi historię pewnej cudownie świątobliwej kobiety żyjącej w poligamii, która uprawiała seks tylko dziewięć razy w życiu, za każdym razem wydając na świat dziecko.

- Czyż to nie piękne, Reński? - spytała na zakończenie. - To była taka posłuszna, uduchowiona istota. Jak cudownie byłoby, gdybyśmy wszystkie mogły takie być!

Podejrzewałam, że miała na myśli mnie. I pragnęłam taką się stać, ale czekała mnie niejedna próba.



Dwie córki ciotki Rhei, Donna i Myra, wyszły już za mąż - były drugą i trzecią żoną tego samego mężczyzny. Donna, odkąd skończyła siedem lat, zawsze była mi bardzo bliska. Wraz z Myrą i dwiema córkami mojej ciotki Ellen mieszkała jakieś 45 kilometrów na południe od Hurricane, na granicy Utah i Arizony, we wciąż powiększającej się osadzie poligamistów - Short Creek.

W tym leżącym na odludziu miejscu, z dala zarówno od ludzkich spojrzeń, jak i kontroli prawa, pod przywództwem człowieka uważającego się za boskiego proroka, osiedliło się około czterdziestu fundamentalistów wraz ze swymi licznymi, poligamicznymi rodzinami.

Niektórzy pobudowali domy, inni znaleźli tymczasowe schronienia - przyczepy kempingowe z przedsionkami czy duże wojskowe namioty.

Trzy moje siostry mieszkały w wysprzątanym kurnikach, czwarta w nieukończonym domu. Cała idea polegała na tym, by kolonia była jak najbardziej samowystarczalna, a jej członkowie funkcjonowali niezależnie od reszty świata. Kiedy byłam młodsza, nic takiego jak Short Creek nie istniało, lecz pomysł nie wziął się znikąd - sam Józef Smith nazywał bowiem taką formę wspólnego osiedlania się „Zakodem Jedności”. Ludzie z Short Creek utrzymywali, że wspólnym wysiłkiem starają się żyć w Zakonie Jedności. W każdym domu wystawione było zdjęcie proroka, podobnie jak katolicy eksponują często podobiznę papieża. W każdej rodzinie wisiała też tabliczka przypominająca, że „Albo Królestwo Boże, albo nic”.

Często odwiedzałam siostry w Short Creek i poznałam prawie wszystkich miesz-

kańców kolonii.

Większość była ze sobą spokrewniona - przez krew lub przez małżeństwo. Niezgodnie z tym, czego uczyła mnie ciotka Rhea, starsi mężczyźni z Short Creek często wymieniali się nawzajem córkami i poślubiali je. Znałam kilka przypadków, gdzie mężczyzna żenił się z wdową lub rozwódką z kilkorgiem dzieci, by później pojąć za żony jej córki - kiedy tylko osiągnęły dojrzałość płciową, lub nawet wcześniej. Oczywiście za każdym razem ci rozwiązli mężczyźni twierdzili, że postępują tak wyłącznie oświeceni wolą boską.

W niedługim czasie zaprzyjaźniłam się z wieloma dziewczynami w moim wieku z Short Creek. Niejednokrotnie podczas naszej znajomości zdarzało się, że dziewczyna na parę miesięcy przepadała jak kamień w wodę, by nagle pojawić się z powrotem - z niemowlęciem w ramionach. W większości przypadków były to dziewczyny, które potajemnie poślubiły mężczyzn w wieku własnych ojców. Odbywało się to w tajemnicy, bo tak po prostu działali poligamiści - nie nagłaśniano kolejnych małżeństw w obawie przed tym, że ktoś z zewnątrz będzie wypytywał o konkretne pary i związki. Z ust żadnej z tych młodych żon i matek nigdy nie padło słowo „miłość”, kiedy w końcu zdobyły się na to, by wyszeptać mi prawdę. Nigdy.

Pewna czternastoletnia dziewczyna, która właśnie urodziła pierwsze dziecko, wyznała mi, że nigdy przed porodem nie miała miesiączki. Wyszła tak młodo za męża, by móc urodzić jak najwięcej dzieci. Było to niezwykle ważne dla jej męża, który chciał zostać bogiem we własnym królestwie w niebie, gdzie jego niezliczone żony i dzieci będą płodzić duchowe potomstwo i zaludniać inne światy.

Starszyzna Short Creek wysyłała większość młodych nieżonatych jeszcze mężczyzn na tak zwane „misje”, podczas których mieli oni, ucząc się fachu, najczęściej budowlanego, zarabiać na swoją społeczność. W czasie takiej dwuletniej praktyki zalecano im mieszkać u innych fundamentalistów, którzy z kolei byli obowiązani zapewnić im za darmo mieszkanie i wyżywienie. Całe swoje pensje mieli natomiast wysyłać do domu z przeznaczeniem na utrzymanie gigantycznych rodzin poligamicznych i „budowanie dzieła boskiego”.

Wydawało się to sensowne i funkcjonowało dobrze, ale w teorii.

Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Bóg jest wobec tych młodych mężczyzn stronniczy. Podczas gdy oni wyjeżdżali za pracą, Bóg objawiał się tym starszym i nakazywał im żenić się ze wszystkimi młodziutkami, zdrowymi i pięknymi dziewczynami. Kiedy młodzi kawalerowie wracali z misji, „w nagrodę” czekały na nich skromne resztki - dziewczyny otyłe, brzydkie, upośledzone czy chore. Co zrozumiałe, wielu młodych kwestionowało wolę boską, ale w końcu i tak ją wypełniało, ufając, że poślubią swe prawdziwe wybranki w następnej kolejności.

Kiedy chłonełam to wszystko, w głowie pojawiały mi się małe, niegrzeczne myśli. Czy tak zwane boskie świadectwa wiary starszych braci nie były po prostu oszustwa-

mi?

Co piątek kilka z nas chodziło w Creek na tańce. Tańczyłam szkocką polkę, walca i rozmaite tańce ludowe. Wytańczyłam się za wszystkie czasy z żonatymi mężczyznami i do tego każdy z nich był wolny. Bogu musiało się coś pomylić, myślałam. W ciągu zaledwie paru miesięcy dwunastu mężczyzn doznało objawienia, jakoby powinnam zostać ich kolejną żoną. Zastanawiałam się, dlaczego Bóg nie uniknął zamieszania i nie oświecił mnie, kogo mam poślubić. Do tego Donna i Myra nalegały, abym wyszła za ich męża, byśmy w wieczności dalej mogły być nierozłączne.

Zaczęłam bardzo się przejmować boskimi planami w stosunku do mnie. Jak miałam się sama przekonać czego rzeczywiście ode mnie oczekiwał? Czy miałam wstąpić na drogę poligamii jak moja matka?

Jeśli tak, to koniecznie powinnam zrobić to lepiej od niej, starać się być bardziej prawą i doskonalszą. I jeśli się na to zdecyduję, to czy mogę pozwolić innym, takim jak starsi bracia z Short Creek, decydować, dla kogo Bóg mnie przeznaczył? Serce mówiło mi, że nie - że nie wolno mi przystać na to wszystko. Przypomniałam sobie dzień, który cały przepłakałam pod drzewem, kiedy matka w końcu wyjawiała mi, że wyszła za Horacego. Pragnęłam wtedy tylko jednego - żeby na świecie znalazła się jedna, jedyna osoba, która mnie pokocha, i to pokocha w pełni. W głębi serca wciąż tego pragnęłam. A kiedy sobie to wszystko wyobrażałam - siebie i swojego męża - w sypialni obok nie widziałam innych żon. Ale ciotka Rhea, moja kochana Donna i wszyscy ci bracia, których nauczono mnie słuchać, wierzyć im i ufać, bo przez nich przemawia Bóg, twierdzili, że ma być właśnie na odwrót. Tak bardzo chciałam do kogoś należeć. Gdyby tylko Bóg objawił mi osobiście, że jego wolą w stosunku do mnie jest poligamia.

Pewnej niedzieli w Creek usłyszałam kazanie głoszone przez brata Hammona. Miało ono głęboki wpływ na moje przemyślenia dotyczące przyszłości.

- Maria, matka Chrystusa, miała zaledwie czternaście lat, kiedy go urodziła - mówił brat - a czasu do powrotu Chrystusa pozostaje nam coraz mniej, więc każda dziewczyna, która czuje się do tego powołana, powinna natychmiast „iść w ślady Dziewicy”, to znaczy wyjść za mąż i rodzić dzieci, nim będzie za późno.

My jednak nie mogliśmy angażować się w zaloty i wybór męża.

To starsi bracia otrzymywali od Boga szczególne wskazówki odnośnie do każdej dziewczyny, tak, by była ona pewna, że ściśle wypełnia wolę boską i poślubia tego jedynego, właściwego partnera. Wydawało się bowiem, że Bóg stracił kontrolę nad tym, co objawia poszczególnym kandydatom na mężów - wielu z nich nakazywał poślubić nie jedną i tę samą młodą, atrakcyjną dziewczyną, a to na pewno było sprzeczne z zasadami prawej, świętej poligamii. Dlatego właśnie starszyzna z Short Creek postanowiła rozsądzać kwestie dobierania małżeństw - odtąd wszystkie święte objawienia dotyczące małżeństwa miały wychodzić tylko z ust starszyzny.

Jednym z braci starszych był mój wuj Rich. Pewnego wieczoru chciał ze mną po-

rozmawiać w cztery oczy o swoim synu Billu, któremu się podobałam. Wuj Rich głosił nam obojgu błogosławione nauki przez ponad godzinę. Czuł, że mam być przypieczęto-wana (poślubiona) Billowi i nalegał, byśmy udali się wprost do jego domu i tam zawarli małżeństwo. Stanowczo odmówiłam. Powiedziałam, że jestem za młoda i mój los pozostaje wciąż w gestii matki. On pompatycznie obalił moje zdanie, twierdząc, że skoro moja matka odeszła od ojca, nie ma już nade mną żadnej władzy. Jeśli zaś chodzi o ojca, to on też nie ma nade mną władzy, gdyż nie podążył za innymi braćmi i nie osiedlił się w Short Creek. Dlatego właśnie mam być posłuszna jemu, wujowi Richowi, prawdziwemu słudze bożemu. Ponieważ nadal się przeciwstawiałam, zakazał Billowi widywać się ze mną.

Byłam wychowywana w przekonaniu, że przez braci, czyli mężczyzn w stanie kapłańskim, naprawdę przemawia Bóg. Przecież rozmawiał z Nim Józef Smith. Myślałam, że starsi fundamentaliści są wyjątkowo dobrymi ludźmi i konsultują z Bogiem wszystkie swoje decyzje. Teraz zaś moja wiara została zachwiana. Byłam jednak pewna, że poligamia, sama w sobie, jest drogą do Boga. Jeśli gdzieś na drodze prowadzącej do wypełniania Słowa Bożego zdarzył się grzech, nie była to przecież wina Słowa Bożego. Każdy upadek świadczył po prostu o ludzkiej słabości.

Wreszcie zdecydowałam, że jeśli mam żyć w małżeństwie poligamicznym, będę to robić, ale na własnych i bożych zasadach, a nie na zasadach narzuconych przez starszyzną. Nikt, prócz Boga, nie będzie mi rozkazywał. A i On sam niech lepiej działa ostrożnie.



Cleve LeBaron mieszkał w Hurricane niedaleko ciotki Rhei.

Wiele lat wcześniej pomagał mojej matce, która była niezamężna i miała skromne dochody. Być może nawet chciał się z nią ożenić, lecz ona nigdy nie dostała rozwodu od ojca, była więc dla braci zakazana.

Tak czy inaczej, matka pewnie nie wyszłaby za niego, bo wszyscy wiedzieli, że w genach rodziny LeBaronów jest choroba psychiczna. To jednak Cleve znosił nam worki fasoli, ziemniaków i wszelkie owoce i warzywa sezonowe. Pewnego dnia pod koniec 1951 roku razem z koleżanką wstąpiłam po drodze na chwilę do jego domu, tak tylko, żeby się przywitać.

Kiedy weszłyśmy do salonu, zastałyśmy tam wysokiego, bardzo przystojnego nieznajomego. Miał blond włosy i jaskrawoniebieskie oczy. Cleve spytał, czy się znamy. Nie znaliśmy się, ale ja stałam jak zamurowana, wpatrując się w jego oczy, i zignorowałam pytanie. Oboje nie mogliśmy oderwać od siebie wzroku i wtedy przeszło mnie nagłe olśnienie, silny dreszcz przeszedł wzdłuż kręgosłupa, a wewnętrzny głos szepnął mi: „Oto mężczyzna, którego poślubisz”. Nie mogłam w to uwierzyć. Czy było to wreszcie długo wyczekiwane boskie objawienie, o które tak błagałam? Tak bardzo tego pragnęłam.

Cleve przerwał moje rozmyślania:

- To mój bratanek, Verlan LeBaron z Meksyku.

W ciągu sekundy przed oczami zamigotał mi kalejdoskop zdarzeń i wiadomości - przypominałam sobie, że część LeBaronów osiedliła się w Meksyku, chcąc ominąć amerykańskie prawo, zakazujące poligamii. Słyszałam również o „szczególnym kapłaństwie”

klanu LeBaronów, którzy uważali się za bezpośrednich duchowych spadkobierców i potomków samego Józefa Smitha. Twierdzili, że ich ród wyda proroka wyższego rangą niż sam przewodniczący Kościoła Świętych w Dniach Ostatnich. Przypominałam sobie też o chorobie psychicznej w genach tej rodziny. Rzeczywiście, widziałam nawet nienormalnego Bena LeBarona na spotkaniu poligamistów w Salt Lake City, z którego został brutalnie usunięty, bo krzyczał, że jest potężniejszy niż sam Jezus Chrystus. Słyszałam też plotki o tym, że Ben postanowił wykonać sto pompek na środku ruchliwej ulicy w Salt Lake i kiedy nadjechali policjanci, by go aresztować, rzucił im wyzwanie:

- Nikt z was tego nie dokona, co dowodzi, że ja jestem Potężnym i Mocnym!

Oto uśmiechał się do mnie brat Bena.

Verlan wyciągnął do mnie rękę, ja ją uścisnęłam. Podniósł się, wciąż trzymając moją dłoń. W pięknym szerokim uśmiechu ukazał się rząd idealnie białych zębów. Byłam oszołomiona.

- Cześć - powiedział. - To ty jesteś młodszą siostrą Charlotte?

Pokiwałam głową.

- Tak, jestem Irene. Mieszkam z nią i z moją ciotką Rheą.

Zastanawiałam się, skąd znał Charlotte.

- To może mi wytłumaczysz, jak do was trafić? Przyjechałem z Provo na weekend i chcę się z nią zobaczyć.

Pierwsza zadra zazdrości ukłuła mnie w serce. „O Boże, właśnie powiedziałaś, że będzie moim mężem. No tak, mam czternaście lat.

Może będzie nim w przyszłości”. Cieszyłam się, że Verlan jest być może wpisany w moją przyszłość, ale nie wyobrażałam sobie, jak poradzę sobie ze świadomością, że i dziewiętnastoletnia Charlotte ma w niej swoje miejsce.

Parę tygodni później świeżo zaręczona Charlotte i dwu-dziesięcioletni Verlan odjeżdżali spod domu ciotki Rhei jego szarym pontiakiem do Short Creek. Trójka mojego przyrodniego rodzeństwa i ja błagaliśmy, by wzięli nas ze sobą. Charlotte jednak stanowczo odmówiła: „Jesteśmy zaproszeni jako para i nikogo nie bierzemy”.

Była bardzo poważną, pobożną dziewczyną, jak jej matka, i uwielbiałam się z nią droczyć. Szepnęłam więc coś na ucho Johnowi i Samowi, złapałam za rękę Karen i wszyscy wpełchnęliśmy się na tylne siedzenie samochodu, tak jakbyśmy mieli do tego pełne prawo.

- Ruszajmy zatem - stwierdziłam. - My też jesteśmy zaproszeni jako para!

Charlotte odwróciła głowę i rzuciła mi lodowate spojrzenie.

Chichocząc, wygramoliliśmy się prędko z samochodu, a oni odjechali bez słowa.

Verlan nie był jeszcze żonaty, więc jego ślub z Charlotte, który odbył się trzy miesiące później, miał rangę wydarzenia publicznego.

Zniosłam to całkiem nieźle. Rozpłakałam się dopiero w nocy, w domu.

Jeśli miałam zostać żoną poligamisty, czekało mnie wiele wyrzeczeń.

Nawet wtedy, nie będąc jeszcze jego żoną, nienawidziłam samej świadomości, że Verlan kocha się z moją przyrodnią siostrą.

Zastanawiałam się, jak może kiedykolwiek pokochać mnie, jeśli będzie zajęty kochaniem się z nią.

Przyszły mi na myśl słowa Brigham Younga, że wielożęństwo więcej ludzi skazuje na wieczne potępienie, niż zbawi. W takim razie, po co nawet próbować? Pragnęłam mieć mężczyznę tylko dla siebie, ale według mojej religii było to egoistyczne i krótkowzroczne. Monogamia może dać szczęście w życiu ziemskim, ale na pewno nie w wieczności.

W świętych pismach Bóg ostrzega, że „aniołowie ci nie żyli zgodnie z prawem moim; przeto nie mogą być powiększeni, lecz pozostają oddzielnie i pojedynczo, bez wyniesienia, w swym zbawionym stanie, na całą wieczność; i nie są odtąd bogami, lecz aniołami Bożymi na wieki wieków”. (Nauki i Przymierza, 132, 17). Byłam wystarczająco samotna tu, na ziemi, nie chciałam spędzać jeszcze wieczności „oddzielnie i w pojedynkę”. Martwiłam się, że jeśli nie usłucham boskiego prawa poligamii, będę na zawsze samotna i odrzucona.

Często myślałam, że dobrze byłoby urodzić się katoliczką, jak moja koleżanka. Po każdej spowiedzi była taka uspokojona. Ja nie wiedziałam tak naprawdę, które z moich grzechów w ogóle mają znaczenie, ale wyobrażałam sobie, że pewnie przeklinanie i figlarność.

Och, gdyby tylko tyle oddzielało mnie od boskiej chwały. Ja jednak byłam inna. Byłam jednym z wybranych dzieci bożych.

Pamiętałam słowa pisma: „Kto wiele otrzymał, od tego oczekuje się wiele”. Chciałam zostać boginią i dostąpić najwyższej chwały niebieskiej. Czy mam porzucić to pragnienie na rzecz zaspokojenia swoich małych, przyziemnych teraźniejszych potrzeb? Sama taka możliwość przerażała mnie.

Wybór należał do mnie. Jeśli wskazówkę miała stanowić dla mnie matka, sprawa była jasna - nie będzie drugiej szansy, niczego nie da się naprawić. Tak, stałam tu, przed tym samym wyborem, co ona kiedyś, i miałam dwie możliwości, jedną straszniejszą od drugiej: cierpieć teraz lub cierpieć później, być kochaną dziś lub świętą jutro.

Niczego nie pragnęłam bardziej niż tego, by Bóg przewidział dla mnie jeszcze jedną, inną drogę.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Pod koniec maja spotkałam się w Salt Lake City z matką. Wciąż była żoną Horacego i we dwoje odwieźli mnie z powrotem do domu w Trout Creek. Miałam piętnaście lat. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, matka napomknęła, że Horacy ma dwudziestoosmioletniego bratanka - nazywa się Glen Spencer, jest nieśmiały i wciąż nieżonaty. W rzeczy samej poznałam go już, bo był kierownikiem miejscowej poczty.

Pracował też na ranchu Nielsonów, co oznaczało, że nie ma zbyt wiele czasu na życie towarzyskie. W okolicach Trout Creek nie było zresztą wielu panien na wydaniu.

Matka nie przejmowała się zbyt różnicą wieku między mną a Glenem, tym, że był kuzynem Horacego, a nawet tym, że nie należał do poligamistów. Jak jego wuj, Glen należał do mormonów zbuntowanych, to znaczy jego rodzina była niegdyś pobożna, lecz on nie praktykował mormońskiej wiary. Na pewno nie był fundamentalistą, nie był też kapłanem. Matka zdawała sobie sprawę, że to całkowicie przekreślało go jako materiał na męża w oczach każdej dziewczyny pragnącej żyć zgodnie z Regułą. Chciała jednak zapewnić mi jakiegokolwiek towarzystwo. Wydawało jej się, że jest miły, więc zachęcała mnie, bym dała mu szansę.

Ponieważ nie miałam nic ciekawszego do roboty, po przyjeździe do domu zajrzałam na rancho Nielsonów. Spotkałam się z Glenem, który właśnie szedł do pracy przy sianokosach i zaproponował, bym mu towarzyszyła. Mimo letniego skwaru dzień upłynął mi szybko. Cały czas byłam tylko sobą, wygłupiałam się, docinałam, nikogo i niczego nie udawałam.

Wieczorem Glen i ja leżeliśmy na trawie pod wielkim dębem, który rósł przed wejściem do domu Nielsonów. Gadaliśmy niemal do północy. Był dla mnie miły, poświęcał mi dużo uwagi, czego żaden mężczyzna, a szczególnie mój ojciec i Horacy, w stosunku do mnie do tej pory nie robił. Wyjawiłam mu swój dylemat, a on zrozumiał i wyraził współczucie. W jego pojęciu, tłumaczył mi, Bóg dał nam wolną wolę jako dar, a nie jako narzędzie, za pomocą którego chciał nas rozdrażnić i zmylić. Dlaczego miałby dawać nam pragnienia i żądać, byśmy postępowali wbrew nim? Mimo wszystko Bóg

jest przecież miłością, czyż nie? Pamiętam, że w owym czasie wszystko to wydawało mi się idealnie proste i zrozumiałe.

Jeszcze bardziej pociągała mnie w Glenie dobrze znana mi samotność, którą w nim wyczuwałam. Wyglądało na to, że jest to samotność bliźniacza z moją. Zupełnie nagle, w ciągu jednego zaledwie dnia, znalazłam bratnią duszę, która mogła nadać mojemu życiu znaczenie, znalazłam kogoś, kto potrafił mnie całkowicie zrozumieć.

Czuliśmy się ze sobą tak dobrze, że resztę lata spędziliśmy razem.

Dla żadnego z nas nie miało znaczenia, że Glen był trzynaście lat ode mnie starszy. Byliśmy nierozłączni. Kochał mnie tak, jak nigdy dotąd nie byłam kochana - w pełni i bezwarunkowo. Mogłam być po prostu sobą, głupiutką, roztrzepaną dziewczyną, a Glen uważał to za cudowne. Kiedy byłam z nim, nie musiałam się martwić o to, co nie podobało się innym - czyli o to, że jestem lekkoduchem. Nigdy mnie nie krytykował, nie zwracał mi uwagi. Wręcz przeciwnie - mogłam śpiewać, śmiać się, gadać, płakać i żartować bez obawy, że ktoś uzna to za nieodpowiednie. Ten człowiek kochał mnie, bo byłam sobą.

Niespodziewanie ogarnęła mnie wielka radość. Kiedy leżałam z Glenem na trawniku, trzymaliśmy się za ręce. Jego pocałunki rozpalały mnie. Kiedy brał mnie w ramiona, cudownie się w niego wtulałam.

Prawo czystości ciotki Rhei nie miało tu zastosowania. Śmiałam nawet dziękować Bogu za to, że pozwolił mi doświadczyć czegoś tak pięknego, jak pocałunki Glena. Nigdy już nie chciałam opuszczać jego ramion.

Najbardziej jednak lubiliśmy marzyć o dniu, w którym nareszcie będziemy należeć tylko i wyłącznie do siebie. W przedziwny sposób nasza miłość wyparła mi z głowy wszystkie myśli o wiecznym potępieniu. Niebo na pewno nie było wspanialsze niż to, czego doświadczałam z Glenem tu i teraz, a piekło nie mogło być gorsze od czasów, kiedy nie było go przy mnie. W dosłownym sensie zamknęłam umysł przed Bogiem, Regułą i przed wszystkim, co tylko mogło zaprzeczać naszej miłości. Gdy byłam z Glenem, zapominałam o sztywnych ramach, w których nie mieścił się nasz związek.

Kiedy jednak leżałam sama w nocy, głęboko zakorzeniony dogmat mormoński powracał. Prosiłam Boga, by rozważył odwołanie czy złagodzenie swych ostrych zasad, by może zrobił dla mnie wyjątek.

Chciałam, by zrozumiał Glena, który bez wątplenia był dobry, nawet lepszy ode mnie. Czy to jego wina, że nie urodził się jako mormoński fundamentalista, dziecko przymierza? Nie znaczy to przecież, że nie jest wyjątkowy. Tak czy inaczej, jeśli chodzi o Glena, i tak w grę nie wchodziło małżeństwo poligamiczne. Chciałam monogamii, wyłączności. Dodatkowa żona popsułaby to, co nas łączyło, zniszczyłaby naszą mocną, nasyconą wzajemną relację. Było to niewyobrażalne. Nie, nie chciałam, by Bóg zezwolił Glenowi na przyłączenie się do przymierza w ostatniej chwili. Pragnęłam, by Bóg uwolnił od Reguły nas oboje.

Zastanawiałam się nad doznany przeczuciem, wizją, że poślubię Verlana LeBarona. Był kimś, był przystojny, był kapłanem - miał wszystkie cechy, jakich pożądałaby porządna, posłuszna kobieta.

Wiara przyciągała mnie do Verlana, ale byłam zakochana w Glenie.

Być może Glen stanowił też dla mnie ucieczkę od poligamii, opcję uwalniającą od natrętnych myśli o mężu kochającym się za ścianą z jedną z siostrzanych żon. Zdecydowałam, że wolę być jedyną żoną Glena, cieszyć się życiem teraz i doznać potępienia w piekle.

Zgodziłam się więc na małżeństwo z nim. Zrobiłam to jednak ze sporą dozą obawy.

Tylko nielicznym zdradziliśmy nasze plany - w większości byli to ludzie, co do których byliśmy pewni, że nie będą się sprzeciwiać.

Napisałam do mojej siostry Donny z prośbą, by przywiozła do Trout Creek moją skrzynię posazną, jeśli przypadkiem będzie się wybierać w te strony. Mieszkała wówczas w Short Creek. Byłam z nią bardzo związana i liczyłam się z jej zdaniem. Choć była oddaną zwolenniczką poligamii, ufałam, że nie uzna mnie za wyrzutka, jeśli wybiorę inną drogę. Być może gdzieś w głębi duszy podejrzewałam, że Donna będzie próbowała odwieść mnie od zamiaru poślubienia Glena, a jeśli jej się uda, nie będę musiała stanąć twarzą w twarz z boskim gniewem.



Nadszedł wreszcie nasz dzień - 1 września 1952. Glen, ja i obie nasze matki wsiedliśmy do starego, beżowego samochodu wuja Charliego, gotowi wyruszyć w drogę do Salt Lake City, gdzie mieliśmy się pobrać za pięć dni. Wuj Charlie, który miał zapłacić za nasz ślub, kończył właśnie układać bagaże w bagażniku. Kiedy tylko zasiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwiczki, oparł głowę o kierownicę. Jego twarz była biała jak płótno.

- Czuję się strasznie - powiedział. - Czy nie możemy wstać skoro świt i jechać jutro?

Byłam wściekła. Mógł przecież kierować ktoś inny. Wuj Charlie mógł nawet wcale nie jechać. Musieliśmy załatwić w Salt Lake City tyle spraw, zrobić wielkie zakupy, dopracować wiele szczegółów związanych ze ślubem i przyjęciem, które miało się odbyć u mojego brata Richarda. Wszystko to jednak miało być prezentem ślubnym od wuja Charliego, więc nie było wyjścia - musieliśmy przełożyć wyjazd na następny poranek. Matka i ja miałyśmy spać na ranchu Nielsonów, tak byśmy mogli wyjechać blady świtem.

O czwartej nad ranem obudziło mnie walenie w drzwi. Ktoś się uporczywie dobił, więc szybko wciągnęłam dzinsy i podbiegłam do drzwi wejściowych, zanim obudzili się inni. Odsunęłam zasuwę i uchyliłam drzwi. Okazało się, że za nimi stali Donna i jej mąż Clyde.

Pod zimnym, bezgwiezdnym niebem odbyliśmy w ich samochodzie małą, potajemną

naradę. Słuchałam z napięciem Donny, relacjonującej ostrzeżenie, które otrzymała. Natychmiast, nocą, ruszyli w podróż, by mi je przekazać.

- Dzięki Bogu, kochana, że jeszcze tu jesteś! - zawołała. - Przyjechałam, żeby cię skłonić do opamiętania. - Była bardzo podekscytowana. - Irene, Bóg nas tu przysłał! Nie wychodź za odszczepieńca, który cię nie wyniesie do chwały. Jesteś dzieckiem urodzonym do życia w Regule. Proszę, nie rezygnuj z tego przywileju.

Bóg liczy na ciebie.

Cały mój świat zachwiał się w posadach. Wołałam w ogóle nie rodzić się jako dziecko boże. Ale skoro już się urodziłam, rzeczywiście trzeba było zastanowić się nad tym, czy Bóg robiłby sobie tyle zachodu, gdyby nie chciał mnie ostrzec przed popełnieniem błędu. Czy nagła choroba wuja Charliego to nie był przypadkiem palec boży? Czy naprawdę przekazał mi przez Donnę to ostrzeżenie? Czy to miała być moja ostatnia szansa, by wyprostować swą ścieżkę i służyć Panu?

Glen już jakiś czas temu wyszedł na dwór i teraz przechadzał się wokół samochodu, licząc na to, że zaprosimy go do środka. Myślał, że dotyczą go wszystkie moje plany, lecz zdawał sobie równie dobrze sprawę z tego, jak silny wpływ miała na mnie rodzina. Odsunął się parę kroków w tył i czekał, aż go zawołamy.

Obserwowałam go, a w myślach usiłowałam wypowiedzieć te wstrętne, ohydne słowa, które, jak próbowała wbić mi do głowy Donna, zakończą moje „kłopoty”. Nie będę w stanie ich z siebie wydusić, nigdy. Lecz oto siedziała tu moja ukochana siostra, która całą noc jechała, by mnie dopaść, zanim ostatecznie porzucę naszą piękną doktrynę dla jakiegoś podrzędnego monogamisty, który nigdy nie dozna chwały. Czy rzeczywiście zamiast Boga wybiorę miłość, a egoistyczne życie w wolności będzie dla mnie ważniejsze niż szlachetne, błogosławione posłuszeństwo? Czy faktycznie zawiodę Donnę, ciotkę Rheę i innych, bardzo drogich mi ludzi?

Nagle ogarnął mnie wstyd. Oczywiście, że nie mogłam wymigiwać się od obowiązków wobec Boga. Bez względu na koszty, Bóg zawsze musi stać na pierwszym miejscu przed miłością, przed osobistymi wyborami i uczuciami. Przyszły mi na myśl słowa jednego z naszych ulubionych hymnów: „Poświęcenie przynosi błogosławieństwo niebieskie”. Jeśli Bóg wymagał, bym poświęciła Glena, nie miałam prawa tego kwestionować. Ostatecznie, to był Bóg. Przecież uczono mnie, że wybrańców Boga czekają próby, jak Abrahama, któremu Bóg kazał złożyć w ofierze syna. Jak śmiałam prosić Boga o wyjątek, o uniknięcie próby, o zwolnienie z pełnienia Jego woli?

Sercem dudniącym w piersi, sparaliżowana złymi przeczuciami, wysiadłam z samochodu i krok za krokiem, w ciemnościach, powłokłam się w stronę Glena. Kiedy się zbliżyłam, spojrzał na mnie trochę zdenerwowany.

- Co tu się dzieje, do diabła? - zapytał.

W głowie mi się kręciło. Już otwierałam usta, żeby wypowiedzieć przeciwiczoną wcześniej kwestię, ale język mi zeszytniał. W głowie miałam pustkę.

- Glen - wyjąkałam wreszcie - wiem, że nie zrozumiesz, bo ja sama nie rozumiem...
Zaczęłam płakać, tak że nie byłam w stanie skończyć zdania.

Ukryłam twarz w jego ramieniu, nie mogąc opanować łkania. Glen już z tych paru słów wyczytał wszystko, co powinien. Mój mózg był jak wyprany i wyżęty. Zostałam przeprogramowana w ciągu zaledwie jednej nocnej sesji.

- Chodźmy stąd - powiedział. - Nie słuchaj ich już.

W końcu wydusiłam to z siebie.

- Nie mogę za ciebie wyjść, Glen, bo... bo nie możesz mnie wywyższyć.

Odepchnęłam go od siebie i zerwałam z szyi diamentowy medalion, który mi podarował na zaręczyny. Wcisnęłam mu go do ręki.

Odwróciłam się i pobiegłam z powrotem do samochodu Donny.

Z płaczem powiedziałam do niej:

- Jeśli przyjechałaś tu, by mnie ocalić, to zabierz mnie stąd, teraz, już.

Przez łązy i drzewa widziałam Glena, który nadal stał samotnie, gdy my znikaliśmy w ciemnościach. Jaka przyszłość mnie teraz czekała?

Donna i Clyde zawieźli mnie aż do Hurricane i wysadzili razem z jakże teraz żalowaną, małą skrzynią posażną i innymi bagażami u ciotki Rhei. Była zachwycona, że wyrwano mnie wprost z otchłani grzechu.

Zapewniała, że wróciłam dzięki ich gorliwym modlitwom.

Ponieważ w Hurricane rozpoczął się już rok szkolny, zapisałam się do dziesiątej klasy. Byłam spóźniona o dwa dni. Drugiego dnia szkoły odebrałam na poczcie list polecony i przeszłam pół drogi do domu, zanim go otworzyłam. Trzęsłam się tak mocno, że z trudem oddychałam. Rozerwałam kopertę i przeczytałam pełen słów przebaczenia list od Glena: „Droga Irene, wiem, że wyjechałaś wbrew własnej woli. Wiem, że mnie kochasz. Pójdę za Tobą na kolanach nawet do Chin! Umówmy się gdziekolwiek. Wyślę Ci pieniądze, żebyś mogła dojechać do Salt Lake. Nigdy nie przestanę Cię kochać. Glen”.

W tej samej chwili chciałam wyjechać i uciec do niego, uciec tam, gdzie czułam się bezpieczna. A potem zastanowiłam się, czy nie jest to przypadkiem kolejna próba, jakiej poddaje mnie Bóg. W jakiś sposób musiałam wymazać wszelkie myśli o Glenie ze swego umysłu.

Po południu nie wróciłam do szkoły. Siedziałam i płakałam godzinami, niezdolna kompletnie do niczego. Byłam taka zła na Boga.

Posłuszeństwo bardzo bolało, zwłaszcza że początkowo Bóg zezwalał na pokusy. Żałowałam, że w ogóle żyję i że nauczono mnie tej bezlitosnej „dobrej nowiny”.

O drugiej w nocy obudziło mnie ciche, nieśmiałe pukanie do drzwi. Gdy otworzyłam, tym razem mój brat Richard złapał mnie za rękę, a w drzwiach ukazały się moja matka i siostra Becky.

- Zbieraj się, Irene. Zaraz odjeżdżamy - rozkazał i poszedł na górę.

- Ja nie jadę - zaprotestowałam, idąc za nim do mojego pokoju. - Chcę zostać tu i skończyć szkołę.

Zgarnął moje ubrania z szafy, razem z wieszakami, i rozejrzał się po pustym pokoju.

- Gdzie reszta twoich rzeczy?

Hałasy obudziły ciotkę Rheę i słyszałam, jak krzyczy na kogoś na dole. Na widok tej osoby doznałam szoku - to był Glen. Wszedł w trakcie całego zamieszania.

- Zostaw ją w spokoju! - wrzeszczała na niego ciotka. - Ty dziwkarzu!

Wiedziałam, że tak nie jest, lecz nie śmiałam sprzeciwić się ciotce i stanąć w obronie Glena. Stchórzyłam z obawy, że ciotka przestanie mnie kochać, jeśli dam jej powód do zdenerwowania. Nie wiedziałam, co robić - jechać czy zostać. Moje serce rwało się do Glena, do jego miłości i poczucia bezpieczeństwa, jakie przy nim miałam. Powstrzymywał mnie tylko strach przed Bogiem i ciotką Rheą.

I w tej chwili Bóg interweniował. Charlotte, żona Verlana, mieszkała czasowo w pokoju gościnnym u ciotki, gdyż groziło jej poronienie i matka musiała się nią opiekować. Wpadłam nagle na pomysł, że mogę spróbować podjąć właściwą decyzję odnośnie do Glena, jeśli się dowiem, jakie Bóg ma w stosunku do mnie plany w przypadku, gdy za niego nie wyjdę. Wiedzioną gwałtowną potrzebą, wtargnęłam do ciemnego pokoju Charlotte, by prosto z mostu zadać jej pewne pytanie.

Okazało się, że już nie spała, bo całe zamieszanie w domu obudziło i ją.

- Czy Yerlan ma zamiar się ze mną ożenić? - spytałam ją.

Nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią.

- Oczywiście, Irene. Często się za ciebie modlimy, czujemy, że Pan chce cię ocalić, chce, żebyś została członkiem naszej rodziny.

W tamtej chwili, kiedy potworne wahanie było jeszcze gorsze do zniesienia niż każdy wybór, jakiego mogłam dokonać, odpowiedź Charlotte przyniosła mi ulgę nie do opisania. Poklepałam ją po rękę i podziękowałam za pomoc w podjęciu tej przeraźliwie trudnej decyzji.

Wyjadę od ciotki razem z rodziną, która po mnie przyjechała, lecz nie poślubię Glena.

O ironio losu, gdybym wówczas wiedziała, że Verlan pojechał właśnie do Meksyku prosić o rękę szesnastoletnią Lucy Spencer!

Zgodziła się, lecz wiedziała, że ma zostać jego trzecią, a nie drugą żoną.

Chociaż go kochała, musiał najpierw znaleźć sobie drugą żonę. Była to przedziwna odpowiedź, nie ulega wątpliwości. W poligamii jednak nie było miejsca ani na romantyzm, ani na rozsądek. Wszystko wskazywało na to, że to ja mam zostać drugą żoną Verlana.

Podczas gdy posłusznie pakowałam rzeczy, by odjechać do Trout Creek, matka uspokajała ciotkę. W drodze do domu siedziałam obok Glena, lecz odrzucałam jego pieszczoty. Nie chciałam nawet trzymać go za rękę, choć było mi strasznie przykro. W

czasie jazdy matka i Richard wyłożyli wszystko czarno na białym. Obydwoje chcieli, żebym wyszła za Glena. Richard został członkiem Kościoła Świętych w Dniach Ostatnich i zachęcał mnie do tego samego, a potem do ślubu z Glenem w świątyni mormońskiej. Jeśli zaś chodzi o Regułę, to zapewniali mnie, że nie ma przeszkód, by inne żony mogły poślubić Glena zaocznie, po jego śmierci, tak bym była jego jedyną wybranką tu, na ziemi. Ta rada przyszła jednak za późno. Ja już znałam odpowiedź.

Wiedziałam, że z pomocą boską jakoś sobie poradzę. Jechałam więc w milczeniu, kochałam Glena, ale byłam gotowa wypełnić obowiązek wobec Verlan i Boga.

Kiedy zatrzymaliśmy się wreszcie na śniadanie, nadarzyła się okazja, by wyznać Glenowi prawdę. Wszyscy weszli do zajazdu, a my dwoje zostaliśmy w samochodzie. Glen poprosił mnie o rozmowę.

Starałam się, by głos mi się nie załamał, kiedy w końcu wyznałam:

- Glen, nie mogę za ciebie wyjść, ponieważ Bóg przeznaczył mnie dla innego.

- Któż to taki? - spytał zdumiony, prawie rozżłoszczony.

Głos uwiązał mi w gardle. Zdołałam tylko wyszeptać:

- Mój szwagier, Verlan.

- Twój szwagier?! - wybuchnął. Nie mieściło mu się to w głowie. Z rozpaczą w głosie zapytał:

- Czy kiedykolwiek cię pocałował?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek ci mówił, że cię kocha?

- Nie - powiedziałam obronnym tonem. - To ty zawsze będziesz miłością mego życia.

Wtedy wziął mnie w ramiona i ze łzami w oczach błagał:

- Irene, nie daj się na to namówić. Będiesz tego żałować do końca życia!

- Glen, nie mam wyboru. Bóg pragnie, abym tak postąpiła.

Przywarliśmy do siebie z płaczem, żadne z nas nie chciało wypuścić drugiego z objęć.

Przez lata żałowałam, że nie posłuchałam ostrzeżenia wypowiedzianego udręczonym głosem Glena. Kiedy bowiem doznałam prawdziwego objawienia, kompletnie nie potrafiłam go rozpoznać.



Tej jesieni okazało się jednak, że Glen był dla mnie ogromną pokusą. Jeśli nie wyjechałabym z Trout Creek, chyba zmieniłabym postanowienie. Dobrą wymówką do wyjazdu było wesele mojego brata Douglasa w październiku. Miało odbyć się w Salt Lake City i jedna z sióstr matki, ciotka Beth, zaprosiła mnie do siebie do Murray na czas trwania uroczystości. Zawsze była gotowa mnie gościć, mimo że miała dwanaścioro własnych dzieci.

W czasie mego pobytu u ciotki Beth Charlotte i Verlan dwukrotnie przyjechali z

Provo, by się ze mną spotkać. Za pierwszym razem wybraliśmy się we trójkę do kina, za drugim do parku na popołudniowy piknik. Kiedy byliśmy razem, Verlan ani słowem nie napomknął ani o swojej miłości, ani o związku ze mną. I oczywiście ani razu mnie nie dotknął. Dla wszystkich było oczywiste to, że za niego wyjdę. W porównaniu z tym, jak traktował mnie Glen, który nieustannie obdarzał mnie uprzejmością i czułością, przy Verlanie i Charlotte czułam się jak dzieciak przy rodzicach. W środku byłam pusta, samotna.

Pragnęłam, by Verlan uzewnętrznił swoje uczucia do mnie, by zapewnił, że jako kobieta naprawdę będę kochana. Pragnęłam pocałunku, jakiegokolwiek gestu, który dałby mi nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży. Myślę, że wtedy jeszcze nie wierzyłam w to, że Bóg rzeczywiście każe mi wybierać między miłością a posłuszeństwem.

Jeśli udałabym się wysoko w góry, by tam złożyć swe życie na ołtarzu, jeśli wyciągnęłabym nóż i już, już szykowała się do zadania sobie samej śmiertelnego ciosu, może wtedy jakiś głos szepnąłby mi do ucha, że wszystko to było niczym więcej, jak tylko strasliwą próbą. Żywiłam nadzieję, że jeśli w imię Boga wyrzeknę się miłości Glena, Bóg wynagrodzi mi miłością Verlana.

Jednak ani Bóg, ani Verlan nie zechcieli ofiarować mi słów miłości i uspokojenia. Verlan nie rozmawiał ze mną nawet na temat logistyki naszego ślubu - gdzie, kiedy, w jakich okolicznościach miałby się odbyć. Myślałam, że to może dlatego, że był kapłanem i próbował w pobożny sposób zdać się na Boga i pozwolić mu zdecydować o wszystkich szczegółach. Jeśli zaś chodzi o dotyk, który tak wiele by dla mnie znaczył, wiedziałam, że wierzący nie mogą nawet całować się przed ślubem. Czego więc oczekiwałam od Verlana? Rosła we mnie niepewność, ale nic nie mówiłam. Bóg w cudowny sposób sprawi zapewne, że wszystko będzie dobrze.

Trzy miesiące później moja matka zaczęła mnie namawiać na powrót do Trout Creek. Słyszała plotki, że spotykam się z Verlanem, i nie zgadzała się na to.

- Nie chcę cię widzieć w tej rodzinie - oznajmiła. - Może Verlan i jest miły, ale w genach tego klanu jest choroba psychiczna. Irene, musisz o tym pamiętać! Nigdy go nie zaakceptuję, nigdy nie pozwolę ci za niego wyjść.

Pojechałam więc z powrotem do domu, tym razem bardziej zdezorientowana niż kiedykolwiek. Matka ciągle wychwalała przy mnie Glena, przypominała, jak wspaniale byłoby zostać jego jedyną żoną.

Nie musiałabym cierpieć tak jak ona. Próbowwała nawet kusić mnie dobrami ziemskimi. Pewnego dnia, twierdziła, Glen i ja odziedziczymy całe ranczo Nielsonów.

Glen natomiast zachowywał dystans. Nie przychodził do mnie, a kiedy szłam na pocztę, ledwo się do mnie odzywał. Wiedziałam, że to za sprawą zarówno bólu i smutku, jak i życzliwości względem mojej osoby. Jego postawa sprawiła, że pokochałam go jeszcze bardziej.

Wkrótce zaczęłam chodzić na ranczo, by razem z nim oglądać zapasy w telewizji.

Powiedziałam, że możemy pozostać tylko przyjaciółmi, lecz on, siedząc przy mnie na kanapie, nie był w stanie pozostać obojętny. Zapewniał mnie o swojej miłości zarówno do mnie, jak i do Boga. Twierdził, że mnie uszczęśliwi i że Bóg na pewno sobie tego życzy.

- Nikt jeszcze nie był szczęśliwy w poligamii - powiedział.

Musiałam przyznać, że jeśli chodzi o tę kwestię, to tak, miał rację.

W tamte wieczory widziałam całą sytuację jasno - powinnam uciec z Glenem, zanim ktokolwiek nas zatrzyma.

A potem wracałam do domu i zaczynałam myśleć na odwrót.

Bóg właśnie mi pokazał, co mam robić. Nie tylko zakazał mi Glena, ale postawił przede mną całkiem innego człowieka. Wytyczył dla mnie inną ścieżkę. Co się stanie, jeśli świadomie odmówię wkroczenia na nią?

Pewnego wieczoru, pragnąc zakończyć wreszcie piekło, przez które ostatnio z Glenem przechodziliśmy, postanowiłam jednak z nim uciec. Ely w Nevadzie leżało tylko cztery godziny drogi od nas.

Mogliśmy się tam pobrać. Matka chętnie wyraziła na to zgodę. Nie mogłam jednak przekonać Glena, że rzeczywiście wytrwam w swym postanowieniu.

- Przekonam się, jak to zobaczę - stwierdził.

Obiecałam mu, że zrobimy to pojutrze.

Następnego dnia były moje szesnaste urodziny. Poszłam odebrać pocztę i kiedy segregowałam listy na kupki, w oko wpadł mi jeden ze zwrotnym adresem Charlotte w rogu. Pismo było mi nieznane - musiał adresować Verlan. „O Boże, dlaczego mi to robisz?”.

Rozzerwałam kopertę i przeczytałam proste słowa: „Najserdeczniejsze życzenia urodzinowe radości i uśmiechu przez cały dzień, a szczęścia na zawsze - dla super świetnej Irene! - Verlan i Charlotte”.

Czytałam to w kółko od nowa. Czy Verlan chciał powiedzieć mi coś między wierszami? Czy naprawdę myślał, że jestem „super- świetna”? Czy „szczęście na zawsze” oznaczało, że pewnego dnia ma jednak zamiar przeciągnąć mnie przez całun śmierci i uczynić ze mnie boginię, która będzie u jego boku królować na wieki? Jeśli zaś nie miał tego na myśli, to po co osobiście podpisywał się pod życzeniami?

Znowu pogąrzyłam się w rozmyślaniach.

A może to był kolejny znak od Boga, popychający mnie ku Verlanowi? Jeśli tak, tym razem musiałam Go posłuchać. Dosyć wahań.

Kiedy zaczęłam układać sobie wszystko w głowie, doszłam do wniosku, że to za sprawą Boga życzenia dotarły dokładnie w dniu moich urodzin, na dzień przed nierozważnym, planowanym zniknięciem. Bóg dawał mi ostatnią szansę, bym postąpiła zgodnie z Jego wolą.

Natychmiast usiadłam i napisałam do Neldy Young z prośbą, by przyjechała i mnie

zabrała. Była osobą, na której mogłam polegać, kimś, kto mógłby pomóc mi rozstrzygnąć dylemat związany z Glenem.

Napisałam: „Zrobię, jak mi powiesz. Całuję, Irene”.

Kiedy później tego dnia zobaczył mnie Glen, wiedział już, że słusznie we mnie wątpił. Ucieczka została odwołana.

- Do licha! - krzyknął zrozpaczony. - Nie do wiary, diabeł znowu mnie ubiegł, i to o jeden dzień!

Stał tylko, patrzył na mnie i kręcił głową. Byłam tak zakłopotana ciągłym lawirowaniem, że unikałam go przez kilka dni, aż do czasu, gdy przyjechała po mnie Nelda. Jak mogłam oczekiwać, że zrozumie coś/ czego ja sama nie byłam w stanie w pełni pojąć?



Zima w Utah jest jak leniwie płynąca rzeka - tworzy meandry.

Luty mijał - obojętny na me gorące oczekiwanie na choćby słówko od Verlan czy Boga. Niestety, nie nadeszło. Były chwile, kiedy myślałam, że czas w ogóle przestał płynąć. Dlaczego nikt się do mnie nie odzywał? Verlan i Charlotte musieli zdawać sobie sprawę, w jakim trwałam napięciu. Gdyby nie to, że miałam liczne, pochłaniające całkowicie mój czas obowiązki na ranczu Youngów, mogłoby się zdarzyć, że uległabym pokusie zakopania się gdzieś głęboko pod śniegiem, tak by więcej nikt o mnie już nie usłyszał. Wreszcie zdobyłam się na odwagę i napisałam do Charlotte. (Nie wystarczyło mi jednak śmiałości, by napisać bezpośrednio do jej męża). Wyznałam jej mniej więcej to, że nie wiem, jak długo mam jeszcze czekać.

W tajemnicy jednak postanowiłam, że jeśli rzeczywistą wolą Boga był mój ślub z Verlanem, to on albo poczuje potrzebę wyznania mi miłości, albo w jakiś inny sposób da mi nadzieję. Jeśli takiej potrzeby nie poczuje, to potraktuję to jako zwolnienie z pełnienia woli boskiej i wrócę do Glena. Pomyślałam sobie, że to bardzo rozsądne rozwiązanie, niezależnie od tego, czy Verlan o tym wiedział, czy nie.

Na pewno Bóg to uszanuje.

Wciąż czekałam na odpowiedź, kiedy z początkiem marca na ranczo Youngów niespodziewanie przyjechał znajomy z Trout Creek.

Nazywał się Leonard Parker. Był niezwykle poważny, przywiózł bowiem wiadomość, że brat Horacego, Slim, umarł tego ranka. Spytał, czy chcę jechać na pogrzeb.

Oczywiście chciałam. Umierałam z pragnienia, by znaleźć się z powrotem w Trout Creek. Tłumaczyłam sobie, że każda dziewczyna w moim wieku ma prawo tęsknić za domem i rodziną. Obiecałam Neldzie, że wrócę na ranczo za trzy dni, i natychmiast odjechaliśmy.

Im bliżej byliśmy, tym szybciej i mocniej waliło mi serce.

Powtarzałam sobie, że Verlan ani razu nie dał mi cienia nadziei, prócz tej małej kartki z życzeniami, a nie mogę w żadnym stopniu być pewna, czy miał na myśli coś

więcej niż tylko zwykle „wszystkiego najlepszego”. Teraz, kiedy zbliżaliśmy się do Trout Creek, do Glena, gotowa byłam ucałować Verlana z radości, że do tej pory mnie ignorował.

Kiedy podjechaliśmy pod dom matki, złapałam walizkę, wysiadłam z samochodu, lecz ociągałam się jeszcze z odejściem, dopóki Leonard nie spojrzął na mnie pytająco.

- Bardzo proszę, czy nie wyświadczyłby mi pan jeszcze jednej przysługi? - zapytałam. - Byłabym wdzięczna, gdyby zajechał pan na rancho Nielsonów i odnalazł Glena. Proszę mu powiedzieć, ale w tajemnicy, że jestem tu i czekam na niego.

Serce waliło mi w piersi, kiedy patrzyłam na chmurę kurzu unoszącą się za samochodem Leonarda, który pokonywał trzy kilometry porośniętej niskimi krzakami i trawami przestrzeni, by zagłębić się w zagajnik na rancho Nielsonów. Czy Glen będzie w domu? Czy nie będzie na mnie wściekły po tym, jak okropnie go potraktowałam?

Kiedy tak stałam struchlała, zobaczyłam, jak z rancza rusza beżowy samochód. Kurz podniósł się szybciej i wyżej niż zwykle. Glen wyskoczył z samochodu prawie w biegu i natychmiast porwał mnie w ramiona. Jego pocałunki uspokoiły moje obawy, a czułe słowa miłości rozwiały je do końca. Oto był mężczyzna, którego naprawdę kochałam.

Po pogrzebie Slima Glen uparł się, że sam odwiezie mnie z powrotem do Youngów. Obiecałam mu, że złożę wymówienie u Neldy i wrócę do domu, jak tylko skończy się umówiony miesiąc pracy.

Spotkamy się pierwszego kwietnia. Kiedy się rozstawaliśmy, czułam się znowu, pierwszy raz od wielu miesięcy, dawną, beztroską sobą.

Marzec, jak i luty, nie przyniósł żadnej korespondencji od Verlana i Charlotte. Teraz jednak wcale mnie to nie bolało, wręcz przeciwnie, czułam z tego powodu ulgę. Uwolniłam swój umysł od myślenia o nich i z końcem miesiąca wróciłam do domu, do Glena, jak obiecałam. A co z kartką urodzinową, która miała być bożym znakiem?

Widocznie rozpoznawanie głosu Boga nie było jeszcze sztuką, którą w pełni opanowałam. Zdecydowałam się na dobre. Poślubię Glena.

Zadomowiłam się z powrotem w Trout Creek i zaczęliśmy z Glenem snuć plany co do naszego ślubu. Pewnego wieczoru, o dość późnej porze, mniej więcej trzy tygodnie po moim powrocie, odpoczywaliśmy z Glenem na brązowej skórzanej kanapie w domu Nielsonów. Trzymając się za ręce, oglądaliśmy telewizję. Właśnie mu obiecałam, że nazajutrz wybierzemy się razem z dostawą zapasów żywności dla pasterzy owiec na inne rancho. Glen namówił mnie, żebyśmy pojechali tam na jego dwóch motocyklach. Z zadowoloną miną wstał z kanapy i poszedł do kuchni po coś do picia.

Właśnie wtedy usłyszałam, jak na podwórzu zakręca i zatrzymuje się samochód. Domyślałam się, że Glen tego nie usłyszał, i w jakiś sposób byłam przekonana, że nie należy go o tym informować.

Wstałam po cichutku, otworzyłam drzwi i wyszłam w ciepłą ciemność.

Zbliżały się do mnie dwie postacie.

Krzyknęłam:

- Verlan?!

Po chwili był już przy mnie. Wziął ze sobą moją dziesięcioletnią siostrę Ermę, żeby pokazała mu drogę. Chwycił mnie za rękę.

- Tak się cieszę, że cię znalazłem! Jedźmy z powrotem do ciebie, tam czeka Charlotte, jej matka i twoja matka.

Gdy usłyszałam i zobaczyłam Verlana, straciłam całkowicie zdolność do trzeźwego myślenia. Przyjechał, więc mimo wszystko powinnam podporządkować się woli boskiej. Bóg nie miał zamiaru bawić się ze mną w kotka i myszkę. Zmieścił się w terminie, który mu wyznaczyłam, i nie zamierzał zrezygnować ze swych planów.

Poczułam się dokładnie jak ofiara przestępstwa, do której w końcu dociera, że mimo protestów, wyrywania się, drapania, gryzienia i plucia, i tak będzie związana i wrzucona do bagażnika.

Nie byłam w stanie wejść z powrotem do środka i stanąć twarzą w twarz z Glenem, choćby po to, by się z nim pożegnać. Cóż miałam mu powiedzieć? „Hm, inny mężczyzna właśnie zajechał na podwórze, więc odchodzę z nim. Życzę ci dobrego życia". Jak Glen miał mi to wybaczyć, czy choćby zrozumieć?

Oszołomiona, poszłam za Verlanem do samochodu. Byłam jednak na tyle przytomna, że widziałam, iż naprawdę się cieszy na mój widok. Było mi już jednak prawie wszystko jedno. Uściskał mnie, zanim otworzył przede mną drzwiczki samochodu. Wciąż nie wspominał nic o celu swego przyjazdu. Kiedy dotarliśmy do domu, wysłałam Ermę pierwszą, a kiedy zostaliśmy sami, nie czekałam już ani chwili.

- Po co przyjechałeś? - zapytałam.

- Więc... no... mam nadzieję, że wrócisz z nami i... no... może zostaniesz... na zawsze!

Nie było tak romantycznie, jak sobie wiele razy wyobrażałam, ale chyba na to jedynie Verlan mógł się wtedy zdobyć.

Po wszystkich próbach, na jakie do tamtej pory wystawiałam Glena, po wszystkich groźbach i ostrzeżeniach dotyczących LeBaronów, jakie padały nieraz z ust mojej matki, nie chciałam, żeby wiedziała, że wciąż rozważam kandydaturę Verlana. Pospieszyłam więc do domu, gdzie zostałam ciepło przywitana przez ciotkę Rheę i Charlotte. Podałam im kanapki z tuńczykiem i brzoskwinie, i siedzieliśmy do późna, plotkując sobie miło o tym i o owym, o wszystkim z wyjątkiem rzeczywistego powodu ich przyjazdu.

Następnego ranka wstałam wcześniej, by jak zwykle wydoić naszą krowę. Verlan zastał mnie w zagrodzie dla krów i obdarzył szerokim, głupim uśmiechem:

- Szkoda, że nie doisz moich krów - zaczął mnie. Nie mogłam nic poradzić na to, że uśmiechnęłam się, gdy usłyszałam tę przedziwną próbę bycia miłym.

W tej samej chwili dobiegł do moich uszu odgłos motoru Glena, pędzącego piasz-

czystą drogą z rancza Nielsonów. Pobiegłam do domu, bo nie chciałam, by przyłapał mnie w towarzystwie mężczyzny, dla którego Bóg kazał mi go opuścić. Glen zatrzymał się na naszym podwórzu, lecz nie wyłączał silnika. Patrzył na szarego chevroleta Verлана. Gdy do niego podeszłam, spojrzał na zagrodę dla krów i zobaczył Verлана.

- Czy to jest ten twój przeklęty szwagier?

- Tak, to on - przytaknęłam, choć czułam się podle, zadając mu znowu tyle bólu.

- Więc idź do piekła, a on razem z tobą! - warknął i gwałtownie odjechał, niemal przejeżdżając mi po nogach. Jego harley zostawił za sobą ogromną chmurę duszącego pyłu.

Zdruzgotana patrzyłam za nim, aż zniknął z pola widzenia.

Przerażała mnie myśl o tym, że Glen mógł sądzić, iż rzeczywiście było to moim pragnieniem.

Kiedy Verlan przekonał się, że Glen odjechał, podszedł i objął mnie:

- Oj, nie czuj się tak podle, Irene. Wszystko się jakoś ułoży. Idź teraz do domu i poproś matkę o zgodę na wyjazd z nami. Nie chcę cię stąd zabierać bez jej pozwolenia. Jeśli nie będzie miała nic przeciwko temu, wyjedziemy jutro.

Godzinę później zesłam za matką po kilku niezgrabnych, betonowych stopniach do piwnicy, którą wspólnie wybudowałyśmy dwa lata wcześniej. Pamiętam, jak pomagałam jej mieszać cement i wylewać te ściany. Znajdowały się tutaj teraz wszystkie nasze przetwory - słoiki i puszki z dżemami, galaretkami, majonezem, oliwą, warzywami, tuńczykiem i mielonką. Na jednej z półek stała skrzynka ze słoikami mojego ulubionego sosu do spaghetti. Usiadłam na metalowej wojskowej połówce, której czasem używałyśmy do popołudniowych drzemek lub na której spali chłopcy, kiedy przyjeżdżali.

- Chciałaś ze mną rozmawiać? - spytała matka znużonym głosem.

Przestraszona, zażenowana, postanowiłam po prostu to z siebie wyrzucić.

- Mamo, wiem, że jesteś temu przeciwna, ale ja i tak wyjdę za Yerłana.

Z całą pewnością matka to przewidywała, ale mimo wszystko rozplakała się.

- Proszę, Irene, proszę, tyle się wycierpiałam, kiedy próbowałam żyć Regułą. Nie rób tego. Masz szansę mieć jedyne, własnego męża.

Już i tak złamałaś serce Glena, zmieniając tyle razy zdanie. Poza tym Verlan zabierze cię do Meksyku i już nigdy cię nie zobaczę! - Złość matki szybko przeszła w szloch.

Nagle poczułam, że mam dość jej dwulicowości i świętoszkowatości. Oto kobieta, która przez całe dzieciństwo wmawiała mi, że muszę żyć w poligamii, inaczej będę potępiona. Teraz zaś, tylko dlatego, że sama nie podołała, nie wytrzymała, mówiła zupełnie co innego. Nie wiem, jak mi się udało, ale jakimś cudem pozostałam głucha na jej błagania. Nie mogłam pozwolić, by mnie złamała. Ja wytrzymam życie, do którego ona nie była zdolna, pójdę w ślady moich wiernych przodków, którzy poświęcili dla Reguły wszystko. Jak oni, wyprostuję ramiona i z podniesioną głową wejdę do boskiego, wiecznego królestwa. Uczynię to poprzez dzielenie męża z innymi kobietami.

Kiedy schodziłam do piwnicy, byłam na dziewięćdziesiąt procent pewna, jak postąpię. Kiedy z niej wychodziłam, moja pewność była już stuprocentowa. Nareszcie boska próba dobiegła końca.

Wygrałam ją. To małe zwycięstwo, być może, lecz wlało w me serce otuchę. Już czułam się po trosze boginią.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Podczas długiej podróży do Salt Lake City siedziałam z tyłu razem z ciotką Rheą. W pewnym momencie ujęła mnie za rękę i opowiedziała mi o swym niezwykłym objawieniu:

- Irene, miałam wizję, że za osiem dni będziesz już mężatką. To takie piękne.

Byłam w szoku, że Bóg objawia tajemnicę mego zamążpójścia ciotce, natomiast ze mną komunikuje się przez tajemnicze mrugnięcia i znaki. Bez końca i na próżno modliłam się o jasność widzenia, a On zdecydował wyznać ciotce Rhei nie tylko to, co mnie czeka, ale też dokładnie za ile dni to się stanie. Dla wszystkich w samochodzie oczywiste było, że jedziemy tak daleko po zgodę kapłana na moje małżeństwo z Verlanem, a Verlan miał mi na ten temat do powiedzenia tylko to, że chciałby, abym doła jego krowy. A teraz jeszcze ciotka ogłosiła wszem wobec, że za osiem dni wychodzę za mąż. Czuję się poniżona.

Kiedy jednak dojechaliśmy na miejsce, Verlan zawiózł mnie bezpośrednio do gabinetu mojego wuja Rulona Allreda, który był kręgarzem. Prócz tego, że był bratem mojej matki, wuj Rulon był także prorokiem, późniejszym założycielem Kościoła fundamentalistów o nazwie Zjednoczeni Bracia Apostołowie, który błyskawicznie się rozwinął i w 1953 liczył wiele tysięcy wiernych. My wszyscy - jadący samochodem - utożsamialiśmy się bardziej z jego grupą niż z mieszkańcami Short Creek, choć oczywiście wspieraliśmy ich - znajdowało się wśród nich wielu naszych najbliższych. Wuj Rulon przejął duchowe dziedzictwo Josepha Mussera, następcy Lorina C.

Wooleya, naznaczonego przez Boga do kontynuacji poligamii, kiedy w 1904 roku Kościół Świętych w Dniach Ostatnich wreszcie jej zakazał.

Wizyta u wuja Rulona była więc jak wizyta u samego Boga.

Zdecydowano, że mam poczekać w samochodzie, podczas gdy oni - Verlan, Charlotte i ciotka - udali się do wuja na rozmowę. Byłam niepełnoletnia, przybyliśmy do wuja w godzinach pracy w gabinecie, no i, oczywiście, sprawa dotyczyła poligamii - stąd cała tajemnica.

Wtedy po raz pierwszy osobiście doświadczyłam uciążliwego, wiecznego ukrywania się, nieodłącznie wpisanego w wielożenstwo.

Chociaż byłam zła i czułam się jak bezwolne dziecko, to posłusznie siedziałam w samochodzie, kiedy inni weszli do środka. Później opowiedzieli mi, co się wydarzyło.

Verlan przyciszonym głosem wyjawiał powód swojego przybycia. Mój drogi wujek bez ogródek odmówił.

- Nie - powiedział - jest za młoda, by wyjść za mąż bez zgody rodziców. Zarówno jej ojciec, jak i starszy brat jasno wyrazili, że nie zgadzają się, by Irene wychodziła za mąż. W tych okolicznościach nie mogę po prostu udzielić ślubu. Radzę wstrzymać się i pozwolić Bogu wyprostować wasze sprawy. Wróćmy do rozmowy za parę lat.

Widocznie Richard skontaktował się z ojcem i wspólnie wyrazili wobec wuja swe zdanie na temat naszego ewentualnego małżeństwa - prawdopodobnie motywując je chorobą psychiczną w genach LeBaronów i plotkami o ich sekretnym kapłaństwie. Wiem, że wuj Rulon nawet wtedy pokładał w Verlanie wielkie nadzieje - widział w nim człowieka, który zdoła przywrócić rodowi LeBaronów dawną świetność. Nie chciał jednak widocznie odpowiadać za nasze małżeństwo, zawarte wbrew woli mojej rodziny. Za dwa lata miałam skończyć osiemnaście lat i zacząć osobiście odpowiadać za własne czyny.

Verlan był w rozterce. Właśnie dowiedział się od ciotki Rhei, że ma ożenić się ze mną za osiem dni, a teraz najwyższy urzędujący kapłan i sługa boży każe mu czekać dwa lata. Verlan nie miał wyboru.

Zostawił mnie na razie u ciotki Beth w Murray i razem z Charlotte wrócili do swego domu w Provo.

Mój wyrok został odroczone. Pytanie: jak miałam to traktować?

Dwa dni później ciotka Beth załatwiła mi pracę w domu towarowym sieci Sears. Obie byłyśmy zdania, że będzie to dla mnie korzystne doświadczenie. Jeśli przejdę rozmowę kwalifikacyjną i zostanę przyjęta, to zacznę na siebie zarabiać i powoli stawać się samowystarczalna.

Kiedy szykowałam się już na tę rozmowę, zadzwonił nagle telefon, który pod wieloma względami bardzo mnie rozproszył.

- Tak, Glen - powiedziałam. - Chętnie zobaczę się z tobą o pierwszej w dziale słodczy w Sears, przed rozmową.

Wysłałam z domu wcześniej, żeby spędzić z nim przynajmniej godzinę. Tymczasem po drodze dały o sobie znać dobrze już mi znane, wzajemnie sprzeczne skrupuły. Poddałam się im i ostatecznie zdecydowałam, że niezależnie od zamiarów Glena, będzie to nasze pożegnanie. Jeszcze jedna próba zmiany decyzji, kolejny powrót i rozstanie będzie nie do zniesienia.

Jedno spojrzenie na niego wystarczyło, by mnie całkowicie rozbroić. Rzuciliśmy się sobie w objęcia, a wszystkie moje postanowienia natychmiast przestały się liczyć.

Żadne z nas nie mówiło ani o miłości, ani o przyszłości, ani w ogóle o niczym. Nie poszłam na rozmowę kwalifikacyjną. Uciekliśmy do kina. Tam, w ciemnościach, spędziliśmy dwie piękne godziny. Potem wziął mnie do knajpki, gdzie ciepło powitał nas jego znajomy i szepnął Glenowi, że jego „zamówienie” już przyszło. Glen wyszedł za nim na zaplecze, a ja czekałam przy barze.

Wkrótce usłyszałam za plecami jego cichy, smutny głos:

- Irene, to dla ciebie, żebyś mnie pamiętała - powiedział i wręczył mi cudowny bukiet żółtych żonkili. W chwili, kiedy piszę te słowa, mam przed oczami każdy ich delikatny płatek. I nagle zdałam sobie sprawę z tego, że już niedługo zaczną się marszczyć, aż zwiędną.

Tak samo Glen. Podziękowałam mu ze łzami w oczach i mocno go objęłam.

Wyszliśmy stamtąd i, trzymając się za ręce, po prostu szliśmy przed siebie. Zatrzymaliśmy się dopiero na przystanku autobusu, którym na zawsze miałam odjechać z jego życia. Czułam, że tracę najlepszego przyjaciela, a wraz z nim coś życiodajnego. Nadjechał autobus. Stanął w zatoczce i tylnymi drzwiami zaczęli się wysypywać pasażerowie. My zaś powoli zbliżaliśmy się do przednich, przepuszczając wiele osób, tak byśmy jeszcze sekundę dłużej spędzili razem.

- Hej! - krzyknął kierowca - proszę wsiadać, jeśli chcecie się zabrać!

Jeszcze raz pocałowaliśmy się, ze świadomością, że musi to nam wystarczyć na zawsze. Z bólem serca wsiadłam do autobusu i zajęłam miejsce przy oknie. Jeszcze na następnym skrzyżowaniu widziałam samotną sylwetkę mego ukochanego na chodniku.

Tydzień później, kiedy wciąż byłam chora z żalu, do naszego wspólnego pokoju w domu ciotki Beth wtargnęła niespodziewanie moja kuzynka Evelyn. Rzuciła mi na łóżko list, który właśnie przyniósł listonosz. Kiedy rozpoznałam charakter pisma, zaczęły mi się trząść ręce. List wysłano z Kalifornii.

W środku była tylko jedna kartka. Kiedy ją wyjęłam, z koperty wypadło również moje zdjęcie i pukiel mych złotych włosów. Glen obiecał mi kiedyś, że zawsze będzie je nosił w portfelu. Nie musiałam nawet czytać listu, by się domyślić, co oznaczał ich zwrot. Szlochałam przeraźliwie. W końcu zebrałam się na odwagę i przeczytałam: „Kochana Renko, jestem w Kalifornii i próbuję o Tobie zapomnieć.

Wiem, że nigdy nie dam rady. Chcę, żebyś była pewna jednego. Jeśli teraz lub w przyszłości życie Ci się nie ułoży, zawsze będę na Ciebie czekał. Całuję, Glen”.

Żal, wyrzuty, poczucie straty - wszystko wróciło do mnie w jednej chwili. Nie mogłam się z tym pogodzić. Na chwilę straciłam zdolność rozumowania. Chciałam zrobić coś nagłego, spontanicznego, emocjonalnego i samolubnego, nie zważając na Boga i Jego wskazówki. Jeśli tylko Glen przyjechałby mi na ratunek, ucieklibyśmy daleko, gdzieś, gdzie znaleźlibyśmy schronienie przed całym światem, gdzieś, gdzie moglibyśmy być razem. Czy zaiste ktoś nam tego żałował?

Wiedziałam jednak, że Bóg zawsze widzi, gdzie jestem, i potępia niewierzących. A

może istnieje cię szansa, że to nieprawda?

Wuj Rulon, moja matka, ciotka Rhea i ciotka Beth wychowali się w rodzinie poligamisty. Ich ojciec miał dwie żony i dwadzieścioro dwoje dzieci. I choć kobiety w rodzinach fundamentalistów pracowały równie ciężko lub nawet ciężiej niż mężczyźni, to największym szacunkiem cieszyli się ci ostatni. Byli przecież kapłanami Boga.

Ponadto nikt, ani kobieta, ani mężczyzna, nie podejmował żadnej ważnej decyzji życiowej bez uprzedniej konsultacji z obecnie urzędującym najwyższym kapłanem. Kiedy jako nastolatka mieszkalam w okolicach Murray i Salt Lake City, często zaglądałam do gabinetu, gdzie przyjmował wuj Rulon, i pytałam pielęgniarkę (nawiasem mówiąc, jedną z jego siedmiu żon), czy mogę się z nim zobaczyć. Jego rady potrzebowałam szczególnie po tym, kiedy matka odeszła od ojca.

Prócz tego, że wuj był naszym przywódcą duchowym, w okresie dorastania zastępował mi w pewnym sensie ojca. Pamiętam, jak brał mnie na barana, siedziałam na jego szerokich ramionach, a on kręcił się i krążył po pokoju ze mną wczepioną w jego jasne włosy. Był wysoki, stateczny i bardzo przystojny. Powszechnie uważano go za człowieka bożego.

W dniu, kiedy Glen zwrócił mi w liście pukiel włosów, zadzwoniłam do wuja z cięższym niż zwykle sercem.

- Jak tam się miewa moja kochana siostrzenica? - zapytał zmartwiony.

- Na pewno lepiej się poczuję po rozmowie z tobą, wujku. Czy znajdziesz dla mnie pięć minut, jeśli do ciebie wpadnę?

- Przychodź zaraz, kochanie - odparł. - Mam czas w porze lunchu. Nie ma dziś dużego tłoku.

Miałam nadzieję, że po umyciu twarzy lodowatą wodą opuchlizna wokół oczu trochę mi zejdzie. Nie chciałam, żeby wuj pomyślał, że ja, szesnastolatka, zachowuję się jeszcze jak dzieciak.

Bałam się też, że patrząc na moją zapłakaną twarz, wuj zwątpi w moje mocne postanowienie, aby być posłuszną Bogu. Poza tym Bóg może nie przyjąć mojej ofiary, widząc, że zalewam ją łzami.

Już w gabinecie wyłuszczyłam wujowi mój dylemat, a on po małym kawałeczku zjadał kanapkę z tuńczykiem i rozważał problem.

Kilka razy, gdy mówiłam o swojej miłości do Glena, o jego wielu zaletach i o tym, jakim dobrym jest człowiekiem, głos mi się załamał.

Czy w świetle tego wszystkiego była możliwość, bym wyszła za Glena, ale pozostała wierna Bogu? Może, jeśli Glen zechciałby się nawrócić...

Wuj przerwał mi. Najłagodniejszym głosem, delikatnie, ale stanowczo zaprzeczył, jakoby Glen mógł kiedykolwiek stanowić dla mnie odpowiednią partię. Kiedy walczyłam ze wszechogarniającą mnie rozpaczą, wuj całkowicie zgodził się z wizją, jakiej doznałam przy pierwszym spotkaniu z Verlanem.

- Nie ma wątpliwości, że Verlan jest lepszym kandydatem, kochanie - orzekł - choćby dlatego, że urodził się jako dziecko przymierza.

Słowa te jak nóż wbiły mi się w serce.

- Zdecydowanie nie możesz pozwolić na to - ciągnął wuj - by człowiek niewierzący, którym jest Glen, stanął pomiędzy tobą a zbawieniem. - Zerknął szybko na zegarek i dodał: - Zgadzam się z twoją decyzją. Jesteś dzielną kobietą. Doceniam twą gotowość do służby Panu. - Jednak gdy mówił dalej, głos mu się załamał: - Twoja droga matka bardzo cierpiała, kiedy usiłowała żyć w Regule. Mam nadzieję, że tobie będzie łatwiej. Niezależnie od wszystkiego, czy możesz mi coś obiecać?

Kiwnęłam głową.

- Obiecaj mi, że nie przyjdiesz tu do mnie za pięć czy dziesięć lat i nie zapytasz, dlaczego pozwoliłem ci to zrobić.

Prosił mnie, bym wytrwała w Regule, bym nigdy nie zboczyła z drogi, jeśli już się na nią zdecyduję. Na pewno będzie ciężko, nie ma wątpliwości, lecz miałam potężne zapasy mądrości i mogłam się nią posiłkować. Na cóż bowiem miałyby się zdać te wszystkie lata, kiedy uczyłam się Reguły, rozmawiałam o niej i się modliłam? Byłam dzieckiem przymierza, więc poradzę sobie. Muszę. To mój obowiązek i święte prawo, wynikające z urodzenia. Przecież poszłabym dobrowolnie w góry z moim Izaakiem. W głębi serca wiedziałam, że Bóg nie prosiłby mnie o tak poważne wyrzeczenia, gdyby nie chciał wynagrodzić mi czymś jeszcze wspanialszym niż ziemskie tu i teraz.

- Obiecuję - odrzekłam.

- Dobrze więc - odparł wuj, wstając z krzesła. - Przekaż Verlanowi, że chcę się z nim widzieć. Postarajcie się przyjść do mnie w niedzielę, przed spotkaniem.

Uściskaliśmy się.

Później,

wyprostowawszy ramiona, przygotowałam się na długi marsz ku wiecznemu Królestwu Bożemu.

Wsiadłam do autobusu z biletem w jedną stronę do Provo.

Minęło już ponad pięćdziesiąt lat od dnia, kiedy pożegnałam się z Glenem, ale wspomnienie o nim wciąż żyje w moim sercu. Czasami wyczuwam nawet jego obecność. Co roku na wiosnę jego postać jawi mi się pośród żółtozłoty, kwitnących żonkili.

KSIĘGA DRUGA.

ŻYCIE W REGULE.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Obietnica może mieć potężną siłę. Wsiadałam do autobusu jadącego w stronę Provo zaledwie kilka godzin po otrzymaniu od Glena listu, w którym odesłał mi wszystkie pamiątki, jakie mu po sobie zostawiłam. W tym jednak czasie złożyłam pewną obietnicę. Już czułam, że żyję innym życiem, chociaż samo podjęcie decyzji nie oznaczało, że będzie łatwo. Pierwszym wyzwaniem miało być wysunięcie się poza linię startu.

W czasie, gdy autobus pokonywał 60 kilometrów do Provo, nie przestawałam rozmyślać. Co dokładnie wuj Rulon miał do powiedzenia Verlanowi? Czy teraz zgodzi się od razu na nasze małżeństwo? Jak ja się właściwie czuję, zmieniawszy nagle wybrańca mego serca? A jak będzie czuł się Verlan? No i była jeszcze Charlotte. Jej emocje też trzeba wziąć pod uwagę. W jaki sposób przekażę Verlanowi, że przewodniczący naszego kościoła pragnie się z nim spotkać? Nie chciałam, by Verlan miał wrażenie, że moja rozmowa z wujem na temat naszego małżeństwa była zwykłą nachalnością.

Przerażeniem napawała mnie już sama podróż. Oto wyjeżdżam z miasta samotnie, nikt na świecie o tym nie wiedział, choć wuj obiecał zadzwonić do ciotki Beth i wyjaśnić, co się ze mną dzieje. Po drugie, nie miałam pojęcia, jak się dostać do Verlana i Charlotte z dworca. Kiedy więc autobus dojechał do celu, prędko wysiadłam i przyglądałam się pozostałym wysiadającym. Wybrałam tęgą, siwą kobietę w wieku około czterdziestu pięciu lat i pokazałam jej kartkę z adresem Charlotte. Popatrzyła, pomyślała.

- Młoda damo - wskazała na wschód - to niezły kawałek w tamtą stronę. Może wsiądziesz w taksówkę? Tam jest postój.

- Nie, dziękuję - odpowiedziałam i wyjęłam kartkę z jej pulchnej dłoni. Stanowiła mój jedyny kontakt z Charlotte i Verlanem, za skarby nie mogłam jej zgubić. Ruszyłam w kierunku wskazanym przez kobietę, mając nadzieję, że wystarczająco dobrze odczytam znaki i tablice informacyjne lub że w odpowiednim momencie spotkam kogoś, kogo będę miała odwagę zapytać o drogę. Z każdą chwilą czułam się coraz bardziej onie-

śmielona i podenerwowana. Ciągły marsz pod górę okazał się niezwykle męczący. Co parę przecznic musiałam odpoczywać na ławce albo na przystanku. Miałam dużo czasu na to, by zacząć się jeszcze bardziej bać.

Kiedy tak szłam prowadzącą na wschód i pnącą się wciąż pod górę aleją, mijałam domy z czerwonych cegieł, pięknie położone i wykończone. Wybrałam sobie jeden i wyobraziłam, że to urocze miejsce należy do mnie, a w środku czeka mężczyzna moich snów.

Jestem jedyną kobietą, która mieszka w tym domku marzeń. To oczywiście skierowało moje myśli z powrotem ku Charlotte, z którą miałam się za chwilę spotkać w najbardziej żenujących okolicznościach, jakie tylko można sobie wyobrazić. Na samą myśl o tym musiałam znowu usiąść. Czy będzie zła, że zagrozę jej prawom, jej bezpieczeństwu? Przysięgłam sobie, że będę uważać na każde słowo i postaram się niczym jej nie zaniepokoić.

Byłyśmy przyrodnimi siostrami, ale nie byłyśmy sobie bliskie.

Ona, z natury poważna i uduchowiona, nigdy nie miała wątpliwości co do naszej ortodoksyjnej wiary. Ja przeciwnie - kochałam się śmiać, byłam trzpiotką i, z czego dobrze zdawała sobie sprawę Charlotte, spierałam się z naszą nauką. Domyślałam się, że nigdy nie zachwycąły jej moje bezsensowne (w jej pojęciu) śmichy-chichy. Mimo tego, co zdradziła mi tamtej nocy u ciotki Rhei, ciężko mi było uwierzyć, że to ja byłam dziewczyną, z którą Charlotte naprawdę chciałaby dzielić męża. Może powinnam była zadzwonić, zanim przyjadę...

Na tym etapie moje zmartwienie było natury czysto teoretycznej. Znalazłam otynkowany na biało dom, na którym widniał ten sam numer, co na mojej kartce z adresem. Nacisnęłam dzwonek i usłyszałam dochodzący z domu płacz dziecka. Po chwili Charlotte otworzyła drzwi, a na jej ślicznej buzi malowało się całkowite zdumienie.

- Irene, co tu robisz? - spytała, zapraszając mnie do środka.

Weszłam do przedpokoju. Charlotte objęła mnie, a potem zarzuciła pytaniami: - Skąd się tu wzięłaś? Przyjechałaś sama?

Odpowiadałam ostrożnie - miałam nadzieję, że uda mi się jakoś ominąć fakt, że przyjechałam zobaczyć się z jej mężem. Im jednak dłużej mówiłam, tym smutniejsze stawały się jej oczy. Wiedziała już, że odkryła, po co przyjechałam. Potem bawiłam się z siedmiomiesięcznym Verlanem Juniorem, trzymałam go na kolanach, uspokajałam, gaworzyłam z nim. Był taki podobny do swego taty. W duchu zastanawiałam się, czy moje dzieci z Verlanem będą równie ładne.

Żadna z nas, przez długi, długi czas, nie poruszyła tematu tabu, czyli osoby Verlana. Rozmawialiśmy tylko o rodzeństwie, matkach i nowych członkach naszej ogromnej rodziny - świeżo zawartych małżeństwach, nowo narodzonych dzieciach. Charlotte wreszcie zaprosiła mnie do stołu, bym zjadła z nią kolację, ponieważ, jak powiedziała, „Verlan nie wróci do domu przed jedenastą - w dzień ma zajęcia na uczelni, a popołu-

dniami pracuje w szpitalu dla psychicznie chorych".

Tak mało wiedziałam o Verlanie, że chłonełam każde słowo na jego temat. Był dla mnie tajemnicą.

Pomogłam Charlotte przy dziecku i w pracach domowych, lecz odkąd wyczerpałyśmy całkowicie tematy rodzinne, godziny mijały bardzo, bardzo powoli. W końcu, równo o jedenastej, przyszedł Verlan.

Wszedł od tyłu, drzwiami kuchennymi, a jego niebieskie oczy aż się zaiskrzyły, kiedy mnie zobaczył. Uścisnął mi rękę, potrzymał ją w swojej nieco dłużej niż trzeba.

- Co za niespodzianka! - powiedział.

Kiedy Charlotte wyszła zajrzeć do dziecka, Verlan zniżył głos i zapytał cicho:

- Co się dzieje? Jakie wieści przynosisz? Złe czy dobre?

Nie odpowiedziałam od razu - z uznaniem pomyślałam, że czysto i porządnie wygląda - blondyn, granatowe spodnie i biała koszula w niebieską kratę. Kiedy zdałam sobie sprawę z tego, że się gapię, spiekłam raka, ale Verlan chyba nie zwrócił na to uwagi.

- To zależy, jak na to spojrzysz - odparłam wreszcie, a potem dodałam nerwowo: - Wuj Rulon chce się z tobą widzieć, w niedzielę.

- Wiesz dlaczego?

- Po prostu kazał ci powiedzieć, że masz przyjechać i zobaczyć się z nim.

W tej samej chwili weszła Charlotte z poduszką i kocem - oboje zamilkliśmy. Spojrzała na męża i zapytała, czy jest już gotowy do kolacji i czy można podawać do stołu.

Mnie wręczyła poduszkę i koc i zaprosiła na noc do salonu.

Położyłam poduszkę na kanapie i szybko rozpostarłam koc. Ściągnęłam sukienkę i zawiesiłam ją równo na drewnianym fotelu na biegunach.

Nie chciałam, żeby Verlan widział mnie nazajutrz w pogniecionym stroju. Zdjęłam świeżo wyczyszczone białe buty i w samej bieliźnie zwinęłam się pod kocem. Nic przecież nie przywiozłam ze sobą.

Następnego dnia była sobota. Verlan nie pracował i nie miał zajęć na uczelni. Oto ja, intruz, przyjechałam i odbieram Charlotte cenny czas, który mogłaby spędzić sam na sam z mężem. Czułam się tak idiotycznie, jak mogłaby się czuć Charlotte, przyjeżdżając z głupia frant do mnie i do Glena. Była to niezręczna sytuacja, do której już niedługo miałam przywyknąć i traktować ją jak najpowszechniejsze w świecie zjawisko. Na razie jednak była wprost nie do zniesienia.

Kiedy przepełniały mnie takie właśnie uczucia, Verlan nagle mrugnął do mnie za plecami Charlotte, próbując nawiązać flirt.

Zmroziło mnie. Jacy głupi byli mężczyźni, że nie zdawali sobie sprawy z kobiecych emocji.

Zastanawiałam się, po co właściwie przyjechałam, jeśli czułam się tam tak skrępowana. Pragnęłam wrócić do domu, zanim Charlotte naprawdę się na mnie obrazi. Wła-

śnie podjęłam decyzję, kiedy Verlan z uśmiechem wręczył mi swego małego synka i zarządził, szczerząc zęby w uśmiechu:

- Dotrzymaj mu towarzystwa przez parę minut.

Potem pociągnął Charlotte w stronę sypialni.

- Musimy zamienić parę słów na osobności.

Nie miałam pojęcia, co zdarzy się za chwilę. Minuta wlokła się za minutą, widziałam, jak powoli przesuwają się wskazówki białego zegara ściennego. Po jakimś czasie położyłam dziecko spać.

Prawie pół godziny później pojawił się Verlan. Charlotte nie było.

- Masz ochotę na kino? - spytał podekscytowany.

Wzruszyłam ramionami.

- Jeśli chcesz, to możemy iść. Charlotte jest już gotowa? Czy mam jej pomóc przy dziecku?

Delikatnie popchnął mnie w stronę drzwi kuchennych.

Oglądałam się za siebie, licząc na to, że Charlotte z dzieckiem wynurzą się z głębi domu i przyłączą do nas. Lecz tak się nie stało. Verlan uspokoił mnie:

- Wszystko w porządku, idziemy sami.

Byłam bardzo zdenerwowana - czułam się tak, jakbym za chwilę miała dostać rozwolnienia. Jak mogę tak po prostu wyjść sobie z Verlanem, bez Charlotte? Nic dziwnego, że została w sypialni. Pewnie leży i płacze.

Kiedy wyszliśmy z domu, Verlan poprosił, żebym pierwsza wsiadła do samochodu i przykucnęła na podłodze, a on dołączy za parę minut.

- Po co wścibscy sąsiedzi mają widzieć, jak odjeżdżam z kobietą, która nie jest moją żoną? Musimy być ostrożni. Ci jaśnie państwo nie rozumieją naszych boskich zasad.

Kiedy już odjechaliśmy spod domu jego szarym chevroletem, wyprostowałam się i wyjaśniłam Verlanowi, że nie przyjechałam tu, by dostarczać mi rozrywki. Przyjechałam, by go lepiej poznać. Okazało się, że nie ma nic przeciwko zmianie planów. Zamiast do kina pojechaliśmy nad jezioro Provo i siedzieliśmy tam w samochodzie, przy otwartych drzwiach, chłodzeni lekkim wiatrem. Gadaliśmy przez trzy godziny - o niczym ważnym, głównie się przechwalaliśmy. On opowiadał o wynalazkach swego brata Wesleya, o siostrze Esterze - utalentowanej, nagradzanej pianistce. Mówił o swoim bracie Benie - szkolnym mistrzu w skoku wzwyż, i o tym, że Wesley ustanowił rekord w skoku o tyczce.

Dowiedziałam się, że Verlan ma dziewięcioro żyjącego rodzeństwa. On sam był najmłodszy, ale po jego narodzinach matka w czasie kolejnego porodu straciła jeszcze bliźnięta, Josepha i Marię. Dopóki nie wspominałam o chorobie psychicznej Bena, Verlan nie poruszył tego tematu. Zapewnił mnie, że była spowodowana tylko i wyłącznie stresem. Później przyznał, że owszem, jedna z jego sióstr, Lucinda, ma niewielkie

zaburzenia psychiczne.

- Jestem przekonany, że Bóg w końcu ją uzdrowi - zapewnił.

Po jakimś czasie dostrzegłam, że mojej osoby nie dotyczył żaden z tematów. Zastanowiło mnie to - może jednak niewłaściwie go oceniam. Czy rzeczywiście jest mną zainteresowany? Jeśli nie, to po co przyjechał tu ze mną nad jezioro? Czy według niego są to zaloty?

Wiedziałam, co to zaloty, i poczynania Verlana za grosz ich nie przypominały. Kiedy Verlan mówił o swych planach na przyszłość, nie wspomniął o mnie nawet słowem. Jeśli Bóg nie zamierzał mi z nawiązką wynagrodzić utraty Glena, to mógłby dać mi choć skromniutkie zapewnienie, że posłuszeństwo nie równało się tylko cierpieniu.

W tamtej chwili pragnęłam po prostu koła ratunkowego, czegoś, czego mogłabym się kurczowo złapać, mając nadzieję, że sprawy przyjmą kiedyś lepszy obrót.

Chwyciłam się więc myśli, że Verlan miał przyjemną osobowość i był uderzająco przystojny. Podobał mi się. Kiedy mówił, patrzyłam na jego twarz i zastanawiałam się, czy rzeczywiście mógłby być dla mnie ziemskim przewodnikiem, a po śmierci sprawić, że stanę się boginią? Złożyłam po prostu swój los w ręce Boga i zdecydowałam, że najwyższa pora, by zacząć Mu ufać.

W końcu Verlan przestał mówić i sięgnął po moją dłoń. Wziął ją w swoją. Z uśmiechem powiedział:

- Musimy jechać do domu. Nie chcę, żeby Charlotte było przykro, że tak długo jesteśmy razem.

Puścił moją rękę i zamknął drzwi samochodu. Ja zrobiłam to samo. Włączył silnik, wrzucił wsteczny, uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- No, naprawdę jesteś ładna. - A potem dodał: - Mam nadzieję, że nie myślisz, że jestem natarczywy, kiedy tak mówię.

Nie odpowiedziałam. Co za różnica, czy jestem ładna, czy nie?

Bóg chciał, abym dzieliła męża z inną. Musiałam stanąć twarzą w twarz z Charlotte, musiałam jakoś poradzić sobie z jej obecnością, nie tylko tego dnia po powrocie do domu, lecz przez całe życie. Byłam pełna obaw i zniechęcona. Wówczas przyszło mi do głowy, że „siostrzane żony” powinny mieszkać setki kilometrów od siebie.

W domu atmosfera była grobowa. Nastrój obrażonej Charlotte udzielił się nam wszystkim. Kiedy Verlan z nią rozmawiał, siedziałam sama w salonie i starałam się nie podsłuchiwać. Z uwagą oglądałam każdy przedmiot znajdujący się w pokoju. Przyjrzałam się ślubnym zdjęciom Verlana i Charlotte i kiedy zobaczyłam uśmiech, którym pan młody obdarowywał swą wybrankę, poczułam, że powinnam po prostu wyjść i wrócić do Trout Creek, gdzie czekała na mnie inna miłość.

Jednakże, zamiast tak zrobić, siedziałam dalej na ich niewygodnej, niebieskiej kanapie i słuchałam, jak burczy mi w brzuchu. Po pewnym czasie zdałam sobie sprawę z tego, że moi gospodarze już się nie pojawią, więc głodna, samotna i trochę bardziej niż

odrobinę zła, położyłam się spać. W nocy kilka razy budziłam się i zastanawiałam, co mi przyszło do głowy, żeby tu przyjechać. I pytałam Boga, dlaczego miłość musi tak boleć?

Rankiem wzięłam prysznic, uczesałam włosy w koński ogon i włożyłam tę samą sukienkę, którą nosiłam przez dwa poprzednie dni.

Charlotte wyglądała na zadowoloną w swojej sukience w zielono--białe paski. Sama szyła sobie wszystkie ubrania i ubierała się bardzo konserwatywnie.

- Ładną masz sukienkę - zagaiłam.

- Siadaj, proszę, w kuchni - odparła, zmieniając temat i omijając mnie wzrokiem - zaraz przyniosę francuskie tosty.

Usiadłam. W głowie szukałam naprędce słów, które mogłabym do niej skierować. Rzadko zdarzały się sytuacje, w których zapomniałam języka w gębie, ale w towarzystwie Charlotte milczałam jak zamurowana.

Na szczęście wkroczył Verlan.

- Dzień dobry. Jaki piękny mamy dzień! Zjedźmy szybko śniadanie, żeby wcześniej wyruszyć.

Charlotte położyła trzy francuskie tosty na półmisku i oznajmiła, że jesteśmy gotowi do modlitwy. Verlan ukląkł przy swym krześle i poprosił żonę, by uczyniła to samo. Ja również złożyłam ręce i ukląkłam.

Pospiesznie zjedliśmy, zapakowaliśmy rzeczy dla dziecka i wyszliśmy do samochodu. Cała ich trójka siedziała z przodu - wyglądali jak idealna rodzina z obrazka. A z tyłu ja - piąte koło u wozu, nikomu niepotrzebny dodatek. Z jednej strony mnie to smuciło, z drugiej żenowało, a z trzeciej po prostu złościło. Ból na twarzy Charlotte świadczył zaś o tym, że cały ten układ miał być trudny nie tylko dla mnie.

Zajechaliśmy pod dom wuja Rulona przed czasem. Wierni zaczęli już schodzić się na niedzielne spotkanie. Przed trzema dużymi domami, w których wuj ulokował swoich siedem żon z potomstwem, stało ze dwadzieścia parę samochodów. Miejsce to było niepisanym centrum naszego ruchu religijnego, obejmującego teren położony wzdłuż gór Wasatch, od Ogden po Payson.

Wuj już nas wyglądał. Przeprosił swych rozmówców i wyszedł do nas. Nie zaprosił nas na spotkanie, lecz poprowadził z powrotem do samochodu. Szeptem ostrzegł, że nie chce, by ktokolwiek zwrócił uwagę na to, co się dzieje. Następnie wyciągnął z kieszeni koszuli kawałek papieru i podał Verlanowi.

- Proszę przyjechać pod ten adres dziś o siódmej. Nie wysiadajcie z samochodu.

Spojrzał na Verlaną, by sprawdzić, czy usłyszał dokładnie jego polecenie.

- Ktoś, kogo upoważniłem, zabierze was w odosobnione miejsce i udzieli wam ślubu. Podkreślam jeszcze raz: nie wolno wam wyjawić, kto to. - Widząc nasze zdziwienie, dodał: - Przecież chcieliście się pobrać, czyż nie?

- Pobrać się... hm... tak - wyjąkał wreszcie Verlan - ale nie planowałem tego na

dzisiaj. Myślałem, że tak jak pan powiedział, mamy czekać dwa lata. Jutro rano mam zajęcia. Nie spodziewałem się, że to może nastąpić tak szybko. - Rzucił mi pełne oskarżenia spojrzenie, a potem znów zwrócił się do wuja: - Wyobrażałem sobie, że chce pan z nami tylko porozmawiać.

Po dłuższym milczeniu dodał, najwyraźniej głośno myśląc:

- Może dałoby radę załatwić to w piątek. W soboty i niedziele mam wolne. Mielibyśmy więcej czasu. Może być?

- W porządku - odparł wuj - zorganizuję wszystko na piątek, na siódmą. Jednak pamiętajcie: nie wysiadajcie z samochodu. I nigdy nie zdradźcie, kto to. - Wuj spojrzał teraz pytająco na Charlotte i na mnie.

Obie pokiwałyśmy głowami. Verlan również przytaknął i podziękował mu.

Wuj wyglądał na zadowolonego. Uścisnął nam dłonie i zasugerował, byśmy raczej nie brali udziału w spotkaniu. Krewni mogą coś podejrzewać, jeśli zobaczą naszą trójkę razem. Słysząc już było głosy śpiewające pierwszy psalm do Pana, ale wuj poczekał, aż bezpiecznie wsiądziemy do samochodu i na pożegnanie dodał:

- Jestem ogromnie dumny z was wszystkich, z waszej gotowości do służby Panu w tych złowrogich czasach. Niech Bóg was błogosławi.

- I pomachał nam na pożegnanie.

Odjechaliśmy w ciszy, każde zatopione w swoich myślach.

Widać było, że Yerlan poczuł ciężar nowej rzeczywistości. Jego marzenie o życiu w wielożeństwie miało się spełnić za niecały tydzień.

Nie był jednak przygotowany do radzenia sobie z dwiema kobietami w tak dziwnych okolicznościach. Na szczęście ciotka Beth mieszkała zaledwie osiem kilometrów od miejsca, gdzie się znajdowaliśmy.

Obiecałam sobie, że nie odezwę się, dopóki nie zostanę sam na sam z Verlanem. Przy pierwszej sposobności przedyskutujemy nasze plany. Myślałam już przedtem o swoim ślubie i miałam w związku z tym mnóstwo pytań - choć wyglądało na to, że na liście gości widnieć będą tylko trzy nazwiska: moje, Verlana i Charlotte.

Tak bardzo chciałam, by Charlotte coś powiedziała. Cokolwiek.

Mimo że zgodziła się poślubić Verlana, pod warunkiem że będzie żył zgodnie ze świętą Regułą i zawrze wiele, wiele małżeństw, wyczuwałam, jak bardzo niepokoi i boli ją fakt, że to rzeczywiście nastąpi. Patrzyłam na jej twarz i zastanawiałam się, czy przypadkiem nie zmieniła zdania. Czułam się idiotycznie - winna całej sytuacji, choć starałam się pamiętać, że robię tylko to, co sugerowali mi wszyscy dobrzy, prawi ludzie, których znałam.

Bolesną ciszę przerwał Verlan. Odwrócił się i uśmiechnął do mnie.

- Jaki chcesz pierścionek? - zapytał.

Oślupiałam. Dlaczego nie mogliśmy poczekać i porozmawiać o tym na osobności? Z upokorzenia zrobiłam się czerwona jak piwonia, nie odpowiedziałam. Lecz on nale-

gał, by wydobyć ze mnie tę informację właśnie w tej chwili, w towarzystwie mojej siostry, a swojej żony.

- Mogę ci sprawić mały diamencik - zaferował.

Ta hojna propozycja skłoniła Charlotte do przzerwania milczenia.

Spojrzała na Verlan tak, jakby posądzała go o chorobę umysłową.

- Mnie nigdy nie proponowałeś diamentów! Obiecałeś, że nie będziesz innym żonem kupował niczego poza złotymi obrączkami - powiedziała lodowatym tonem.

Nie chciałam być świadkiem tej dyskusji. Zacisnęłam zęby i modliłam się, byśmy dojechali do ciotki Beth, zanim Charlotte zwróci się z pretensjami do mnie. Po krótkiej chwili ciszy Verlan spróbował znowu. Widziałam, jak jego niebieskie oczy błysnęły do mnie w lusterku wstecznym.

- Więc jaką byś chciała obrączkę?

Zrozumiałam, że aby nie rozjątrzać atmosfery, muszę po prostu zgadzać się z decyzjami, które oni podjęli wcześniej, zanim ja pojawiłam się na scenie. Zastanawiałam się, jakie jeszcze ustanowili dla mnie zasady. Postępowanie w myśl zasad nie leżało w mojej naturze - o to mogli spytać Boga. Czy odtąd wszystkie moje decyzje będzie musiał akceptować nie tylko mąż, ale i jego pierwsza żona?

- Może być obrączka - odpowiedziałam - ale chciałabym jak najszerszą.

- Taką jak ma Charlotte? - spytał Verlan.

Gdzie się podział jego takt? Dla nas obu wystarczająco ciężka była myśl o dzieleniu się jednym mężem - czy musiałyśmy jeszcze do tego nosić identyczne obrączki? Charlotte najwyraźniej czuła się podobnie.

- Nikt nie będzie miał takiej samej obrączki jak ja. Zrób dla niej dowolną szerokość, ale nie moją.

W pełni się z nią zgadzałam.

- Wolę nieco węższą.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy zajechaliśmy wreszcie na podwórko ciotki Beth. Verlan pomógł wysiąść Charlotte z dzieckiem.

Kiedy skierowała się do domu, skorzystał z okazji i szepnął mi do ucha:

- Przyjedziemy tu w piątek o szóstej. Nikomu nic nie mów i nic ze sobą nie bierz. Nawet szczoteczki do zębów - nic! Nie chcę, żeby ktoś zaczął coś podejrzewać. Powiedz ciotce, że zabieramy cię do kina.

O, tak, będę musiała ukrywać swoje małżeństwo nawet przed ciotką Beth - nawet przed nią - żywym, najbardziej nieskazitelnym wzorcem życia w Regule, jaki znałam. Trzecia żona swego męża, matka dwunastki dzieci, pulchna, żwawa ciotka Beth sprawiała wrażenie, że wielożeństwo to pestka, jeśli naprawdę kochasz Boga. Smuciło mnie jednak, że praktyki poligamiczne poszły w takim kierunku, że jeśli nie było się pierwszą żoną, to trzeba było utrzymywać swoje małżeństwo w tajemnicy nawet przed osobami typu ciotki Beth. To dla ogólnego dobra, oczywiście - by w razie zaintereso-

wania ze strony władz móc uczciwie powiedzieć, że nie posiada się żadnych obciążających informacji. Przyszłość mojej własnej rodziny i innych rodzin poligamicznych mogłaby być zagrożona, jeśli ktoś dowiedziałby się o moim małżeństwie. Niemniej jednak czułam się okropnie, ukrywając to przed nią.

Verlan uprzedził ciotkę, że ich wizyta będzie krótka.

- Przyjechaliśmy tylko odwiedzić Irene - powiedział, po czym szybko zmienił temat, żeby ciotka nie odkryła przypadkiem, iż jest mną zainteresowany. Ona sama zaś zdała nam szczegółową relację ze wszystkich wydarzeń rodzinnych i swoich ostatnich wyjazdów w odwiedziny. Opowiedziała parę najnowszych dowcipów. Zawsze cudownie było ją widzieć.

W końcu zwróciła uwagę na ponury nastrój Charlotte.

Odwróciła się do niej i miło spytała:

- Pewnie bardzo dokucza ci ten czerwcowy upał? Wygląda na to, że nie najlepiej się czujesz.

- Czuję się świetnie - ucięła Charlotte.

Dla Verlana była to wystarczająca odpowiedź, by zacząć zbierać się do wyjścia. Pożegnał się z ciotką Beth, a potem lekko ucisnął moją rękę. Powiedzieli „do widzenia” i wyszli.

Poszłam na górę do mego pokoju i opadłam na łóżko - po godzinach, a nawet dniach wzmożonego napięcia puściły mi nerwy. Do tego miałam jeszcze inne powody do niepokoju. Mam wyjść za mąż za pięć dni, a tymczasem Verlan, jak dotąd, jeszcze mi się nie oświadczył.

Nie powiedział nawet, że mnie kocha. Jego zachowanie tak bardzo różniło się od tego, czego doświadczyłam u boku Glena, że właściwie słowa „Verlan” i „małżeństwo” w moim wyobrażeniu nie pasowały do siebie. Znajdowałam się w tak fatalnym stanie, że kolejne cztery dni spędziłam w łóżku.

Miałam wystarczająco dużo czasu, żeby zadręczać się z kilku powodów. W czasie ślubu, na przykład, żeby pierwszy raz pocałować Verlana, powinnam obrócić głowę w prawo czy w lewo? Poza tym nie ustaliliśmy nic w kwestii ślubu, z wyjątkiem tego nieszczęsnego pierścionka czy obrączki. Co w ogóle wydarzy się w piątek? Jeśli nasza komunikacja była dotąd tak fatalna, to jak będzie wyglądać po ślubie?

Przez całutki tydzień byłam chora z niechęci i niepokoju. Myśli galopowały mi po głowie. Czy nie zapomni o obrączce? Czy będzie na mnie pasowała? A jeśli ciotka Beth nie pozwoli mi iść do kina?

Jak mam spędzić podróż poślubną bez szczoteczki do zębów, koszuli nocnej i czystej bielizny?

We wtorek przebiegłam palcami po kalendarzu - środa, czwartek... piątek. Piątek, 3 lipca 1953 - to dzień mojego ślubu. Nie mogłam uwierzyć w ironię losu - przecież ślub mojej matki z ojcem odbył się tego samego dnia w roku 1931! Czy to zwykły przypa-

dek, czy część boskiego planu?

Matka również była drugą żoną i jej ślub był samotny i tajny - taki sam, na jaki zapowiadał się mój. Jak ja, starała się być posłuszną Bogu i wyszła za męża swej przyrodniej siostry. Co dostała w nagrodę?

Depresję, chorobę, lata samotności. Wieloletstwo zniweczyło jej marzenia. Nigdy nie obdarowano jej miłością, szacunkiem i uwagą, na jaką zasługiwała i jakiej pragnęła. Przypomniałam sobie, że to Reguła zawodzi się na ludziach, nigdy zaś ludzie na Regule. Lecz czy matka by się z tym zgodziła?

Stojąc oto na progu nowego życia - życia żony poligamisty - pragnęłam znaleźć się znowu w Trout Creek i zejść z nią do piwnicy na rozmowę. Tym razem słuchałabym chętniej. Próbowałabym odkryć błąd, który popełniła matka. Poprosiłabym o radę dla świeżo upieczonej drugiej żony. Nie mogłam jednak, oczywiście, pobiec do domu.

Postanowiłam więc po prostu za wszelką cenę cieszyć się swym ślubem i znaleźć szczęście w życiu. Jeśli tylko będę kochać Pana całym sercem, na pewno dam sobie radę.

Kiedy jednak powróciłam myślami do Trout Creek, przypomniałam sobie Glena i cudowne plany, jakie snuliśmy. Na naszym ślubie nie zabrakłoby gości, poczęstunku, radości i wielu, wielu okazji, by wyrazić naszą wzajemną miłość i oddanie.

O, jakże niebezpieczne były to myśli! Nie będę w stanie poślubić Verlana w piątek, jeśli we wtorek, środę i czwartek będę rozmyślać o tym, co być mogło. Wyparłam więc po raz tysięczny Glena ze świadomości i powtarzałam sobie:

- Muszę być silna. Chcę chwały niebieskiej!

Dni mijały powoli.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Kiedy w piątek wieczorem weszłam na wagę, okazało się, że przez ostatnie - pełne nerwów - dni schudłam pięć kilo. Wyprasowałam nową bawełnianą sukienkę w kratkę, wypastowałam białe buty. Cały czas zastanawiałam się, czy ciotka pozwoli mi wyjść do kina. Przez cały tydzień pielęgnowała mnie i przynosiła mi na górę herbatki ziołowe i gorący rosół, które miały wyleczyć moją domniemaną gripę.

Zawsze wyobrażałam sobie, że wezmę ślub w białej sukni - symbolu czystości i dziewictwa. Byłam dziewicą. Otworzyłam mormońskie pisma i przeczytałam: „I znowu, co się tyczy prawa kapłaństwa - jeśli jakiś człowiek poślubia dziewicę i pragnie poślubić inną, a pierwsza wyraża swą zgodę, i jeżeli poślubi drugą, a obie są dziewczynkami i nie przysięgały żadnemu innemu mężowi, wówczas jest usprawiedliwiony; bowiem nie może popełnić cudzołóstwa z tą, co należy do niego i do nikogo innego" (Nauki i Przymierza, 132, 61).

Przeczytałam ten fragment znowu, uważnie. Charlotte była dziewicą i teraz godziła się na to, by jej mąż, Verlan, otrzymał mnie.

Przeczytałam następny werset: „I jeżeli ma dziesięć dziewczyn danych mu przez to prawo, nie może popełnić cudzołóstwa, bo należą do niego i są mu dane: przeto jest usprawiedliwiony" (Nauki i Przymierza, 132, 62). „O Boże - modliłam się - błagam, nie dawaj mu dziesięciu!". Zależało mi na miłości, na kimś, kto mnie będzie potrzebował i rozumiał. W jaki sposób Verlan zdoła mi to zapewnić, jeśli będzie zajęty dziewczynkami innymi? Poza tym, jeśli nie mogę być czyjąś jedyną żoną, to chcę przynajmniej być tą ulubioną. Jeśli Verlan zamierza wypełnić słowa pisma, nie będę nigdy miała na to szansy!

Wystarczającą konkurencję stanowiła sama Charlotte, dziękuję bardzo.

W nowej turkusowo-lawendowej sukience wyglądałam ładnie.

Nie był to wymarzony strój na ślub, ale czy inne okoliczności były wymarzone? Zakończyłam przygotowania ściągnięciem moich loków do tyłu w koński ogon i miałam nadzieję, że rezultat zadowoli Verlana.

Ciotkę Beth znalazłam w salonie na dole.

- Dokąd się wybierasz tak pięknie ubrana? - spytała. Nie patrząc jej w oczy, odpowiedziałam:

- Do kina.

- O której będziesz z powrotem, kochana?

Nie miałam pojęcia, więc powiedziałam tylko:

- Późno. - I szybko dodałam: - Ale nie czekajcie na mnie.

Jeśli ktokolwiek na świecie mógłby mnie zrozumieć, z pewnością byłaby to właśnie ciotka. Lecz wuj Rulon i Verlan nie pozwolili mi się zwierzyć nikomu.

Słyszałam, jak podjechał samochód Verlana. Przesłuchanie na szczęście się zakończyło. Wyszłam na dwór, żeby widok Verlana i Charlotte nie wzbudził u ciotki żadnych podejrzeń. Kiedy szłam do samochodu, pomachałam do nich, by nie wysiadali. Szybko uczyłam się, na czym polega życie żony mormona.

Usiadłam jak zwykle z tyłu, a oni - Verlan, Charlotte i ich dziecko - z przodu. Verlan pokazał mi wiszącą na wieszaku beżową garsonkę Charlotte (która była w rzeczywistości jej strojem ślubnym) i powiedział:

- Pomyślałam, że będzie ci w tym ładnie, więc przy pierwszej okazji zatrzymamy się, żebyś mogła się przebrać. - Chyba nie wystarczała mu moja najlepsza sukienka.

Charlotte milczała. Widocznie pomyśl, żebym sobie pożyczyła jej suknię ślubną, nie pochodził od niej. Mimo wszystko wolałabym, żeby się na ten temat wypowiedziała. Kiedy zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, w milczeniu zaniósł garsonkę do brudnej ubikacji, a ja poszłam za nią. Wszystko było tam tak ohydne, że kiedy się przebierałam, Charlotte musiała trzymać ubrania. Okazało się, że garsonka była na mnie dobra, choć ja wypełniałam ją bardziej niż pierwsza właścicielka. Cieszyłam się więc, że w ostatnich dniach schudłam.

- Chodźmy już, szybciej - powiedziała - bo możemy długo szukać tego miejsca, a lepiej się nie spóźnić.

Zdjęłam z włosów gumkę i rozpuściłam je, by ładnie okalały mi twarz. Charlotte wyciągnęła szminkę. Choć bracia ostrzegali nas przed używaniem takich „narzędzi diabła”, to byłam jej za to wdzięczna.

Obydwie czułyśmy, że tym razem Bóg przymknie na to oko. Bo przecież jak często dziewczyna wychodzi za mąż? Poza tym i tak nikt się nie dowie. Jedyne świadkami na naszym ślubie mieliśmy być my sami - nasza trójka - i jakiś tajemniczy starszy brat, który nam go udzieli.

Po chwili byliśmy pod wskazanym przez wuja adresem. Wuj zabronił nam wysiadać z samochodu.

- Teraz bądźcie cicho - ostrzegł Verlan. - Ucisz dziecko. Mam nadzieję, że to tutaj. Numer się zgadza, ale czułbym się idiotycznie, gdyby ktoś wyszedł i zapytał, dlaczego siedzimy w samochodzie przed jego domem.

Wiedziałam, że musimy uważać, ale znacznie bardziej obchodził mnie fakt, że Verlan nie poprosił, bym usiadła przy nim z przodu. Przecież to ja byłam panną młodą. Czułam się bezmiernie głupio, siedząc sama z tyłu.

Nie wiem, która z nas przeżywała gorzej to małżeństwo - Charlotte czy ja. To wszystko było takie żenujące. Charlotte wyraźnie cierpiała. Odzywała się tylko wtedy, gdy się ją zagadnęło, i cały czas była na granicy płaczu. Doznawałam w związku z tym fatalnych uczuć.

Verlan sięgnął pod siedzenie, wyciągnął małe pudełeczko, odwrócił się i podał mi je z uśmiechem.

- To dla ciebie. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

W środku znajdowała się czerwona róża na szpilce. Dla siebie, do butonierki, przygotował białego goździka.

Nie miałam pojęcia, gdzie ją przypiąć. To był pierwszy kwiat do przypinania, jaki kiedykolwiek dostałam. Verlan wziął od Charlotte małego Verлана Juniora i trzymał go, dopóki nie przypięła mi róży we właściwym miejscu.

Z siódmej zrobiła się siódma piętnaście, potem wpół do ósmej.

Verlan był już bardzo zdenerwowany. Ciągłe patrzył na zegarek.

- Dlaczego nikt nie przychodzi? - zastanawiał się na głos. - Już ma pół godziny spóźnienia. Ciekawe, co się stało.

Właśnie wtedy pojawił się krępy mężczyzna w średnim wieku - wyszedł z domu i wolno zbliżył się do samochodu. Rozpoznałam go - od czasu do czasu widywałam go na niedzielnych spotkaniach.

Otworzył tylne drzwi i usiadł na siedzeniu koło mnie.

- Przepraszam za spóźnienie. Mam nadzieję, że to nie kłopot - powiedział. - Jedźmy do świątyni mormońskiej. Nie wpuszczą nas do środka, oczywiście, ale przynajmniej będziecie mogli się pochwalić potomnym, że braliście ślub na terenie świątyni w Salt Lake City. - Zaśmiał się, trzęsąc tłustymi policzkami.

Zaparkowaliśmy na terenie świątyni i ruszyliśmy na poszukiwanie zakątka na tyle odludnego, by Święci w Dniach Ostatnich nie dojrżeli, co robimy, i nie podnieśli wrzawy. Gdybyśmy należeli do Kościoła Świętych w Dniach Ostatnich, czekałby nas wyszukany, tajemny rytuał w świątyni, lecz jako fundamentaliści, a jeszcze do tego poligamiści, nie mieliśmy wstępu do miejsca przeznaczonego tylko dla wiernych. Tego wieczoru teren świątyni niemal pękał w szwach od turystów.

Rozczarowany brat powiedział:

- Nie możemy w tych warunkach przeprowadzić świętego obrzędu. Mamy to, co stracili mormoni. Mogą nie wpuszczać nas do Domu Bożego, lecz nie mogą nas zmusić, byśmy przestali przestrzegać jego praw. Jedźmy w inne miejsce, za ratusz, do Memory Grove (Parku Pamięci). Tam znajdziemy miłe, odludne miejsce i zrobimy, co mamy do zrobienia.

Po chwili wędrowaliśmy przez Memory Grove, aż doszliśmy do małego mostku. W dole płynął strumień ukryty między drzewami.

Zeszliśmy ze stromego brzegu i znaleźliśmy miejsce, jak nam się zdawało, w pełni zasłonięte przed wzrokiem przypadkowych spacerowiczów. Wówczas sługa boży zaplótł ręce za plecami i głośno odchrząknął.

- W tej uroczystej chwili - rozpoczął - jako brat-kapłan, mam nie tylko prawo, ale obowiązek mocą Pana dokonać tego świętego obrzędu.

Wiem, że nie macie dużo czasu, więc nie będę przedłużał. Chcę jednak, byście wiedzieli, że w tej chwili Bóg patrzy wprost na was. Jest zadowolony z tego, co widzi.

Ostrożnie wyjął śpiące dziecko z ramion Charlotte. Kiwnął do Yerlana.

- Stań tutaj, po prawej stronie żony. A teraz panna młoda po lewej stronie żony. Dobrze... hm... muszę was przeprosić, właśnie zdałem sobie sprawę, że nie znam waszych imion.

Przedstawiliśmy się w kolejności, w jakiej nas ustawił.

- Myślę, że zapamiętałem - odrzekł bez skrępowania. - Rozpocznijmy więc. Czy ty, Charlotte Kunz LeBaron, bierzesz Irene Goldę Kunz za prawą rękę i oddajesz ją swemu mężowi, jako prawnie poślubioną żonę?

Ze ściśniętym gardłem Charlotte odpowiedziała:

- Tak. - A potem umieściła moją prawą rękę w dłoni Verlana i przesunęła się na bok, bym mogła zająć wreszcie należne mi miejsce u boku przyszłego męża.

- Czy ty, Verlanie MacDonaldzie LeBaronie, bierzesz Irene Goldę Kunz za prawą rękę... - tak, to za chwilę się stanie - ...przed Bogiem, aniołami i tymi oto świadkami...

Już nie mogłam zmienić zdania. Od tej chwili na zawsze będę jedną z żon. Może mnie aresztują jak mojego ojca, może nawet pójdę do więzienia. Pomyślałam o Glenie. Tak bardzo chciałam mu teraz wyznać, jak mocno go wciąż kocham. Lecz pierwszeństwo miał Bóg.

Przypomniałam sobie, że muszę być silna, jeśli pragnę chwały niebieskiej.

- Ogłaszam was mężem i żoną, na ziemi i w wieczności. Możesz pocałować pannę młodą - zakończył brat. Przedtem Verlan i ja wypowiedzieliśmy tradycyjne „tak”. Teraz po raz pierwszy mnie pocałował - bardzo, bardzo delikatnie. Potem odwrócił się, by pocałować Charlotte, dziękując jej za pełnienie należnej roli w tej świętej Regule. Pomyślałam sobie, że usta Verlana troszkę dłużej zatrzymały się na wargach Charlotte niż na moich.

Ku zdziwieniu brata, Verlan wyciągnął z kieszeni złotą obrączkę i trzęsącą się ze zdenerwowania ręką włożył ją na mój palec. Z oczywistych względów, dla bezpieczeństwa, drugie i kolejne żony nie nosiły zwykle obrączek. Moja pasowała doskonale.

Następnie Verlan podał mi obrączkę, którą kupił dla mu i włożyła na palec dwa lata wcześniej Charlotte. Zawahałam się, wiedząc, jak bardzo ją to zaboli. Brat kazał mi ją nałożyć na palec męża, więc uczyniłam to.

I nagle było już po wszystkim. Byłam żoną. Rozejrzałam się dokoła i popatrzyłam na otoczenie z nowej perspektywy.

Zrozumiałam wtedy - lepiej niż ktokolwiek - jaki tłum mogą stanowić zaledwie trzy osoby.

W drodze powrotnej siedziałam z przodu obok Verlana.

Odwieźliśmy brata do domu, Verlan podziękował mu i zapewnił, że dotrzemy tajemnicy i nigdy nie wydamy nikomu jego nazwiska.

Zajmując miejsce Charlotte w samochodzie, byłam roztrzęsiona.

On zaś, nie krępując się, na jej oczach poklepał mnie po kolanie.

- Jeszcze jedna sprawa i w drogę - powiedział.

Wrócił w okolice świątyni, zaparkował i pomógł Charlotte i małemu Verlanowi wysiąść z samochodu. Choć nic do mnie nie powiedziała, widziałam jej łzy, kiedy odwracała się, by odejść.

- Za chwilę wracam - rzucił nerwowo Verlan i poszedł za nią.

Kiedy ją dogonił, płakała już otwarcie, więc objął ją i próbował pocieszyć. Widziałam, jak szloch wstrząsał całym jej ciałem. Wolno skierowali się na przystanek autobusów dalekobieżnych, na drugą stronę ulicy. Oto była „jeszcze jedna sprawa”. Wysłał ją do domu w Provo, gdzie samotnie spędzi weekend z dzieckiem na kolanach, podczas gdy on będzie z nową żoną odbywał swój „miodowy miesiąc”.

Serce pękało mi ze współczucia.

- Verlan! - krzyknęłam za nim. Odwrócił się i pomachał do mnie, dając mi znak, że wszystko w porządku. Krzyknęłam głośniej: - Verlan, proszę cię, chodź tu!

Nie chcąc zwracać na nas uwagi przechodniów, zawrócił i spytał:

- Co się dzieje?

- Proszę cię, zawieź mnie po prostu do domu... proszę, nie rób jej tego... - poprosiłam.

- Nie martw się o nią. Sprawię, że znów będzie zadowolona, naprawdę - zapewnił mnie i długimi susami pobiegł z powrotem.

Dogonił ją w momencie, gdy światło zmieniło się na zielone i mogli przejść przez ulicę.

Minęło piętnaście minut. Kusiło mnie, żeby po prostu wmieszać się w tłum przed świątynią i zniknąć. Byłam taka dezorientowana.

Przed ślubem Charlotte kazała Verlanowi obiecać, że ma zamiar przestrzegać Reguły. Dlaczego jest więc teraz zdruzgotana? Przecież jej go nie zabierałam. Miałyśmy się po prostu nim dzielić, jak dobre żony fundamentalisty. Nauczono mnie, że „dobry mąż będzie cię kochał jeszcze bardziej, jeśli dasz mu następną żonę”. Charlotte właśnie to uczyniła. Poza tym przez prawie dwa lata miała go tylko dla siebie. Na pewno bardziej kochał ją. Mnie nawet prawie nie znał.

Załatwiwszy swoją „sprawę”, wracał już do mnie, przeskakując między jadącymi

zatłoczoną ulicą samochodami. Szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu, potknął się o krawężnik i mrugnął do mnie, kiedy już zbliżył się do samochodu. W końcu usiadł koło mnie na siedzeniu i po raz drugi w życiu mnie pocałował. Dopiero teraz pocałunek nie był nerwowy i szybki.

Zapauzował silnik, poklepał mnie po nodze i zarządził:

- Jedziemy na północ, do Ogden, gdzie nikt nas nie zna. Musimy uważać, wiesz. Nikt nie może się dowiedzieć, że jesteś moją żoną!

Wy tłumaczył mi, że jest w Stanach na wizie studenckiej:

- Jeśli jakiś natrętny urzędnik się dowie, że mam dwie żony, aresztują mnie i stracę prawo pobytu w kraju - westchnął. - Ale spróbujmy być szczęśliwi, dobrze?

Bez Charlotte w pobliżu zaczęłam zwracać uwagę na inne oblicze Verlan. Teraz mógł traktować mnie jak żonę, nie zważając bezustannie na jej zranione uczucia.

- Jestem najszczęśliwszy na świecie! Dzisiaj wreszcie rozpocząłem życie w Regule. Naprawdę! Jestem na drodze do zbawienia! - Trzymał mnie za rękę i od czasu do czasu podkradał całusy.

- A kluczem do tego jesteś ty, Irene! Jesteś kluczem do wielożenstwa. Niezależnie od tego, ile będę miał żon, ty pozostaniesz osobą, która wprowadziła mnie w Regulę! - wykrzykiwał rozradowany.

To tyle na temat bycia kochaną, uwielbianą, a nawet tylko lubianą. Byłam cholernym kluczem. Sądził zapewne, że jestem zachwycona moją ideologiczną przydatnością. Tymczasem, żeby mnie zrozumieć, musiałby pomyśleć o czymś więcej niż o własnej chwale w niebie.

Po drodze do Ogden Verlan zatrzymał się przy straganie z owocami w Bountiful.

- Zostań w samochodzie - poinstruował mnie. - Chcesz coś zimnego do picia?

Pokręciłam głową.

Wrócił z dużą papierową torbą, którą położył na tylnym siedzeniu. Pojechaliśmy dalej. Próbował podzielić się ze mną napojem „7 UP”, nalegając, żebym pociągnęła łyk. Chciało mi się pić, ale wiedziałam, że nie zdołam nic przełknąć. Bardzo się denerwowałam tym, co miało niedługo nastąpić. W przerażeniu patrzyłam, jak Verlan z uwagą przygląda się każdemu mijanemu motelowi.

- Irene, w którym chciałabyś się zatrzymać?

Nie byłam w stanie poradzić sobie nawet z bardzo ogólną wizją naszego wspólnego wieczoru. Za każdym razem, kiedy zwalniał, by się zatrzymać, mówiłam:

- Może w następnym, co?

Zanim się zorientowaliśmy, wyjechaliśmy z miasta i musieliśmy zawracać. Verlan zaparkował przy najbliższym napotkanym motelu.

Nazywał się „U Dicka”.

- Poczekaj chwilę, sprawdzę, czy mają pokój. Odepnij tę różę i nie zachowuj się, jakbyś była moją żoną (tak jak bym wiedziała, jak się zachowywać, będąc jego żoną).

Jeśli mnie złapią z niepełnoletnią, będę miał kłopoty.

Miałam szesnaście lat, za chwilę czekał mnie pierwszy w życiu seks, nie miałam przy sobie żadnych rzeczy osobistych, a Verlan myślał tylko o sobie. W co, do licha, się wpakowałam?

- Ale, proszę, nie rób takiej smutnej miny. Musimy po prostu uważać, to wszystko.

Wrócił z kluczem i podjechaliśmy pod pokój numer dziewięć.

Posłuszna jego zaleceniom, czekałam w samochodzie, podczas gdy on sprawdzał pokój. Usatysfakcjonowany, wrócił do samochodu, wyjął z bagażnika swoją walizkę, cały czas rozglądając się, czy nikt nas nie obserwuje.

- Chodź za mną - powiedział cicho - ale poczekaj, aż zgaszę światło.

Zanurkował do pokoju, nacisnął włącznik i zamachał do mnie z mrocznego wnętrza.

Kiedy znalazłam się w środku, szybko zamknął drzwi na klucz.

Upewnił się, czy w zasłonach nie ma dziur, i dopiero wtedy zapalił światło, położył walizkę na łóżku i z szerokim uśmiechem otworzył ją.

- Charlotte uszyła to dla ciebie - powiedział, wyciągając papierową torbę, którą rzucił w moją stronę. - Jeszcze tego nie widziałem.

Pokażesz mi dopiero, jak się w to ubierzesz. Mogę pierwszy iść do łazienki?

Poszedł, a ja zajrzałam do torby. W środku była koszula nocna.

Jestem przekonana, że spiekłam raka, choć w pokoju nie było nikogo.

Czułam się jak idiotka, wiedząc, że Charlotte zaplanowała, w co mam się ubrać w noc poślubną. Ponieważ nie miałam żadnych własnych rzeczy, poczułam wdzięczność, że w ogóle było w co się przebrać.

Niedobrze mi się jednak robiło na myśl, że będzie to dzieło Charlotte.

Jej obecność jak cień przenikała pokój. Wydawało mi się, że była tam wszechobecna.

Usiadłam na brzegu łóżka, słuchając, jak Verlan bierze prysznic i myje zęby. Kiedy wyszedł z łazienki w pasiastej piżamie, poczerwieniałam i odwróciłam wzrok.

- Teraz ty idź - powiedział wesoło.

Wbiegłam do środka i zarygłowałam drzwi. Bałam się jednak wejść pod prysznic. Sama myśl o tym, że miałam się rozebrać, podczas gdy za ścianą czekał Verlan, sprawiała, że oblewała mnie gorąca fala wstydu.

Otworzyłam torbę i wyciągnęłam długą koszulę nocną. Miała rękawy do łokcia i miły, kolorowy wzorek z ptaków i skrzypiec. Miałam nadzieję, że Verlanowi nie będzie przypominała Charlotte.

Sprawdziłam jeszcze raz, czy drzwi są dobrze zamknięte, i wzięłam najszybszy w życiu prysznic.

Później, ubrana już w nową koszulę, spocona ze zdenerwowania, długo się wahałam - muszę w końcu zdobyć się na odwagę i wyjść z łazienki do mego nowo poślubionego męża. Nagle zachciało mi się siusiu, ale wstydziłam się, że Verlan usłyszy. Stałam

i zastanawiałam się, co robić, aż w końcu odkręciłam kran, żeby Verlan myślał, że się wciąż szykuję. Ale nagle pomyślałam, że odgłos wody leżącej z kranu będzie podobny do odgłosu korzystania z ubikacji, więc szybko zakręciłam kran. O Boże, w co ja się wpakowałam?

Zza ściany dobiegało pogwizdywanie Verlana. Zamarłam.

- Zamierzasz wreszcie wyjść? - zapytał.

- Zgaś światło, to wyjdę - odpowiedziałam.

Zrobił, jak chciałam, ale proszącym tonem dodał:

- Co, nie pozwolisz mi nawet zerknąć na tę koszulę?

Powoli otworzyłam drzwi do łazienki i pozwoliłam mu przez sekundę zerknąć na mnie w smudze światła, zanim nacisnęłam włącznik i pokój pograżył się w ciemności.

Jakimś cudem, przez łomot mojego bijącego podwójnie głośno i mocno serca, usłyszałam szept Verlana:

- Chodź tu, Irene. Czekam na ciebie.

Byłam sparaliżowana.

- No co, idziesz? - spytał w ciemności.

Posuwałam się naprzód, wodząc prawą ręką po ścianie, podczas gdy lewą próbowałam odnaleźć łóżko. Nagle potknęłam się o jego nogi.

- Oj, przepraszam - powiedział, pociągając mnie za rękę, bym uklękła obok niego na podłodze. - Najpierw się pomódlmy.

„Boże, przebacz mi” - przeszło mi przez głowę. Muszę przyznać, że modlitwa była ostatnią rzeczą, o której wtedy myślałam.

Verlan chwycił mnie mocno za rękę i głośno odmówił modlitwę: „Dobry Boże, dziękuję ci, że dałeś mi taką piękną żonę.

Dziękuję ci, że dałeś mi cudowną Regułę. Naprawdę Panie, jesteśmy błogosławieni... pobłogosław Charlotte, pociesz ją, pomóż nam na zawsze zachować jedność. Amen”.

Wdrapałam się na moją stronę łóżka, a Verlan przeszedł nade mną na swoją. Gorączkowo próbowałam sobie przypomnieć to, czego ciotka Rhea uczyła mnie o prawie czystości. Z wrażenia ledwo mogłam oddychać. Czy możemy to robić, nie popełniając cudzołóstwa? Czy w ogóle dam radę to zrobić? Było tak wiele rzeczy, których się obawiałam.

Sprawdziłam, czy nowa nocna koszula jest obciągnięta równo do kostek. Verlan przyciągnął mnie blisko do siebie - starał się jednak nie dotknąć moich piersi. Wyglądało na to, że jest równie zażenowany, jak ja. Prawie godzinę leżeliśmy w tej samej pozycji i przez cały czas Verlan mówił o naszej przyszłości.

- Przeprowadzam się z powrotem na ranczo rodzinne w Meksyku, jak tylko skończę szkołę - opowiadał. - Tam można swobodnie żyć w poligamii. Nie chcę być zmuszony do ukrywania faktu, że jesteś moją żoną.

Dla mnie brzmiało to wspaniale. Nie myślałam wcale o tym, przed czym przestrzegała mnie matka - o fanatyzmie, problemach psychicznych, izolacji na obcej ziemi. Zamiast tego wyobraziłam sobie rozległy dom farmerski, białe sztachety ogrodzenia, dużą czerwoną stodołę, generator i pola soczysto zielonej lucerny, jak na ranczu Youngów. Verlan wyjaśnił mi, że pierwsi mormońscy poligamiści założyli kolonie w Meksyku, by uchronić siebie i swoje żony przed aresztowaniem ze strony władz Stanów Zjednoczonych. W Meksyku wielożeństwo również było niedozwolone, lecz przepisów nie przestrzegano tak rygorystycznie. Może dlatego, że obyczajowość i kultura przyzwalały tam mężczyznom na posiadanie kochanek. W każdym razie Verlan obiecał mi, że gdy tylko bezpiecznie przekroczymy granicę, otwarcie zacznę się do mnie przyznawać.

Otrzymam wówczas te same prawa i przywileje, co Charlotte.

Powiedział mi potem, jak bardzo się cieszy, że może mieć mnie za żonę, i że jest na drodze do spełnienia swych marzeń.

- Wyobrażasz sobie? - pytał w zachwycie. - Mam już dwie z moich siedmiu wyśnionych żon!

Leżąc w jego ramionach, słuchając, jak odkrywał przede mną swe najbardziej osobiste nadzieje i marzenia, skoncentrowałam się na tym ostatnim. Siedem żon? Nigdy dotąd, myśląc o mężczyźnie żonatym siedmiokrotnie, nie widziałam problemu. A teraz, będąc żoną drugą w kolejności, byłam wprost osłupiała.

- Pomyśl tylko - powiedział - jeśli zbiorę siedem żon, a każda z nich urodzi przynajmniej siedmioro dzieci, będę ojcem pięćdziesiątki!

Irene, pomóż mi utworzyć własne królestwo! Tak się cieszę, że jesteś ze mną!

Z każdą minutą tonęłam coraz bardziej. Nie była to noc poślubna, jakiej się spodziewałam, nawet po Verlanie.

Właśnie podjęłam najpoważniejszą w życiu decyzję. Byłam młodą żoną, która poświęciła prawdziwą miłość swego życia na rzecz służby Bogu i Regule. Nie zmieniało to jednak faktu, że wciąż oczekiwałam wsparcia, przekonania, że czas przyniesie pocieszenie. Co dostałam w zamian?

Długi, szeroko zakrojony wykład na temat następnych planowanych żon.

Najwidoczniej ucieszony wizją, jaką sobie stworzył, Verlan westchnął, szybko mnie pocałował, odwrócił się na bok i życzył mi dobrej nocy.

Nie wiedziałam - płakać czy uciekać gdzieś, gdzie będę mogła krzyknąć? Ogarniał mnie żal i gorzkie, gorzkie wyrzuty. I po to poświęciłam namiętność, pasję? Glen nie potrafił utrzymać rąk z dala ode mnie. Jego pocałunki były zawsze długie i gorące, a pocałunki Verlana... mogłam porównać do kurzego dziobnięcia. Na próżno próbowałam powstrzymać się od ciągłego porównywania ich obu.

Pozostałą część nocy poślubnej leżałam, zastanawiając się, czy podjęłam właściwą decyzję. A może, pomimo swej nieskończonej mądrości, to Bóg się pomylił?

W końcu, kiedy poranne słońce zaczęło prześwitywać przez brudne zasłony, skoń-

czyła się moja całonocna, bezsenna udreka.

Podziękowałam Bogu za poranek. Leżący obok Verlan poruszył się, przeciągnął i wygramolił z łóżka. Szybko zacisnęłam powieki i udawałam, że śpię, dopóki nie zamknął się w łazience. Wtedy po cichu wstałam, włożyłam stanik i sukienkę w kratkę. Spojrzałam w lustro na swoje wymęczone oblicze i cienie pod oczami. Na komodzie zauważyłam mały grzebyk Verlana, więc bez pozwolenia uczesałam się nim - doszłam do wniosku, że skoro ja poświęciłam dla niego wszystko, to z kolei wszystko, co do niego należy, powinno być i moją własnością.

Verlan otworzył drzwi od łazienki, zobaczył mnie ubraną i wychrypiał:

- Dzień dobry, Irene. - Po czym podszedł, pocałował mnie i powiedział: - Jesteś dzisiaj jakaś cicha. Masz ochotę coś zjeść?

Z papierowej torby, którą kupił wczoraj na straganie z owocami, wyciągnął karton ciepłego mleka i paczkę słodkich bułeczek. O, to dopiero było ślubne śniadanie!

- Dziękuję, nie jestem jeszcze głodna - odrzekłam.

Normalni ludzie mieli uroczyste śluby, a potem huczne, kolorowe wesela w rodzinnym gronie. Wiedziałam, że musieliśmy być dyskretni i że Verlan nie opływał w gotówkę, ale mógł mnie chociaż zabrać do jakiejś miłej restauracji. Zastanawiałam się, czy się mnie wstydził i tylko dlatego nalegał, byśmy byli ostrożni. A może rzeczywiście musieliśmy się tak kryć?

Verlan zjadł, wyciągnął z walizki jakieś książki i usiadł na jedynym krześle, jakie było w pokoju.

- Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza - rzucił z uśmiechem - mam dużo zadane. W poniedziałek czeka mnie potężny test. Jestem na drugim roku, wiesz.

Nie spojrzał już więcej w moją stronę, a za to zaczął przewracać kartki i gryzmolić jakieś notatki. Siedziałam beczynnym na łóżku, dopóki nie poprosił, abym poczytała mu psychologię. Potem on mi czytał. Pocieszałam się tym, że przynajmniej się czymś dzielimy. W końcu zatrzasnął podręcznik do psychologii i poprosił, żebym go przepytala do testu.

Zastanawiałam się, dlaczego nie zrobi chwili przerwy, by zwrócić na mnie odrobinę uwagi - pocałować mnie albo chociaż przytulić. Musiał zauważyć moje rozczarowanie, bo spojrzał na mnie spod oka i oznajmił:

- No, dość nauki. Muszę jeszcze narysować projekt na zajęcia plastyczne, ale zrobię to później.

Nagle gwałtownym ruchem wstał, pchnął mnie do tyłu na łóżko i zaczął całować w twarz i w szyję, po czym przerwał i powiedział:

- Najpierw muszę jednak to zrobić!

Myślałam, że doszliśmy w końcu do „tego”, ale Verlan wypuścił mnie ze swych objęć równie gwałtownie, jak rozpoczął miłosną grę, usiadł i zaczął wertować kolejną książkę w poszukiwaniu pomysłów na projekt plastyczny.

Zła i zdezorientowana, rzuciłam sucho:

- Dlaczego po prostu nie przerysujesz wzoru z tapety?

- Świetny pomysł! Czemu sam na to nie wpadłem? Irene, dzięki!

- wykrzyknął, a ja, znudzona, patrzyłam, jak kopiował obraz z tapety i kolorował go różnymi odcieniami zieleni i błękitu. Kiedy skończył, odłożył kredki i zarządził: - Musimy pędzić, jeśli chcemy zdążyć do kina i na obiad.

Po śniadaniu, jakie mi zaproponował, wolałam nie zgadywać, co będzie na obiad. Ale wtedy już doskwierał mi dotkliwie głód, nie tylko uczuć i uwagi, ale i fizyczny. Próbowałam jakoś zrzucić z siebie poranne przygnębienie. Oto już połowa mej podróży poślubnej, a wciąż jestem dziewicą!

W czasie filmu Verlan bawił się moimi palcami i mocno mnie przytulał. W środku cała byłam roztrzęsiona, raz myślałam o konsumowaniu mego małżeństwa z Verlanem, raz - z Glenem. Czy kiedykolwiek uda mi się o nim zapomnieć? Nie wiem, o czym był tamten film. Wtedy też nie miałam pojęcia. Całą uwagę poświęciłam niepokojom w głowie i w żołądku.

Po filmie Yerlan znalazł małą, rodzinną knajpkę i z dumą zamówił „dwa duże steaki”. Oto rozpoczęła się uczta weselna. Naszą weselną orkiestrą była szafa grająca, a jedzenie wyglądało fantastycznie ze wszystkimi ozdobami. Nie mogłam jednak przełknąć nawet kęsa.

Verlan parę razy próbował namówić mnie, bym chociaż spróbowała steku, ale byłam w takim stanie umysłu, jakiego nigdy dotąd nie doznałam. Po prostu nie mogłam.

Przeprosił więc, sięgnął przez stół i nadział mój stek na swój widelec.

- Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza - powiedział. - Nie chcę, żeby się zmarnował.

- Proszę bardzo, częstuj się.

Patrzyłam, jak pochłania mój stek, i myślałam, iż wyraźnie widać, że przede mną był już żonaty.

Z głośników popłynęła naraz znana, zapadająca w pamięć piosenka Eddiego Fishera „I'm Walking Behind You”. Była piękna, ścisnęła za serce. Kiedy słuchałam tych znajomych słów, wyobrażałam sobie, że każde słowo jest kierowane właśnie do mnie, a śpiewa je Glen. Ostatnie zdanie, jakie do mnie napisał w liście, zawierało tę samą, smutną wiadomość: „Jeśli sprawy źle się potoczą, kochanie, a los nie będzie przychylny, spójrz przez ramię, ja idę za Tobą...”.

Walcząc ze łzami, przeprosiłam i wyszłam do toalety.

Powiedziałam sobie, że los nie może być zawsze nieprzychylny. Jeśli Bóg mnie w to wplątał, to musi jakoś nade mną czuwać.

Kiedy wróciliśmy do motelu, Verlan zgasił górne światło i zostawił tylko nocną lampkę. Wsunęliśmy się do łóżka, przytulił się do mnie i zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie, o szkole, o wierze.

Słuchałam go niezwykle długo - był pograżony w swojej historii, aż wreszcie przyszła chwila, kiedy nie potrafiłam już ukryć swojego rozczarowania. Chociaż bałam się usłyszeć odpowiedź, zadałam nękające mnie przez ostatnią dobę pytanie:

- Nie kochasz mnie tak naprawdę, czyż nie?

Zrozumiał, o co mi chodziło. Zdziwiony przekręcił się na bok i objął mnie silnymi ramionami.

- Oczywiście, że kocham. Po prostu nie chcę niczego sztucznie przyspieszać. Ale cieszę się, że mnie pragniesz.

Zanim zorientowałam się, co się dzieje, ściągnął mnie na podłogę i uklęknęliśmy.

- Najpierw się pomódlmy - powiedział.

Uklękłam obok niego roztrzęsiona. Trzymając mnie za rękę, Verlan rozpoczął:

- Nasz Niebieski Ojcie, pomóż nam stawiać czoła pokusom.

Niech duch twój będzie z nami. - Przerwał na chwilę. - Pobłogosław nam teraz na to, co będziemy za chwilę robić, i przebacz, jeśli w czymkolwiek cię obrazimy. Amen.

Przez całą modlitwę trzymałam głowę spuszczoną, ale kiedy usłyszałam zakończenie, przeszedł mnie dreszcz. Oto Verlan prosił Boga, aniołów bożych i wszystkie duchy niebieskie, by nam towarzyszyli. Mając taką widownię, ciężko było mi znieść sam dotyk Verlana, nie mówiąc o „pierwszym razie”, który miałam za chwilę przeżyć. Gwałtownie zgasiałam światło.

Skończyło się tak szybko, że gdyby nie ból, nie wiedziałabym, że brałam w tym udział. Czy właśnie o to wszyscy robili tyle szumu, czy na to czekałam szesnaście lat? Jeśli to prawda, to nie wiem, czy zdołam to znieść raz na rok, by począć swoje obowiązkowe, doroczne dziecko.

Verlan widocznie wyczuwał moje rozczarowanie, bo spytał, czy wiem coś o prawie czystości.

- Tak, wiem - odpowiedziałam i pomyślałam, jakie to doskonałe prawo.

- Mój ojciec go przestrzegał i ciekaw jestem, czy ty też zamierzasz.

- Oczywiście - zapewniłam.

Verlan był wyraźnie zadowolony. Pokiwał głową, przetoczył się na swoją stronę łóżka i po paru minutach już pochrapywał. A ja leżałam dalej całkowicie zdezorientowana.

Następnego dnia poszliśmy na spacer. W końcu dotarło do mnie, co według Verlana jest romantyczne. Południowe słońce przeświecało przez gałęzie potężnych drzew, pod którymi spacerowaliśmy, trzymając się za ręce. Szukaliśmy w Memory Grove miejsca naszych zaślubin sprzed dwóch dni. Kiedy tam dotarliśmy i stanęliśmy w tym samym miejscu, pod osłoną tych samych drzew, Verlan objął mnie i mocno pocałował. Powiedział:

- Dziękuję, że jesteś taka wspaniała. - A potem, po raz pierwszy w życiu, wyznał: - Irene, kocham cię.

Nasz wielce interesujący, wspólnie spędzony czas dobiegał końca. Wracaliśmy do Murray. Verlan wkrótce miał udać się do domu, do Provo, do Charlotte. Zanim wyszedł mnie u ciotki Beth, wręczył mi czek na jedenaście dolarów, nalegając, bym go jej oddała i wyznała, że wzięliśmy ślub. Miałam ją również poprosić, by trzymała to w tajemnicy.

- Powiedz jej, że to są pieniądze na twoje utrzymanie i że resztę przyślę jej później. Jeśli wolałaby, żebyś teraz, po ślubie, już u niej nie mieszkała, wymyślę coś.

Zerknął potem w lusterko, czy nikt nas nie widzi, nachylił się i pobieżnie pocałował mnie na pożegnanie. Pozostałą część drogi przejechaliśmy w milczeniu.

Przed domem ciotki Verlan nie wyłączył silnika - zatrzymał się tylko na tyle czasu, ile potrzebowałam, by chwycić papierową torbę z moją (teraz poplamioną) koszulą nocną i wyskoczyć z samochodu.

Pomachał mi przyjaźnie i odjechał.

Skończyła się moja niezapomniana podróż poślubna.

Obawiałam się spotkania z ciotką po tym, jak dwa dni wcześniej skłamałam, że idę do kina. Zawiodłam jej zaufanie, a teraz jej dom przestanie być dla mnie schronieniem i będę zmuszona zamieszkać z Charlotte.

W domu było zupełnie cicho. Weszłam na palcach po schodach i skierowałam się do pokoju, który dzieliłam z szesnastoletnią Evelyn.

Doszłam do wniosku, że ciotka z całą dwunastką swych dzieci musiała pójść na spotkanie niedzielne. Natychmiast zdjęłam obrączkę i schowałam do pudełka z papeterią, które wepchnęłam na dno szuflady z bielizną. Potem ukryłam koszulę nocną w kącie zagraconej szafy.

Bez ostrzeżenia drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Evelyn.

Spojrzała na mnie w przelocie i spytała:

- No i co, dał ci obrączkę?

Z zewnątrz tak właśnie wyglądał ślub poligamisty - osoba, którą znałaś i kochałaś, nagle zniknęła, by powrócić po paru dniach, starając się ukryć dowody - a ty mogłaś domyślać się, czego tylko chciałaś, nie wiedząc nic na pewno. Byłam w szoku, że Evelyn nas nakryła.

- Jeśli pytasz, czy za niego wyszłam, to... hm... no... właśnie...

tak -wyznałam, świadoma, że nie powinnam tego robić. - Ale błagam, nie mów nikomu. Co myśli o moim zniknięciu twoja mama?

- Przede wszystkim martwi się, że nie ufałaś jej na tyle, by się zwierzyć.

- Wiedziałam, że kto jak kto, ale ona zrozumie, przecież sama jest trzecią żoną. Teraz mogę już jej powiedzieć, ale nikomu innemu.

To ma być tajemnica ze względu na dobro Verlana.

Kiedy tylko ciotka Beth wróciła ze spotkania, wręczyłam jej czek Verlana i powiedziałam o naszym ślubie. Wykazała niezwykle zrozumienie, ale bardzo niepokoił ją

fakt, że ukryłam to doniosłe wydarzenie przed własną matką.



Verlan powiedział, żebym odwiedziła go w kolejny piątek.

Zrobiłam, jak kazał - wsiadłam do autobusu do Provo i przez całą drogę zastanawiałam się, jak będzie się czuła Charlotte, wiedząc, że spałam z jej mężem. Byłam przekonana, że nie będzie sobie życzyć, żebym kręciła się po jej domu i przeszkadzała w codziennym życiu. I chociaż chciałam zobaczyć się znowu z Verlanem, to myślałam, że lepszym rozwiązaniem byłby chociażby hotel lub dom ciotki Beth. Jak mogę go poznać w obecności innej żony?

Od tego wszystkiego robiło mi się niedobrze. Verlan mówił, żebym się odprężyła i zostawiła wszystko jemu. Wiedział jak to załatwić i zapewniał mnie, że dobrze rozumie kobiety. Wątpiłam w to.

Kiedy przyjechałam, było już ciemno i Verlan chciał natychmiast ułożyć nas wszystkich do snu. Zdjął więc z ich małżeńskiego łóżka wielki, ciężki materac, położył go parę metrów dalej na podłodze, w tym samym pokoju, i kazał na nim spać Charlotte, podczas gdy my oboje mieliśmy zająć łóżko z pozostałym na nim matercem sprężynowym. Obydwie byłyśmy zdumione i kompletnie poniżone, ale posłuchałyśmy go - tak jak przystało na prawdziwe żony fundamentalisty, niezależnie od tego, jak absurdalny i toporny pomysł przyjdzie do głowy ich mężowi.

Leżałam na łóżku obok Verlana i czułam się potwornie. Łóżko skrzypiało, nawet gdy głębiej odetchnęłam. Ani ja, ani Verlan nie rozmawialiśmy, nie dotykaliśmy się ani nie poruszaliśmy. Charlotte, leżąc na ziemi, również nie wydawała żadnych odgłosów, ale nie wyobrażam sobie, jak mogła znieść takie upokorzenie. Sama myślałam, że zaraz wybuchnę, ale nagle Verlan doszedł do wniosku, że taki układ się jednak nie sprawdzi. W piżamie wyskoczył z łóżka i zakomenderował, by Charlotte wstała. Wyciągnął jej materac z sypialni do salonu, a Charlotte stała potulnie i czekała ze zdziwioną miną.

Byłam kompletnie zde gustowana.

Poszłam za nim.

Wyszeptałam:

- Proszę cię, Verlan, nie chcę w ten sposób dzielić się tobą w jej domu. Poczekam, aż będę miała swój. Proszę, idź do niej spać.

- Nie! - zaprotestował głośnym szeptem. - Nie widzieliśmy się cały tydzień i mam zamiar być sprawiedliwy!

- To nie jest sprawiedliwe wobec żadnej z nas - oponowałam.

- Irene, słuchaj, to dla nas wszystkich coś nowego. Z czasem nauczymy się z tym żyć.

Poszedł do Charlotte i kazał jej spać w sypialni, po czym wrócił do mnie, do salonu. Wyjrzał jeszcze przez szparę w zasłonach i sprawdził, czy zasuwka w drzwiach jest zamknięta, a potem wczółgał się koło mnie na materac.

- Chodzą plotki, że rząd planuje nalot na poligamistów - wyjaśnił - więc muszę zachować dodatkową ostrożność, zwłaszcza że jesteś niepełnoletnia.

Wszystko to było bardzo ciekawe, ale ja w tamtej chwili miałam inne, ważniejsze sprawy na głowie.

- Verlan, gdzie będę mieszkać? - spytałam.

- O, nie martw się, Bóg się tym zajmie. Zaufajmy Mu i żyjmy po prostu z dnia na dzień. - Poklepał mnie po biodrze i lekko pocałował. A potem przewrócił się na bok i ułożył do snu.

Ja jednak nie skończyłam.

- Verlan, muszę coś wiedzieć o moim życiu! Jakie mamy plany?

Nie potrafię tak żyć. Chcę mieć dom i trochę prywatności!

Nie odpowiedział, ale ja nie dawałam za wygraną.

- Przysięgam, że więcej tu nie przyjadę i nie zamierzam robić z siebie idiotki w domu mojej siostry - ostrzegłam.

- Ciii... dość już. Spij - wymamrotał.

Czułabym się chyba lepiej, gdyby wymierzył mi policzek.

Usnęłam ukołysana własnym płaczem, przez nikogo niesłyszana i niepocieszona. Później Verlan powiedział mi, że Charlotte płakała całą noc, wyobrażając sobie, jak kochamy się za ścianą.

Teraz byłam już mężatką całe dwa tygodnie. Tym razem Verlan obiecał, że przyjedzie się ze mną zobaczyć u ciotki Beth. Rzeczywiście zjawił się około siódmej wieczorem. Na szczęście uwierzył, że nie przyjadę więcej do niego i do Charlotte. A może sam tego nie chciał. W każdym razie takie rozwiązanie wydawało mi się lepsze, dopóki nie będę miała własnego domu.

Kiedy Verlan wreszcie przyjechał, wyciągnął mnie od razu do kina samochodowego. Wolałam zostać w domu, położyć się wcześniej i nieco lepiej poznać. Czy nie chciał, byśmy spędzili trochę czasu sami, bez tłumu naokoło? W imię posłuszeństwa jednak poddałam się jego woli.

Wróciliśmy z kina i po cichutku weszliśmy na górę, żeby nikogo nie obudzić. Kuzynka Evelyn dyskretnie zdecydowała się tej nocy spać w innym pokoju, a nawet zmieniła pościel i postawiła na nocnej szafce wazon z dwiema pięknymi różami. Verlan szybko rozebrał się w ciemności i wszedł do łóżka. Wciąż onieśmielona, zrobiłam tak samo.

Nie pamiętam, żeby Verlan przywoływał naszą niebiańską publiczność, by patrzyła, błogosławiła czy przebaczała.

Dopiero tej nocy dowiedziałam się, o co ten cały szum.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

W pierwszą naszą wspólną podróż we trójkę wybraliśmy się do ciotki Rhei, do Hurricane. Wszystko szło w miarę dobrze, dopóki Horacy Knowlton, przyjaciel poligamista i prawnik z Salt Lake City, nie przyjechał, by przekazać nam zatrważające wieści. Potwierdził słowa Verlan z owej pamiętnej nocy w Provo, a mianowicie, że rząd planuje nalot na poligamistów. Horacy znał jednak szczegóły, o których nie wiedział Verlan, i to właśnie one miały w trybie natychmiastowym wpłynąć na nasze dalsze losy. Z zaufanych źródeł wiedział, że nalot na osadę poligamistów w Short Creek, leżącą zaledwie 50 kilometrów na południe od miejsca naszego pobytu, miał odbyć się już następnego dnia. W Short Creek mieszkały ze swym mężem Clydem córki ciotki Rhei, Donna i Myra.

Przez ostatnie dziesięć lat niewielkie miasteczko Short Creek było ostoją dla poligamistów, którzy pragnęli żyć w konspiracji, w społeczności odizolowanej od reszty świata - zarówno od wyznawców Kościoła Świętych w Dniach Ostatnich, jak i innych religii. Tu fundamentaliści kontrolowali praktycznie wszystko i nie byli na łasce swoich przeciwników. Osadę zamieszkiwało około czterystu osób - mężczyźni, kobiety i całe tabuny dzieci. Liczba mieszkańców nieustannie się zmieniała, jako że w rodzinach poligamicznych ktoś wciąż się przeprowadzał - czy to ze względu na własne potrzeby, czy na „nakaz z góry”, przekazywany przez miejscowego proroka.

Starszyzna Short Creek zdawała sobie sprawę z tego, że praktyki tej społeczności były całkowicie niezgodne zarówno z federalnym, jak i stanowym prawem o poligamii. Do tej pory udawało się jednak uniknąć konsekwencji, ponieważ osada była pod każdym względem samowystarczalna i odizolowana, a leżała dokładnie na granicy stanów Utah i Arizona. Było to położenie strategicznie niezwykle dogodne i dawało możliwość przechodzenia na jedną bądź na drugą stronę w zależności od potrzeb. Ponadto żaden ze stanów nie miał nad społecznością wyłącznej jurysdykcji ani nie ponosił za nią całkowitej odpowiedzialności. Dlatego mieszkańców Short Creek przeważnie zostawiano po prostu w spokoju.

Ostatnio jednak zaczęły krążyć plotki podobne do tych, które rozpowszechniał Verlan. Według poligamistów najazdy, takie jak w 1944 i ten obecnie planowany na Short Creek, urządzano wtedy, gdy zarówno Kościół Świętych w Dniach Ostatnich, jak i administrację stanu Utah niepokoiła rosnąca w szybkim tempie liczba członków wspólnot fundamentalistów. Bądź co bądź byliśmy niezwykle życiodajni, a wzrost naszej populacji miał dla rządów stanowych poważne, realne konsekwencje. Chodziło głównie o wydatki na opiekę społeczną - mężowie i ojcowie rodzin poligamicznych, jak mój ojciec, nie byli w stanie utrzymać wszystkich swoich żon i dzieci. Kolejne żony, w tym na przykład moja matka, były zmuszone korzystać ze stanowej pomocy społecznej jako osoby samotnie wychowujące potomstwo. Tymczasem rok w rok „produkowały” kolejne dzieci z mężem, który bezustannie krążył między nimi. (Pamiętam, że mama chowała się zawsze w stogu siana, gdy odwiedzali nas urzędnicy z opieki społecznej, którzy próbowali jej udowodnić oszustwo). Naszej społeczności stawiano też poważne zarzuty dotyczące traktowania nieletnich - gigantyczne rodziny były pełne głodnych, zaniedbanych dzieci, a niepełnoletnie dziewczynki wydawano za mąż.

Kiedy mieszkańcy Short Creek dowiedzieli się o planowanym na nich nalocie, większość postanowiła stawić opór. Strasznie się o nich baliśmy. Wszyscy pamiętaliśmy nalot z 1944 roku, kiedy aresztowano mojego ojca, wuja Rulona i wielu, wielu innych. Chociaż miałam wtedy zaledwie siedem lat, chyba nigdy nie zapomnę swego przerażenia i smutku - myślałam, że zabiorą mnie od matki i umieszczą w rodzinie zastępczej albo w domu dziecka. Urzędnicy przeprowadzający wówczas nalot przeszukiwali nawet matkę, lecz zapewniła ich, że odeszła od ojca, więc dali jej spokój.

Następnego poranka, 26 lipca 1953 roku, odbył się nalot na Short Creek. Tuż przed świtem obserwowaliśmy z okna sypialni ciotki Rhei wijący się szosą wylotową na południe z Hurricane konwój wozów policyjnych i rządowych. Jak nocna procesja pogrzebowa, wolno wspinały się na Hurricane Hill i posuwały w stronę Short Creek.

Potem straciliśmy je z oczu.

Z artykułów w prasie dowiedzieliśmy się, że gubernator stanu Arizona, Howard Pyle, pod potężną presją społeczną, nakazującą mu egzekucję zakazu poligamii i tym samym likwidację „społeczności zajmującej się produkcją białych niewolników”, miesiącami pracował nad tym, by zmobilizować rozmaite agencje rządowe i urzędników -z FBI, Gwardią Narodową, policją stanową i drogową, szeryfami i sędziami włącznie. W tej zakrojonej na wielką skalę akcji, mającej na celu zgładzenie „powstania”, „ruchu konspiracyjnego” czy „skrajnego zła”, brały także udział jednostki z Utah.

O ustalonej godzinie, przed świtem, rozpoczął się najazd na małe miasteczko Short Creek jednocześnie od strony Arizony i Utah.

Atakujący spodziewali się całkowitego zaskoczenia, tymczasem powitał ich głośny wybuch dynamitu. Ludziom z konwoju zwiastował kłopoty, dla mieszkańców Short Creek był natomiast ostrzeżeniem od lojalnych informatorów, że najazd jest bliski.

Dzięki niemu ci, którzy chcieli się ukryć, mieli na to czas. Większość mieszkańców udała się jednak po szczegółowe instrukcje co do sposobu przyjęcia intruzów.

Uzbrojone po zęby patrole, przygotowane na zbrojny sprzeciw, ostrożnie przemierzały Short Creek. Przybysze myśleli, że przestępcy-- fundamentaliści będą zdesperowani, uzbrojeni i niebezpieczni. Ku swemu zaskoczeniu jednak znaleźli większość mieszkańców osady na placu przed kościołem, bez broni, modlących się i śpiewających patriotyczne pieśni. Poddali się bez walki, jak męczennicy za wiarę.

Prawdziwy dramat spowodowała dopiero histeryczna reakcja dzieci, które bały się rozłąki z rodzicami.

Fundamentalisci spędzili w areszcie parę dni. Pod ścisłym nadzorem otrzymywali racje żywnościowe, przysługujące funkcyjnikom Gwardii Narodowej, i pod eskortą wychodzili do ubikacji.

Poszukiwano zbiegów, którzy się ukryli bądź usiłovali się przedostać przez granicę stanu, a sędziowie i inni urzędnicy próbowali wstępnie ustalić los poszczególnych kategorii przestępców i ich ofiar zidentyfikowanych w osadzie. Wyodrębniono następujące kategorie: dorośli monogamiści lub poligamiści, którzy mieli tylko jedną małżonkę, mężowie poligamiści, dorosłe żony poligamistów, niepełnoletnie żony poligamistów oraz 263 dzieci, z których wiele kurczowo trzymało się matek w obawie przed rozłąką i umieszczeniem w domu dziecka. Podejmowano nieprawdopodobne decyzje i popełniano przy tym wiele błędów. Część osób zaangażowanych w poligamię wypuszczono na wolność wraz z dziećmi, podczas gdy inne, podejrzane o wielożeństwo, a w rzeczywistości go niepraktykujące, pozostały w areszcie.

Sytuacja była trudna dla wszystkich, zwłaszcza dla matek z dziećmi. Widząc ich przerażenie i błagania, niektórzy urzędnicy czuli się tak strasznie, że przepaszali i wyrażali współczucie. Mimo to jednak musieli wykonywać instrukcje przełożonych. Większość mieszkańców aresztowano pod zarzutem bigamii.

Mężczyźni i część kobiet trafili do więzienia w Kingman w Arizonie. Około 40 kobiet i 166 dzieci wywieziono autobusami na południe do Phoenix i umieszczono w obozie tymczasowym do momentu zapewnienia im przez władze mieszkań zastępczych.

Oczywiście wszyscy przesiedleni martwili się, czy uda im się kiedykolwiek odnaleźć swe rodziny i połączyć z nimi.

W serca wszystkich fundamentalistów mormońskich wstąpił strach. Na zachodzie, w Utah, Arizonie, Idaho i innych stanach, a także w Kanadzie i Meksyku mieszkało około trzydziestu, czterdziestu tysięcy poligamistów. Wszyscy poczuli się nagle bezbronni. Nie mieli pieniędzy ani zapasów. Wiele rodzin było tak licznych, że ukrywanie się gdziekolwiek nie wchodziło w grę. Grupki fundamentalistów zaczęły ciemną nocą uchodzić z większych miast na farmy i rancza.

Niektórzy uciekali przed prawem do Montany i Kalifornii.

Atak rządu nie ugasił jednak zapалу fundamentalistów do zakładania rodzin poliga-

micznych. Odniósł wprost przeciwny skutek - zacieśnił jeszcze bardziej rodzinne więzy, umocnił pragnienie lojalności wobec Boga i wytrwałości w Regule. Przywódcy nakazali fundamentalistom siedzieć cicho, dopóki burza nie ucichnie. Chwalili ich potem za opanowanie i niestosowanie przemocy, a to dodatkowo napełniało ich dumą i umacniało w przekonaniu, że postępują w sposób prawy i pobożny, przyjmując na siebie prześladowania, dając świadectwo wiary. Kobiety zachęcano raczej do rezygnowania z dzieci niż z wolności religijnej, która pozwala im wypełniać boskie przykazania.

Uwięzieni mieszkańcy Short Creek również nie próżnowali - jak biblijny Paweł organizowali spotkania modlitewne, podczas których prosili Pana o wybawienie i głosili Jego chwałę. Kiedy w grę wchodziła kwestia wolności, fundamentaliści demonstrowali, że dla poligamii są w stanie poświęcić wszystko.

Jeśli chodzi o mnie, Verlana i Charlotte, to byliśmy tak ściśle związani z lokalnymi klanami poligamicznymi, że uważaliśmy się również za zagrożonych. Urządziliśmy naradę rodzinną, na której postanowiono, że Verlan powinien natychmiast porzucić naukę na Uniwersytecie Brigham Younga i przeprowadzić się z powrotem na rodzinne rancho w Chihuahua w Meksyku. Charlotte z dzieckiem miała jechać z nim, a ja dołączyć do nich za miesiąc. Zgodziłam się posłusznie, a kiedy odjeżdżali, życzyłam im bożego błogosławieństwa.

Wydawało mi się, że tam, za granicą, odnajdę i wolność, i życiową stabilizację, której tu, w ukryciu, tak bardzo nam brakowało.

Mój brat i bratowa pozwolili mi pomieszkać u nich w Salt Lake City do chwili, kiedy Verlan nie przyśle mi biletu na autobus i wskazówek, jak dojechać na rancho. Kiedy nadszedł ten czas, Richard odprowadził mnie na dworzec. Błagał, żebym nie jechała, przekonywał, że życie wśród LeBaronów będzie udręką. Prosił, bym została w Utah z nim albo z matką.

Ja jednak nie chciałam tego słuchać. Byłam powołana i zostałam wybrana. Złożyłam obietnicę. Poza tym, im dłużej myślałam, tym bardziej byłam przekonana, że zachwyca mnie pomysł przeprowadzki do Meksyku. Miałam w głowie romantyczną wizję życia. Och, jakże cudowna czekała mnie przygoda.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

W El Paso miało wyjść po mnie na dworzec dwóch starszych braci Verlana, Joel i Floren, którzy przejechali specjalnie autobusem po wyboistych meksykańskich drogach 260 kilometrów na północ, do rojnego Ciudad Juarez - miasta tuż po drugiej stronie granicy Joel zameldował się w tanim motelu i czekał na nas, a Floren wyszedł na dworzec po swoją żonę Annę z dwójką małych dzieci i po mnie. Anna z dziećmi jechała z Salt Lake City tym samym autobusem, co ja, ale ze względów bezpieczeństwa nie przyznawałyśmy się do siebie aż do przekroczenia granicy z Nowym Meksykiem. Od nalotu w Short Creek minęły zaledwie cztery tygodnie, więc byliśmy bardzo czujne, by nie wzbudzić niczyich podejrzeń.

Kiedy autobus zajeżdżał na dworzec w El Paso, zobaczyłam Florena, który stał na chodniku i uważnie przyglądał się każdemu wysiadającemu pasażerowi. Widziałam go parę razy przedtem, gdy przyjeżdżał do którejś ze starszych córek ciotki Rhei. Miałam wtedy może dziesięć lat. Zapamiętałam go jako przyjemnego, zabawnego chłopaka z fantazją, więc cieszyłam się, że został moim szwagrem.

Wypchnęłam przed sobą z autobusu swoją zniszczoną walizkę i rzuciłam się w jego ramiona. Anna też chciała go uściskać. Puścił mnie, ucałował Annę i przytulił ją na chwilę. Przywitał się serdecznie z dziećmi i zamachał na taksówkę, którą przejechaliśmy przez granicę, do Meksyku.

Joel czekał na nas w lobby hotelu Rivas. Miał około metra osiemdziesięciu wzrostu, był ani gruby, ani chudy, z prostymi, jasnymi włosami. Był bardzo sympatyczny i kiedy mówił, z niebieskich oczu wprost tryskał dobry humor. Joel tak bardzo przypominał mi Verlana, że od razu go polubiłam.

Po pospiesznym śniadaniu w małej kafejce załadowaliśmy się do brudnego autobusu rejsowego do Chihuahua. Usiadłam na końcu rozklekotanego pojazdu, koło Joela. Obok siedzieli Floren i Anna, ściskając się i przytulając po dziewięciomiesięcznej rozłące. Anna była jak dotąd jedyną żoną Florena, ale jeszcze w Stanach przeżywali małżeński kryzys, na skutek którego Anna odeszła od niego, a on wyjechał do domu, do

Meksyku. Teraz zamierzali do siebie wrócić ze względu na dobro dzieci.

Bałam się, że o podarte, wyświechtane płócienne siedzenia pobrudzę sobie sukienkę, ale wolałam być cicho. Duże zardzewiałe śruby, którymi były przykręcone do podłogi fotele, wibrowały tak mocno, że prawie wypadały z otworów. Kierowca bez powodzenia usiłował wrzucić trzeci bieg. Zapalczywie wciskał sprzęgło i manewrował dźwignią biegów, ale wciąż bezskutecznie. Jechaliśmy więc bardzo powoli, podskakując na wertepach. Wydawało się, że dziwny, nieznamy krajobraz piasku i niskich zarośli prawie się nie przesuwają, kiedy autobus w żółwym tempie przemieszczał się na południe po niebezpiecznie wąskiej, wyboistej szosie.

Miałam wrażenie, że więcej czasu spędzaliśmy na przystankach, wypuszczając pasażerów i zabierając nowych, niż na samej jeździe. Na pierwszym przystanku wsiadł na oko siedemdziesięcioletni Meksykanin o twarzy spalonej przez słońce. Miał wygniecione białe płócienne spodnie i białą koszulę z długim rękawem. Najbardziej rzucał się w oczy szeroki, czerwony pas przewiązany wokół jego wydatnego brzucha. Ponieważ wszystkie miejsca były zajęte, stanął plecami do nas, przytrzymując się jedną ręką półki na bagaż. Kiedy na kolejnych przystankach wsiadało coraz więcej osób, musiał przesuwać się ku tyłowi autobusu, aż wreszcie znalazł się dokładnie naprzeciwko mnie.

Odwrócił się przodem do mnie i ku mojemu niesłychanemu zdumieniu znalazłam się oko w oko z dwoma żywymi kogutami, które wisiały, przywiązane za nogi do czerwonego pasa. Wyglądały na równie skrępowane sytuacją, jak ja, ale stary człowiek nawet nie mrugnął okiem.

Następnie wsiadła Indianka o okrągłej twarzy, z długim czarnym warkoczem. Bez zastanowienia przesuwała wszystko, co znalazło się na jej drodze, aż precyzyjnie się na - już zatłoczone - miejsce koło mnie. Gołymi stopami przytrzymywała pod fotelem piszczącego prosiaka. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego.

Starłam się nie gapić zbyt natarczywie na wszystkie te przedziwne postacie, poprosiłam więc Joela, żeby przetłumaczył mi hiszpańskie napisy na dwóch dużych tabliczkach z przodu autobusu.

- „NO BRINQUE EN LOS ASIENTOS” - przeczytał Joel, powstrzymując uśmiech.

- To znaczy „nie skakać po siedzeniach”.

- To nieprawdopodobne - nie wierzyłam.

Zaśmiał się.

- Na drugiej jest napisane „NO ESCUPA EN EL PISO”, co znaczy „nie pluć na podłogę”.

Zanim zdążyłam się pohamować, wybuchłam:

- W Stanach to byłoby nie do pomyślenia! Ten autobus poszedłby na złom! Dlaczego pozwalają tej ruinie jeszcze jeździć?

- To dlatego, że jedziemy drugą klasą - wyjaśnił Joel.

- Drugą klasą?! - Nie dowierzałam. - Dlaczego drugą?

- Bo nie ma trzeciej - odpowiedział z poważną miną.

W tej samej chwili Floren krzyknął:

- Hej, szybko, patrz! - Pokazał ręką na dom z gliny, pokryty płaskim dachem. - Właśnie w takim będziesz mieszkać!

Roześmiałam się w głos.

- Ty i Joel macie niezłe poczucie humoru. Ja jednak zamierzam przetrwać w tym Meksyku!

Dwie godziny później wysiedliśmy na całkowitym pustkowiu.

Było to skrzyżowanie o nazwie Sueco. W żadnym kierunku nie widziałam nic prócz szosy, krzaków i trawy. Popękany asfaltowy chodnik kończył się po jakichś dziesięciu metrach, dalej ciągnęła się już tylko polna droga, wijąca się na zachód ku odległym górcom.

Sierpniowe słońce piekło niemiłosiernie. Nie przeszkadzało to jednak ani Florenowi, ani Joelowi. Bracia byli bowiem zbyt zajęci grą w odbijanie piłeczek, przyczepionych gumkami do raketek. Po chwili gumki całkowicie im się poplątały, więc Anna zażądała, żeby je zostawili, bo je zniszczą i dzieci nie będą miały czym się bawić.

Joel udawał, że nie słyszy, i walił Florena po głowie. Obaj chichotali jak małe urwisy.

Ja i Anna usiadłyśmy na zakurzonych walizkach i zastanawiałyśmy się, czemu nie przyjeżdża następny autobus. Minęły dwie godziny. Byłam podekscytowana faktem, że niedługo znajdę się w nowym domu. W końcu spytałam Joela, kiedy będzie autobus.

Nawet się nie uśmiechnął.

- Jutro rano, o dziewiątej.

- Joel, nie drocz się ze mną. Chcę być już na ranczu.

- Serio, następny autobus jest rano. Ale złapiemy pierwszą okazję, jaka się nadarzy.

Samochody jeden po drugim migały po autostradzie, żaden jednak nie skręcił w naszą polną drogę. Słońce dalej prażyło. Zaczął mnie oblewać pot. W końcu Joel dojrzał szarą półciężarówkę, która jechała w naszą stronę. Zatrzymał ją, kiedy skręciła w polną drogę.

Kierowca zgodził się nas zabrać, więc Joel i Floren zapakowali szybko Annę, dzieci i mnie do kabiny obok kierowcy, a sami, rozchichotani, wskoczyli pomiędzy walizki na część bagażową. Sprawiali wrażenie, jakby naprawdę znakomicie się bawili.

Siedziałam tuż przy kierowcy wielce zdenerwowana - jak zamożna Meksykanka w stroju Amerykanki. Ponieważ on nie znał angielskiego, a ja hiszpańskiego, podróż upływała nam w milczeniu.

Czułam się niezręcznie. Minęła godzina, a my wciąż wdychaliśmy kurz wpadający przez otwarte okna samochodu. W pewnym momencie Anna spojrzała na mnie, ja na nią, i obie wybuchłyśmy histerycznym śmiechem. Byłyśmy całkowicie pokryte białym kurzem - wyglądałyśmy jak w białych perukach i z białym makijażem. Kierowca

pewnie myślał, że zbzikowałyśmy, bo spojrzął na nas wymownie, ale nic nie powiedział.

Dotarliśmy wreszcie do miejscowości San Buenaventura, nazywanej także El Valle, czyli dolina. Było to typowe małe miasteczko, założone przez ranczerów i farmerów - nic ponad zwyczajne rozszerzenie drogi, odpowiednio rozległe, by zmieściło się tam kilka niewielkich budynków z przyległościami. Kierowca ostro przyhamował i nagle zjechał na lewą stronę ulicy, by zatrzymać się przed sklepem o jaskrawozielonej ścianie frontowej.

Joel zeskoczył z paki i zaczął perswadować coś po hiszpańsku kierowcy, który - na szczęście - po chwili uległ jego namowom i zgodził się nadłożyć ponad godzinę drogi i zawieźć nas na oddalone jeszcze o dobre parędziesiąt kilometrów ranczo.

Im bliżej byliśmy, z tym większym podekscytowaniem czekałam na chwilę, kiedy wreszcie zobaczę wymarzone ranczo, które miało odtąd stać się moim domem. Byłam przekonana, że kiedy przejedziemy przez bramę gospodarstwa LeBaronów, automatycznie znikną wszelkie przejawy meksykańskiej biedy i dziwactwa, jakie dane mi było oglądać podczas podróży. Niepokojem napawał mnie tylko fakt, że miałam ujrzeć Verlana i Charlotte - Verлана, ponieważ był mężem, którego wciąż ledwie znałam, a Charlotte wiadomo dlaczego.

Pół godziny później samochód bez ostrzeżenia zjechał z drogi i zakolebał się pomiędzy zaroślami na czymś, co mogło być najwyżej wydeptaną przez krowy ścieżką. Joel i Floren stanęli na pace i wymachując rękami, krzyczeli:

- Witajcie w domu, drogie panie! Witajcie w domu!

Z radości zawołałam do Anny:

- Ej, kto pierwszy zobaczy dom?!

Obydwie pochyliłyśmy się, wypatrując przez zakurzoną przednią szybę naszego nowego miejsca na ziemi. Samochód powoli zatrzymał się przed dużą zagrodą dla bydła.

Verlan ze swoim bratem Ervilem doili właśnie krowy, kiedy usłyszeli odgłos nadjeżdżającego auta. Przerwali i przeskoczyli przez drewniane ogrodzenie, by nas powitać. Verlan prześcignął Ervila, szybko otworzył na oścież drzwi samochodu i powitał ciepło Annę.

Potem wyciągnął długie ręce i pomógł mi wysiąść. Zaśmiał się, kiedy ujrzał swą pokrytą grubą warstwą kurzu młodą żonę.

Uścisnął mnie lekko i szepnął mi prosto do ucha:

- Nikt tutaj nie wie, że jesteśmy małżeństwem. Tylko Joel i Floren. Pamiętaj, jesteś moją szwagierką.

Nie mogłam usłyszeć nic gorszego. Przejechałam półtora tysiąca kilometrów, z czego przynajmniej dwieście po polnych drogach, żeby uciec właśnie od tego. Verlan zapewniał, że tu będziemy mogli swobodnie wyznawać naszą fundamentalistyczną wiarę i żyć jawnie jako rodzina. Przez jego nieoczekiwane żądanie, by dalej żyć w ukryciu,

poczułam się nic niewarta i kompletnie nieważna. A przyszło to właśnie w chwili, gdy nareszcie miałam być traktowana normalnie.

Co najgorsze, nie mogłam nawet od razu go o to zapytać. Musiałam robić dobrą minę do złej gry.

Verlan postukał moją walizką o kamienistą ścieżkę, by strząsnąć z niej kurz, i powiedział:

- Irene, chodźmy do domu.

Poszłam za nim, wciąż rozglądając się za domem na ranczu.

Kiedy tak szliśmy ścieżką, powiedziałam Verlanowi, jak bardzo zmęczona i brudna czuję się po długiej podróży. Marzyłam tylko o przyjemnym, ciepłym prysznicu i czystym łóżku. Właśnie wtedy przyszło mi do głowy, że nie wiadomo właściwie, gdzie się będzie znajdować moje łóżko w sytuacji, gdy znów miałam rangę zaledwie szwagierki. Ostatnio spałam z Verlanem przeszło pięć tygodni temu.

Czy tutaj, gdzie nikt ma się nie dowiedzieć, że jesteście małżeństwem, będziemy spać razem? A co z Charlotte? Czy znów będę tylko gościem w jej domu? Do tej pory byłam przekonana, że w farmerskim domu LeBaronów dostanę wreszcie własne gospodarstwo.

Przeszliśmy zaledwie parędziesiąt metrów, kiedy Verlan zatrzymał się przed małym domkiem bliźniaczo podobnym do tego, który Floren pokazał mi podczas podróży. Miał płaski, pokryty ziemią dach, nierówne ramy okienne z przyczepionymi do nich jutowymi workami chroniącymi przed kurzem i zimnem. Stałam przed nim z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, nieświadoma, że Verlan coś do mnie mówi. Odwracałam się powoli w jego stronę, gdy usłyszałam odgłos stawianej na ziemi walizki. Powiedział nieco speszony:

- Witaj na ranczu, Irene. Oto twój nowy dom.

Ranczo? On nazywał to ranczem? Policzki poczerwieniały mi ze złości. Każdy głupi wiedział, że ranczo to miły, obłożony białymi deskami dom, otoczony niskim, schludnym płotkiem z równiutkich sztachetek i z dużą czerwoną stodołą. Musiało istnieć jakieś racjonalne wyjaśnienie tego stanu rzeczy. Verlan na pewno sobie ze mnie żartował, tak jak przez całą drogę czynili to jego bracia. Wyraz jego twarzy jednak podpowiadał mi, że to nie żart.

Cudem udało mi się zachować spokój i powstrzymać łzy. Z ogromnym wysiłkiem wydobyłam z siebie słowa:

- Chciałabym tylko wziąć prysznic, Verlan. Mógłbyś pokazać mi, gdzie jest łazienka?

- Uhm... tak... poczekaj chwilę! - odrzekł. Pomknął do środka i za chwilę pojawił się znowu z kostką szorstkiego mydła domowej produkcji, gąbką i podartym ręcznikiem w ręku. Podał mi mydło, po czym uniósł rączkę solidnej żeliwnej pompy stojącej nieopodal na podwórzu. Wyjaśnił:

- Oczywiście nie mamy prądu. Ale popatrz, mamy bieżącą wodę. - Kiedy mówił te słowa, mocno pompował długą ręką, a z kranu leciał silny, nieprzerwany strumień źródlanej wody.

Ignorując nowe, niespodziewane okoliczności, rozplotłam mój gruby, zakurzony warkocz i wsunęłam głowę pod pompę. Strumień był tak zimny, że zabrakło mi tchu. Patrzyłam, jak brudna woda spływa przez drewnianą kratkę. Spłukałam też kurz z ramion, rąk i nóg, stojąc raz na jednej nodze, raz na drugiej. Potem zeskrobałam brud ze stóp.

Kiedy skończyłam, zawinęłam włosy w turban / ręcznika i weszłam za Verlanem do domu.

Od tej chwili było już tylko gorzej. Ciężkie, toporne drzwi wejściowe zaszurały nieprzyjemnie na betonowej podłodze. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, był rachityczny drewniany stół na środku pokoju. Nie stało na nim nic prócz lampy naftowej. W odległym kącie znajdował się emaliowany piecyk z pordzewiałą rurą kominową, która wychodziła przez niedokończony, belkowany sufit. W drugim kącie stos drewnianych skrzynek na pomarańcze pełnił rolę regału na kubki i talerze. Ocynkowane dziesięcilitrowe wiadro wody stało obok drewnianego stojaka na miednicę, udającego zlew kuchenny. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnął się nierówny blat, a pod nim były półki, częściowo przysłonięte płócienną zasłonką. Nigdzie nie zauważyłam jedzenia. Było tylko parę pojemników na żywność i puszek rozmaitego pochodzenia. Nie widziałam ani lodówki, ani żadnych innych urządzeń.

Nie było też obrazków, bibelotów, zegara, linoleum czy dywanika na podłodze - żadnej rzeczy, dzięki której pomieszczenie to można byłoby nazwać domem. Przez okno kuchenne widać było oddalony o paręnaście metrów drewniany wychodek. Prowadziła do niego ścieżka.

Był rok 1953. Jak to możliwe, żeby ludzie żyli w takich warunkach? Natychmiast skierowałam do Boga błagalne: „O Boże, kiedy będę mogła wrócić do cywilizacji?”.

Z drzwi jednej z dwóch izb przylegających z obu stron do prymitywnej kuchni wyszła Charlotte. Przywitała mnie uściskiem i spytała, czy po długiej podróży nie jestem głodna. Dziesięć minut wcześniej umierałam z głodu, ale teraz kompletnie straciłam apetyt.

Podziękowałam i powiedziałam, że muszę tylko rozczesać włosy. Nie śmiałam nawet wspomnieć o łóżku. Byłam niewymownie rozczarowana i czułam się potwornie nie na miejscu - znowu jak intruz w cudzym domu - w domu mego własnego męża. Niezależnie, nie wiedziałam, co ze sobą począć.

Do tego czasu zrobiło się już ciemno. Verlan zapalił lampę na stole. Stopą otworzył drzwi do drugiej sypialni. Starłam się udawać, że nie widzę zawiasów, wykonanych ze skrawków opony przybitych po prostu do framugi. Verlan ruchem ręki przywołał mnie do środka i na białym krześle przy łóżku postawił dającą nikłe światło lampkę

oliwną.

Od Charlotte pożyczył czyste prześcieradło, którym mieliśmy się przykryć. Zanim się położyliśmy, rozścielił na gołych sprężynach łóżka ręcznie tkany koc.

- A materac? - spytałam z niedowierzaniem.

- O, te sprężyny są mięciutkie - odparł. - Jak się je przykryje kocem, nawet nie poczujesz, że nie ma materaca. - Pocałował mnie w policzek i dodał: - Za chwilę wracam. Idę powiedzieć dobranoc Charlotte.

Podejrzewałam, że chciał się po prostu upewnić, czy była już w łóżku. Wsunęłam na siebie długą nocną koszulę, starając się myśleć o tym, że Charlotte sama uszyła ją dla mnie i pozwoliła mi wyjść za swojego męża. Mimo wszystkich nauk, jakie pobrałam i które dotyczyły bycia wierną, pobożną i posłuszną żoną poligamisty, poczułam wzrastające we mnie przemożne uczucie zazdrości i zniechęcenia. Co to za prywatność, jeśli od Charlotte dzieli mnie tylko kuchnia? Tak, byłam chętna, by dzielić męża, ale nie dom. Jutro tupnę nogą w parszywą betonową podłogę i poinformuję Verлана, że nie spędzę więcej ani jednej nocy pod jej dachem.

Załamana, weszłam do rachitycznego łóżka. Drapał mnie szorstki wełniany koc, na którym leżałam. Czekaając na męża, rozglądałam się po surowym, pustym pokoju. Ściany nie były pomalowane ani nawet otynkowane. Nie wisały na nich żadne obrazki, brakowało szafy czy choćby komody, do której mogłabym rozpakować skromną zawartość walizki.

-Verlan w końcu się pojawił. Przyniósł ze sobą biały emaliowany nocnik. Poczzerwieniał na twarzy i powiedział: -- Będzie pod łóżkiem, gdybyś go w nocy potrzebowała.

Zaledwie parę tygodni wcześniej zawstydzalo mnie korzystanie z toalety, gdy dzieliły mnie od Yerлана prawdziwe drzwi łazienki.

Obiecałam sobie, że za nic w świecie nie skorzystam z nocnika w tym samym pokoju! Ze wstydu nie byłam w stanie wyjąkać ni słowa.

Verlan zaryglował tylne drzwi. Przemierzył pokój i zrobił to samo z drzwiami do kuchni.

- To dla prywatności - wyjaśnił.

Sprawdził jeszcze, czy zapałki leżą na właściwym miejscu, osłonił dłońmi klosik lampy i zdmuchnął pełgający płomyk. Leżałam w oczekiwaniu, że za chwilę mój mąż wejdzie do łóżka i weźmie mnie w swe silne ramiona.

W ciemnościach Verlan zdjął znoszone robocze ubranie i na cieniutką bieliznę, otrzymaną w świątyni Świętych w Dniach Ostatnich kilka lat wcześniej, zanim jeszcze stał się poligamistą, naciągnął piżamę. Bielizna ta była biała, jednoczęściowa i przypominała kalessony, ale nie miała guzików. Była zawiązywana z przodu na trzy troczki. Zakrywała Verлана w całości - od nadgarstków rąk i kostek nóg po szyję. Tylko najbardziej prawi mormoni otrzymywali podobny strój.

Wręczeniu go towarzyszyła specjalna ceremonia, podczas której wyjaśniano symboliczne znaczenie ubioru i zapewniano o szczególnej ochronie osoby, która będzie go nosić. Verlan mógł go zdejmować tylko do kąpieli. W sytuacjach intymnych natomiast miał go na sobie - wówczas przydawały się owe trzy troczki.

Verlan wślizgnął się do łóżka i szepnął do mnie:

- Tę pizamę będę trzymał u ciebie, u Charlotte mam drugą.

Potrafił powiedzieć coś kompletnie załamującego i nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Najpierw wypytał mnie o podróż i o to, co słychać w mojej rodzinie, a potem przeszedł do udowadniania mi, że nie kłamał na temat rancza - może po prostu nie wyjawiał mi całej prawdy. Kiedyś miałam się nauczyć, że był to jego sposób na rozwiązywanie konfliktów - robił, co chciał, a potem czarował osobę, która była nieszczęśliwa z powodu jego działań.

- Irene, od tej chwili musisz być bardzo ostrożna - wyznał następnie. - Masz dwie meksykańskie szwagierki, Luz i Delfinę. Jeśli dowiedzą się, że jesteś moją żoną, mogą nie być dla ciebie zbyt miłe.

Nie będziemy ich okłamywać. Po prostu nie powiemy im całej prawdy.

Przecież jesteś moją szwagierką, prawda? Wiesz, żadna z nich nie czuje ducha dobrej nowiny, jak ty. Powiemy im dopiero, kiedy będzie trzeba.

Później dowiedziałam się, że te dwie żony były katoliczkami i ani nie wybrały wielożeństwa, ani nie chciały nagle odkryć, że w nim żyją. Wtedy jednak w ogóle mnie to nie obchodziło. Chciałam tylko być kochana. Nie jechałam tu tylu setek kilometrów, żeby prawiono mi morały. Przyjechałam po to, by mnie obejmowano, całowano i zapewniano o swej miłości. Niestety, Verlan w żaden sposób mi jej nie okazywał. Kiedy mówił, trzymał mi rękę na brzuchu. Był bardzo ostrożny, by przypadkiem nie dotknąć moich piersi.

Następnie uniósł się nieco, przelotnie pocałował mnie w usta i ziewnął.

- Dobranoc, Irene - wymruczał. - Tak się cieszę, że jesteś moją żoną.

Drzemiący we mnie wulkan w ciągu sekundy dojrzał do wybuchu.

- Twoją żoną?! - wrzasnęłam. - Traktujesz mnie jak konkubinę, nie żonę!

- Cicho - próbował mnie uspokoić. - Proszę cię, Charlotte nas usłyszy.

- Verlan, gdzie tu jest miejsce dla mnie? Jakie mam prawa? - Próbowałam odsunąć jego dłoń, którą zakrył mi usta. - Nie zamkniesz mi ust! Nie po to uciekałam, nie po to zostawiłam rodzinę, żeby przyjechać tu, na koniec świata, i żebyś ty się odwrócił na bok i nawet ze mną nie kochał!

- Ciii... - błagał zdesperowany. - Proszę cię, cicho bądź.

Skrzypisz sprężynami. Ona pomyśli, że się z tobą kocham!

Odepchnęłam go, płacząc.

- Irene, błagam, nie płacz. Jutro zobaczy twoją spuchniętą twarz i pomyśli, że zrobiłem ci coś złego.

- Nie obchodzi mnie, co ona pomyśli. Mam już dość grania drugich skrzypiec!

- Irene - szeptał, próbując mnie uspokoić. - Dlaczego przychodzi ci do głowy, że grasz drugie skrzypce?

Usiadłam, zaciskając ze złości zęby i wystękałam:

- Dlatego że zajmujesz się mną w drugiej kolejności!

Czułam jego rozpacz. Jak można było poradzić sobie z dwiema żonami w jednym domu? W końcu udało mu się mnie uspokoić i namówić, żebym się z powrotem obok niego położyła. Pocałował mnie parę razy i próbował osuszyć moje łzy rękawem piżamy.

- Wybacz mi, że się z tobą nie kocham - mówił. - Spróbuj zrozumieć. Nie chcę ranić Charlotte. Ale wiesz, ponieważ byliśmy tak długo w rozłące, spędzę z tobą dwie noce z rzędu. Co ty na to?

- Też coś! - To było jedyne, co przyszło mi do głowy. Czy on nigdy nie będzie chciał się ze mną kochać, obawiając się, że zrani Charlotte? Czy tak w rzeczywistości miało funkcjonować małżeństwo poligamiczne? Na pewno nie, jeśli moim zadaniem było wyprodukować jedno dziecko rocznie. Węzeł w moim żołądku z każdą chwilą zaciskał się coraz mocniej. Nic nie mogłam poradzić na to, że myślałam, jak inaczej wyglądałby świat, gdyby to Glen leżał teraz przy mnie.

Verlan trzymał mnie w objęciach i nagle zaczął się modlić.

Próbowałam płakać cicho, żeby mu nie przeszkadzać.

- Dziękuję Ci, Boże, za szczęśliwy przyjazd Irene. Daj nam siłę, byśmy umieli znośić przeciwności i niepowodzenia. Pozwól Irene zrozumieć, że jest kochana i potrzebna. - Z końcowym „amen”

przyciągnął mnie bliżej.

- Naprawdę cię kocham - szepnął niewyraźnie, zadowolony widocznie, że Bóg odpowiedział na jego modlitwę. Po chwili jego rytmiczny oddech potwierdził, że zapadł w mocny sen. Ja zaś leżałam w pełni przytomna, wpatrując się w ciemność, wyczerpana zdarzeniami dnia.

W pewnej chwili usłyszałam cichutkie odgłosy - jakby szuranie.

Słuchałam uważnie, ale nie mogłam odgadnąć, co to takiego.

Potrząsnęłam więc Verlanem, trzymając go za ramię:

- Co to za hałas? - spytałam nerwowo.

- Jaki hałas? - spytał półprzytomny.

Oboje nasłuchiwalismy. Odgłosy pojawiły się znowu.

- A, to - odpowiedział, klepiąc mnie uspokajająco po ręce, a następnie przewracając się na drugi bok. - Przyzwyczaisz się. To tylko myszy biegają po ścianach.

Ukryłam twarz w poduszce i odwróciłam się do niego plecami.

Zadałam sobie w myśli pytanie: ile czasu upłynie, zanim ja zacznę chodzić po ścianach?

Złą stroną oczekiwań jest to, że po piętach zwykle depczą im rozczarowania. Wyobrażałam sobie idylliczną hacjendę rodem z Utah, gdzie będę żyć na własnych śmieciach, z dala od Charlotte, jako jawna i dumna żona Yerlana. Rzeczywistość przyniosła jednak co innego - przewidzieli to i matka, i Richard. Przeżyte rozczarowanie wprowadziło mnie w stan ciężkiego szoku. Gdyby nie obietnica złożona wujowi Rulonowi i fakt, że nie znałam ani słowa po hiszpańsku, myślę, że już następnego dnia jechałabym okazją z powrotem do El Paso.

Jak do tej pory wywiązywałam się z tego trudnego układu.

Zastanawiało mnie, dlaczego nie robi tego Bóg.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Następnego dnia rano Verlan oznajmił, że zamierza pokazać mi „ranczo”. Poranek i tak mieliśmy nerwowy, bo goniliśmy po domu dużego, złego szczura. W końcu wspólnie /. Charlotte udało nam się zagnać go do kąta i tam zabić ciężką żeliwną patelnią. To doświadczenie mocno mną wstrząsnęło, ale niedługo miało się okazać, że szybko przyzwyczaję się zarówno do szczurów, jak i do wszelkiego rodzaju innych drapieżników.

Po śniadaniu wyruszyliśmy z Verlanem na obchód. Nie uszliśmy daleko - może na odległość między przecznicami w mieście - a spotkaliśmy żonę Ervila, Delfinę. Była to wysoka Meksykanka o dość jasnej karnacji, miała krótkie czarne włosy i żywe brązowe oczy.

Wyglądała na ciężarną. Verlan przedstawił nas sobie - uśmiechnęła się i zwróciła do mnie po hiszpańsku. Verlan przetłumaczył: mówiła, że jestem ładna - chodziło oczywiście o moje miodowo złote włosy. Miała nadzieję, że będę tu szczęśliwa.

Następnie Verlan poprowadził mnie w kierunku zaniedbanego, dwupokojowego budynku z gliny, leżącego z tyłu za trzema innymi domami, w których mieszkali jego bracia.

- Tu mieszka moja siostra Lucinda. Od lat jest chora, ale nie bój się, jest nieszkodliwa, dopóki siedzi w zamknięciu - wyjaśnił. Nie chciał widocznie zbyt negatywnie mnie nastawić, więc dodał: Ostatnio, kiedy pozwoliliśmy jej wyjść z domu, śledziła matkę z nożem kuchennym w ręku. Na szczęście Delfina ją złapała i nikomu nic się nie stało.

Kiedy Lucinda ujrzała, że się zbliżamy, wystawiła ręce przez grube drewniane kraty w oknie i zawołała, machając w naszą stronę:

- Co to za dziewczyna?!

Verlan przysunął mnie do okna. Widziałam jej rozczochrane, żółta worude włosy. Zarzucała głowę do tyłu, śmiejąc się nie wiadomo z czego. Miała rozpiętą bluzkę, spod której wyłaniały się obwisłe piersi i piegowate, chude ramiona. Mogła mieć jakieś

trzydzieści lat.

Zauważyłam, że w jednym pomieszczeniu w chacie Lucindy nie było dachu.

- To moja szwagierka Irene - przedstawił mnie Verlan.

Lucinda była kompletnie nieskoordynowana. Mówiła bez ładu i składu, nie kończyła jednego zdania, a już zaczynała następne, nagle wybuchała śmiechem. Była bezładna i bezrozumna. Nigdy przedtem nie miałam do czynienia z psychicznie chorą osobą. Przeraziło mnie, że przebywa w klatce jak dzikie zwierzę. Prawie od razu odwróciłam się, by odejść.

Wracaliśmy do domu powoli. Wciąż próbowałam się otrząsnąć z szoku, kiedy nadzedeł wysoki, szczupły mężczyzna o włosach koloru piasku.

- Oto mój brat Alma - przedstawił go Verlan. Alma był najstarszym z braci LeBaronów, którzy mieszkali na ranczu w Meksyku.

Panowie podali sobie ręce, a ja stałam z boku, niedaleko Almy, z rękami na biodrach. Czekałam, aż Alma odpowie na moje powitanie.

On jednak milczał. Czułam wprost, jak wodzi po mnie wzrokiem - od stóp do głów - i ocenia mnie.

- Grzeczne dziewczynki nie stoją z rękami na biodrach - rzekł w końcu, przerywając ciszę, po czym odwrócił się i poszedł w swoją stronę.

Verlan po prostu potrząsnął głową i uśmiechał się przepraszająco.

- Jak to się stało, że dotąd o nim nie słyszałam? - spytałam.

Pomyślałam wtedy, że nawet w muzeum przyrodniczym nie znalazłabym tylu eksponatów, ile chodziło po ranczu LeBaronów.

- Taaak - zaczął Verlan - myślałem, że się przerazisz, jeśli poznasz od razu tak dużo rodzinnych sekretów.

O, nie, pomyślałam, matka miała rację. I wyjąkałam, porządnie zaniepokojona:

- On też jest nienormalny?

- Tak naprawdę to nie. - Yerlan się zaśmiał. - Trzy miesiące temu wszyscy myśleli, że tak, ale tylko przez parę dni. Przegapiliśmy widowisko. Nasz kuzyn Owen, który wtedy tu przyjechał z Kanady, twierdził, że Bóg kieruje wszystkimi jego poczynaniami. Namówił swoje dwie żony i dzieci, by nago paradowały po ranczu. Alma przyłączył się do nich i razem chodzili po wzgórzach po drugiej stronie drogi, po czym nago czekali godzinami na dachu, aż przyleci pojazd kosmiczny i zabierze ich do niebieskich przestworzy. Ale nie do-czekali się, bo pojawiła się meksykańska policja i Alma doszedł do wniosku, że razem z Owenem zostali oszukani.

Kiedy Verlan zobaczył zdumienie na mojej twarzy, dodał szybko:

- Ale, Irene, nie nastawiaj się przeciwko niemu! On już odpokutował!

Verlan próbował obrócić to wszystko w żart, lecz ja czułam, jak moja rozpacz się pogłębia. Może to i dobrze, że do tej pory nikt się nie dowiedział, że jestem drugą żoną Verlana... Nie byłam pewna, czy chcę mieć cokolwiek wspólnego z tymi wszystkimi

LeBaronami.



Tego wieczoru Ervil wziął Verlan na stronę. Nie mogłam się zmusić, by nie podsłuchiwać:

- Kto odpowiada za tę twoją szwagierkę? - padło pytanie.

- Ja - odrzekł Verlan. - Przyjechała tu do towarzystwa Charlotte.

Szeroki uśmiech satysfakcji rozlał się na rzeźbionych rysach Ervila.

- Więc muszę ci powiedzieć, że miałem wizję - powiedział z dumą. - Dziś w nocy Bóg objawił mi, że pragnie, by Irene została moją drugą żoną!

Verlan odpalił szybko, a jego ton nie był bynajmniej przyjazny:

- Lepiej zostaw ją w spokoju, Ervil. Ona jest moją żoną.

Głupkowaty uśmiech zniknął w mgnieniu oka z twarzy Ervila.

Oblał ją teraz gorący rumieniec i Ervil zaczął przeproszać:

- Verlan, żartowałem, tylko żartowałem, poważnie.

Tego dnia, już przed wieczorem, zauważyłam, że Verlan ma poważny kłopot. Wyraz twarzy Charlotte wskazywał wciąż na coś więcej niż niezadowolenie. W stosunku do mnie zachowywała się przyzwoicie, ale nie próbowała rozmawiać. Verlan przez dwadzieścia minut był u niej w pokoju, mówiąc dobranoc. W końcu zamknął drzwi do kuchni i wpełzł do mego łóżka. Jego optymizm i umiejętność odnajdywania pozytywnych stron każdej sytuacji zdumiewały mnie.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, wszystko układa się świetnie - ocenił. - Mam dwie żony w tym samym domu, nie było dotąd większych kłótni. Dzięki Bogu, że i ty, i Charlotte zostałyście wychowane w tych samych fundamentalnych, mormońskich zasadach.

Zdaję sobie sprawę, że musi być wam ciężko, ale i tak macie szczęście, że jesteście siostrami. Na pewno jakoś się dogadacie.

Tak, bez wątpienia kochałam Charlotte, zapewniłam. Prawda jednak była taka, że nie dało się żyć pod jednym dachem i czuć się swobodnie.

- Tak naprawdę - oznajmiłam - to chcę mieć własny dom, nawet jeśli będzie to tylko jeden pokój.

Verlan wyraził swoje rozczarowanie samym faktem, że przychodzą mi do głowy takie myśli:

- Nigdy nie nauczysz się przewycięzać swoich wad i zazdrości, jeśli nie będziesz stawiać im czoła dzień w dzień - pouczył mnie. - Musisz pokonywać niedobre myśli, musisz się oczyszczać. Nie podważaj swego zbawienia przez dalsze pławienie się w grzechu.

Po latach okazało się, że była to standardowa odpowiedź, jakiej mężowie poligamiści udzielali zbuntowanym - jak ja wówczas - żonom, żądającym własnego domu. Lecz tamtej nocy, na samym początku naszego małżeństwa, wydawało się, że nagana,

jakiej udzielił mi Verlan, jest całkiem przekonująca.

- A poza tym - ciągnął, dochodząc do sedna sprawy - nie stać mnie na drugi dom. Pieniądzy, które tu zarabiamy, wystarcza zaledwie na przetrwanie, a nie na dodatkowe zachcianki.

Powiedziawszy to, szybko zmienił temat. Opowiedział mi o objawieniu Ervila i o tym, jak Ervil ponoć wiedział, że mam być jego żoną, a nie tylko szwagierką.

- Tak, tak, słyszałam - odparłam. - Z jego pseudoobjawienia można się tylko śmiać. - W myśli życzyłam sobie, żeby Verlan zamilkł na wystarczająco długo, by mnie poznać, jak Adam poznał Ewę, w sensie biblijnym. Czyż nie był to jego mążowski obowiązek?

Zaczełam potarłam palcami stóp o jego bosą stopę, pochyliłam się nad nim, głaszcząc go po szyi i przeczesując mu palcami włosy.

Moje młode ciało aż bolało z pożądania. Wzdłuż kręgosłupa przebiegały dreszcze. Verlan nawet najmniejszym gestem nie odpowiedział na moje zaloty. W końcu wydusiłam z siebie pytanie:

- Verlan, ty naprawdę mnie nie kochasz? Co robię źle?

- Kocham cię, oczywiście - wyszeptał niemal z bólem. - To, że nie uprawiamy seksu, nie znaczy, że cię nie kocham. Seks nie powinien w naszym życiu odgrywać wielkiej roli. Wiesz przecież, że sięgamy po wyższe cele. Jeśli chcemy osiągnąć boskość, musimy zachowywać czystość!

Nie chciałam tego dłużej słuchać. On jednak kontynuował kazanie:

- Musimy nauczyć się panować nad pożądaniem i korzystać z niego tylko do celów prokreacji. Robiliśmy to już dwa razy przez ostatnie kilka tygodni. Nie popełniamy świętokradztwa.

Odwróciłam się do niego plecami, żeby wyprzeć jakoś z głowy te bolesne słowa. Nie byłam w stanie znieść odrzucenia, gdy chciałam po prostu czuć miłość i bliskość męża. W głębi duszy krzyczałam.

Oczywiście sama do tego doprowadziłam, zgadzając się bez zastrzeżeń na przestrzeganie zasady czystości, tej nocy, kiedy po raz pierwszy skonsumowaliśmy nasze małżeństwo. Po owym pierwszym, bolesnym doświadczeniu seksualnym chciałam w ogóle powstrzymać się od współżycia. Byłam przekonana, że te obrzydliwe czynności pochodzą od samego diabła. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego Bóg w ogóle na to zezwala, prócz sytuacji absolutnie niezbędnych - kiedy chodzi o rozmnażanie. Wówczas byłam pewna, że dotrzymać obietnicy czystości będzie mi niezwykle łatwo.

Wszystko to jednak działo się przed nocą, którą Verlan spędził ze mną u ciotki Beth. Do tamtej pory nie znałam takiej ekstazy. Czulałam się tak, jakbym wspinała się w górę do chwały, przechodziła przez kolejne jej stadia i trafiła w końcu do samego wysnionego nieba.

Dlaczego Bóg miałby wymyślić coś równie cudownego tylko po to, by obłożyć to

srogimi restrykcjami? Uważałam, że to niezbyt sprawiedliwe.

Zaczęłam nagle rozmyślać o matce. Jak ona mogła wytrzymać tyle lat bez fizycznej miłości? To prawda, Horacy był żaloszny, lecz teraz biłam się w pierś za to, że wtedy za nic w świecie nie chciałam pozwolić, by zaznała miłości mężczyzny. Dlaczego nie usłuchałam jej mądrości, jej ostrzeżeń? Dlaczego wtedy nie wpadłam na to, że Bóg przemawia do mnie właśnie przez matkę, przez Richarda i nawet przez ojca, a byłam przekonana, że czyni to przez ciotkę Rheę, Donnę i wuja Rulona? Dlaczego nie przypuszczałam, że Bóg każe mi odrzucić wpajaną od dzieciństwa ideę poligamii i przyjmując piękny dar -Glena?

Trzecie przykazanie nakazuje przecież szacunek dla ojca i matki. Ja nie posłuchałam matki ani ojca, więc należało spodziewać się kary. Wobec tego, może Bóg wyświadczy mi przysługę i skróci moje ziemskie dni.

Leżałam w ciemnościach, jednym uchem słuchając pochrapywania Verlana, a drugim tupotu malutkich łapek. Zdawałam sobie sprawę, że moje myśli wędrują w niebezpiecznym kierunku, więc żeby się uspokoić, powiedziałam sobie, że Verlan jest po prostu człowiekiem, który kocha Boga bardziej niż ja. Uczciwie należał mu się za to szacunek. Nie był poządlivy, jak inni mężczyźni. W każdym razie jeśli chodzi o pewne sprawy.

Jego pragnieniem było ożenić się przynajmniej siedmiokrotnie i zdobyć kworum siedmiu żon, jak to nazywał. Wierzył, że to zapewni mu wieczną chwałę. Ja tymczasem miałam być po prostu cierpliwa i posłuszna - na rozwiązanie naszych małżeńskich problemów mieliśmy przecież całą wieczność. Zostaliśmy wezwani przez Boga do rozmnażania się i zaludniania ziemi, a przez to do powiększania swej przyszłej chwały. Moje cierpienie będzie więc długoterminowe.

Ale musieliśmy przecież uprawiać seks, by mogły urodzić się wszystkie planowane dzieci, nieprawdaż?

Często w nocy leżałam przy uśpionym głęboko Verlanie i zastanawiałam się, czy problem leży rzeczywiście po mojej stronie. Czy coś ze mną jest nie tak? Czy go w jakiś sposób obrażam? Wiedziałam, że nie jestem nie wiadomo jaką pięknoscia, ale również nikt nigdy nie powiedział o mnie, że jestem brzydka. Było wielu mężczyzn, którzy pragnęli mnie już wtedy, gdy miałam zaledwie szesnaście lat. W samej rzeczy, zawsze dawano mi do zrozumienia, że jestem dość ładna w porównaniu do innych dziewcząt. Miałam długie złociste włosy, które uplatałam w grube, sięgające poniżej ramion war-kocze. Czasem nosiłam włosy rozpuszczone, z przedziałką pośrodku i falą po każdej stronie. Byłam średniego wzrostu, miałam niebieskie oczy i nie byłam gruba.

Moją wadą było to, że nie potrafiłam zachować powagi. Może życie i było ciężkie, ale ja od czasu do czasu musiałam odreagować - inaczej stałabym się po prostu do niczego. Potrafiłam znaleźć coś śmiesznego nawet w tragicznej sytuacji.

Postanowiłam, że przestanę być taka okropna i może wówczas Verlan mnie poko-

cha. Teraz ponad wszystko pragnęłam stać się jego ulubioną żoną.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Następnego popołudnia Verlan zaprowadził mnie do tak zwanej serowarni. Zastaliśmy tam przy pracy Ervila. Od chwili, gdy Verlan powiedział mi, że na ranchu produkują własny ser, bardzo chciałam zobaczyć, jak to wygląda. Nie byłam jednak przygotowana na to, co przyszło mi oglądać. Prawy rękaw szarej, brudnej koszuli Ervila był podciągnięty aż pod samą pachę. Zafascynowana patrzyłam, jak ciemne włosy na jego długich rękach wirują w zsiadłym mleku, a on miesza bezustannie delikatnym, okrężnym ruchem i tłumaczy mi, jak łatwo jest zrobić z mleka ser.

- Miło, że tu do mnie wpadliście - rzekł po chwili.

Byłam zbyt zajęta rozglądaniem się po niewiarygodnie brudnym pomieszczeniu, by skoncentrować się na jego słowach. Porwane metalowe siatki w oknach wpuszczały do środka więcej much, niż wypuszczały na zewnątrz. Na surowej, betonowej podłodze stały kałuże skwaśniałej serwatki. Ich zapach przyprawiał mnie o mdłości. Na stole leżały brudne, upstrzone przez muchy ściereczki do odciskania serów, sztywne od wyschniętego zsiadłego mleka. W pomieszczeniu latało z tysiąc much. Cieszyłam się, że ani Verlan, ani Ervil nie potrafią czytać w moich myślach.

Zerknęłam na dzieżę do mieszania mleka. Serwatka sięgała samego brzegu, na jej powierzchni zbierała się piana. Ogromne dłonie Ervila przyciskały powstające bryłki twarożku do dna dużej, cynkowanej dzieży. Następnie, za pomocą niewielkiego mosiężnego rondla Ervil przelewał żółte, ścięte mleko do dwudziestolitrowych wiader. Mówiąc, wciąż mieszał ser. W końcu przechylił dzieżę i przelał resztki, które jeszcze zostały na dnie, do dziurawego wiadra.

- Podaj mi sól, jest tam, na oknie - zwrócił się do mnie.

Chwyciłam zardzewiałą puszkę z solą z parapetu. Sól była w grudach i brudna od kurzu, który na niej nieustannie osiadał.

Zauważyłam w niej też parę mysich kupek. Ervil zobaczył moją minę i poradził, że bym nie była taka delikatna.

- Po prostu je wyjmij - dodał.

Nie zrobiłam tego, tylko wręczyłam puszkę Ervilowi.

Wierzchnią warstwę brudnej soli wrzucił do wiaderka z serwatką, po czym posolił ser. Potem razem z Verlanem rozsiedli się na drewnianym stole, kosztując grudki zrobionego przed chwilą sera. Chciało mi się śmiać -dwóch dużych facetów z nogami opartymi o wiaderko, siedzi na stole i podjada ser po grudce.

Verlan chciał pogadać z Ervilem o sprawach gospodarczych - o tym, jak rozplanować dochody w sytuacji, gdy rodzina się powiększyła.

Czterech braci, mieszkających na ranczu, czyli Alma, Ervil, Floren i Verlan (Joel mieszkał w górach z żoną - Meksykanką, Magdaleną, i handlował kukurydzą) - pracowało wspólnie i rozdzielało zdobyte dobra na cztery równe części. Był to kolejny przykład „Zakonu Jedności”, czyli mormońska wersja socjalizmu wdrożona przez Józefa Smitha jeszcze w dziewiętnastym wieku. Wymagało to pełnego uczestnictwa wszystkich zainteresowanych. Wszelkie dobra, pracę, koszty i przychody dzielono na równe części - przynajmniej w teorii.

Taki był plan braci LeBaronów.

Ervil nie miał wątpliwości co do tego, że nasza rodzina będzie mieć swój udział w produkcji sera. Potem dodał:

- Twoje żony są zapewne przyzwyczajone do wyższego standardu życia, ale tak czy siak, musimy rozdzielać pieniądze na cztery równe części.

Ervil rozłożył płótno w metalowej prasie domowej produkcji i wlał na nie twarożek z wiader. Płyn spływał na lepką podłogę dookoła.

Patrząc na mnie, tak jakby instrukcje skierowane były tylko i wyłącznie do mnie, ciągnął:

- Każdy udany ser można sprzedać za sto peset albo więcej. To osiem do dziesięciu dolarów. Dzieżę i wiadra trzeba myć w wodzie z płynem. Trzeba je wyparzać przed każdym użyciem. Jeśli nie będą idealnie czyste, ser skwaśnieje.

Z moich obserwacji wynikało, że ser musiał im kwaśnieć za każdym razem.

Ervil kontynuował:

- Nasze rodziny będą mogły jeść tylko ser, który skwaśnieje.

Podzielimy go równo między siebie.

Verlan kazał mi posprzątać serowarnię, podczas gdy oni udali się do innych zajęć. Tak oto rozpoczęłam swoją nową pracę. Połamana miotłą zeszkrobałam zastygłą, starą serwatkę z betonowej podłogi.

Przydzwigałam wodę ze studni w potwornie ciężkich wiadrach.

Umyłam i wyparzyłam wszystkie narzędzia i naczynia. Czystą dzieżę przewróciłam do góry dnem i schowałam puszkę z solą, tak by następnego dnia nie było w niej kurzu ani mysich odchodów. Brudne, sztywne płótna do odciskania sera zabrałam do domu, do prania.

Serowarnia wyglądała zupełnie inaczej. Byłam z siebie dumna.

Kiedy panowie wrócili i zobaczyli efekt mojej pracy, z miejsca okrzyknęli mnie szefową serowarni. Zaczęłam doceniać tę pracę -nie dość, że dzięki niej czułam się potrzebna, to wyzwoliłam się od potwornej nudy. W każdej chwili mogłam posiedzieć sobie na stole i zjeść trochę sera ze świadomością, że został wyprodukowany w warunkach higienicznych.



W soboty bracia LeBaronowie jeździli na zmianę autobusem do oddalonego o 20 kilometrów El Valle, gdzie sprzedawali trzy lub cztery sery i za to kupowali cukier, sól, olej, ryż, czasem kilka pomarańczy i inne niezbędne produkty, które rozdzielali potem między cztery rodziny. Rozumiałam, że w takim układzie możliwości Verlana były ograniczone, ale czegoż bym nie dała za własny kąt! Tak bardzo chciałam żyć otwarcie z mężem, że nawet naruszyłam wątpliwą świętość serowarni. Verlan oświadczył wtedy, że pragnie, by jego żony jednoczyły się przez wspólne mieszkanie i zabronił mi kiedykolwiek więcej poruszać ten temat.

Miał dwadzieścia trzy lata i był o siedem lat ode mnie starszy. Ja zaś długo musiałam słuchać starszych, ale mimo to ciężko mi było słuchać męża, którego kochałam i podziwiałam jako swego rówieśnika.

Był bardzo wysokim blondynem. Stawiał zawsze długie kroki, tak że często narzekałam, że nie mogę za nim nadążyć. Miał duże dłonie pełne odcisków i stwardnień i długie, owłosione ręce zawsze osłonięte ową specjalną bielizną - nawet w czasie meksykańskich letnich upałów. Zwykle na jego przystojnej twarzy jaśniał szeroki uśmiech, ale potrafił być ujmujący, nawet gdy miał zły nastrój.

Wówczas wwiercał we mnie spojrzenie swych niebieskich oczu, lecz przeważnie okazywał mi zrozumienie. Wysłuchiwał mych częstych wybuchów gniewu i złości. Nie brał ich do serca, a kiedy w końcu przestawałam na niego krzyczeć, uśmiechał się i pytał:

- Już po wszystkim?

Verlan kochał pracować. Zwykle wstawał o szóstej rano i - słońce czy deszcz - szedł do jakiejś roboty, próbując zrobić jak najwięcej, zanim znów trzeba będzie kłaść się do łóżka. Szybko nauczyłam się, że lubił dyscyplinę i wymagał, aby w jego domach (wszystkich, jakie w życiu posiadał) zawsze panował porządek - wewnątrz i na zewnątrz. Nawet kiedy jego żony były przekonane, że mucha na niczym nie siada, Verlan zawsze wynajdywał coś, co dało się poprawić, i żądał, byśmy niezwłocznie to uczyniły. Prócz tego nie był trudnym człowiekiem. Uwielbiał moje żarty i tolerował moją trzpiotowatość. Często razem się śmialiśmy.



Jakieś dwa tygodnie po moim przyjeździe na ranczo byłam sama w sypialni. Verlan nocował wtedy u Charlotte. Nie mieliśmy w oknach siatek, więc nad głową rozwieszałam sobie prześcieradło, żeby nie drażniły mnie muchy. Poranne słońce świeciło jasno

przez okna.

Leżałam w półśnie i rozkoszowałam się miłym, chłodnym porannym wiatrem.

Nagle usłyszałam za oknem, dokładnie za moim łóżkiem, ciężkie kroki. Potem dał się słyszeć czyjś głęboki oddech - tak mocny, że prześcieradła wciągały się i wydymały. Zamarłam. Czy to jeden z potwornych bandytów, przed którymi ostrzegła mnie matka? Ciężki oddech przybliżał się coraz bardziej. Błyskawicznie przemyślałam wszystkie możliwości obrony. Nie ma wątpliwości - za chwilę ktoś wbije mi sztylet prosto w serce. A może zgwałci mnie we własnym łóżku?

Byłam tak sparaliżowana ze strachu, że nawet nie mogłam krzyknąć.

Dlaczego nie ma Yerlana, żeby mnie obronić, dlaczego musi spać dziś u Charlotte? Nawet jeśli zacznę krzyczeć, i tak nie zdążą przybiec na czas. Kolejne ciężkie kroki. Jeszcze głośniejszy oddech. Czułam, że po prostu muszę coś zrobić - i tak zginę, więc muszę chociaż spróbować.

Zebrałam się na odwagę, by odrzucić prześcieradło i stanąć twarzą w twarz z napastnikiem za oknem. Stał tam... brudny, szary osioł. Wsadził teraz głowę przez okno, wystawała tuż nad moim łóżkiem, i ryknął mi prosto w twarz.

Zerwałam się z posłania, porwałam ze sobą zmięte prześcieradło i z przeraźliwym wrzaskiem wyskoczyłam z pokoju do kuchni. Sekundę potem z pokoju Charlotte wyłonił się Verlan gotów do walki. Kiedy jednak zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, wybuchnął śmiechem.

Czułam się jak idiotka. Bandytą okazał się stary osioł. A drugim osłem byłam ja sama.



Wyszłam do wychodka. Siedziałam tam i oganiałam się od much, kiedy się okazało, że to ta pora miesiąca. Zawsze nienawidziłam okresu, ale ten wywołał tylko uśmiech na mojej twarzy. Nie byłam w ciąży - więc znowu mam szansę na seks.

Nie chciałam zawracać Verlanowi głowy, lecz bezzwłocznie potrzebowałam produktów higienicznych. Nie stać nas było nawet na papier toaletowy, więc jakże miałam prosić o podpaski? Był to pierwszy raz, kiedy rozmawiałam z mężczyzną na równie intymny temat. Kiedy zawstydzona wyjaśniłam, o co mi chodzi, próbował obrócić to w żart:

- No, jeśli moja matka potrafiła sama sobie zrobić podpaski, to ty na pewno też potrafisz.

Zarumieniona ze wstydu odparłam:

- Dostyc żartów.

- Zszyj po prostu parę miękkich gałganków i za chwilę będziesz miała problem z głową - odrzekł na to Verlan.

Zatkało mnie. On mówił poważnie!

- Może ci się wydaje, że wiesz, o czym mówisz, ale po co miałabym szyć coś, co

za chwilę wyrzucę?

- Gałganki to cenny towar, nie wyrzucaj ich – uświadamiał mnie dalej. Oczy otwierały mi się coraz szerzej ze zdumienia. - Będziesz musiała je prac i trzymać na następny raz.

Usłyszawszy to, wbiegłam do mojego pokoju, zaryglowałam drzwi i rzuciłam się na łóżko z płaczem. Potem zaczęłam się modlić: „Boże, jestem gotowa na poświęcenie, ale tylko jeśli Ty tego ode mnie wymagasz. Sama miesiącza to już przekleństwo, i do tego jeszcze chcesz, żebym prała gałganki?”. Leżałam w bezruchu. Miałam nadzieję, że Bóg zrozumie, że sytuacja jest pilna, i da mi natychmiastową odpowiedź. W głowie przeszukiwałam Biblię, przekonana, że ta konkretna forma poświęcenia nie była wymieniona w Starym Testamencie.

Moje myśli przerwał stukający do drzwi Verlan. Próbował stłumić śmiech, kiedy mówił:

- Kochanie, czy nie mówiłaś mi, że chcesz być pionierką jak twoja babka? Pomoże ci to pracować nad charakterem.

- Do diabła z charakterem! - wrzasnęłam. Otworzyłam drzwi tylko troszkę, żeby spojrzeć wprost na niego, i ściszone głosem, żeby nie słyszała mnie Charlotte, powiedziałam: - Nigdy, nigdy, przenigdy ich nie wypiorę!

- Skąd jesteś tego taka pewna? - Mój mąż się roześmiał.

Wiedziałam, że mogę zawsze podeprzeć się Pismem, więc triumfalnie wygłosiłam:

- Ponieważ Bóg nie żąda już krwawej ofiary!

Na to nie znalazł odpowiedzi. Uśmiechnął się, wzruszył ramionami, odwrócił się i odszedł.



Charlotte zawsze zachowywała się w stosunku do mnie przyzwoicie, ale nigdy nie zostałyśmy ani przyjaciółkami, ani powierniczkami. Ciągłe miałam wrażenie, że potępia całkowicie mój styl bycia. Do tego, szczerze mówiąc, nagromadziło się między nami tak wiele niewyjaśnionych spraw, że trudno byłoby się przez nie przebić.

W każdym razie nigdy nie próbowałyśmy. Trzymałyśmy się po prostu w rozsądnej odległości od siebie, choć myślę, że ja okazywałam jej nieco więcej szacunku niż ona mnie, a to z racji tego, że była i starsza, i pierwsza.

Okazało się, że Charlotte spodziewa się drugiego dziecka.

Wciąż mieszkaliśmy pod jednym dachem, lecz ja nie czułam się tam jak w domu. Próbowałam się dostosować, ale nie umiałam poradzić sobie z faktem, że Charlotte zawsze pozwala sobie na zachowania, o których ja nawet nie marzyłam. Jedną z takich rzeczy było czułe zwracanie się do Verlana w mojej obecności, tak jakby chciała podkreślić, że nasz mąż należy tylko do niej.

Pewnej nocy, kiedy byliśmy z Verlanem sami, podzieliłam się z nim swoimi zastrzeżeniami. Powiedziałam mu, że nikt mnie tu nie szanuje. Nie czułam się jego praw-

dziwą żoną.

Próbował mnie pocieszyć i przekonać, że tak nie jest. Mówił:

- Ja jestem panem tego domu. Wy obie jesteście równe. Możesz mnie nazywać, jak tylko chcesz.

Wyznałam, że zawsze się wstydzę, bo Charlotte jest taką prawą, porządną osobą, a do tego pierwszą żoną.

- To żaden problem, po prostu się odważ. Mów do mnie tak, jak chcesz, bylebyś nie przeklinała - zażartował.

Następnego dnia przypadał dyżur Charlotte w kuchni.

Przygotowywała wszystkie potrawy. Po kolacji postawiła na stole ciasto cytrynowe, na deser. To była rzadka gratka.

Verlan uśmiechnął się do mnie i najpierw nałożył sobie, po czym pod stołem puknął mnie kolaniem w kolano, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że pora się odważyć i zacząć pracować nad swoją pozycją w domu. Przełknęłam więc ślinę i odważnie zwróciłam się do niego:

- Kochanie, czy możesz podać mi ciasto?

Charlotte zamarła. Odsunęła z hurgotem krzesło, wstała bez słowa i we łzach pobiegła do pokoju, trzaskając po drodze drzwiami.

Verlan spojrzał na mnie z niesmakiem:

- No i popatrz, co narobiłaś!

Wstał od stołu i poszedł za nią.

Byłam wściekła. Miałam ochotę nazywać go, owszem, ale bynajmniej nie czule. Sprzątnęłam ze stołu i poszłam do swego pokoju.

Czekałam na Verlana aż pół godziny, umierając z niecierpliwości i ciekawości. Czy ustawi Charlotte na właściwym miejscu? Czy wytłumaczy jej, że jesteśmy równe? W końcu przyszedł. Wiedziałam już, że jego milczenie oznacza kłopoty, ale nie mogłam dłużej wytrzymać i spytałam:

- I co? Co się stało? Nie może tego przełknąć?

Ostrożnie dobierał słowa.

- Irene, ona czuje się zraniona, ponieważ powiedziałaś do mnie „kochanie”. To ona tak do mnie mówi, to jej ulubione słowo. Spróbuj to zrozumieć. Znajdź po prostu jakieś słowo, którego ona nie używa.

Wtedy wybuchłam.

- Dobra, w porządku. Mówi do ciebie: słonko, kochanie, najdroższy, misiu i kochany. Jakieś propozycje? No, powiedz, Verlan, jakie to mi zostawia możliwości?

Zniżył głos w nadziei, że ja zrobię tak samo.

- Znajdziemy coś, po prostu coś, czego ona nie używa.

Przez minutę intensywnie myślałam.

- Wiem. Znalazłam. Jest coś, czego ona nigdy nie powie - ogłosiłam zwycięsko. -

Będzie się różnić od tego, jak ona cię nazywa, ale tylko w taki sposób ja będę się do ciebie zwracać. I będę tak do ciebie mówić już zawsze.

- Dobrze - odetchnął z ulgą. - Co to za słowo?

- Kochasiu.

Na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

- O, nie. Nigdy! To zbyt wulgarne! Nie możesz tak się do mnie zwracać!

- Czy ci się to podoba, czy nie, odtąd zawsze tak do ciebie będę mówić! Jesteś dla mnie „kochasiem”.

Pokręcił głową. Odwrócił się do mnie plecami i po chwili głęboko spał. A ja leżałam w ciemnościach i kipiałam ze złości, a w głowie miałam kołowrót gorzkich myśli. Po czyjej on był stronie? Czy nie miałam męża, który mnie obroni?

Wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że nigdy nie będzie nas traktował jednakowo. Od początku to podejrzewałam. Na zawsze zostanę tą drugą.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Mieszkałam już na ranczu kilka miesięcy. W tym czasie rzadko pisałam do matki. Ona od czasu do czasu pisała coś do mnie - donosiła o ważnych wydarzeniach w rodzinie, opowiadała o pracy z niepełnosprawnymi dziećmi i zapewniała o swojej miłości - ale rzadko zadawała pytania. Myślę, że żadna z nas nie chciała wchodzić w szczegóły mojej sytuacji w Meksyku. Było tak źle, jak matka to przewidywała, może nawet gorzej. Wiedziałam, że jeśli wtajemniczę ją w konkrety mojego ówczesnego życia, złamię jej serce. Dlatego zdradzałam niewiele.

Dla siebie na przykład zachowałam prawdę o naszej kompletnej izolacji od reszty świata. Nie mieliśmy nic do czytania, żadnych gazet, radia. Charlotte miała z dziesięć książek religijnych, które szybko przeczytałam od deski do deski - co do jednej. Kiedy z matką klepałyśmy biedę w Trout Creek, mogłyśmy chociaż słuchać radia, czytać klasykę i miesięcznik „Reader's Digest”. Tutaj - nic. Nie było przyjaciół i żadnej rodziny prócz Verlana. Tęskniłam za radiem czy dobrą powieścią, które pomogłyby mi skierować myśli na inny tor.

Tylko w niedzielę mogłam odpocząć od potwornej nudy codzienności. Zaprzęgaliśmy konie do naszego starego, zniszczonego wozu, pakowaliśmy gar gotowanej fasoli i parę bochenków świeżo upieczonego chleba z pełnego ziarna i jechaliśmy osiem kilometrów do małej osady, którą nazywaliśmy Spencerville, bo mieszkała tam rodzina Spencerów. Przyjeżdżało nas tam zwykle około trzydziestu osób, włączając rodziny Florena i Ervila. Zbieraliśmy się koło maleńkiej, trzypokojowej glinianej chaty Spencerów na niedzielną modlitwę.

Mężczyźni prowadzili te spotkania po kolei. Potem jedliśmy lunch i gromadziliśmy się wokół starodawnych organów, na których grała najstarsza, siedemnastoletnia córka Spencerów, Lucy. Przez całe popołudnie śpiewaliśmy psalmy - aż kompletnie traciliśmy głos.

Usilnie się starałam ignorować flirt pomiędzy Lucy i Verlanem, którzy bez przerwy przesyłali sobie uśmiechy. Nie miałam prawa być zazdrosna. Verlan już dawno mi po-

wiedział, że Lucy ma zamiar /ostać jego trzecią żoną. W głębi serca miałam nadzieję, że jeszcze /mieni zdanie, ale nie zanosilo się na to. Poza tym Verlan potrzebował kolejnej żony, jeśli chciał zbliżyć się coraz bardziej do osiągnięcia swego ostatecznego celu - wiecznej chwały. Ja zaś, zgodnie z Regułą, miałam go do tego prowadzić. Oznaczało to, że mam pomagać mu w zalotach do Lucy. Często mruczałam pod nosem: „Po moim trupie...”.

Pisma mormońskie mówią: „Jeżeli ma żonę jakiś mąż i naucza ją prawa mego kapłaństwa (poligamii), wtedy uwierzy mu ona i będzie mu służyć, albo będzie zniszczona” (Nauki i Przymierza, 132, 64). Nie musiałam czekać, aż Bóg mnie zgładzi. Czyniła to za Niego zazdrość.



Przeważnie Charlotte i ja nie dotrzymywałyśmy sobie nawzajem towarzystwa. Ona znikala gdzieś najczęściej z Anną, żoną Florena. Ja zaś spędzałam długie godziny w towarzystwie moich meksykańskich szwagierek - Luz i Delfiny. Luz była żoną Almy, a Delfina - Ervila.

Żadna z nich nie mówiła po angielsku. Chociaż przebywałam z nimi już od czterech miesięcy, nie nauczyłam się hiszpańskiego - lepiej szło mi gestykulowanie. Ciągłe rozumiałam tylko kilka słów i całkowicie się zniechęciłam. Byłam zmęczona próbami porozumienia z nimi. Nuda sprawiła, że zaczęłam odwiedzać psychicznie chorą siostrę Verlan, Lucindę. Mogła być nienormalna, ale chociaż ona odpowiadała mi po angielsku. Chodziłam do niej prawie codziennie, zanosila jej polne kwiaty albo coś dobrego do jedzenia. Przez trzy miesiące słuchałam jej nieskładnego gadania i próbowałam z tych pomieszanych fragmentów złożyć historię jej tragicznego, niespełnionego życia. Więcej niż z jej paplaniny można było wyczytać z beznadziejnej rozpaczki w jej oczach.

Lucinda żyła w poligamii. Była drugą żoną i próbowała postępować zgodnie z zasadami, jakie wpojono jej w rodzinie fundamentalistów.

Coś jednak poszło w złym kierunku. Wiele razy pytałam Boga, dlaczego pozwolił jej stracić rozum, jeśli tak mocno starała się być Mu posłuszną. W jej słowach nigdy nie słyszałam nawet cienia radości - żadnych spełnionych marzeń, ani krztyny szczęścia.

Kiedy zadawałam jej pytania o młodość, biła pięściami w nierówne ściany swojej glinianej celi. Za każdym razem, kiedy wymieniałam imię pierwszej żony jej męża, Marthy, łapała dużą łyżkę i zaczynała z pasją grzebać nią w ścianie, jakby próbowała wywiercić otwór, przez który dałoby się uciec.

Bałam się, że to, co się z nią stało, stało się z zazdrości. Z czasem byłam tego coraz bardziej pewna - sama czułam, że w mojej zazdrości kiełkują nasiona piekła. Jeśli nie uda mi się przewyciężyć tego grzechu, zniszczy mnie szatan - jak Lucindę. Odtąd musiałam starać się być miłsza w stosunku do Lucy. Inaczej ryzykowałam potępienie. Prócz tego Verlan będzie kochał mnie tym mocniej, im lepiej będę mu służyć.



Im dłużej Verlan i ja zachowywaliśmy „czystość”, tym bardziej tęskniłam za uściskiem, dotykiem i fizyczną miłością. On wciąż powtarzał, że mnie kocha, lecz w żaden sensowny, emocjonalny sposób nie potwierdzało tego jego zachowanie, przynajmniej według mnie. Co drugą noc zasypiał u mego boku, pochrapując, a ja płaczem kołysałam się do snu.

Błagałam go, by zmienił swoje twarde zasady co do seksu. Mój umysł akceptował doktrynę, a nawet zgadzał się z nią, lecz ciało domagało się dotyku. Byłam idealnym obrazem starego biblijnego powiedzenia o ochoczym duchu w słabym ciele. Z im większym chłodem podchodził do tego Verlan, tym bardziej moje słabe ciało było gotowe mnie zniszczyć.

Starałam się przeciągnąć go na moją stronę i wyszukiwałam wszystkie cytaty podchodzące z ważnych tekstów mormońskich. Na przykład: „Mężczyzna jest po to, aby doświadczać radości” (Druga Księga Nefiego, 2:25). Na pewno więc także kobieta jest po to, by doświadczać radości - argumentowałam.

- Mnie radość przyniesie seks.

- Irene - stanowczo odpowiadał Verlan - seks nie jest dla przyjemności, tylko dla rozmnażania. Wiesz o tym. Jeśli pozwolimy sobie cieszyć się aktem płciowym, Bóg ukarze nas, bo popełnimy grzech cielesności.

Prawie za każdym razem, gdy przychodził do mojego pokoju, kłóciłam się z nim o to, ale on wciąż odrzucał moje zaloty.

- Każdemu wystarczy seks raz w miesiącu - przypominał niezłomnie, wracając do punktu wyjścia.

Pewnej nocy szczególnie chciałam postawić na swoim.

- Myślałam, że Bóg nie pobłaza ludziom - zaczęłam podchwytiliwie.

- Nie.

- To dlaczego ciebie rozpieszcza? Tylko tobie należą się przyjemności!

- Wiesz, że nie ja ustalałam reguły. A w ogóle to robię to tylko z obowiązku.

Byłam tak sfrustrowana, że zabrakło mi słów. Waliłam pięściami w poduszkę, a potem tłumiłam ją szlochaniem, by nie usłyszała mnie Charlotte. Nie mogłam nawet krzyknąć, kiedy chciałam.

Verlan oczywiście nie rozumiał, dlaczego tak bardzo zależało mi wówczas na zbliżeniach. Nie mógł. Ja sama dopiero od tygodnia wiedziałam, że jestem w ciąży, a zasada czystości kompletnie zakazywała seksu w stanie błogosławionym. Wiedziałam, że im dłużej będę się cieszyć z naszych comiesięcznych aktów prokreacji, trzymając ciężę w tajemnicy, tym bardziej oczywiście będzie dla niego, że świadomie dopuszczam się grzechu nieczystości. Czułam, że muszę powiedzieć mu o dziecku następnego dnia, więc tej nocy po raz ostatni mam szansę doświadczyć prawdziwej miłości. Potem - nic przez dziewięć długich miesięcy plus czas karmienia piersią.

Sroga bo sroga, ale to jednak była zasada. Często porównywałam ją do sytuacji osoby, która przez całe życie nie jadła słodczy. Pewnego dnia zostaje zaproszona na przyjęcie i poczęstowana gigantycznym kawałkiem wyjątkowo pysznego, wilgotnego tortu z polewą czekoladową. Po dwóch wspaniałych kęsach ktoś wydziera jej pozostałą część tortu i krzyczy:

- Dość! Wyłącz teraz kubki smakowe!

A więc moje kubki smakowe po prostu nie dawały się wyłączyć.

Kiedy tak szlochałam w poduszkę, Verlan przytulił mnie i wyszeptał:

- Irene, módl się więcej. Bóg pomoże ci to przezwyciężyć.



Luz i Delfina zaczęły na mnie patrzeć podejrzliwie, zanim jeszcze urósł mój ciążowy brzuch. Same powiększone piersi zdradziły więcej niż Verlan. Języki ludzkie nie próżnowały. W powietrzu wisały osądzenia o zdradę i cudzołóstwo - grzechy o wiele cięższe niż poligamia, nawet dla katoliczek, którymi obie były.

Verlan nie chciał być przyczyną skandalu, szczególnie wśród najbliższych. Wkrótce więc musiał wyznać prawdę. Ponieważ był człowiekiem nieznoszącym konfliktów, zamierzał odkryć prawdę o swojej poligamii dopiero kiedy absolutnie zajdzie taka potrzeba.

Wyprzedził go jednak mój brzuch. Prawda po prostu wyszła na wierzch - w dosłownym sensie.

Moja ciąża spowodowała w rodzinie wielką konsternację. Kiedy podejrzenia Luz i Delfiny się potwierdziły, obie naskoczyły mocno na swoich mężów i wymogły na nich obietnicę, że żaden z nich, Alma ani Ervil, nie pójdą w ślady brata.

Bracia LeBaronowie, którzy sami byli produktami poligamii - wszyscy w nią wierzyli. To właśnie z powodu swoich radykalnych przekonań religijnych znaleźli się w bezpiecznym i odludnym Meksyku. Verlan jednak jako pierwszy wprowadził Regułę w życie. Do tej pory bracia byli zajęci osiedlaniem się na pustkowiu - zakładaniem w dziczy swego pionierskiego królestwa, własnej wersji „Zakonu Jedności”, jak dawni prorocy. Wielożeństwo było nieodzowną częścią ich planu, częścią dotąd niezrealizowaną.

Między braćmi toczyło się zjadłe współzawodnictwo o to, któremu pierwszemu uda się go zrealizować. Verlan, choć najmłodszy, miał okazję podczas nauki na Uniwersytecie Brigham Younga spenetrować siatkę rodzin poligamicznych w Utah i wybrać sobie drugą wieczystą żonę, czyli mnie.

Okazało się, że fakt, iż zostałam żoną Verlana, wiele znaczył. Po pierwsze, żeniąc się ze mną, Verlan rozpoczął życie w Regule, a po drugie, poprzez Verlana życie w Regule rozpoczął cały klan LeBaronów. Dlatego stałam się kimś wyjątkowym. Starsi bracia Verlana - Alma, Ervil i Floren pragnęli pierwsi osiągnąć wyższy stopień chwały. Verlan ich ubiegł, dlatego byli mi niechętni. Ich żony również były mi niechętne, bo pa-

nicznie bały się poligamii, która nie dość, że obrażała ich moralność i zasady religijne, to jeszcze bardziej zagrażała ich kobiecości.

Kiedy mój status jako żony Verlana został potwierdzony, żony jego braci jeszcze bardziej zacieśniły swój krąg, zapraszając do niego Charlotte, którą traktowały jak prawowitą szwagierkę, mnie natomiast kompletnie odepchnęły. Teraz dopiero czułam się jak obcy wśród obcych.

Szybko przestałam się mieścić w moje ubrania. Wszystko było za małe. Verlan jakimś cudem kupił dla mnie trzy różne sztuki materiału w El Valle. Charlotte pomogła mi wykroić i uszyć dwa stroje ciężowe. Najbardziej lubiłam granatową spódnicę i do tego luźną bluzkę w różowe kwiatuszki. Oszczędzałam ją na niedziele, na wyjazdy do Spencerville.

Zamiast własnych za ciasnych majtek nosiłam białe dziergane bokserki Verlana. Kiedy brzuch mi urósł, odkryłam, że są o wiele wygodniejsze ze względu na otwierające się rozcięcie. Obiecałam mu, że przestanę ich używać, gdy tylko kupi mi coś większego.

Verlan pogadał z matką Lucy, Sylvią Spencer, która przyszła mi z pomocą. Zaprowadziła mnie do swej zagraconej sypialni, gdzie trzymała pudła z używanymi ciuchami dla dwanaściorga swoich dzieci.

Starałam się okazać należyłą wdzięczność, gdy wręczyła mi parę staromodnych, wielkich, różowych majtek. Miałam zaledwie siedemnaście lat i zdecydowanie zasługiwałam na więcej. Wiedziałam jednak, że „dumę należy zgładzić”, więc ją przełknęłam. Ohydne majty przyjemnie się rozciągały na rosnącym brzuchu. Pasowały przy tym idealnie do własnoręcznie uszytej półhaleczki z worka po mące i przedziwnego biustonosza wykrojonego z worka po cukrze. Po latach znowu nosiłam ubrania uszyte z worka...

Dreptałam w podartych, znoszonych butach, które gubiłam, idąc za szybko. Za nie również oczekiwano ode mnie wdzięczności. Alma za grosze wykupił cały niesprzedany asortyment ze sklepu obuwniczego w Nuevo Casas Grandes. Miał zamiar zaopatrzyć nas wszystkich, a to, co pozostanie, sprzedać biednym Meksykanom z gór. Kiedy ujrzałam tę przedziwną kolekcję butów, roześmiałam się i rzekłam do Verlana:

- Nie wzięłabym całej góry tych butów, nawet gdybyś chciał mi dopłacić! Wyglądają jak buty, w których chodziła moja babcia! Nigdzie się w nich nie pokażę!

- Irene, bądź wdzięczna! - nalegał. - To dla nas błogosławieństwo. Nikt poza najbliższą rodziną cię w nich nie zobaczy. Luz i Delfina już je noszą, więc nie bądź śmieszna.

Beznadziejna była już sama ciąża, a co dopiero bosa! Niechętnie, ale wzięłam buty.

Pewnego dnia, kiedy byłam w czwartym miesiącu, Verlan przytulił się do mnie od tyłu, ucałował w twarz i położył ręce na moim brzuchu.

- Czy dziecko już kopie? - spytał podeksycytowany. - Powiedz mi, kiedy zacnie.

Chcę to poczuć.

Moja odpowiedź była całkowitym zaskoczeniem dla nas obojga:

- To dziecko umrze zaraz po urodzeniu.

Kiedy usłyszałam własne, szorstkie słowa, byłam wściekła na siebie. Miałam jednak dziwne przeczucie, że tak właśnie się stanie, i za nic nie mogłam się go pozbyć.

Verlan przycisnął mnie mocniej i nagle zdałam sobie sprawę, że płacze. Dotąd nie widziałam, by uronił choć jedną łzę. Czułam się potwornie. Przecież nie chciałam go zranić. Szlochał, kilka razy nabierając powietrza, po czym rzekł:

- Nigdy już nie mów takich okropnych rzeczy.

Kiedy poczułam jego rozpacz, wyparłam z myśli to straszne przeświadczenie i obiecałam sobie, że już nigdy o tym nie wspomnę.



Moja granatowa ciężowa spódnica nie była jeszcze bardzo brudna, lecz postanowiłam ją uprać - wraz z koszulą do kompletu, tą w kwiatuszki. Namoczyłam koszulę i zaczęłam ją delikatnie wygniatać, gdy nagle zobaczyłam, że maleńkie kwiatki płowieją i zaczynają znikać! Załamalam się. Moja śliczna koszula była teraz po prostu brudnoszara. Musiałam mocno trzeć miejsca przy kołnierzu i na spodzie rękawów, żeby sprać pozostałe kwiatuszki. Następnie zanurzyłam spódnice. Woda natychmiast nabrała koloru atramentu. Szybko wypłukałam spódnice w czystej wodzie i wyżęłam, ale kiedy roztrzepałam ją i powiesiłam na sznurze do wyschnięcia, nie mogłam uwierzyć. Była cała w brudne, szaroniebieskie smugi, wyglądała jak tkaniny farbowane po uprzednim związaniu. Było po moim nowym stroju. Druga sukienka, w którą się jeszcze mieściłam, wyglądała znacznie gorzej - nosiłam ją dzień w dzień do pracy - wyganiałam w niej krowy, robiłam ser, piekłam chleb i wekowałam owoce. Teraz mój niedzielny strój był równie brzydki.

Następnego dnia wybierałam się po raz pierwszy do lekarza i nie miałam się w co ubrać. Verlan nalegał, bym spróbowała wyprasować zniszczoną spódnice i bluzkę. Kiedy zobaczyła mnie Charlotte, pozwoliła mi wybrać coś ze swojej szafy, ale utylam tak bardzo, że nic nie było na mnie dobre. Musiałam poradzić sobie z tym, co mi zostało.

Miała to być moja pierwsza wyprawa do miasta od przeprowadzki do Meksyku. Nuevo Casas Grandes, lub po prostu Casas, jak mówiliśmy, leżało zaledwie 60 kilometrów od nas, a ja jeszcze tam nie byłam. Alma zaproponował, że nas zawiezie, to oszczędzimy na biletach autobusowych, ale będziemy musieli wracać okazją, bo on wybierał się w góry sprzedawać te swoje ohydne buty.

Podczas przygotowań do wyjazdu moja godność wisiała wciąż na włosku. Wiedziałam, że muszę poddać się badaniu lekarskiemu, by sprawdzić, czy dziecko jest prawidłowo ułożone, ale chciałam pokazać się lekarzowi w moim ładnym nowym stroju, a nie wyglądać jak uboga, ciężarna chłopka. I oto proszę - ubranie do wyrzucenia, a na

nogach buty jak po prababci. Starłam z nich kurz i błoto. Miałam przy tym nadzieję, że będę pamiętać o niezakładaniu nogi na nogę, żeby nie odsłonić wielkich dziur w podszwach. Zatkalam je kawałkami tektury, żeby kamienie nie raniły mi stóp.

Nigdy przedtem nie byłam u lekarza. Jednym z powodów było to, że nigdy nie chorowałam. Drugim - że poligamiści nie chadzali się leczyć, chyba że cierpieli na coś naprawdę poważnego. Nie miałam pojęcia, co mnie czeka. Dzięki Bogu lekarz będzie Meksykaninem i nie zrozumie, co do mnie mówi. Podczas badania będzie rozmawiać z Verlanem, więc nie znajdę się w centrum uwagi.

- A co się stanie, jeśli nie pojedę? - pytałam Verlana zdesperowana, pragnąc za wszelką cenę jakoś się od tego wywinąć.

- Musisz. Pamiętaj, że rodzimy w domu. Ciotka Sylvia przyjmie poród tylko pod warunkiem, że dziecko jest dobrze ułożone i urodzi się najpierw głowa. Już jedno straciła, kiedy rodziło się pośladkami. Nie chce ryzykować.

- Chyba umrę, jeśli mam tam jechać w tym stroju.

- A dziecko może umrzeć, jeśli nie pojedziesz - odparował.

Verlan prawie siłą zaciągnął mnie do półciężarówki Almy.

Usiadł obok niego, a ja przy oknie. W głowie kłębiły mi się przerażające myśli. Słyszałam na przykład, że w Stanach lekarze oglądali twoją... no, wiadomo. Koszmar! Miałam nadzieję, że tu, w Meksyku, będzie inaczej. Jeśli miał dotyczyć mi brzucha i to wszystko, jestem w stanie wytrzymać. Ale niewątpliwie umrę ze wstydu, jeśli zobaczy moją własnej roboty bieliznę. Z halki nie sprząły się jeszcze do końca czerwone i niebieskie litery M-A-K-A, a nie stać nas było na wybielacz. Moje myśli pędziły niemal równie szybko, jak wiozący nas samochód. Czy doktor zobaczy również mój własnej roboty stanik? Nie mogłam zawracać Verlanowi głowy głupimi obawami. Zresztą Alma by usłyszał. Zwróciłam się więc do Boga: „Cokolwiek zrobisz, Boże, proszę, nie pozwól, by ten obcokrajowiec zobaczył moje starodawne, beznadziejne gacie!”.

Jechaliśmy starą wyboistą drogą całe wieki. W końcu, w oddali, zobaczyłam „duże miasto” Casas. O rany, ale ci LeBaronowie przesadzali! To nie było żadne miasto - wyglądało raczej jak kowbojskie miasteczko z westernów. Były tam tory i stacja kolejowa, Hotel California, mały kościółek, bank i sklep z tekstyliami o nazwie El Madrigal de la Luz. Zobaczyłam sklecone stragany, na których meksykańscy handlarze sprzedawali kapelusze słomkowe, skórzane paski, tuniki z wełny z włosom i owoce. Wzdłuż głównej drogi stało jeszcze parę starodawnych budynków, a dookoła były rozrzucone gliniane domki. Ot i całe miasto.

Alma wysadził nas przy parku miejskim. Verlan wziął mnie za rękę i przeszliśmy przez wąską uliczkę. Potem wskazał mi schody na tyłach budynku banku. Prowadziły do gabinetu doktora Hacha.

- Idź sama - powiedział Verlan. - Doktor jest mormonem i to najlepszy lekarz w mieście. A do tego mówi po angielsku. Wysyłam cię właśnie do niego, bo zasługujesz

na najlepsze.

Byłam przerażona.

- Nigdzie bez ciebie nie idę! A już na pewno nie w tym stroju!

Verlan włożył mi po prostu do ręki dwadzieścia peset i delikatnie popchnął ku schodom.

- Irene, idź na górę. No, idź.

Stałam tam bez słowa. Zbierałam myśli, by znaleźć jakiś argument, który pomógłby mi w ostatniej chwili uciec przed nieuchronnym.

- Nawet własnej rodzinie powiedziałaś o mnie dopiero trzy miesiące temu. A teraz jesteś gotowy powiedzieć mormonom?

- Na miłość boską, nie! - wykrzyknął rozgorączkowany. - Nie waż się mu powiedzieć, kto jest twoim mężem! Wyrzucą mnie z Kościoła mormonów, jeśli to zrobisz!

W przeciwieństwie do mnie - dziecka z Utah - Verlan wychował się w Kościele Świętych w Dniach Ostatnich w Meksyku i ciągle miał wielu znajomych w kręgach kościelnych. Jak to on, chciał do ostatniej chwili ukrywać przed nimi fakt, że wybrał życie fundamentalisty.

- To co mam mu powiedzieć?

- Po prostu idź tam i powiedz, że jesteś Irene Kunz. Za nic w świecie nie wspominaj o mnie.

Widząc, że na pewno nie uda mi się wykręcić, wzięłam długi, głęboki oddech, wysłałam ostatnią modlitwę do Boga i samotnie weszłam na schody, trzęsąc się na całym ciele.

Doktor Hatch okazał się przyjemnym mężczyzną o rumianej twarzy. Miał około trzydziestu pięciu lat. Wskazał mi krzesło po przeciwnej stronie biurka, na którym spoczęłam, dziękując Bogu, że w ten sposób doktor nie widzi mojej spódnicy i butów.

- Jest pani tu nowa, prawda? - zapytał i wyjął czystą kartę z dolnej szuflady biurka. Zanim zdążyłam zareagować, mówił dalej: - Dobrze, najpierw zbierzemy pani dane. Pani nazwisko?

- Irene Kunz - odpowiedziałam natychmiast, mając nadzieję, że nie będzie drążył tematu.

Zapisał to, zastanowił się, spojrzał mi prosto w oczy i zapytał:

- Pani nazywa się LeBaron, prawda?

Zamarłam w bezruchu. Własna rodzina Verlana ledwo odgadła.

Jak to możliwe, że wieści rozchodzą się tak szybko? Przerwał moje rozmyślenia:

- LeBaron, czy tak?

- Nnnoo... tak, ale... nie używam tego nazwiska.

- Teraz sprawa jest jasna. Co mogę dla pani zrobić?

- Chciałabym sprawdzić, czy dziecko jest właściwie ułożone, bo chcę urodzić w domu.

- Który to miesiąc?

Wlepiłam wzrok w podłogę.

- Początek ósmego. Chyba.

- Dobrze, proszę ściągnąć majtki i położyć się na stole.

O niebiosas, czyż miał tu rentgen? Po chwili jednak dodał:

- O, przecież już się nie mówi „majtki”. Teraz mówi się „figi”, prawda? - Odwrócił się, by dać mi chwilę prywatności.

Musiałam podciągnąć powyżej bioder i wystającego brzucha swoją wypłowiałą, obcisłą spódnicę i zdjąć - miał zupełną rację -nawet nie majtki, a majtasy. Szybko je złożyłam i schowałam pod krzesłem.

Wślizgnęłam się na stół i przykryłam prześcieradłem, które mi podał.

- Jest pani gotowa? - spytał.

Wiedziałam, że nigdy nie będę gotowa, więc skłamałam:

- Chyba tak.

Doktor Hatch odwrócił się i podszedł do mnie. Na prawym ręku miał gumową rękawicę. Wolną ręką wyciągnął spod stołu jakieś metalowe podpórki i na nich umieścił moje stopy.

- Proszę podsunąć pośladki do końca stołu - poprosił.

Umierałam ze wstydu. Widział nie tylko moją halkę z worka, nie tylko dziurawe po-deszwy, ale również całą dolną część mojego ciała. Byłam purpurowa. Nawet Verlan nie widział mnie w ten sposób, a co dopiero jakiś obcy.

Miły doktor próbował nieco mnie uspokoić.

- Proszę się nie denerwować, mam wielu pacjentów. Nawet już nie zwracam uwagi, czy to mężczyzna, czy kobieta.

Nie wierzyłam.

Jego dłoń w rękawiczce nagle wsunęła się boleśnie w moje wnętrze. Podczas badania poruszał palcami w tę i tamtą stronę, a ja płonęłam coraz bardziej. Zastanawiałam się, czy nie sprzeniewierzam się boskiemu prawu czystości.

Wyjął wreszcie ze mnie rękę, zdjął rękawiczkę i powiedział:

- Dziecko jest ułożone doskonale.

Podszedł do okna i popatrzył na park.

- Proszę się ubrać, młoda damo. Ma pani chwilę czasu.

Zajęło mi to tylko parę sekund.

- Jestem gotowa - zameldowałam, wciąż potwornie skrępowana.

- Tak, i jeszcze jedno. Proszę usiąść tu, na stole. Muszę jeszcze coś sprawdzić. - Polecił mi rozpiąć dwa guziki mojej odbarwionej koszuli.

O, nie, błagam - jęknęłam w duchu. Trzymałam koszulę ściśle pod szyją.

- Bez obaw - powiedział cierpliwym głosem. - Muszę jeszcze sprawdzić pani brodawki. Przecież planuje pani karmienie piersią, prawda?

Ochroniając piersi trzęsącą się ze zdenerwowania ręką, zapewniałam, że są w porządku. Doktor łagodnym, ale zdecydowanym ruchem odsunął moją rękę i sam odpiął koszulę. Walczyłam ze łzami, kiedy wyjął moje ogromne, spuchnięte piersi z domowej roboty stanika.

Teraz zobaczył już wszystko.

Droga przez mękę wreszcie się skończyła.

- Ile płacę? - spytałam już spokojniejsza, bo moja bielizna znalazła się wreszcie na właściwym miejscu, pod innymi żaloszonymi elementami garderoby.

- Normalnie biorę dziesięć peset. To osiemdziesiąt centów. Lecz widzę, że pani potrzeby są pilniejsze niż moje. Więc tym razem ja funduję.

Jeszcze jedno poniżenie na koniec.

- Dziękuję - wyjąkałam, otwierając z rozmachem drzwi, a łzy same zaczęły mi płynąć strumieniami po rozpalonych policzkach.

Biegłam tak szybko, a łzy tak bardzo zamazywały mi obraz, że niemal spadłam ze schodów.

Verlan czekał na mnie zdenerwowany. Zawsze był wrażliwy na niedolę bliźniego, więc i tym razem chwycił mnie za rękę i powiedział:

- Irene, nie płacz tu. Wszyscy patrzą. Pomyślą, że coś ci zrobiłem. Błagam.

- Więc chodźmy stąd - szlochałam.

Odeszliśmy spory kawałek od gabinetu doktora i weszliśmy do niewielkiej restauracji. Usiedliśmy przy stoliku gdzieś z tyłu, z dala od innych gości. Zwrócił się do mnie:

- Irene, proszę, nie przeżywaj tego tak bardzo. Cieszymy się.

Kupię ci, cokolwiek zechcesz.

Od dziesięciu miesięcy nie jadłam mięsa, więc odparłam:

- Chcę duży, gruby, soczysty stek. - Nagle poczułam, że umieram z głodu.

Verlan powiedział coś do kelnerki po hiszpańsku. Nic z całej rozmowy nie rozumiałam oprócz jej odpowiedzi - a to tylko dlatego, że zdecydowanie kręciła głową i mówiła „no”.

Verlan się roześmiał.

- Chyba masz dziś pecha. Nie mają steków.

Zamówił dla nas obojga swoje ulubione danie, mianowicie enchiladę z serem. Nie musiał pytać, co chcę do picia, bo błagałam go o to prawie od roku. Kelnerka przyniosła dwie schłodzone cole. Jedliśmy powoli. Cieszyłam się każdym kęsem, a szczególnym smakołykiem było smażone jajko na wierzchu każdej enchilady.

Trzymaliśmy się za ręce w poprzek stołu, a pod stołem Verlan żartobliwie pukał w moje ohydne buty swoimi, równie zniszczonymi.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co przeżyłaś u doktora. I że nie miałaś nic ładnego na sobie... Ale doktor Hatch na pewno nie chciał cię zawstydzić. Dla mnie jesteś

taka piękna, że kochałbym cię, nawet gdybyś miała na sobie zwykły worek.

Mój stan sprawił, że Verlan stał się dla mnie bardziej czuły.

Byłam tak głodna jego miłości, że te życzliwe, słodkie słowa były jak balsam na moją chorą duszę. Może jednak Bóg zaplanował jakąś lepszą przyszłość dla swej wiernej sługi? Postanowiłam wracać do domu i starać się być szczęśliwą.

Po obiedzie usiedliśmy w ładnym, małym parczku i patrzyliśmy na ludzi, którzy w cieniu jedli lody na patyku. Verlan mnie nie ponaglał, bo była to „moja” wyprawa do miasta. W końcu jednak musieliśmy pomyśleć o powrocie do domu - czekała nas jazda okazją.

Dojść do drogi wylotowej z miasta było dla mnie za daleko, więc Verlan obudził jedyne taksówkarza w mieście, drzemającego za kierownicą, i podjechaliśmy tam jego rozklekotanym autem. Potem czekaliśmy godzinę w spiekocie i skwarze, aż w końcu nadszedła duża, niebieska ciężarówka. Była po brzegi wyładowana skrzynkami z napojami gazowanymi. Verlan spytał, czy nas wezmą. Kierowca wraz ze swym towarzyszem uśmiechnęli się i skinęli głowami, więc ja wsiałam do szoferki, a Verlan na pakę, gdzie usadowił się z przodu, blisko kierowcy.

Siedząc tak między dwoma młodymi Meksykanami i nie rozumiejąc, co też do siebie mówią, czułam się nieswojo. Ciężarówka podskakiwała na wybojach, koła wpadały w każdą możliwą dziurę, a my bujaliśmy się i przechylaliśmy tak mocno, że miałam wrażenie, że za chwilę runiemy na bok. Upał był okropny i w tumanach kurzu nie miałam prawie czym oddychać.

Nie ujechaliśmy daleko, a ja już poczułam się fatalnie.

Trzymałam się za bolący brzuch i zastanawiałam, czy to nie przedwczesny poród. Ból jednak nasilał się, kiedy ciężarówka kiwała się na wybojach w przód i w tył. Obaj mężczyźni patrzyli bezradnie, a ja obejmowałam mój ogromny brzuch, w którym ból wciąż narastał i wiercenie się wzmagало. Musiałam natychmiast wysiąść. Nie mogłam jednak w żaden sposób im wytłumaczyć, że to nie poród. Miałam po prostu potworny atak biegunki.

- O Boże - powiedziałam do nikogo konkretnego - mam zemstę Montezumy!

Jeszcze mocniej objęłam brzuch, zaczęłam głośno jęczeć i składać ręce jak do modlitwy, by się zatrzymali. Nie pamiętałam, jak po hiszpańsku jest „zatrzymać się”, ale wiedziałam jedno - muszę natychmiast lecieć w krzaki. Rozejrzałam się po drodze z nadzieją, że zza zakrętu wyłoni się może jakiś spory krzak, za którym uwolnię się od cierpienia. Oddychałam głęboko, ale wiedziałam - jeszcze jeden wybój i nastąpi nieuniknione.

Wjechaliśmy na kolejny szczyt. Ujrzałam, o zgrozo, że oto przed nami otwiera się piękna, zielona dolina pełna Meksykanów kopiących rowy po obu stronach drogi. W zasięgu wzroku - żadnego krzaka. Moje jęki tak przestraszyły kierowcę, że wreszcie się zatrzymał.

Wyskoczyłam, szlochając potwornie. Wszyscy patrzyli, jak skulona przemieszczam się ku tyłowi pojazdu. Verlan zeskokczył z paki z okrzykiem:

- Kochanie, co się dzieje?!

- Mam straszną biegunkę - płakałam. - Muszę się załatwić, Verlan, muszę, nie wytrzymam!

Rozejrzał się dokoła. Wszyscy robotnicy zdążyli już wesprzeć się na trzonkach swoich szpadli i kilofów i przygotować na show, a stali zaledwie parę metrów od nas. Verlan odparł z odrazą:

- To rób! Rób już!

Nie miałam wyboru. Podciągnęłam spódnicę ponad brzuch, zsunęłam różowe majtasy i... ulżyłam sobie. Zawartość moich jelit rozbryznięta się na wszystkie strony świata. Widzowie wrzeszczeli i wznosili okrzyki, dziko machając słomkowymi kapeluszymi. Nawet kierowca wyszedł i podszedł do nas, żeby sprawdzić, co się dzieje, i zobaczył mnie wypiętą.

Verlan był w agonii. Na co dzień nigdy nie przeklinał, ale teraz nie mógł się powstrzymać.

- Cholera jasna, Irene, wsiadaj do samochodu! Odjeżdżamy stąd.

- Nie wsiadę tam do nich za skarby, nigdy. Błagam, Verlan - płakałam.

- Cholera jasna, wsiadaj, mówię!

- Ta biegunka mnie zabije, jeśli będę dalej jechać!

Zacisnął zęby i zaśmiał się, poniżony.

- Irene, ja zabiję ciebie, jeśli nie wsiądziesz!

Niechętnie, ale posłuchałam. Siedziałam teraz przy oknie, zakryłam twarz rękami i płakałam przez całą dalszą drogę.



Wkrótce po mej traumatycznej wizycie u lekarza w Casas Verlan otrzymał wezwanie przed sąd Kościoła Świętych w Dniach Ostatnich do Colonia Dublan, na proces w związku z jego dalszym członkostwem w Kościele. Kościół mormoński w Meksyku, podobnie jak w Stanach, nie zezwalał na wielożeństwo. Doktor Hatch doniósł, że Verlan praktykuje poligamię i wskutek procesu został ekskomunikowany. Powiedział, że mnie za to nie wini, lecz czułam się tak, jakbym to ja była powodem wydarzeń, w wyniku których został wyrzucony z Kościoła.

Verlan opowiadał nam później, że czynił heroiczne wysiłki w obronie wielożeństwa. Wykazał wysokiej radzie Kościoła, że to właśnie Kościół mormoński powinien poddać się procesowi za odrzucenie poligamii, a nie on sam - za jej praktykowanie. Szczególnie jedna z odpowiedzi Verlana na zadawane mu przez sąd pytania przesądziła o wyroku przeciw niemu.

- Czy obie kobiety, badane przez doktora Hatcha i noszące pod sercem pańskie dzieci, są pana żonami?

- Jedno jest pewne - odparł na to Verlan - żadna niewiasta nie nosiła nigdy mego dziecka, nie będąc moją żoną.

Prawda była oczywista.

Biedny Verlan zdawał sobie sprawę z faktu, że prędzej czy później musi to nastąpić, lecz i tak był bardzo przygnębiony. Zdobył drugą żonę, zaczął praktykować Regułę, ale stracił za to Kościół - matkę, Kościół, przez który niegdyś Bóg wezwał mormonów do poligamii. Verlan wierzył, że Bóg mormonów jest niezmienny, dlaczego więc jego hierarchowie nie wyznawali boskich praw i nie przestrzegali ich? Brigham Young potępiał każdego, kto nie będzie żył w poligamii. Teraz Verlana wyrzucono z Kościoła, dlatego że ją praktykował.

Zawsze jednak pocieszały go pisma. Szczególnie ukochał jeden fragment: „[...] Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra [...]” (Rz 1,28). Verlan, żyjąc w wielożeństwie, postępował po prostu zgodnie ze swoim sumieniem. Trudność polegała na tak długim ukrywaniu się, obawie o to, co pomyślą, powiedzą i uczynią inni. Teraz, gdy cały świat już wiedział, do czego doprowadziło Verlana zdążanie za głosem sumienia, i kiedy wszyscy, którzy nas potępiali, spokojnie postawili na swoim, mogliśmy wreszcie przestać udawać i zacząć normalnie, otwarcie żyć - bez obaw o konsekwencje. Mogliśmy dać sobie spokój z okropną hipokryzją, która szczególnie mnie, drugą żonę, całkowicie załamywała. Mogliśmy wreszcie dumnie wyznawać Regułę, tak jak zaplanował to sam Bóg.

Miałam nadzieję, że to właśnie było owo dobro, dla osiągnięcia którego Bóg z nami współdziałał.



Postawa Verlana wobec wszystkich przeciwności losu była jedna i ta sama - pełne oddanie religijne. Zawsze pozostawał wierny swym zasadom, wierze, przedkładając Boga i doktrynę Kościoła nad żony i dzieci. Dwa razy dziennie zwoływał nas na wspólną modlitwę, a my gromadziliśmy się wokół niego i słuchaliśmy, jak czytał fragmenty Pisma Świętego i ksiąg mormońskich. Był przywiązany do nauki pierwszych, dziewiętnastowiecznych mormonów. Dbał o to, byśmy zawsze wiedzieli, że najważniejszy jest Bóg i że należy postępować zgodnie z Jego wolą.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Nasze dochody były teraz niemal równe zeru. Krowy produkowały znacznie mniej mleka, niektóre nic, bo były cielne.

Brakowało paszy. Pora deszczowa miała nadejść za trzy długie miesiące i wtedy dopiero trawa pójdzie wysoko w niebo.

Anna miała rodzić tydzień po mnie. Zapowiedziała Florenowi, że odchodzi zaraz po porodzie. To nie było życie dla niej, twierdziła.

Chciała trochę żyć, a nie wiecznie walczyć o przetrwanie.

Rozumiałam ją całkowicie. Prymitywne życie LeBaronów zabijało i mnie. Zazdrościłam jej determinacji.

Od kilku miesięcy Verlan rozważał nasz powrót do Stanów, do Salt Lake City, gdzie dołączylibyśmy do grupy fundamentalistów skupionych wokół wuja Rulona. Zdawał sobie sprawę z tego, że niezbędne są lepsze warunki socjalne i materialne. Obawiał się jednak opuścić Meksyk. Jego nieżyjący już ojciec, Alma Dayer LeBaron, nakażywał synom, by pozostali wraz z rodzinami w Meksyku. Wierzył, że któregoś pięknego dnia wezmą oni udział w wielkim dziele, które się tam dokona. Jeden z nich zostanie wezwany do świętego kapłaństwa jako bezpośredni spadkobierca duchowy samego Józefa Smitha.

Tymczasem byliśmy po prostu pozbawieni jakichkolwiek środków do życia.

- Musimy prosić Boga o pomoc - powiedział Verlan cichym, pokornym głosem któregoś wieczoru do mnie i Charlotte. - Żeby w jakiś sposób ratował nas z biedy albo wskazał, dokąd mamy pójść.

Uklękliśmy więc w kole, trzymając się za ręce. Po kolei prosiliśmy Boga, by nas prowadził. Potem położyliśmy się spać z nadzieją na lepsze jutro.

Verlan, jak co dzień, wstał przed świtem. Zaprzągnął konia do starej brony i poprowadził go na pole, które miał orać przez cały dzień.

Zwykle przychodził na obiad koło południa. Tym razem czekałyśmy do wpół do drugiej, a jego nie było. Wyniosłam więc mu na pole nasz ostatni słoik wiśni i łyżkę,

żeby coś zjadł. Wiedziała, jak bardzo jest załamany, i chciała jakoś go pocieszyć. Miała nadzieję, że zrobię mu niespodziankę.

Znalazłam konia przywiązane do ogrodzenia z drutu kolczastego, bronę z boku, Verłana ani śladu. Zaorał tylko osiem bruzd.

Wiedziała, że coś jest nie w porządku. Kilka razy wołałam go po imieniu, ale bez odpowiedzi. Może ukąsił go grzechotnik i leży gdzieś martwy? Z płaczem szukałam go wśród niskich zarośli. W końcu poszłam do domu, by tam na niego czekać. Charlotte ogromnie się zmartwiła.

Około dziewiątej wieczorem wreszcie wrócił w towarzystwie Florena i Anny.

- Musiałem was wszystkich zebrać, żeby się z wami podzielić cudowną nowiną - ogłosił.

Był tak podekscytowany, że nie miałam serca, by się na niego złościć za tajemnicze zniknięcie, zwłaszcza że za tym być może kryła się ręka boża. Usiedliśmy wszyscy za stołem, gotowi na dobre wieści.

Verlan promieniał ze szczęścia. Wiedziała, że ma nam do powiedzenia coś naprawdę wyjątkowego.

- Bóg odpowiedział na naszą modlitwę! - zaczął. - Modliłem się prawie całą noc, by nas wysłuchał, pobłogosławił i pozwolił nam zostać w Meksyku, jeśli taka jest Jego wola. Dziś rano, kiedy tylko zacząłem orkę, zatrzymał się przy drodze samochód. Wsiadł z niego Amerykanin i podszedł do miejsca, gdzie orałem. Powiedział, że nazywa się Dick Loomis, i spytał, czy umiem robić ser. Ja na to, że oczywiście. Zabrał mnie na rancho jakieś sto kilometrów od nas, nazywa się Terrenates, koło miasta Flores Magon. Chce, żebym od razu zaczął u niego pracować. Będziemy kupować krowy ze Stanów.

Założymy fabrykę serów, najlepszych w Chihuahua. I to jeszcze nie wszystko. Da nam jedenastopokojowy dom dla naszej rodziny, z elektrycznością! Wyobraźcie sobie! Gorąca woda w kranie.

Umeblowany. Mają ogródek warzywny. Możemy z niego brać tyle jarzyn, ile chcemy. Powiedzieli, że raz na miesiąc zabiją byka i będziemy mieć za darmo mięso. Oprócz tego pełno mleka, ser, jajka... i... słuchajcie, to jeszcze nie wszystko! Będą mi płacić dwa dolary dziennie! - rozpromienił się. Był rozgorączkowany czy mu błyszcząły.

- Floren i ja, obaj z rodzinami, będziemy mieszkać w tym domu.

Będziemy żyć w dostatku! Joel z żoną w górach, Alma i Ervil tu, na ranchu - wszystkim nam będzie się lepiej powodzić!

Uklękliśmy do modlitwy, by podziękować Bogu za Jego dobroć, za nasze ocalenie.

Później, już w łóżku, wyznałam Verłanowi moje rozczarowanie:

- Miałam nadzieję, że przeniesiemy się do Stanów, ale oczywiście ta przeprowadzka też mnie cieszy.

- Irene, będziesz musiała się jeszcze trochę poświęcić.

Naprawdę wolałbym cię o to nie prosić, ale na razie musisz się przenieść do Spencerville, do dwupokojowego domku ciotki Annie. To tylko do porodu. Ja wyjeżdżam do Stanów po krowy i maszyny.

Zaczynam nową pracę już jutro.

- Verlan, ale co z dzieckiem? Przyjedziesz, kiedy będzie się miało urodzić?

- Bądź cierpliwa. Bóg nie pozwoli cię skrzywdzić. Nie mogę przepuścić takiej okazji. Jeśli nie dam rady wrócić na czas, będzie przy tobie Charlotte. Musisz nauczyć się mieć większą wiarę i pewność w Panu - wyjaśnił, po czym delikatnie mnie pocałował, odwrócił się i po chwili jego głośne chrapanie zagłuszyło mój cichy płacz.



Według kalendarza na ścianie, był 6 sierpnia. Termin porodu miałam dwunastego, ale bardzo chciałam uporać się z tym jak najszybciej. Cała opuchnięta, czułam się ogromna i brzydka.

Nienawidziłam swoich dwóch spłowiałych strojów ciążowych. Nie mogłam się doczekać dnia, kiedy potnę je na małe kawałeczki i przekształcę w papier toaletowy.

Chorowałam od powrotu z wizyty u doktora. Ciągłe bolała mnie głowa. Wszyscy mi mówili, że to po prostu nerwy, a Ervil nawet oskarżył mnie o tchórzostwo. Może to i była prawda. Postanowiłam jednak, że w czasie pierwszego porodu chcę mieć przy sobie lekarza, nawet jeśli będzie to mężczyzna. Czułam, że coś było nie w porządku już od dnia, kiedy opowiedziałam Verlanowi o moim dziwnym przeczuciu. Błagałam więc, by pozwolił mi za pierwszym razem rodzić w szpitalu. On, jak zwykle, próbował zbagatelizować sprawę.

- Rodzenie dzieci to najbardziej naturalna sprawa pod słońcem - mówił ze śmiechem. - Każda matka na ziemi przez to przechodzi.

To samo na ten temat sądził Ervil:

- Delfina urodziła trzy dziewczynki w domu. To nic trudnego, tak samo jak krowa rodzi cielaka.

Myślałam sobie, że to ciekawe, że wszystkie te mądrości słyszę z ust mężczyzn.

Co noc płakałam - a przynajmniej tak mi się zdawało. Nie chciałam być tchórzem, ale tęskniłam za Utah. Czułam, że potrzebuję matki. Najbardziej jednak przerażał mnie fakt, że mam urodzić bez Verlana. On sam wyjechał dwa tygodnie wcześniej na rancho Terrenatesów, odwożąc wcześniej mnie i Charlotte z dziećmi do Spencerville.

- Będiesz w dobrych rękach - zapewnił mnie.

Ciotka Sylvia, akuszerka (jednocześnie matka Lucy) mieszkała tylko półtora kilometra od dwupokojowej glinianej chaty, której użyczyła nam ciotka Annie. Charlotte - co było niezwykle miłe z jej strony - zaoferowała, że zostanie, by troszczyć się o mnie do i podczas porodu. Czegóż jeszcze mogłam pragnąć? Mimo wszystko czułam się bardzo rozchwiana. Nogi i stopy miałam tak opuchnięte, że ciężko mi było chodzić. Wyobrażałam sobie komplikacje - a co się stanie, jeśli coś pójdzie nie tak? Chociaż do-

trzymałam obietnicy i nikomu nie zdradziłam ni słowa o moim przeczuciu, pamiętałam o nim cały czas i błagałam Boga, by okazało się fałszywe. Pragnęłam żywego, zdrowego dziecka.

Zgodnie z poleceniem ciotki Sylvii piłam dużo herbatek ziołowych. Według niej powinno to zmniejszyć opuchliznę dłoni i stóp.

Pocieszałam się myślą o mojej prababce, która urodziła kilkoro dzieci w Meksyku przy pomocy samej akuszerki. Pragnęłam być jak ona.

Należałam przecież do rodu pionierów. Czy będę mniej odważna od niej? Wciąż się modliłam i składałam swój los w ręce Boga.

Skończyłam właśnie zmywać po śniadaniu, kiedy poczułam potworny ból, jak przy biegunce. Pobiełam czym prędzej do starego wychodka, ale ból się utrzymywał, więc chwając się, wróciłam do domu. Spojrzałam na zegar - było samo południe.

Charlotte ujrzała mnie rozciągniętą na łóżku i całą we łzach i spytała:

- Zaczęło się?

Odpowiedziałam kołysaniem w tył i w przód, masowaniem ud i brzucha. Czułam ogromny nieprzerwany ból. Natychmiast zjawiła się ciotka Sylvia. Od tej chwili pamiętam już bardzo niewiele, z wyjątkiem tego, że leżałam tam całymi godzinami, czując, że umieram.

Matka Charlotte, ciotka Rhea, dokładnie wtedy, gdy rozpoczął się mój poród, przybyła ze Stanów z wizytą. Marden, jeden z chłopców Spencerów, przywiózł ją z Utah. Zdążyła tylko wysiąść z samochodu, a on odjechał na rancho Terrenatesów po Verlana. Od wielu dni już padało i drogi były błotniste. Wiedziałam, że miną godziny, zanim pojawi się mój mąż.

O czwartej po południu Alma przywiózł z pobliskiego El Valle doktora Ramireza. Doktor Hatch mieszkał bowiem kilka godzin drogi od nas, koło Casas. Doktor Ramirez był w stosunku do mnie niedelikatny i nieprzyjemny. Myślałam, że rozerwie mnie na pół, kiedy wsadził we mnie palce do badania.

- Potrwa to jeszcze osiem do dziesięciu godzin. Jeśli będę potrzebny, proszę po mnie przysłać - orzekł i pojechał. A miał na myśli dokładnie to: „Kobieto, czego chcesz ode mnie? Po prostu urodź i już”.

Potem zegar stanął w miejscu. Każde dziesięć minut wydawało mi się wiecznością. Odpływałam w stan nieświadomości i wracałam do świata, i tak bez przerwy. Minęła dziesiąta. Spodziewałam się Verlana dużo wcześniej, nawet przy zniszczonych ulewami drogach.

Wsluchiwałam się z wysiłkiem w szum deszczu, nasłuchiwałam odgłosów przejeżdżających po wybojach samochodów i za każdym razem miałam nadzieję, że to nadjeżdża Verlan, by pomóc mi przejść przez ten koszmar. W malignie wołałam go ciągle po imieniu.

Ciotka Sylvia zaczęła się poważnie niepokoić moim półprzytomnym stanem.

Spytała Charlotte, dlaczego ja nie współpracuję. Ciotka Rhea próbowała mnie jakoś zmobilizować, masowała energicznie moje nogi i dłonie. Charlotte podtrzymywała mi głowę, a ciotka Sylvia próbowała mnie napić kawą, żeby mnie trochę ożywić. Ale ja odmawiałam. Nauczono mnie, że kawy się nie pije i już.

Chciałam tylko jednego - żeby zostawiły mnie w spokoju i żeby przyszedł Verlan. Przedtem ledwie go potrzebowałam, a teraz rozpaczliwie pragnęłam, żeby się pojawił. Traciłam przytomność i znów ją odzyskiwałam. Słyszałam przytłumione głosy kobiet.

- Irene, to prawie już. Pojawia się główka. Musisz teraz współpracować. - To był głos Sylvii.

Charlotte instruowała:

- Przyj, ciągle przyj, teraz odpocznij, bardzo dobrze!

Miałam spierzchnięte usta. Charlotte podawała mi wodę, którą piłam małymi łyżkami. Z zamroczenia wyrywał mnie rozdzierający ból. Przy każdym skurczu krzyczałam.

Dopingowały mnie:

- Przyj, Irene, przyj. Jeszcze tylko parę razy i będzie po wszystkim.

- Ratunku, ratunku! - jęczałam, kiedy główka dziecka przeciskała się ku wyjściu.

Charlotte stanęła po jednej mojej stronie, ciotka Rhea po drugiej. Trzęsąc się ze strachu i wycieńczenia złapałam je za ręce i parłam z całej siły.

- Irene, oddychaj, oddychaj - rozkazywała Charlotte. Byłam posłuszna, ale czułam się tak, jakby w moim wnętrzu rozlał się gorący kwas. Jeszcze jedno parcie, gorący krzyk, i główka dziecka wyszła na zewnątrz.

- Przyj dalej, żeby wyszły ramionka - instruowała ciotka Rhea. - Najgorsze już prawie za tobą.

Uczepiona ich rąk parłam dalej, by nagle poczuć ulgę w chwili, gdy dziecko wyskoczyło prosto w ręce ciotki Sylvii.

- To dziewczynka! - wykrzyknęła Charlotte. - Śliczna, maleńka dziewczynka!

Charlotte ucałowała mnie w czoło i wytarła je jeszcze raz chłodnym, mokrym ręcznikiem. Spojrzałam na zegar - było dziesięć minut po północy. Przetrwałam dwanaście godzin prawdziwego piekła.

Wtem usłyszałam ciszę.

- Dlaczego ona nie płacze?! - wrzasnęłam jak szalona. Oparłam się na łokciach i patrzyłam, jak ciotka Sylvia gumową strzykawką odciąga śluz z nosa dziecka.

- Błagam, Boże, błagam, niech zacznie płakać!

Wtedy Sylvia uderzyła ją w maleńką pupkę i moje kochane dziecko wydało z siebie pierwsze krzyki. Widziałam, że wciąż łączy je z moim ciałem gruba, pomarszczona pępowina, przez którą karmiłam dziecko przez dziewięć miesięcy. Krzyczało tak, jakby obdzierano je ze skóry.

- Dajcie mi ją, proszę - błagałam.

Ciotka Sylvia na to:

- Uspokój się, wszystko jest dobrze. Przetnijmy najpierw pępowinę. Dostaniesz ją, jak ją wyczyścimy.

- Nie, teraz, dajcie mi ją teraz - nalegałam. Gdzieś w głębi duszy bałam się, że Bóg ukradkiem mi ją odbierze. Tylko po to, by mnie uspokoić, ciotka Sylvia poddała się i położyła maleńkie ciało na moim brzuchu. Trzymałam ją za drobne rączki, słyszałam jej popiskiwanie.

Potem puściłam jedną z jej rączek, by przełożyć ją na boczek, a ona nagle złapała mnie za palec wskazujący. Zastanawiałam się, jak to możliwe, by kobieta porzuciła taki bezcenny, wspaniały dar od Boga.

- Jesteś moim cudnym aniołkiem - powiedziałam pieszczotliwie. - Dam jej na imię Leah - oznajmiłam. Cieszyłam się, że Bóg przychylił się do moich wielomiesięcznych prośb. Odprężyłam się i podałam moją dziewczynkę z powrotem ciotce Sylvii, by mogła przeciąć pępowinę.

Kiedy to zrobiła, zawinęła dzieciątko w ręcznik i podała Charlotte.

- Dalsze przywileje należą do ciebie.

Charlotte wzięła zawiniątko i powiedziała:

- Irene, jest śliczna.

Zaczęła delikatnie myć różowe ciało bawełnianą szmatką zmoczoną w ciepłej oliwie. Stanowczo zażądałam, aby maleńka nie zniknęła przypadkiem z moich oczu. Charlotte zapewniła, że gdy tylko skończy swoje zabiegi, dziecko wróci w moje ramiona.

Podczas gdy Charlotte pielęgnowała Leah, ciotka Sylvia zajęła się mną.

- Musimy jeszcze wypchnąć łożysko. To nie boli - zaordynowała.

Parłam niechętnie, aż do skutku. Patrzyłam zafascynowana, jak ciotka uważnie je bada, ogląda z każdej strony, czy nie jest uszkodzone lub naderwane.

- W porządku. Teraz możemy zająć się łóżkiem.

Patrzyłam na mój płaski brzuch i dziękowałam Bogu, że już po wszystkim, gdy nagle usłyszałam głos Charlotte, wzywającej pomocy.

Przekazała dziecko ciotce Sylvii, krzycząc:

- To dziecko wygląda, jakby umierało!

Ciotka ponownie oczyściła nos i gardło dziecka strzykawką.

Potem, trzymając jedną ręką za jego plecki, drugą zaś za maleńkie piętki, zginała mu energicznie kolanka, tak by dotykały do klatki piersiowej. Uderzyła kilka razy w pupkę maleńkiej, ale bez skutku.

- Boże! - krzyczałam. - Nie rób mi tego! Boże, Boże, błagam, nie! - Wiedziałam jednak, że Bóg nie słuchał.

Pierwsze rozległy się szlochy Charlotte. Potem ciotki Rhei.

Ciotka Sylvia zaś potwierdziła to, o czym już wiedziałam:

- Ona nie żyje, Irene. Nie żyje.

Byłam tak sparaliżowana, że nie mogłam płakać. Leżałam po prostu w szoku, otępiała obserwowałam, jak ciotka Sylvia sprząta łóżko, przetacza mnie z boku na bok, by wymienić prześcieradło, a potem, jak ubiera maleńkie ciało w bluzeczkę z długim rękawem, żeby było mu ciepło, a na to wkłada satynową sukieneczkę, którą uszyłam ze skrawków. Na karczku miała wyszyte delikatne różowe różyczki.

Charlotte zastanawiała się, gdzie ją ułożyć. Przykryła kocykiem z wyprawki małej wieko kosza na zabawki i tam złożyła bezwładne ciało.

- Co mam teraz robić? - spytała bezradnie.

- Patrz na mnie. Nauczę cię, jak postępuje się ze zmarłym - szepnęła ciotka. Oddarła dwa wąskie paski materiału z jednej z nowiutkich flanelowych pieluszek. Jeden ułożyła pod bródką dziecka, zamknęła mu buzię i związała oba końce w kokardkę na czubku głowy.

Potem skrzyżowała maleńkie rączki Leah na jej piersi z poleceniem: - Trzymaj, a ja je zwiążę. - Z portmonetki wyjęła dwie małe monety. - Patrz, Charlotte, ma w półprzymknięte powieki. Zamknij je. Teraz na każdej połóż monetę. Kiedy rozpocznie się stężenie pośmiertne, można je wyjąć. Oczy pozostaną zamknięte. To samo z rączkami i buzią - buzia będzie zamknięta, a ręce będą leżeć na piersi.

Patrzyłam, nie mogąc uwierzyć. Ledwo znosiłam życie - jak miałam sobie dać radę ze śmiercią? To nie mogło być prawdą. Leżałam cicho. Ogarnęło mnie emocjonalne otępienie.

Jakiś czas później usłyszałam podjeżdżający pod dom samochód.

To musiał być Verlan. Charlotte wyszła przed dom, by go przywitać. Słyszałam w jego głosie podniecenie:

- Czy to była dziewczynka? - pytał gorączkowo.

Potem zapadła cisza i po chwili rozległy się szybkie kroki od drzwi. Kroki uderzały bezpośrednio w moje serce, druzgocząc je.

Wszedł cicho do pokoju. W przytłumionym świetle lampy widziałam głęboki smutek na jego twarzy. Ukląkł przy łóżku i wziął mnie w ramiona. Widząc moją twarz pozbawioną wszelkich emocji, przypomniał sobie o moim dawnym przeczuciu.

- Skąd wiedziałaś?

- Po prostu wiedziałam - odpowiedziałam. - Wiedziałam.

Ukrył twarz w mojej piersi, szlochając jak dziecko.

- Dlaczego mnie tu nie było? Spóźniłem się tylko dwadzieścia minut! Irene, jesteś za młoda, by tego doświadczać! - płakał.

Wstał z klęczek, podszedł do kosza z zabawkami i przyglądał się naszej małej Leah. Patrzyłam, jak z oczu kapią mu łzy. Szybko wrócił do mnie, położył się w wilgotnym ubraniu obok mnie na łóżku i mocno objął, jakby w obawie, że ja również mogłabym odejść.

Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Leżałam tam tylko, jak trup.

Verlan szlochał, ja nie. Patrzyłam, jak zwija się w bólu, jak jego ciało poddaje się gwałtownemu płaczowi, w wyniku którego wreszcie zasnął.

Po paru minutach obudził się i znowu podszedł do miejsca, gdzie leżała malutka, by przyjrzeć się jej z bliska. Głaskał ją po jedwabistych brązowych włoskach, dotykał jej paluszków. Potrząsał głową i głęboko wzdychał, kiedy odkrył, że jej paznokcie zaczynają już ciemnieć.

Wrócił znów do mojego łóżka, by mnie pieścić i uspokajać.

Ciągle płakał i znowu ukołysało go to do snu. Patrzyłam, jak jego pierś unosi się w rytmicznym oddechu. Nienapełniona lampa mignęła raz, drugi i zgasła - jak światło w moim sercu.

Następnego ranka, gdy o szóstej zapiał kogut, Verlan obudził się, by stawić czoło brutalnej rzeczywistości. Czekają go przygotowania do pogrzebu - dużo pracy. Pożyczył kilof i szpadel i wynajął dwóch Meksykanów do wykopania grobu w El Valle.

Ponieważ nie mieliśmy własnego samochodu, zawiózł ich tam półciężarówką Spencerów. Po drodze zatrzymał się w urzędzie, by powiadomić władze o narodzinach i śmierci dziecka. Przedtem wysłał dwunastoletniego meksykańskiego chłopca, naszego sąsiada, wierzchem do Joela na rancho LeBaronów, by również go zawiadomić.

Joel po otrzymaniu smutnej wiadomości poinformował resztę rodziny.

Zebrał potem trochę narzędzi i gwoździ, osiodłał konia i przyjechał do Spencerville. Był u nas około dziesiątej.

Z łóżka obserwowałam go, jak ze sterty starych, mokrych desek wybiera najlepsze na trumnę. Mierzył najpierw nieheblowane drewno, a potem tępą piłą docinał każdą deskę na potrzebny wymiar. Śledziłam każdy jego ruch, a trumna nabierała kształtów. Kiedy wbijał w nią gwoździe, czułam, jak każdy z nich rani moje obolałe serce.

Kiedy Joel zrobił wieko, wbił w jego rogi gwoździe tylko do połowy, żeby przybić je mocniej, kiedy w środku znajdzie się już ciało malutkiej. Przyniósł ową surową, toporną trumnę do kuchni, gdzie ciotka Sylvia wraz z Charlotte wymościły je nowymi, białymi pieluszkami, aby zakryć sękate deski i uchronić Leah przed sosnowymi drzazgami.

Verlan przyszedł wtedy do mnie i po raz ostatni podał mi w ramiona naszą małą córeczkę. Patrzyłam na jej popielatą, drogą twarzyczkę. Jej oczy nie mru'gały - nie mogły. Długo i wnikliwie przypatrywałam się dziecku. Czas prawdopodobnie uleczy rany, lecz jej śliczne rysy pozostaną we mnie na zawsze, na wieki wyryte w mej pamięci.

Verlan zabrał mi ją wreszcie i delikatnie umieścił w skromnej trumience. Minęło właśnie południe. Wiedział, że to już czas. Na podwórko zajechał samochód Spencerów. Delfina, Anna, Floren, Ervil i cztemaścioro Spencerów weszli do pokoju, gdzie leżałam. Zbili się w ciasną gromadkę, a dziesiątka dzieci przysiadła w nogach łóżka i po jego bokach. Nikt nie wiedział, co powiedzieć, ale dorośli ustawili się w rzędzie i po kolei przesuwali się przed trumną Leah. Joel odmówił modlitwę. Floren i Verlan

przykryli trumnę wiekiem, a Joel mocno przybił pozostałe gwoździe, upewniając się, czy wieko dobrze się trzyma.

Verlan skinął na Florena i Ervila, by wynieśli trumnę do samochodu. Reszta rodziny poszła za nimi rzędem. Charlotte i ciotka Rhea czekały już w samochodzie, celowo zostawiając mnie sam na sam z Verlanem.

On zaś wyjął z komody niebieski kocyk.

- Biorę to ze sobą. Chcę nim przykryć trumnę.

Całował mnie, nie chciał zostawiać mnie samej.

Przerwała nam Karen, moja i Charlotte jedenastoletnia siostrzyczka, która poprzedniego dnia przyjechała razem z ciotką Rheą.

- Mam z tobą zostać, kiedy wszyscy będą na pogrzebie.

Verlan wyszedł, zabierając kocyk, ale nie zdążył nawet zamknąć za sobą drzwi, a już był z powrotem przy moim łóżku, płacząc. Chwycił moje ręce w swoje i powiedział:

- Wynagrodzę ci to, Irene, obiecuję!

Patrzyłam na niego bez emocji.



Było już ciemno, kiedy Verlan wrócił. Przyniósł niewielkie tekturowe pudełko, które położył mi na kołdrze.

- Jak się czuje moja najdroższa? - spytał, całując mnie w policzek. - Nie uwierzysz, jak Bóg działa w naszym życiu!

Czekałam na opowiadanie, które bez wątpienia miało teraz nastąpić.

- Przepraszam, że wróciliśmy tak późno - zaczął. - Kiedy przyjechaliśmy na cmentarz, dół jeszcze nie był do końca wykopany, więc trzeba było poczekać. Jak skończyli kopać, wskoczyłem do środka. Floren podał mi trumnę, a Charlotte kocyk. Nakryłem ją. Jakoś nie chciałem, żeby było jej zimno. - Westchnął. - Potem Joel i Ervil pomogli mi wyjść. Zaczęto zakopywać grób, grudy ziemi mocno uderzały o trumnę i szybko ją zakryły. Kiedy grób był do końca zakopany, moi bracia mocno go udeptali. - Przerwał na chwilę. - Irene, proszę, nie martw się. Chciałem ci tylko powiedzieć, że zrobiłem wszystko, co się dało. Uformowaliśmy na wierzchu mały kopczyk.

Zmierzyłem odległość od murów cmentarza z każdej strony, żebyśmy pamiętali, gdzie jest grób, do czasu, kiedy będzie nas stać na worek cementu, by go oznakować. Proszę, pomóż mi zapamiętać, że to trzy długie kroki od muru północnego i siedem kroków od wschodniego.

Przerwał na chwilę, by sprawdzić, jak to wszystko znoszę. Ja tylko leżałam i wpatrywałam się w niego.

- Irene, obiecuję, że zrobię jej nagrobek. A teraz, proszę cię, nie martwmy się tak, pomyślmy już o czymś innym. Mam dla ciebie niespodziankę! Bóg sprawił, że Juanowi Fernandezowi zmięknęło serce!

Po pogrzebie wstąpiłem do sklepu - wszyscy czekali w samochodzie.

Wstyd mi było, bo miesiąc temu Fernandez zamknął nam konto, kiedy brałem oliwę, bawełnę i flanelę na pieluszki. Powiedziałem mu, że wiem, że jesteśmy mu winni czterdzieści dolarów, ale zapłacę mu odsetki, jeśli zgodzi się ostatni raz dać coś na kredyt. Opowiedziałem mu o śmierci naszego dziecka i że chcę coś ci kupić. Zgodził się, nawet chętnie. I jeszcze kazał przekazać ci wyrazy współczucia. -Verlan poklepał mnie po ręce i ciągnął: - Schowałem to pudełko pod nogami Charlotte w samochodzie, żeby Delfina i reszta nie widzieli, co tam jest.

Nie chcę, żeby ktoś mnie posądzał, że żyję ponad stan.

Do pokoju weszła Charlotte i usiadła w nogach łóżka.

- Jesteś gotowa? - spytał Verlan podekscytowany.

Próbowałam docenić jego wysiłek, ale tak naprawdę było mi wszystko jedno. Wątpiłam w to, że kiedykolwiek jeszcze się uśmiechnę.

Nie odpowiadałam. Verlan ponaglił mnie:

- Irene, rozchmurz się, proszę! - Potem sięgnął do pudła i wyciągnął obiema rękami sześć butelek coli. - To wszystko dla ciebie - oznajmił. Potem rozsypał na kołdrze sześć amerykańskich batoników.

Na ustach miał najszerszy w świecie uśmiech. Czekał tylko na moją reakcję.

Wybrałam batonik „Baby Ruth” i „Butterfinger”. Palcami gładziłam opakowanie, nie wierząc własnym oczom. Sprzedaż amerykańskich towarów była tu nielegalna. Te rzeczy musiały zostać przemycone.

- Kupiłeś przemycone rzeczy?

- Tak. - Pokiwał głową, z nadzieją na moją akceptację. - Tylko dla ciebie. I to jeszcze nie wszystko! Mam jeszcze coś! - Podał mi pudełko od butów.

Czy miałam je otworzyć? Nie śmiałam. Spodziewałam się, że to tylko atrapa, że w pudełku kryje się coś zupełnie innego.

Verlan był zbyt podniecony, by czekać, aż ja je otworzę. Zrobił to sam. Wyciągnął ze środka parę przepięknych czarnych butów z prawdziwej skóry. Nigdy dotąd nie dostałam bardziej znaczącego ani odpowiedniejszego prezentu.

Nagle moje otępienie znikło. Ból, w którym trwałam, rozwiął się, a z oczu swobodnie popłynęły łzy. Może Bóg o mnie zapomniał, ale Yerlan nie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Trzy miesiące po śmierci Leah pojechałam z wizytą do domu, do Utah. Wspaniały widok ośnieżonych szczytów gór Wasatch pomógł mi się zregenerować po długiej gehennie w Meksyku. Jeszcze bardziej pomogło spotkanie z matką, która załamywała ręce na myśl o tym, przez jak ciężkie chwile przeszłam w ciągu ostatniego roku i że jej przy mnie nie było, kiedy rodziło się i umierało moje dziecko. Nie miałam serca wtajemniczać jej w moje pozostałe cierpienia. Po części dlatego, że wciąż czułam się jak idiotka, że potajemnie wyszłam za Verlana mimo ostrzeżeń rodziny - dobrze przecież umotywowanych - że będę strasznie, strasznie tego żałować.

Przez pierwsze dwa tygodnie mojej wizyty przytyłam parę kilo.

Matka była zatrwożona - wciąż tylko jadłam i jadłam. Ja zaś nie mogłam wyznać, dlaczego. Nie uwierzyłaby, że przez ponad rok nie miałam w ustach masła z orzeszków ziemnych, dżemu, margaryny, galaretki, tuńczyka, majonezu i wielu, wielu innych smakołyków, które w domu po prostu były zawsze. U matki nie mogłam się wręcz nasycić luksusem pojadania rodzynek, orzechów, owoców i lodów. Chciałam się nimi nacieszyć na zapas, bałam się, że jak wyjadę, nigdy ich już nie zobaczę.

Skutek był nieszczęsny. Pewnej nocy obudziłam się ze strasznym bólem w boku. Promieniował aż do kolan. Wiedziałam, że nie doczekam do rana, by iść do lekarza, więc matka w środku nocy zapędziła mnie do wuja Rulona, który obsługiwał naszą rodzinę nie tylko, jeśli chodzi o sprawy duchowe, lecz także i medyczne.

- To wyrostek robaczkowy - brzmiała diagnoza. - Niedługo pęknie. Musisz być natychmiast operowana. Znajdę chirurga.

Powiedziałam, że nie mogę poddać się operacji, bo nie mam pieniędzy, by opłacić rachunek za amerykański szpital. Poza tym odpowiedzialność ponosił teraz za mnie Verlan. Rodziłam Leah bez niego -i było bardzo ciężko. Miałam zamiar sprawić, że będzie przy mnie w innych, czekających mnie być może, sytuacjach kryzysowych.

Wyszłam z biura wuja, lekceważąc jego srogie nakazy, i postanowiłam wracać do Meksyku.

Byłam jednak załamana perspektywą skrócenia pobytu u matki.

Bardzo chciałam spędzić z rodziną więcej czasu. A jeszcze bardziej pragnęłam uciec choć na trochę od życia w Meksyku, gdzie warunki były po prostu koszmarnie. Teraz, kiedy stałam twarzą w twarz z perspektywą powrotu, do głowy zaczęły mi się zakradać myśli godne potępienia. Do tego dochodził jeszcze ten straszny ból.

Rozwód wszystko by rozwiązał. Mogłabym zacząć nowe życie tu, w Utah. Mogłabym jeść, co chcę, nosić normalne współczesne ciuchy i może nawet kontynuować znajomość z Glenem. W chwili, gdy ta wizja nabrała kształtów, ogarnął mnie wstyd, że w ogóle mogę tak myśleć. Tak bardzo chciałam mieć u swego boku kogoś mądrego i obiektywnego, kto mógłby mi doradzić...

Może jeśli modliłabym się więcej, powrót do Meksyku nie napawałby mnie taką odrazą. Tłumaczyłam sobie, że przecież Verlan jest uczciwy, prawy, przystojny... i w dodatku kocha Pana. Chciałam tylko uwierzyć, że kocha również mnie.

Przypomniałam sobie zasłyszane niegdyś kazanie o wierze.

Żadna religia, która nie wymaga poświęcenia na Ziemi, nie ma prawa obiecywać nieba. Ja poświęciłam wszystko, co mogłam mieć na Ziemi, wszystko co materialne. Czy mam teraz poświęcić także moje uczucia?

Przecież pragnę chwały wiecznej? Zatem nie powinnam narzekać.

Oczywiście, że muszę wracać.

Rodzina Coksów z Cane Beds w Arizonie zaproponowała, że odwiezie mnie do Meksyku. Przejechałam półtora tysiąca kilometrów w części bagażowej trzytonowej ciężarówce, okrytej brezentową plandeką.

Razem ze mną podróżowało tam jeszcze osiem osób, więc nie sposób było nawet wyciągnąć się swobodnie na materacu. Do tego przejmujący chłód listopadowej nocy i ciągły ból brzucha. Nie mogłam zasnąć - bałam się, że wyrostek za chwilę pęknie na którymś wyboju. Kiedy przekroczyliśmy granicę z Meksykiem, zjechaliśmy z autostrady na ziemne, nieutwardzone drogi i po takich jechaliśmy jeszcze 320 kilometrów na rancho LeBaronów.

Po moim przyjeździe niezwłocznie wyruszyliśmy z Verlanem i Charlotte do Casas, by szukać lekarza, który mnie zoperuje. Dotarliśmy tam późnym popołudniem i okazało się, że doktor Hatch wyjechał na polowanie. Operację mieli przeprowadzić doktor Salas i doktor Fregozo następnego ranka.

W Święto Dziękczynienia przyjęto mnie do kliniki. Natychmiast potem Verlan z Charlotte w towarzystwie znajomego, Ossmena Jonesa, udali się na uroczysty obiad z indykiem. Nie mogłam uwierzyć, że po prostu tak mnie zostawił, pomiędzy obcymi. Wyglądało na to, że nigdy nie mogłam zostać sama z mężem, nawet wtedy, gdy najbardziej tego potrzebowałam. Charlotte brała udział w naszym ślubie, by połączyć nasze dłonie. Kiedy umarło mi dziecko, ciągle kręciła się w pobliżu, tak że nie mogliśmy z Verlanem nawet opłakać straty bez świadków. Teraz, kiedy niczego nie potrzebowałam

bardziej niż troski i wsparcia męża, Verlan odchodził z nią w najlepsze. Nigdy dotąd nie byłam operowana, nigdy nie leżałam w szpitalu. Czułam się zagrożona, wiedziałam, że moje życie jest w niebezpieczeństwie, a do tego jeszcze byłam rozdzierająco samotna i opuszczona. Miałam siedemnaście lat i byłam przerażona. Zamiast męża, którego i tak przy mnie nie było, zapragnęłam mieć przy sobie matkę.

Pielęgniarka, przygotowując mnie do operacji, posmarowała mi brzuch i nogi do kolan środkiem dezynfekującym. Potem pojawił się Arturo Muñoz, młody

Meksykanin mówiący

po angielsku, anestezjolog. Nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia lat. Założył mi na lewe ramię gumową opaskę i ucisnął żyłę palcem, aż nzbierało się dosyć krwi, by wbić igłę. Wstrzyknął mi coś do żyły i zapytał:

- Czuje pani senność?

Zanim zdążyłam wypowiedzieć słowo, już odpłynęłam.



Chyba słyszałam jakieś głosy. Nasłuchiwałam. Tak. To Verlan mówił do mnie:

- Irene, przyjechał do ciebie doktor Hatch.

Światło raziło mnie, oślepiało. Mrużyłam oczy, aż z rozmazanego tła wyłoniła się twarz doktora. Wyglądał jakoś dziwnie.

Najpierw myślałam, że wszystkie te zadrapania, rany i siniaki na jego twarzy i głowie to wynik mojej wędrującej gdzieś jeszcze w niebycie wyobraźni. Oczy miał spuchnięte i podbite.

- Och, doktorze... Hatch - powiedziałam, wciąż oszołomiona. - Co... co... się panu... stało?

Uspokajająco poklepał mnie po ręce.

- Byłem na polowaniu i mój koń spadł ze skały... a ja na nim.

Chwyciłam go za ramię, próbując, bez skutku, się podnieść.

Z troską w oczach, idiotyczną miną i ku ogromnemu zawstydzeniu Verlana, wyjąkałam wreszcie:

- O... o... biedny... koń!



Dziewięć miesięcy nosiłam pod sercem Leah i przez ten czas przestrzegaliśmy z Verlanem czystości. Ani razu w czasie ciąży nie kochał się ze mną. Nie robił tego również po porodzie, bo byliśmy w żałobie. Licząc ciążę i trzy miesiące po śmierci Leah, minął już okrągły rok, odkąd doświadczyłam intymnego zbliżenia. Jakaś część mnie umierała. Szczególnie w tym sensie odczuwałam, że Verlan jest dla mnie bardziej kimś obcym niż mężem.

Rana po usunięciu wyrostka goiła się powoli, lecz kłótnie z Verlanem były gorące i nie miały końca. Kiedy przychodził do łóżka, zawsze sprzecaliśmy się o seks.

- Czytasz za dużo gorących powieści - pouczał mnie. - Poza tym przecież byłaś taka

chora. Nie wiem, czy minęło już zatrucie.

Zatrucie krwi, toksemia - stan, kiedy krew zawiera niebezpiecznie wysoki poziom substancji trujących, toksycznych - był, jak zdiagnozowano, przyczyną śmierci Leah.

- Możesz dostać tego z powrotem, jeśli zajdziesz w ciążę.

Lekarz kazał poczekać przynajmniej rok. Wiesz, że nie możemy zapobiegać ciąży. To grzech, prawie tak ciężki, jak morderstwo!

Musimy się powstrzymywać. Proszę, Irene, bądź cierpliwa. Chciałbym, żebyś uwierzyła, że cię kocham.

Bez mojego dzieciątka czułam się taka zagubiona. Pragnęłam trzymać w ramionach dziecko. Jednocześnie pragnęłam doznać bliskości fizycznej przed ponownym poczęciem. Modliłam się, by Bóg to zrozumiał. Pewnej styczniowej nocy, zdesperowana, zażądałam, by Verlan się ze mną kochał.

- Irene, sama prosisz się o cierpienie - argumentował. - Za dużo myślisz o seksie. Musisz to przezwyciężyć, inaczej nigdy nie będziesz szczęśliwa.

- Verlan, proszę cię. Proszę! - błagałam.

- Dobrze, więc najpierw się pomódlmy - powiedział.

Uklękliśmy obok siebie, trzymając się za ręce, a Verlan modlił się o współzycie ze mną. Zastanawiałam się, czy Bóg rzeczywiście chce słuchać tego typu modlitw. Dał nam przecież wolną wolę, dlaczego więc mamy go prosić o pozwolenie na każde małe posunięcie, małą decyzję? Poza tym, jeśli Bóg rzeczywiście da nam zgodę, będę miała wrażenie, że podgląda.

Weszliśmy z powrotem do łóżka. Czekałam. Czekałam dalej.

Myślałam, że może Bóg odpowiedział, ale Verlan nie usłyszał.

Wreszcie nie wytrzymałam i spytałam:

- No i co, nie robimy tego?

- Nie. Dopiero kiedy poczuję się z tym dobrze - odpowiedział mój mąż obojętnym tonem i przewrócił się na bok do spania.

Parę godzin później obudziły mnie zaloty Verlana. Wyszeptał:

- Irene, śniło mi się, że będziemy mieć ślicznego czarnowłosego chłopczyka. Teraz czuję się z tym dobrze.

Byłam skołowana. Dlaczego sny Verlana pochodziły od Boga, a moje nie? Tysiące razy śniło mi się, że się ze sobą kochamy, ale Verlan ani razu nie pomyślał, że mogłam mieć natchnione sny. Niemniej jednak niezwykle ucieszyłam się ze zmiany jego nastawienia.



Nie wiedzieliśmy nic o owulacji. Mogłam w miarę polegać na moich okresach - przypadały dokładnie co dwadzieścia sześć dni.

Po nocy, kiedy Verlan miał swój chwalebny sen i kiedy wreszcie kochaliśmy się znowu, następna miesiączka się nie pojawiła.

Nie mogłam w to uwierzyć. Jak to, przecież byłam gotowa bić się w piersi, a nawet prać swoje brudne szmaciane podpaski, jeśli tylko Bóg pozwoli zaznać nieco uciechy i spróbować jeszcze parę razy, zanim pocznę tego czarnowłosego chłopczyka. Zastanawiałam się, czy Bóg mnie w ogóle kocha, jeśli nigdy nie pozwala mi na to, czego chcę.

Tak było przez wszystkie lata, kiedy rodziłam dzieci. Przez wiele lat Verlan pracował w Stanach i pisał do mnie między wizytami w domu. Byłam tak płodna, że ostrzegłam go pewnego razu, by do mnie już nie pisał, bo gotowa jestem zajść w ciążę drogą pocztową.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Kariera Verlana jako wytwórcy serów dla Terrenatesów nie trwała długo. W obawie o to, że mogą nastąpić jakieś komplikacje podczas mojej drugiej ciąży, zdecydował on przenieść naszą rodzinę z powrotem na ranczo LeBaronów, gdzie znajdowałam się bliżej doktora Hacha. Charlotte i ja zamieszkałyśmy więc znowu w naszym trzypokojowym domu.

Na nowo podjęliśmy niedzielne wyprawy do Spencerville.

Zdawałam sobie sprawę, że Verlan próbuje w ten sposób upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Tak, pierwsza sprawa to niedzielna modlitwa, a druga to Lucy Spencer - osiemnastolatka, ładna i w dodatku bardzo poważnie myśląca o Verlanie. Byłam w piątym miesiącu ciąży, niespełniona i umierająca z samotności. Patrzyłam, jak tuż przed moimi oczami dzieje się nieuniknione.

Perspektywa seksualnego dzielenia się Verlanem z Lucy była druzgocząca. Moich uczuć nie zmieniała za grosz ani ogromna pobożność Lucy, ani jej życzliwość i przychyłne nastawienie do świata.

Nie zmieniała ich również świadomość tego, jaki los spotkał zazdrosną Lucinę. Rozklejałam się.

Lucy przechwalała się, że kocha Verlana, odkąd skończyła dwanaście lat. Bałam się, że może dać mu powody do tego, by pokochał ją bardziej niż mnie. Myśli te przyprawiły mnie o obłęd.

Płakałam do Boga, skarżąc się na niesprawiedliwość. To ona dostanie seks, którego byłam wciąż tak głodna. Próbowałam nawet przekonać Verlana, żeby zmienił zdanie.

- Nie możesz poprzestać na dwóch żonach? - pytałam. - Czy to nie jest życie w Regule?

- Nie, na niebiosa! - odpowiadał. - Apostoł Heber C. Kimball miał ich czterdzieści pięć! Pomyśl tylko, jaka czeka go chwała!

Próbowałam odnaleźć w tym powód do radości. Może trzy żony to nie takie złe

rozwiązanie, zwłaszcza że mamy do zbudowania całe Królestwo Niebieskie. Podejrza-
wałam, że jednak będę musiała się poddać, choćby tylko z tego powodu. Poza tym nie
mogłam pozwolić, by Lucy była pobożniejsza ode mnie. Musiałam być posłuszna.

Mimo wszystko wciąż czułam, że ta sprawa mnie poniża. Nie dość, że zamiar Ver-
lana, by poślubić Lucy, obnażył moją wprost zwierzęcą zazdrość, to jeszcze uraził
dumą. Miałam nadzieję i po cichu wyobrażałam sobie, że tak było, że to ja będę kobie-
tą, która w pełni go zaspokoi i bez której nie będzie w stanie żyć. Po co mu inna osoba,
kiedy ma mnie w pobliżu? Verlan jednak nigdy nie rozważał tej możliwości. Zawsze
najbardziej pragnął chwały, a chwała wymagała wielu żon.

Czułam, że noszę w sobie pokłady miłości, miłości do rozdania, lecz nie ma niko-
go, kto chciałby ją przyjąć. Skupiłam się więc na dziecku. Dziecko będzie mnie kochać
bezwarunkowo. Będę mogła je tulić, pieścić i całować. Nie mogłam się tego doczekać.

W tym czasie zaczęłam w zupełnie innym świetle postrzegać Charlotte. Jakże ona
mogła pozwolić swemu mężowi, by mnie poślubił? Jak sobie z tym poradziła? Czy jej
wiara była mocniejsza od mojej? Choć Charlotte bywała czasami bardzo trudna, wie-
działam, że ona nie obudzi we mnie nigdy takiej zazdrości, jaką czułam w przypadku
Lucy. Wydawało mi się po prostu, że nie miałam prawa.

Zaczęłam teraz porównywać sposób, w jaki traktowała mnie Charlotte, do tego, jak
ja będę odnosić się do swojej rywalki. Chociaż wiele razy czułam na sobie pełne potę-
pienia spojrzenie Charlotte, nigdy nie powiedziała mi złego słowa. W rzeczywistości
wiele razy mnie wspierała. Kiedy tak sobie o tym myślałam, szczególnie zdumiał mnie
fakt, że uszyła mi tę koszulę nocną i przekazała przez Verlana na noc poślubną. Jeśli w
ogóle czegoś byłam pewna, to tego, że przenigdy nie uszyję koszuli dla Lucy, by mogła
w niej spać z moim mężem.

A może właśnie powinnam? Zawiesiłabym wtedy na niej pięciokilową kłódkę.



W tym tygodniu przypadała moja kolej gotowania. Verlan czule objął mnie ramie-
niem, kiedy stałam przy kuchni i smażyłam fasolę z odrobiną cebuli i oleju - dla smaku.

- Dobrze ją utłucz, zanim dodasz sera - powiedział. - Umieram z głodu.

Przez podartą siatkę w drzwiach wejściowych świeciło ciepłe, majowe słońce.
Trzymał mnie blisko, całując w szyję i twarz. Mieliśmy dla siebie jeszcze parę skra-
dzionych minut, zanim Charlotte wróci od Delfiny na lunch.

- Puk, puk - nagle rozległ się głos Lucy. Verlan gwałtownie odwrócił się i odsunął
ode mnie, jakby przyłapanym na gorącym uczynku. Przeczynałam, że Lucy coś knuła. Pa-
trzyła na mnie niespokojnie, a potem zwróciła się prosto do Verlana: - Czy możemy po-
mówić na osobności?

- Tak - odpowiedział i pokazał jej drogę do pokoju Charlotte.

Moja stopa błyskawicznie przytrzymała drzwi, zanim zdążyli je zamknąć.

- O, nie, nie możecie - wysyczałam, gotując się ze złości.

Patrzyłam prosto w oczy Lucy. - Jeśli masz coś do powiedzenia mojemu mężowi, powiedz to tu, przy mnie.

Verlan zaśmiał się, zażenowany moją niespotykaną reakcją.

Wpatrywał się we mnie z nadzieją, że uda się uniknąć sceny.

- Irene, proszę, ona chce tylko ze mną chwilę porozmawiać. - Pchnął drzwi, które wciąż przytrzymałam stopą. Myślał, że może je puszczyć.

Lecz ja otworzyłam drzwi prawie na oścież, patrząc bojowo na Lucy.

- No, proszę, mów, cokolwiek masz do powiedzenia! - zakomenderowałam. Ona bezradnie spojrzała na Verlana. - No, dalej - ponagliłam. - Usłyszmy to, jeśli to takie ważne.

- No, dobrze... - Spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami. - Jeśli tego sobie życzysz... dziś rano przyjechało do nas dwudziestu ośmiu przyjaciół, fundamentalistów z Utah. - Przerwała, spoglądając na mnie, jakby chciała się upewnić, czy rzeczywiście chcę usłyszeć resztę. Nie przerywałam, więc znowu zwróciła się do Verlana: - Przyjechali sześcioma samochodami. Wszyscy jadą na konferencję do Ozumba.

Razem z matką rozmawiałyśmy z wujem Rulonem. Zgodził się udzielić nam ślubu dziś o trzeciej po południu. Chciałam po prostu się upewnić, czy przyjedziesz.

Byłam tak roztrzęsiona, że nie mogłam wymówić ani słowa. Łzy napłynęły mi do oczu. Nie chciałam, żeby to była prawda, chciałam wymazać tę scenę, zapomnieć, że się wydarzyła. Podeszłam z powrotem do pieca i wyładowałam wściekłość na fasoli. Miażdżyłam ją z furją, cały czas płacząc.

Wiedziałam, że Verlan był równie zdziwiony, jak ja, lecz zdołał odprowadzić ją do drzwi i obiecać:

- Będziemy.

Lucy zawahała się, lecz słusznie zdecydowała nie mówić mi do widzenia.

Nie zważałam na to, czy Lucy mnie słyszała, czy nie, i w momencie, gdy drzwi się za nią zamknęły, zaczęłam wrzeszczeć na Verlana.

- Może ty tam będziesz, ale ja na pewno nie pojedę na twój cholerny ślub!

Rzuciłam kopystkę na podłogę, resztki fasoli rozbryznięły się na wszystkie strony. Wbiegłam do swojego pokoju i zatrzasnęłam drzwi.

Rzuciłam się na łóżko. Przyszedł za mną Verlan, starając się mnie przytulić, pocieszyć, lecz ja szarpałam się i odpychałam go.

- Idź sobie, idź ode mnie, nie dotykaj mnie! Jeśli ożenisz się ze swoją prawdziwą miłością, nigdy więcej mnie nie zobaczysz!

- Nie gniewaj się na mnie - prosił. - Nie wiedziałem, że to ma się odbyć dzisiaj.

- Verlan, ja nie pojedę. Nigdy nie oddam cię innej żonie. Bóg będzie musiał wysłać mnie do piekła. Nie zrobię tego! Przysięgam! - szlochałam histerycznie.

- Irene, to część naszej wiary! Bóg tego żąda. To dla naszego zbawienia. Proszę, jeśli nie dla Boga, to zrób to dla mnie. Błagam, Irene. Powinniśmy się cieszyć, że ona

chce należeć do naszej rodziny.

Dla Lucy to też wyrzeczenie.

- O, tak! - wybuchłam. - Wielkie wyrzeczenie, kochać się z moim mężem!

- Cicho... - próbował mnie uspokoić. Słyszeliśmy, że po kuchni krzątała się już Charlotte.

- Wyjdź z mojego pokoju - rozkazałam.

Verlan był zrozpaczony. Złapał mnie jeszcze mocniej.

Przestałam mu się wyrywać, kiedy uświadomiłam sobie, że on też płacze. Trwaliśmy tak razem, przyklejeni do siebie nawzajem, szlochając w swoich ramionach. W końcu powiedział:

- Irene, dla mnie też nie jest to łatwe. Nie myśl, że mnie to nie boli, kiedy widzę cię w takim stanie. Nigdy, nigdy bym tego nie zrobił, gdyby nie nakazał tego Bóg. - Westchnął głęboko. - Nie mogę sprawić, żeby dwie żony były szczęśliwe, a co dopiero trzy... -Spojrzał na zegarek. Musiał być u Lucy za mniej niż dwie godziny, a jeszcze trzeba było wtajemniczyć Charlotte.

Usłyszałam, jak przed domem zatrzymuje się samochód.

Podejrzywałam, że to może być ktoś znajomy z Utah. Byłam przerażona. Żadna z tych świętych osób nie mogła ujrzeć mnie tak straszliwie zapłakanej - przynajmniej nie z tego powodu. Musiałam być silna. Jeśli ktokolwiek z nich zobaczy, jak bardzo jestem nieszczęśliwa, pomyślą, że nie zasługuję na chwałę wieczną. Do drzwi mojego pokoju zapukała ciotka Athlene.

- Irene, mogę z tobą porozmawiać? - zapytała przez drzwi.

Ciotka Athlene była jedną z żon wuja Rulona. Może ona zrozumie, jak się czułam. Błagałam, by wybaczyła mi stan, w jakim mnie zastała. Ona zaś objęła moje ciężarne ciało i mocno mnie tuliła, a ja bezwstydnie chlipałam.

W końcu odezwała się:

- Biblia mówi, że posłuszeństwo jest ważniejsze niż poświęcenie. Jedź, Irene. Bądź dzielna. Służ mężowi. On pokocha cię jeszcze bardziej, widząc, że z własnej woli oddajesz mu Lucy Jasne, że to trudne, ale bądź mężna. Doczekasz się przez to chwały w niebie. - Pocałowała mnie z miłością i odgarnęła mi z twarzy poczochrane, złote włosy. - On nic na to nie poradzi, że będzie cię jeszcze bardziej kochał - obiecała. - Nie zawieź go! - Znów mnie uściskała. - Bądź gotowa za godzinę. Liczę na ciebie, dobrze?

Wysłuchałam jej posłusznie. Patrzyłam, jak odjeżdża. Za bardzo ją szanowałam, nie mogłam pozwolić, by odkryła, że górę we mnie wziął diabeł. Kiedy tylko znikła mi z oczu, rzuciłam się z powrotem na łóżko i kiwając się w przód i w tył, jęczałam:

- Nie pojedę... nie pojedę... nie pojedę. A jeśli pojedę, to muszą mnie tam zawlec duchy niebieskie! - Teraz trzęsłam się już i byłam słaba od płaczu.

Kiedy wróciła po nas ciotka Athlene, Charlotte posłusznie wsiadła do samochodu.

Verlan wkroczył do mego pokoju ostatni raz i poprosił:

- Irene, chodź, jedziemy. Błagam, zrób to dla mnie.

Chciałam zranić go tak mocno, jak on ranił mnie.

- Nie, nie chcę brać w tym udziału. Nie zmusisz mnie - odparłam. Verlan wiedział, że nic nie wskóra. Odszedł pokonany.

Nasłuchiwałam, czekając, aż odjadą. Potem zaczęłam wrzeszczeć i walić pięściami w łóżko. Mogłam sobie wyobrazić, co powiedzą o mnie ludzie. „O, Irene tego nie czuje. Jest zbyt zazdrosna, nie ma w niej ducha bożego”. Będę przez wszystkich potępiona. Wuj Rulon gotów pomyśleć, że nie dotrzymuję obietnicy. Rozważania te przerwało mi stukanie w drzwi. Usłyszałam męski głos:

- Mogę wejść?

- Jak chcesz - odparłam, ponizona, że ktoś obcy był świadkiem mojego zachowania.

Wszedł mężczyzna. Usiadł na łóżku obok mnie. Poklepał mnie po plecach i powiedział:

- Irene, nie znasz mnie. Jestem Wayne, znajomy Spencerów z Utah. Jechałem właśnie na wasze ranczo i wpadłem na Verлана. Wysłał mnie po ciebie. Proszę, pojedź. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz żałować przez całe życie.

Wiedziałam, że mam ostatnią szansę, by być posłuszną Bogu.

Jeśli teraz odmówię, mogę zapomnieć o niebie. W najlepszym razie skończę jako anioł. Większą hańbą będzie usługiwanie Verlanowi, Charlotte i Lucy na wieki, niż pojawienie się na ślubie z czerwoną, zapuchniętą twarzą.

Chwyciłam ręcznik i zmoczyłam go w zimnej wodzie przy pompie. Usiadłam na przednim siedzeniu samochodu Wayne'a, odchyliłam głowę i położyłam sobie na oczach ten zimny kompres.

Tak, pojedę na ślub męża, ale kiedy będzie już po wszystkim, on wciąż będzie miał dwie żony - mnie może nie liczyć. Z tą myślą dojechałam do Spencerów i ona jedna powstrzymała moje łzy.

Kiedy zajechaliśmy, Verlan podskoczył do samochodu, otworzył drzwi na oścież i niemal wyśpiewał z radości:

- Irene, uwielbiam cię za to, co zrobiłaś. Wiedziałem, że przyjedziesz, wiedziałem.

- Prowadził mnie przez drewniany mostek i koło altanki porośniętej winoroślą. - Pospiesz się, wszyscy na nas czekają.

Pochyliliśmy głowy, żeby nie uderzyć się o niską framugę, i weszliśmy do kwadratowego pomieszczenia, w którym oczekiwała nas niecierpliwie grupka ludzi. Wuj Rulon skinął głową i złożył przed sobą ręce. Wyglądał niezwykle poważnie, gdy przemówił:

- Niechaj to święte przymierze pozostanie tajemnicą. Wiedzą o nim tylko ludzie tu zgromadzeni i Wayne. Pozwoliłem też uczestniczyć w nim mojej żonie - tu kiwnął w stronę Athlene - i matce Lucy. - Spojrzał na Verлана. - Więc, jeśli jesteście gotowi -

miał na myśli Verlana, Charlotte, Lucy i mnie - możemy zaczynać.

Wuj Rulon poprosił Verlana o wystąpienie naprzód. Ustawił Charlotte po jego lewej stronie, mnie po lewej stronie Charlotte, a Lucy - po mojej lewej. Wbijałam wzrok w podłogę. Wszyscy widzieli, w jakim jestem stanie. Wuj Rulon przemówił, zwracając się prosto do mnie:

- Siostrze LeBaron, czy bierzesz Lucy za prawą rękę i oddajesz swemu mężowi?

W środku krzyczałam, ale na zewnątrz nie byłam w stanie wydusić ani słowa. Cisza była coraz bardziej żenująca. Charlotte ponagliła mnie lekkim szturchnięciem. Nie chciałam odpowiadać i też ją szturchnęłam.

Wuj Rulon odchrząknął i ponownie zapytał:

- Siostrze LeBaron, czy bierzesz prawą rękę Lucy i prowadzisz ją do swego męża?

Słowa nie chciały wyjść z moich ust. Jeśli włożę jej rękę w jego dłoń, tym samym zezwolę im...

Zaniepokojony Verlan szepnął:

- Irene, on mówi do ciebie.

Wuj Rulon był wzburzony. Spróbował znowu, tym razem wypowiadając moje imię:

- Siostrze Irene, czy bierzesz prawą rękę Lucy...

Sięgnęłam po jej dłoń, złapałam ją i wcisnęłam w dłoń Verlana.

Wszyscy, prócz mnie, odetchnęli z ulgą. Ceremonia wciąż trwała. Ja jednak nic nie słyszałam, bo w głowie szalała mi nawałnica, a oczy zasłoniła nowa, nagła fala łez.

- Przed Bogiem, aniołami i tymi oto świadkami... - ciągnął wuj, a ja wyłapałam słowo „aniołami” i przypomniałam sobie, że, jak wszystkie śluby mormońskie, ten również odbywał się w obliczu całej gromady uwięzionych, na wieki samotnych aniołów. To przykuło moją uwagę - ...ogłaszam was mężem i żoną w świetle prawa i zgodnie z prawem. - Przerwał i posłał Verlanowi uśmiech zadowolenia.

- Może pan pocałować pannę młodą.

Verlan pocałował Lucy (dobrze, że nie miałam przy sobie kija do baseballu). Potem pocałował Charlotte, a ja wyfrunęłam za drzwi, zanim zdążył nawet pomyśleć o pocałowaniu mnie. Wybiegłam do małego sadu za domem, niewiele widząc przez łyzy. Usiadłam na niższych gałęziach rozłożystej gruszy i przeraźliwie płakałam. Nie miałam rodziny. Miałam zaledwie osiemnaście lat. Straciłam dziecko.

Miałam tylko Verlana i teraz odbierała mi go Lucy. Nawet jego. Z nadzieją na pocieszenie położyłam się na gałęziach. Kiedy poruszyło się we mnie dziecko, zastanawiałam się, czy i ono czuje mój smutek.

Widziałam, jak Verlan szuka mnie w zagrodzie dla kóz. Potem sprawdził w kurniku. Potem w spiżarni, gdzie ciotka Sylvia trzymała swe bezcenne przetwory z owoców i warzyw. Zorientowałam się, że zaczyna być niespokojny. W końcu jednak spojrzął w stronę sadu i zobaczył mnie, ukrytą w gałęziach gruszy. Bez słowa podniósł mnie i zaprowadził do samochodu. Nie odezwałam się ani do niego, ani do Charlotte przez całą

drogę do domu. Nie odezwałam się też do Boga.

Na Niego również byłam wściekła.

Verlan na próżno starał się mnie pocieszyć.

- Zostawiłem Lucy u matki. Zobacz, nawet nie będę z nią dziś spał. - Powiedział to tak, jakby to było z jego strony ogromne wyrzeczenie, uczynione tylko dla mnie. - A jutro pojedziemy w oddzielnych samochodach. Spotkamy się w Chihuahua, by nikt się niczego nie domyślił.

Byłam zbyt wściekła, żeby odpowiedzieć. Nie chodziło o to, czy będzie z nią spał dziś, czy jutro. Nie chciałam, żeby w ogóle z nią spał.

Koniec i kropka.

- Irene, dla Lucy to też wyrzeczenie. Ona czuje się strasznie.

Spróbuj zrozumieć. To dzień jej ślubu i nawet nie może go ze mną spędzić.

Cieszyłam się, że była to noc, którą Verlan miał spędzić u Charlotte. Złość przepęłniała mnie do tego stopnia, że chciałam się na nim wyżyć. Próbował pocałować mnie na dobranoc, zanim udał się do jej pokoju, ale zrobiłam unik.

- Twoje usta już nigdy nie dotkną moich. Nigdy! - krzyknęłam.

Potrząsnął głową i westchnął.

- Nie mogę cię zrozumieć. Czemu jest ci aż tak przykro? Buduję tylko swoje królestwo. Kobiety urodzone w Regule nie powinny się tak zachowywać.

Odszedł, nie pojmując, o co mi chodzi.

Po chwili poczułam, jak wsuwa się obok mnie pod koc.

- Charlotte uważa, że ty bardziej mnie dziś potrzebujesz, więc jestem tu, z tobą. Widzisz, za dobre czyny należy się mała nagroda.

W ten sposób przebrał miarę. Próbowałam wydostać się z łóżka, lecz Verlan złapał mnie i zmusił, bym się z powrotem położyła.

- Irene, błagam, posłuchaj mnie!

- Tak będzie, Verlan! - wykrzykiwałam w przerwach między gwałtownym szlochaniem. - Jeśli będziesz spał z Lucy, zostawię cię, odejdę, przysięgam! Nigdy mnie już nie zobaczysz!

Wiedziałam, że nie gram fair, a Verlan nie potrafił sobie poradzić z rozhisteryzowaną żoną. Prócz tego miał poczucie winy, że nie spędza z Lucy nocy poślubnej. Czy ona kiedykolwiek mu wybaczy?

Czy nie stanie się to przyczyną jeszcze poważniejszych problemów?

Trzymał mnie w ramionach i tak spędziliśmy noc poślubną Lucy - płacząc razem i kołyszając się w płaczu do snu.

Po przeciwnej stronie domu, w słabym świetle lampy, Charlotte cicho pakowała trochę własnych ubrań, by Lucy miała w co się ubrać na podróż poślubną. Spencero wie, odkąd przyjechali do Meksyku, żyli w straszliwej nędzy. Verlan nie mógł przecież powiedzieć Lucy, że jej satynowa, granatowa sukienka była i niemodna, i brzydka.

Następnego ranka patrzyłam z goryczą, jak Verlan pakuje walizkę. Złożył dwie koszule, a pod nie wetknął czystą bieliznę. Musiał iść do pokoju Charlotte po niebieskie spodnie i czyste skarpety.

Przyniósł je i spokojnie wkładał po kolei do torby.

W pewnym momencie spojrzał na mnie pytająco, a potem sięgnął pod poduszkę, po swoją piżamę.

- O, nie, zostaw to! - Wyrwałam mu piżamę z rąk. - To moja piżama!

- Pożycz mi ją - zaproponował. - I tak naprawdę jest moja. Po prostu pozwalam ci ją trzymać w swoim pokoju.

- Nigdy nie prześpisz się w niej z inną - rzekłam, przyciskając piżamę do piersi.

Patrząc na mnie podstępnie, jak ja przed chwilą na niego, wypalił:

- W takim razie będę po prostu spał bez niej!



Trzy dni później, koło południa wieszałam właśnie na dworze pranie, gdy zobaczyłam, jak na skróty, przez trawy i niskie zarośla, z walizką w ręku wraca z podróży poślubnej Verlan. Szybko chwyciłam emaliowaną miskę pełną mokrej bielizny i wróciłam do domu. Nic nie mówiąc Charlotte, ukryłam się w moim pokoju. Słyszałam, jak Verlan przywitał się z nią i zapytał:

- I jak zniosła to Irene?

- Lepiej, niż się zapowiadało - odparła.

Byłam wściekła. Charlotte i ja nie poruszyłyśmy tego tematu ani razu pod nieobecność męża. A teraz oboje próbowali mnie rozgryźć.

Jeśli chciał wiedzieć, jak się w istocie mam, powinien zapytać właśnie mnie. Oczywiście musiał być przygotowany na prawdziwe piekło, jeśli się na to odważył.

Zobaczyłam, jak pod haczyk z drutu, na który zamknęłam drzwi do pokoju, wsuwa się nóż do masła. To Verlan próbował się tu dostać.

Przez parę minut nie pozwalałam. W końcu dałam za wygraną, ale tylko w obawie o to, że mój opór może rzucić go z powrotem w ramiona Lucy. Zamaszyście otworzyłam haczyk, a on objął mnie i powiedział:

- Kocham cię. Jesteś taka śliczna. Nikt nigdy nie zajmie twojego miejsca.

- Dlaczego tak mówisz? Właśnie wróciłeś z podróży poślubnej.

- Zostawiłem Lucy u matki - powiedział zmieszany - tylko dla ciebie. Chciała przyjechać tu ze mną i wprowadzić się od razu, ale zdecydowałem, że poczekam, aż ty się zgodzisz.

I oto otworzył tamę, wylała się rzeka mojego oburzenia.

- Nigdy, nigdy się nie zgodzę! Nie waż się jej tu przywozić!

Nigdy! Słyszałeś? Nigdy!

Verlan aż się skurczył.

- O, nie, nie mów tak. Nigdy z takim nastawieniem nie dojdiesz do nieba.

- Dobra. Nie chcę jej tu nawet teraz, a co dopiero przez całą wieczność! Nigdy przy mnie nie wymawiaj jej imienia! Może i jest twoją żoną, ale na pewno nie moją!

Przez następne trzy dni bacznie mu się przyglądałam.

Chodziłam za nim wszędzie - do braci, na pole. W desperacji postanowiłam, że nie pozwolę mu się wymknąć do Spencerów nawet na trochę. Paralizował mnie strach przed tą chwilą.

Trzeciego dnia rano golił się przy umywalni w kuchni, kiedy nadeszłam. Patrzyłam, jak otwiera usta, by wygolić wąsiki. Widział, że mu się przyglądam, ale nic nie mówił, by nie prowokować kłopotów.

Było mi niedobrze. Wiedziałam już, co się święci, ale i tak zapytałam:

- Dla kogo się tak szykujesz?

- Mam zamiar złapać okazję i odwiedzić Lucy - odparł najzwyczajszym w świecie tonem.

Nie mogłam powstrzymać łez.

- Mnie nie odwiedzałeś przez cały tydzień po ślubie. A do Lucy jedziesz już po trzech dniach! Nie możesz bez niej wytrzymać? - Tupnęłam nogą ze złości.

A on śmiał mi odpowiedzieć:

- Nie chcesz przecież, żebym traktował ją tak samo jak ciebie?

Poza tym okoliczności są inne. Czuję, że mnie potrzebuje.

- Ja też cię potrzebuję! - wrzasnęłam. - Jestem w piątym miesiącu! To niesprawiedliwe! Proszę, zostań!

Zignorował moje błagania. Zmienił koszulę. Potem przedarł się na skróty przez za-
rośla do głównej drogi i tam czekał na okazję do Spencerville.

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Trzy czy cztery tygodnie po ślubie Verlana i Lucy mój mąż oznajmił, że wraz z Charlotte wybierają się na dwa tygodnie do Stanów, odwiedzić ciotkę Rheę. Chciał, żebym zaopiekowała się w tym czasie jej dziećmi, Verlanem Juniorem i piętnastomiesięczną Rheą.

Zgodziłam się, ale w momencie, gdy usłyszałam, że ma ze mną w tym czasie zamieszkać Lucy, żebym nie była sama, zdecydowanie odmówiłam. Nie wpuszczę jej na swój teren.

- Błagam, zrób to dla mnie. Będę cię za to uwielbiał! Ona okropnie się czuje, bo już jej nie lubisz. Jest jeszcze gorzej, bo nie jeździsz już do jej matki w niedzielę! Martwię się, że siedzisz tu cały czas sama. Proszę, Irene, zrób to dla mnie!

Próbowałam zwalczyć w sobie zazdrość, ale bez skutku.

- Nie! Żadna kobieta nie będzie tu ze mną mieszkać, choćby nawet przez jeden dzień - zdecydowałam.

Po tym jednak, jak Verlan przekonywał mnie i zapewniał, jak bardzo mnie potrzebuje i na mnie liczy, nie mogłam po prostu sprawić mu zawodu. „Proszę, zrób to dla mnie”, prosił i prosił. Wiedział przecież, na co mnie można złapać. W końcu się poddałam, ale wyraźnie dałam mu do zrozumienia, że jej nie zaakceptuję. Należała do niego, nie do mnie. Ciągle jej nienawidziłam.

Verlan ostrzegł Lucy przed moim trudnym charakterem i poinstruował, o czym nie powinna ze mną rozmawiać. Nie pozwolił jej wspominać o ich małżeństwie, podróży poślubnej i - na miłość boską - nie powinna za skarby przyznać się, że jest w ciąży. I tak miał poważny problem, żeby mnie przekonać do tego pomysłu. Udało mu się tylko dlatego, że go kochałam. Ponieważ jej nie kochałam wcale, myślał, że gdybym wiedziała, że Lucy nosi jego dziecko, do reszty poddałabym się działaniu diabła i gotowa byłabym ją pobić.

Pierwszy wspólny dzień spędziłyśmy w ciszy - Lucy obierała fasolę i wykonywała inne czynności domowe, ale głównie uważała, by schodzić mi z drogi. Kiedy patrzy-

łam, jak chodzi po moim domu, gotowałam się ze złości. Mimo wszystko musiałam jednak przyznać, że była miłą dziewczyną. Stwierdziłam też, że dobrze wypadam w porównaniu z nią - byłam od niej całe jedenaście miesięcy młodsza.

Pozostawałam więc najmłodszą z żon naszego męża.

Bardzo bałam się spać sama, bez mężczyzny do obrony w pobliżu, ale wiedziałam, że nie wpuszczę Lucy do swego łóżka. Był to jedyny osobisty przedmiot, jaki posiadałam. Musiałam dzielić się mężem i nawet jego piżamą, ale jednego byłam pewna - po moim trupie inna żona wejdzie do mojego własnego łóżka. Lucy spała więc w sypialni Charlotte i opiekowała się dwójką jej małych dzieci.

Drugiego poranka postanowiłam wygarnąć Lucy, co o tym wszystkim myślę. Wiedziała, że byłam wściekła, więc dlaczego nie powiedzieć jej, co dokładnie czuję? Może jeśli się dowie, jak mnie rani cała ta sytuacja, zrezygnuje z pomysłu, by się do nas wprowadzić?

Ruszyłam więc z tyradą słów, ale zanim się dobrze rozpędziłam, załamalam się i zaczęłam płakać. W dziwny sposób uwolniło to rozmowę - zaczęliśmy mówić o tym wszystkim, z czym walczyłam odnośnie do Lucy - o wszystkim, prócz seksu. Tego znieść nie potrafiłam. Byłam przekonana, że nigdy nie zaakceptuję współżycia Lucy z Verlanem. Nie chciałam o tym słyszeć. Chciałam tylko wiedzieć jedno: czy ona przestrzega zasad?

Przez dwa tygodnie, które razem spędziłyśmy, Lucy nauczyła mnie szyć. Wzięłyśmy spodnie naszego nieżyjącego już teścia, którego nigdy nie poznałam, i Lucy pomogła mi wykroić z nich i uszyć spodenki na szelkach dla małego Verlana. Uszyłam mu pięć par i każda kolejna wychodziła mi coraz lepiej. Wszystkie skrawki pocięłyśmy na małe kawałki do ubikacji, bo papier toaletowy wciąż stanowił dla naszej rodziny luksus, na który nie mogliśmy sobie pozwolić. Nie minęło wiele czasu, a uświadomiłam sobie, że rozwinęła się między nami swego rodzaju więź. I kiedy Lucy wróciła do matki, byłam przekonana, że z czasem zostaniemy jeszcze lepszymi przyjaciółkami.



Verlan i Charlotte wrócili niespodziewanie o czwartej nad ranem. Charlotte poszła więc spać do Lucy, a Verlan wślizgnął się pod moją kołdrę. Z wrażenia nie mógł spać, więc do świtu rozmawialiśmy.

Nigdy nie był miłszy i nie wykazał mi więcej zrozumienia. Dał mi poznać, że o mnie troszczy się najbardziej, że moje szczęście jest dla niego priorytetem. Miał jednak zamiar poprosić mnie o nie lada przysługę:

- Tylko się zgódź, a ja będę cię zawsze kochał.
- Dobrze, o ile to nie dotyczy Lucy.

Zapadła głucha cisza. Spróbował znowu:

- Irene, proszę, pozwól jej zamieszkać z nami. Jestem też jej mężem i ona potrzebuje akceptacji.

- Nie - zapowiedziałam. - Po prostu chcesz ją tu powolutku, krok po kroku wcisnąć i masz nadzieję, że na to pójdę. Ale ja nie chcę z nią mieszkać! I jeśli ty nie możesz bez niej wytrzymać, to znajdź mi pokój gdzie indziej, a ja z przyjemnością się stąd wyniosę!

Potrząsnął głową.

- Nasza rodzina musi być razem. Nie możesz na początek postarać się ją polubić? Nie musisz przecież jej kochać. Czy pozwolisz jej tu zamieszkać, jeśli obieca, że nigdy nie wejdzie do twojego pokoju?

- Do diabła!

Gdzie zamierzasz ją ulokować?

To niesprawiedliwe!

- O, moja droga, nie klnij przy mnie!

- Mamy tylko trzy pokoje - ciągnęłam. - Charlotte ma swój, ja też. Chcesz, żeby mieszkała w kuchni? Verlan, przecież wiesz, że tam szyjemy, robimy kołdry, łuskamy kukurydzę i czyścimy fasolę. A w zimne dni robimy tam pranie.

- Irene, błagam, już zawsze będę cię uwielbiał, jeśli się zgodzisz.

- Obsypywał mnie pocałunkami, jak zwykle z nadzieją, że to mu pomoże dopiąć swego. Tak się nie stało, ale i tak w końcu się poddałam.

Wiara nakazywała mi całkowite posłuszeństwo.

Podkreśliłam jednak, że robię to tylko dla niego. Miał nigdy nie wprowadzać jej do mojego pokoju albo ich oboje spotkają poważne przykrości.

Verlan wiedział, co go czeka, jeśli nazwie te dwie godziny, jakie ze mną spędził, „moją nocą”. Ogłosił więc rano, że kolejną noc spędzi ze mną, następną z Lucy i trzecią z Charlotte. W ten sposób z każdą z nas spędzi co trzecią noc. Będzie sprawiedliwość, nikt nie będzie poszkodowany ani faworyzowany. Oczywiście każda z nas chciała właśnie być faworyzowana, ale zgodziłyśmy się ze względu na „jedność” i dlatego, żeby Verlan jeszcze bardziej każdą z nas pokochał.

W ten sposób zabiegałyśmy o jego łaski. Choć ze złością, wspominałam jeszcze jego słowa: „Widzisz, jeśli zrobisz coś dobrze, dostaniesz małą nagrodę”.

Verlan zignorował swoją obietnicę i próbował mnie przekonać, bym co trzecią noc przenosiła się do Charlotte i ustępowała swego łóżka Lucy, żeby mogli wspólnie spędzić w nim noc. Wybuchłam płaczem.

- Nie skalasz mego łóżka, śpiąc w nim z inną! - krzyczałam.

- Ciii... - próbował mnie uspokoić, wiedział jednak, że posunął się za daleko.

- Pozwolisz więc Charlotte przychodzić do ciebie na noc?

Nie mieliśmy kanapy i kuchnia była naszym głównym pomieszczeniem. Tutaj toczyło się codzienne życie. Było tak, jak przewidywałam - nie mieli się gdzie podziać. Naprawdę chciałam być dobrą żoną, więc kiedy już Verlan dowiedział się, co naprawdę o tym myślę, jak zwykle się poddałam. Uzgodniliśmy, że Charlotte przeniesie się do mnie

na noce Lucy, a Lucy na noce Charlotte.



Na tydzień przed pierwszą rocznicą urodzin Leah Verlan zrobił mi niespodziankę w postaci worka cementu. Wziął podłużne drewniane pudło po mydle, wyścielił je grubym papierem, a w górnych rogach umieścił dla ozdoby dwie litrowe puszkę po soku. Wlał w to rozrobioną zaprawę i wyrył napis: LEAH LEBARON - UR. 7 SIERPNI 1954 - ZM. 7 SIERPNI 1954. Kiedy wszystko wyschło, usunął skrzynię i puszkę. Mieliśmy tablicę nagrobną.

W rocznicę jej narodzin Verlan zabrał mnie na cmentarz, na grób, którego dotąd nie widziałam. Ostrożnie odmierzyliśmy odległość od muru z każdej strony, by umieścić tablicę w odpowiednim miejscu, choć byliśmy prawie pewni gdzie to jest, bo wszystkie okoliczne groby miały postawione krzyże katolickie.

Kiedy Verlan rozkopywał wzgórek, który do tej pory znaczył miejsce spoczynku Leah, do mnie powróciły zaskoczenie i trauma związana ze stratą pierwszego dziecka, naszej maleńkiej córeczki. Po policzkach popłynęły łzy, duszę wypełnił smutek. Verlan przytulił mnie.

- Irene, wiem jak się czujesz. Oddałbym wszystko, by mogła być z nami. - Poklepał mnie po ogromnym brzuchu w siedmiomie-sięczonej ciąży. - Ale nie smuć się, kochanie, może Bóg da nam inną dziewczynkę.

Przez wszystkie kolejne lata, kiedy tylko w dniu urodzin Leah Verlan był z dala od domu, zawsze przysyłał mi wzruszający liścik z wyrazami żalu i cierpienia. Była pierwszym z pięciorga dzieci, jakie stracił, i nigdy nie pogodził się z bólem po jej śmierci.



Szóstego października 1955 roku obudził mnie tak gwałtowny ból, że Verlan musiał pomóc mi dźwignąć się z łóżka. Czułam, że nie wytrzymam, że zaraz urodzę, ale uparłam się, by poddać się najpierw badaniu lekarskiemu. Ponieważ w drodze były straszne dziury i wyboje, posłanie kogoś po lekarza do El Valle i powrót na rancho zajęłyby co najmniej dwie godziny. Verlan kazał Lucy, która sama była teraz w czwartym miesiącu, szybko iść, ale nie biec, po pomoc. Pospieszyła, więc na skróty, przez porośniętą wysoką trawą i zaroślami step do domu Homera Babbitta, który mieszkał po drugiej stronie żwirowej szosy. Alma odjechała już swoją ciężarówką, a jedynym w okolicy posiadaczem pojazdu mechanicznego był właśnie Homer. Zawiózł Lucy do miasta po doktora.

Stałam przy drzwiach pokoju Charlotte, płacząc.

- Pomóż mi, Charlotte, ratuj mnie, nie przeżyję znowu dwunastu godzin! - Stanęły mi przed oczami wspomnienia z pierwszego porodu.

Wciąż byłam nimi okrutnie przerażona.

- Wejdz - powiedziała. - Nie martw się, niedługo będzie po wszystkim. - Spojrzała

tylko na mnie i dodała: - Na Boga, wyglądasz, jakbyś za chwilę miała urodzić. - Szybko zarzuciła na materac plastikowe nakrycie, na którym rozścieliła czyste prześcieradła.

Charlotte jednak sama była w ciąży - miała rodzić za trzy tygodnie. Yerlan obawiał się, że urodzi przedwcześnie, jeśli będzie przyjmować na świat moje dziecko, więc kazał jej czekać w domu sąsiadów.

Poprosiliśmy ciotkę Verlana, Annie, by przyjęła dziecko, jeśli przyjdzie mi rodzić przed przybyciem lekarza. Zdarzyło się tak, że właśnie była na ranczu z wizytą. Ciotka Annie nigdy przedtem nie odbierała porodu. Kiedy więc weszła do mnie, była jeszcze bardziej nieszczęśliwa niż ja - ścisnęła dłonie, wykręcała je, wycierała o fartuch - nie wiedziała, co robić. Leżałam, zbliżając się z każdą minutą do finału, przykryta prześcieradłem. Przy każdym skurczu ciotka krzyczała i jęczała, jakby sama odczuwała bóle. Złapałam jej rękę z jednej strony, a Verlana z drugiej. Skurcze przychodziły co chwila. Za każdym razem odwracała głowę na bok i wykrzywiła twarz.

Verlan spytał ją:

- No i jak idzie?

Ciotka przemogła się i błyskawicznie zerknęła pod prześcieradło. Verlan zaczął się denerwować.

- Dobrze, sam to zrobię - powiedział, spojrzął i wykrzyknął: - O rety, już prawie jest! - Jednym ruchem odrzucił na bok prześcieradło.

Ciotka Annie wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć. Uwolniła się z mojego uścisku. Wepchnęła okulary na nos, otarła fartuchem spocone czoło i wyjąkała:

- Irene, poczekaj, aż przyjedzie lekarz, poczekaj. Ooooch... już wychodzi, o niebios!

Verlan chwycił mnie za obie ręce i zaczęłam przeć. Odeszły wody. Ciotka zasłaniała teraz twarz dłonią i zerkała tylko przez palce.

Gdy zaczęła pojawiać się główka, wykrzyknęła:

- Czekaaj, Irene, czekaaj! Dziecko jest za duże! Czekaaj, Boże, zrób coś, szybko! - I z histerycznym płaczem rzuciła się na łóżko obok mnie.

Verlan zrozumiał, że nie będzie z niej żadnego pożytku. Wiedział, że doktor po prostu nie zdąży. Ponieważ był obecny przy obu porodach Charlotte, uznał, że sam sobie poradzi. Kazał ciotce wstać i ustawić się w nogach łóżka, po czym wręczył jej otwartą butelkę oliwy. Podłożył mi pod plecy dwie poduszki tak, że niemal siedziałam. Znowu przyszedł skurcz, w czasie którego główka dziecka naprawdę zaczęła już wychodzić. Verlan krzyczał na ciotkę, by lała olej na pojawiającą się główkę, żeby moje ciało się nie rozdarło.

Dyszałam, a ciotka wrzeszczała:

- Przestań, przestań!

Verlan objął mnie mocno.

- Nie słuchaj jej - szepnął. - Ty przesz i ja prę, dobra? - Szybko wsadził mi złożoną chusteczkę między zęby. - Gryź to i pchnij raz a mocno!

I wtedy się rozszalałam. Wyplułam chustkę i ugryzłam Verłana w ramię. Wrzasnął, i wyskoczyła główka dziecka! Jeszcze jedno pchnięcie i było po wszystkim. Miałam piękną malutką dziewczynkę.

Kiedy Verlan zobaczył jej ciemne włoski, zaczął się ze mną droczyć:

- O, widzę, że będę musiał zwolnić Pancha (młodego Meksykanina, który rąbał nam drewno).

Ciotka Annie siedziała na fotelu bujanym i płakała.

- Ty to zrób, Verlan, ty, ja nie mogę, nie przetnę pępowiny. - Obejmowała rękami głowę, zatykając uszy. - Niech ono już nie płacze, zróbcie coś! - Oparła się ciężko na fotelu, odchyliła głowę do tyłu. - Irene, nie masz prawa mi tego robić!

Patrzyłam na bezcenne dzieciątko, które leżało na moim brzuchu. Zapytałam Verłana o godzinę. Poród trwał pięćdziesiąt minut od czasu, gdy poczułam pierwszy ból. Może rodzenie dzieci nie było takie złe, mimo wszystko?

Verlan spojrział na zegarek.

- Szkoda, że nie poczekałaś jeszcze pięć minut. Urodziłaby się tego samego dnia, co twoja siostra Donna.

- I tak dam jej na imię Donna. Będzie się cieszyć, że ma imienniczkę.

Verlan zostawił mnie z ciotką, a sam pobiegł do sąsiadów po Charlotte. Potrzebował teraz jej pomocy. Razem umyli i ubrali dziecko.

Wtedy weszła Lucy z lekarzem. Spóźnili się na poród dwadzieścia minut. Wciąż nie rozumiałam zbyt wiele po hiszpańsku, ale zorientowałam się, o czym była mowa. Doktor Ramirez był zszokowany, widząc Verłana w towarzystwie trzech żon w tym samym domu. Jego własna żona prędzej by go utłukła - nie tylko jego, ale te inne żony też. Prawie zwariowała, kiedy dowiedziała się, że miał kochankę. Zanim doktor odjechał, Verlan zapłacił mu dziesięć dolarów za zbadanie łożyska i mnie.

Po wyjściu doktora Verlan zaoferował zapłatę również i ciotce.

Ona jednak zaprotestowała.

- Myślę, że powinieneś zapłacić Irene. Z taką odwagą zasługuje na dwadzieścia dolarów.

Musiałam się zgodzić. Chociaż myślę, że moja odwaga była warta wiele więcej.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

Matka Verлана, Maud, oddała mu do użytku trzy małe domki z niewypalanej cegły na ranczu LeBaronów. Miał je otrzymać w spadku, ale ponieważ niezwykle imponowało jej ambitne i bezkompromisowe podejście młodszego syna do spraw wiary i tym samym - poligamii, chciała wyróżnić go w ten sposób przed Almą i Ervilem. Podarowała je Verlanowi już teraz. Zdawała też sobie oczywiście sprawę z tego, jak szybko rozrastała się nasza rodzina i że potrzebowaliśmy wszelkiej pomocy.

Zbliżały się długie, mroźne zimowe miesiące. Verlan nalegał, żebyśmy się natychmiast przeprowadzili. Donna miała zaledwie dwa tygodnie. Musiał jak najszybciej przenieść wszystkie trzy żony do jednego z domów. W gromadzie będzie nam cieplej, no i będziemy mogły ogrzewać dom piecem Charlotte na drewno, na którym również do tej pory wszystkie gotowałyśmy. Dom miał tylko dwie sypialnie, więc zgodziłam się, acz niechętnie, dzielić pokój z Lucy - ale pod warunkiem, że drugi dom będzie w całości dla mnie, kiedy tylko Verlan zgromadzi fundusze, by go przygotować i urządzić.

Jednej z pierwszych nocy, które spędziliśmy w nowym domu, wiał tak silny, nieustający wiatr, że rury kominowe odleciały z dachu gdzieś na podwórze. Kiedy powtórzyło się to po raz kolejny, Verlan przytwierdził je do rogu dachu drutem. Burza szalała. Całą noc tuliłyśmy się z Lucy do siebie, a małeńka Donna leżała między nami.

Nie miałam dla niej łóżeczka, więc musiałam spać czujnie, aby przypadkiem jej nie przygnieść.

Wiatr wylął całymi godzinami tak, że spać było w ogóle niemożliwością. Wieczorem przymocowałam do ram okiennych jutowe worki, naprężając je tak mocno, jak tylko zdołałam. Nie mieliśmy szyb w oknach. Wiatr dmuchał z taką siłą, że drut nie wytrzymał i rury kominowe znów spadły z dachu. Porywy wiatru poluzowały też worki umocowane w oknach. W pokoju było niewiarygodnie zimno.

Słyszałam, jak worki wręcz łopotały na wietrze. Wstałam i próbowałam zapalić lampę, ale nie dało się nawet zapalić zapalki - słaby płomyk szybko gasł.

Przeszył mnie lodowaty dreszcz, a zęby zaczęły dzwonić - nie miałam nad nimi

kontroli. Wsunęłam buty i po omacku, wodząc ręką po zimnej, glinianej ścianie, wyszłam do przedpokoju. Kiedy wymacałam drzwi do pokoju Charlotte, zawołałam Verlan. Czułam się źle, że zakłócam Charlotte jej noc.

- Verlan, chodź mi pomóc. Nie dam rady! Szybko!

Wyskoczył z pokoju i w piżamie poszedł za mną.

- O, niech to, co za parszywa pogoda! - wykrzyknął. - Szybko wracaj do łóżka, bo się przeziębisz. - Z przedpokoju przyniósł sobie palto. Zabrał też z podłogi w przedpokoju szmaciany dywanik, wyszedł na zewnątrz i przybił go gwoźdźmi do ramy okiennej. Wrócił do naszego pokoju, tupiąc, by się rozgrzać. Udało mu się zapalić lampę.

Jakież było nasze zdumienie, gdy się okazało, że koc w nogach łóżka był pokryty warstwą śniegu! Verlan ściągnął go, wytrzepał i okrył z powrotem nasze trzęsące się z zimna ciała.

Przeniosłam moje maleńkie dziecko, które miało zaledwie dwadzieścia cztery dni, na brzeg łóżka, gdzie mogłam je mocno opatulić ciężkim kocem i narzutą, a jednocześnie nie przydusić, przytulając się mocno do Lucy. Po tych przeżyciach ciężarna Lucy i ja jakimś cudem zdołałyśmy zapaść w głęboki sen.

Tymczasem, bez naszej wiedzy i bez naszego udziału, tuż przed świtem Charlotte cicho powiła swoje trzecie dziecko, Laurę. Na prośbę ciężarnej Verlan umówił się ciotką Syla, matką Lucy, na pomoc przy porodzie. Ponieważ Charlotte była obecna przy narodzinach moich dzieci, spodziewałam się, że ja będę pomagała przy jej porodach. Tak samo Lucy Charlotte jednak uczyniła z tego zwyczaj, którego trzymała się już do końca naszego wspólnego życia. Ona pomagała nam rodzić, ale my nie zostałyśmy dopuszczone do przyjmowania na świat ani jednego z jej dziewięciorga dzieci.



Przez cały grudzień było tak zimno, że nie sposób było ogrzać naszego domu. W dzień i w nocy mieliśmy na sobie grube swetry. Ja spałam stale przerażona, że Donna gotowa jest albo zamarznąć, albo udusić się pod wszystkimi piernatami. Marzyłam o łóżeczku dla niej i o innych, chociażby minimalnych, luksusach.

Na Boże Narodzenie przyjechała ciotka Rhea. Choć nie była osobą majątną, tak bardzo przeraziły ją warunki, w jakich egzystowaliśmy, że podarowała nam sto dolarów na kupno okien do domu. Verlan szybko zmierzył ramy i zamówił okna. Kiedy pojechał je odebrać, zamówił stół i sześć krzeseł dla mnie (na kredyt). Nigdy, przenigdy nie zapomnę tych prześlicznych, drewnianych okien z prawdziwymi szybami. Jakąż radość sprawiało nam samo ich zamykanie i otwieranie - tak, po prostu, żeby tylko sprawdzić, jak działały.

Jak się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”, i wkrótce Verlan był już całkowicie pochłonięty remontem domu. Kupił tynk do salonu, żebyśmy mieli chociaż jeden ładny pokój. Potem zaszalał i wrócił z miasta z różową farbą, którą własnoręcznie pomalował ściany.

Następnym razem przywiózł pstrokaty materiał w różowe kwiatki na zasłony. Nie miałam nic przeciwko temu, by rozwijał się artystycznie, ale patrząc na ten jaskrawy, kolorowy pokój, stwierdziłam, że lepiej niech jego twórczość ograniczy się do produkcji dzieci.

Latem wróciła ciotka Rhea - była zachwycona, widząc ulepszenia w naszym gospodarstwie domowym. Podobały jej się nowe okna i ogólnie uważała, że nieźle sobie radzimy. Była pod szczególnym wrażeniem pomysłowości Verлана. Zamocował na dachu domu metalowy zbiornik i napełniał go wodą, którą taszczył po drabinie w piętnastolitrowych wiadrach. Woda ogrzewała się na słońcu i mogliśmy brać prysznic. Ponieważ zbiornik był niewielki i ciężko było go napełniać, musieliśmy przy kąpieli przestrzegać specjalnych zasad - najpierw można było się zmoczyć, potem zakręcić wodę, namydlić się i dopiero spłukać.

Właśnie tak postąpiła ciotka. Krzyczała zza drzwi, że woda jest cudowna i ciepła. To prawda - ciepły prysznic był wspaniały. Zakręciła wodę, by się namydlić, jak trzeba. Parę sekund później usłyszeliśmy jej zrozpaczony głos:

- Niech ktoś mi pomoże! Skończyła się woda! Nie mogę się spłukać!

Zawołałam Verлана, który szybko pobiegł po wodę do studni.

Wspiął się na dach i wlał jedno wiadro wody do zbiornika. Krzyknął: - Dobra, już jest woda!

Nigdy nie zapomnę wrzasku ciotki, która zniecka znalazła się pod strumieniem lodowatej wody. Verлан wlał szybko do zbiornika czajnik wrzątku, żeby ciotka mogła dokończyć mycie.

Nawet te skromne luksusy nie trwały jednak długo. Pierwszy, czteropokojowy dom, w którym wszyscy zamieszkaliśmy, okazał się za ciasny dla Verлана, trzech żon i czwórki dzieci, z których dwoje było całkiem malutkich. Do tego Lucy miała urodzić w kwietniu. Verлан więc zgodził się, żebym wyprowadziła się do drugiego, niewykończonego domu.

Zamontował szyby w oknach i byłam zachwycona, robiąc tam gruntowne porządki. Wreszcie ja i Donna będziemy mieć dla siebie całe trzy pokoje. Przyjechał mój nowy stół i krzesła i Verлан pięknie pomalował je na biało. Farby wystarczyło jeszcze na stary, sfatygowany kredens, odziedziczony po jego młce. Verлан tu i ówdzie podreperował go przy użyciu paru gwoździ, i teraz lśniący świeżą, białą farbą mebel wyglądał jak nowy. Wypełniłam go garnkami i talerzami użyczonymi także przez jego matkę.

Następnie Verлан odjął od starej miotły kij i zwiesił go na drucie poziomo z sufitu - tak powstała szafa na moją skromną garderobę. Nie bardzo natomiast podobał mi się piecyk, który zorganizował dla mnie Verлан - strasznie dymił. Nie miałam też piekarnika, ale w każdej chwili mogłam przejść te parę metrów do Charlotte i tam coś upiec.

Ściany wewnętrzne mojego domu były natomiast z surowej gliny. Nie było żadnego tynku ani farby. Nie miałam obrazków, bibelotów, nawet lustra ani zegara. Nie miałam

zlewu w kuchni ani bieżącej wody. Lecz w końcu byłam sama. I wolna. Po raz pierwszy od zawarcia małżeństwa, czyli od dwóch lat, mogłam mieć dla siebie swojego męża. Mogłam go przytulić i powiedzieć, co tylko chciałam, bez obawy, że ktoś podsłuchuje. Nie trzeba było szeptać. Nie musiałam wciąż się pilnować. Mogłam śmiać się, żartować i być sobą. Przede wszystkim zaś nie musiałam dzielić łóżka z innymi żonami.

Spędziłam w niebie całe pięć dni. Potem przyszedł Verlan i powiedział, że ostatnio dużo myślał. To oznaczało kłopoty. Oznaczało, że inne żony zaczęły protestować i że dostanie mi się mniej.

- To nie fair, żebyś mieszkała sama. Taki przywilej pierwszy należy się Charlotte...

- Do diabła - zaprotestowałam - ona mieszkała z tobą sama przez pierwsze dwa lata, zanim ja za ciebie wyszłam. Ja nigdy nie miałam ani trochę prywatności. Teraz moja kolej. Nawet nie mogłam cię jeszcze dobrze poznać!

- Oj, daj spokój. Nie może po prostu być tak, że tam my gniewamy się razem w szóstkę, a ty jesteś tutaj sama z Donną. Prócz tego Lucy mówi, że wolałaby mieszkać z tobą.

Wybuchłam:

- Czego jeszcze chcesz?! Zmusiłeś mnie, żebym wyraziła zgodę na twój ślub z Lucy. Potem błagałeś, żebym przyjęła ją do domu. Udało ci się wepchnąć ją do mego łóżka. A teraz chcesz, żeby się do mnie wprowadziła. Na stałe? Na resztę życia? Odmawiam. Verlan, to nie moja żona, tylko twoja. Więc ty coś wymyśl.

Zaczął się ze mnie śmiać i próbował też mnie rozśmieszyć.

- To ty połączyłaś nasze dłonie. Teraz ona ma prawo być tam, gdzie ja.

- Więc idźcie oboje do piekła! - wrzasnęłam. - Każda decyzja, którą wspólnie podejmujemy, dotyczy jakiejś innej żony!

Próbował dalej mnie namawiać:

- Mógłbym dołożyć trochę gliny i przedłużyć dach z tyłu domu, od strony spiżarni, żeby Lucy miała tam sypialnię. Co o tym sądzisz?

- Daj mi chociaż jeden własny pokój! Będę w nim siedzieć, jeśli tylko będzie mój własny. Mam już dość twoich obietnic!

- Irene, nie stać mnie na to, żebyś mieszkała sama. Proszę, zrozum, że robię, co mogę. Wszystkie trzy pragniecie własnego domu.

Proszę, nie bądź taką egoistką.

Wiedziałam, że miał rację. Musiałam się poddać. Wyglądało jednak na to, że za każdym razem, kiedy dostawałam coś, o czym marzyłam, natychmiast mi to odbierano. Charlotte z trójką maluchów została tam, w pierwszym domu, a Lucy przeniosła się do mojego, który Verlan obiecał mi na własność.



Doktor Ramirez zdążył dojechać na czas, kiedy rodziła Lucy.

Męczyła się godzinami, poród był naprawdę ciężki, a nasza czwórka - doktor Ra-

mirez, Verlan, Charlotte i ja - doglądaliśmy jej. Kiedy dziecko w końcu się urodziło, Verlan promieniał:

- To chłopiec! Wyobrażacie sobie? Bóg dał mi drugiego chłopca! -Będąc świadkiem jego dumy i radości, zdałam sobie sprawę z tego, że Bóg nie uszczęśliwił go w ten sposób przeze mnie. Nagle zaraziłam się nowym wirusem - wirusem strachu i zazdrości. Lucy i Verlan nazwali tymczasem swego syna Chad.

Parę dni później, na prośbę Lucy, Verlan wysprzątał trzeci, dwupokojowy domek, który niegdyś służył LeBaronom jako szopa na narzędzia, i Lucy przeprowadziła się tam. Obie byłyśmy zachwycone - wreszcie każda z nas miała swój własny dom.

Zwołaliśmy naradę rodzinną, na której każda żona wypowiedziała się, jak według niej Verlan powinien dzielić między nas swój czas i uwagę. Do tej pory Charlotte, Lucy i ja spałyśmy z nim na zmianę, po kolei. Jeśli chodzi o posiłki, zdecydowałyśmy, że dwa dni w tygodniu będzie jadł u każdej żony, a w niedzielę - śniadanie u mnie, obiad z Charlotte, a kolację u Lucy. Miałam Verlana dla siebie w środy i soboty. Te dwa dni należały tylko do mnie i do nikogo więcej. Kiedy szedł na pole, albo udawał się - rzadko, bo rzadko -do miasta, mogłam mu towarzyszyć. Szanowałam dni, które Verlan spędzał z Charlotte i Lucy, tak jak one szanowały moje dni. Było wspaniale. Często oszczędzałam przydziałowy cukier i inne deficytowe produkty, żeby ugotować mu coś specjalnego, kiedy będzie u mnie jadł. Szybko odkryłam, że jadał jak król u każdej z nas. Każda chciała awansować na żonę ulubioną i każda odejmowała sobie od ust, by zachować jakiś smakołyk dla niego.

Teraz, kiedy miałam wreszcie swój dom, Verlan nie mógł zrozumieć, czemu wciąż płaczę po nocach. Chciałam być silna, chciałam sprostać jego oczekiwaniom, ale nie pozwalała mi na to zazdrość. Przykrywałam twarz poduszką i szlochałam, wręcz krzyczałam z bólu, kiedy przed oczami stawały mi sceny, w których Verlan i Lucy łamią wszystkie zasady, produkując jednego małego chłopczyka za drugim. Wiedziałam, że jest jego żoną, wiedziałam, że narodziliśmy się do życia w wielożeństwie, lecz mimo wszystko nienawidziłam tego z całego serca. Niemal cały pierwszy rok małżeństwa Lucy z Verlanem przepłakałam, wyobrażając sobie, że zajęła ona moje miejsce w sercu męża.

Kiedy wyjawiałam mu, jaką zazdrość noszę w sercu, zganił mnie i pomodlił się, bym nauczyła się przezwycięzać podobne irracjonalne, złe uczucia. Chciał, aby jego żony były pokorne i posłuszne. Widocznie Lucy potrafiła temu sprostać, dla mnie okazało się to za trudne.



Kiedy my, żony, rozdzieliłyśmy się i wspólnie ustanowiłyśmy harmonogram odwiedzin Verlana, życie stało się pod pewnymi względami łatwiejsze. Miałam w końcu kilka rzeczy, na których mogłam się oprzeć. Mogłam liczyć na to, że nikt, kogo tam nie zapraszałam, nie położy się spać w moim łóżku. Mogłam liczyć na to, że we własnym

domu nie będę podsłuchiwana, gdy wyrażam swoje sądy i uczucia na głos. Mogłam wreszcie liczyć na to, że środy i soboty spędzam sam na sam z mężem. Były to teraz główne wyznaczniki mojego życia.

Pewnego środowego popołudnia Verlan uchylił drzwi do mojego domu i spytał:

- Irene, czy masz ochotę na przechadzkę ze mną na pole z pszenicą?

- No pewnie - ucieszyłam się.

Uściskał mnie i powiedział:

- To poczekaj chwilkę. Muszę iść do wychodka. W tym czasie ty się przygotuj.

Było wspaniale. Dziecko właśnie zasnęło, dzięki czemu miałam parę godzin dla siebie - Lucy od czasu do czasu na nią zerknie.

Pobiegłam do sypialni, wyszczotkowałam włosy, związałam w koński ogon i pośpiesznie wciągnęłam czystą sukienkę. Teraz jedynym miejscem, gdzie w ogóle bywałam, stało się Spencerville. Byłam zachwycona, że Verlanowi chciało się zaproponować mi jakieś wspólne, przyjemne spędzenie czasu. Czułam się naprawdę zaszczycona, że wybieram się z nim na spacer, i wyobraziłam sobie romantyczną scenę, gdy idziemy we dwoje przez złote pszeniczne pole.

Verlan nie pojawiał się przez parę minut, więc zaczęłam się zastanawiać, co się stało. Miał przecież wrócić za moment...

Zdecydowałam poczekać na niego na zewnątrz, ale na podwórzu też go nie było. Wybrałam się więc w stronę ubikacji, mijając po drodze dom Lucy. Tam również go nie było. Nie miałam pojęcia, dokąd mógł się udać. Otworzyłam drzwi domu Lucy i zawołałam, ale nikt nie odpowiadał.

To dziwne - przecież parę minut wcześniej widziałam, jak dźwigała wiadro wody ze studni.

To musiał być instynkt - lub tylko zwykła, irracjonalna zawiść.

Wyjrzałam na owo złote pole pszenicy i co ujrzałam? Coś, co było jak wiadro zimnej wody na moje nowo zdobyte poczucie bezpieczeństwa.

Oto Lucy i Verlan szli ramię w ramię, jak przysłowiowi kochankowie, na tle zachodzącego słońca. Życzyłam im jednego - żeby zmienili kierunek i trafili prosto do piekła.

Było niezaprzeczalnie jasne - to Lucy była faworytką Verlana.

Zaprosił mnie w mój dzień, ale zabrał ją. Jeśli zamierzała zwinąć mi go sprzed nosa w biały dzień, niech sobie go weźmie. Ale będą tego obydwójce gorzko żałować.

Nie chciałam, by mnie przyłapali na gorącym uczynku, więc musiałam się spieszyć. Pędem przeniosłam szuflady z komody, jedną po drugiej, z mojego domu do domu Lucy. Dwie z nich wypełniały skarpety, dzinsy, bielizna i paski Verlana. Trzecia zawierała rozmaite drobiazgi - długopisy, ołówki, gumki, papier, książki i ważne dokumenty. Zwaliłam to wszystko na łóżko Lucy i poleciałam po koszule, palta i swetry Verlana. Trzymając je za wieszaki, uniosłam wysoko w górę i położyłam na szczycie powstałej już piramidy.

Schwyciłam potem drewnianą skrzynkę, która stała przy drzwiach, i wypełniłam ją butami, kaptami i gumowcami Verlana. Na wierzch rzuciłam trzy sfatygowane czapki z daszkiem i słomkowy kapelusz.

Skrzynkę również zaciągnęłam do Lucy Wyrzuciłam jej zawartość na łóżko - jakieś rzeczy rozsypały się po podłodze. O, dobrze wiedziała, że to nie był jej dzień!

Zignorowałam Verlana, kiedy wszedł. Nie zamierzałam nawet na niego patrzeć, ale ustawił mnie przodem do siebie i rzekł:

- Irene, jak możesz tak się zachowywać! Lucy tam płacze!

Wiesz, że w jej malutkim domku nie ma miejsca na moje rzeczy!

Zacząłam płakać.

- Więc zrób jej więcej miejsca! Jeśli masz zamiar oddawać jej mój czas, niech weźmie też twoje rzeczy! Niech u niej będą. Ty też bądź u niej! - szlochałam.

- Kochanie, nie denerwuj się tak. Wyszła za mną do wychodka i spytała, co mam zamiar robić.

- Trzeba było powiedzieć, że kupę! - przerwałam. - Czy ona jest taka głupia?

Próbował powstrzymać się od śmiechu.

- Serio, kochanie. Powiedziałem jej, że idę na pole pszeniczne, a ona zaczęła błagać, żebym ją wziął. Jeślibym odmówił, przez cały tydzień miałaby zły humor. Ale ty nie. Znam cię, wybuchasz i za pięć minut jest po wszystkim. Wolałem znieść twój wybuch niż jej zły humor przez tydzień. Następnym razem ty ze mną pójdziesz. Obiecuję.

I tyle. To wszystko ze strony Verlana. Przynajmniej zawsze mówił mi bez oporu, co naprawdę myśli (niezależnie od tego, jak bardzo było to egoistyczne) - tak jak i ja miałam w zwyczaju. Mimo wszystko odpychałam jego czułości. W końcu wszedł, bo widział, że nic nie wskóra.

Kiedy po chwili zobaczyłam, jak Lucy zabiera skrzynkę sprzed drzwi, prawdopodobnie, by spakować w nią z powrotem rzeczy Verlana, przyszedł mi do głowy same niecne myśli. Verlan próbował ją pocieszyć siarczystym pocałunkiem. O, widząc to, czułam się, jakby sam diabeł dźgał mnie swoim ostrym trójzębem! Wrzasnęłam:

- Jak się całuje ten jej wielki nochal?

Lucy weszła do domu z płaczem, a ja wycofałam się, wiedząc, że znów jestem w tarapatkach...

Dwie noce później, tak jak zawsze, kiedy spędzał noc u innej żony, Verlan przyszedł, by powiedzieć mi dobranoc. Miał spać u Lucy.

Jak ja nienawidziłam tego cholernego harmonogramu! Chciałam spać z Verlanem wtedy, gdy miałam na to ochotę, a nie wtedy, kiedy przypadała „moja” noc. Całowaliśmy się na łóżku i moje ciało zapomniało się - zapomniało, że to nie moja kolej. Niemal się rozszalałam. Verlan próbował odejść i, wyswobodziwszy się z mego uścisku, rzekł:

- Bardzo chciałbym zostać dziś u ciebie, ale nie mogę.

- Mógłbyś, gdybyś naprawdę mnie kochał - wyzwalałam go na pojedynek.

- Kocham, ale muszę robić to, co trzeba. Czy to by było sprawiedliwe, gdybym cały czas był u Lucy? Co byś wtedy powiedziała?

Próbowałam wciągnąć go z powrotem na łóżko.

- Jeśli naprawdę mnie kochasz, udowodnij mi!

- Kocham, ale nie mogę zrujnować nocy Lucy!

- Chcę, żebyś u mnie nocował, kiedy tego potrzebuję. Poza tym moje ciało nie wie nic na temat tego cholernego harmonogramu!

Wyszedł, ciężko wzdychając. Był już zmęczony moimi zachciankami i nagabywaniami. Wiedziałam, że dotknęłam go mocniej, niż powinnam, ale po prostu nie mogłam nic na to poradzić.

Teraz nic nie stało na przeszkodzie, bym dotknęła go jeszcze mocniej.

Wyrzałam przez okno. Gdy tylko Verlan zamknął za sobą drewniane drzwi domu Lucy, wybiegłam na dwór, porwałam z ogródka pod oknem kamień wielkości grejpfruta, zbliżyłam się do drzwi Lucy i z całej siły cisnęłam w nie kamieniem. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam w jednej chwili stamtąd pryskać, ale moja złość była tak silna, że potrzebowałam mocniejszego wyładowania. Cisnęłam następny kamień. Odbił się od jej drzwi, a ja uciekłam co sił. W zaciszu mojej bezpiecznej przystani zarygłowałam drzwi i we łzach rzuciłam się na łóżko.

Minęła minuta, może dwie. Verlan zaczął dobijać się do drzwi, o mało ich nie wyłamując.

- Otwieraj te drzwi - rozkazał.

Nie odpowiedziałam.

- Pożałujesz tego! - zagroził.

Milczałam dalej.

- Tym razem posunęłaś się za daleko! Nie mogę uwierzyć, że jesteś w stanie tak traktować Lucy! Otwieraj!

Serce biło mi tak mocno, że bałam się, że Verlan je usłyszy.

Poza tym nie wydałam nawet najmniejszego jęknięcia.

- Dobrze, więc pożałujesz tego.

Dalej siedziałam cicho. Nasłuchiwałam, dopóki nie dotarł do mnie dźwięk otwieranych i znów zamykanych drzwi Lucy. Dogadam się z nim następnego dnia, jak się trochę uspokoi, pomyślałam. I tak będzie jadł jutro u mnie.

Lecz następnego dnia Verlan nie pojawił się na śniadaniu.

Widziałam, jak pracuje w polu. W porze obiadu poszedł do Charlotte.

Kilkakrotnie w ciągu dnia przechodził koło mojego domu, ale nie wstąpił.

O zmierzchu doił krowy. Wiedziałam, że potem pójdzie do Lucy powiedzieć jej dobranoc, ponieważ przypadała właśnie noc Charlotte.

Mnie nie powiedział jeszcze nawet dzień dobry. Stałam w drzwiach, mając nadzie-

ję, że następnym razem, gdy będzie przechodził, ustąpi.

Mimo wszystko w Biblii było napisane, by nie pozwalać słońcu zachodzić nad własnym gniewem. Dostyc się tego dnia wycierpiałam.

Nie chciałam cierpieć i następnego. Widziałam, jak Verlan nadchodzi, nie zatrzymał się jednak, więc zagroziłam mu drogę.

- Hej, nie przywitasz się nawet?

- A chcesz tego? - zapytał, wciąż wściekły.

Sama nie wiedziałam, czego chcę.

- Rób, jak uważasz, ale jeśli chodzi o mnie, możesz wejść - powiedziałam. Poszedł za mną. Nie dotykał mnie jednak. Poczulałam ulgę. Chociaż nigdy dotąd nie skarcił mnie bardziej, niż zwracając się nieco podniesionym głosem, trochę się bałam, że tym razem może podnieść na mnie i rękę.

- Zrujnowałaś Lucy całą noc. Biedna, czuje się fatalnie.

Dlaczego ją tak strasznie traktujesz?

Nie odpowiedziałam.

- Muszę położyć temu kres - zapowiedział, udzielając mi ostrzejszej niż zwykle reprimendy. - Musisz się nauczyć szanować jej prawa. Nie będę z tobą spał przez trzy kolejne twoje noce. Dam je Lucy. - Wytoczył najmocniejszy argument męża poligamisty pragnącego za wszelką cenę utrzymać porządek w stadle.

- To niesprawiedliwe! - krzyknęłam. - To dziewięć nocy, a ja rzuciłam tylko dwa kamienie!

- Wszystko mi jedno. Powiedziałem już Lucy i nie zmienię tego.

- I odszedł.

Verlan był szczerze wstrząśnięty, ale i rozczarowany, że dziewczyna taka jak ja, wychowana w rodzinie poligamicznej od czterech pokoleń, zachowuje się tak skandalicznie, tak niezgodnie z uznanymi regułami życia. Byłam zbyt wściekła, by przejmować się jego oczekiwaniami.

Pomyślałam sobie, że może Charlotte również chciałyby, żebym rzuciła parę kamieni w jej drzwi, to dostanie kilka nocy ekstra. Do głowy przychodziły mi inne nieokiełznane, diabelskie myśli, kiedy wrzeszczałam i z bezsilności kopałam łóżko. No, może nie powinnam była tak postąpić, to prawda, ale jeśli kiedykolwiek przyjdzie mi to powtórzyć, zrobię to lepiej - trafię w samą Lucy.



Pewnego dnia, pomiędzy incydentem z rzucaniem kamieniami i narodzinami mojego trzeciego dziecka, wieszałam pranie, rozmyślając na swój ulubiony temat, to znaczy o nienawiści do Lucy za to, że skupia na sobie uwagę Yerlana i że pierwsza dała mu syna. Zazdrość, jaką wobec niej czułam, tak bardzo weszła mi w krew, że stała się moją drugą naturą. Nie miałam już nawet z jej powodu wyrzutów sumienia.

Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, zrozumiałam, że muszę to zmienić. I to nie dla

dobra Verłana, Lucy, czy nawet samego Boga, ale dla mojego własnego dobra muszę natychmiast przestać żywić wobec niej to ohydne uczucie. Kiedy z oczu wreszcie spadła mi zasłona, odkryłam w Lucy bratnią duszę - siostrę, łagodną, dobrą, współczującą, gotową do przyjaźni. Była taka zawsze.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY.

Dzięki ciężkiej pracy Verlana ranczo stało się całkiem dochodowe („Zakon Jedności" zawarty pomiędzy braćmi poszedł po części w zapomnienie, bo żaden z pozostałych LeBaronów nie wykazywał ani podobnego samozaparcia, ani równie ostrej etyki pracy).

Na naszych polach rosły pomidory, fasola, zielona papryka, lucerna, a od czasu do czasu nawet bawełna. Za zgodą męża zbierałyśmy pomidory i zieloną paprykę, które następnie sprzedawałyśmy znajomym i sąsiadom. Wówczas po raz pierwszy w małżeńskim życiu miałam jakiegokolwiek własne pieniądze. Ponieważ znów oczekiwałam, i to całkiem niedługo, dziecka, odkładałam dosłownie każdy grosz, by kupić łóżeczko. Pewnego razu zebrałam wszystkie oszczędności, pojechałam do domu towarowego w El Valle i zarezerwowałam je, wpłacając zadatek. Kiedy tylko uzbierałam resztę pieniędzy, pojechałam znowu i przywiozłam je do domu. Było niebieskie - miałam nadzieję, że tym razem urodzę chłopca. Po następnych paru tygodniach w podobny sposób kupiłam komodę. Sam zakup tych rzeczy był dla mnie absolutną nowością. Czułam się cudownie.



Verlan na gwałt potrzebował mojej pomocy przy załadunku pomidorów. Za trzy dni miała przyjechać ciężarówka i zawieźć je do Ciudad Juarez, więc musieliśmy prędko je zapakować i przygotować do transportu. Podczas pracy siedziałam na drewnianej skrzynce w lipcowym słońcu. Dziecko miało przyjść na świat za tydzień i ogromny brzuch przeszkadzał mi w męczącej pracy. Pracowałam z Yerlanem i najętymi pomocnikami przez dwanaście - czternaście godzin dziennie.

Trzeciego dnia, grubo po zmroku, w pełni załadowana ciężarówka wreszcie odjechała.

Tego wieczoru padłam do łóżka wykończona, lecz ból pleców sprawiał, że nie mogłam zasnąć. Wierciłam się, przekładałam z boku na bok, ale nic nie pomagało. Nagle stało się coś dziwnego - ból zaczął się pojawiać i znikać. Około pierwszej w nocy stał

się nie do zniesienia.

Chociaż nie lubiłam zakłócać spokoju męża, gdy spał u innej żony (chyba że była to sytuacja awaryjna), tym razem stwierdziłam, że czuję się gorzej, niż będzie się czuć Charlotte, kiedy wtargnę na jej święte terytorium. Wsunęłam więc buty i przeszłam paręnaście metrów po Verlanu.

Zapukałam do okna ich sypialni.

- Verlan! - krzyknęłam.

- Co tam? - spytał zaspany.

- Błagam, chodź mi pomóc. Potwornie bolą mnie plecy!

Ledwo wróciłam do domu, kiedy wbiegli Verlan i Charlotte.

- No, siostrzyczko, masz za co dziękować. Wkrótce będzie po wszystkim.

- Charlotte, ja nie rodzę. To ból pleców.

- Tylko ci się tak wydaje. - Włożyła do pieca parę suchych kolb kukurydzy, a na nie sypnęła węgla. Dodała parę szczap i po chwili już na kuchni gotowała się woda. - Co masz do zawiązania pępowiny? - spytała i zaczęła przygotowywać mi łóżko.

- Trzeba będzie wziąć nitkę z worka po mące. Czysty worek jest w górnej szufladzie - powiedziałam. Doszłam do wniosku, że lepiej nie będę się z nimi spierać, bo pewnie wiedzą, co robią.

Charlotte szarpnięciem wyrwała mocną nić z worka i wręczyła Verlanowi z poleceniem:

- Odsuń się i skręcimy ją, to będzie mocniejsza. Ty kręć w jedną stronę, ja w drugą. Dobrze, teraz złożmy ją na pół, a teraz znowu skręcamy.

Nić skręciła się znakomicie. Charlotte zanurzyła ją w spodeczku z alkoholem.

Poprosiłam, by wyjęła z mojej szafy poszwę na poduszkę.

Wypełniłam ją wysterylizowanymi w piecu białymi ścierkami, które przygotowałam właśnie na poród. Na krześle przy łóżku położyłam kocyk dla dziecka i czystą, choć nie nową wyprawkę.

Czułam się idiotycznie, czyniąc te wszystkie przygotowania, i jeszcze raz wyraziłam swoją opinię:

- Słuchajcie, nic się nie dzieje. Po prostu pracowałam przy tych pomidorach i nadwyrężyłam sobie plecy. Chyba sama wiem, czy rodzę, czy nie. I przy Leah, i przy Donnie to był jeden ciągły, nieustający ból.

- Nie, kochanie, to właśnie to - zapewnił mnie Verlan i pobiegł po Almę, który miał pędem jechać do Spencerville po ciotkę Sylvię.

Następnie Verlan i Charlotte zajęli się mną najlepiej, jak potrafili - masowali mi plecy, żartowali. Położna przyjechała około piątej rano.

Zbadała mnie.

- Przepraszam bardzo za całe to nieporozumienie, ciociu Sylvio.

To jednak chyba nie poród - tłumaczyłam.

- Oczywiście, że poród! Rozwarcie postępuje dobrze i za parę godzin będzie po wszystkim.

Niech będzie - rodziłam. Byłam jednak wygłodzona. Wieczorem ze zmęczenia nie czułam nawet głodu i nie miałam sił na kolację. Kiedy więc Charlotte wyszła do siebie, by zajrzeć do trójki swoich dzieci, wysłałam Verлана do kuchni, żeby przyniósł mi coś do jedzenia. Wrócił z połówką kantalupa i łyżką. Zanim zdążył podać mi owoc, zgięłam się w potwornym skurczu. Z wyrazu jego twarzy wyczytałam, że zdaje sobie sprawę, jak bardzo cierpię. Chciał położyć kantalupa na stoliku nocnym obok, ale ból zelżał, więc odprężyłam się i powiedziałam:

- Verlan, już możesz mi go podać. Chcę trochę zjeść przed następnym skurczem.

Usiadł na krześle obok mnie, a ja zaczęłam jeść. Kiedy przyszedł kolejny napad bólu, szybko wręczyłam mu owoc. W tej właśnie chwili nadeszły Charlotte i Lucy, na widok której, mimo bólu, ucieszyłam się, bo wiedziałam, że byłoby jej niezmiernie przykro, gdybyśmy ją pominęły. Widząc Verлана z kantalupem w ręku, Charlotte zgorzozona wykrzyknęła:

- Nie wierzę własnym oczom! Nie wstyd ci tu siedzieć i zajadać, kiedy Irene tak cierpi? Daj spokój!

Obie z Lucy były zadziwione, kiedy my dwoje wybuchliśmy śmiechem. Verlan potrząsnął głową, oddał mi owoc i powiedział:

- Nawet tego nie tknąłem. To jej jedzenie.

Charlotte zwróciła się do mnie:

- Naprawdę jesteś w stanie jeść w czasie porodu?

- Przecież mnie znasz - muszę być nieżywa, żeby nie jeść, kiedy jestem głodna.

Ciotka Sylvia zbadała mnie znowu i pokręciła głową.

- Biorąc pod uwagę to, jak silne są bóle, to sytuacja niewiele się zmieniła.

Byłam załamana. Wstałam z łóżka i zaczęłam chodzić po pokoju. Podczas skurczu wspierałam się na komodzie i spinałam się, by jakoś go przetrzymać. Masowałam sobie brzuch i bolące plecy. Potem brałam głęboki wdech i wydychałam powietrze ustami. W końcu bóle stały się tak silne, że musiałam znowu się położyć.

O ósmej ciotka Sylvia poprosiła Verлана na dwór, na małą prywatną naradę. Po paru minutach usłyszałam, jak odjeżdża samochód Almy. Oczywiście zmartwiłam się. Myślałam, że ukrywają przede mną coś złego.

Kiedy wrócili do pokoju, spytałam ze złością:

- Co się dzieje?

- Nie przejmuj się. - Verlan próbował mnie uspokoić. - Zdecydowaliśmy posłać po doktora Ramireza, żeby skrócić ci cierpienie.

To przesądziło o sprawie. Po tym, co się stało z Leah, nie miałam zamiaru pozwolić na to, żeby ten człowiek mnie dotykał. Z nadzieją, że zmuszę ciało do posłuszeństwa, zeskoczyłam z łóżka, i kiedy to robiłam, odeszły wody.

Verlan i Charlotte pomogli mi z powrotem się położyć. Lucy trzymała garnek gorącej wody z lizolem, w której jej matka miała zdezynfekować ręce. Kiedy skończyła, Lucy odstawiła garnek i powiedziała:

- Dobrze, Irene, a teraz do dzieła!

Stanęła po jednej mojej stronie, a Charlotte po drugiej.

Chwyciłam je za ręce i w skurczu zaczęłam przeć, a Verlan mnie dopingował. Kiedy zobaczył pojawiającą się główkę dziecka, zawołał:

- Irene, dalej, już niedługo, już zaraz wyjdzie!

- Tego się właśnie boję! - wrzasnęłam w odpowiedzi. Po chwili jednak gwałtowny ból sprawił, że straciłam ochotę na żarty i zaczęłam jęczeć:

- Nie mogę, już nie mogę.

Verlan próbował mnie uspokoić:

- Irene, musisz myśleć pozytywnie.

Do diabła, cóż on o tym mógł wiedzieć? Miałam ochotę go trzepnąć. Zacisnęłam zęby, spojrzałam wprost na niego i powiedziałam:

- Myślę pozytywnie, że już nie mogę!

Wiedziałam jednak, że teraz wszystko zależy tylko ode mnie.

Pchnęłam jeszcze raz... i uff, dzięki Bogu, było po wszystkim.

- To chłopiec! Chłopiec! - wykrzyknął Verlan. - Urodził się na naszą rocznicę! Nie mów, że nie dałem ci prezentu! - Pocałował mnie z wdzięcznością.

Andre był uroczy. Miał słodkie rudawe włoski. Kiedy się ich dotykało, to jakby głaskało się skórę brzoskwini.

Owszem, Verlan był w siódmym niebie, dopóki nie przyszedł Alma z doktorem. Teraz żałował, że trochę nie poczekał, zanim po niego posłał. Za pieniądze, które trzeba było na niego wydać, mogliśmy przez długi czas karmić dzieci.

Verlan miał ich już ośmioro. Sześć tygodni po Andre urodził się synek Charlotte, Mark. Lucy również była w ciąży - wkrótce miało urodzić się dziewiąte.



Pewnej nocy, o trzeciej nad ranem, obudził mnie najemny pracownik Verlana, Pancho Ponce. Wzywał pomocy. Wciąż nie rozumiałam zbyt wiele po hiszpańsku, ale udało mi się wyłapać tyle, że jego żona, Cuca, rodziła. Pancho powtarzał:

- Pronto, Irene! Andale, pronto!

Łamanym hiszpańskim próbowałam się wykręcać, tłumacząc, że nie potrafię odbierać porodów.

Wysłałam go do Lucy, która znała hiszpański, żeby mu to wyjaśniła. Po krótkiej wymianie zdań Lucy przekazała mi, że bóle żony Pancha powtarzają się częściej niż co pięć minut. Nie było samochodu, by posłać po doktora Ramireza. Pancho błagał mnie jak przyjaciela, żebym wsiadła z nim do drewnianego wozu i pojechała na pomoc, zanim Cuca urodzi sama jedna.

Schwyciłam kilka czystych ścierek, lizol i parę aspiryn. Lucy zapewniała mnie, że sobie poradzę, i obiecała, że zajmie się moimi dziećmi. Bałam się zostawić małego Andre, bo nadchodziła pora, kiedy się obudzi i trzeba będzie go nakarmić. Lucy jednak obiecała, że zanieśie go do Charlotte, która będzie go karmić aż do mojego powrotu.

Para koni gnała przez ciemności nocy. Kiedy zbliżaliśmy się do glinianej chaty Pancha, z oddali było już słychać krzyki jego żony.

Pancho zaciął konie, które cwałem podjechały pod sam dom.

Wyskoczył z wozu i pomógł mi wysiąść. Odmawiając prędką modlitwę, otworzyłam drzwi.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że Cuca cierpi strasznie. Nikt jednak nigdy się nie dowie, co ja przeżyłam. Co będzie, jeśli coś pójdzie nie tak? Czy wina spadnie na mnie? Trzymałam się tylko dlatego, że musiałam odegrać rolę doświadczonej, spokojnej położnej, za którą uważała mnie rodząca. Sama miałam niekompetentną położną i nie życzyłam tego komukolwiek innemu (nawet jeśli tym razem w stosunku do mnie była to całkowita prawda). Dzięki Bogu, wszystko poszło dobrze.

Miałam osiemnaście lat. Było to pierwsze z około tuzina dzieci, którym pomogłam przyjść na świat i wydać pierwszy krzyk.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

Zanim skończyłam dwadzieścia lat, wiedziałam już, że żadna religia świata nie zrobi ze mnie istoty godnej chwały niebieskiej.

Niezależnie od tego, jak bardzo dążyłam do doskonałości, wszystkie zasady dotyczące poświęcenia i absolutnego posłuszeństwa po prostu mnie nie oczyszczały. Byłam zmęczona i zniechęcona. Choć wiedziałam, że za samo myślenie o tym grozi mi piekło, zdecydowałam się na krok niesłychany – poprosiłam o rozwód.

Verlan był zdezorientowany:

- Myślałem, że zawieramy przymierza po to, żeby ich przestrzegać do końca.

- Wiem i przestrzegam. Po prostu dla mnie koniec nadchodzi co drugi weekend!

Verlan zapłakał - tak bardzo bał się o moją duszę. Wiedział, że żałę się w zasadzie na kwestię natury fizycznej, i podejrzewał, że dla Boga taka przyczyna rozwodu nie będzie wystarczająca.

- Przecież byłem dla ciebie dobry. Byłem więcej niż sprawiedliwy. Kocham cię nad życie! - mówił, a łzy płynęły mu po policzkach. - Myślę, że nie masz żadnych powodów do narzekań. Nawet jeśli to prawda, że kochałem się z tobą tylko siedem razy, to nie jest to powód do rozstania. Irene, proszę, pomódl się w tej intencji, zanim popełnisz największy błąd swego życia. Proszę, przemyśl to jeszcze.

- Mam dwadzieścia lat - zauważyłam. - Życie ucieka! Chcę być kochana. Co to za małżeństwo? Nie mieliśmy nawet czasu, żeby zbudować jakikolwiek związek.

Spojrzał na mnie błagalnie.

- Irene, przecież mnie kochasz. Wiem o tym. Proszę, nie rób mi tego. Nie rób!

- Verlan, nie przejmuj się tak. Kocham cię i zawsze będziemy przyjaciółmi. Ale nie rozumiesz? Nie jestem tu spełniona. Nie chcę tak dłużej żyć.

Verlan podjął pięciodniowy post. Pił tylko wodę i miał nadzieję, że otrzyma z nieba wskazówki, jak postąpić z moim buntowniczym duchem. Uznał, że Bóg go wystawia na próbę. Kiedy jednak poprosiłam, by odwiózł mnie do domu, do matki, załamał się.

- Irene, prawo czystości to prawo boskie. Ja nie ustalałem zasad, tylko Bóg. Ja tyl-

ko staram się wypełniać Jego wolę.

- Pokaż mi, czarno na białym, gdzie Bóg to powiedział - odparłam.

- Powiedzieli to jego słudzy, a to na jedno wychodzi. Naprawdę nie wiem, jak mogę ci to udowodnić w pismach, ale wiem, że mój ojciec nauczał tego prawa i przestrzegał go.

Przestrzeganie tego „prawa” było dla mnie torturą. Wyglądało na to, że ustanowił je ktoś okrutny, ktoś, kto chciał nas ukarać. Było kompletnie nienaturalne i wychodziło grubo poza ramy zwykłego wyrzeczenia w stronę wręcz zaprzeczenia własnemu „ja”. Raz na miesiąc, w czasie tych paru miesięcy, kiedy nie byłam w ciąży lub nie karmiłam piersią, miałam relacje intymne z Verlanem. Resztę małżeńskich nocy musiałam spędzić albo śpiąc u boku męża, ale nie dotykając go, albo cierpiąc samotnie, ze świadomością, że w domu obok Verlan kocha się z Lucy lub z Charlotte. Przekonanie o życiu miłosnym innych żon mogło być zupełnie nieuzasadnione, tak jak przekonanie, które one żywiły na temat moich rzekomych kontaktów intymnych z Verlanem. Mimo to te obsesyjne myśli nie pozwalały mi normalnie żyć. Często wydawało mi się, że tracę rozum.

W końcu, po długich kłótniach, Verlan zaczął nieco mięknąć.

Zgodził się ubogacić nasze życie seksualne pod jednym warunkiem.

- Na pewno tego nie znajdziesz, ale jeśli pisma pozwalają na seks w innym celu niż prokreacja, przyjmę to - rzekł.

Gorączkowo przeszukiwałam wszystkie dostępne mi książki.

Wreszcie znalazłam. Parley P. Pratt, jeden z pierwszych apostołów Kościoła mormonów, napisał ważną książkę pod tytułem: A Key to the Science of Theology (Klucz do zagadnień teologii). I oto proszę! Przed moimi oczami widniał rozdział zatytułowany „Związek płci”. Zdumiało mnie, że służyć bożemu stać było na tak wiele. Wymienił bowiem nie jeden, ale aż pięć powodów, dla których Bóg zezwala na relacje intymne.

Promieniałam. Przystudiowałam ów rozdział uważnie, by być całkowicie pewną, że mam w ręku argumenty nie do odrzucenia.

Miałam zamiar udowodnić Verlanowi, że Bóg nie jest aż tak skąpy i okrutny, za jakiego on Go ma. Ha, ha. Teraz, po czterech latach, doszliśmy w końcu do sedna sprawy Verlan będzie musiał to przyjąć.

To słowa apostoła naszej wiary i w dodatku można je przeczytać, czarno na białym. Schowałam książkę za plecy i pobiegłam na pole, gdzie Verlan pracował przy sianie.

- Verlan, czy wierzysz, że Parley P. Pratt był człowiekiem bożym? - zaczęłam.

Verlan kiwnął głową.

- Przyjmiesz jego słowa na temat seksu?

- Tak, jeśli to nie będzie twoja ich interpretacja. - Roześmiał się.

Pewna siebie przeczytałam mu, że seks jest, po pierwsze, dla wzajemnej głębokiej miłości.

- Widzisz - powiedziałam - tego właśnie chcę! Po drugie, seks ma być dla prokre-

acji. Urodzę ci wszystkie dzieci, jakie chcesz. Po trzecie - seks jest na czas smutku i przygnębienia. - Dla mnie to co drugi dzień! - Zawahałam się. Wiedziałam, że nie muszę czytać dalej, bo moje roszczenia mieszczą się w pierwszych trzech kategoriach.

- Pokaż mi to - rzekł Verlan, wyjmując mi książkę z ręki.

Przeczytał. - Będę musiał to dokładnie przestudiować i pomodlić się w tej intencji.

I tak się stało - Verlan spędził całe dnie sam w górach, poszcząc i modląc się w tej sprawie.

Mimo że przez dwadzieścia siedem lat Verlan żył w absolutnym przekonaniu, że Bóg zabrania seksu dla celów innych niż prokreacja, wreszcie zgodził się odstąpić od swego.

- Poddaję się dla dobra naszego małżeństwa i dla twojego szczęścia - oznajmił. - Ale nie wyobrażaj sobie i nie oczekuj za wiele.

Kiedy przypadła następna noc, jaką miał spędzić u mnie, Verlan powiedział, iż wciąż czuje, że wybieramy niskie standardy i być może nawet obrażamy Boga, zmieniając politykę względem seksu. Chciał, żeby było absolutnie jasne, że jeśli kiedyś ta sprawa będzie przed Bogiem rozpatrywana, mam wziąć całą winę na siebie. Zatem po czterech latach małżeństwa i zaledwie paru zbliżeniach intymnych nastawionych na poczęcie kolejnych dzieci zdobyliśmy przynajmniej seks dla samego seksu - czyli dla przyjemności.



Minął już ponad rok od czasu, kiedy brat Verlana Joel ogłosił się długo oczekiwanym prorokiem w rodzie LeBaronów, zapowiadany jeszcze przez ojca. Jego imię brzmiało Potężny i Mocny, za swoją misję uznał szerzenie wiary na terenie Meksyku. Alma, Ervil i Floren przyjęli go jako proroka, lecz Verlan pozostał sceptykiem. W ciągu ostatniego roku Joel pielgrzymował przez zachodnie Stany, nauczając, że Chrystus wkrótce powróci na ziemię i zgładzi Amerykę Północną. Każdy, kto chciał ocaleć, powinien zbiec do Meksyku i przyłączyć się do Joela i jego nowej wspólnoty - Kościoła Pierworodnych w Pełni Czasów.

Rzeczywiście zaczęły napływać nowe rodziny. Ranczo LeBaronów zmieniło się w kolonię, a jej oficjalna hiszpańska nazwa brzmiała Colonia LeBaron.

W tym samym czasie Verlan rozpoczął pracę w firmie malarskiej swego kuzyna w Nevadzie. Wyjeżdżał na dwa-trzy miesiące, wracał do domu, spędzał z nami trochę czasu, a potem znów jechał do pracy. Jego uczucie i uwaga stały się dla żon jeszcze większą rzadkością i skarbem nie do przecenienia.

Verlan przebywał właśnie w kolonii, starając się doprowadzić gospodarstwo do przyzwoitości. Nie lubiliśmy niepotrzebnie wydawać pieniędzy, ale zepsuł nam się traktor i Verlan musiał wynająć sąsiada, Granta, żeby zaorał nam pola. Poprosił mnie, żebym dla niego gotowała.

Pewnego dnia rano wstał wyjątkowo gorący i wietrzny. Biedny Grant pracował w

taką pogodę. Całe rano byłam bardzo zabiegana, bo przypadła moja kolej wyganiania krów na pola lucerny i zaganiana z powrotem, żeby nie przejadły się i nie napuchły. Musiałam też ugotować i podać posiłki dwóm innym najętym pracownikom, no i cały czas być przy dzieciach. Byłam tak zajęta, że nawet nie miałam czasu myśleć.

Spiesząc się, wpadłam na Granta zmierzającego w stronę mego domu. Zdumiała mnie ilość pyłu w jego rudych włosach. Jego jasna cera była spieczona na raka, a wargi miał popękane i spuchnięte od słońca.

- Przepraszam - powiedział - czy mógłbym gdzieś się na chwilę położyć i odpocząć? Potwornie boli mnie głowa.

- Jasne - odpowiedziałam. - Proszę wejść, położyć się na moim łóżku i czuć się jak we własnym domu. Kiedy obiad będzie gotowy, zawołam.

I popędziłam do dalszych zajęć. Musiałam nakarmić dzieci wcześniej, zanim przyjdą jeść mężczyźni. Mój dzidzius nie czuł się najlepiej. Trzymałam go na jednej ręce, a drugą pracowałam. W końcu zasnął. Nakarmiłam Donnę i położyłam oboje na drzemkę. Mężczyźni przyjdą z pola dopiero za jakiś czas.

Weszłam po coś do sypialni. Ku mojemu, jakże miłemu, zaskoczeniu, leżał tam Verlan - z twarzą wciśniętą w poduszkę. O, nie mogłam tracić czasu. Nie kochaliśmy się już całe dni. Oto trafiła się wspaniała szansa.

Szybko przekręciłam klucz w drzwiach, zdjęłam majtki i jednym kopnięciem posłałam je pod łóżko. Rzuciłam się na materac.

Wymierzyłam mu klapsa w pośladki, przeczesałam palcami jego włosy i seksownym głosem powiedziałam:

- Hej, kochasiu, wstawaj!

Ku memu zdumieniu podniosła się duża, spalona słońcem twarz - i to nie była twarz Verlana!

- Hm? - mruknął Grant.

Przeraził mnie tak strasznie, że zaczęłam płakać. Płonąc ze wstydu, z gołym tyłkiem, wycofałam się jak najszybciej z pokoju - prawie przez zamknięte drzwi.

Verlan właśnie wchodził do kuchni. Widząc, jak poprawiam spódnicę i jakie przeżalenie maluje się w moich zapłakanych oczach, wykrzyknął:

- Co się stało?!

- O, myślałam, że umrę! Ale się wstydzę!

- Ale co się stało?

- O, Verlan, właśnie wygłupiłam się najbardziej na świecie.

- Dobrze, ale co się stało?

- Grant ma taką samą koszulę, jak ty. Myślałam, że to ty leżysz na łóżku. Zakradłam się tam i myślałam - zakryłam twarz - myślałam, że będziesz się ze mną kochał.

- O, nie mów. - Pokręcił głową zdumiony. - Sądziłem, że to dobrze, że ożeniłem się z tobą kiedy byłaś taka młoda. Ale chyba nie najlepiej cię wyszkoliłem!

Szybko nakryłam do stołu. Wyjęłam gorące potrawy z pieca, żeby były gotowe do podania. Powiedziałam Verlanowi, że sam będzie musiał sobie poradzić. Nie chciałam, żeby ktokolwiek mnie widział.

Przepadłam.

Później Verlan zażądał, żebym przeprosiła Granta, gdy tylko nadarzy się okazja. Trenowałam przeprosiny setki razy. Nie wymyśliłam nic, co by się nadawało, więc nigdy go nie przeprosiłam.



W maju 1957 wstąpiłam na chwilę do Lucy, by poprosić ją, żeby zerknęła na mojego dziesięciomiesięcznego Andre. Zamierzałam udać się do przyjaciółki, Betty Tippetts. Betty i jej mąż Harold byli pierwszą rodziną, która przeprowadziła się do nas z Salt Lake City i wstąpiła do kościoła Joela.

- Andre śpi na moim łóżku. Powinien jeszcze spać przynajmniej godzinę - powiedziałam Lucy.

- Nic mu się nie stanie - odpowiedziała. - Nie przejmuj się.

Wzięłam dwuipółletnią Donnę, przecięłyśmy narożnik naszej działki (teraz górna część rancza została podzielona na działki, żeby zrobić miejsce dla nowo przybyłych osadników) i przeszłyśmy pod ogrodzeniem z drutu kolczastego - ja pierwsza, a potem podniosłam drut wysoko, żeby mogła przejść Donna. Od nowego domu Betty, zbudowanego z cegły i żużlobetonu, dzieliło nas jakieś pół przecznicy.

Był to pierwszy niegliniany dom w Colonia LeBaron.

Betty i ja byłyśmy nierozłączne. Od kiedy się poznałyśmy, łączyła nas głęboka więź. Betty była niezwykle hojna. Była też doskonałą krawcową. Nigdy nie zapomnę sześciu cudnych sukienek, które ofiarowała mi kilka dni po przyjeździe. Nosiłyśmy ten sam rozmiar, choć ona była trochę wyższa. Wszystkie te sukienki uszyła sama i były naprawdę wspaniałe. Nigdy nie miałam tak pięknych ubrań, nawet w Utah, jeszcze przed ślubem.

Dała mi jednak nie tylko sukienki. Zawsze dzieliłyśmy się wszystkim, co miałyśmy - warzywami z ogródka, owocami w puszkach i tym podobne. Czułyśmy się jak prawdziwe siostry, nie tylko przyjaciółki. Ponieważ obaj nasi mężowie pracowali w Stanach, spędzałyśmy razem wiele czasu.

Tego dnia postanowiłyśmy zrobić krówki.

- Szkoda, że nie stać nas na orzechy - powiedziała z żalem Betty. Patrzyłam, jak przelewa masę do natłuszczonego talerza.

- Siadaj - powiedziała. - Wyciągnij na chwilę nogi. Dlaczego cały czas na nich stoisz, skoro jesteś w piątym miesiącu?

Nie czekałyśmy ani chwili dłużej, niż było to konieczne - pozwoliłyśmy masie zastygnać tylko na tyle, by dało się ją pokroić.

Jadłam właśnie trzeci kawałek, gdy w drzwiach stanęła Lucy.

Zapewniła mnie, że Andre śpi jak suseł - wychodząc, zajrzała, by to sprawdzić.

Betty pchnęła talerz z masą krówkową w stronę Lucy.

- Lepiej zajadaj, bo za chwilę nie będzie.

Po jakimś kwadransie przerwałam Betty w pół zdania okrzykiem:

- To Andre. Coś złego się z nim dzieje! - Gwałtownie wstałam i wybiegłam. Co sił w nogach pędziłam po piaszczystej drodze, drąc sukienkę o drut kolczasty, gdy się pod nim przeciskałam.

Lucy i Betty biegly za mną z małą Donną. Próbowaly z oddali mnie uspokajać:

- Irene, spokojnie. Nic się nie stało!

Przebiegłam obok narożnika domu Lucy, przekonana, że usłyszę straszliwy płacz dziecka. W jednej chwili zdałam sobie sprawę, że Andre znajduje się w rowie irygacyjnym. Prawie upadłam, biegnąc w jego stronę. Zobaczyłam, jak unosi go wartki prąd - znajdował się jakieś dziesięć metrów ode mnie. Biegłam wzdłuż rowu i patrzyłam, jak pojawia się i znika w zimnej wodzie.

Wskoczyłam w butach i ubraniu do wody, próbując go złapać, ale źle wymierzyłam i prąd poniósł go dalej. Pospieszyłam za nim, sięgnęłam naprzód i, czyniąc ogromny wysiłek, wyciągnęłam jego ciało - prawie już bez życia - ze straszliwej wodnej pułapki. Nie było czasu, by płakać. Myślałam tylko o tym, żeby przywrócić go do życia.

Przełożyłam go sobie przez ramię i waliłam jak szalona w jego plecki, a on pluł i się krztusił. Jego pulchne małe ciało było sine z zimna i z braku powietrza. Trzymałam go głową do dołu i potrząsałam. Zaczął wymiotować wodą, a potem głośno próbował zaczerpnąć powietrza.

Betty wzięła go, a Lucy podtrzymywała mnie, gdy wspólnie dziękowałyśmy Bogu za ocalenie jego życia. Szlochałam rozdygotana i słyszałam, jak w butach chlupie mi woda. Doszłyśmy do domu. Betty pomogła mi wejść do łóżka. Byłam zlodowaciała i nieprzytomna z nerwów.

Jak przez mgłę pamiętam, że zastanawiałam się, jak sobie poradzę w wieczności. W niebie będę miała miliardy dzieci do zaludnienia przyszłych światów. Tu, na ziemi, miałam ich tylko dwoje, a i z nimi nie potrafiłam sobie poradzić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY.

Czwartego października 1958 urodziłam czwarte dziecko - ślicznego, jasnowłosego chłopca. Dałam mu na imię Steven.

Powinien w pewnym sensie dopełnić moje życie, ale stało się przeciwnie - wewnątrz czułam, że umieram. Miałam dwadzieścia jeden lat i chciałam od życia więcej niż tylko praca, praca, praca. Chciałam czegoś ponad to, co absolutnie niezbędne. Przede wszystkim nieustannie pragnęłam własnego mężczyzny. Błagałam Boga, żeby mi wybaczył i odsunął ode mnie samolubne pokusy. Dzień mijał jednak za dniem, a one nie znikwały.

Gotowanie, szorowanie ubrań o tarę, zmiana pieluch, praca w polu - zniosłabym to wszystko, gdyby dla równowagi istniała jakakolwiek rozrywka, dzięki której można byłoby uprzyjemnić sobie męczącą monotonię codzienności. Nie miałam radia ani adaptera - muzyka nie rozjaśniała więc moich długich, wypełnionych pracą dni.

Nie miałam też ani centa do wydania na przyjemności. Życie towarzyskie ograniczało się do Spencerville. Mieliśmy parę razy gości ze Stanów, ale efekt był tylko taki, że narobiłam sobie apetytu na towarzystwo. Jak wiele Amerykanek w moim wieku myślałam sobie, że fajnie byłoby chodzić do szkoły, pracować i być niezależną.

Verlan, kiedy był w domu, był dla mnie dobry. Często jednak go nie było - wyjeżdżał do Stanów do pracy, najczęściej na trzy miesiące za każdym razem. A kiedy wracał, i tak należała mi się tylko jedna trzecia męża. Pragnęłam romansu, namiętności i wiedziałam, że on nie jest w stanie mi tego zapewnić. Szczerze mówiąc, chociaż kochałam Verlana, to nigdy nie byłam w nim zakochana. Na pewno nie tak, jak kiedyś w Glenie. Z takiego powodu mogło kuleć każde małżeństwo, a co dopiero takie jak nasze - żyjące bez ustanku w skrajnej nędzy.

Oczywiście bieda wynikała z poligamii, a poligamia była przyczyną cierpienia mojego serca i poczucia zniewolenia, ucisku. Wciąż z tęsknotą i bólem myślałam o Glenie, ale byłam przekonana, że również i z Verlanem mogłabym być szczęśliwa, gdybym tylko miała go całego dla siebie.

Boży plan nie wydawał mi się udany Obiecano mi, że podporządkowanie się zasadom samo w sobie stanie się nagrodą, że będzie przynosić chociaż trochę radości, tu i teraz. Tymczasem nie czerpałam z życia żadnej radości, po prostu egzystowałam z dnia na dzień. Tęsknota za miłością stała się moją obsesją.



W listopadzie, kiedy Steven miał sześć tygodni, Verlan zatrudnił przystojnego, dwudziestotrzyletniego Meksykanina Oreliano do pomocy w gospodarstwie. Spał w drewnianej szopie przy mojej spiżarni. Na prośbę Verlana przygarnełam go pod swoje skrzydła - miałam mu prac i podawać trzy posiłki dziennie. Mój mąż był do tego stopnia uczciwy i pobożny, że nawet nie przyszło mu do głowy, że któraś z nas, żon, gotowa była zgrzeszyć.

Oreliano był inny niż wszyscy mężczyźni, z którymi miałam do tamtej pory do czynienia. Nigdy nie pozwolił, bym dźwigała ze studni do kuchni ciężkie, piętnastolitrowe wiadra z wodą. Wieczorami, kiedy szłam po drewno, Oreliano biegł za mną i sam je przynosił, twierdząc, że to nie jest praca dla kobiet. Po kolacji bawił się z dziećmi. Bardzo często, kiedy najmłodszy synek zapłakał, Oreliano był przy nim pierwszy i kołysał go, zanim zdążyłam podejść. Po jedzeniu zaś pierwszy sprzątał ze stołu - robił to automatycznie, widząc, że jestem przepracowana.

Zwykle w chłodne, jesienne noce kładłam się spać wcześniej, lecz Oreliano zmienił moje przyzwyczajenie. Przyniósł domino i zaprosił mnie do gry.

Wkrótce odkryłam, że wyczekuję na jego przyjście na wieczorny posiłek, a nawet staram się szczególnie ładnie wtedy wyglądać. Szybko sprzątaliśmy po kolacji - ja zmywałam, on wycierał, a potem na stół wjeżdżało domino. Tak wyglądał nasz wieczorny rytuał.

Często lampa naftowa na moim stole paliła się do późnej nocy.

Oreliano twierdził, że jestem najlepiej zorganizowaną osobą na świecie. Uwielbiał dania, które przyrządzałam. Lubił też moje towarzystwo. Ja zaś chłonełam jego pochwały i oddanie. Pewnego dnia zauważyłam, że jestem naprawdę zadowolona.

Którejś nocy wyszliśmy na chwilę, by sprawdzić, czy brama na pastwisko jest dobrze zamknięta. Inaczej krowy mogłyby się przedostać na pole lucerny, przejeść się i rozchorować. Wracaliśmy przy pełni księżyca. Widziałam, jak błyszczały ciemne oczy Oreliano, kiedy złapał mnie i zamknął w swych ramionach, okrywając namiętymi, zakazanymi pocałunkami.

Nie byłam zaskoczona - czekałam na to z dreszczem emocji, ale i z trwogą. Już od miesiąca błagałam Boga, by odsunął ode mnie budzące się pożądanie do Oreliano. Jeśli Bóg nie interweniuje, wiedziałam, że nie wytrzymam i, kiedy nadejdzie pokusa, ulegnę. Oto nadeszła. Bóg nie interweniował.

Z Oreliano czułam się cudownie. Był człowiekiem niesłychanie zmysłowym. To, jak jego język eksplorował moje usta przy pocałunku, było dla mnie czymś całkowicie

nowym, nieznanym i dotąd nieodkrytym. Uwielbiałam to. Jednocześnie lojalność wobec Verlana drążyła moje sumienie. Kiedy byłam z Oreliano i kiedy z nim nie byłam, ale myślałam o nim, poczucie winy szarpało mi duszę.

Spędziliśmy cudowny, tajemny tydzień. Wieczory w jego ramionach były boskie, ale nieprzespane noce pełne wyrzutów sumienia wspominam jako czyste piekło. Łudziłam się, że Bóg zrozumie.

Przeszukiwałam święte pisma z nadzieją na ukojenie, pocieszenie.

Znalazłam tylko potępienie. Szczególnie zaalarmował mnie jeden fragment: „Ale jeżeli ta czy inna z dziesięciu dziewczyc, kiedy jest już zaślubiona, będzie z innym mężem, popełniła cudzołóstwo i będzie zniszczona” (Nauki i Przymierza, 132, 63). Słyszałam, że w pewnych rodzinach poligamistów, szczególnie w dawnych czasach, podchodzono do tego niezwykle surowo - mąż miał prawo ukarać cudzołożącą żonę.

Nie wierzyłam, że Bóg mnie zniszczy (ponieważ, po pierwsze, nie dopuściłam się dotąd cudzołóstwa), lecz zastanawiało mnie, co zrobi Verlan, kiedy się dowie, jak daleko zaszłam. Denerwowałam się.

Pewnego wieczoru Oreliano zaczął mnie błagać, bym z nim uciekła, bym zabrała dzieci i po prostu zaczęła nowe życie gdzieś daleko. Jeszcze goręcej namawiał mnie do tego, bym się mu oddała.

Mówił, żebym się poddała, wówczas staniemy się jednym. Razem damy radę stawić czoło wszelkim problemom.

Oparłam się jednak z niesmakiem i niejako wbrew sobie, bo w sercu pragnęłam spełnić jego prośby. Powstrzymywała mnie tylko groźba zgładzenia mnie i perspektywa ognia piekielnego. Płakałam rozpaczliwie i odrzucałam jego gorące zapędy. Tej nocy spałam sama i, wciąż pragnąc Oreliano, wysyłałam gorączkowe prośby do nieba. Co mam robić? Jeśli zadeklarował tak poważne zamiary, nie mogłam z nim tylko igrać. Postanowiłam, że żadnemu mężczyźnie, nie złamię już serca, tak jak Glenowi.

Jeśli ucieknę z Oreliano, czeka mnie nie tylko wieczne potępienie. Verlan zażąda, bym opuściła dzieci. (Żona poligamisty mogła odejść od męża w każdej chwili, lecz jeśli się na to zdecydowała, musiała odejść sama, z tobołkiem na plecach. To była kolejna zasada naszej wiary. Mąż fundamentalista zawsze mógł się tym podeprzeć, jeśli musiał użyć mocnych argumentów wobec niezadowolonej żony).

Jeśli nie odejdę, życie będzie toczyć się jak dotąd, z nieodłączną, podwójną plagą - poligamią i ubóstwem - nieustannie toczącą mego -i tak już mocno nadwątlonego - ducha.

Pewnej niedzieli, wieczorem, kiedy dzieci już spały, Oreliano wyszedł i usiadł na schodku przy tylnych drzwiach. Ponieważ u Charlotte i Lucy światła już pogasły, otworzyłam cicho drzwi i przysiadłam się do niego. Objął mnie mocno, a ja oparłam głowę na jego ramieniu.

Mówił po hiszpańsku:

- Irene, jestem biedny, ale mogę dać ci dużo więcej, niż masz teraz. Wiem, jak się czujesz, ale musisz zaryzykować i odejść ze mną, bo inaczej nigdy nie będziesz szczęśliwa. Nie martw się tak strasznie.

Nie odbierasz przecież Verlanowi wszystkiego. Zostaną mu jeszcze dwie żony.

Płakałam cicho w jego ramionach przez ponad godzinę, a on tulił mnie i pocieszał.

- Jutro powiemy o wszystkim Verlanowi. Będę przy tobie.

Powiemy mu prawdę i stawimy czoło konsekwencjom. Nieważne, co on na to, i tak zabierzemy dzieci. Tym się nie martw. Nie obiecuję ci cudów, Irene, ale błagam, zgódź się, a ja będę o ciebie walczył! Za bardzo cię kocham, żeby widzieć cię z innym. Jeśli nie pójdziesz ze mną, będę musiał stąd odejść sam. Jeśli zostanie, nie zniosę tego.

Myśleliśmy, że tylko księżyc był świadkiem naszego namiętnego pocałunku na dobranoc.

Kilka dni wcześniej wrócił ze Stanów Verlan i następnego ranka miałam mu podać śniadanie. Zajął zwykłe miejsce przy stole, naprzeciwko Oreliano. Poprosił o ciszę i pobłogosławił jedzenie. Nie słuchałam go. Chciałam ukryć się przed Bogiem. Wyobrażałam sobie, że patrzy na mnie z góry i widzi, jak siedzę, rozdarta pomiędzy dwoma mężczyznami, których kocham. Czy Bóg nie dostrzegł mego dylematu?

Jednemu przysięgałam, drugiemu oddałam serce.

Później, kiedy wracałam od studni z dwoma wiadrami wody, zauważyłam, że mój sąsiad Mauro idzie na pole w kierunku, gdzie pracowali Verlan i Oreliano. Weszłam do domu i nagle przeszył mnie strach. Postawiłam wiadra na blacie i wyjrzałam przez okno.

Zobaczyłam, jak Verlan i Mauro rozmawiają przykucnięci, a Mauro wskazuje Oreliano palcem. Wiedziałam już. Doniósł na mnie.

Skończyłam właśnie karmić Stevena i położyłam go na łóżku obok reszty moich śpiących dzieci. Bez ostrzeżenia do domu wtargnął Verlan. Oreliano za nim. Udręka na jego twarzy mówiła wyraźnie - mamy poważne kłopoty.

Verlan spojrzał mi prosto w oczy. Ze względu na Oreliano, mówił do mnie po hiszpańsku.

- Mów prawdę.

Oskarżycielsko pchnął Oreliano w moją stronę.

- Całowałaś się z nim?

Mogłam być zdrajczynią, ale nie skłamałabym.

- Tak - odpowiedziałam buntowniczo. - Ale nie zrobiliśmy nic poza tym.

Widział w moich oczach zdradę.

- Czemu, do diabła, to zrobiłaś?

Stałam tam zhańbiona i zmiażdżona, a Oreliano czekał, aż powiem coś na jego obronę.

- Odpowiedz! - zagrział Verlan. - Ale już!

Odeгнаłam strach. Może, jeśli powiem prawdę, Verlan mnie odrzuci.

- Zrobiłam to, bo go kocham! - wyznałam.

Oreliano zaczął tłumaczyć, ale Verlan odepchnął go ze złością, wyrzucił za drzwi i kazał iść się pakować. Zapłaci mu, jak się umawiali, ale chce, żeby odjechał jeszcze dziś, wieczornym autobusem. Miał się trzymać z dala ode mnie i nigdy, przenigdy nie przestąpić progu naszego domu. Powiedziawszy swoje, Verlan oddalił się w stronę pola, być może, by ochłoniąć, zanim zrobi coś, czego będzie żałował.

Oreliano, acz niechętnie, posłuchał jednak Verlana. Ja nie.

Kiedy się pakował, zastukałam do drzwi jego tymczasowej kwatery.

Zdumiał go mój widok. Wydawało się, że się boi, ale wpuścił mnie i wziął w ramiona. Zatrwożony, poprosił raz jeszcze:

- Irene, proszę, wyjedź ze mną, teraz. To twoja szansa na wolność.

- Nie mogę! - szlochałam. - Boję się, że zwariuję z poczucia winy. Nie rozumiesz naszej religii. Pójdę do piekła na pewno, jeśli rzucę wszystko dla katolika. - Odsunęłam się, zanim zdążył znowu mnie pocałować. Na pożegnanie wręczyłam mu mój skórzany portfel.

Otworzył go i zobaczył w środku moje ostatnie zdjęcie.

- Popatrz na mnie czasem - powiedziałam i uchyliłam drzwi, by wyjść. - Proszę, nie zapomnij o mnie.

- Nie zamierzam o tobie zapominać! Znajdę gdzieś pracę, a potem po ciebie przyślę!

Płacząc, odwróciłam się od niego.

- Oreliano, to się nie uda. Pierwsze miejsce zajmuje wiara.

Obrócił mnie, bym na niego patrzyła.

- Kocham cię, nie rozumiesz? - rzekł zdesperowany. - Napiszę do ciebie. Będziemy w kontakcie. Wiem, że za parę dni zmienisz zdanie. - Oparł mnie o drewnianą ścianę i namiętnie przywarł do mnie całym ciałem. Czułam jego twardość, kiedy okrywał mnie gorącymi pocałunkami, budząc moje pożądanie. Niemal udało mu się sprawić, bym uległa, ale obawa przed konsekwencjami była silniejsza. Czułam, że balansuję na krawędzi piekła.

W potwornym strachu o to, że Verlan nas nakryje, wycofałam się.

- Odpowiedz na moje listy! - zawołał czule, kiedy się odwróciłam, by odejść. - Irene, nigdy się nie poddam!

Pospieszyłam do domu - Verlan nie może odkryć, że znów byłam nieposłuszna. Z całej siły pragnęłam zmienić zdanie, spakować dzieci i uciec z Oreliano, ale siedziałam tylko w oknie i patrzyłam, jak Verlan go odprowadza. Później powiedział mi, że kupił Oreliano bilet w jedną stronę do Chihuahua i upewnił się, że Meksykanin odjechał.

Znowu zostałam sama. W głowie i sercu kłębiły mi się emocje.

Próbowałam wyprzeć je wszystkie z głowy, przewyciężyć pokusę, ale już za minutę myślałam o tym, że Oreliano niedługo napisze. Najpierw przyrzekałam sobie jeszcze większe posłuszeństwo Bogu i Verlanowi, jeszcze cięższą pracę, by zasłużyć na radość i pokój serca. Za chwilę myślałam, że powinnam jednak uznać swe uczucie do Oreliano, zdobyć się na odwagę i uciec do niego. Nie uczyniłam niczego.

Verlan potrzebował sześciu miesięcy, by strawić urazę. Przez całe miesiące od mojego flirtu z Oreliano Verlan nie wymawiał jego imienia. Zrobił to tylko raz, w gniewie, kiedy chciał mnie zranić, jak ja zraniłam jego. Wyznał bowiem, że „przechwycił” i „z odrazą przeczytał”, a potem „zniszczył” trzy „cudzołożne” listy do mnie od Oreliano.

Zrozumiałam, że - aby znaleźć jakąkolwiek radość w moim małżeństwie, a przynajmniej wytrwać w nim do końca - muszę przestać porównywać mojego męża z innymi mężczyznami. Oznaczało to, że trzeba wreszcie skończyć z czymś, co od dawna ukrywałam i w umyśle, i w sercu - z marzeniem o Glenie. Wciąż zwracałam się do niego w myślach, szukając wsparcia i pocieszenia. Moja miłość do Glena, jego do mnie, nasze wzajemne stosunki - to były sprawy, które nigdy między mną i Verlanem nie zaistnieją. Musiałam w końcu się z tym pogodzić.

Po sześciu latach od naszego ostatniego spotkania pożegnałam się z Glenem na dobre.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY.

Steven miał dziesięć miesięcy, a ja cieszyłam się wspaniałą, nieoczekiwaną przerwą w wydawaniu na świat dzieci. Nie potrafiłam wyjaśnić, dlaczego - jedynym powodem mogła być praca Verлана z dala od domu. Doszłam do wniosku, że Bóg chyba naprawdę widzi, ile jesteśmy w stanie wytrzymać, i byłam Mu za to ogromnie wdzięczna.

Mimo to spódnica wydawała mi się nieco przyciasna. Zaczęłam uważać na to, co jem. I tak pod tym względem byłam daleko, daleko z tyłu za konkurencją - Lucy nosiła rozmiar 38, Charlotte - 40, a ja -42. Nie mogłam sobie pozwolić na to, by jeszcze przytyć.

Pewnego wieczoru odpoczywałam na łóżku i rozmawiałam z Verlanem, kiedy nagle, znienacka, poczułam owo stare, dobrze znane łaskotanie w brzuchu. Nie chciałam, żeby to była prawda, ale wiedziałam, że innej przyczyny tego jedynego w świecie odzucia być nie może. Powiedziałam Verlanowi, że czuję, że jestem znowu w ciąży.

- Chyba pojedę jutro do lekarza, do Casas.

- Ej, tylko się ośmieszysz - odparł, zbierając się do wyjścia. - Po prostu masz gazy.

Od kiedy zaczęłam sama przyjmować na świat dzieci, całkowicie zmienił się mój stosunek do badania lekarskiego. Czułam się o wiele swobodniej i całkiem dobrowolnie udałam się do doktora Hacha. Spytał, co też może dla mnie tym razem zrobić.

- Trochę przytyłam. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie jestem znowu w ciąży.

- Kiedy miała pani ostatnią miesiączkę? - spytał, wyciągając moją kartę.

- Od pięciu miesięcy nie karmię piersią. Od urodzenia dziecka jeszcze nie miałam.

- Zapraszam na fotel.

Uciskał okolice kości miednicy, ugniatał brzuch i jednocześnie badał wewnętrznie.

- Powiedziałbym, że jest pani w czwartym miesiącu - oznajmił, pomagając mi zejść.

O, cholera.

- To dlaczego nie mam porannych mdłości? - spytałam.

- O, czasem są, czasem ich nie ma. Termin porodu wypada między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem.

Verlan był wniebowzięty. Miało to być jego trzynaste dziecko, a ciągle był młody. Spełniało się jego marzenie o spłodzeniu niezliczonego potomstwa i zaludnianiu Królestwa Niebieskiego.

Nie wiem, czy to za sprawą samej ciąży, czy rozczarowania nią spowodowanego, ale następnego dnia rano obudziłam się poważnie chora. Verlan był zde gustowany, kiedy gwałtownie wyskoczyłam z łóżka, chwyciłam nocnik, ale nie zdążyłam i zwymiotowałam na podłogę.

- Ej, daj spokój. Wszystko to siedzi ci w głowie - osądził.

- Dobra, może w głowie, ale teraz trzeba to sprzątać z podłogi - odparłam.

Kolejna ciąża utrudniła moje codzienne obowiązki, ale starałam się, jak mogłam. Gotowałam na kuchni na drewno, która była zarazem jedynym źródłem ciepła w domu. Nocą, kiedy dziecko zbudziło się na karmienie, zapalałam lampę naftową i nad jej płomieniem grzałam mleko w emaliowanym kubeczku. To prawda, był później cały okopcony, ale tak było mi łatwiej, niż rozpalać pod kuchnią.

Mieliśmy już okna, ale brakowało ogrzewania. W chłodne zimowe noce okrywałam dzieci kocami, które następnie spinałam agrafką pod pachami, żeby maluchy się nie rozkopały i nie zmarzły. Co wieczór stawiałam na kuchennym stole dużą cynową balię i kąpałam dzieciaki - każde po kolei, szorując do czysta. Z namydlonych włosów robiłam im kogucie grzebienie i pialiśmy: kukuryku! Uwielbialiśmy te wspólne zabawy i chichoty.

Pewnego wieczoru, kiedy już kończyłam kąpać dzieci i spłukiwałam ostatnie czystą wodą, mój trzyletni siostrzeniec, Joel Johnson, który stał z boku i przyglądał się, zaczął też rozbierać się do kąpieli.

Pomyślałam: no dobra, o co chodzi? Jego matka będzie mi tylko wdzięczna, jeśli wróci do domu czysty. Włożyłam go więc do balii, wyszorowałam i już byłam przy płukaniu, kiedy Sylvia Esther, moja sześćioletnia siostrzenica, weszła i zdziwiona spytała:

- Ciociu Irene, dlaczego go kąpiesz? Przecież to nie twoje dziecko.

Opatuliłam Joela ręcznikiem i postawiłam na stole. Wycierając małego, odpowiedziałam:

- Wiesz, kochanie, był taki brudny, że nie wiedziałam, do którego domu mam go wysłać na noc.



Brent urodził się 28 grudnia 1959. Steven miał wtedy piętnaście miesięcy. Brent był uroczym maluszką, który zawitał do naszej rodziny z jednym okiem niebieskim, a drugim brązowym. Nie miałam, niestety, nastroju na kolejne dziecko. Byłam dość smutna jeszcze przed poporodowym spadkiem samopoczucia. Smutek ten przekształcił się

w nieustającą przewlekłą depresję. Wierna Lucy przychodziła mnie pocieszać, a w nocy masowała mi stopy i plecy, żeby pomóc mi zasnąć.

Zaczęłam czuć ogromną wdzięczność dla niej. Była cichą, łagodną usłużną osobą. Pokorna i niewymagająca, z nas trzech najmniej domagała się sprawiedliwego podziału. Z biegiem czasu, gdy niewielkie zasoby Verlana trzeba było dzielić między coraz więcej osób, Lucy była wciąż bardziej i bardziej zaniedbywana.

Pamiętam, jak pewnego razu Verlan szykował się do wyjazdu na trzy miesiące. Z każdą z nas odbył rozmowę na osobności, podczas której najpierw wyjaśnił, jak skromny był w tej chwili jego budżet, a potem zapytał, ile pieniędzy każda chciałaby, żeby jej zostawić na czas jego nieobecności. Nie chciał nam zdradzić, ile zażyczyły sobie inne, ale my później i tak to porównaliśmy. Charlotte zażądała dwustu dolarów, ja - stu, a biedna Lucy powiedziała, że poradzi sobie bez pieniędzy. Kiedy się dowiedziałam, że Verlan na to przystał, podzieliłam się z nią moimi funduszami.

Lucy i ja spędzałyśmy razem większość dnia. Zajmowałyśmy się dziećmi, szyłyśmy ubrania, ale przede wszystkim - pomagałyśmy sobie nawzajem po prostu przetrwać. Chociaż robiłam wszystko, by do tego nie dopuścić, odkryłam, że ją kocham. Ona zaś w jakiś cudowny sposób wybaczyła mi wszystkie stare przejawy zazdrości. Słodka, spokojna, nigdy nie pragnęła wywyższenia ponad inne żony. Próbowwała mnie przekonać, żebym sobie odpuściła i przestała walczyć z wiatrakami, ale ja nie potrafiłam. Za wszelką cenę pragnęłam rozwinąć skrzydła i zdobywać nowe szczyty. Zamiast tego spadałam, spadałam i wciąż zapadałam się coraz niżej.

W ciągu sześciu lat mego małżeństwa zawsze byłam z Verlanem szczerą. Całymi godzinami opowiadałam mu o troskach mojej duszy i serca. Był świadomy mego wewnętrznego konfliktu i to, co słyszał i widział, głęboko go martwiło. Za pomocą świętych tekstów i mężowskiej rady próbował mnie przekonać, że nagroda przyjdzie w wieczności.

- Możesz nie być szczęśliwa teraz, ale zobacz, co będzie później - tłumaczył. - Bądź wierna, a kiedy umrzesz, znajdziesz spokój i wieczną miłość, za którymi tak tęsknisz.

Pragnęłam miłości tu i teraz. Mówiłam:

- Te obietnice mają dla mnie niewiele sensu. Jeśli będę posłuszna i poświęcę się, rodząc tyle dzieci, ile tylko zdołam, jeśli będę dobra i cierpliwa, to czeka mnie nagroda. W wieczności czego mam się spodziewać? Będę mieć jeszcze więcej siostrzanych żon, będę wypluwać z siebie dzieci, jedno za drugim? I tak przez wieki? Ty to nazywasz nagrodą? Już mnie to nie kusi. Jeśli tu na ziemi mam próbkę wieczności, to dziękuję bardzo, rezygnuję.

- Irene, nie mówisz przecież poważnie. Jesteś po prostu zniechęcona. Na niebiosa, przecież tak nie myślisz. - Verlan wyglądał na zmartwionego. - Sądzę, że potrzebujesz po prostu zmiany.

Następnym razem pojedziesz ze mną do Stanów.

Potrafił to jednak zepsuć już w kolejnym zdaniu. Nie chciał, żebym przypadkiem wpadła na pomysł, żeby w Stanach od niego uciec, więc kazał mi zostawić w domu wszystkie dzieci z wyjątkiem najmłodszego. Nie omieszkał mi przypomnieć, że jeśli kiedykolwiek przyjdzie mi do głowy odejść, to dzieci zostaną przy nim.

W maju pojechałam z Verlanem do Vegas, tak jak obiecał. Tam już sama wsiadłam do autobusu do Salt Lake City. Spędziłam dobre, długie dwa tygodnie u matki. Kiedy jednak ze znajomymi wracałam do Meksyku, nagle poważnie zachorowałam. Wkrótce po przyjeździe dostałam bardzo wysokiej gorączki z majakami. I mną, i dziećmi zajmowała się Lucy. Poiła mnie herbatkami ziołowymi i stosowała inne domowe metody, ale dni mijały, a ze mną było coraz gorzej. W myślach powtarzałam w kółko imię Verlana. Dlaczego zawsze, kiedy go potrzebowałam, nie było go przy mnie?

Moja najlepsza przyjaciółka Betty Tippetts pojechała na jakiś czas z mężem do Stanów, ale kiedy wrócili i zobaczyli mnie, natychmiast przystąpili do działania. Betty przytrzymała drzwi, kiedy Harold wynosił mnie do samochodu. Niezwłocznie zawieźli mnie do szpitala w Casas.

Okazało się, że jestem bardzo odwodniona. Co gorsza, musiałam mieć transfuzję krwi. Chorowałam na tyfus, byłam w krytycznym stadium. Przypomniałam sobie, że kiedyś pojawił się w naszej kolonii lekarz, który w ramach akcji rządowej szczepił wszystkich przeciwko tyfusowi, ale ja odmówiłam ze względów religijnych. Teraz zaś byłam - jedyną, dzięki Bogu, na ranczu - ofiarą choroby.

Krew do pierwszej transfuzji pochodziła od mojej szwagierki, ale doktor Hatch kazał Haroldowi natychmiast znaleźć następnego dawcę. Nie było czasu do stracenia.

Zgłosił się nasz sąsiad Mauro. Na szczęście grupa krwi się zgadzała, więc doktor mógł dokonać zabiegu. Kiedy było po wszystkim, Mauro nachylił się nade mną i szepnął:

- Ta krew nie tylko ocali ci życie, ona da ci nowe życie! My, Meksykanie, mamy gorącą krew! Niech Verlan lepiej uważa!

Mimo trzech transfuzji moje życie wciąż wisiało na włosku.

Charlotte i Lucy zawiadomiły Verlana, który pracował w Las Vegas.

Napisały, żeby przerwał pracę i przyjechał niezwłocznie. Sprawa była pilna. Miałam krwawienia z jelit i lekarze nie robili wielkich nadziei, że z tego wyjdę.

Verlan wkroczył do mojej sali szpitalnej pełen obaw. Poczł ogromną ulgę, że wciąż żyję, lecz kiedy zobaczył, jakie spustoszenie uczyniła we mnie choroba, usiadł na brzegu łóżka i zapłakał. Z mojego niegdyś pięknego, zdrowego, dwudziestotrzyletniego ciała została skóra i kości.

Ukrył twarz w moich dłoniach i szlochał.

- Całą drogę do domu umierałem ze strachu, wyobrażałem sobie, że już cię pochowali (według prawa meksykańskiego pogrzeb musi się odbyć w ciągu dwudziestu czterech godzin od śmierci).

Obiecałem sobie, że...

Odwrócił twarz. Płakał tak mocno, że nie mógł skończyć zdania.

- ...cię odkopię, by się z tobą pożegnać.

Nie miałam pojęcia, że żywił do mnie aż tak głębokie uczucie.

Ogarnęło mnie poczucie winy. Naprawdę mnie kochał. Dlaczego więc nie byłam szczęśliwa?

Jakimś cudem zwalczyłam śmierć. Doktor jednak ostrzegł Verlan, że upłyną jeszcze tygodnie, jeśli nie miesiące, aż całkiem wrócę do sił. Zalecił spokój, odpoczynek w łóżku, lekkostrawną dietę i, przede wszystkim, brak stresu. Po dwóch tygodniach w szpitalu Verlan zabrał mnie do domu, ale okazało się, że za szybko. Przez dwa kolejne dni wymiotowałam i gorączkowałam. Przyjęto mnie do szpitala jeszcze na tydzień.

Doktor Hatch podejrzewał, że straciłam wolę życia. Podkreślał, że jeśli mam zwalczyć chorobę, potrzebuję miłości i wsparcia. Verlan starał się, jak mógł. Kiedy za drugim razem zabrał mnie ze szpitala, nie wróciłam już do starego domu. Kupił mi nowy, dwupokojowy dom, oddalony o przecznicę od starego. Ściany mojej nowej kuchni były pociągnięte gipsem, a betonowe podłogi o wiele gładsze niż dotychczasowe.

Kiedy Verlan wniósł mnie do domu, zatrzymał się na chwilę w kuchni, żeby pokazać mi piec gazowy, który kupił w Casas specjalnie dla mnie, a potem sam podłączył. Byłam tak chora i słaba, że nie pochwaliłam go wystarczająco, ale w głębi serca czułam ogromną wdzięczność. Po pięciu latach gotowania na kuchni na drewno, bez piekarnika, potrafiłam docenić podarunek tej rangi.

Verlan dał mi chwilę na spotkanie z dziećmi, a potem położył do łóżka, żebym wypoczęła. Tyfus odcisnął na mnie potworne piętno - schudłam 24 kilogramy. Byłam za słaba, żeby zająć się sobą, a co dopiero kimś jeszcze. Na cały kolejny miesiąc moje obowiązki przejęła Lucy. Karmiła moje dzieci i opiekowała się nimi - przez cały czas we własnym, małym dwupokojowym domku.

Jedzenie mi nie smakowało, lecz Verlan i Lucy zachęcali mnie, jak mogli. Miałam apetyt tylko na tłuczone ziemniaki i marchewkę.

Przytyłam około kilograma, lecz gdy próbowałam podnieść się z łóżka, zemdlałam. Potem pilnowałam już, żeby codziennie przez chwilę posiedzieć w pościeli. W końcu Lucy pomogła mi wstać, bym spróbowała zrobić parę kroków, lecz, ku mojej konsternacji, zapomniałam, jak się chodzi! Nogi w ogóle mnie nie słuchały. Majtały się po prostu niezgrabnie, gdy usiłowałam postawić krok.

Tydzień później, strasznie już znudzona leżeniem w czterech ścianach, namówiłam Verlana, żeby pomógł mi pokonać dystans do domu Lucy. Bardzo tęskniłam za dziećmi i czułam się winna, że nie mogę się nimi zająć. Verlan tłumaczył, że to dla mnie za daleko, lecz ja się uparłam. Podtrzymywał mnie, gdy próbowałam zapanować nad własnym ciałem. Powoli zbliżaliśmy się do domu Lucy.

- Jeśli jesteś za bardzo zmęczona, proszę, wróćmy - mówił Verlan.

Nie chciałam się jednak poddać. Zmuszałam się do każdego następnego kroku. Kiedy dobrnęliśmy wreszcie do bramy Lucy, Verlan musiał na chwilę mnie puścić, by odczepić z kołka drut, na który była zamknięta brama. Wówczas momentalnie nogi złożyły się pode mną.

Złapał mnie dosłownie na sekundę przed upadkiem. Bez zastanowienia wziął mnie na ręce i odniósł do domu.



Do sierpnia mój stan poprawił się, choć nie czułam się jeszcze normalnie. Verlan wrócił do Vegas. Kiedy przyjechał do domu na krótką przerwę, chciałam to uczcić. Błagałam go, by się ze mną kochał.

- Lekarz zabronił ci zachodzić w ciążę przynajmniej przez rok.

Inaczej możesz umrzeć.

Minęły zaledwie dwa miesiące.

- To przynajmniej umrę szczęśliwa - żartowałam.

Zaproponowałam jakąś metodę zapobiegania ciąży. Verlan stanowczo odmówił. Zagroziłam rozwodem. Doszłam do wniosku, że Bóg, znając wszystkie okoliczności, jest w stanie zrobić dla mnie wyjątek. Czy mam się powstrzymać od współżycia przez cały rok? Już raz tak zrobiłam i, niezależnie od nagrody w niebie, jaka miała mnie za to spotkać lub ominąć, obiecałam sobie, że tego nie powtórzę.

Dokor Hatch podkreślał, że za żadną cenę nie wolno mi się narażać na stres. Zdałam sobie sprawę, że swoimi naleganiami i groźbami powoduję niepotrzebne napięcie. Zamiast zgodzić się na rozwód, Verlan uległ, aczkolwiek bardzo niechętnie. Tak jak przedtem, kazał mi wziąć na siebie odpowiedzialność, i przed Bogiem, i przed ludźmi. Tej nocy - do czego zdecydowanie przyłożyłam rękę - poczęliśmy nasze szóste dziecko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI.

Moja szwagierka Flora, druga żona Almy, poprosiła mnie, żebym przyszła pomóc jej naprawić maszynę do szycia. Brent miał wówczas roczek i był właśnie czas jego popołudniowej drzemki. Kiedy wychodziłam do Flory, moja pięcioletnia Donna kołysała małego do snu. Powiedziałam jej, że może przyjść do mnie do Flory, kiedy tylko uda jej się uspić brata. Nie uszłam nawet połowy drogi, kiedy nadbiegła Donna.

- Wracaj - kazałam jej. - Zostań z Brentem i przyjdź dopiero, kiedy będziesz pewna, że zasnął.

- Ale mammo, on już śpi - powiedziała mała.

Poczekalam więc, aż mnie dogoni i razem poszliśmy dalej.

Naoliwiłam maszynę Flory i kurzym piórkami, które specjalnie wzięłam z mego kurnika, oczyściłam metalowy bębenek. Wyregulowałam naprężenie nici i nie minęło nawet piętnaście minut, a maszyna działała jak nowa. Flora podziękowała mi i wraz z Donną wróciliśmy do domu.

Zatrzymałam się, by wyjąć pocztę ze skrzynki. Był list od Verlana. Od razu rozdarłam kopertę i przeczytałam: „Droga Irene, martwię się o dzieci. Proszę cię, pilnuj ich wyjątkowo”. Czytając dalej, przyspieszyłam kroku.

Na palcach weszłam do sypialni, by zerknąć na Brenta, ale łóżko było puste. Sprawdziłam pod łóżkiem, potem w szafie. Zaczęłam panikować. Wybiegłam na dwór.

- Brent! - wołałam. - Brentuś, gdzie jesteś?

Poleciałam do Lucy, ale nie widziała go. Kiedy zobaczyła, jaka jestem przerażona, natychmiast sama zaczęła szukać. Charlotte, gdy usłyszała moje nerwowe nawoływania, również ruszyła na pomoc. U niej jednak też go nie było. Szukałyśmy, wołałyśmy, sprawdzałyśmy w rowach i w zagrodach dla zwierząt. Myszkowałam w zaroślach, na krowich ścieżkach wiodących na pola lucerny. Może dostał się jakoś na pastwisko? Nie, tam go nie było. Do poszukiwań stopniowo włączyli się wszyscy mieszkańcy miasteczka - około dwudziestu dorosłych.

Sprawdziliśmy każdą dziurę, podnieśliśmy każdą pokrywę, przeczesałiśmy okolice.

Byłam wtedy w szóstym miesiącu ciąży i od biegania bolał mnie już brzuch. Po czterdziestu pięciu minutach szaleńczego ganiaania byłam zmordowana. Brakowało mi tchu. Nie mogłam jednak przestać szukać.

Wciąż nie było ani śladu dziecka. W tym czasie wieść rozeszła się już dalej i do poszukiwań przyłączyli się Meksykanie zza głównej drogi.

Wszyscy szukali mojego syneczka, a mimo to do tej pory nie wpadliśmy na żaden trop. W myślach gorączkowo przeczesałam teren, próbując przypomnieć sobie jakieś miejsce, którego do tej pory dwu- lub trzykrotnie nie sprawdziliśmy.

Studnie! Do nawadniania używaliśmy trzech otwartych studni, a każda miała trzy i pół metra średnicy. Nie chciałam nawet rozważać tej możliwości, ale było to jedyne miejsce, którego dotąd nie sprawdziliśmy. Pomyślałam sobie, że jeśli wpadł do studni, to na wodzie powinna unosić się jego plastikowa butelka ze smoczkiem.

Wiedziałam, że Brent wziął ją ze sobą bo nie znalazłam jej nigdzie w domu.

Skierowałam się ku studni położonej najbliżej głównej szosy.

Umysłowo chory brat Verlana, Ben, szedł za mną, mówiąc:

- Duch Pański powiedział mi, że znajdziesz swoje dziecko w drugiej studni.

Przyspieszyłam kroku. Wiedziałam, że objawienia Bena nigdy nie mają nic wspólnego z prawdą. Miałam nadzieję, że i tym razem będzie podobnie. Zatrzymałam się przy studni i zmusiłam, żeby zajrzeć w głąb. Woda była czysta i nieruchoma. Butelki nie było.

Zebrał się tłum. Powiedziano mi, że ludzie już parę razy sprawdzali wszystkie trzy studnie długimi tykami, ale nic nie znaleźli.

Przez wszystkie godziny poszukiwań wołałam do Pana:

- Boże, pozwól mi go znaleźć, Boże, nawet jeśli nie żyje! Pomóż mi go znaleźć!

Nadal ani śladu. Nawet butelki. Nic. Wycieńczające poszukiwania trwały dziewięć godzin, dopóki zapadający zmrok nie zmusił ludzi do powrotu do domów. Paru najbliższych przyjaciół krążyło wokół, zastanawiając się, co jeszcze mogą zrobić, żeby mnie pocieszyć.

Byłam w hysterii. Nie mogłam pozwolić, by mój najdroższy synek został sam na dworze przez całą noc. A jeśli zjedzą go kojoty?

Wtedy nawet nie będę wiedziała, co się z nim stało. Wracając do domu, postanowiłam ostatni raz przeszukać krowie pastwiska. Nie mogłam opanować szloch. Brodziłam w ciemnościach, wpadając na krzewy, potykając się o zarośla.

Za słaba, by iść dalej, zatrzymałam się i prosiłam Boga:

- Ojcze niebieski, proszę, pozwól mi go znaleźć.

I w tej samej chwili usłyszałam w oddali głosy. Próbowałam uciszyć swój przyspieszony, głośny oddech. Położyłam sobie rękę na walącym jak oszalałe sercu i nasłuchiwałam.

- Jest! Znaleźliśmy go, znaleźliśmy! - Z ciemności dochodziły pełne ulgi głosy.

Nadzieja dodała mi sił. Widziałam, że pod moim domem zgromadzili się ludzie. Ktoś machał latarką.

- Boże, nie jestem na to przygotowana - powiedziałam głośno. - Pomóż mi przetrwać, cokolwiek się stało. - Zbliżyłam się do stojącej grupki, gotowa usłyszeć, że znaleźli go bez życia.

- Irene, nic mu nie jest! - zawołała Charlotte i włożyła mi w ramiona malutkie, trzęsące się ciało Brenta. Płakałam bezwstydnie. Po dziewięciu strasznych godzinach Bóg odpowiedział na me błagania.

Kiedy szlochałam, Brent dźgał mnie swoją pustą butelką. Mówił:

- Smok, mama, smok. - Próbował podnieść moją głowę. - Konik, mama, konik.

I wtedy zobaczyłam dwóch jedenastolatków, stojących koło nas, niemal we łzach. Obaj nosili nazwisko Kimball. Najpierw dostali burę od rodziców, a potem wysłano ich do mnie, żeby przeprosili.

- Przepraszamy - powiedzieli chórem.

Zła, spytałam:

- Co się stało?

- Jechaliśmy wozem zaprzężonym w konia waszą drogą, do głównej. Zobaczyliśmy Brenta, jak szedł w tę samą stronę. Powiedział „mama brum”, więc doszliśmy do wniosku, że pani pojechała do miasta, a on próbuje panią gonić. Myśleliśmy, że będzie się cieszył, kiedy weźmiemy go na wóz. Wzięliśmy go do El Valle i szukaliśmy pani.

Przebaczyłam im w jednej chwili. Lucy i Charlotte pomogły mi dojść do domu, gdzie padłam bez tchu na łóżko. Całą noc przeleżałam z Brentem w ramionach. Po wszystkich tych przeżyciach nie mogłam zasnąć. Czułam, jak wierci się moje nienarodzone dziecko. Miałam nadzieję, że ono nie było równie wycieńczone.



Za każdym razem, kiedy któraś z żon spodziewała się dziecka, Verlan kupował dwie sztuki materiału na stroje ciążowe. Tym razem chciał sprawić mi szczególną przyjemność, jako że nie było go w domu w naszą rocznicę ślubu. Zamiast więc wyznaczonych dwóch, kupił mi trzy sztuki materiału - jako spóźniony prezent.

Kiedy zobaczyłam materiał, zmusiłam się i powstrzymałam łzy.

Nie były to jednak łzy radości i czułości. Lawendowy materiał w ogromne żółte i czerwone tulipany nadawał się bowiem jedynie do tego, by obić nim kanapę, a nie spowić mój ogromny, sterczący brzuch.

Verlan nie mógł pojąć, dlaczego uważam, że się nie nadaje. Jak to, przecież sam go wybierał.

- Te śliczne kwiaty przypominały mi ciebie, dlatego go wybrałam - wyznał. Nie kontynuowałam wyjaśnień - nie chciałam być niewdzięczna.

Kiedy uszyłam sobie z niego suknię ciążową, poszłam odwiedzić Betty. Patrzyła na

mnie zdumiona, a po chwili głośno się zaśmiała:

- Na Boga, Irene, skąd wystraszyłaś tak ohydą sukienkę?

- Nie uwierzysz - powiedziałam, pozwalając popłynąć łzom. - To mój prezent na rocznicę ślubu. - Uspokoiliam się. - Jedynym plusem tej ciąży jest to, że wreszcie po tyfusie przybieram na wadze.

Wiesz, że nienawidzę strojów ciążowych. Chyba jednak muszę do nich przywyknąć, bo w niebie będę wiecznie rodzić dzieci. - Zaśmiałam się.

- Chyba powinnam stroje ciążowe zacząć nazywać „strojami wiecznymi”.

Obiecałam Donnie, która miała już prawie sześć lat, że dziecko, które urodzę, będzie dziewczynką. Stwierdziwszy, że prawdo-podobieństwo dziewczynki jest dużo większe, wymyśliłam, że Bóg nigdy nie wyśle na ziemię więcej niż troje dzieci tej samej płci z rządu. Rozmawiałyśmy o małej siostrzyczce dla Donny i wręcz zaplanowałyśmy ją wspólnie. Opowiedziałam jej o śmierci Leah i o tym, dlaczego śmierć dotyka ludzi. Zapewniłam, że Bóg jest dobry i że kiedy da nam małą dziewczynkę, będzie ona należeć do Donny.

W sobotę 14 maja, o dziesiątej rano, w małym domku Lucy urodziłam synka. Był najpiękniejszym noworodkiem, jakiego dotąd widziałam. Nazwałam go Kaylen Douglas. Pozostali chłopcy -Andre, Steven i Brent - z radością podawali sobie nawzajem nowo narodzonego braciszka. Jedynie Donna siedziała smutna na brzegu łóżka, z wykrzywioną do płaczu buzią.

Lucy zabrała trójkę chłopców do mojego domu. Zostawiła mnie z Donna, żeby córka mogła spokojnie się wypłakać.

- Donna - zaczęłam przeproszać - mamie jest tak przykro, że to nie dziewczynka. Naprawdę myślałam, że nią będzie.

Donna się nie poruszyła. Jeszcze bardziej wygięła dolną wargę.

- To dziecko jest takie śliczne - powiedziałam. - I tak ci je daję.

Jeśli tylko sprawi ci to radość, może być twoje.

- Nie chcę go! - wybuchła płaczem. - Jestem taka wściekła na Adama i Ewę!

Byłam zdziwiona, że pamiętała, kto to taki. Powstrzymując śmiech, zapytałam, dlaczego.

Płakała jeszcze rozpaczliwiej.

- Jeśliby nie poszli do ogrodu i nie zerwali tych głupich brzoskwiń, to nasza mała Leah by nie umarła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI.

Pewnego razu Verlan wrócił do domu na trzydniowy weekend i przywiózł coś specjalnego dla dzieci.

- Hej, dzieciaki, przygotujcie wędkę! - wołał. - Tata bierze was na ryby!

Z pomocą Verlana cała jedenastka (z wyjątkiem niemowląt) pospiesznie rzuciła się do przygotowania wierzbowych wędek. Do każdej przywiązano sznurek zakończony haczykiem. Nigdy nie zapomnę, jak dzieci były rozradowane i podniecone. Mamy umyły swoim dzieciom buzie i włożyły swetry, by żadne nie przeziębilo się w drodze nad staw, którą miały pokonać na odkrytym bagażniku pół- ciężarówki. Wskoczyły nań z wędkami w rękach, machając na do widzenia. Odjechały.

Był to mały podstęp. Charlotte, Lucy i ja pospieszyliśmy tymczasem do mnie. Wbiłam w futrynę duże gwoździe i zawiesiliśmy na nich koc na takiej wysokości, że na górze została półmetrowa przerwa, a na dole sięgał podłogi. Przyciągnęłam do siebie ciężkie kartony z niespodziankami Verlana, tak bym mogła łatwo do nich sięgać. Charlotte i Lucy zajęły miejsca na zewnątrz, po drugiej stronie koca, i czekałyśmy na powrót dzieci.

Verlan dojechał tylko do końca naszej drogi, a potem oznajmił dzieciom, że ryby najlepiej biorą w domu, i zawrócił. Zatrzymał samochód przed domem i pomógł wszystkim wysiąść. Starszym chłopcom - Chadowi, Verlanowi Juniorowi i Markowi - kazał utworzyć kolejkę, z wędkami w rękach, a potem jedno po drugim poprowadził młodsze dzieci w stronę domu. Wszyscy stali z wędkami przed zasłoniętymi kocem drzwiami i zastanawiali się, co będzie.

Verlan pokazał Andre, jak przerzucić haczyk nad kocem.

Zadowolony powiedział:

- Dobra, pierwszy łowi Andre. Gdzie jego ryba?

Przymocowałam do haczyka zabawkę i delikatnie przerzuciłam na drugą stronę koca, a Charlotte i Lucy uważały, żeby w nikogo nie trafiła. Kiedy Andre zobaczył, co jest na jego wędcę, zaczął wołać:

- Złowiłem samochód! Patrzcie, mam samochód!

Cała grupa dzieci paliła się wprost z niecierpliwości, piszczała, skakała, każdy chciał być następnym. Verlan przygotował kolejnego wędkarza.

- Oto Mark. Gdzie jego ryba?

Pogrzebałam w pudle i wyciągnęłam metalowy samolot. Dzieci krzyczały i śmiały się. Każdy po kolei łowił, a potem cała zabawa zaczęła się od początku. Kiedy Verlan zdał sobie sprawę, że trwa to zbyt długo, wyciągnął po prostu kartony zza koca i pozwolił dzieciom wybierać po kolei, aż z pudeł zniknęły wszystkie lalki, gry i pojazdy.

Verlan przywiózł te używane zabawki ze Stanów. Dzieciaki były wniebowzięte. Po raz pierwszy w życiu trzymały w rękach prawdziwe zabawki. Choć niektóre były uszkodzone (skrzywione kółko, brak oczka i tym podobne), to dzieciom nie przyszło nawet do głowy, że czegoś im brakuje do doskonałości.

Dzieci pamiętały dzień, kiedy tata zabrał je na ryby, jeszcze długo, nawet gdy dorosły.

Samotność, jaką czułam

czasie trzymiesięcznych nieobecności Verlana, była nie do zniesienia. Wiedziałam, że nie miał wyboru - żeby utrzymać nas wszystkich iłożyć jeszcze na rzecz Kościoła (wówczas przyłączyliśmy się już do grupy Joela i jego wyznawców), musiał malować. Myślałam jednak, że mógłby równocześnie zaspokajać potrzeby emocjonalne swoich rodzin - na przykład biorąc za każdym razem, gdy wyjeżdżał do Vegas, którąś z żon. Błagałam, by się nad tym zastanowił, lecz odmówił, twierdząc, że jest w stanie zarobić więcej, gdy wyjeżdża sam.

Charlotte, Lucy i ja wprost nienawidziłyśmy jego wyjazdów.

Kiedy przyjeżdżał do domu na trzy dni, wszystkie w rezultacie czułyśmy się odrzucone, bo musiałyśmy się nim dzielić z pozostałymi dwiema. Ból, jaki odczuwałam, gdy zaglądał tylko, by się przywitać, zanim pójdzie do innej, był jeszcze gorszy do zniesienia niż jego nieobecność w domu.

Mimo to jego powroty były zawsze radosne. Verlan starał się o nikim nie zapomnieć. Uwielbiał przywozić do domu kartony załadowane wszelkim dobrem, zdobytym w sklepach z rzeczami używanymi lub na wyprzedażach garażowych. Dla nas było to jak Boże Narodzenie. Asortyment był najrozmaitszy - od pojemników na pieczywo, ubijaczek do jaj, terek i plastikowych kubków, przez dziwne naczynia, do zabawek dla dzieciaków. Uwielbiał patrzeć, jak się wszyscy cieszymy.

Pewnego razu, zaraz po przyjeździe Verlana, zajrzała do mnie Betty.

- Betty, patrz, Verlan przywiózł mi nowy stanik. To najlepszy pomysł, jaki tylko mógł mu przyjść do głowy, to najlepiej trafiony prezent! - rozpływałam się w zachwytach. To był mój pierwszy nowy stanik od czasu, gdy poślubiłam Verlana. Nie będę musiała już nosić pseudobiustonosza własnej produkcji!

Gdy wyjmowałam tę drogocenną część bielizny z pudełka, wszedł Verlan. Betty bez

zastanowienia zadała mu pytanie, które momentalnie jej się nasunęło:

- Jak to robisz, że każdej żonie kupujesz stanik w dobrym rozmiarze?

Zanim zdążył otworzyć usta, wypaliłam:

- To nic trudnego, moja droga. Verlan ma swój system mierzenia: stanik dla Lucy musi mu wejść na łokieć, dla Charlotte - na kolano, a dla mnie - na głowę!



Verlana nie było dość długo i dla odmiany pierwszą noc po powrocie miał spędzić u mnie. Promieniałam. Wspaniale było znowu mieć go przy swoim stole. Zawsze chwalił mnie za to, co ugotowałam, nigdy nie zapominał mnie docenić.

Po jedzeniu pobawił się trochę z dziećmi. Każde po kolei mogło przejechać się u taty na grzbiecie. Woził je dookoła kuchni. Potem pomógł mi położyć je spać.

Kiedy nadszedł czas, by poszedł życzyć dobrej nocy Charlotte i Lucy, nie chciałam go puścić, póki nie obieca, że wróci jak najszybciej.

- Oczywiście, że wrócę - powiedział. - Wiem, że to twoja kolej. Wrócę jak najszybciej, żeby spędzić z tobą noc.

Szybko wykapałam się w balii, wyszczotkowałam i zaplotłam na nowo me złote włosy. Aby przygotować odpowiednią atmosferę na tę specjalną noc, pospiesznie wylałam ostatnie krople moich perfum „z drugiej ręki” na uszyte z worków po mące prześcieradło. Świeżo wyszorowany nocnik czekał na swoim miejscu pod łóżkiem. Na szafce nocnej stała szklanka świeżej wody ze studni. Lampa naftowa świeciła nikłym płomieniem.

Czekałam i czekałam. Chyba rzeczywiście beczynność prowokuje diabła, ponieważ sprawił, że zdjęłam majtki i długą nocną koszulę i wetknęłam je pod poduszkę. Naga wślizgnęłam się pod koc, naciągając sobie uperfumowane prześcieradła pod brodę. Położyłam się płasko na plecach, tak że wystawała mi tylko głowa. W nikłym, romantycznym świetle lampy, ubrana tylko w mój kuszący uśmiech, czekałam na powrót Verlana. Ale się zdziwi!

Okazało się, że zdziwiliśmy się oboje, kiedy po paru minutach wtargnął do sypialni wraz z Charlotte i Lucy. Uklękli razem przy moim łóżku na modlitwę. Verlan zwiększył płomień lampy i czekał, aż wstanę, by się do nich przyłączyć. Nie ruszałam się.

- Irene, chodź, czekamy. Wstań na modlitwę - rozkazał.

- Nno... więc... nie jestem w nastroju na modlitwę - ja na to.

- Nie marnuj czasu Charlotte i Lucy. Wychodź! Skończ te bzdury. Masz mnie słuchać. Uklęknij do modlitwy. - Wyciągnął rękę, by odsłonić prześcieradło, ale trzymałam je tak mocno, że aż mi zbieleły kostki. Nie mógł tego pojąć. Nasze oczy się spotkały... i zrozumiał! Zdegustowany, pochylił głowę i powiedział: - Módlmy się!

Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jak odprowadzi je obie do domu. Kiedy wyszli, natychmiast wyskoczyłam z łóżka.

- O Boże, pomóż mi, co mam robić? Jeśli Verlan się dowie, co zrobiłam, będzie na

mnie wściekły! - W mgnieniu oka wciągnęłam majtki, koszulę i z powrotem położyłam się pod prześcieradła, przybierając niewinną pozę.

Wszedł bez słowa. Zdarł ze mnie prześcieradło i odrzucił je na środek pokoju.

Niemal zadławił się ze zdumienia.

- Kilka minut temu chyba byłaś w innym stroju! - wykrzyknął oskarży cielsko.

- Tak, masz rację, byłam. Ale co, chciałeś, żebym wyskoczyła z łóżka i pokazała im nagą prawdę?



Najcięższy poród Lucy zaczął się bez żadnego ostrzeżenia.

Prawie od razu bóle stały się niezwykle ostre. Wysłaliśmy kogoś samochodem do Spencerville po jej matkę, ciotkę Sylvię, która miała przyjąć dziecko. Ja w tym czasie narzuciłam na łóżko folię i czyste prześcieradło. Skręcając się z bólu i trzymając za brzuch, Lucy powiedziała mi, gdzie szukać lizolu, bawełny i wysterylizowanych ścierek. Na końcu wyjęłam świeżo wyprany komplecik ubranek dla noworodka.

Wewnątrz cierpiałam wraz z Lucy. Potrzebowała Verlana jak nigdy, ale on był w Las Vegas i zarabiał na nas. Nie mógł przyjeżdżać do domu za każdym razem, gdy rodziło mu się dziecko. Mimo wszystko nie mogłam odepchnąć wciąż nawracających, koszmarnych wspomnień swojego pierwszego porodu i śmierci Leah, kiedy nie było przy nas Verlana. Byłam przekonana, że od żadnej kobiety nie można wymagać, by narażała życie w czasie porodu, lub nawet znosiła tak ciężki ból, bez obecności męża, który byłby świadkiem jej cierpienia.

Cierpliwa Lucy nigdy jednak nie narzekała. Potrafiła bardzo głęboko ukryć własne potrzeby i obawy.

Jej krzyki przywróciły mnie do rzeczywistości. Masowałam jej plecy, a ona stała, uczipiona komody. Chciało mi się krzyczeć wraz z nią. Kto jak kto, ale ona nie zasłużyła sobie na tak straszne cierpienie.

Ciotka Sylvia pojawiła się wraz ze swoją starą czarną torbą i postawiła ją w nogach łóżka, na podłodze. Poprosiła o miednicę ciepłej wody, którą natychmiast przyniosłam z kuchni. Pospiesznie umyła ręce mydłem, a ja polałam je wodą. Potem, trzymając czyste ręce przed sobą odwróciła się do Lucy.

- Kiedy skurcz się skończy, połóż się. Muszę cię zbadać, sprawdzić rozwarcie.

Charlotte zabrała dzieci Lucy do mnie, żeby nie słyszały bolesnych krzyków matki. Kiedy wróciła, pogłaskała rodzącą po plecach. Spytała:

- Czy ból ustał na tyle, że dasz radę się położyć?

Lucy pokiwała głową, a ja i Charlotte delikatnie pomogłyśmy jej usiąść na łóżku.

Lucy podniosła swoje chude, długie nogi, ułożyła je na prześcieradle, a matka podłożyła jej pod ramiona poduszkę.

- Szybko! Jest następny skurcz! - zawołała Lucy.

Stanełyśmy z Charlotte po obu stronach łóżka i podałyśmy Lucy ręce, w które wpi-

jała się palcami w czasie skurczu.

Ciotka Sylvia badała Lucy, a ona wyginała szyję i wydawała z siebie przeraźliwe, agonalne staccato. Widziałyśmy zmartwienie na twarzy ciotki. Pomyślałam sobie, że musi jej być niezwykle ciężko odbierać poród własnej córki. Wraz z Charlotte posyłałyśmy do Boga gorące prośby, by ta wspaniała kobieta, którą nasz mąż wybrał sobie na żonę, przestała wkrótce cierpieć i urodziła normalne, zdrowe dziecko.

Lucy błagała o coś do picia - mocno pociała się w czerwcowym upale.

Wtem nagle odeszły jej wody i wyrzuciły ze sobą odcinek pępowiny.

Charlotte, ciotka i ja spojrzaliśmy na siebie z trwogą. Żadna z nas jeszcze czegoś takiego nie widziała.

- Lucy, przyj w czasie skurczu. Przyj mocno i jak najdłużej.

Musimy wydobyć to dziecko na świat jak najszybciej.

Lucy chwyciła się za brzuch, a dziecko zaczęło się w niej miotać, kopiąc z niesłychaną gwałtownością. Sylvia dotknęła brzucha córki.

- To dziecko chce wyjść. Lucy, przyj!

Instynktownie puściłam dłoń Lucy i pobiegłam po najbliższego sąsiada, który miał samochód. Wbiegłam bez pukania, z okrzykiem:

- Earl, szybko! Szybko wieź Lucy do szpitala! Coś się dzieje!

- Co jest? - spytał, kiedy obydwójce wskoczyliśmy do szoferki, a on wciskał gaz do deski, pędząc po zwirowej drodze.

- Pępowina wyszła pierwsza, a Lucy nie może wypchnąć dziecka.

- O, Boże - powiedział Earl, potrząsając głową. - Musimy wepchnąć pępowinę z powrotem do środka, zanim dostanie się do niej powietrze. Inaczej dziecko zacznie odychać. Założę się, że już jest za późno. Nic nie mów - rozkazał.

Wbiegliśmy do pokoju Lucy, z którego dochodziły potworne jęki. Ciotka Sylvia na polecenie Earla wepchnęła pępowinę do środka.

- Teraz odsuńcie się, a ja przeniosę Lucy do samochodu - zakomenderował.

Pobiegłam pierwsza z grubym kocem i poduszką. Wymościłam z nich poślanie dla Lucy na tylnym siedzeniu. Krzyczała z bólu, kiedy układaliśmy ją w samochodzie. Ciotka Sylvia z czarną torbą pełną wyjałowionych ścierek i ubranek dla dziecka usiadła obok niej. Ja z przodu, koło Earla. Rozpoczął się szaleńczy wyścig do Casas.

Earl tak pędził wąską drogą, że wręcz przeskakiwaliśmy przez wyboje.

Prędkościomierz pokazywał

najpierw osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt, potem sto kilometrów na godzinę. Nervowo spoglądałam na wskaźnik paliwa. Earl pokręcił głową, żebym się nie martwiła. Prędkość wzrastała - sto dwadzieścia, sto trzydzieści, sto czterdzieści pięć na godzinę. Modliłam się równie głośno, jak krzyczała Lucy, kiedy mknęliśmy niebezpieczną drogą do Casas.

Earl podjechał pod tylne wejście do szpitala, a ja poleciałam po nosze. On jednak

porwał ją wprost z samochodu i od razu zaniósł do gabinetu zabiegowego.

Doktor Hatch ocenił sytuację i zaordynował:

- Irene, niech Earl zawiezie panią prosto na basen miejski.

Znajdziecie tam Arturo, anestezjologa. Proszę powiedzieć, że ma przyjechać, jak stoi. Przywieźcie go natychmiast.

Popędziliśmy na basen. Kiedy biegałam jak szalona wzdłuż jego brzegów i próbowałam wśród grających w wodzie w piłkę rozpoznać Arturo, wydawało mi się, że mijają wieki. W końcu dojrzałam go.

Wydoroślał od czasu, kiedy znieczulał mnie do wycięcia wyrostka.

- Arturo! - zawołałam, machając ręką. - Arturo!

Mówił wyśmienicie po angielsku.

- Tak, co mogę dla pani zrobić?

- Doktor Hatch przysłał mnie po pana. Ma pan się nie przebierać. To sprawa życia i śmierci.

Złapał ręcznik i w biegu się wycierał. Porwał swoje ubrania z niewielkiej przebieralni.

- Boże, proszę - modliłam się, kiedy pędziliśmy z powrotem. - Niech to się jak najprędzej skończy, niech się skończy dobrze dla Lucy.

Niech już nie cierpi!

Wraz z Arturo wpadliśmy do sali porodowej, spodziewając się, że usłyszymy krzyki Lucy. Przeciwnie - leżała spokojnie na stole, przykryta zielonym prześcieradłem. Umysłowiłam sobie, że pielęgniarka nieopodal robi coś przy noworodku. Zdumiona spojrzałam na Lucy.

- Urodziłaś?

Doktor Hatch przerwał mi.

- Musiałem wyjąć dziecko zabiegowo. Nie było czasu czekać na Arturo. Dziecko rodziło się placenta previa (łożysko przed dzieckiem).

Lucy wykrawałyby się, gdybyśmy jeszcze czekali. Niezwykle mi przykro, ale dziecko nie żyje. Była to czterokilogramowa dziewczynka.

Udusiła się jeszcze w domu, kiedy tak gwałtownie walczyła w łonie matki.

- Nie można czegoś zrobić? Nie można zrobić jej sztucznego oddychania? Podać tlenu, podłączyć do respiratora? - błagałam zdesperowana.

Doktor pokręcił ze smutkiem głową.

- Niestety, pani Irene, to nic nie da. Nic nie możemy zrobić.

Przepęłnił mnie gniew. Chciałam wrzeszczeć na Boga. Lucy straciła już jedno dziecko - małego Rolanda. Żył tylko pięćdziesiąt trzy godziny. Dlaczego on i moja Leah to nie dość? Dlaczego to znów musiało się zdarzyć? Dlaczego Lucy? Rozpostarła ramiona, a ja wpadłam w nie, szlochając. Płakałyśmy razem. Żadnego smutku świata nie da się porównać do bólu po stracie dziecka, szczególnie gdy nie ma przy tobie męża,

który pocieszy i będzie wspólnie opłakiwał maleństwo. Jak dobrze to wiedziałam. Chciałam jakoś uchronić Lucy przed tym wszystkim, lecz jedyne, co mogłam zrobić, to dzielić z nią smutek. Kiedyś walczyłam z nią jak wróg. Teraz oto byliśmy razem, zjednoczone w bólu i desperacji.

Trzymałam bezwładne ciało. Jeszcze raz włożyłam je w ramiona matki. Płakała i oglądała pulchne ciało córeczki.

- Jest najładniejszym dzieckiem, jakie miałam. Jest po prostu śliczna. Wiem, że będę ją znów mieć w niebie. Odetchnęła we mnie, więc będę ją znowu mieć. (Brigham Young powiedział, że jeśli dziecko wyda tchnienie życia, możemy w niebie uznać je za własne.)

- Moja mała Clara - westchnęła Lucy. - Weź ją do domu i przygotuj do pogrzebu.

Zostawiliśmy Lucy w szpitalu pod opieką doktora Hacha i ciotki Sylvii, a sami z Earlem wynieśliśmy biedne małe ciało do samochodu. Osiemdziesiąt pięć kilometrów do domu pokonaliśmy w milczeniu. Ja zastanawiałam się, jak przekażę wszystkim tę straszną wiadomość. Chodziło szczególnie o dzieci, czekające na narodziny małego brata lub siostry. Rozwinęłam kocyk i wpatrywałam się w Clarę. Miała śliczne, ciemne włoski, piękny zarys ust i drobniutkie, długie rzęsy. Westchnęłam. Miałam nadzieję, że to ostatnie tego typu przeżycie, jakiego w życiu doświadczam.

Ubraliśmy dziecko w pięknie odszykowane, używane ubranko.

Położyłam małe ciało na stoliku od maszyny do szycia Singera, należącej do Charlotte. Wszyscy mogli je oglądać. Uchyliłam okno, by w pokoju panował chłód. Donna, która miała już prawie siedem lat, płakała potwornie. Podchodziła do dziecka, głaskała je i całowała, prosząc:

- Obudź się, mała, obudź się! - Była tak zrozpaczona, że położyłam ją na łóżku Charlotte w tym samym pokoju. Błagałam, by się uspokoiła, ale w końcu musiałam ją zostawić rozhisteryzowaną, bo w kuchni trzeba było nakarmić zapłakaną resztę naszego przychówku.

Musiałam się spieszyć, by zdążyć ustroić trumienkę, którą zbijał już na podwórzu Earl.

Odetchnęłam z ulgą, gdy usłyszałam, że Donna przestała wreszcie płakać. Myślałam, że zasnęła, i poszłam zajrzeć do niej.

Zatkało mnie, gdy zobaczyłam moją córkę z małą Clarą w ramionach, kołyszącą ją łagodnie w fotelu bujanym. Płakała dalej, po cichutku, niezdolna zaakceptować faktu, że dziecko nie żyje. Najtrudniej było mi wytłumaczyć Donnie, że Clara poszła do nieba, a jej cudne małe ciało będzie zakopane w ziemi, jak ciało Leah.



Trzydziestego września 1962 przyszła na świat moja córka Barbara. Była prześliczna - miała ciemne włoski, zielone oczy i uśmiechała się, jakby chciała spletać nam figła. Urodziłam ją w domu z pomocą sąsiadki. Czuliśmy wszyscy, że była specjalnym

podarunkiem niebios -szczególnie dla Donny. Wiele już lat minęło, odkąd urodziłam dziewczynkę. Donna, po czterech braciach, którzy jeden po drugim pojawiali się na świecie, była wniebowzięta, że ma wreszcie swoją własną małą siostrzyczkę. Nie musiałam jej przypominać, że dziecko należy do niej. Donna od razu zagarnęła małą i nosiła ją po domu jak lalkę. Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego nie pozwalałam jej spać z maleństwem.

- Mamo, nie oszukuj! Przecież mi ją dałaś.

Miałam takie wyrzuty sumienia, że pozwoliłam Donnie położyć małą obok siebie do snu. Cały czas czuwałam w pobliżu, a kiedy moja starsza córka zasnęła, zabrałam dziecko do siebie. Kiedy Donna obudziła się i stwierdziła, że siostrzyczki nie ma na jej posłaniu, przysłała od razu do mojego łóżka, w którym spała już trójka innych dzieci.

Choć zawsze kładłam dzieci spać we własnych łóżkach, dokonywały cudów, by obudzić się w moim. Uwielbiały, kiedy w nocy śpiewałam im i opowiadałam bajki, zwłaszcza gdy za oknem szalała wichura. Galopowały do mojego łóżka także w czasie burzy. Było dla nich bezpieczną ostoją. Zawsze było tam więcej dzieci niż kołder.

Czasami dowiadywałam się, że ktoś się tam wślizgnął, dopiero gdy rano znajdowałam mokre plamy na prześcieradle.

Dzieci nie były bynajmniej zadowolone, kiedy Verlan przychodził do nas na noc - wówczas już bardzo rzadko. Czasami i on nie był zadowolony. Pewnego razu, kiedy właśnie położyliśmy się i przykryliśmy lekkim kocem, do łóżka wskoczył kociak naszego syna Andre i przestraszył Verlana, który natychmiast zrzucił go na podłogę.

Biedne kocię miauczało i z powrotem wskakiwało na łóżko, ilekroć Verlan zrzucał je na podłogę. Zwierzę uparło się, by spędzić z nami noc. Po jakimś czasie Verlan był przekonany, że tym razem postawił na swoim. Kociak zniknął. Chociaż nie przepadam za kotami, współczułam mu, bo tak bardzo łaknął miłości.

Po smacznie przespanej nocy obudziłam się wczesnym rankiem i objęłam męża z nadzieją na jakieś czułości, zanim mój czas się skończy. Podniósł się, by przewrócić się twarzą do mnie. Chciałam go objąć i włożyłam rękę pod jego ciało, lecz zamiast bawełnianej piżamy poczułam futro. O zgrozo, bez naszej wiedzy kociak z powrotem wtargnął do łóżka i Verlan przygniótł go przez sen, nic o tym nie wiedząc. Verlan czuł się strasznie - lepiej jednak niż Andre i reszta dzieciaków. Wypłakali wiadra łez i wyprawili kotkowi pogrzeb w tekturowym pudełku. Żeby ich pocieszyć, Verlan wykopał kotu grób i pochował go, a na grobie umieścił drewnianą tabliczkę. Wiedzieliśmy, że sąsiad ma nadmiar małych kotków, więc pozwoliliśmy Andre następnego dnia wybrać sobie nowego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY.

Rozrastanie się stawało się zaraźliwe. Nie tylko bracia LeBaronowie pilnie zajmowali się mnożeniem swych żon i dzieci w trosce o przyszłe Królestwa Niebieskie, ale Joel (nasz prorok) także zdecydował, że nadeszła pora rozszerzyć swe ziemskie władanie.

Według proroctwa zawartego w rozdziale 85. zbioru Nauki i Przymierza - „jeden potężny i silny” uporządkuje dom Boży i ustali działki dziedzictwa świętych, których imiona, a także imiona ich ojców i ich dzieci, zostały zapisane w księdze prawa bożego. Co komu przypadnie, ma być jego wieczną domeną, powierzoną tylko tym wiernym świętym, którzy postępują według prawa. W tym celu zakupiono posiadłość w głębi pięknych gór Sierra Mądre, na zachód od Colonia LeBaron, nieopodal miasteczka Nicolas Bravo (lub tylko Bravo). Miał to być następny krok do spełnienia marzenia Joela o dominacji nad światem.

Nowym przedsięwzięciem kierował Joel. Wybrał sobie do pomocy kilku oddanych braci. Opuścili oni Colonia LeBaron wraz z rodzinami, zaszczytzeni i przejęci faktem, że Bóg uważa ich za godnych tak doniosłej roli. Nie minął rok, a stanęły pierwsze budowle - początkowe domeny: gospodarstwo mleczne, tartak, zakład produkcji sera i warsztat mechaniczny Uczestnicy całego przedsięwzięcia czuli się wręcz uhonorowani, że mogą pracować pod kierunkiem samego proroka.

Raczej zdrowemu rozsądkowi Joela niż objawieniu bożemu należy przypisać pomysły, by Verlan i jeszcze paru uczciwych mężczyzn zarabiali na nowo powstające przedsięwzięcie ciężką pracą w Stanach.

Byłam przejęta, gdy się dowiedziałam, że Joel poprosił Verlana, by również sprowadził swoje rodziny do kolonii w górach. Wszystko wydawało mi się lepsze niż to, co miałam. Zasmuciłam się jednak głęboko, gdy okazało się, że Verlan znowu będzie spędzał dwa-trzy miesiące poza domem, a my wszyscy, dla zminimalizowania kosztów, mamy mieszkać jak dawniej, sami. Wyglądało na to, że dla dobra wiary Verlan jest gotów na wszelkie wyrzeczenia.

Wielokrotnie modliłam się do Boga i próbowałam Mu wytłumaczyć, że się do tego nie nadaję. Chciałam wypełniać Jego wolę, ale potrzebowałam mężczyzny, który nie musiałby być lojalny wobec tak wielu osób. Ciągłe dzielenie się mężem z innymi kobietami łamało mi serce. Sprzeciwiałam się także jego posłuszeństwu względem Joela.

Moje własne prawa i potrzeby, prócz sytuacji kryzysowych, na przykład śmierci Leah czy mojej niemal śmiertelnej choroby, męzowski radar rzadko wyłapywał.

Charlotte udało się namówić jakoś Verlana, by na czas trwania roku szkolnego wziął ją ze sobą do Las Vegas. Ponieważ Lucy straciła właśnie drugie dziecko, nalegałam, żeby i ją zabrał, choćby na krótko.

Tym razem to ona najbardziej z nas wszystkich potrzebowała wsparcia i miłości.

Sama utknęłam w domu - z całą szóstką własnych małych dzieci plus czwórką dzieci Lucy. Najstarsza była moja ośmioletnia Donna.

Stwierdziłam, że z jej niewielką pomocą dam sobie jakoś radę przez dwa tygodnie, żeby Lucy mogła wypocząć.

Upłynął zaledwie tydzień jej nieobecności, kiedy otrzymałam od Verlana list z poleceniem, by spakować dwa domy - Lucy i swój i przeprowadzić się w góry. Chciał, abym się już tam urządziła, zanim wróci Lucy.

Dzień przed wyjazdem przygotowałam sto słoików przetworów z brzoskwiń, by zabrać je ze sobą. Pasteryzowałam po dwadzieścia pięć słoików w cynkowanej balii nad rozpalonym na podwórzu ogniskiem.

Zapakowałam przetwory do drewnianych skrzynek, by wysłać je pociągiem wraz z innymi naszymi sprzętami.

Spakowałam ubrania, pieluchy, butelki niemowlęce i prowiant na naszą ośmiogodzinną podróż w góry. Następnego dnia o szóstej rano zapakowaliśmy dobytek na odkrytą ciężarówkę Harolda Tippetta i wyruszyliśmy do Casas. Tam wszystko zostało przeładowane do wagonu towarowego, a ja i dzieci zajęliśmy miejsca w pasażerskim.

Choć radowaliśmy się, że pierwszy raz w życiu pojedziemy pociągiem, byłam wycieńczona, zanim jeszcze podróż na dobre się rozpoczęła. Od dzwigania pakunków, łóżek, szafek, butli gazowych i wszelkich innych naszych ziemskich dóbr wszystko mnie bolało. Kiedy wreszcie usiadłam, poczułam, jak jestem zmordowana, a mieliśmy przed sobą jeszcze wiele, wiele kilometrów.

Dzieciaki bardzo cieszyły się jazdą, szczególnie gdy pociąg przejeżdżał przez liczne tunele. Czteroletni Brent przytulał się do mnie, a ja tłumaczyłam, by się nie bał, kiedy mieliśmy wjechać do najdłuższego tunelu. Wydawało się, że nigdy z niego nie wyjeździemy.

Kiedy jednak wyjechaliśmy, Brent rozchmurzył się i wykrzyknął:

- Mamo, mamo, wyjechaliśmy z tej kopalni!

Wcześniej dzieci upuściły dwulitrową butelkę mleka, którą wzięłam na drogę, w wyniku czego cały przedział był zapaskudzony, a ja męczyłam się z dwójką głodnych,

zapłakanych niemowląt na rękach przez sześć kolejnych godzin.

Na stację wyjechał po nas dużą ciężarówką jeden z nowo nawróconych wiernych, Dan Jordan. Pomogłam mu przeładować nasze toboły, podczas gdy dzieci stały obok i płakały, domagając się przebrania, przewinięcia i nakarmienia. Czwórkę najmłodszych wsadziłam do szoferki obok siebie i Dana, a reszta musiała siedzieć z tyłu razem z meblami.

Zapewniwszy dzieci, że niedługo dojedziemy do nowego domu, poprosiłam, by postarały się być grzeczne przez następne 50 kilometrów. Dan powiedział, że jego dwie żony przygotowały dla nas gorący posiłek na powitanie. Poinstruował dzieci, by siedziały grzecznie, i życzył im miłej jazdy.

Ruszyliśmy ze stacji i przez mniej więcej 30 kilometrów jechaliśmy potwornie błotnistą, rozjeżdżoną drogą prowadzącą przez widoczne po horyzont pola kukurydzy. W górach panowała pora deszczowa. Droga była jedną wielką kałużą pełną lepkiego błota.

Utknęliśmy w nim trzykrotnie. Za każdym razem trzeba było wyciągać parę słupków z ogrodzenia i podkładać je pod podwójne koła ciężarówki, dzięki czemu natrafiały one na opór i nasz pojazd mógł się wydostać z głębokich kolein.

Podczas gdy walczyliśmy z błotem, zaszło słońce i nadciągnęły czarne chmury. Nie było wątpliwości - zbliżała się kolejna ulewa. Gdy na dobre zapadł zmrok, przez wybite okno szoferki wleciało stado wielkich, głodnych komarów. Niepodobna było uchronić przed nimi dzieci.

Dan zwolnił przed kolejną ogromną błotnistą kałużą, niepewny, czy jest sens ją pokonywać. Woda pokrywała drogę na odcinku kilkunastu metrów. Zdecydował się jednak, wcisnął gaz do dechy i ciężarówka z impetem wjechała w błotniste morze. Brnęliśmy chwilę, kiwając się w tył i w przód. Wkrótce jednak zaczęliśmy się zapadać.

Koła rozbryzgiwały wodę i błoto na wszystkie strony. Pojazd utknął na dobre. Nie mieliśmy szans.

- No, to na razie postoiemy - skostatował Dan. - Irene, ty musisz tu poczekać, a ja pójdę do miasteczka po pomoc. Joel przyjedzie swoim samochodem, ja traktorem i wyciągniemy was. Koła są zakopane po osie. Mam do przejścia jakieś 12 kilometrów, więc cierpliwości. Będę jak najszybciej.

Zrobiło się jeszcze ciemniej. Teraz ucztowały na nas całe armie komarów. Pod stopami miałam dużą metalową skrzynię na narzędzia Dana i parę długich, grubych łańcuchów. Próbowałam poradzić sobie z dwojgiem zapłakanych czternastomiesięcznych dzieci, kołyszając je na kolanach i śpiewając im.

Pierwszy głośny grzmot wywołał u szóstki pozostałych dzieci, siedzących z tyłu, prawdziwą histerię. Wyszłam z wozu prosto w błoto i zaczęłam szukać mego woskowanego obrusa, którym często nakrywałam kuchenny stół. Okazało się, że był w jednym z kartonów.

Kazałam dzieciom kucnąć i trzymać obrus nad sobą. Kiedy zaczęło kropić, wszystkie były zachwycone - chłodne krople przynosiły im chwilowe, miłe orzeźwienie i ochłodę. Po chwili jednak niebo eksplodowało gęstym deszczem, a porywisty wiatr zerwał z dzieci prowizoryczną osłonę i rzucił ją w zabłocone zarośla.

Tym razem zostawiłam cztery wrzeszczące niemowlęta w szoferce i na ułamek sekundy wyszłam, by zabrać przemoczone do suchej nitki, przerażone starsze dzieciaki do szoferki. Co tu dużo gadać - cała nasza jedenastka słoczyła się w ciasnym wnętrzu, dzieci siedziały jedno na drugim, o wszystko się uderzały, płakały i narzekały. Deszcz wlewał się przez wybite okno. Podniósł się krzyk, wzmagало się zamieszanie - przypominaliśmy hałaśliwy tłum kibiców podczas pojedynku zapaśników.

Wiedziałam, że muszę zachować spokój. Jakimś cudem znosiliśmy smród brudnych pieluch i ciągłe poprawianie i przemieszczanie zdrętwiałych części ciała, do czasu, kiedy ogarnęło nas całkowite wycieńczenie. Dzieci krzyczały i jęczały, dopóki nie zmorzył ich sen.

Miałam nadzieję, że ta podróż nie zwiastuje uroków czekającego mnie życia. Wypatrywałam i nasłuchiwałam całe godziny, które zdawały mi się wiecznością. Wreszcie dostrzegłam zbliżające się ku nam wśród morza kukurydzy światła. Usłyszałam odgłos silnika traktora.

Dana nie mała kosztowała wyprawa przez deszcz i błota do miasteczka. Teraz przybył nam wreszcie na ratunek w towarzystwie Joela oraz najętego Meksykanina. Dan siedział za kierownicą ciężarówki, podczas gdy Joel wyciągał ją z błota traktorem.

Joel zaczął przenosić śpiące dzieci z ciężarówki do swojego samochodu.

- Święty Boże! Ile dzieciaków tam schowałaś? - spytał, kiedy wyciągał trzecie lub czwarte.

- Tylko dziesięcioro - odpowiedziałam.

Dan zostawił najętego człowieka na noc w ciężarówce, a sam zamierzał wrócić po nią za dnia, by dowlec wreszcie do domu nasz przemoknięty dobytek. Ośmiogodzinna podróż pociągiem, 30 kilometrów grzęźnięcia w błocie i czterogodzinne oczekiwanie na powrót Joela wystarczająco dały się nam we znaki. Przejechanie ostatnich 12 kilometrów, dzielących nas od celu, zajęło nam półtorej godziny. W tym czasie wielokrotnie traktor wyciągał nas z błota. Na miejsce przybyliśmy około północy.

Lucy dołączyła do nas z Las Vegas dwa tygodnie później.

Urządziłyśmy się we dwie w jednym domu i dla nas obu, od czasu kiedy wyszłyśmy za mąż, był to pierwszy dom z elektrycznością.

Na początku dalej prałam na tarze. Trzy miesiące później Verlan kupił mnie i Lucy na spółkę używaną pralkę z wyzymaczką. Odtąd pranie stało się przyjemnością - miałyśmy i urządzenie, i prąd, by je zasilić. Skończyła się wreszcie walka ze starym silnikiem spalinowym, który napędzał naszą dotychczasową pralkę. Cudownie również było mieć światło elektryczne po jedenastu latach życia przy lampie naftowej. Nie musiałam

się martwić o kupno węgla i czyszczenie zabrudzonych kominów. Wciąż jednak życie nie było łatwe. Wodę ciągnęliśmy ze studni, a załatwić się wychodziliśmy do starego domku z serduszkami za domem.

Verlan tyrał gdzieś w upale Las Vegas - malował, by zarobić na spłatę długu, zaciągniętego na zakup krów mlecznych i budowę wielkiej obory na równinie za miastem. Wraz z Lucy mogliśmy sprzedawać mleko i produkty mleczne, by zarobić na codzienne wydatki. Słabo mi się robiło na widok biedy, jaka panowała wszędzie wokół. W porównaniu do naszych meksykańskich sąsiadów byliśmy wręcz bogaczami. Oni nawet mleko uważali za luksus. Szybko zaczęłam rozdawać więcej, niż powinnam.

W chłodne zimowe wieczory razem z Lucy szyliśmy z używanych ubrań, przywożonych Vegas przez Verlan, patchworkowe kołdry. Pierwszej zimy wyszło ich spod naszych igieł czterdzieści. Rozdałyśmy je wdzięcznym sąsiadom. Wszyscy kochali nas i szanowali. Nawiązałyśmy tam, w górach, przyjaźnie, które przetrwały do dziś.



Kiedy byłam w ciąży po raz ósmy, zaraziłam się różyczką.

Chciałam urodzić dziecko w klinice w pobliskim Gomez Farias, gdyż obawiałam się, że coś może być nie w porządku. Miałam bowiem niezwykle mały brzuch - w dziewiątym miesiącu wyglądał tak jak w piątym. W żadnej ciąży nie mogłam sobie pozwolić na odpowiedni zestaw witamin i bałam się, że może tym razem rzeczywiście zbyt ubogo się odżywiałam, w wyniku czego dziecko nie otrzymało odpowiednich składników. Ponieważ nie miałam samochodu, by dojechać do szpitala w razie rozpoczęcia się porodu, tydzień przed terminem przeniosłam się do Magdaleny - pierwszej żony Joela, która mieszkała niedaleko kliniki.

Poród zaczął się 20 grudnia 1964 o piątej rano. Magdalena zbudziła dwóch swoich starszych synów - ośmiolatka i sześciolatka, by pobiegli po doktora Bringesa. Przyjechał niebawem i zabrał mnie i Magdaleny do kliniki.

Do tej pory przy każdym porodzie za wszelką cenę starałam się być silna, dzielna i przetrwać. Tym razem jednak były to cztery najgorsze godziny mojego życia. Dziecko było w ułożeniu twarzą-kowym i do tego nie mogło przejść przez kanał rodny Doktor musiał użyć kleszczy.

Przy każdym skurczu Magdalena krzyczała wraz ze mną.

Doktor próbował ją wyprosić z sali, ale błagałam, by pozwolił jej zostać. Pragnęłam, żeby ktoś przy mnie był. Nasz wspólny krzyk bardzo mi pomógł - w końcu o dziewiątej powiłam maleńką, trzykilogramową dziewczuszkę. Dziękowałam Bogu, że różyczka w żaden sposób jej nie zaszkodziła.

Verlan obiecał, że wróci tydzień wcześniej, żeby być ze mną, przyjechał jednak w dzień po jej narodzinach. Za każdym razem, kiedy rodziłam dziewczynkę, nalegał, byśmy dali jej na imię Olive po mojej matce. Tak było i teraz. Bardzo kochałam matkę, lecz nie podobało mi się to imię. Żartowałam, by Verlan nazwał ją Olive LeBaron Ju-

nior, wówczas jej iniały brzmiałyby „Olej”. Mógłby na nią wołać „Oliwa Olej”. Verlan dał jej na imię Margaret.



Lucy była w siódmej ciąży i nieustannie bała się poronienia.

Zatrudniłam więc szesnastoletnią Meksykankę Clarę do pomocy w domu. Wiedziałam bowiem, że Lucy nie da rady udźwignąć swoich obowiązków bez pomocy. Clara zasługiwała na dużo więcej niż sześćdziesiąt peset tygodniowo, których sobie życzyła. Dawałam jej dodatkowo mleko, używane ubrania i pszenicę.

Clara przychodziła do pracy, gdy dzieci szły do szkoły.

Pewnego dnia, zbierając do mycia naczynia po śniadaniu, spytała mnie:

- Myśli pani, że mogłaby pani pokochać meksykańskie dziecko?

Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie sprawdza, na ile jestem przesądna.

- O, tak, z pewnością! - odpowiedziałam. - Kocham meksykańskie dzieci - są śliczne, mają czarne włoski i piękne piwne oczy. Ale mąż mnie zabije, jeśli takie urodzę! - Zaśmiałam się.

Clara odpowiedziała szerokim uśmiechem.

- Tak się cieszę, że to słyszę. Wczoraj przyszła do nas ciężarna kobieta. Namawiała matkę, żebyśmy wzięli jej dziecko, jak się urodzi.

Matka odmówiła, bo jest nas ośmioro w dwóch pokojach. Ojciec zarabia dolara na dzień i to nie wystarcza na nic. A potem - przerwała na chwilę - pomyślałam sobie o pani. W porównaniu z nami jesteście bogaci! Jest pani taką dobrą matką. Może powinna się pani nad tym zastanowić?

Nie było szansy. Już miałam siódmkę dzieci. Do tego mieszkaliśmy razem z Lucy, czyli była nas trzynastka w trzypokojowym domu bez łazienki i bieżącej wody. Zawsze miałam miękkie serce, wyczulone na los tych, którym wiodło się jeszcze gorzej.

Kiedyś nawet przygarnęłam szczeniaka. Ale dziecko? Obce dziecko, jeśli i tak będę miała jeszcze parę swoich? Nie ma mowy.

Clara opowiedziała mi historię tej nieszczęsnej kobiety, kiedy sprzątała dom, a ja gotowałam obiad dla dzieci, które miały za chwilę wrócić. Kobieta była w szóstym miesiącu, miała już pięcioro dzieci, prawie głodujących. Pewnej nocy pijany mąż pobił ją tak, że niemal nie dało się jej rozpoznać. Kiedy Clara opowiadała o jej tragicznym losie, współczułam jej coraz bardziej. W końcu zdecydowałam się pojechać do niej do domu, do Gomez Farias, czterdzieści pięć minut drogi od nas.

Kiedy poznałam Juanę i zobaczyłam, w jak surowych warunkach mieszka, wiedziałam już, że to ja jestem odpowiedzią na jej modlitwy. Przyznała, że ojcem dziecka jest Amerykanin z Casas.

Rozwścieczony mąż powiedział jej, że jeśli nie pozbędzie się maleństwa, przestanie utrzymywać ją i resztę dzieci. Zostawiłam jej pieniądze, by wysłała mi telegram do Bravo, kiedy dziecko się urodzi.

Dwanaście tygodni później, 19 czerwca 1965 adoptowałam śliczną ciemnowłosą dziewczynkę. Dałam jej na imię Sandra. Następnego dnia Margaret skończyła pół roku. Dziewczynki były jak bliźniaczki.

Verlan był równie zachwycony, jak reszta naszej rodziny. Sandra bowiem w Królestwie Niebieskim miała być traktowana jak jego własna córka.



Tamtej wiosny Verlan zaskoczył mnie, przysyłając mi pieniądze na budowę własnego domu. Po jedenastu latach miałam oto stać się posiadaczką domu według własnego projektu, z łazienką i prądem.

Wybrałam projekt z czasopisma, które przywiózł Verlan, i natychmiast zatrudniłam do pracy miejscowych robotników. Gliniane ściany prędko szły w górę i wkrótce dom był zadaszony.

Charlotte miała przyjechać z Vegas od razu po zakończeniu roku szkolnego. Nie miałam ochoty na życie we trójkę w przeładowanym wspólnym domu, więc kiedy trwały jeszcze prace przy moim, wynajęłam dla siebie i dzieci dwupokojowy dom z gliny. Miał tylko jedno okno, w sypialni, co oznaczało, że drzwi kuchenne musiały być stale otwarte, by do środka mogło wpadać światło. Zanim się wprowadziłam, zamówiłam u stolarza trzy okna i kazałam je zamontować. W kuchni była podłoga z betonu, ale w sypialni nie i trzeba było stale skrapiać klepisko wodą, by nie unosił się kurz. Nie przestawałam dziękować Bogu, że moja matka nie widzi, w jakich warunkach żyję.

W tymczasowym domu nie było wody ani prądu. Musiałam wrócić do lamp naftowych i nosić wodę od sąsiada. Musiałam też pracować na tarze - pralka z wyżymaczką została u Lucy. Byłam jednak u siebie.

Pierwszą noc w tym wynajętym domu zapamiętałam szczególnie. Cała siódemka dzieci spała już twardo, kiedy kończyłam się rozpakowywać.

Odpilowałam kij od zużytej miotły i zwyczajem Verlana za pomocą drutu i gwoździ umocowałam go u sufitu jako szafę.

Rozwieszałam właśnie koszule Verlana i nagle poczułam zapach niebieskiej, której zapomniałam uprać. Z oczu popłynęły łzy, serce wypełniła gwałtowna tęsknota. Z płaczem położyłam się spać, tuląc do piersi przesycony zapachem męża materiał, jakbym tuliła jego.

Po miesiącach rozłąki znów będę musiała dzielić go z innymi, kiedy wróci. Lucy była równie zdeterminowana, jak ja, by zdobyć na powrót jego względy. I choć Charlotte nie musiała na razie o niego rywalizować, wkrótce i ona przyjedzie, by zabiegać o niego w czasie jego krótkich wizyt w domu. Sama nie wiedziałam, co było gorsze - czy nie mieć go w ogóle, czy dzielić się nim z innymi kobietami. Kiedy wyjeżdżał sam, nie musiałyśmy przynajmniej - Charlotte, Lucy i ja - okazywać sobie nawzajem niechęci.



Mieszkałam w wynajętym domu najwyżej tydzień, kiedy przybiegły dwie najstarsze

dziewczynki Charlotte - Rhea i Laura - wraz z córką Lucy, Verlą, by zobaczyć, gdzie mieszkam. Powiedziały, że ojciec i Charlotte wrócili ze Stanów. Verlan chciał, bym przyszła do Lucy się przywitać. Dziewczynki szybko pobiegły z powrotem, by pomóc mu rozładować samochód. Przywiózł im używane rowery.

Chciałam zobaczyć się z Verlanem w cztery oczy, czekałam więc niecierpliwie, aż sam do mnie przyjdzie. Tak jak myślałam, wpadł rozgorączkowany.

- Zobacz, Irene, co ci przysłała Betty!

Wiedział doskonale, że to prezent, na który czekałam lata. Był wielce rozradowany. Otworzyłam pudełko i rozplakałam się. W środku było najpiękniejsze radio, jakie w życiu widziałam, całe złote. I w dodatku należało do mnie.

Verlan wręczył mi cztery zapasowe baterie.

- Działa i na baterie, i na prąd. Betty cię całuje i wierzy, że prezent ci się spodoba.

Po raz pierwszy od jedenastu lat miałam muzykę, którą można było włączyć za pomocą małego przycisku. Słuchałam radia bez przerwy w dzień i wiele, wiele razy długo w nocy. Odbierało doskonale kanał muzyczny XTRA z Kalifornii - głośno i wyraźnie, po angielsku.

Ze wszystkich podarków, jakie w życiu otrzymałam, ten był szczególnym błogosławieństwem. Dawał mi kontakt z prawdziwym światem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY.

Irene, uwielbiam do ciebie wracać. Tęskniłem. Twoje poczucie humoru sprawia, że zawsze czuję się potrzebny - mówił do mnie Verlan. - Nowy dom świetnie się prezentuje. Przywiozłem pieniądze na podłogi i okna. Szybko się tam urządzisz, a ściany za-gipsujemy i pomalujemy później. Wybrałaś naprawdę dobry projekt. Chyba to będzie najlepszy dom w mieście.

- Verlan, dziękuję bardzo, ale żaden dom nie będzie prawdziwym domem bez ciebie. Mogłabym mieszkać w namiocie, gdyby tam był ze mną ktoś, kto mnie kocha. - Pociągnęłam nosem.

Pieszczotliwie odgarnął mi włosy z twarzy.

- Proszę, nie płacz! Jestem teraz w domu, ciesz się!

- To był najbardziej samotny rok w moim życiu. Nie chcę cały czas być sama, porzucona. Verlan, Kocham cię, ale życie jest nic niewarte, jeśli ciebie nie ma w domu - nie ma męża dla mnie i ojca dla dzieci. Potrzebuję cię. Nie chcę, żebyś mnie zostawiał na całe miesiące.

Trzymał mnie w objęciach, próbując uspokoić pocałunkami. Myślałam, że całuje mnie, bo się za mną stęsknił tak bardzo, jak ja za nim. Ale on po prostu przygotowywał mnie na kolejny cios.

- Irene, Bóg działa w niesamowity sposób. Jego cuda dokonują się cały czas. Właśnie teraz szykuje dla nas wielkie błogosławieństwo.

Ciebie też to może dotyczyć. Liczę na twoje wsparcie.

Myślami starałam się wyprzedzić każde jego zdanie. Czy ma zamiar wyjechać na jakąś długą kościelną misję? Czy będzie nas zostawiał na jeszcze dłużej? Czy chce najpierw wykończyć mój nowy dom, a potem go sprzedać?

- Nie słuchasz, prawda? - spytał.

- Owszem, słucham. Ale mam niedobre przeczucie i nie chcę słuchać dalej.

Siedział w ciszy i widziałam już, że nie ma serca kontynuować.

Wiedziałam, że to nonsens, że to nie możliwe, ale pomyślałam, że zacznę od najbar-

dziej nieprawdopodobnych domysłów.

- Chyba nie zamierzasz się znowu ożenić?

- Widzisz? - Rozradowany złapał mnie w ramiona. - Wiedziałem, że Bóg sprawi, że się domyślisz. O, tak, On zdradza swoje tajemnice najwierniejszym! Irene, jeszcze nie powiedziałem ani Charlotte, ani Lucy, bo chciałem mieć twoje wsparcie. Błagam. - Rzucił mnie z powrotem na łóżko, przygwoździł do niego ciałem i poruszał się tak, jakby chciał się ze mną kochać. - Irene! Zawsze będę cię kochał!

Pląkałam zbyt mocno, by w ogóle myśleć. Nie chciałam nawet wiedzieć, kim jest wybranka, ale doszłam do wniosku, że lepiej zapytam.

- Kim ona jest?

- To Beverly Paisano. Jej ojciec już się zgodził.

Ojciec Beverly był jednym z pierwszych Meksykanów, którzy przyjęli wiarę Joela. Co za tym idzie, dziewczyna wychowywała się w Colonia LeBaron.

- Irene, ona ma siedemnaście lat i może nam urodzić cudne dzieci. Ale nie martw się - dodał szybko, tak jakby to miało załatwić wszystko. - Beverly zgodziła się zostać tam, na ranczu LeBaronów. Nie będziesz musiała z nią mieszkać. Dość już wyrzeczeń z twojej strony.

Nie proszę cię nawet, żebyś wzięła udział w ślubie.

- Do diabła z tobą, Verlan. Za każdym razem, kiedy prawie mam już dom i myślę, że mogę mieć ciebie, czar pryska. Leżę na klepisku i zdycham.

- Bóg mówi, że nigdy nie stawia przed nami zadań, nie dając nam równocześnie siły do ich wykonania - przypomniał mi Verlan.

Wrzasnęłam:

- Tylko tyle krwi możesz ze mnie wycisnąć, Verlan! Nie zostało ani kropli. Ani jednej cholernej kropli. Rozumiesz czy nie?!

Kiedy emocje trochę przygasły, Verlan postanowił, że nowej żonie odda go Lucy. Oczywiście zgodziłam się przypilnować jej dzieci, kiedy pojechała do Colonia LeBaron. Tam też, w maju 1965 pokornie umieściła dłoń Beverly w jego dłoni.



Byłam zaskoczona, kiedy wczesnym rankiem zobaczyłam na podwórzu Verlana, który właśnie powrócił ze swej podróży poślubnej.

Bez pośpiechu wszedł do domu i ucałował dzieci. Wyglądał na trochę zmieszanego. Nie pozwoliłam mu się pocałować.

- Jak tam się miewa moje kochanie? - Poszedł za mną do sypialni.

- Nie tak dobrze, jak ty - ucięłam.

- O, daj spokój, nie pozwól komuś tak nieważnemu jak Beverly psuć ci humoru!

- Nie nią się przejmuję, ale tobą - odparłam z goryczą.

- O, proszę, nie psuj znów wszystkiego, Irene. Wygląda na to, że za każdym razem, kiedy jestem w domu, ty masz powody do zmartwienia.

Nic na to nie odrzekłam, ciągnął więc swą opowieść, zwracając się do mnie bardziej jak do jednego ze swych braci na ranczu niż jak do żony.

- Beverly naprawdę wyglądała uroczo w białej sukni. A czarne włosy uplotła sobie w cudowny francuski warkocz.

Zaczęłam okładać go pięściami po piersiach, histerycznie i bez kontroli. Rzucił mnie na łóżko i próbował przytrzymać.

- Nie mów mi już ani słowa o tym swoim przeklętym ślubie!

Położył na mnie głowę.

- Irene, próbuję tylko z tobą rozmawiać. Poza tym nikt ci nie dorówna urodą. Ona nigdy nie zajmie twego miejsca. I kiedy tylko zdobędę kworum siedmiu żon, nasza miłość będzie bezpieczna, na wieki. - Był coraz bardziej zmieszany. - Powinnaś już przywyknąć do małżeństw poligamicznych. Żyjesz w takim od jedenastu lat! Czas upływa, a my musimy spełnić obowiązek budowania Królestwa Bożego. Wierz mi, jest mi o wiele ciężej niż tobie!

Udało mi się zepchnąć go z siebie.

- O, na pewno, jak diabli!

Czułam się tak fatalnie, że miałam ochotę zniknąć z powierzchni ziemi.

- Irene, muszę ufać Bogu, że dotknie twego serca i sprawi, że staniesz się bardziej wyrozumiała, jeśli chodzi o nasze obowiązki i przywileje. Myślę, że patrzysz na to wszystko negatywnie, a w rzeczywistości jest wręcz przeciwnie. Mówisz, że to przekleństwo, a to błogosławieństwo. A poza tym czeka nas błogosławieństwo podwójne.

- Przerwał na moment. - Za siedem tygodni żenię się jeszcze z Esther Castro.

To rozwścieczyło mnie do reszty. Obrzucałam go wszystkimi przekleństwami, jakie tylko przychodziły mi do głowy. Okładałam go pięściami i zdumiałam nas oboje, wymierzając mu policzek. Leżałam na łóżku, kopałam gliniane ściany, a potem łkałam i krzyczałam, dopóki wystarczyło mi sił. Wówczas Verlan uznał, że pora iść. Musiał przecież jeszcze podzielić się swymi cudnymi nowinami z Charlotte i Lucy.

Nastawiłam radio na spokojną muzykę. Szła właśnie piosenka „Bo wszystko, co wiemy”. „Kochanie, patrz na nas dwoje, w wielu sprawach jesteśmy sobie obcy...”. Zapłakałam. Tak, po tym, jak się zachowałam - jakbym nienawidziła Reguły i przenosiła całą odpowiedzialność za mój z nią związek na Verlana - wątpiłam, że będziemy nawet przyjaciółmi.

Ślub Esther w lipcu 1965 odbył się również w Colonia LeBaron.

Dłonie młodej pary połączyła Beverly. Parę dni później Verlan wrócił w góry. Chociaż była druga w nocy, i do tego noc Lucy, najpierw przyszedł do mnie, by zrelacjonować wszystkie - rzekomo nadzwyczajne - wydarzenia.

Opowiadał, jak wspaniały był ślub Esther. Potem rozgadał się na temat prorocтва Józefa Smitha, według którego Indianie amerykańscy mieli być ocaleni przez zawieranie małżeństw poligamicznych z „czystymi”, to jest białymi mormonami. Verlan czuł się

włączony w dzieło.

- Wiesz, że ojcowie i rodziny Beverly i Esther byli wśród pierwszych nawróconych Meksykanów? Zgromadzili się wszyscy w Colonia LeBaron, by pomóc nam tworzyć Królestwo Boże. Najmniej, co możemy zrobić, to połączyć ich ze sobą przez małżeństwo. W ten sposób ich rasa stanie się biała, zgodnie z tym, co mówią pisma i proroctwa.

Miałam dosyć.

- Nie budź mnie już nigdy, żeby opowiadać mi takie rzeczy, nakrzyczałam na niego i odwróciłam się plecami. Tym razem nie protestowałam, nie głosiłam tyrad, po prostu siedziałam cicho. Chyba było mi już wszystko jedno.

Przekonany, że mnie ugłaskał, Verlan podniósł się, by odejść.

- Cieszę się, że tak dobrze przyjmujesz mój ślub z Esther.

Widzę, że w końcu zaakceptowałaś Regułę. Dziękuję ci za cierpliwość.

Do zobaczenia! - I odszedłby spędzić resztę nocy z Lucy.



Poganiałam robotników, by móc jak najszybciej wyprowadzić się z małego, wynajętego domu z klepiskiem zamiast podłogi. Z powodów finansowych nie mogliśmy sobie pozwolić na wannę ani toaletę. Nie czekałam też na zagipsowanie i pomalowanie ścian.

Wprowadziłam się, gdy tylko wyschły podłogi. Przynajmniej znów miałam prąd.

Lucy wynajmowała dwupokojowy dom zaledwie dwie przecznice dalej. Nie miała tam prądu. Musiała przynosić do mnie swoje pranie, co było uciążliwe, zwłaszcza, że znowu była w ciąży. Nie mogłam pogodzić się z tym, że żyje w tak skromnych warunkach, kiedy ja mam tak dobrze, więc zaprosiłam ją do siebie. Na zmianę gotowałyśmy i sprzątałyśmy. Nie miałam może w domu męża, ale na pewno miałam wierną, oddaną siostrzaną żonę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY.

Nasza radość z cudownego, nowego domu w Colonia Nicolas Bravo jak zwykle nie trwała długo. Znowu mieliśmy się przeprowadzać. Cała „górska utopia” Joela okazała się jednym wielkim fiaskiem. Po paru latach wszystkie jego plany runęły. Nasze krowy były karmione tak ubogo, że niektóre, niepodtrzymywane na specjalnej uprzęży, nie miały siły stać i przeżuwać suchej trawy i starej fasoli - paszy, na której musiały przeżyć.

W nowym domu mieszkałam zaledwie pięć miesięcy, po czym Verlan sprzedał go. Gliniany, trzypokojowy dom Charlotte również. Ja sama sprzedawałam parę wartościowych przedmiotów, by wziąć ze sobą chociaż trochę gotówki. Drogocenną pralkę i meble zostawiłam u znajomej z Kościoła z nadzieją, że przyśle mi pieniądze, kiedy wróci do Stanów. Jak się później okazało, mąż zabronił jej zwrócić mi pieniądze, gdyż Verlan nie oddał mu jakiegoś starego, zapomnianego długu.

Straciłam więc w zasadzie wszystko. Znowu musiałam zaczynać od zera.

Choć mężczyznom się nie powiodło, nam pozostało z gór wiele dobrych wspomnień.

Zawarłam tam cudowne przyjaźnie z miejscowymi, którzy szczerze żalowali naszego wyjazdu. Pomagaliśmy im bowiem na rozmaite sposoby, często dzieląc się jedzeniem i odzieżą, służąc dobrą radą. Mój hiszpański znacznie się poprawił.

Moja i tak dziwna, a do tego przygnębiająca sytuacja rodzinna stała się jeszcze bardziej absurdalna. Miałam ośmioro żyjących dzieci i musiałam dzielić męża z czterema innymi żonami. Jakby tego było nie dość, posłuszeństwo Verlana wobec Kościoła Pierworodnych w Pełni Czasów wyznaczało teraz każdy nasz ruch i każdą decyzję.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak dobrze wiodło mi się do tej pory.



Joel poczuł natchnienie, by założyć nową kolonię. Verlan wydał więc rozkaz przeprowadzki do Baja California w Meksyku. Nabyto ziemię - część leżała bezpośrednio na morskiej plaży - ale wszyscy zainteresowani mieli nadzieję, że będzie to doskonałe

schronienie dla członków naszego Kościoła. Pięciu braci LeBaronów, którzy brali udział w przedsięwzięciu, twierdziło, że Baja California to idealny zakątek, w którym każda rodzina znajdzie swoje własne, samodzielne i samowystarczalne miejsce.

Joel utrzymywał, że klimat jest dokładnie taki, jakiego potrzebujemy.

- Rośliny właściwie rosną same - tyle wilgoci przynosi wiatr od oceanu. To raj dla kóz i pszczoł, kraj mlekiem i miodem płynący.

Każdy mężczyzna może zasiać pod własnym krzakiem winnym i figowym, jak przepowiadał starotestamentowy prorok Izajasz.

Wielkie plany Joela dotyczące rozkwitu kolonii w Baja, jak większość jego marzeń, nie zostały nigdy w pełni zrealizowane. Na początku, jak zwykle, próbowaliśmy wszyscy z całej siły w nie uwierzyć i radować się nowymi perspektywami.

Joel, by dać nam dobry przykład, natychmiast wykopał na naszej posiadłości kilka studni. Zainstalował niewielkie pompy zasilane ogromnymi wiatrakami ze sklejki. Po hiszpańsku nazywały się one molinos, więc kolonia szybko zyskała nową nazwę - Los Molinos.

W Las Vegas Verlan nabył używane przyczepy kempingowe i razem z Joelem przywieźli je do Baja, po czym ustawili w wyznaczonych miejscach. Wiele innych rodzin zaopatrzyło się w używane namioty wojskowe, by w nich dotrwać do czasu zbudowania prawdziwych domów.

Baja leży zaledwie pięć godzin jazdy od San Diego - to trochę zrekompensowało mi fakt, że musiałam pożegnać się z domem w górach. Byliśmy ponadto w „wolnej strefie”, do której można było bez trudności i dodatkowych opłat celnych wwozić produkty amerykańskie.

Równocześnie odległość była na tyle niewielka, że mężczyźni mogli przez cały tydzień pracować w Stanach, a na weekend przyjeżdżać do domu. Zachęcona tymi udogodnieniami ośmieliłam się mieć nadzieję na lepsze życie i poprawę naszych warunków ekonomicznych.

Kiedy ja i Lucy przeprowadzałyśmy się z gór, Charlotte znowu mieszkała z Verlanem w Las Vegas. Podróż do Baja była chyba jeszcze gorsza niż poprzednia przeprowadzka z Colonia LeBaron w góry.

Verlan oczywiście był zbyt zajęty, żeby samemu nas zawieźć. Poprosił znajomego, Joe Martsona, by nas zabrał, kiedy będzie jechał z żoną i kilkunastoletnim synem swoim siedmioosobowym autem.

Jechało nim jednak siedemnaście osób, a podróż trwała ponad dwadzieścia godzin. Dla mojej gromadki wolno mi było zabrać koszyk naczyń, parę kołder, dwie zmiany ubrania na osobę i bezcenne radio.

Niedobrze mi się robiło, gdy myślałam, że muszę zostawić łóżeczko dzieciinne, komodę i piecyk gazowy, otrzymany od Verlana, gdy chorowałam na tyfus.

Cudem przeżyliśmy tę podróż. Joe zdawał sobie sprawę z tego, jak się wszyscy mę-

czymy w ciasnym wnętrzu, jechał więc tak szybko, jak tylko mógł - a droga nie była ani gładka, ani prosta. Co chwila z góry na dół, zakręty, wyboje. Wszyscy zaczęliśmy cierpieć na chorobę lokomocyjną właściwie od razu po wyruszeniu w drogę. Co parę kilometrów trzeba było się zatrzymywać, by wysiąść i odetchnąć świeżym powietrzem, no i nabrać odwagi do dalszej jazdy. Nigdy nie zapomnę mojej dziesięcioletniej Donny, słabej od nieustannych wymiotów, która położyła się na drodze przy samochodzie i płakała, by pozwolić jej nie jechać dalej.

Dwadzieścia godzin wydłużyło się do dwudziestu sześciu.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, stwierdziłam, że nie boję się już samego piekła. Okazało się, że nasza „ziemia obiecana” to kawałek pustyni z niezagospodarowanymi wydłami i połaciami soli, położony nad samym oceanem, w dodatku nawiedzony przez plagę much. Jednak po potwornie ciężkiej podróży rozsypująca się przyczepa, która miała odtąd stać się moim nowym domem, wydawała się małym rajem na ziemi.

Druga żona Joela, Jeannine, przysłała nam, nowo przybyłym, chleb i miód, byśmy się pożywili po podróży. Zmieniłam mokre pieluchy, nakryłam podwójne łóżko kocami, opatuliłam wszystkie dzieciaki w swetry i położyłam pięcioro z nich spać na owym łóżku.

Trzech chłopców położyłam na gołych sprężynach tapczanu, bez materaca, w holu. Niemal w tej samej chwili wezwano mnie do porodu.

Po dwóch godzinach przyjął na świat dziecko Jeannine - dziewczynkę - i wróciłam do swej przyczepy. I wtedy, owinąwszy się szczelnie kocem, skuliłam się na starej, zapadniętej kanapie i rozpłakałam z wycieńczenia, stresu i potwornego rozczarowania.

W przyczepie nie było żadnego ogrzewania, więc co noc budziłam się po kilka razy i przykrywałam marznące dzieci. Aż do lata musieliśmy bez przerwy, dzień i noc, nosić swetry. Ciężko było przystosować się do nowych warunków: ciasnoty, wilgoci, słonego powietrza i wiecznej mgły znad oceanu, który znajdował się trzy kilometry od nas.

Najgorsze chyba jednak były deszcze. Do przyczepy ciągle wnoszono błoto. Mój siostrzeniec Joseph wraz z żoną Margaritą mieszkali niedaleko nas w namiocie, obok Meksykanów Eulogia i Loli.

Raz, podczas gwałtownej burzy wiatr wyrwał śledzie i namioty się zawaliły, a płótno i linki powiewały na wichurze. Cała czwórka pojawiła się natychmiast w naszej - i tak przepełnionej - przyczepie.

Razem było nas teraz trzynaścioro. Lola i Margarita spały na kanapie, a dwaj mężczyźni na podłodze przy stole kuchennym.

Dwie noce później Lola zaczęła rodzić. Kazałam Josephowi i Margaricie przenieść się do korytarza koło moich przerażonych dzieci.

Lola krzyczała głośno w tę deszczową noc. O piątej nad ranem na mojej zapadniętej kanapie przyjął na świat jej córeczkę.

Jeszcze przez sześć tygodni przybysze mieszkali u mnie. Spałam na podwójnym łóż-

ku z piątką dzieci. Nogi tak mi drętwiały, że czasem nie mogłam nimi poruszać. Postawiłam obok łóżka małe krzesło i od czasu do czasu prostowałam nogi i kładłam na nim, a kiedy bardzo mi marży, chowałam je z powrotem pod kołdrę.

Nie mieliśmy krzeselka do karmienia dzieci. Musiałam sadzać pięciomiesięczną Sandrę i jedenastomiesięczną Margaret na małym kuchennym stole nakrytym ceratą. Starsze dzieci stały z tyłu i podpierały im plecki, żeby małe nie spadły. Było tak dużo błota - bez przerwy ktoś wchodził i wychodził - że niemożliwością stało się utrzymanie linoleum chociażby we względnej czystości.

Pierwszym radosnym przeżyciem w Baja był dzień, kiedy Verlan przywiózł do domu nową pralkę na benzynę. Dostało ją na spółkę wszystkie pięć żon. Zwąchał to Joel i wkrótce musiałyśmy dzielić się pralką jeszcze z jego żonami. Pralka chodziła od rana do nocy, bez przerwy i wszyscy wciąż się sprzecali, kto pierze następny.

Pewnego razu, kiedy przyszła moja kolej prania, przyniosłam wodę ze studni i napełniłam pralkę oraz dwie balie - do płukania. Kiedy sortowałam w przyczepie pranie, inna kobieta wrzuciła do pralki swoje rzeczy, nie zapytawszy nawet o zgodę. Wyżymaczka zamocowana na pralce wkrótce się popsuka od ciągłego używania. Nadgarstki bolały mnie okrutnie, kiedy rękoma wyzimałam pranie całej mojej rodziny.

Niedługo potem siadł i silnik.

Pranie w ręku pieluch dwojga małych dzieci i ubrań całej reszty było potworne. Po jakimś czasie kobiety, które przyczyniły się do zepsucia mojej pralki, dostały swoją, ale nie pozwoliły mi z niej korzystać. I tyle było z „Zakonu Jedności”.

Przez pięć miesięcy nie spałam z Verlanem ani nie pisałam do niego. Byłam na niego wściekła, że kazał mi się przeprowadzić i sprzedać mój cudowny (co z tego, że niewykończony) dom w górach.

Do jeszcze większej pasji doprowadził mnie, twierdząc, że więcej czasu z nim należy się nowym żonom, Beverly i Esther. Dowodził, że obie są pannami młodymi i mają dopiero po siedemnaście lat. Ku mojemu rozgoryczeniu przeprowadził je też do Baja, gdzie mieszkały niedaleko mnie. Na domiar złego ustalił mój tygodniowy budżet na dwadzieścia dolarów. Twierdził, że powinnam być wdzięczna, że dostaję aż tyle, bo on musi jeszcze łożyć na Kościół.

Jakoś dawaliśmy sobie radę. Dwóch najstarszych synów całymi dniami łowiło ryby, które następnie zjadaliśmy na obiad. Kiedy nadchodził czas tarła księżycówek, wychodziliśmy wszyscy na plażę i całymi wiadrami zbieraliśmy ryby, które dały się wynieść falom na brzeg, by złożyć ikrę. Nasza dieta wzbogaciła się przynajmniej o smaczne białko zwierzęce.

Staraliśmy się na wszelkie sposoby wiązać jakoś koniec z końcem. Wszystkie pięć miałyśmy na spółkę do użytku starą półciężarówkę, którą jeździłyśmy załatwiać sprawunki. Często udawałam się do leżących w pobliżu gospodarstw, które eksportowały plony do Stanów, po odpadki - brzydkie czy uszkodzone oliwki, pomidory, ziemniaki i

jakiegokolwiek inne warzywa drugiego sortu.

Zdarzało się często, że rozdawałam to, co przywiozłam, innym mieszkańcom naszej osady.

Emocjonalnie zaś rozpadałam się na kawałki. Wiedziałam, że dłużej tak nie wytrzymam. Powiedziałam Verlanowi, że chcę lepszego życia. Prosiłam, by wziął mnie do Las Vegas, jak Charlotte. Odmówił.

Twierdził, że to dla oszczędności, ale ja wiedziałam swoje. Zawsze faworyzował Charlotte.

Moje serce było chore. Wciąż błagałam o nieco uwagi, o zaspokojenie potrzeb, ale wymówką Verlana było to, że cokolwiek zrobi, „będzie niesprawiedliwe”. Zawsze, gdy prosiłam o coś, czego naprawdę potrzebowałam, otrzymywałam tę samą odpowiedź. Za każdym razem wymagał ode mnie tylko większego poświęcenia.

Miałam dwadzieścia osiem lat i widziałam, że moje życie prowadzi donikąd. Choć perspektywa rozwodu napawała mnie bólem i trwogą, dużo o nim myślałam. Zgodnie z naszą religią, straciłabym błogosławieństwa, jeśli porzuciłabym męża z powodu jego dążenia do wiernego życia w Regule. Nawet naturalne konsekwencje życia w poligamii, takie jak ubóstwo, samotność brak poczucia bezpieczeństwa, który tak strasznie mi doskwierał, nie mogły stanowić podstaw rozwodu. Poza tym nie zdołałabym się utrzymać. Nawet emocjonalnie nie byłam przygotowana do tego, by znaleźć się sama w szerokim świecie. Niemniej jednak wiele razy chodziłam do Joela, który przekonał nas, że jest prorokiem i naszą ostateczną ziemską instancją. Prosiłam, by odstąpił dla mnie od zasad. Zamiast tego zmienił je.

Joel postanowił, że aby otrzymać oficjalny rozwód, żona musi oddalić się fizycznie i emocjonalnie od męża przynajmniej na sześć miesięcy. Po tym czasie może wyjść za kogoś innego, pod warunkiem że osoba ta należy do naszego Kościoła - wówczas żona zachowa swe błogosławieństwa. Do spełnienia warunków brakowało mi jeszcze miesiąca, lecz błagałam Joela, by dał mi rozwód natychmiast. Zamiast tego zabrał mnie osobiście do Las Vegas, z nadzieją na moje pojednanie z Verlanem.

Przebywałam w Las Vegas pięć dni - nie zamierzałam się poddać, nie uzyskawszy od Verlana konkretnych obietnic. Zażądałam więcej pieniędzy, własnej pralki, wysokiego krzeselka do karmienia dzieci i schodka przed wejściem do przyczepy. Przyrzekł wprawdzie, że spełni moje prośby, lecz w głębi serca wiedziałam, że niewiele czasu upłynie, nim znajdziemy się w tym samym bagnie. Wróciłam do domu równie zrozpaczona, jak wtedy, gdy z niego wyjeżdżałam, a do tego jeszcze w kolejnej ciąży.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY.

Wielką przyjemność sprawiało mi codzienne odwożenie dzieci do szkoły w Guerrero. Była to dla mnie okazja, by na chwilę wyrwać się z domu i zrealizować towarzysko w miasteczku. Linda Stanley, która poprzednio mieszkała w Bravo, wyniosła się stamtąd razem z nami i osiedliła nieopodal naszej nowej kolonii w Baja. Rok wcześniej, jeszcze w górach, pomogłam jej przy trudnym porodzie i odtąd byliśmy jak siostry.

Prawie codziennie machała do mnie, kiedy jadąc z ładunkiem dzieciaków, mijałam jej dom w drodze do lub ze szkoły. Zawsze nalegała, bym rzuciła wszystkie zajęcia i posiedziała z nią chwilę.

Wiedziałam, że czuła się samotna - mąż pracował w San Diego i wpadał sporadycznie do domu na weekend, a ona większość czasu spędzała jedynie w towarzystwie dwóch córeczek, z których jedna miała roczek, a druga dwa miesiące.

Byłam jej niezwykle wdzięczna za krówki, ciastka czekoladowe i gorące posiłki, którymi mnie częstowała, kiedy tylko do niej zaglądałam. Nie znałam wtedy takich luksusów. Niezmiennie jednak musiałam pilnować, żeby nie zasiedzieć się u niej zbyt długo - zawsze w domu czekało na mnie tysiąc obowiązków. Nie chciałam też nadwyrężyć Lucy, która pilnowała moich młodszych dzieci, gdy ja odwoziłam do szkoły starsze.

Pewnego ranka zostawiłam dzieci w szkole i popędziłam za miasto, żeby napełnić cztery butle gazowe. Zony w Los Molinos nie miały na czym ugotować obiadu ani nagrać wody.

Linda próbowała mnie zatrzymać, kiedy mijałam jej dom.

Wiedziałam, że moja wizyta potrwa przynajmniej pół godziny, więc po prostu pomachałam do niej i pojechałam w swoją stronę. W lusterku jednak zobaczyłam, że rozpłakała się, zaczęła krzyczeć i wymachiwać rękami. Z całą pewnością coś było nie tak. Zawróciłam i wjechałam na jej podwórze. Nigdy jeszcze nie widziałam równie przygnębionej osoby. Zarzuciła mi ręce na szyję i przylgnęła do mnie, cała we łzach.

Nie była w stanie mówić.

- Linda, co się dzieje? - spytałam w przekonaniu, że czuje się po prostu samotna i odrzucona, ponieważ minęłam ją i pojechałam dalej.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała grobowym tonem. - To naprawdę ważne.

Weszłam za nią do kuchni i usiadłam na krześle przy niesprzątniętym po śniadaniu stole.

- Irene, jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Tylko tobie mogę się zwierzyć. - Między słowami łkała. - Ja umrę, Irene.

Wzięła ze stołu zeszyt i podała mi.

- Zapisałam tu wszystkie szczegóły co do mojego pogrzebu, moje życzenia, jak mam być pochowana. Chcę, żebyś mi obiecała, że je wypełnisz.

- Linda, daj spokój. To wszystko depresja poporodowa. Coś ty wymyśliła? Naszykuj dzieci, spakuj pieluchy i trochę ubrań, a jak będę wracać ze szkoły, to cię zabiorę do nas. Potrzebujesz tylko zmiany otoczenia.

Uwiesiła się na mnie i płakała dalej.

- Irene, to nie depresja. Miałam przecucie, że po prostu umrę.

Potrząsnęłam głową. Nie chciałam jej urazić, więc spytałam:

- Co ci jest? Żle się czujesz? Masz jakieś objawy?

- Nie. Po prostu obudziłam się o drugiej nad ranem z wyraźnym przecuciem, że powinnam zapisać to wszystko w zeszycie i zrobić przygotowania do pogrzebu!

Zapewniłam ją, że wrócę po szkole. Serce pękało mi z żalu.

Sama nieraz miałam fatalny nastrój po urodzeniu dziecka i czułam się tak, jakbym miała umrzeć. Wiedziałam jednak, że to szybko minie.

Odjechałam, by przygotować się naprędce do jej wizyty. Nie było mowy, żebym dała radę zrewanżować się Lindzie za wszystkie przyjemności, które mi dotąd sprawiła, lecz postanowiłam przynajmniej spróbować. Upiekłam niemieckie ciasto czekoladowe z przepisu, który dostałam od Lindy poprzedniego dnia. Zrobiłam też michę sałatki ziemniaczanej, a potem pogałałam kończyć pranie. Kiedy wszystko było gotowe, pojechałam po Lindę z córeczkami i po dzieci do szkoły.

- Zdążyłaś jeszcze upiec dla mnie ciasto? - spytała, wyraźnie poruszona. Wydawało się, że bardzo się cieszy ze wspólnej kolacji u nas, i widziałam po niej, że ma ochotę pogadać ze mną w nocy.

Zaścieliłyśmy starą sofę świeżymi prześcieradłami i wkrótce córeczki Lindy i ósemka moich brzdąców ułożyły się do snu.

Długo, długo w noc Linda opowiadała mi o swej młodości na Florydzie i małżeństwie z Chuckiem. Wracała wspomnieniami do czasów, kiedy go poznała - była to rzeczywiście całkiem niezła historia miłosna. Potem przeszła do owego przecucia z poprzedniej nocy.

Byłam już wykończona, ale błagała, żebym z nią jeszcze posiedziała.

Potrzebowała mnie i mojego pocieszenia, ale głównie pragnęła opowiedzieć mi intymne szczegóły swojego życia, które, jak twierdziła, właśnie dobiegało końca.

Wyznałam jej, że znów oczekuję dziecka. Nie powiedziałam nawet jeszcze Verlanowi, lecz chciałam, by ona wiedziała.

Zaproponowała mi wszystkie swoje ubrania ciążowe.

O czwartej nad ranem zmusiłam ją, by się położyła i spróbowała trochę odpocząć, gdyż ja sama po prostu musiałam się przespać, zanim wstaną dzieci. Rano trzeba przecież zrobić im śniadanie i odwieźć do szkoły. Ułożyłam się na skraju łóżka przy piątce śpiących dzieci, pod stopy podstawiłam krzesło. Obudziło mnie wołanie.

- Irene, Irene! - usłyszałam głos Lindy. Chwiejąc się na nogach, przeszłam przez ciemny korytarz i zapaliłam przy Lindzie lampę naftową. Po sposobie, w jaki wołała, odgadłam, że coś musi ją prawdziwie boleć. Była zaledwie za piętnaście piąta. Wprost niemożliwe, żeby coś się wydarzyło w tak krótkim czasie. Linda trzymała się za lewą pierś i jęczała.

- Irene, jeszcze nigdy w życiu nic mnie tak nie bolało.

- Może masz zapalenie piersi - odparłam. - Jesteś pewna, że karmiłaś małą z tej strony?

- Karmiłam. Nigdy czegoś takiego nie miałam. Wiem, że dziecko zjadło tyle, ile trzeba.

Poświeciłam lampą na pierś - była mocno zaczerwieniona.

Zagrzałam na kuchence gazowej wodę, zmoczyłam w niej myjkę, wyzęłam i delikatnie ostudziłam, tak by można było położyć ją na piersi.

- To powinno ci pomóc - powiedziałam.

Rzeczywiście pomogło i Linda przestała jęczeć, a ja do rana zmieniałam jej okłady. Żadna z nas już nie usnęła. Obiecałam, że kiedy wstaną dzieci i będę odwozić je do szkoły, zawiozę ją do lekarza.



Doktor Cortez pokręcił głową.

- Co cztery godziny musi dostawać antybiotyki. Czy może pani dalej robić ciepłe okłady? - spytał. - Tworzy się ropień. Ciepło pomoże zwalczyć stan zapalny. Czy znajdzie się ktoś, kto będzie robić jej zastrzyki, jeśli puszczę ją do domu?

- Tak, ja - obiecałam. - Na pewno będzie je dostawać na czas.

Wracając, zatrzymałam się pod domem Lindy, skąd zabrałam wszystkie jej rzeczy do prania. Zaproponowałam, że je upiorę, żeby dzieci miały w czym chodzić przez następne parę dni.

- Irene, jesteś dla mnie jak matka. Tak cię kocham. Nie chciałabym być dla ciebie ciężarem.

- Jasne, że nie jesteś. Po to ma się przyjaciół. Cieszę się, że mogę ci pomóc. Po prostu leż i odpoczywaj. Ja się zajmę dziećmi, a ty nic nie rób, tylko odpoczywaj.

Następnego dnia rano pierś Lindy wyglądała jeszcze gorzej. Ból stawał się wprost nieznosny. Nie posłałam Donny do szkoły, ale zostawiłam z małymi dziećmi i Lindą w domu. Sama pojechałam do miasta, odwiozłam starsze dzieci do szkoły i poszłam namawiać doktora Corteza, żeby przyjechał zobaczyć chorą. W szpitalu patrzyłam, jak pakuje torbę. Wziął jeszcze sześć zastrzyków, trochę mocnych środków przeciwbólowych - żywił nadzieję, że sytuacja nie wygląda tak tragicznie, jak ją opisywałam.

Kiedy tylko spojrział na Lindę, natychmiast zaordynował silny środek znieczulający. Powiedział, że nigdy nie widział tak ogromnego ropnia, i dodał:

- Pierś wypełnia się ropą. Trzeba dalej podawać antybiotyki i środki przeciwbólowe. Proszę przywieźć ją do mnie jutro po południu.

Jeśli sytuacja się nie poprawi, będę musiał operować. Nacięcie powinno rozwiązać problem.

Następnego dnia Linda czuła się tak fatalnie, że nie była w stanie wsiąść do samochodu ze wszystkimi dziećmi, więc najpierw przywiozłam je ze szkoły, a potem zostawiłam Donnę na straży i pojechałam z Lindą.

Doktor Cortez tylko spojrział i rzekł:

- Sytuacja jest poważna. Będę operował natychmiast. Idę przygotować salę.

Linda opuściła głowę na jego biurko i rozpłakała się.

- Irene, chcę, żebyś powiedziała doktorowi, że zgadzam się na operację tylko pod warunkiem, że będziesz ze mną cały czas. Nie chcę umierać sama.

Objęłam ją.

- Linda, jeśli się aż tak martwisz, może lepiej zawieźmy cię do San Diego, gdzie będziesz z mężem i pójdiesz do lepszego szpitala.

- Nie. Chcę mieć już to za sobą. Nie będę teraz zawracać głowy Chuckowi. Żałuję tylko, że nie ma drugiej żony, która go pocieszy, gdy umrę.

Kiedy doktor wrócił, Linda płakała. Zapytał mnie po hiszpańsku, dlaczego tak się martwi. Za bardzo wstydziłam się tłumaczyć mu, o co chodzi, bo myślałam, że Linda trochę histeryzuje i przesadza. Mimo to wyjaśniłam mu, że przyjaciółka pragnie, abym była z nią w czasie operacji, ponieważ myśli, że umrze, i nie chce umierać sama.

- Dobrze, może pani być przy niej, lecz proszę jej powiedzieć, że to prosty zabieg. Potrwa dosłownie chwilę.

Poprowadził nas do sali operacyjnej. Pomogłam Lindzie rozebrać się i włożyć białą koszulę wiązaną z przodu.

Doktor kazał mi się przebrać w zielone spodnie, koszulę, ochraniacze na buty i czepek. Zawiązał mi na twarzy maseczkę z gazy.

Pomogliśmy Lindzie wejść na stół operacyjny i meksykańska pielęgniarka rozwiązała jej koszulę i dezynfekowała całą klatkę piersiową aż po pępek.

Przerażona Linda złapała mnie za rękę.

- Irene, obiecaj, że mnie nie opuścisz. Obiecujesz?

Poklepałam ją po dłoni, którą jednocześnie mocno trzymałam w swojej, żeby jakoś dodać jej otuchy.

- Nie martw się. Będę cały czas. Obiecałam, że nie odejdę.

Kiedy się obudzisz, będę trzymać cię za rękę.

Doktor poprosił o ciszę i pielęgniarka zaczęła podawać narkozę.

Linda chciała jeszcze coś powiedzieć i nie pozwoliła jej przykryć sobie nosa i ust.

- Och, Irene, tak dobrze jest umierać z najlepszą przyjaciółką u boku. Powiedz Chuckowi, że go kocham.

Po chwili poczułam, jak zwalnia uścisk ręki, a jej ciało się rozluźnia. Pielęgniarka zwiększyła nieco ilość podawanego gazu, patrząc jednocześnie na strzałkę wskaźnika. Pokiwała głową na znak, że wszystko jest w porządku.

Doktor przystąpił do operacji. Z trudem przełknęłam ślinę i zacisnęłam zęby, patrząc, jak nacina pierś Lindy od nasady w stronę brodawki. Niemal natychmiast i on, i pielęgniarka zaczęli ścierać zewsząd gęstą, żółtą ropę. Wzrok doktora spotkał się z moim, kiedy zerknął na mnie, by sprawdzić moją reakcję. Delikatnie uciskał pierś, zbierając resztę ohydnej wydzieliny do specjalnego pojemnika. Musiał wycisnąć dobre pół litra.

Linda gwałtownie drgnęła. Jedna noga niemal spadła jej ze stołu. Szybko ją poprawiłam i przytrzymałam, kiedy doktor oczyszczał ranę. Jęknęła i znów drgnęła. Doktor przerwał na chwilę, obserwował ją i czekał, aż się uspokoi. Pierś Lindy wznosiła się i opadała, w górę i w dół, w górę i... znieruchomiała.

- Doktorze, ona nie żyje! - wykrzyknęłam. - Szybko, niech pan coś robi! O Boże, ona nie żyje!

Młodziutka pielęgniarka zerwała maskę z twarzy Lindy, a doktor silnymi ruchami wykonywał masaż serca. Z charakterystycznym, szalonym błyskiem w oku próbował dalej, jeszcze raz, i jeszcze - wszystko bez skutku.

Błagałam:

- Doktorze, nie może pan jej dać zastrzyku w serce? Słyszałam, że można tym uratować człowieka. Błagam, doktorze, niech pan coś zrobi!

Zmartwiała ze zgrozy patrzyłam, jak próbuje ostatni raz.

Niezwykle długą igłą wkłuł się w jej serce i wstrzyknął tam jakiś płyn.

Modliłam się do Boga, by to, czego byłam świadkiem, okazało się nieprawdą.

- Bardzo mi przykro - rzekł doktor. - Nic już nie mogę zrobić.

Nie żyje.

Powstrzymałam emocje. Łzy napływały mi do oczu. Nie mogłam się poddać. Znalazłam najbliższy telefon i zadzwoniłam do San Diego. Chucka nie było, więc zostawiłam dla niego wiadomość. Potem zmusiłam się i pojechałam do domu Lindy po jej ubrania, by wrócić do szpitala i ubrać ją do pogrzebu.

Zeszyt, który przyjaciółka pokazała mi trzy dni wcześniej, leżał wciąż na stole w

kuchni. Otworzyłam go i przeczytałam instrukcje.

Sprawdziłam listę rzeczy i znalazłam wszystkie, co do jednej: ulubione korale, pończochy, najlepsze buty. Kiedy wróciłam do szpitala, jej ciało leżało jeszcze na stole operacyjnym. Pielęgniarka pomogła mi ją ubrać.

Linda miała niewiele ponad dwadzieścia lat.

W końcu wróciłam do mego zatłoczonego domu-przyczepy, by dowiedzieć się, że córeczka Lindy odmawia butelki. Płakała rozdierająco i wzywała matkę, by ją nakarmiła. Tego nie mogłam już wytrzymać. Wzięłam obie dziewczynki Lindy na ręce i nosiłam, płacząc przy tym strasznie. Życie i tak było trudne, a co dopiero bez matki? Życie bez matki to najsmutniejsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić. Po długim uspokajaniu i przytulaniu dziecko zjadło w końcu z butelki i zasnęło.

Zostawiłam Donnę z całą dziewiątką dzieci i wróciłam do szpitala, by być z Lindą, aż ktoś przyjedzie z trumną, byśmy mogli zabrać ją do domu. Wszyscy prócz doktora i pielęgniarki wyszli już ze szpitala. Tylko oni czekali na mnie, a kiedy przyszedłam, również wyszli.

Rozpoczęło się samotne czuwanie przy zmarłej.

Generator wyłączył się automatycznie o jedenastej wieczór i znalazłam się w całkowitych ciemnościach. Zapaliłam lampę naftową i przykręciłam płomień. Położyłam się na leżance pielęgniarki w niewielkim pokoiku przylegającym do sali operacyjnej. Przez otwarte drzwi widziałam ciało przyjaciółki.

Samotna i zdenerwowana, nie mogłam zasnąć. Ostatnie parę dni wydawało mi się całkowicie nierealne. Linda nigdy nie wiedziała, że w głębi serca jej zazdrościłam. Chociaż razem z Chuckiem planowali w przyszłości rozpocząć życie w Regule, to w chwili śmierci miała męża tylko dla siebie, a przytulny dom tylko dla nich dwojga i dla dzieci.

Była pierwszą kobietą, jaką znałam, która miała własną książeczkę czekową. Sama podejmowała decyzje i wydawała pieniądze na to, co uznawała za konieczne. Dla mnie wiele z tych rzeczy zaliczało się do luksusów. Kupowała musli, szynkę konserwową, krakersy majonez, tuńczyka i czekoladę. Mogłabym bez trudu wymieniać dalej.

Próbowałam się z nią nie porównywać, ale moje dzieci jadły gotowaną pszenicę i kaszę kukurydzianą na śniadanie. Dzień w dzień moi chłopcy ręcznie mielili ziarna pszenicy na mąkę i kaszę. Żywiliśmy się głównie fasolą i chlebem. Byłam szczęśliwa, kiedy mogłam pozwolić sobie na ryż czy ziemniaki i podać je do fasoli. Od wielkiego dzwonu kupowałam margarynę.

Mrugająca lampa dymiła w niesamowitej scenerii. Przyniosła mi wspomnienia o małej Leah. I ona leżała taka zimna, sztywna i nieruchoma, jak teraz Linda. Podczas tych sześciu godzin rozmyślenia pokonałam chyba swe pragnienia dotyczące ziemskich dóbr i luksusów.

Tak naprawdę zazdrościłam Lindzie, że odeszła. Że była już daleko od tego brutal-

nego świata. Oto kobieta, która otrzymała łaskę łatwego odejścia. Byłam przekonana, że jedyną drogą do wolności jest śmierć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY.

Nasze życie było dość chaotyczne. Verlan przyjeżdżał do domu na niektóre weekendy i święta. Wtedy z reguły spędzał w domu tylko dwie noce, więc my - pięć żon -byłyśmy niezadowolone. Wszystkie tęskniłyśmy za miłością i towarzystwem, lecz mąż mógł zaspokoić potrzeby zaledwie dwóch. Reszta musiała czekać na swoją kolej następnym razem. Miałyśmy szczęście, jeśli w miesiącu każdej udało się spędzić z mężem dwie noce.

Verlan szybko zrozumiał, że życie jego rodziny stało się jeszcze bardziej skomplikowane, więc zdecydował, że Beverly i Esther będą mieszkać w Stanach i zarabiać na siebie jako pokojówki. Przeniósł też Charlotte, Lucy i mnie do Ensenada, które leżało mniej więcej w połowie drogi między Los Molinos i San Diego. Znalazł duży, zielony, dwupiętrowy dom na terenie motelu. Charlotte i Lucy najpierw mieszkały w nim same, a ja dochodziłam do siebie po urodzeniu Connie. Moje dziewiąte dziecko, Connie, urodziło się 14 lipca 1966 w tej samej klinice w Guerrero, gdzie zmarła moja przyjaciółka Linda.

Kiedy maleństwo skończyło dwa tygodnie, przeprowadziłam się do przeludnionego już domu w Ensenada, w którym teraz łącznie mieszkało dwadzieścia pięć osób. Wszystkie wykazywałyśmy wiele zrozumienia dla siebie i robiłyśmy, co się dało, by przetrzymać ten przejściowy etap - do czasu, gdy stać nas będzie na odrębne domy.

Pensje Verlana szły nie tylko na nasze utrzymanie. Płacił też za wynajem swojego mieszkania i pokrywał koszty życia w San Diego, spłacał samochód i pomagał Joelowi w gospodarowaniu na nowo zakupionej ziemi w Baja. Jak zwykle nie sposób było odpowiednio zaspokoić wszystkich potrzeb naraz.

Verlan przyjechał do domu 23 grudnia z postanowieniem, że za wszelką cenę urządzi nam najlepsze święta w życiu. Mówił, że wielkie podziękowania należą się Beverly, która ofiarowała piętnaście dolarów ze swoich ciężko zarobionych pieniędzy na zakup prezentów dla dzieci.

Cieszyliśmy się niezmiernie - naprawdę mogliśmy sprawić niczego się niespodzie-

wającej gromadce wielką niespodziankę. Najstarsza z naszych pociech miała tylko piętnaście lat. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, ile trudu trzeba będzie sobie zadać, by pieniądze wystarczyły na prezenty dla dwudziestu jeden osób, ale jakoś nam się udało.

To ja byłam tą szczęściarą, która razem z Verlanem wybrała się do miasta po zakupy. Kilka razy ostrzegął mnie, żebym nie pominęła żadnej z dziewczynek Charlotte.

- Postaraj się o nikim nie zapomnieć - powtarzał.

Z tęsknotą wpatrywałam się w wielką obfitość gier, lalek, maleńkich serwisów do kawy i innych tego typu cudeniaków i wyobrażałam sobie, że jesteśmy na tyle bogaci, że możemy sobie na nie pozwolić. Uświadomiłam sobie, że tak nie jest, dopiero wtedy, gdy Verlan zawołał mnie do następnej alejki. Był w dziale artykułów do organizacji przyjęć, gdzie można było znaleźć różne drobiazgi, piłeczki, balony.

Podeksytowany Verlan wyciągnął parę niewielkich piłek w różnych kolorach. Wrzucił je do wózka. Dla starszych dziewczynek wybrałam trzy zestawy do gry w żetony. Verlan w myśli podliczył wydatki, a ja dalej uważnie szukałam odpowiedniego prezentu dla każdego dziecka.

- Zobaczmy - mówił. - Mamy trzy zestawy żetonów, osiem piłek i to piękne domino dla najstarszych chłopców na spółkę. Ciekawe, czy będą się o nie strasznie kłócić? Ale są już w takim wieku, że zasługują na coś fajnego. Już piętnaścioro dzieci ma prezenty. O, patrz, są przecenione plastikowe gwizdki! - ucieszył się i wybrał pięć w różnych kolorach, sprawdzając przy okazji, czy gwizdzą.

- Odłóż je! - zaprotestowałam. - Proszę, Verlan, i tak okropnie jest żyć w dwadzieścia pięć osób pod jednym dachem, nawet kiedy wszyscy jesteśmy cicho, a co dopiero, gdy dzieci zaczną gwizdać!

- Nie! - nalegał. - Będą się cieszyć! No, dobra, dla reszty dzieciaków weźmy balony.

Z uwagą przyglądaliśmy się rosnącej sumie, kiedy kasjerka podliczała nasze zakupy. Nie chcieliśmy przekroczyć wyznaczonego limitu. Po odejściu od kasy Verlan wręcz promieniał. Niósł naszą zdobycz i powtarzał:

- O, rety, ale się dzieciaki ucieszą!

Zatrzymaliśmy się jeszcze przy przydrożnym straganie z owocami. Verlan namówił właściciela, żeby zgodził się dać nam kredyt na dwa tygodnie, i rozszalał się - jego dzieci miały mieć najcudowniejsze w życiu święta! Kupił pięć kilo orzeszków ziemnych, skrzynkę pomarańczy i skrzynkę bananów, z błyskiem w oku wybrał trzy opakowania cukierków i ogromną paczkę kolorowej gumy do żucia.

- Bóg chyba rzeczywiście dzisiaj nam sprzyja - powiedział z uśmiechem. - Spójrz, są tu nawet brązowe torby papierowe. Chodź, włożymy każdemu po zabawce i dorzucimy trochę łakoci, będzie po paczce dla każdego.

Kiedy dotarliśmy do domu, Lucy zatrzymała rozentuzjasmowaną gromadkę za drzwiami, a ja szybko przeniosłam prezenty do swojego pokoju.

W przeddzień Bożego Narodzenia czekało nas jeszcze mnóstwo zajęć. Dzieci pracowały w grupach, wykonując staranniej niż zwykle swoje codzienne obowiązki. Ja przygotowałam potrójną porcję ciasta na chleb. Bułeczki cyrulkowe były ekstrawagancją, ale jutro przynajmniej rodzina będzie miała uciechę! Przed wieczorem wiedziałam już, że grzechem byłoby kazać im czekać do jutra - wystarczyło spojrzeć w te małe, błyszczące od emocji oczy! Poddałam się - dobrze, dostaną dziś, ale tylko po jednej bułeczce posypanej cyrulkami.

Starsi błagali, żebym im podpowiedziała:

- Ciociu, powiedz, powiedz, co tatuś nam kupił?

Zasugerowałam, żeby już się wykąпали i poszli spać, to rano nie zaśpią na przyjście Świętego Mikołaja.

Kiedy położyli się wreszcie do łóżek, zaczęliśmy przygotowywać prezenty. Zgodnie z poleceniem Verlana, wzięłam czarny flamaster i podpisałam papierowe torby imionami dzieci. Zaczęłam od dzieci Charlotte. Na pierwszej torbie wypisałam jej imię, na następnych imiona jej dzieci. Prezenty miały być dla wszystkich.

Verlan niecierpliwie chwycił pierwsze torby i powiedział:

- Ty dalej podpisuj, a my będziemy pakować. Charlotte i ja wsypujemy orzeszki i owoce. Lucy, ty policz cukierki, żeby dla każdego było po równo.

Wręczyłam mu podpisane torby dla rodziny Lucy. Verlan sprawdził i policzył, czy wszystko się zgadzało.

- Świetnie! Teraz jeszcze twoje dzieci, Irene. Podpisz i pomóż nam pakować.

Kiedy skończyłam podpisywać, zaczęłam po kolei napełniać torby orzeszkami i owocami - po pomarańczy i po bananie na osobę.

Nigdy nie zapomnę, jak szczęśliwi wtedy wszyscy byliśmy, przekładając drobiazgi z torby do torby - każda żona upewniała się, czy jej dzieci nie będą przypadkiem uszkodzone. Verlan jednak miał ostatnie słowo, jeśli chodzi o to, co będzie najbardziej odpowiednie dla każdego.

- Ale miło - powiedział głosem pełnym satysfakcji. - Wszyscy oprócz nas, dorosłych, mają po zabawce w torbie.

Zanieśliśmy torby do mojego pokoju i ustawiliśmy w dwóch długich rzędach, by były gotowe do rozdania nazajutrz. Byliśmy zachwyceni - wyglądało na to, że Bóg zaczyna jakoś rozwiązywać nasze problemy. Łakoci wystarczyło nawet dla dorosłych.

W świąteczny poranek obudziły mnie dziecięce chichoty i szepty dobiegające zza drzwi.

- Idźcie się ubrać - zarządziłam. - Poproście mamy, żeby was ładnie uczesały, i zaczynamy święta!

Ale było przy tym gwaru i zamieszania, a ile pośpiechu! Dzieci szukały butów, starsze pomagały ubrać się młodszemu rodzeństwu.

Verlan dbał o szczegóły. Mył małe buzie i wycierał zasmarkane noski.

Biorąc pod uwagę całe szaleńcze podekscytowanie, nie było łatwo zgromadzić towarzystwo w jednym miejscu. W końcu wszyscy uklękli w kręgu na modlitwę. Verlan podziękował Bogu za Boże Narodzenie, które właśnie świętowaliśmy, za swoją wspa- niałą rodzinę i za wiele łask. Na hasło „amen” dzieciarnia skoczyła na równe nogi i ustawiła się w rozkrzyczanej i wciąż zmieniającej kształt kolejce po prezenty.

Verlan uspokoił dzieci:

- Bądźcie cicho i stójcie w kolejce.

Był wyraźnie zadowolony, że dzieci tak się cieszą.

- A teraz, kiedy przeczytam czyjeś imię, proszę podejść po prezent. Bądźcie cicho i czekajcie, aż przyjdzie wasza kolej. Dobrze?

Charlotte i ja podawałyśmy paczki Lucy, która z kolei przekazywała je Verlanowi. Prezenty nie były ułożone w jakiejś specjalnej kolejności.

Verlan zaczął:

- Loretta... Pierre... Beth... Verla... Norman... Connie... Irene, to dla twojej małej, tylko niech się nie zadławi orzeszkami.

Mój pięcioletni Kaylen nie był w stanie wytrzymać napięcia ani minuty dłużej.

- Tato! - wołał, próbując przekrzyczeć hałas. - A gdzie dla mnie?

- Synu, bądź cicho. Poczekaj na swoją kolej. Za chwilę. Mark...

Andre... Chad... Sandra... Margaret...

Kaylen martwił się jeszcze bardziej.

- Ja jestem mniejszy niż ci duzi. - Wykrzywił buzię. - Gdzie mój prezent?

Verlan, wymagając posłuszeństwa, chwycił Kaylena i potrząsnął nim parę razy.

- Bądź teraz cicho! Albo nie dostaniesz nic!

I dalej rozdawał torby. Był w siódmym niebie! Frajdą było samo patrzenie na nie- go. Najbardziej na świecie cieszyły go te małe buzie rozjaśnione szczęściem. Czytał dalej:

- Verlan Junior... Laura... Donna... Rhea... Brent...

Kaylen stracił cierpliwość. Bardziej przerażała go perspektywa, że nie dostanie prezentu, niż to, że może zostać ukarany.

- Tatusiu, zapominasz o mnie!

Verlan przerwał. Wyglądał bardzo srogo. Powtórzył:

- Kaylen, mówiłem ci, że jeśli tak się będziesz zachowywał, nic nie dostaniesz! - I dalej rozdawał paczki.

- Susanna... Steven... Barbara... Norie...

Z każdym kolejnym podarkiem mina Kaylena się wydłużała.

Widząc, jak łzy napływają mu do oczu, Verlan w końcu się poddał.

Zwrócił się do mnie:

- Podaj mi paczkę Kaylena. Był bardzo dzielny, czekając tak długo.

Zanim przeczytałam imiona, policzyłam pozostałe torebki - raz, dwa, trzy, cztery - i

z każdą sekundą robiło mi się coraz słabiej.

Powinno być jeszcze pięć. Sprawdziłam każdą, przeczytałam na głos imiona: Lucy, Charlotte, Irene, Tatuś. Nie mogłam uwierzyć - pominęłam własne dziecko!

Verlan był zdruzgotany. Chciał tylko nauczyć Kaylena, że trzeba być posłusznym i cierpliwym. Nie chcąc, by chłopczyk zorientował się, że nie ma dla niego paczki, chwycił swoją własną, przytulił mocno małego i włożył torbę w jego wyciągnięte rączki.

Kaylen szybko otworzył prezent i sprawdził zawartość w poszukiwaniu zabawki. Spojrzał na nas z niesmakiem.

- Gdzie moja zabawka? - zapytał ze łzami w oczach. Rzucił Verlanowi oskarżycielskie spojrzenie, wskazując napis na torbie: „Tatuś”.

- Wiesz przecież, że to nie moje imię!

Byliśmy wręcz chorzy z poczucia winy. Serce biednego, małego Kaylena zostało prawdziwie złamane. Myślałam, że udało nam się jakoś rozciągnąć te piętnaście dolarów na prezenty i zrobić niespodziankę każdemu, ale, jak widać, rozciągnęliśmy je niewystarczająco. Verlan obiecał synkowi, że gdy tylko zarobi pieniądze, kupi mu specjalny prezent, zabawkę tylko dla niego. Minęło jednak wiele świąt Bożego Narodzenia, a Kaylen przysięga, że wciąż na nią czeka!



Wkrótce nasz wspólny pobyt w dużym zielonym domu zamienił się z tymczasowego na raczej stały. Warunki życia były coraz trudniejsze - my, trzy żony, musiałyśmy znosić nie tylko siebie, ale i zjednoczone siły naszych dwudziestu jeden pociech, które bez ustanku plątały się pod nogami. Starsze dzieci mogły rozładować ogromną energię jedynie w szkole w Ensenada lub podczas sporadycznych wycieczek na plażę.

Ja, Lucy i Charlotte starałyśmy się unikać większych konfliktów, ale powietrze wręcz wibrowało od emocji. Nieobecność Verlana była już normą. Niedawno wyjechał na trzymiesięczną misję do Kanady, gdzie miał namawiać tamtejszych poligamiistów, by przenieśli się na południe i przyłączyli do Kościoła Joela. Po przyjeździe do domu nie miał nic do zaoferowania swym mocno zubożałym rodzinom.

My wszyscy żyliśmy dzięki darowiznom z magazynu kościelnego -a mimo to zdołaliśmy jakoś zgotować Verlanowi powitanie.

Noc miała spędzić z nim Lucy. Jej sypialnia znajdowała się na górze, bezpośrednio nad pokojem Charlotte. Moja również była na górze, lecz położona po przeciwnej stronie korytarza i trochę dalej niż pokój Lucy. Posprzątałam ładnie u siebie i zaproponowałam Verlanowi i Lucy, że mogą u mnie spać, gdy ja tymczasem zaopiekuję się w nocy najmłodszym dzieckiem Lucy, bo i tak muszę wstawać do swojego, i będę spać u niej w pokoju. Oboje byli miło zaskoczeni moją uprzejmością i zadowoleni, że dbam, by mogli spędzić noc tylko we dwoje.

Gdy byłam pewna, że dzieciaczki już zasnęły, położyłam się na łóżku na brzuchu i

rytmicznie, z całej siły, zaczęłam podskakiwać. Tak mocno się przy tym śmiałam, że musiałam zatykać sobie usta poduszką.

Odczekałam pięć minut, a potem dalej podskakiwałam, odczekałam, i znów podejmowałam ruch.

Następnego dnia rano Charlotte była już w kuchni, kiedy na dół zszedł Verlan we wspaniałym humorze. Próbował pocałować ją na dzień dobry, lecz odwróciła twarz i nie przyjęła jego amorów.

- Co ci się stało?

- Już ty dobrze wiesz. Odmawiam dalszego życia w tym domu!

Verlan nie wiedział, o co chodzi.

- O czym ty mówisz?

Charlotte zalała się łzami.

- Słyszałam was! I nie mogę w to uwierzyć!

- Słyszałaś co?

- To wstrętne, że muszę wysłuchiwać odgłosów waszego seksu!

- Jak mogłaś cokolwiek słyszeć? Nie spaliśmy nawet w jej pokoju! - powiedział obronnym tonem.

- Nie kłam! Wszystko słyszałam! - Łkała coraz mocniej. - Nie zniosę ani jednego dnia dłużej w tym domu!

Verlan pognał na górę, by się mnie poradzić.

- O, rety, ale ta Charlotte ma wyobraźnię! Jest załamana. Mówi, że chce się wyprowadzić. Jak myślisz, o co jej chodzi?

Pozwoliłam mu mówić do woli, zastanawiać się głośno nad przyczyną niezadowolenia Charlotte, ale w końcu nie mogłam się powstrzymać i rzuciłam się na łóżko Lucy, zanosząc się od śmiechu.

Potem podskoczyłam na łóżku raz i drugi i w ten sposób doprowadziłam go do rozwiązania zagadki.

W niedowierzaniu wymierzył we mnie palcem.

- Chyba tego nie zrobiłaś?

Tak mocno się śmiałam, że prawie nie mogłam wydusić słowa.

- Właśnie, że zrobiłam!

- Dlaczego, u licha, przyszło ci to do głowy?

Wciąż chichocząc, powiedziałam:

- Chyba nie chciałam, żeby myślała, że jej się dostaje więcej niż nam.



Mój dowcip wyszedł nam wszystkim na dobre, ale tylko na krótko. Charlotte rzeczywiście się wyprowadziła, tak jak zapowiedziała.

Wynajęła sobie dom z cegły kilka przecznic dalej. Verlan stwierdził, że nie jest w stanie płacić i za wynajem domu Charlotte, i naszego dużego zielonego domu, więc mu-

siałyśmy się wyprowadzić - Lucy do przyczepy kempingowej niedaleko, w Chapultepec, a ja do wynajętego, małego czteropokojowego domu koło winnicy (nazywał się La Vinata).

Czynsz wynosił trzydzieści pięć dolarów miesięcznie. Była to moja jedenasta przeprowadzka w ciągu ostatnich trzynastu lat.

Ponieważ przy moim domu był odpowiedni betonowy podjazd, Verlan ustawił na nim małą przyczepę kempingową dla ciężarnej Beverly. Gotowała sobie u mnie, ale spała w przyczepie. Esther przeprowadziła się z powrotem do Los Molinos. Choć i Beverly, i Esther, straciły przy porodzie swoje pierwsze dzieci, łączna liczba potomstwa Verlana wynosiła już dwadzieścia dziewięć.

Każda żona miała własny, ograniczony budżet domowy. Verlan zaopatrywał nas w ubrania i buty ze sklepów z używaną odzieżą - większość otrzymywał za darmo, gdyż były już tak podarte, poplamione, brudne lub po prostu niemodne, że nikt ich nie chciał kupić. Wciąż mieliliśmy ziarno pszenicy na chleb i płatki w młynku ręcznym. Każda z nas musiała sama zaspokoić swoje elementarne potrzeby, rzadko mogąc sobie pozwolić na coś, co nie jest niezbędne.

Pewnego weekendu, kiedy Verlan wrócił z Vegas do domu, zastał moją dwuletnią Connie poważnie chorą. Leżała bezwładnie, prawie się nie poruszała i nieprzytomnie przewracała oczami. Nie skutkowały zwykłe, domowe sposoby ani modlitwy. Wiedziałam, że jeśli natychmiast nie zwrócimy się do lekarza, stracimy dziecko. Connie była już bliska śmierci, kiedy przyjechaliśmy do szpitala państwowego w Ensenada.

Dyżurny lekarz, doktor Martinez, stwierdził u małej zapalenie płuc.

Powiedział, żebyśmy nie robili sobie dużych nadziei.

Kiedy Connie przyjęto do szpitala, Verlan zaczął ogromnie się spieszyć - za jedenaście godzin miał być w pracy w Vegas. Myślałam, że oszaleję. Czy musi zostawiać mnie samą w sytuacji, z którą nie jestem w stanie emocjonalnie sobie poradzić? Verlan nie mógł znaleźć dla mnie czasu nawet w chwili zagrożenia życia. Błagałam, by został dłużej, przynajmniej do chwili, gdy będzie już wiadomo, że mała z tego wyjdzie. Verlan próbował mnie uciszyć, żądał, bym przestała płakać.

Wyszedł ze szpitala zły, że zrobiłam taką scenę na oczach lekarza.

Próbowałam jakoś go zrozumieć - w stopniu, w jakim pozwalała mi wtedy desperacja i załamanie. Czy dla niego branie sobie wolnego w pracy, kiedy któraś z zaniebdywanych żon lub któreś z dzieci zachoruje, było absolutnie niemożliwe? Przeżyłam bez niego sześć porodów.

„Boże - modliłam się - dlaczego ojciec mojego dziecka nie może być z nami, by nas pocieszać i wspierać w tak trudnych chwilach?”

Powinłam być silna, powinłam dać sobie radę ze wszystkim, lecz serce mi pękało, kiedy widziałam swoje najdroższe dziecko w takim stanie. Byłam chora na myśl o tym, że Bóg może zechcieć zabrać mi córeczkę, podobnie jak zrobił to z Leah. Na palcach

zakradłam się na oddział i ujrzałam Connie w metalowym łóżeczku, przywiązaną.

Choć reszta dzieci w sali płakała, wydawało się, że Connie śpi.

Patrzyłam, jak do żyły mego dzieciątka spływa glukoza. „Boże, proszę, opiekuj się nią. Proszę, pozwól jej wyzdrowieć”.

Nie miałam innego wyjścia - musiałam zostawić ją w rękach lekarzy. Wsiadłam do autobusu i smutna wróciłam do domu, do czekających na mnie obowiązków. Była niedziela i wiele rzeczy do zrobienia, zanim w poniedziałek zacznie się szkoła.

Kiedy Connie leżała w szpitalu, codziennie jeździłam do niej autobusem dziesięć kilometrów w jedną stronę. Mogłam wchodzić do niej tylko na krótko. Widziałam, jak płacze, krzyczy, rwie się do mnie.

Błagałam pielęgniarki, żeby pozwoliły mi ją odwiązać i przytulić, ale odmawiały. Obu nam było potwornie ciężko - ten dwutygodniowy koszmar zdawał się nie mieć końca. Doktor Martinez opiekował się moim dzieckiem, a ze mną się zaprzyjaźnił. Jestem przekonana, że po części wynikało to z litości, szczególnie po tym, jak poznał Lucy i dowiedział się, że Verlan ma liczne żony.

W miarę, jak rósł rachunek za szpital, coraz bardziej gnębiło mnie poczucie winy. Wiedziałam, że wydajemy bezcenne pieniądze, których tak desperacko potrzebuje cała wielka rodzina. Zawsze w sytuacji, gdy zaistniała wyjątkowa potrzeba, wszyscy musieli natychmiast ograniczyć swoje wydatki. Verlan przysłał czterysta dolarów z funduszy kościelnych na pierwszą ratę rachunku i obiecał, że wyrówna płatność najszybciej, jak tylko będzie to możliwe.

Doktor Martinez poprosił mnie do swego gabinetu. Chciał, bym odebrała kartę małej z oddziału pediatrycznego i zaniosiła ją na dół do kasy. Dopiero po uregulowaniu rachunku będzie mógł podpisać wypis Connie, a wtedy ja zabiorę ją do domu.

Patrzyłam, jak pielęgniarka przystawia pieczęcie na rozmaitych papierach, a potem wręcza mi oryginał rachunku.

- Razem siedemdziesiąt pięć - powiedziała, jak gdyby nigdy nic.

Zszokowana, myślałam, że nie dosłyszałam, i spytałam:

- Siedemdziesiąt pięć dolarów?

- Nie, siedemdziesiąt pięć peset. - Była to równowartość sześciu dolarów.

Zapłaciłam, świadoma, że gdzieś musiała zajść poważna pomyłka. Wróciłam do gabinetu doktora, żeby wyjaśnić sytuację. Kiedy próbowałam tłumaczyć, co się stało, objął mnie ramieniem i powiedział:

- Señora, tak wszystko zorganizowałem, żeby musiała pani zapłacić tylko kwotę minimalną wymaganą przez szpital państwowy.

Wszystkie moje usługi mieliście za darmo. Proszę powiedzieć mężowi, żeby za oszczędzone pieniądze wziął panią na długie, zaległe wakacje. Proszę mu powiedzieć, że lekarz to pani przepisał.

Nie mieliśmy w domu ogrzewania - prócz ciepła płynącego z kuchenki gazowej w

kuchni. Doktor zabronił mi zabierać Connie do domu, gdyż wiedział, że takie warunki nie będą sprzyjać rekonwalescencji małej. Znajoma, Juleen Hafen, zaproponowała, bym przez dwa tygodnie, dopóki Connie nie odzyska wagi i rumieńców, pomieszkała u niej. Nie mam pojęcia, co bym zrobiła bez życzliwych ludzi, takich jak Juleen, którzy pojawiali się nagle w najczarniejszych chwilach mego życia.



Nie było najmniejszych wątpliwości co do tego, że finansowo nigdy do niczego nie dojdziemy, jeśli będziemy musieli płacić czynsz za kilka wynajętych domów. Verlan kupił więc działkę nieopodal mojego obecnego domu. Z pomocą starszych synów i paru żon zaczął wznosić budynek, który miał pomieścić nas wszystkich. Nazwaliśmy go Dużym Brązowym Domem.

Równocześnie w przyczepie Lucy zapalił się piecyk i cały jej dobytek spłonął. Nikomu nic się nie stało, lecz Lucy musiała się wprowadzić do nowego domu, zanim został całkowicie wykończony.

Niedługo potem przeprowadziła się Charlotte, następnie ja. Przyczepa Beverly stała na podwórzu z tyłu.

Byliśmy zachwyceni gorącą wodą w kranie i nawet do głowy nam nie przyszło narzekać, że była tylko jedna wspólna łazienka.

Wzdłuż ścian w dużym pokoju Verlan zbudował barek, który służył nam za stół. Przy nim postawił długie drewniane ławy, by wszystkie dzieci mogły siąść do posiłku jednocześnie.

We trójkę gotowałyśmy po kolei. Przy śniadaniu trzy najstarsze dziewczynki - Rhea, Donna i Laura - trzymały talerze nad piecem, a ja nakładałam porcje - tak by nikogo nie pominąć. Dziewczynki rozdawały talerze każdemu dziecku po kolei. Powstawało przy tym ogromne zamieszanie. Często na śniadanie smażyłam racuchy dla całej naszej trzdziestki. Odkryłam, że lepiej jest każdemu usmażyć po jednym wielkim racuchu wielkości naleśnika - wtedy nikt nie przychodził po dokładkę i można było uniknąć wielu nieporozumień.

Choć żyliśmy w trudnych warunkach, uważałam, że czasami musimy sobie trochę pofolgować, bo przecież nie da się wiecznie odkładać szczęścia na później. Pewnego razu udało mi się namówić lodziarza, który dzień w dzień robił obchód naszej okolicy, by dał mi kredyt do soboty. Kiedy Verlan wrócił na weekend, zapłacił za dwadzieścia sześć najtańszych lodów na patyku, ale nie omieszkał wyrazić swego niezadowolenia, że niemądrze wydaję pieniądze. Zignorowałam reprimendę, ponieważ nie fundowaliśmy sobie w zasadzie żadnych przyjemności, a że było warto, świadczyły pełne zachwyty piski dzieci.

Znalazłam sposób na to, by kupować każdemu po lodzie przynajmniej raz w tygodniu. Kosztowały niewiele, więc kontynuowałam rytuał, nie pytając Verlana o zgodę.

Ponieważ mieliśmy tylko jedną łazienkę, Verlan zbudował za domem stary dobry

wychodek. Byliśmy tak liczną rodziną, że od razu było wiadomo, że szybko się zapełni. Wykopano więc niezwykle głęboki dół. Był już do połowy pełny, kiedy pewnego dnia weszłam tam, wielka i gruba, w dziesiątej ciąży. Towarzyszyła mi mała dwuletnia Connie. Nagle zarwała się podłoga i obsunęła w dół. Nie zdążyłam złapać Connie i dziecko wpadło do obrzydliwej mazi. Mnie samej zapadła się jedna noga, ale wielki brzuch uratował mnie przed kąpielą.

Zaczęłam potwornie wrzeszczeć. Nieopodal grało w kule sześciu chłopców, którzy szybko przybiegli sprawdzić, co się dzieje, a za nimi Lucy i Charlotte. Mnie wyciągnęli, ale Connie była już zanurzona po pachy. Odrzucili drewniany wychodek na bok i zanim jedenastoletni Chad zdążył się zorientować, wrzuciłyśmy go z Charlotte, wrzeszczącego, głową do przodu, do ohydnej dziury.

Trzymałyśmy go mocno za nogi i krzyczałyśmy, by złapał Connie, zanim mała się całkiem zanurzy. Chad był przerażony, że go puścimy.

Nie chciał nawet dotknąć malutkiej, ale zmusiłyśmy go, by włożył ręce we wstrętną breję i chwycił ją za rączki. Po paru sekundach wyciągnęłyśmy oboje ze śmierdzącej dziury.

Spryskałam siebie i Connie wodą ze szlauchu. Potem włożyłam ją do miednicy i wyszorowałam mydłem, octem i wszelkimi środkami czystości, jakie tylko miałam. Niestety, odór nie znikał. W końcu musiałam obciąć jej włosy. Tylko w ten sposób dało się pozbyć intensywnego, przyprawiającego o mdłości zapachu. Przed wypadkiem Connie była mistrzynią świata w ssaniu kciuka, a po nim wystarczyło, że przysunęła sobie kciuk do twarzy i powąchała, a już płakała. Zatem w trybie błyskawicznym przestała wkładać go do buzi.

Już zawsze pamiętaliśmy, by nie kopać tak głębokiego dołu kloaczego. Connie natomiast tak bardzo się obawiała, że znowu wpadnie, że od tamtego czasu zawsze korzystała z ubikacji w domu.

Powiedziałam jej, że niezależnie od tego, czy inne dzieci jej uwierzą, czy nie, i tak pozostanie moim najśłodszym małym śmierdzielem!



Charlotte dostała posadę nauczycielki w San Diego. Lucy i ja opiekowałyśmy się wszystkimi dziećmi - łącznie z ośmiorgiem Charlotte - w Dużym Brązowym Domu. Pewnego dnia, gdy wieszalam na dworze pranie, usłyszałam dochodzący z wnętrza potworny wrzask.

Otworzyłam drzwi i ujrzałam, jak Lucy bije Marka pasem. Nie chciałam kwestionować jej autorytetu u dzieci, więc nic nie powiedziałam. Nie mogłam sobie wyobrazić, co też dzieciaki musiały zbroić, by zasłużyć na coś podobnego, lecz jedno było pewne - wszystkich zgromadzonych w pokoju czekało lanie.

Kolejną ofiarą Lucy była Susanna - córka Charlotte - najmilsza i najcichsza ze wszystkich dzieci. Nie mogłam po prostu stać i patrzeć, jak Lucy się nad nią znęca. Z

drugiej strony nie mogłam dopuścić, by między nami dwiema doszło do sprzeczki na oczach dzieci, więc po prostu odciągnęłam Susannę od Lucy i powiedziałam:

- Jeśli rzeczywiście zasłużyła na takie lanie, ja to zrobię, i zrobię to porządnie.

Pociągnęłam przerażoną dziewczynkę za sobą do najbliższej sypialni i zamknęłam drzwi. Susanna zaczęła płakać. Szepnęłam do niej:

- Cicho... Krzycz głośno za każdym razem, gdy pas uderzy w łóżko. - Zamachnęłam się pasem i wrzasnęłam: - Nigdy już nie waż się tak robić. - I dałam Susannie znak, by krzyczała głośniej.

Oto jak dostała lanie swego życia. Moja rzekoma agresja przerażyła Lucy do tego stopnia, że albo zapomniała, albo postanowiła nie karać reszty winowajców. Wiele lat później Susanna wyznała matce, że w rzeczywistości jej nie wychłostałam. Pokochała mnie jeszcze bardziej, bo przyszedłam jej na ratunek.



Nie minęło wiele czasu, a Lucy także znalazła pracę w Stanach jako niania. Zarówno ona, jak i Charlotte nieczęsto pojawiały się w domu, wpadały na parę dni, najczęściej na weekend. W tym czasie Verlan rozbudował Duży Brązowy Dom, tak że Beverly mogła przeprowadzić się tam z przyczepy Esther wciąż mieszkała w Los Molinos. Na mnie za to spadła całkowita odpowiedzialność za dwadzieścioro pięcioro dzieci Verlana, które mieszkały w naszym czteropokojowym domu.

Co rano wyprawiałam do szkoły piętnaścioro z nich. Wszyscy nosili mundurki szkolne, które trzeba było ciągle prać i prasować.

Cztery niemowlaki były w pieluchach i oczywiście nie mogliśmy nawet marzyć o zakupie jednorazówek. Prałam wstępnie w ręku wszystkie śmierdzące pieluchy, a potem ponownie w pralce, która chodziła na okrągło. Starsi chłopcy zawsze napełniali ją wodą i przynosili wodę do płukania rano przed lekcjami. Starsze dziewczynki ścieliły łóżka, zamiatały i ubierały młodsze dzieci, a ja robiłam śniadanie i plotłam warkocze na dziewięciu głowach. W czasie wyprawiania ich wszystkich naraz do szkoły w domu trwało istne pandemonium.

Co drugi dzień musiałam upiec dwanaście bochnów chleba z pełnego ziarna. Sprzątałam, szyłam, zmywałam, prasowałam i gotowałam dla całego tego tłumu plus dla odwiedzających, którzy często się u nas pojawiali. (Nawet parę razy w tygodniu z niezapowiedzianą wizytą wpadali członkowie Kościoła, jako że nasz dom znajdował się w połowie drogi między San Diego a Los Molinos).

Małe dzieci i niemowlęta płakały, bo chciały do swoich mam. Nocą płakałam z nimi - z wyczerpania.

Próbowałam za bardzo nie narzekać na swoją pracę. Mówiłam sobie, że wymaga jej ode mnie Bóg i że zostanę za nią wynagrodzona.

Dla Jego chwały i dla naszego przyszłego królestwa w niebie wychowywałam dzieci urodzone w Regule. Na pewno czeka mnie wielka nagroda.

W dodatku 7 listopada 1967 bocian przyniósł mi (z pomocą doktora Corteza) jeszcze czteroipółkilogramowe dzieciątko. Verlan dał chłopcu na imię LaSalle - po swoim starym przyjacielu. Wszystko stało się tak szybko, że ledwie zdążyłam wezwać lekarza. Na poród poszło całe trzydzieści pięć dolarów, a ja i tak nie miałam ani dnia wolnego od obowiązków domowych. Doszedł mi jeszcze noworodek do opieki.

W głębi serca tęskniłam za Yerlanem, zwłaszcza gdy zaczynała mnie ogarniać poporodowa fala czarnego nastroju. Przypominałam sobie jednak za każdym razem, jak ciężko on haruje, machając cały dzień pędzlem w czterdziestostopniowym upale Las Vegas, by ubrać i wyżywić wszystkie swoje dzieci i mnożyć chwałę Pana. Brzemie było zbyt ciężkie, by mógł je nieść w pojedynkę. Jak moi mormońscy przodkowie, zaciśkałam zęby i brnęłam naprzód.

Verlan nie potrafił dać mi wiele w sensie emocjonalnym i fizycznym, ale rzeczywistości często mnie chwalił. Potrzebował mnie - wiedziałam o tym. Potrafiłam działać szybko, w sposób zorganizowany i wielozadaniowy. Zdawałam sobie sprawę, że to nasze najtrudniejsze lata. Niedługo chłopcy będą mogli iść do pracy i pomóc w utrzymaniu młodszego rodzeństwa. Zanim jednak to nastąpi, nie mogłam zawieść Verlana. Ja również będę pracować dla sprawy i walczyć o szczęście wieczne. Byłam już pewna, że nie można go osiągnąć na ziemi.

Pracowałam ciężko również po to, by Verlan bardziej mnie kochał - jak to wielokrotnie obiecywał. Jak zawsze, pragnęłam być jego faworytką.



W czerwcu 1967 mój brat Douglas, który mieszkał w Victor w Montanie, postanowił zrobić mi niespodziankę. Przywiózł do mnie matkę, swoją żonę i dziesięcioro dzieci w odwiedzinach. Niestety, miał zaledwie numer naszej skrzynki pocztowej w Ensenada. Kiedy zapytał o nas na pocztce, urzędnik wiedział niewiele więcej niż on sam, więc Douglas wyruszył na poszukiwania. Wiedział, że mieszkamy jakieś dziesięć kilometrów za miastem, więc przeszukał każdą plażę i każdą osadę w tym promieniu, żeby nas znaleźć.

Była to zaledwie druga wyprawa matki do Meksyku, by mnie odwiedzić, w ciągu ostatnich czternastu lat. Byli ogromnie rozczarowani, że pokonawszy taką drogę, nie mogą nas odnaleźć. Douglas jednak nie chciał się poddać - nawet po dwóch dniach próżnych poszukiwań. Zjeździł tereny na południe od Ensenada - rejon Chapultepec - i pytał każdego, kto mówił choć trochę po angielsku, czy o nas nie słyszał. Trzeciego dnia po południu postanowił dać spokój i wracać do domu. Matka się rozplakała, więc Doug pojechał jeszcze na zachód od miasta, by sprawdzić ostatnią plażę.

Kiedy mijali dużą winnicę, zauważył dwóch małych chłopców o jasnych włosach, którzy próbowali jeździć na osiołku. Zatrzymał samochód i krzyknął:

- Hej, chłopcy, mówicie po angielsku?!
- Tak - odpowiedzieli, zeskakując z osła i prowadząc go w stronę drogi.

Kiedy się zbliżali, Douglas wskazał palcem na wyższego z nich i rzekł do matki:

- To musi być dziecko Irene, jest przecież podobny do mnie, kiedy dorastałem. -
Potem spytał chłopaków: - Dzieciaki, znacie Irene LeBaron?

Andre, ten wyższy, nieśmiało odpowiedział:

- Jasne, to moja mama.

- Świetnie, więc ja jestem wujek Doug, brat mamy. Wsiadajcie do wozu i pokażcie mi drogę do domu.

Parę minut później niebieski van wjechał na podwórze. Andre wyskoczył z niego i pierwszy wpadł do domu, krzycząc:

- Mamo, mamo, przyjechała babcia!

Kiedy wyjrzałam za drzwi i zobaczyłam kruchą teraz, drobną postać matki, byłam zdumiona, ale i niezłe zaniepokojona. Była już starą kobietą. Jej uroda zbladła, twarz się pomarszczyła. W ciągu tych siedmiu lat, kiedy jej nie widziałam, bardzo się zmieniła. Po chwili jednak padłyśmy sobie w ramiona, śmiejąc się i płacząc, wzruszone spotkaniem.

Tak bardzo się cieszyłam, że znów mogę zobaczyć kogoś z własnej rodziny. Przez lata głęboko za nimi tęskniłam, lecz okoliczności nie pozwalały mi się z nimi widywać, z wyjątkiem paru zaledwie okazji. Jednakże, nawet kiedy się spotykaliśmy, musiałam wiele przed nimi ukrywać. Wizyta matki i Douglasa trwała pięć dni, w czasie których próbowaliśmy nadrobić wszystkie zaległości.

Kiedy nadarzyła się chwila, że byłam z matką sama, zaczęła temat, którego się od dawna obawiałam. Powiedziała ze smutkiem:

- Cieszę się, że masz przynajmniej elektryczność. Bałam się, że pierzesz jeszcze na tarze.

O, jak bardzo byłam wdzięczna losowi, że miałam już pralkę elektryczną.

- Jak wytrzymujesz ten stały harmider? Irene, jak sobie z tym wszystkim dajesz radę? - Smutek na jej twarzy sprawiał, że wyglądała jeszcze starzej.

Odpowiedziałam jej kłamstwem - kłamstwem, które wszystkie dobre córki mówią swoim matkom, gdy temat dotyczy ich największych życiowych błędów.

- Nie bój się, mamo - zapewniłam. - To wszystko tylko mnie umacnia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY.

W kwietniu 1968 trzydziestoosmioletni Verlan wrócił z konferencji naszego Kościoła, która odbywała się w Colonia LeBaron, z dobrze mi znanym błyskiem w oku.

- Mam dla was cudowne wieści! - powiedział. - Po ostatnim posiedzeniu brat Ray poprosił mnie o rozmowę na osobności. Jego czternastoletnia córka Susan pragnie za mnie wyjść. Co o tym sądzisz, Irene?

Zamurowało mnie.

- Verlan, ona jest za młoda. Tylko dwa lata starsza od twojej córki Donny!

Widocznie już o tym myślał, bo miał gotową odpowiedź.

- Irene, więc to musi pochodzić od Boga. Któż inny w tym wieku chociażby pomyślał o mnie? To jest błogosławieństwo prosto z nieba! Susan tak bardzo wzbogaci nasze królestwo. O, Irene, nie płacz, daj spokój!

Nic nie mogłam na to poradzić! Miałam już trzydzieści jeden lat i moja uroda powoli bladła. Niezależnie od tego, czy Verlan brał to pod uwagę, czy nie, Susan stanowiła dla mnie wielkie zagrożenie - jej uroda, jej młodość. Mówiąc ogólnie, miałam dość dzielenia się z innymi tym jednym jedynym mężczyzną, dla którego poświęciłam całe życie.

Czułam się zazdrosna, perfidna i całkowicie odmawiająca współpracy.

Przez wszystkie te lata jakoś dawałam radę, w większości walcząc po prostu o przetrwanie, a teraz on żenił się z jedną z koleżanek Donny i kazał mi z nią konkurować.

Gdy Verlan zobaczył, jak pogłębia się moje załamanie, zaczął się martwić.

- Proszę, nie smuć się tak. Wiesz przecież, że nigdy nikogo nie podrywałem, prawda? Bóg zesłał mi każdą z was. Proszę, Irene, nie przysparzaj mi problemów. Musisz mnie wspierać.

Ogarnął moje drżące ciało ramionami.

- Proszę, kochanie, nie miej jakichś niemądrych myśli. Nic nie zmieni tego, co do

ciebie czuję, nawet odrobinę. Proszę, zgódź się.

Nasza sytuacja finansowa była gorsza niż kiedykolwiek. Przymykałam jednak, że biorę tego mężczyznę na dobre i na złe. Cóż więcej mogłam powiedzieć?

-Verlan, to twoja decyzja - rzekłam ze złamanym sercem.

W ciągu następnego miesiąca, choć w duchu żywiłam niechęć, moje wyrzeczenie zostało wynagrodzone - Verlan był szczęśliwy.

Susan przyjechała z Chihuahua z wizytą. Przynajmniej widziała, w co się pakuje. W dodatku okazało się, że ją polubiłam.

Postanowili pobrać się w październiku w czasie kolejnej konferencji kościelnej w Colonia LeBaron. Do tego czasu Susan miała skończyć piętnaście lat. Termin nadchodził i Verlan zajął się niezbędnymi przygotowaniem. Która żona dostąpi tradycyjnego zaszczytu umieszczenia prawej dłoni Susan w dłoń męża? Esther mieszkała wciąż w Los Molinos. Charlotte i Lucy pracowały w San Diego. Beverly, czwarta żona, miała nietrudny wybór. Przeprowadziła się właśnie do dobudówki do Dużego Brązowego Domu, którą Verlan spekulacyjnie dla niej postawił. Wolała jednak sama zostać ze wszystkimi dziećmi, niż połączyć Verlana z nową żoną. Nie chciała brać w tym udziału.

Ja zaś błagałam o wakacje, od kiedy doktor Martinez mi je zalecił. Oto nadeszła moja szansa. Pragnęłam parę dni odpocząć.

Potrzeba ta była tak paląca, że osobiście zdecydowałam oddać kolejnej żonie rękę męża.

Verlan planował jechać tam prosto z San Diego. Harold Tippets zaproponował, że może mnie zabrać swoją dużą zieloną ciężarówką, lecz uprzedził, że będę musiała odbyć dwudziestogodzinną podróż w części bagażowej wraz ze wszystkimi członkami Kościoła, jadącymi na konferencję.

Walczyłam z porannymi nudnościami, kiedy ciężarówka przechylała się z boku na bok na wyboistych, szutrowych drogach.

Jechało nas razem osiemnaście osób. Ja usadowiłam się przy samym końcu, gdzie nie męczyła mnie klaustrofobia i mogłam swobodnie wymiotować za burtę. Byłam szczęśliwa, kiedy podróż dobiegła końca.

Z wdzięcznością skorzystałam z prysznic w domu teściowej w Colonia LeBaron. Potem wykończona rzuciłam się na łóżko. Verlan przyjechał następnego dnia, jak planował. Miał poślubić Susan za dwa dni, zaraz po ostatnim nabożeństwie niedzielnym na konferencji.

Nie widywałam go zbyt często - musiał być obecny na wielu zebraniach. Chociaż spał ze mną, wstawał przed szóstą i nie wracał na noc przed północą. Miałam nadzieję, że uda nam się spędzić razem trochę czasu, lecz mogłam się z nim zobaczyć albo w czasie obrad, albo gdy spał. W nocy więc leżałam cicho i patrzyłam na niego - jak robiłam to wiele razy dotąd. To smutny zwyczaj, znany w pełni tylko żonom poligamiistów.

Wczesnym rankiem w niedzielę Verlan poprosił, bym uprała mu dwie zmiany ubrania i przepakowała walizkę. Z teczką w ręku podszedł do mnie, gdy leżałam wciąż w łóżku.

- Irene, chcę wyjechać dziś w nocy, od razu po ślubie. Naprawdę cię Kocham i szczerze doceniam. Do zobaczenia wieczorem.

I już go nie było.

Słyszałam, że Susan ma brać ślub w tradycyjnej białej sukni, którą od kogoś pożyczła. Verlan, jak zwykle, w swoim szarym garniturze. Sama miałam tylko jedną sukienkę, która była jeszcze na mnie dobra - bawełnianą, w biało-czerwoną kratkę. Wybrałam ją spośród używanych ciuchów przywiezionych przez Verlana z Las Vegas. Byłam w ciąży po raz jedenasty i guziczki z przodu sukienki ledwo dopinały mi się na brzuchu. Musiałam pamiętać o tym, by w czasie ceremonii zasłaniać to miejsce ręką.

Próbowałam nie mieć samolubnych myśli. Od miesiący prosiłam Verlana o stroje ciążowe, których desperacko potrzebowałam.

Wiedziałam, że za pieniądze, które wyda na podróż poślubną z Susan, mogłabym się ubrać jak królowa. Czuję się beznadziejnie i nie na miejscu w swoim niedopasowanym, tanim ubraniu. Wyobraźcie sobie tylko - nie mieć się w co ubrać na ślub własnego męża! Biorąc pod uwagę okoliczności, nie było mi do śmiechu nawet w tak absurdalnej sytuacji.

Verlan był teraz przewodniczącym Kościoła Pierworodnych, dlatego większość osób z grona jego rodziny i przyjaciół słyszała o planowanym ślubie z Susan. Wiele z nich gratulowało mi przyszłej, nowej „siostrzanej żony”. Jeden ze starszych braci, Joseph Parson, powiedział do mnie z zazdrością:

- Ależ macie szczęście! To będzie cudny kwiat w niebiańskim bukietcie Verlana!

Pomyślałam sobie, że lepszym porównaniem byłby kaktus.

Musiałam jednak stać na straży wizerunku Verlana - tego ode mnie wymagano. Przykleiłam do twarzy sztuczny uśmiech i świeciłam przykładem dla reszty kobiet.

Wygłosiłam do siebie samej porządną mowę, gdy brzmiał ostatni śpiewany na konferencji hymn. „Nie komplikuj mu spraw! Na miłość boską, nie płacz! I niezależnie od wszystkiego zostań do końca przyjęcia”.

Od ślubu Lucy, to jest od czternastu lat, nie oddawałam nikomu ręki Verlana. To była katastrofa. Nie uczestniczyłam w zaślubinach Beverly i Esther, choć wyraziłam na nie zgodę (po oprostowaniu).

Może Bóg przebaczy mi potworne zachowanie podczas ślubu Lucy, jeśli teraz chętnie oddam męża Susan. Tak, to na pewno będzie dobre zadośćuczynienie. Wówczas byłam całkowicie załamana, zdruzgotana, ale wiedziałam przynajmniej, że Lucy też nie dostanie w ogóle seksu - chyba że dla celów prokreacji. Z żalem potrzęsiałam głową. To ja przekonałam Verlana, by zaspokajał moje potrzeby seksualne.

Spojrzałam na piętnastoletnią Susan, jeszcze dziecko, i wzruszyłam ramionami. Czy

byłam gotowa oddać ją mężowi, by zaspokajał i jej potrzeby?

Podziękowałam Bogu. Susan była przynajmniej ładna i mądra.

Każdy inny obecny tu mężczyzna oddałby za nią wszystko. Starłam się wzbudzić w sobie przychylność dla tego małżeństwa - przecież po ślubie z Susan od osiągnięcia upragnionego kworum siedmiu żon będzie Verlana dzielić jeszcze tylko jedna!

Pragnęłam, by w czasie tej próby ktoś trzymał mnie za rękę.

Poszłam więc po moją starą znajomą, Lindę, miejscową położną.

Pospieszaliśmy razem w stronę domu Wakehamów, gdzie miał odbyć się ślub. Ogromny salon zrobił na mnie wrażenie. Miał jakieś sześć na dziewięć metrów i otwierał się na jeszcze większą kuchnię. Jeśli goście ustawią się ciasno, zmieści się tu jakieś pięćdziesiąt - siedemdziesiąt osób.

W tym czasie faktem już powszechnie znanym było to, że w Colonia LeBaron żyje społeczność poligamiczna i że LeBaronowie otwarcie uznają poligamię za nieodłączny dogmat swej religii. Nikt nie przejmował się łamaniem prawa, ponieważ władze meksykańskie interweniowały tylko w przypadku, gdy poligamista wnosił oskarżenie do sądu lub popełniał przestępstwo. Dlatego żony Verlana po mnie mogły zapraszać na śluby gości i robić to wszystko, co robią państwo młodzi w dniu ślubu. Nikt nie musiał się już ukrywać, przemykać cichaczem i nagle zniknąć, szukać ustronnego miejsca w parku, by się pobrać, a potem utrzymywać tego faktu w tajemnicy przed bliskimi.

Linda usiadła na pierwszym krześle pod ścianą. Byłam zbyt zdenerwowana, by usiąść, więc stanęłam obok. Wszedł Verlan i zaczął witać pojawiających się gości. Rozglądał się po pokoju, wypatrywał mnie lub Lindy (wiedział bowiem, że będzie ze mną). Kiedy ją wreszcie zobaczył, podszedł i na chwilę przysiadł na krześle obok. Nachylił się do mnie i szepnął:

- Susan jest za domem. Jej ojciec, Vern, wprowadzi ją pod rękę, więc masz czas na przygotowanie.

Aby dodać mi otuchy, wziął mnie za rękę.

- Proszę, nie zawieź mnie na oczach tego całego tłumu. Bądź dzielna. Zrób to dla mnie. - Pocałował mnie w policzek. - Wynagrodzę ci to, obiecuję.

Już dwukrotnie chodziłam do toalety, ale byłam naprawdę zdenerwowana, i do tego w ciąży, co nie ułatwiało sprawy. Musiałam iść znowu. Kiedy skończyłam, poprawiłam przed lustrem włosy.

Specjalnie nie umalowałam oczu, żeby nie rozmazał mi się tusz, gdyby popłynęła jednak łza. Spojrzałam na swoje śliczne odbicie i przemówiłam do siebie pocieszająco: „Irene, wszystko jest w porządku.

Sprawuj się dobrze". Wzięłam głęboki wdech i wróciłam do zatłoczonego pokoju przygotowana do spełnienia swej religijnej powinności. Wysoko uniosłam głowę i pozdrawiałam gości, przechodząc posłusznie przez tłum i zajmując miejsce przy kominku u boku męża. Uśmiechnął się do mnie z aprobatą, ale nerwowo suwał stopą po podło-

dze i ścisnął dłonie.

Połowa zebranych gości nie uczestniczyła dotychczas w ślubie poligamisty. Ciekawi, chcący wszystkiego się dowiedzieć goście rozstąpili się, by mogła przejść panna młoda. Powietrze było przepełnione oczekiwaniem. Ktoś zaczął grać na pianinie „Oto nadchodzi panna młoda”. Pojawiła się Susan prowadzona pod rękę przez okrągłego, łysiego ojca, który uśmiechał się z satysfakcją do Verlana, dumny zapewne, że wydaje córkę za tak ważną osobistość.

Choć nasz Kościół, liczący sobie około setki wiernych, nigdy zbytnio się nie rozrósł, to przez te wszystkie biedne, kulawe lata, ci, co się do niego przyłączyli, uważali go za czysty dar niebios i najwyższą wartość.

Verlan jako przewodniczący Kościoła także cieszył się powszechnym uznaniem.

Susan z ojcem zbliżyli się do nas i zatrzymali. Dwie młodsze siostry dziewczyny trzymały jej tren. Piękna panna młoda w swej śnieżnobiałej sukni, z krótkimi platynowymi włosami wyglądała wprost anielsko.

Joel zaczął oficjalnie:

- Czy ty, siostrze Irene, bierzesz Susan za prawą rękę i...

- Tak - odparłam. Umieściłam prawą dłoń Susan w dłoni mego męża i przesunęłam się na bok, by mogła zająć należne przy nim miejsce. Teraz moją powinnością było usunąć się w cień. Oto znowu byłam intruzem. Powtarzałam sobie ciągle, że jestem zaledwie gościem na ślubie własnego męża.

Ze wszystkim sprawiałam się cudnie. Parę minut i uroczystość się skończyła. Verlan pocałował pannę młodą, a ja szybko znikłam w kuchni. Był to przecież dzień Susan. Przez cały czas wynajdywałam sobie zajęcia - podawałam ciasto i poncz - by nie mieć chwili na myślenie. Żartowałam i śmiałam się z innymi żonami poligamistów oraz ślubnymi gośćmi, mając nadzieję, że państwo młodzi wkrótce się oddalą, a ja będę mogła zrobić to samo.

- Chodź szybko, jeśli chcesz, żebym cię odwiózł - powiedział Verlan, przerywając mój wewnętrzny monolog. - Susan pojechała do domu się przebrać. Muszę jechać do matki po walizkę.

W drodze Verlan mnie wychwalał.

- Wszystko poszło znakomicie. Irene, doceniam to. Mam tylko nadzieję, że inne żony pokochają Susan tak mocno, jak ty, i z równą serdecznością przyjmą ją do rodziny.

Verlan przejrzał jeszcze raz zawartość walizki, by się upewnić, czy spakowałam mu rzeczy, o które prosił.

- Hej, a to co? - spytał, biorąc do ręki białą kopertę. Zobaczył na niej moje pismo i było jasne jak słońce, że go to ostro zezłościło.

- Chciałam się tylko pożegnać, to wszystko. Kto wie, kiedy się zobaczymy? Poza tym chyba nie masz o co się tak złościć.

- No, to szczęście, że tutaj to znalazłem. Nie chciałbym, żeby Susan odczuła, że jest

ci przykro. Nie zniosłaby tego...

Wówczas tama we mnie pękła.

- Ona by nie zniosła?! - krzyknęłam. - Jakaś cholerna piętnastolatka wychodzi za mojego męża, i ona by nie zniosła tego przeze mnie?

Wyszedł, żeby nie słyszeć reszty. Nie mogłam uwierzyć, że byłam aż taka wściekła. Małżeństwo poligamiczne miało mnie oczyścić, pomóc wyzbyć się zazdrości i egoizmu. Tymczasem było zupełnie inaczej. Cena ubóstwienia była po prostu za wysoka. Jeśli to miała być zapowiedź dalszego życia, moim pragnieniem było - zrezygnować.



Tydzień później Susan i Verlan wrócili z podróży poślubnej.

Zostawił ją u mnie w Ensenada do czasu, aż zdecyduje, gdzie umieścić nową żonę. Susan dorastała z córkami Verlana w Colonia LeBaron, więc była zachwycona, że znów spotyka Donnę, Laurę i Rheę. Były jej koleżankami. Często wydawało mi się, że decyzja Susan, by wyjść za Verlana, była spowodowana, przynajmniej częściowo, tym, że będzie w stałym kontakcie z koleżankami.

Donna z kolei nie była zadowolona z takiego stanu rzeczy.

Zwierzyła mi się, że dla niej to dziwne, że tatuś ożenił się z bliską koleżanką, zaledwie dwa lata starszą od niej.

- To tak, jakby tatuś ożenił się z własną córką - powiedziała.

Nie rozumiała męskiego podejścia, że czym młodsza żona, tym łatwiej ją ukształtować wedle oczekiwań męża.

Pierwsze dni Susan w naszym domu minęły całkiem dobrze.

Wkrótce jednak dowiedziałam się, że Verlan kupił jej nowe buty, podczas gdy jedyna para moich wprost rozpadała się na nogach. Byłam więcej niż zazdrosna - byłam po prostu wściekła! Potem zobaczyłam buty na własne oczy

Susan była wystarczająco dorosła i mądra, by poczuć moje emocje. Prawie się rozpłakała, gdy opowiadała mi, jak Verlan nalegał, by wybrała właśnie tę parę, buty jak dla starszej pani, a nie takie, które nosiły inne młode dziewczyny. Poczula się lepiej dopiero, gdy zaczęłyśmy żartować, jak to mężczyźni najbardziej lubią kobiety bose i ciężarne.

Przyłgnęłam do tej dziewczyny całym sercem, ponieważ mocno odczuwałam jej rozczarowanie. Wiedziałam, że wychodząc za mojego męża, dokonała właściwie ostatniego wolnego wyboru w życiu. Susan była prawdziwie niewinna i dlatego pokochałam ją miłością opiekuńczą, troskliwą, wręcz matczyną. Nigdy nie bywałam o nią zazdrosna. Zdobyła nie tylko serce Verlana, stając się jego faworytką, ale również moje.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY.

Zarówno poranne mdłości, jak zaostrzony stan żyłaków nie pozwoliły mi ani dnia dłużej sprawować opieki nad dwadzieściorciem sześciorciem dzieci. Byłam nie tylko wykończona fizycznie - często wydawało mi się również, że tracę głowę. Chciał nie chciał, dałam za wygraną.

Verlan bynajmniej tego nie pochwalał. Udzielił mi reprimendy za sam fakt, że wpadłam na coś podobnego. Zdruzgotana brakiem zrozumienia z jego strony, zażądałam, by przeniósł mnie z powrotem do Los Molinos, nawet do tej starej, zniszczonej przyczepy.

Potrzebowałam ciszy, spokoju i odpoczynku przed kolejnym, zbliżającym się porodem. Lucy rzuciła pracę w San Diego i z siódmką swych dzieci zamieszkała w Dużym Brązowym Domu, a Charlotte zabrała dziewięcioro swoich do siebie, do Tijuana.

Verlan uznał, że najlepiej będzie, jeśli zbuduje mi dom w Los Molinos. Ciężarówka wyładowana drewnem, gipsem i innymi materiałami budowlanymi wyruszyła z Ensenada na dwie godziny przed nami. Miałam ze sobą dziewięcioro dzieci, a do tego byłam wielka i ciężarna. Zabraliśmy pościel, ubrania i część sprzętów domowych, które należały się nam po podziale dóbr między mnie, Lucy i Charlotte. Wcisnęliśmy się do samochodu kempingowego, by odbyć dwu-i półgodzinną podróż do kolonii w Baja.

Zostaliśmy zaproszeni do mojej przyjaciółki Betty, która zapewniała mnie, że nie będziemy przeszkadzać siódemce jej dzieci.

Verlan twierdził, że ukończenie małego, trzypokojowego domku dla mnie i dla dzieci potrwa jeszcze zaledwie parę dni. Betonowe podłogi wylano już tydzień wcześniej, więc Yerlan, Yerlan Junior i znajomy, Rudolfo Gaytan, pracowali przy nim od świtu do zachodu słońca.

Dokładnie po sześciu dniach wprowadziłam się.

W łazience nie było sprzętów, na podłogach brakowało płytek i dywanów, ściany były niepomalowane ani niewytapetowane. W domu pociągnięto przewody elektryczne, licząc na to, że wkrótce kolonia otrzyma linię energetyczną. Dzieci były okropnie hałaśliwe, a ja nie chciałam dłużej siedzieć na głowie przyjaciółce, więc biwakowałam w

nieukończonym domu jeszcze przez tydzień, do ponownego powrotu Verlana. Tym razem przyjechał z nową zdobyczą - całym ładunkiem używanych mebli, kupionych na wyprzedazach garażowych. Miesiąc później wszystkie pokoje w moim domu były pomalowane. Minęło cztery i pół roku od czasu, kiedy wyprowadziłam się z nowego domu w górach.

Trudno mi było sobie wyobrazić, jak w dziesięć osób mamy się pomieścić w trzech pokojach. Muchy z zagrody dla kóz u sąsiada wlatywały całymi chmurami przez niezabezpieczone okna, a muszki, których było pełno na plaży, gryzły niemiłosiernie i wkrótce byliśmy wszyscy podrapani do krwi. Od oceanu szły chłodne podmuchy, tak przesycone wilgocią, że pranie nie schło na dworze. Słowem, czuło się, że się mieszka u Le-
Baronów.

Na szczęście pozwolono mi odbyć kolejny krótki urlop w San Diego, gdzie odwiedziłam znajomych. To oni kupili mi parę grana-towych spodni ciężowych i piękną granatowo-czerwoną bluzkę. Były to pierwsze nowe, kupione w sklepie ubrania ciężowe, jakie miałam w życiu. Pamiętam to wspaniałe uczucie - jakbym należała to prawdziwego świata.

Kiedy wróciłam do domu, Verlan ofuknął mnie, że jestem w spodniach. Następnie zakupił dla mnie dwa różne materiały, z których uszyłam sobie, jak zwykle, dwie sukienki ciężowe. Lecz nie posłuchałam go i na najważniejsze okazje ubierałam się zawsze w nowe spodnie i bluzkę. Jediną korzyścią jego ciągłej nieobecności w domu było to, że nie miał nade mną ścisłego dozoru.



Kilka miesięcy później zostawiłam całą moją gromadkę pod opieką Donny i pojechałam do Ensenada urodzić jedenaste dziecko.

Udałam się tam z tygodniowym wyprzedzeniem, gdyż byłam przekonana, że urodzi się najwyżej za dzień-dwa. Okazało się jednak, że urodziłam dopiero trzynaście dni po terminie. Beverly zaprosiła mnie do swego dwupokojowego mieszkania, które Verlan postawił dla niej w formie dobudówki do Dużego Brązowego Domu. Panował tam niebywały spokój, więc ogromnie wypoczęłam, ale jednocześnie strasznie się martwiłam, że dzieci zostały same na tak długo.

Martwiłam się, czy nie marzną w nocy. Był mglisty, chłodny kwiecień.

Dziesiątego kwietnia 1969 roku o piątej nad ranem obudził mnie nagły, ostry skurcz. Patrząc na zegarek, czekałam na następny. Ku mojemu zaskoczeniu, nie pojawił się. O, to było coś nowego.

O ósmej rano moja znajoma Juna zawiozła mnie do szwagierki, Jeannine, która mieszkała trzy przecznice dalej.

- Jeannine, proszę, zbadaj mnie, bo nie wiem, czy dziś urodzę - poprosiłam. - Miałam tylko jeden potężny skurcz.

Po badaniu Jeannine wykrzyknęła:

- Na miłość boską, lepiej szybko dzwoń do lekarza! Masz pełne rozwarcie!

W drodze powrotnej zatrzymałyśmy się w winnicy, skąd Juna zadzwoniła po doktora Corteza. Zanim skończyła rozmowę, nastąpiły kolejne, bolesne skurcze. Juna poprosiła doktora o natychmiastowy przyjazd. Popędziłyśmy z powrotem do mieszkania Beverly. Ja wydawałam polecenia, a Lucy i Beverly pomagały Junie przygotować łóżko do porodu, który, jak na razie, trwał dopiero dwadzieścia minut.

Z doktorem czy bez niego, dziecko szykowało się na świat.

Doktor Cortez wpadł dokładnie w chwili, gdy zaczęła rodzić się główka. Wypłukał ręce w misce z roztworem lizolu, który przygotowała dla niego Lucy, i w czasie następnego skurczu przyjął na świat moją cudną córeczkę. Poród trwał dokładnie dwadzieścia pięć minut.

Charlotte miała swego Verlana Juniora, Lucy - dziewczynkę Verłę, więc ja także czułam, że powinnam nadać choć jednemu dziecku imię po ojcu. Wymyśliłam oto, że do imienia męża dodam na końcu literkę „a”. Mała będzie mieć na imię Verlana.

Verlan przyjechał, kiedy dziecko skończyło tydzień, i zabrał mnie do domu, do Los Molinos. Zostałam wszystkie moje dzieci przeziębione i z gorączką. LaSalle miał ropne zapalenie ucha. Właśnie urodziłam jedenaste dziecko, a musiałam wziąć się do ostrego leczenia dziesięciorga starszych. Nie udało mi się natomiast spędzić chociaż chwili z mężem. To nie była moja kolej. Podwiózł mnie tylko do domu i pojechał na noc do Esther, która nie widziała się z nim od miesiąca.

Dzieciaki bardzo ucieszyły się z mojego przyjazdu, szczególnie Donna, która przez cały czas mojej nieobecności dźwigała cały dom na swoich barkach. Włożyłam noworodka do łóżeczka i pozwoliłam najmłodszej piątce obsiąść moje łóżko ze wszystkich stron, by nadrobić zaległości w przytulaniu i pieścizotach.

Nie minęło wiele czasu, kiedy Verlan stwierdził, że powinnam pomóc Lucy zajmować się Dużym Brązowym Domem w Ensenada i przejąć część obowiązków związanych z przyjmowaniem przejezdnych gości, którzy bez ustanku tam się zatrzymywali. Przeprowadziłam się więc z powrotem.

Kuzyn Verlana, Theron Leany, był dla nas jak brat. Przez szesnaście lat zatrudniał Verlana w Las Vegas w firmie malarskiej.

Żaden inny członek Kościoła nie płacił nań większych składek i nie poświęcał się bardziej dla szerzenia Królestwa Bożego. Jego pierwsza żona, Helen, i dziewiątką z jedenastki dzieci, mieszkali w Los Molinos.

Widywali go tylko w soboty i niedziele, kiedy, podobnie jak Verlan, przyjeżdżał do domu.

Dziesiątego maja 1969 robiłam właśnie pranie, kiedy zobaczyłam nadjeżdżający - sądząc po chmurach unoszącego się w dali pyłu, szybciej niż zwykle - samochód naszego bliskiego znajomego, Lane'a Stubbsa. Instynkt podpowiedział mi, że to będzie zła wiadomość, więc wybiegłam mu na spotkanie. Nie dobiegłam nawet jeszcze za róg

domu, kiedy Lane wyskoczył z samochodu.

- Szybko, wsiadaj ze mną, jedziemy! Theron miał wypadek.

Karetka wzięła go do szpitala!

Upuściłam mokre ubrania, szybko się przebrałam, wydałam Donnie instrukcje i pojechaliśmy do szpitala.

Theron leżał nieprzytomny, dla bezpieczeństwa przywiązany do metalowego łóżka za nadgarstki i kostki u nóg. Poczułam ulgę, gdy się przekonałam, że nie jest cały czarno-fioletowy i opuchnięty, jak ofiary wypadków, które widziałam do tej pory. Byłam pewna, że Theron wkrótce się obudzi i zabiorę go do domu.

Nagle drgnął, wyrrywając niemal wenflon z nadgarstka.

Głaskałam go po rękach, chcąc go uspokoić, a jednocześnie wpatrywałam się w glukozę, kropla po kropli ściekającą do przewodu, który prowadził do jego ramienia.

Nikt nie pracował ciężiej od Therona, nikt też nie był równie aktywny. Prawdopodobnie nigdy się nie wysypiał. Choć wiedziałam, że jest nieprzytomny i mnie nie słyszy, powiedziałam:

- Theron, chyba wreszcie odpoczniesz sobie tyle, ile trzeba.

Na tym samym oddziale leżało jeszcze siedmiu mężczyzn. Na lewo ode mnie był człowiek tak mocno poparzony, że nie sposób było odgadnąć jego wieku. Bez przerwy jęczał i płakał z bólu. Zaczęłam z nim rozmawiać po hiszpańsku, lecz pojawiła się rumiana, pyzata pielęgniarka z gazą i różnymi buteleczkami. Wyprosiła mnie z sali, by zmienić mu opatrunki.

Poklepałam Therona po zimnych stopach i niechętnie wyszłam.

Nie chciałam zostawiać go samego. Wysłałam Lane'a do telefonu, by zadzwonił do Vegas i poinformował syna Therona, Terry'ego.

Potrzebowaliśmy także pieniędzy na kaucję, by szesnastoletni syn Therona, Dale, mógł opuścić areszt. W Meksyku kierowca, który brał udział w poważnym wypadku samochodowym, automatycznie idzie do aresztu, a Dale właśnie prowadził. Córka Therona, Debby, również była poszkodowana i leżała na oddziale kobiecym z pogruchotaną stopą.

Wiedziałam, że Theron miał ubezpieczenie zdrowotne, i chciałam, by został przewieziony karetką do San Diego, gdzie mógłby otrzymać znacznie lepszą pomoc. Rozmawiałam o tym z doktorem Martinezem, lecz on z góry wykluczył taką możliwość.

- Jest zbyt ciężko ranny, byśmy mogli go gdziekolwiek przewozić. Jeśli weźmie pani na siebie odpowiedzialność, wykonamy teraz rentgeny i zapewnimy mu wszystko, co tylko możliwe, na miejscu.

Podpisałam niezbędne dokumenty. Wyszliśmy na korytarz, gdzie doktor opisywał mi kolejne procedury. Naszą uwagę przyciągnął specyficzny odgłos wózka, na którym dwie pielęgniarki wywoziły właśnie kogoś z oddziału męskiego. Ciało było okryte prześcieradłem.

- O, właśnie ktoś umarł... - westchnął doktor. Miałam nadzieję, że to nie biedak z poparzeniami.

Wróciliśmy na oddział z zamiarem przewiezienia Theron na prześwietlenie. Ku naszemu zdumieniu jego łóżko było puste.

Zwróciłam się do poparzonego:

- Przepraszam, dokąd go zabrali?

Odpowiedział:

- Umarł dokładnie w tej chwili, kiedy pani wyszła.

Pobiegłam na korytarz. Nie mieściło mi się to w głowie.

Przecież potrzebowaliśmy Theron. Kościół go potrzebował. Jakże Bóg mógł zabrać człowieka tak pełnego życia?

Oparłam się o ścianę, płakałam i modliłam się:

- Nie, Boże, nie! Proszę, niech to nie będzie prawda!

Doktor Martinez objął mnie ramieniem.

- Umarł. Proszę się wziąć w garść. On już spoczywa w pokoju.

W głowie mi szumiało. Musiałam iść poszukać Lane'a. Czekałam na chodniku przed szpitalem, miałam nadzieję, że wróci za moment.

Ciemnoskórzy przechodnie kiwali do mnie z szacunkiem głowami, mówiąc po hiszpańsku:

- Szczęśliwego Dnia Matki.

Aż zatkało mnie z wrażenia. Biedna Helen! Bałam się straszliwie chwili, kiedy trzeba będzie przekazać jej tragiczne wieści, szczególnie że był to Dzień Matki.

Nie zauważyłam Lane'a, dopóki nie stanął tuż przy mnie.

Rzuciłam się w jego ramiona i rozpłakałam.

- On nie żyje, Theron nie żyje!

Lane stał jak głaz.

- Lane, musisz jeszcze raz zadzwonić do Terry'ego, powiedzieć mu, że jego ojciec nie żyje. Ja tego nie zrobię!

Pokręcił głową.

- Ja tym bardziej. Właśnie mu przekazałem, że Theron z tego wyjdzie i że wszystko jest pod kontrolą. Nie zadzwonię ponownie. Ty musisz.

Telefon odebrała Sherry, córka Theron. Była zaskoczona, że znowu dzwonicie.

- Sherry - zaczęłam - mam złe wieści...

Nigdy nie zapomnę jej płaczu. Zaczęłam płakać razem z nią.

Czułam się podle, że zrzucam na nią swoje emocje, ale kochałam Theron jak brata. Ja również byłam zdruzgotana.

Lane poprosił teścia, by zawiózł go do odległego o trzy godziny jazdy Los Molinos - trzeba było zawiadomić Helen i dzieci. Ja popędziłam do domu - do sprzątania, gotowania i ścielenia łóżek dla wszystkich, którzy w ciągu następnych godzin zaczną się

zjeżdżać na pogrzeb.

Tego samego wieczoru udałam się raz jeszcze do szpitala, by przekazać tragiczną wieść Debby. Gdy tam byłam, Verlan wrócił na weekend do domu. Nasza Donna powiedziała mu, co się stało, więc przyjechał do mnie do szpitala. Od razu zaczął mnie namawiać, bym udała się z nim do kostnicy:

- On na pewno nie umarł - mówił z nadzieją. - Bóg za bardzo potrzebuje go tu, na ziemi. Musiało zajść jakieś nieporozumienie.

Verlan skrzywił się, kiedy zobaczył nagie ciało Theron. Z niedowierzaniem pokręcił głową, a potem potwierdził to co ostateczne:

- Rzeczywiście nie żyje. Tak, na pewno nie żyje.

Siedzieliśmy z Verlanem w samochodzie pod kostnicą i dopiero tam mój mąż pozwolił sobie na łzy.

- Theron był moim najlepszym przyjacielem - żalił się. - Był po prostu zbyt doskonały, żeby żyć. O, jak bardzo będę za nim tęsknił!



Drugiego września 1969 wróciłam do domu, do Dużego Brązowego Domu, odnowiona. Verlan zaprosił mnie do kina, a potem do meksykańskiej knajpki. Niezwykle rzadko zdarzała się okazja, kiedy mogliśmy wybrać się gdzieś we dwoje. No i nie byłam w ciąży?

Czułam się jak panna na wydaniu. W kinie trzymaliśmy się za ręce, tak po prostu z radości, że jesteśmy razem. Jego zabiegania o mnie zdjęły mi ogromny ciężar z ramion. Po raz pierwszy od lat czułam, że nasz związek ma jeszcze szanse - mimo wszystkich problemów.

Zanim wysiedliśmy z samochodu, pocałował mnie. Potem przytulił i powiedział:

- Irene, bez ciebie nigdy bym sobie nie poradził. Naprawdę kocham cię za to wszystko, co zrobiłaś i robisz dla naszej rodziny.

Następnego dnia rano Verlan wyładował z bagażnika swej pół-ciężarówki duży karton. Zawierał on trzydzieści par używanych butów ze sklepu z używaną odzieżą. Gromada rozochoconych dzieciaków łapała co popadnie - każdy po dwie pary - kiedy wysypał wszystko na podłogę w salonie.

Verlan zostawił mi, jak zwykle, pięćdziesiąt dolarów na utrzymanie (podniósł mi tę kwotę z dwudziestu dolarów ze względu na liczne potomstwo) i pożegnał się z nami. Był wczesny niedzielny wieczór. Spieszył się, bo przed przekroczeniem granicy w San Diego, chciał jeszcze zajrzeć do Charlotte i dzieciaków w Tijuana.

Cztery godziny później nieoczekiwanie powrócił. Wystarczyło, że na niego spojrzałam, a już wiedziałam, że przywozi niedobre wiadomości.

- Kto to, Verlan? Kto umarł?

- Twoja matka. Umarła na atak serca w Montanie.

- Niemożliwe, moja matka? Jak to? Przecież ma dopiero pięćdziesiąt dziewięć lat!

- Charlotte mi o tym powiedziała, kiedy tylko do niej przyjechałem. Twoi bracia jadą właśnie do Montany, żeby przywieźć ciało matki do Salt Lake City. Tam będzie pochowana.

Verlan objął mnie.

- Tak mi przykro, ale chyba nie pojedziesz. Zresztą pewnie będzie tylko skromna uroczystość przy grobie.

- Co ty gadasz, jak to nie pojedę? To moja matka! Nie powstrzymasz mnie!

- Lucy nie może rzucić pracy tylko dlatego, żeby się zająć twoimi dziećmi.

- No to ty się nimi zajmij! To twoje dzieci, a ja pojedę!

Płakałam strasznie, zwijając się jak w konwulsji.

- Zawsze żyłeś blisko swojej rodziny, matkę miałeś na wyciągnięcie ręki. Dlaczego mi nie pozwoliłeś do niej jechać wtedy, w lecie, jak chciałam? A teraz ona nie żyje!

Verlan poszedł otworzyć drzwi. Przyszły dwie żony Joela, Gaye i Priscilla.

- Gdzie Irene? - spytała Gaye.

- Wstydzi się wyjść. Jej matka zmarła i Irene płacze, bo nie może jechać na pogrzeb.

- Jak to nie może? Zwariowałeś? - zdziwiła się Gaye.

- No, ma obowiązki. Przecież trzeba się zająć dziećmi.

Obie kobiety natychmiast pośpieszyły ku mnie i zaczęły mnie pocieszać. Wszystko było ustalone w ciągu paru minut. Obydwie zostaną i zajmą się dziećmi, dopóki nie wrócę.

Po dwudziestu minutach wraz z Verlanem wyszliśmy. Po drodze do Tijuana błagałam go, by pojechał ze mną na pogrzeb, żebyśmy mogli wziąć w nim udział razem. Moja rodzina zawsze krzywo patrzyła na LeBaronów i chciałam, żeby pojechał, bym mogła dumnie kroczyć u jego boku i tym samym dać do zrozumienia wszystkim moim krewnym, że lepiej zrobią, jeśli go zaakceptują.

- Nie mogę, wiesz, że muszę iść do pracy. Wsadzę cię do autobusu w San Diego. Pojedziesz do Las Vegas, a stamtąd zabierze cię twoja siostra Becky z mężem.

Zatrzymaliśmy się u Charlotte tylko na tyle czasu, ile potrzebowała, by znaleźć mi coś sensownego do włożenia na pogrzeb.

Dała mi granatowo-białą bawełnianą sukienkę w kratkę, o rozmiar na nią za dużą, rajstopy i torebkę. Pożyczyła mi parę swoich butów.

Kiedy dojechałam do Salt Lake City, mój starszy brat Richard oznajmił, że dzwonił Verlan - jednak załatwił wszystko tak, by móc być na pogrzebie. Jechał właśnie do nas wraz z moją córką Donną i Verlanem Juniorem.

Serce podchodziło mi do gardła, gdy wraz z Becky i Richardem jechaliśmy do domu pogrzebowego. Na palcach weszliśmy do sali, gdzie wystawia się ciało. Pozostała trójka naszego rodzeństwa - Douglas, Roger i Erma - trwali właśnie ramię w ramię przy trumnie matki. Byliśmy razem, zjednoczeni, pierwszy raz od dzieciństwa.

Matka musiała umrzeć, żeby do tego doszło. Kiedy tak razem patrzyliśmy na jej ciało, nagle poczułam, jak bardzo się za nimi wszystkimi stęskniłam.

Byłam zdumiona, że tak staro i blado wyglądała nasza matka. W młodości była piękną kobietą! Miałam nadzieję, że pewnego dnia osiągnę jej siłę i mądrość. Teraz chciałam się jej wypłakać, poprosić, by przebaczyła mi mój upór, wytłumaczyć, czego nauczyło mnie życie.

Chciałam jej wyznać, że wiedziałam, że przez te wszystkie lata cierpiała samotnie. Na swój nieporadny sposób, chciałam jej powiedzieć, że ją kocham. Było jednak za późno.

Życie pokazało mi surowe oblicze. Matka nie zdołała mnie uchronić - nie byłam wtedy w nastroju, by jej słuchać. Przekazała mi jednak odwagę i wiedzę. Jej mądrość i piękno miały ze mną pozostać przez lata i przypominać mi o niespłaconym wobec niej długu.

Żal do dziś ścisza mi gardło, kiedy śpiewam jej ulubioną piosenkę „Malując chmury słońcem”. Często słyszę jej uroczy głos - śpiewa piosenkę, której nikt inny nie śpiewał: „Udaję, że jestem radosna, ale nigdy się tak nie czuję. Tylko maluję chmury blaskiem słońca”. To matka nauczyła mnie śmiać się z życia. A przez lata miałam wiele możliwości, by malować niezliczone chmury blaskiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY.

Jestem pewna, że Verlan na swój sposób kochał nas wszystkie.

Zwariował jednak dopiero na punkcie Susan. Nie musiał nawet nam mówić - wi-
działysmy same, że została jego ulubienicą. Był w niej szaleńczo zakochany i nie dało
się tego ukryć. Potrzebowała go, a on wręcz rozkwitał przy niej. Podejrzewam, że czuł
się młody i pełen życia u boku tak pięknej, młodziutkiej kobiety. Susan była jak lalka.
Każdy mężczyzna byłby dumny, mając ją przy sobie.

Susan poznała życie w społeczności poligamistów, dorastając w Colonia LeBaron.
Jej ojciec miał dwie żony, więc teoretycznie takie życie powinno być dla niej czymś
naturalnym. Samo jednak praktykowanie poligamii, zwłaszcza gdy mąż miał już pięć
starszych żon i całe rzesze dzieci, stanowiło nie lada wyzwanie dla większości mło-
dych dziewcząt, nawet tych urodzonych w Regule.

Zostałyśmy przyjaciółkami. Z czasem zaczęłyśmy wyznawać sobie nawzajem sprawy,
o których obie nie mówiłyśmy nikomu innemu. Rozmawiałyśmy o swych wątpliwo-
ściach i pragnieniach, przyznałyśmy się przed sobą nawzajem, że świetlana Reguła, na
której oparte były fundamenty naszej wiary, nie przynosiła nam w rzeczywistości satys-
fakcji. Obydwie pragnęłyśmy mężczyzny na własność i normalnego życia, Bóg jednak
miał - jak się wydawało - zupełnie inne plany.



Przybrana córka Joela, Lillie, była przeznaczona na siódmą żonę Yerlana, lecz mu-
siało upłynąć sporo czasu, zanim Bogu udało się to zrealizować. Dwa lata przed ślu-
bem Verlana z Susan, kiedy Lillie miała siedemnaście lat, zaręczyła się z Verlanem, a
potem nagle zmieniła zdanie. Czas mijał, a Lillie stała się śliczną ciemną blondynką.
Choć miała wciąż dopiero dziewiętnaście lat, czuła już presję, że powinna wyjść za
mąż, zanim zostanie starą panną (w oczach społeczeństwa). A żeby jeszcze bardziej to
wszystko skomplikować, była zakochana w pewnym przystojnym chłopaku, równie
młodym, jak ona. Bracia jednak doradzali jej, by wybrała raczej kogoś z większym do-
świadczeniem, kogoś, kto od razu wyniesie ją do chwały, a nie człowieka, który albo

nie robi tego wcale, albo dopiero wtedy, gdy zacznie stosować Regułę i znajdzie po drodze inne żony. Wszyscy się zgodzili, że tym kimś jest Verlan.

Verlan, żonaty już sześciokrotnie i ojciec trzydziściorga trojga dzieci, uważał się za dobrą partię - mógł zapewnić niebo kolejnej żonie.

Nie było wątpliwości, że chciał spróbować, zwłaszcza że Lillie dopełniłaby kworum żon. Zgodnie z naszą wiarą gwarantowało to mężczyźnie, że zostanie bogiem.

Zdumiałam się, kiedy Lillie zdecydowała się mimo wszystko go poślubić. W pełni zdawała sobie sprawę z naszego ubóstwa i nękającej nas na co dzień samotności. Byłam jeszcze bardziej zdziwiona, kiedy Verlan wyznał mi, że Lillie wyraziła życzenie, bym nie brała udziału w ślubie. Powiedział, że chciałyby poprzestać na małej, prywatnej uroczystości, co oznaczało, iż nie byłam mile widziana. Nie rozumiałam tego. Kiedy Lillie spędziła rok w Ensenada, chodząc tam do szkoły, byłam dla niej jak matka, zawsze starałam się dopilnować, by miała wszystko, czego potrzebuje. Nawet kupiłam jej pierwszy biustonosz. Była najlepszą koleżanką mojej Donny. Szczególnie zabolął mnie fakt, że zaprosiła na ślub inne żony Verlana.

W końcu zrozumiałam, że Lillie była o mnie zazdrosna.

Powiedziała Verlanowi, że zbyt często bywam w centrum uwagi, więc nie chciała, bym przyćmiła najważniejszy dzień jej życia. Bolało mnie, że Verlan pozwala Lillie odsunąć mnie tylko z powodu zazdrości.

Bardziej jednak zabolęło mnie jej niegrzeczne zachowanie. Teraz musiała konkurować nie tylko z Susan - najmłodszą i najpiękniejszą żoną Verlana - ale także ze mną.

Lillie uszyła sobie suknię ślubną z białej satyny. Ich ślub odbył się 15 stycznia 1971 w San Diego, w otoczeniu rodziny i przyjaciół.

Ceremonia przyciągnęła większą uwagę niż którykolwiek z dotychczasowych ślubów Verlana. Wszyscy wiedzieli bowiem o tym, że żeniąc się z siódmą żoną, Verlan gwarantuje sobie miejsce w niebie.

Starałam się nie rozpamiętywać zanadto faktu, że mój ślub odbył się w ukryciu i był niezwykle prosty - pod drzewem, bez prezentów, gości i w pożyczonej od Charlotte garsonce. Jedynym pocieszeniem było to, że Verlan spełnił w końcu swoje marzenie. Teraz, gdy zapewnił już sobie (i nam) zbawienie, nie będzie szaleńczo poszukiwał kolejnych żon.

Teraz zostało mu doczekać się jeszcze siedemnaściorga dzieci - i wtedy dokona w życiu wszystkiego, do czego został posłany.



Po ślubie z Lillie rodzina Verlana pomnażała się szybciej niż kiedykolwiek. Dla mnie był to okres na tyle męczący, że z niechęcią odniosłam się do kolejnego projektu Verlana - a mianowicie do nowej misji, na którą pragnął wyruszyć w imię Boże. Błagałam, by został w domu. Potworne było już samo dzielenie go z sześcioma innymi żonami - jeśli przyjdzie mi dzielić go jeszcze z Bogiem, nie zniosę tego. Verlan upierał się

jednak, bo u niego Bóg miał zawsze pierwsze miejsce, przed jakąkolwiek kobietą i jakimkolwiek ziemskimi powinnościami.

Wiedziałam, że Kościół nie wysyła kobiet na misje. Misją kobiety jest pozostanie w domu i indoktrynacja dzieci. Mimo wszystko, kiedy Verlan pakował się na wyjazd, droczyłam się z nim dla samego droczenia. Gdy usiłował wyjść, zatrzymywałam go i błagałam:

- Proszę, pozwól mi też jechać na misję.

- Nie - odpowiedział, próbując mnie odsunąć. - Wiesz, że musi mi towarzyszyć mężczyzna.

- Mam lepsze kwalifikacje niż większość mężczyzn - odparłam, wypinając pierś. - Patrz, byłby ze mnie naprawdę przydatny towarzysz.

Zaśmiał się, lecz moje kwalifikacje w niczym mi nie pomogły, bo wyszedł.

Kiedy Verlan przebywał na misji, modląc się i usiłując poszerzyć zastępy wiernych naszego Kościoła, napisałam do niego: „Kochasiu, jeśli przyjechałbyś do domu i pobył ze swoimi siedmioma żonami, dalibyśmy radę naprodukować więcej nowych wiernych, niż kiedykolwiek uda ci się zdobyć na misjach”.



Światowa Misja Kościoła Baptistów otworzyła małą klinikę jakieś 30 kilometrów na południe od nas, w San Quintin. Byłam znowu w Los Molinos, w ciąży po raz dwunasty. Cieszyłam się z nowych lekarzy - baptystów. Na ścianie baraku, w którym mieściła się klinika, widniał napis: El Buen Pastor, czyli Dobry Pasterz. Były tam tylko trzy łóżka szpitalne, w tym jedno porodowe.

Był 3 listopada 1971 - termin mojego porodu. Ponieważ poprzedni poród trwał zaledwie dwadzieścia pięć minut od początku do końca, postanowiłam udać się do kliniki, zanim jeszcze poczuję jakiegokolwiek bóle. Kiedy przyjechałam, lekarz nie miał miejsca, by mnie zbadać. Wszystkie łóżka były zajęte - leżały tam kobiety świeżo po porodach. Doktor Cano poprosił jednak swego asystenta, by odwiózł jedną z nich do domu i w ten sposób łóżko się zwolniło.

Pielęgniarka pomogła mi na nie wejść i przygotowała mnie do porodu. Doktor i pielęgniarka, nim zaczęli swe zabiegi wokół mnie, pomodlili się nade mną, by Bóg prowadził ich ręce. Następnie lekarz wstrzyknął mi do żyły substancję wywołującą poród. W dokładnie czterdzieści pięć minut urodziłam Setha Michaela, ważącego prawie cztery i pół kilo. Ponieważ dziecko było tak duże, po raz pierwszy w życiu założono mi szwy.

- Proszę leżeć spokojnie. Za parę minut skończę - odezwał się doktor Cano. - Muszę tylko założyć trzy, może cztery szwy.

Choć byłam wciąż odurzona po znieczuleniu, nie straciłam ochoty do żartów:

- Doktorze, a może zrobimy niespodziankę mojemu mężowi?

Proszę po prostu zaszyć całość.

Po urodzeniu Seta rozchorowałam się na kilka tygodni. Miałam zakrzepy w żyłach i istniało niebezpieczeństwo dalszych powikłań.

Zabrała mnie do siebie moja przyjaciółka Betty. Troszczyła się o mnie bardzo - kupiła mi nawet koszulę nocną i szlafrok. Była to pierwsza koszula, jaką miałam od czasu, gdy Charlotte podarowała mi koszulę na podróż poślubną. Równie zachwycona byłam turkusową satyną szlafroka.

Kiedy wyzdrowiałam, udałam się z Verlanem na dwa dni do San Diego. Podczas mojej nieobecności czternastoletni Andre miał atak wyrostka robaczkowego. Donna pojechała z nim do kliniki baptystów, gdzie natychmiast go zoperowano, co samo w sobie zasługiwało już na miano cudu. Lekarze przylatywali ze Stanów, by operować, tylko raz w tygodniu i właśnie w tym dniu przytrafiła się ta historia. Kiedy lekarze zobaczyli, jak chłopiec zwija się w bólu, odwołali zaplanowane zabiegi i niezwłocznie się nim zajęli.



Kiedy Seth miał zaledwie cztery miesiące, przez kilka dni miał gorączkę i ból ucha. Było mglisto, zimno - środek lutego. Jedyнным źródłem ogrzewania całego naszego domu był grzejnik gazowy, ustawiony w mojej sypialni. Kołysałam płaczącą niemowlę, dopóki oczy nie zaczęły same mi się zamykać.

Na dworze właśnie dniało, gdy wczołgałam się do łóżka między dwie córki - najstarszą Donnę i dwuletnią Verlanę. Musiałam zdrzemnąć się choć parę minut, zanim trzeba będzie budzić dzieci do szkoły.

Jak z odległego snu dotarł do mnie fakt, że Verlana spada z łóżka na zimną, betonową podłogę. Było to odczucie na tyle dalekie, nierealne, że nie potrafiłam zareagować. Nie wiedziałam, że muszę ją podnieść. Mała nie zapłakała, nie próbowała wstać. Wydawało mi się, że wciąż głęboko śpię, kiedy jakiś głos powiedział do mnie:

- Irene, natychmiast wstawaj, bo zaraz będzie za późno.

Próbowałam się poruszyć, ale ciało odmówiło mi posłuszeństwa.

Głos znowu mnie ostrzegł:

- Wstawaj natychmiast!

Zmusiłam się i spuściłam nogi z łóżka. Z trudem wstałam.

- Donna! - zawołałam i od razu zasłabłam. Upadłam na podłogę.

Donna w tej samej chwili odrzuciła kołdrę, zobaczyła swoją siostrzyczkę i mnie na podłodze.

- Steven! Steven! - krzyknęła i również potoczyła się na ziemię.

Steven zza korytarza usłyszał nasze wołania. Otworzył drzwi do pokoju, ujrzał nasze ciała na podłodze i uświadomił sobie, że zatruliśmy się gazem. Natychmiast wyłączył grzejnik i lampę gazową, a potem otworzył szeroko okna. Porwał na ręce nieprzytomną malutką siostrę i wyniósł ją do salonu. Wówczas w pokoju byli już Andre, Brent i Kaylen. Usiłowali wywlec mnie i Donnę. Zabrali też z łóżeczka małego Seta.

Kiedy odzyskałam przytomność, byłam niezwykle słaba i miałam potworny, nieznośny ból głowy. Moje paznokcie z braku tlenu zsiniały. Andre zawiózł nas do kliniki, gdzie przez cały dzień cierpialiśmy z powodu nudności i zawrotów głowy. Mimo wszystko jednak byliśmy wdzięczni za to, że przeżyliśmy i że wszystko dobrze się skończyło.



Doktor Cano bardzo troszczył się o moje zdrowie. W nogach nabrzmiało mi, a nawet pękło, kilka żył. Kosztowało mnie to wiele cierpienia. Wy tłumaczył, jak bardzo jest ważne, bym nie zaszła znowu w ciążę. Nalegał, bym na następną wizytę przysłała z mężem.

Wydawało mi się, że mam szczęście - udało mi się spełnić nakaz doktora i nakłonić Verлана, by pojechał ze mną na wizytę. Później jednak bardzo się wstydziłam reakcji męża na słowa doktora, który spytał:

- Dlaczego pozwala pan, by ta biedna kobieta tak często zachodziła w ciążę? Proszę tylko spojrzeć na jej żyły. Jest za młoda, by mieć tyle dzieci. Myślę, że powinni państwo zacząć stosować jakąś formę zapobiegania ciąży.

Verлан się rozgniewał.

- My w to nie wierzymy! Naszym celem jest rozmnażanie się i zaludnienie ziemi! - Wstał i na odchodnym dodał: - To nasza prywatna sprawa, ile mamy dzieci.

Poszliśmy do samochodu. Usiadłam obok niego - wiedziałam, że jest w złym humorze.

- Ten doktor zbyt troszczy się o ziemskie sprawy. Nie chcę, żebyś więcej do niego chodziła. Poza tym znam lepsze rozwiązanie tego problemu. Po prostu nie będę już z tobą sypiał. W ten sposób nie będę narażał cię na pokusę i na pewno już więcej nie poczujesz.

Byłam zdruzgotana. Oto proszę, urodziłam mu dwanaścioro dzieci, pozwoliłam ożenić się z pięcioma innymi kobietami (a dwóm z nich oddałam go osobiście) i teraz, kiedy mam zaledwie trzydzieści trzy lata, on mnie odpycha. Dla mnie był to sygnał końca naszego małżeństwa.

Tylko Bóg wiedział, jaki zamęt wywołało to w moim sercu.

Wieczorami chodziłam na odległą o trzy kilometry plażę, gdzie nikt nie widział ani nie słyszał, jak leżałam na piachu, płakałam i wołałam do Boga. Uciekała ze mnie cała nadzieja. Czułam się wykorzystana i porzucona.

Nadeszło lato. Musiałam choć na chwilę oderwać się od nękających mnie problemów, pożyczylam więc samochód Verлана i pojechałam porozmawiać z okolicznymi rolnikami. Chciałam zdobyć za darmo więcej produktów drugiego sortu. Do domu wróciłam z ładunkiem kalafiorów, brukselki i ziemniaków. Starsze dzieci pomagały wycinać zepsute części ziemniaków, które potem odkładaliśmy na słońce, by nacięte miejsca zaschły. Pakowaliśmy je następnie do worków i umieszczaliśmy w spiżarni.

Verlan poświęcał mi uwagę tylko wtedy, gdy chciał pochwalić mnie za pomysłość. Był wdzięczny, że pomagałam mu wykarmić jego ogromną rodzinę. Wiedząc, jak bardzo ceni jedność między nami, żonami, a także ponad wszystko pragnąc odzyskać jego łaski, dbałam, jak tylko mogłam, o nas wszystkich.

Kiedy walczyłam z depresją, myślałam często o tym, jaka przyszłość czeka moją śliczną Donnę. Miała dopiero siedemnaście lat, a już o jej rękę prosiło co najmniej dziesięciu mężczyzn. Niektórzy powoływali się na objawienia boskie. Że ja wybrałam sobie takie życie, to jedno, ale myśl o tym, że będą je musiały znosić również moje ukochane dzieci, napawała mnie grozą. Żadna nagroda - ani na ziemi, ani w niebie - nie była warta rozczarowania, jakiego doznałam.

Zatoczyłam pełne koło dokładnie do miejsca, w którym znalazła się moja matka, kiedy rozmawiałam z nią wtedy w piwnicy. Były tylko dwie różnice - po pierwsze, na pewno nie zamierzałam wpajać dzieciom prawdy o Regule w sposób, jakiego ode mnie oczekiwano, po drugie, Donna sama już wiedziała, że nie chce mieć z nią nic wspólnego.

Verlan, jako przewodniczący Kościoła i ojciec siedmiu rodzin, miał zawsze ręce pełne roboty, a uwagę skierowaną na osobę, która w danej chwili była w największej potrzebie, lub sprawę, która była najpilniejsza. Odkryłam w końcu, że siedząc cicho i wspierając go, sprawiam wrażenie, że jestem w pełni zadowolona i nie mam poważniejszych kłopotów. Kiedy nauczyłam się już polegać na sobie samej, okazało się, że mąż pomija mnie coraz bardziej i bardziej.

Największą oczywiście stratą był ustawiczny brak męzowskiego dotyku i bliskości - choćby raz w miesiącu. Byłam tego całkowicie pozbawiona, a wiedziałam, że w tym samym czasie Verlan zażywa seksualnych rozkoszy z innymi.

Codziennie modliłam się do Boga, by pozwolił mi umrzeć.

Verlan przyjechał do mnie i próbował wlać we mnie trochę otuchy.

Tłumaczył, że teraz, kiedy nasze życie seksualne się skończyło, muszę zacisnąć zęby i cieszyć się dziećmi. Przywarłam do niego, błagając, by się ze mną kochał. Piętnaście miesięcy abstynencji to dla mnie za długo. Skąd miałam wiedzieć, że jeszcze mnie potrzebuje? Skłamałam i zaręczyłam, że na pewno nie zajdę w ciążę, bo następnego dnia spodziewam się okresu. Ostatecznie Verlan poddał się i podarował mi jedną, krótką chwilę rozkoszy.

Parę tygodni później popłynęły potoki łez - odkryłam, że znów jestem w ciąży.



Verlan próbował jakoś się zrehabilitować po swoim złym zachowaniu w stosunku do mnie i zaproponował, żebym pojechała z nim do Colonia LeBaron. Donna wiedziała, że oddam wszystko, by się wyrwać z domu, więc nalegała, bym zostawiła z nią dzieci i na tydzień wyjechała.

Następnego dnia po naszym przyjeździe do kolonii, moja znajoma, Priscilla, zapro-

siła nas do siebie na pizzę, a wraz z nami jeszcze dwie niezamężne kobiety, Elizabeth i Helen. Przez całe lata byliśmy dobrymi koleżankami. Wszystkie trzy bardzo gorliwie praktykowały wiarę.

Czterdziestoletnia Helen była wdową masywnej postury i bez wątpienia miała Verlana na oku. Już kilkakrotnie od czasu śmierci męża, Theron, w owym okropnym wypadku samochodowym, wspominała, że chętnie zostałaby członkiem naszej rodziny.

Wiedziałam, że była samotna. Znałam ją już od dwudziestu lat i za nic w świecie nie chciałam, żeby coś nas zaczęło dzielić, a zwłaszcza wspólny mąż. Poza tym Verlan i tak miał już dość na głowie. Co prawda nasza nauka nie uznawała tego typu przyziemnych ograniczeń i mężczyzna nie miał prawa odrzucić wierzącej kobiety, która pragnie wyjść za niego. Jeśliby tak uczynił, Bóg mógłby nie zechcieć obdarzyć go następnymi żonami. Moim zadaniem - mając siedem żon - Verlan nie potrzebował kolejnych, nawet wzięwszy pod uwagę jego ambitną naturę.

Helen była świetną kucharką i wspinałą matką. Jedenaścioro jej dzieci gorąco ją kochało, lecz potrzebowało również ojca. Przykro mi było, że nie znalazł się żaden inny mężczyzna, gotowy wziąć odpowiedzialność za równie wspinałą kobietę - jedną z tych, które Bóg zostawił tu, na ziemi, bez męża, a więc bez środków do życia. Mimo wszystko jednak miałam wrażenie, że w karneciku Verlana nie ostał się już żaden wolny tanić.

W czasie naszego spotkania zdołałam się na szczęście odprężyć i odsunąć na bok myśli o Helen. Bawiliśmy się wszyscy świetnie, żartowaliśmy i śmialiśmy się, aż nagle Verlan ucichł i pogrążył w myślach. Po chwili zapytał:

- Hej, Priscilla, masz gdzieś pod ręką ołówki i kartkę?

Zastanawiałam się, co też mogło być na tyle ważne, że trzeba od razu to zapisać. Może ma zamiar zacząć jakąś nową zabawę? Zapadła cisza - nikt nie wiedział, o co chodzi. Verlan nagryzmolił parę słów, złożył karteczkę, podał mi, zaczepnie trącając swoim kolanem moje. Odezwał się, jakby chciał się ze mną trochę podroczyć:

- Hej, mogłabyś to podać Helen?

Elizabeth spojrzała na Helen, potem przeniosła wzrok na mnie.

- Co tu się dzieje?

Posłusznie wręczyłam kartkę Helen.

- A to co? - spytała, zdziwiona.

- Dalej, przeczytaj... tylko nie na głos - odparł Verlan i wstał.

Helen ostrożnie rozwinęła karteczkę. Wszyscy patrzyliśmy, jak z każdym przeczytanym słowem usta otwierały jej się coraz szerzej.

Spojrzała na Verlana z niedowierzaniem.

- Naprawdę? - spytała cicho, niemal szeptem.

- Tak, ale nic nie mów - rozkazał i skierował się w stronę drzwi.

Helen podskoczyła i zaczęła piszczeć. Uściskała Elizabeth. Potem mocno objęła

Priscillę i omal nie straciła jej z krzesła. Podeszła do mnie, czerwona na twarzy z zażenowania.

- Nie mogę w to uwierzyć! - wykrzyknęła i niepewnie mnie objęła, jakby prosząc o aprobatę. - Och, jak to wspaniale!

Verlan otworzył drzwi, zanim zdążyła do niego podejść.

- Wyjdź na chwilę, dobrze, Helen? - zrobił szybki ruch głową, pokazując drzwi.

Kiedy je zamknął, Liz zaczęła się śmiać.

- Co, u licha, się tu dzieje?

Wzruszyłam ramionami, starając się zachować spokój.

- Kto wie? - Lecz w głębi serca już wiedziałam.

Po paru minutach weszła Helen, a Verlan zaraz za nią. Machała otrzymaną przed chwilą karteczką wesoło z boku na bok. Potem figlarnie zatańczyła przed dwiema pozostałymi kobietami i wręczyła mi kartkę.

- Verlan mówi, że masz to przeczytać na głos.

Widziałam radość na jej twarzy. Poprosiłam Boga, by pomógł mi zachować spokój. Zaczęłam: „Droga Helen! Czy wyjdiesz za mnie jutro? Zabiorę cię w podróż poślubną do Nikaragui. Twój Verlan”.

Zasłaniając wściekłość fałszywym uśmiechem, jak każda inna żona poligamisty, udałam pełną poświęcenia radość, gdy tymczasem w sercu czułam czystą nienawiść do nich obojga. Oto nadeszła moja, jakże długo oczekiwana, wyprawa z Verlanem, a on w tym czasie zabiera inną w podróż poślubną!

Verlan uściskał Helen i powiedział:

- No dobrze, w takim razie wszystko ustalone. Jutro ślub o dziewiątej, więc koło południa możemy wyruszyć do Nikaragui.

Po raz pierwszy pocałował Helen. Ona zaś czym prędzej, jak na skrzydłach, pobiegła do domu.

Tej nocy Verlan przyszedł do łóżka z niepewną miną - i miał do tego wystarczające powody.

- Mam nadzieję, że reszta żon jakoś mi to wybaczy. Wiem, że powinienem je wszystkie najpierw zawiadomić. Proszę, wybacz mi, Irene. Wiem, jak ci zależało na tej podróży, ale zrozum, że to idealny moment, aby poślubić Helen. Nie ma tu innych żon, które mogłyby protestować, no i nie będę właściwie nikomu odbierał czasu

- A ja? - przerwałam.

- Ten czas nie należał też do ciebie. Wiesz, że miałem jechać do Nikaragui sam. Nie licz więc tego czasu jako twojego.

- Nie mogę uwierzyć, Verlan, że mnie to spotyka - powiedziałam ze złością. - Za każdym razem, kiedy zaprzyjaźniam się z jakąś kobietą i powierzam jej swoje osobiste tajemnice, ona wywija mi numer i wychodzi za mego męża! Co za cholernie świetny sposób na zepsucie każdej przyjaźni, zwłaszcza że ją widuję potem częściej niż ciebie.

Verlan przyciągnął mnie bliżej i zaśmiał się.

- Nic na to nie poradzę, że jesteś taką doskonałą żoną. Jesteś dla nich taka dobra, że wszystkie chcą z tobą spędzić wieczność.

Wbiłam mu łokieć w bok, bo bałam się powiedzieć cokolwiek więcej, czując, że zaraz wybuchnę płaczem. Kiedy zobaczył, że nie odpowiadam, powiedział:

- No, nie złość się. Ona naprawdę za tobą przepada. Helen nie zastanawiała się nawet nad małżeństwem ze mną, gdyby w naszej wspaniałej rodzinie nie było ciebie. - Następnie, mówiąc bardziej do siebie niż do mnie, dodał: - Oj, szkoda, że nie mam czasu kupić Helen obrączki.

- Cholera jasna, Verlan, dlaczego po prostu nie zamówisz tuzina naraz? Zawsze miałbyś jedną pod ręką w razie czego.

Roześmiał się.

- Cieszę się, że tak dobrze jesteś nastawiona do tego małżeństwa. To, że zawsze mogę na tobie polegać, bardzo wiele dla mnie znaczy.

- Nie jestem dobrze nastawiona i nie rozumiem tego! Po co ci jeszcze więcej żon, do diabła?

- Irene, czyż można odrzucić równie piękne błogosławieństwo?

Izajasz mówi, że w dniach ostatnich siedem kobiet posiadzie jednego mężczyznę.

Przerwałam mu z wściekłością:

- Do diabła, Verlan, masz już siedem! Już wypełniłeś to proroctwo! Wiele lat temu mówiłam ci, że zostawię cię, jeśli będziesz miał więcej niż siedem żon. Myślę, że zasługuję przynajmniej na jeden dzień w tygodniu!

- Kochanie - poprosił - spróbuj zrozumieć.

- Jak mam to zrozumieć? Nawet jeśli byś cały czas, dzień w dzień, był w domu, spędzałbyś ze mną tylko cztery noce w miesiącu.

To czterdzieści osiem nocy w roku. To tylko półtora miesiąca z dwunastu.

- Hej - powiedział zdecydowanym tonem, ucinając moje żale. - Nie nastawiaj się do tego niechętnie. Popatrz, jestem tu teraz z tobą i tylko tracisz nasz cenny, wspólny czas. Nie wiem, dlaczego chcesz go zawsze tracić na rozmowę o innych kobietach. Poza tym już ci mówiłem, że nikt i nigdy nie zajmie twojego miejsca.

- Do diabła, Verlan. Ktoś je zajmie już jutro.

- Powinnaś dziękować, że tu jesteś. To powinna być kolej Lillie, ona powinna oddać mnie Helen, ona jest ostatnią żoną. Ale patrz, przywilej spada na ciebie. Helen na pewno będzie zaszczyczona, przecież tak bardzo cię lubi.

Tak, to miał być trzeci raz, kiedy będę miała niekwestionowany zaszczyt oddać mego męża kolejnej kobiecie. Wyobraźcie sobie tylko, jaka byłam szczęśliwa.

Verlan pocałował mnie w moje obojętne usta i rzekł:

- Chodźmy spać. Mam tyle do zrobienia, tyle obowiązków na głowie. Nie mam nawet czasu się ożenić. - Westchnął i przekręcił się na bok.

Leżałam w ciemnościach, z ręką na ciężarnym brzuchu, i zastanawiałam się, czego też Bóg jeszcze ode mnie zażąda. Myślałam o Helen. Nie była tak naprawdę dla mnie zagrożeniem. Wprost przeciwnie - bardzo ją lubiłam. Ale, o Boże, tak trudno jest dzielić się mężem z tyloma kobietami!

Uczono mnie, że lepiej mieć dziesiątą część dobrego, „boskiego” mężczyzny niż całego mężczyznę „ziemskiego”. Czy za takiego męża zostanie mi wybaczone jakaś wina? Pewnie tak.

Próbowałam zdusić palącą serce zazdrość. Skoro wytrzymałam już tyle lat, pomyślałam, opłaca się teraz być cierpliwym. Przecież znajdowałam się już na krawędzi chwały. To życie powinno niedługo się skończyć, więc dlaczego mam się poddać właśnie teraz?

Verlan obudził mnie o szóstej rano, żeby wydać mi ostatnie instrukcje.

- Wyprasuj mi koszulę i wypastuj moje najlepsze buty.

Serce ścisnął mi ból. Ile to już razy pakowałam mu walizkę na tę samą podróż? Verlan zakomunikował:

- Być może spędzę z Helen cały miesiąc. To dobra okazja, by ją porządnie poznać. W domu jest was tyle, że pewnie będzie to jedyna szansa, by Helen pobyla ze mną sama. Czuję, że tego potrzebuje, już tak długo jest wdową.

Wyszedł niezwłocznie do swoich spraw, spiesząc się, by się nie spóźnić na własny ślub. Usłyszałam, jak jeszcze do mnie krzyknął:

- Tylko na pewno bądź tam parę minut wcześniej. Do zobaczenia punktualnie o dziewiątej!

Sześć żon Verlana przebywało w Los Molinos. W kolonii, gdzie mieszkały, nie było ani elektryczności, ani telefonu, żeby powiadomić je o nagłym ślubie męża. Musiał więc złożyć całą ufność w Bogu i mieć nadzieję, że Bóg wieje w ich serca dużo zrozumienia, kiedy wróci z podróży i wybije godzina prawdy. Wiedziałam, że nie znosi tak załatwiać spraw, ale ponieważ ma wsparcie we mnie, czuje, że może zaryzykować.

Inne żony miały absolutne prawo do wściekłości. Z pewnością też będą wściekłe, i to nie tylko na niego, ale i na mnie, za to, że ja, bez ich zgody i wiedzy, oddałam znowu jego rękę. Czułam się jednak dobrze, że nie robię mu problemów. Chciał, żebym grała swoją rolę w poszerzaniu jego królestwa, więc stłumiłam gnębiące mnie poczucie odrzucenia. Jeśli będę posłuszna i spełnię jego oczekiwania, to, jak znów obiecał, jeszcze mocniej mnie pokocha.

Kiedy nadeszła pora, poszłam do domu mojej szwagierki Luz trzy ulice dalej. Na drodze przed domem stało już kilkanaście samochodów. Zdziwiło mnie, jak wielu ludzi przyjechało na równie wczesną i z tak krótkim wyprzedzeniem zapowiedzianą uroczystość.

Podawałam wszystkim rękę i pilnowałam, by uśmiech nie zniknął mi z twarzy. Byłam świadoma, że wszyscy na mnie patrzą. Zagram swoją rolę, nikomu nie dostarczę

pretekstu do powiedzenia, że uchylam się od powinności lub sprawiam zawód zacnemu człowiekowi. Dzięki Bogu, była tam Linda. Jak zawsze zajęła mi miejsce obok siebie. Kiedy się do niej przycisnęłam, zasłoniła usta i szepnęła:

- Dlaczego wczoraj mi o tym nie powiedziałaś?
- Bo nie wiedziałam.
- To kiedy oni zaplanowali ślub?
- Wczoraj wieczorem.

Wszedł Verlan i przeprosił wszystkich za spóźnienie. W swoim szarym, zniszczonym garniturze wyglądał bardzo przystojnie. Zajął miejsce obok Helen, ujął ją za rękę - raczej władczym niż pieszczotliwym gestem. Kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się i łagodnie pomachał, zadowolony, że przyszedłam. Potem pochylił się i szepnął parę słów swemu bratu Almie. Ten wstał, gotowy do rozpoczęcia ceremonii.

Alma spokojnie powitał zebranych. Spojrzał na zegarek i obwieścił:

- Musimy zaczynać, bo za chwilę zabraknie nam czasu. - Poczekał na całkowitą ciszę, po czym kontynuował: - Chciałbym wszystkim podziękować, że zdołali przyjść tutaj punktualnie o tak wczesnej porze. Moja dusza zawsze się raduje, gdy widzę kobiety na tyle mężne, by żyć w świętej Regule małżeństwa poligamicznego. - Był rozemocjonowany. - Przepraszam za moje łzy. - Pociągnął nosem i wytarł oczy chustką. - Wiem, że kobietę kosztuje to wiele wyrzeczeń. - Odchrząknął i kiwnął do mnie. - Tak się cieszę, gdy znów widzę Irene, która dla Verlana stanęła na wysokości zadania. - Przez jego zniszczoną twarz przemknął uśmiech, a kąciaki błękitnych oczu się zmarszczyły. - Zawsze była taka buntownicza i skora do awantur, ale w ostatniej chwili potrafiła się powściągnąć, odpokutować i stanąć na wysokości zadania. Wy, wszystkie kobiety zgromadzone tu dziś, powinnyście brać z niej przykład. Przykład posłuszeństwa temu, czego żąda od nas Pan.

Verlan musiał czytać w moich myślach, które brzmiały mniej więcej tak: „W tej sprawie nie mamy wyjścia - albo być elastyczną, albo do piekła”. Uchwycił spojrzenie Almy i gestem nakazał mu zacząć uroczystość, zanim znów stanę się buntownicza i skora do awantur.

Alma zaprosił więc Verlana i Helen na środek. Ruchem głowy Verlan pokazał mi, bym zajęła miejsce po prawej stronie panny młodej.

Po tylu razach powinien już mi zaufać, że wiem, co mam robić.

Zaległa cisza. Alma odchrząknął raz jeszcze, spojrzał mi prosto w oczy i zapytał:

- Siostrze Irene, czy bierzesz Helen za prawą rękę?

- Tak - odpowiedziałam na ułamek sekundy przed tym, jak głos mi się załamał. Zmusiłam się do szerokiego uśmiechu i połączyłam ich dłonie. Powieki drżały mi jak szalone, gdy starałam się powstrzymać nabrzmiałe pod nimi łzy. Verlan mrugnął do mnie z aprobatą, kiedy wracałam na miejsce.

- Bracie Verlanie, czy bierzesz siostrę Helen za prawą rękę i przyjmujesz ją do sie-

bie? - kontynuował Alma.

Udzieliłam sobie bezgłośnej nauki: „Nie waż się uronić nawet jednej łzy. Błagam, zachowuj się. Irene, w porządku, Bóg wciąż cię kocha”.

Z zamyślenia wyrwała mnie kolejna kwestia:

- Bądźcie płodni. Rozmnażajcie się i zaludniajcie ziemię. - Okropna była chwila, gdy musieli przytaknąć. Prócz tego, przecież Helen już spełniła swoją rolę. Ma jedenaścioro dzieci. Wchodzi w okres menopauzy, więc jej życie płciowe nie potrwa długo, dzięki Bogu.

Alma zbliżał się już do końca świętej ceremonii. Znałam ją niemal na pamięć, choć tym razem słowa brzmiały nieco inaczej.

- Ogłaszam was teraz mężem i żoną w oczach prawa i zgodnie z prawem, na czas terażniejszy.

Normalnie formuła brzmiała „teraz i na wieki”, lecz Helen była już na wieczność nierozzerwalnie związana ze swym pierwszym mężem, Theronem. On, nie Verlan, miał posiadać ją znowu, w przyszłym życiu.

Nie było to jednak dla mnie wielkim pocieszeniem, ponieważ to ja musiałam radzić sobie z jej obecnością tu i teraz.

Alma westchnął.

- Możesz teraz pocałować pannę młodą.

Verlan wypełnił polecenie i obdarzył Helen pobieżnym pocałunkiem. Potem przyciągnął ją do siebie i mocno objął. Kiedy Helen znajdowała się jeszcze częściowo w jego uścisku, przyciągnął także i mnie i również pocałował. Jak bardzo czułam się nie na miejscu!

Jestem jednak pewna, że zrobił to dlatego, by mnie nagrodzić i podziękować za zgodę na ósmy ślub.

Dzięki Bogu, miałam Lindę - jedyną osobę, na którą mogłam liczyć w tym życiu. Odprowadziła mnie do domu Priscilli i po drodze obiecała, że sama nigdy nie wyjdzie za Verlana. Nigdy, nawet jeśli owdowieje. Doceniłam jej lojalność. Byłam dumna z mojej przyjaciółki.

Czytała mi w myślach.

- Irene, wyrzuć to z siebie. Płacz! Po prostu wyrzuć z siebie to wszystko. Lepiej się poczujesz.

Próbowałam, lecz wkrótce odkryłam, że nie jestem w stanie. Nie było już łez. Wiedziałam, że Helen nie odbierze mi czegoś, co nigdy do mnie nie należało. Kiedy doszłyśmy do Priscilli, usiadłyśmy we trzy i rozprawiałyśmy o wielu ślubach naszych mężów, śmiejąc się z tego, jak mocno kiedyś je przeżywałyśmy. Wkrótce zastukał do drzwi Lane Stubbs, który przyszedł po mnie.

- Verlan przysłał mnie po ciebie. Powiedział, że masz wszystko przerwać i przyjść natychmiast.

Śmiałam się i żartowałam, kiedy Lane wiozł mnie do domu Luz, skąd nowożeńcy mieli wyruszyć w swoją podróż.

- Założę się, że Verlan uświadomił sobie, że nie spędził ze mną w ogóle czasu. Jestem przekonana, że chce mi powiedzieć, jak bardzo mnie docenia - zgadywałam.

- No, chyba wszyscy faceci zapominają o takich rzeczach. Ja też nie mówię swoim trzem żonom, że je doceniam - zauważył.

Wysiadłam z samochodu i skierowałam się do domu. Lane pojechał po Helen, bo również z nią Verlan chciał porozmawiać.

Przez ciemny korytarz przeszłam do sypialni, gdzie Verlan niecierpliwie na mnie czekał. Rzadko bywał zły, ale teraz wprost kipiał.

- Cholera jasna, Irene, ty wiedziałaś! - Wskazał na mnie oskarżycielsko palcem. - Zrobiłaś to specjalnie!

Nie miałam zielonego pojęcia, o czym też on mówi. Stałam z szeroko otwartymi oczami, bez słowa. On zaś ciągnął:

- Wiedziałaś. Tylko nie mów, że nie wiedziałaś!

Byłam zdumiona. Zastanawiałam się, czy śmiać się, czy płakać.

- O czym, u licha, ty mówisz? - wyjąkałam wreszcie.

Rozzłościł się jeszcze bardziej.

- Wiedziałaś, do cholery, że dziś jest rocznica ślubu Charlotte!

To twoja sprawka. Tylko dlatego, że jej nie lubisz, a ona ciebie, pozwoliłaś mi dziś ożenić się z Helen! Celowo!

To było niewiarygodne. Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

- Verlan, to ty się oświadczałeś. Nie próbuj nawet zrzucić na mnie winy. Jesteś pełnoletni, wiedziałeś, co robisz, a ja nie zrobiłam ci tego na złość!

- Irene, mam tego absolutnie dosyć. Teraz sprawy rzeczywiście wymknęły mi się spod kontroli. Przysięgnij, że nie piśniesz o niczym Charlotte, niezależnie od wszystkiego.

Łagodne stukanie do drzwi przystopowało trochę Verlana.

Potrząsnął głową, by przygotować się na nowe przejścia z nową żoną.

Helen weszła, zaskoczona, że mnie widzi.

- Cześć - powiedziała. Spojrzała na Verlana. - Co się dzieje?

- Siadaj - zarządził. - Mamy tu mały problem, który trzeba wyjaśnić - zaczął taktownie, po czym błagalnym tonem poprosił: - Czy wyraziłabyś zgodę na przesunięcie daty naszego ślubu? Tylko dwa dni naprzód, na dziesiątego? Mielibyśmy rocznicę ślubu dziesiątego.

Spojrzenie Helen mówiło jasno, że nie zamierza pozwolić ze sobą igrac. Jej twarz przybrała wyraz zakłopotania, strapienia.

- Dlaczego? - spytała i dodała z uporem: - Dziś jest ósmy, a ja tak lubię tę cyfrę.

Verlan ukrył twarz w swych silnych dłoniach.

- Proszę, Helen. To sprawa życia i śmierci. Po prostu zgódź się i zrób to dla mnie. Ósmego jest rocznica ślubu Charlotte, a ona nigdy mi nie wybaczy, jeśli się dowie.

Helen z dezaprobatą potrząsnęła głową.

- Zastanawiam się, w co ja się właściwie wplątałam.

Pomyślałam sobie, że może trochę za późno zaczęła się zastanawiać. Prócz tego żyła już w poligamii, będąc żoną Therona.

Powinna więc być przyzwyczajona do tego rodzaju sytuacji.

- Proszę, zrób to dla mnie - powtórzył Verlan, wzdychając. - Widzisz, i tak będzie mi ciężko przekonać Charlotte, że ślub z tobą bez jej zgody był absolutnie konieczny, a co dopiero ślub z tobą bez jej zgody i w jej rocznicę ślubu.

Helen potrząsnęła głową.

- Nie podoba mi się to. Nie podoba i już. Ale cóż, skoro ty tak mówisz... - zgodziła się niechętnie.

Biedna Helen. Współczułam jej z całego serca. Nie była jeszcze nawet zamężna pół godziny, a już deptała prawa innej żony.

CZĘSC TRZECIA

BEZ NIESPODZIANEK

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI.

Płakałam tak długo, że wprost pękała mi głowa. Wielokrotnie zwracałam się do Boga: czym zawiniłam, że wiodę takie życie? Sprawy w Kościele Pierworodnych nie miały się dobrze. Szerzyła się choroba psychiczna wśród rodzeństwa Verlana -Ervil miał swój udział w zamordowaniu Joela, naszego proroka. Ervil, niegdysiejszy patriarcha Kościoła, za poważne wykroczenia został odwołany ze stanowiska i mścił się teraz na reszcie wiernych. Verlan wciąż sprawował funkcję przewodniczącego Kościoła, więc Ervil czyhał przede wszystkim na niego. Verlan doszedł do wniosku, że dobrze byłoby założyć nową kolonię w jakimś odludnym miejscu, na przykład w Nikaragui.

Zdecydował więc, że powinnam tam się z nim udać i pomóc mu wszystko zorganizować.

Byłam w trzynastej ciąży, zdrowie miałam kompletnie zrujnowane. Uprzedzono mnie, że w nogach utworzy mi się jeszcze więcej zakrzepów i jeśli zdecyduję się na poród naturalny, prawdopodobnie umrę. Z drugiej strony, jeśli zgodziłabym się na cesarskie cięcie, lekarz operujący, kiedy już mnie otworzy, z całą pewnością podwiąże mi jajowody. Nie będę mogła protestować.

Verlan uważał, że w niebie są jeszcze z całą pewnością dusze, które czekają, bym została ich ziemską matką. Zapewniał mnie, że podwiązanie jajowodów będzie dla Boga jak policzek prosto w twarz.

Zabieg jest bowiem sprzeczny z Jego prawem, a mnie ustawi na ścieżce prowadzącej prosto do piekła. Śmierć, która wydawała się w zasadzie jedynym możliwym wyborem, wyglądała w tej sytuacji całkiem przekonująco. Perspektywa, że skończy się to straszliwe cierpienie serca i ból, że nie będzie wokół innych żon, z którymi trzeba się zmagać, była kusząca. Będę miała spokój i będę wreszcie wolna.

Verlan był w San Diego, gdzie kupował drzewa owocowe i orzechowe - miał je wysłać do Nikaragui. Planował założyć sady, które będą dawać wystarczająco duże plony, by zaspokajać potrzeby naszej kolonii przez okrągły rok. Przeniesienie całego

Kościół do Ameryki Środkowej niewątpliwie potrwa długo i będzie wymagać solidnego fundamentu - ktoś musi jechać pierwszy i rozpocząć przedsięwzięcie, dzięki któremu przetrwają osadnicy przybywający w następnej kolejności. Zarys ogólny tego planu wydawał się dosyć solidny, lecz Verlan nigdy nie był najlepszy w zarządzaniu tego typu interesami.

Może kościoły i małżeństwa - tak, ale przedsiębiorczość - na pewno nie.

W czasie pobytu Verlana w San Diego, kiedy poszukiwał drzew w odpowiedniej cenie, inne żony jeździły do niego w odwiedziny. Za każdym razem, gdy któraś się wybierała, posyłałam przez nią długi list, w którym wyjaśniałam moją sytuację zdrowotną i przepraszałam za to, że podwiążę mi jajowody w trakcie operacji cesarskiego cięcia.

Czułam, że uchroni mnie to przed śmiercią. Verlan uważał, że ciężko zgrzeszę.

Wiedziałam, że są konkretne ograniczenia czasowe. Operacja musiała odbyć się przed sobotą 20 stycznia, gdyż tego dnia wyjeżdżał jedyny chirurg. We wszystkich listach błagałam, by mąż wrócił i był przy mnie w trakcie zabiegu, a także, by przywiózł sto dolarów, gdyż tyle wyniesie koszt operacji w klinice baptystów.

W poniedziałek Lillie wróciła z San Diego z krótką notką od Verlana. „Irene, bardzo mi przykro, ale nie mogę teraz przyjechać.

Sprawa drzew jest niezwyklej wagi. Muszę dokonać czynu na wielką skalę dla przyszłych pokoleń świętych. Obiecuję, że wrócę na pewno w piątek. Wtedy zdecydujemy, czy powinnaś mieć cesarskie cięcie”.

Donna pomogła mi wyszorować ściany, umyć okna, posprzątać podwórze. Cały dzień cerowałam ubrania i prałam na tarze.

Wyprałyśmy wspólnie pościel, koce i dywaniki. Chciałam zostawić dom w jak największym porządku, by w czasie mojego tygodniowego pobytu w szpitalu Donna miała jak najmniej na głowie. Dla niej samodzielne ogarnięcie całego domu i dziesiątki młodszego rodzeństwa było naprawdę ogromnym wyzwaniem. Nie mogła nawet liczyć na pomoc Andre, który już pracował i pomagał utrzymać rodzinę.

Pomogłam jej wypłukać wiadra pszenicy, z których miała zrobić płatki i upiec chleby. Żeby uchronić ziarno przed nieżnośnymi muchami, suszyłyśmy je w poszewkach na poduszki przypiętych do sznura do bielizny.

Serdeczność i dobre chęci Donny dodawały mi otuchy. Miała teraz siedemnaście lat i była nie tylko córką, ale najlepszą przyjaciółką i wielkim oparciem dla swej przepracowanej matki. Często zwracałam się do niej, gdy potrzebowałam pociechy i zrozumienia.

W piątek po południu doktor Cano przysłał mi notkę przypominającą o swym dwutygodniowym urlopie. Mogłam albo zgłosić się na cesarskie cięcie w czasie nadchodzącego weekendu, albo znaleźć kogoś, kto pomoże mi urodzić naturalnie, gdy doktora nie będzie.

Byłam wręcz chora z niepewności, co mam robić. Całe życie uczono mnie posłu-

szeństwa. Decyzje podejmował za mnie mąż.

Musiałam akceptować je i wykonywać to, co on uznał za najlepsze.

Zmagałam się z niezłomnymi prawami boskimi. Jak Verlan mógł wiedzieć, co było najlepsze dla mnie? Jak mógł ocenić moją sytuację, jeśli nawet nie rozmawiał z lekarzem? Jak mógł zrozumieć moje kobiece uczucia? Jeśli podwiązanie jajowodów było jedyną szansą na dalsze życie i wychowywanie dzieci, któż miał prawo mi ją odebrać?

Desperacko potrzebowałam wsparcia Verlana, jego zgody nie tylko na operację cesarskiego cięcia, ale i sterylizację. Dlaczego nie mógł po prostu dać mi swego pozwolenia? Czy dotrzyma chociaż słowa i przyjedzie do mnie tej ostatniej nocy?

Przez lata pokładałam nadzieję w niespełnionych obietnicach Verlana. Nie wydaje mi się, że on obiecywał bezmyślnie po to, by za chwilę zmienić zdanie. Wierzę, że pragnął dotrzymać słowa, ale nie pozwalała mu na to nadmierna ilość obowiązków - był ojcem i mężem tak wielu ludzi naraz. No dobrze, często obiecywał coś, by mnie na bieżąco zadowolić. Nie koncentrował się na tym, czy rzeczywiście zdoła dotrzymać słowa - mówił po prostu to, co w danej chwili było mu potrzebne. Próbował oczywiście później to spełnić. Cóż - wraz z pojawieniem się każdej kolejnej żony i każdego kolejnego dziecka mógł coraz mniej.

Przykręciłam knot lampy. Zostawiłam tylko małeńki płomyk, ledwo oświetlający pokój. Wszystkie dzieci spały, więc ułożyłam się wygodnie na kanapie i czekałam na powrót Verlana. Słyszałam, jak na zewnątrz zatrzymuje się samochód, i podeszłam do drzwi. Zerknęłam na zegarek. Było wpół do pierwszej. Poczulałam gwałtowną ulgę, że jednak przyjechał, nieważne, że tak późno. Otworzyłam z oczekiwaniem drzwi i w tej samej chwili - cios. To była Charlotte.

- Cześć. Masz tu list od Verlana - powiedziała, wręczając mi kartkę. - Mam ci przekazać, że przykro mu, ale jednak nie dał rady przyjechać. Dobranoc.

Zamknęłam drzwi, trzęsąc się ze złości. Odkręciłam lampę i rozdarłam kopertę. „Droga Irene, jestem zbyt zajęty drzewami. Na pewno potrwa to jeszcze przynajmniej tydzień. Zrób po prostu, co możesz. Modlę się za Twój poród. Załączam sto dolarów. Kocham Cię bardzo, Verlan”.

Mój bolesny, rozpaczliwy płacz obudził Donnę. Próbowła mnie uspokoić, a ja w kółko powtarzałam:

- Nie kocha mnie! Nie kocha mnie! Zgodziłam się na tyle żon, urodziłam mu tyle dzieci... a on nie ma dla mnie czasu!

Nie zwracałam uwagi na to, co mówi Donna.

- Na tym człowieku nigdy, przenigdy, nie można polegać! - płakałam.

Ogarnął mnie nieopisany smutek. Tonęłam w rozpacz. Nagle ujrzałam jak na dłoni całe swoje małżeńskie życie, a w nim jasno i wyraźnie wszystkie moje wyrzeczenia i poświęcenia na rzecz wielkich iluzji Verlana. Kochałam, służyłam, słuchałam się, wykonywałam, dawałam, dawałam, jeszcze dawałam, zawsze pomijając siebie. Teraz nic

ze mnie nie zostało. Byłam fizycznym i emocjonalnym wrakiem. A Verlan - on był zbyt zajęty wybieraniem drzew. Moja wiara w męża wygasła.

Nazajutrz Donna i Lucy pojechały ze mną do Kliniki Dobrego Pasterza w San Quentin. Znajomi z Kościoła, również oczekujący dziecka, Gene i Claudia, jechali zaraz za nami. Claudia miała przejść piąte z kolei cesarskie cięcie. Zadzwoiłam do niej do Kalifornii, by jej przypomnieć o urlopie lekarza. Mogli sobie pozwolić na poród w Meksyku, a nie w Stanach.

Nalegałam, by najpierw odbyła się moja operacja, gdyż bałam się, że czekając zbyt długo, będę gotowa stchórzyć. Lucy była przekonana, że jadę do szpitala, by wywołano mi poród. Kiedy wieziono mnie do sali operacyjnej, Donna szła tuż obok i szeptała słowa zachęty i pocieszenia. Ucałowała mnie tuż przed drzwiami do sali. Powiedziała potem do Lucy:

- Zaczynaj się modlić. Mama będzie mieć cesarkę i podwiązanie jajowodów.

Czterdzieści pięć minut później pielęgniarka wyniosła czterokilogramowego chłopczyka, owiniętego w ciepły koc, i zaprezentowała Donnie, która wraz z Lucy tuliła małego w oczekiwaniu, aż obudzi się z narkozy.

Ja w tym czasie byłam pogrążona w ciężkim, narkotycznym śnie. Wspinałam się na wysokie urwisko. Przywierałam do skały gołymi rękami. Palce mi krwawiły i czułam, że zaczynam się ześlizgiwać. Desperacko próbowałam się utrzymać, by nie spaść w przepaść. Przywarłam do skały jeszcze mocniej, lecz wciąż zjeżdżałam w dół. „Już nie mogę! Nie wytrzymam!” - krzyknęłam, zsuwając się w przepaść. Wtedy się obudziłam.

Powinnam być szczęśliwa na widok maleńkiego, ślicznego chłopczyka, którego urodziłam, ale czułam, że budzę się w tym samym, starym koszmarze. Musiałam znowu stanąć twarzą w twarz z okrutnym światem, sama jedna. Przez całe dni drgały mi wszystkie mięśnie pleców. Do tego cierpiałam na bezsenność. Stała, pogarszająca się depresja odbierała mi chęć do życia. Verlan przyjechał mnie odwiedzić trzy dni po zabiegu. Poprosił o chwilę rozmowy w cztery oczy. Lucy i pielęgniarka posłusznie wyszły, zamykając za sobą cicho drzwi.

- Kto wie o podwiązaniu jajowodów? - zaczął.

- Tylko Lucy, Donna, Claudia i Gene.

- Nikomu już nie mów, co zrobiłaś. Pomyśl, jak ja będę wyglądał -przewodniczący Kościoła. Jeśli na to zezwolimy, każda kobieta będzie chciała mieć taką operację. Musimy być dla wszystkich przykładem, musimy być przykładem w oczach Pana. - Pokręcił z niesmakiem głową. - Ale sobie spartaczyłaś życie. Sprawiałaś, że już nigdy nie będziemy współżyć. To, co zrobiłaś, jest najgorszym sposobem zapobiegania ciąży, o jakim mi wiadomo. Nie powinnaś była.

Z każdym jego zdaniem coraz głębiej zanurzałam się w otchłani rozpacz.

- Przyjadę w sobotę i zabiorę cię do domu - ciągnął. - Lekarz mówi, że do tego czasu powinnaś czuć się lepiej. Mam nadzieję, że to, iż specjalnie po ciebie tu przyjadę,

zrekompensuje ci fakt, że nie było mnie przy narodzinach Lothaira.

Okoliczności znowu nie pozwoliły Verlanowi dotrzymać obietnicy. Gene i Claudia zawieźli mnie do domu. Zatrzymali się u Charlotte, by odebrać mojego nowo narodzonego syna, którym się opiekowała, gdy ja leżałam w klinice. Gene wniósł dziecko do domu, a ja powoli poszłam za nimi. Życzył mi wszystkiego dobrego, a potem wraz z Claudią odjechali do Stanów.

Kiedy weszłam do domu, wszystko wydało mi się jeszcze gorsze niż zwykle. Zauważyłam zimne betonowe podłogi, gołe ściany, stare zasłony. Poczułam wilgoć od morza, spotęgowaną przez styczniowy chłód. Zastanawiałam się, jak mój noworodek przeżyje w takich warunkach.

Donna pomogła mi dojść od sypialni, a tam rzuciła się na mnie cała chmara moich samotnych, zaniedbanych dzieci. Zamiast wziąć je w ramiona, przytulić wszystkie naraz i każde z osobna, ja odepchnęłam je na bok, by nie uderzyły mnie w brzuch i nie uraziły szwu.

Czułam się stłamszona. Jak dawałam dotąd radę prac, gotować i pracować bez przerwy tak ciężko? Czułam, jakby uciekła ze mnie cała siła. Wiedziałam, że nie poradzę sobie dłużej. Spojrzałam w lustro, lecz oczy, które tam ujrzałam, nie należały do mnie. Oczy te były puste i ziała z nich beznadzieja.

„Oczy to okna twojej duszy” - powiedział do mnie jakiś głosik, gdy patrzyłam w lustro.

- Jakiej duszy? - spytała twarz w lustrze.

Głęboka rozpacz usadowiła się we mnie na długo. Przez sześć tygodni płakałam - w dzień i w nocy Nocami ciągle budziłam Donnę, błagając, by do mnie mówiła. Straciłam nadzieję na lepsze jutro. Straciłam szansę na niebo przez decyzję o operacji.

Poza tym mój sekret się wydał. Wszyscy wiedzieli. Alma, teraz biskup Kościoła Pierworodnych, radził mi udać się z powrotem do szpitala i poddać się operacji o odwrotnym skutku.

- Jak mogłaś zdecydować się na coś tak drastycznego? - dociekał. - Są jeszcze dusze, które pragną przyjść na ziemię i otrzymać ciała. Może jeszcze jakimś zobowiązałaś się pomóc, a teraz pozbawiasz je szansy na zbawienie.

Nie śmiałam dyskutować z nim ze względu na jego wysokie stanowisko. W głębi serca jednak myślałam: do diabła, czy trzynastoro dzieci to mało?

Inny „życzliwy” spytał mnie, czy nie boję się, że sprzeniewierzyłam się Duchowi Świętemu i popełniłam tym samym grzech śmiertelny.

Całe to przepytywanie pogłębiło jeszcze mój paraliż.

Dostawałam ciągi od własnego umysłu, który zasypywał mnie oskarżeniami o to, że zwróciłam się przeciwko temu samemu Bogu, któremu tak długo i uporczywie starałam się służyć. Nikt nie mógł być mną bardziej rozczarowany niż ja sama. Nie poszłam za radą Verlana.

Zamknęłam fontannę życia. Zgrzeszyłam przeciwko Duchowi Świętemu.

Nie miałam jeszcze trzydziestu pięciu lat. Byłam sama jak palec, obarczona trzynastką dzieci i do tego pewna, że nigdy już nie doświadczę radości z seksu. Nie potrafiłam nawet kochać Boga. Gdzie On był? Swój los widziałam w jedyny sposób: docieram do świetlanych bram nieba, a stamtąd rozgniewany Bóg spycha mnie do otchłani piekielnej - na zawsze. Jeśli Bóg zamierzał podnieść na mnie rękę i zniszczyć mnie, nie będę Go powstrzymywać. Pozostało mi tylko samobójstwo.

Nieustannie płakałam, błagając Pana o przebaczenie. Jakże jednak mógł mi przebaczyć niewybaczalny grzech, o który mnie oskarżano? Emocjonalnie byłam niezdolna do opieki nad dziećmi. Po raz kolejny Donna musiała wziąć wszystko na siebie.

Niechętnie, ale jednak zwierzyłam się Verlanowi, że chcę się zabić. Był zszokowany. Natychmiast poinformował mnie, że zostałam opętana przez złe duchy. Kazał mi usiąść spokojnie na łóżku. Z powagą położył dłonie na mojej głowie i przez swoje święte kapłaństwo, w imię Jezusa Chrystusa, wygnał je. Demony jednak nie zamierzały nawet drgnąć.

Czułam się gorzej niż kiedykolwiek, gdyż wiedziałam więcej od Verlana. Nie opętały mnie złe duchy. Byłam pozbawiona złudzeń, miałam złamane serce, czułam się odrzucona i niekochana. Żaden egzorcyzm nie mógł mnie od tego uwolnić. Teraz zaś mój mąż również twierdził, że jestem opętana. Agonia nie miała końca.

W owym czasie Beverly, jedna z siostrzanych żon, wyjechała do rodziców, do Colonia LeBaron. Jej wolny dom stał zaledwie przecnicę dalej. Zamknęłam się tam ze stanowczym zamiarem ukrycia się przed swymi zdezorientowanymi dziećmi. Modliłam się o odpowiedzi, rozwiązania, ale nie przysły, a ja staczałam się coraz głębiej i głębiej w beznadzieję. Resztki spokoju, jaki jeszcze odczuwałam, zabrała bezsenność. Walczyłam z tęsknotą za śmiercią, ale przegrywałam.

Nigdy dotąd nie piłam alkoholu, lecz teraz wysłałam po niego Donnę. Prosiłam, by przywiozła mi go od znajomej, Yolandy z Guerrero. Nawet w tym potwornym stanie znajdowałam chwilowe ukojenie w Księdze Przysłów 31, 6-7: „Daj sycerę skazańcom, a wino zgorzkniałym na duchu: niech piją, niech nędzy zapomną, na trud już nie pomni”. Każdy werset dotyczył właśnie mnie. Emocjonalnie ginęłam. Mój umysł wypełniało cierpienie. O, jakże pragnęłam zapomnieć o swym ubóstwie. Życie moje było pełne udręki. Za przyzwoleniem Biblii próbowałam więc sobie ulżyć i szukałam zapomnienia w picu.

Donna dostarczała mi alkohol przez ponad miesiąc. Przekradała się do mnie potajemnie, by nikt, a szczególnie reszta dzieci, nie dowiedział się, gdzie przebywam. Nie byłam w stanie przerwać tej emocjonalnej huśtawki. Najpierw przychodziły myśli samobójcze, potem piłam, by doprowadzić się do takiego stanu, w którym nie dam rady targnąć się na swoje życie. Kiedy się budziłam, pragnęłam samobójstwa jeszcze bardziej, i tak dalej, i tak dalej. Nienawidziłam obcej twarzy, którą widziałam w lustrze, a

która ciągle mnie kusiała, żebym się zabiła. Nie mogłam w ogóle wchodzić do kuchni. Za każdym razem, gdy próbowałam, coś kazało mi brać do ręki nóż do mięsa.

Musiałam natychmiast uciekać - inaczej ta siła gotowa była pozbawić mnie życia.

Kiedy wrócił Verlan, zobaczył mnie pijaną.

- Szatan rzeczywiście się tobą zajął - orzekł.

Wykrzyknęłam najlepszą odpowiedź, jaka przysłała mi do głowy:

- Nie przeżyję ani minuty dłużej! Zostało mi tylko samobójstwo!

Nie przeżyję już ani jednego dnia tej męczarni, ten ból jest nie do wytrzymania!

- Powinnaś cieszyć się z błogosławieństw - odparł. - Masz ewangelię, próbuj odnaleźć w niej radość. Zapomnij o wszystkim, co nie jest wychowywaniem dzieci. Chcę, żebyś wróciła do domu i poprosiła Boga o siłę do wypełniania tego co trzeba.

- Potrzebuję tylko twojej miłości - odpowiedziałam. - Jak sobie poradzę bez niej? Proszę - jęczałam - nie odchodź, nie zostawiaj mnie tak.

Odwrócił się, by odejść.

- Przyrzekam, że się zabiję! Jeszcze będziesz żałował! - zagroziłam. Moja dusza potrzebowała kotwicy. Pragnęłam wyjść z beznadziei - dla samej miłości tego mężczyzny. Nie dawałam sobie rady z tym, że mną pogardzał. Przywarłam do niego i zatkałam:
- Pomóż mi, Verlan. Sama nie dam rady!

Nie odepchnął mnie, chociaż widziałam, że jest tego bliski, widziałam, że dotykając nie tak grzesznej, słabej kobiety, było poniżej jego godności.

- Irene, weź się w garść. Jeśli tego nie zrobisz, twoje dzieci nigdy nie będą chciały żyć wiarą. Jeśli stanie się tak przez twoje czyny, Bóg obarczy cię odpowiedzialnością.

Całkowicie sfrustrowana, wrzasnęłam:

- Nienawidzę cię! Zrujnowałeś mi życie! Kiedy umrę, będziesz żałował.

Płakałam tak strasznie, że postanowił jednak spędzić ze mną noc. Odprowadził mnie do domu. Przez całą drogę modlił się, próbując mnie na swój sposób pocieszyć. Zanim wszedł do łóżka, położył na komodzie naładowany pistolet. Od śmierci Joela zawsze miał go na podorędziu.

Poklepał mnie gestem człowieka zmęczonego.

- Dobranoc, Irene.

I przewrócił się na bok. Nie otrzymałam ani dotyku, ani ciepła, ani uścisku na pocieszenie, ani, rzecz jasna, seksu. Powinnam była być wdzięczna, że chociaż ze mną rozmawiał, próbował mnie zrozumieć.

Jego miarowy oddech dochodzący spod prześcieradeł miał być moim jedynym pocieszeniem.

Kiedy piłam, straciłam całkowicie rachubę czasu. Nie wiedziałam, ani jaki jest dzień, ani miesiąc. Moja głowa jakby co dzień po trochu się kurczyła, co powodowało potworny mentalny ból. Nie byłam w stanie znieść go ani minuty dłużej, miałam wrażenie, że mózg za chwilę mi się rozerwie. Przez głowę przelatywały mi obrazy rozma-

itych przerażających przestępstw, które popełniłam, choć niektórych nie popełniłam wcale. Próbowaly wmówić mi, że zabiłam swoje pierwsze dziecko. Pokazywały, że czasem nienawidziłam siostrzanych żon. Co więcej, Verlan miał rację. Byłam pożądliva.

Miałam zboczenie na punkcie seksu. Popełniłam cudzołóstwo z własnym mężem. Zgubiłam drogę w tym mentalnym labiryncie, który był podobny do tortur, i przekonałam się, że to Verlan miał rację. Tak, zasługiwałam na karę.

Byłam w takim stanie, że rzeczywiście podjęłam tę straszną decyzję. Cichutko, w ciemności wyszłam z łóżka. Wymacałam na komodzie pistolet Verlana, podniosłam go z namysłem, wiedząc, że jeśli się pospieszę, uda mi się to zrobić. Zdeterminowana, a jednocześnie sparaliżowana strachem, trzymałam go w trzęsących się dłoniach. Tak naprawdę nie chciałam tego robić, ale wiedziałam, że muszę. Nic nie zostało dla mnie w życiu.

Zobaczyłam urywek własnego pogrzebu. Moja trumna, przy niej płacze Verlan. W tym szaleńczym stanie poczułam nawet radość, chorą satysfakcję. Pomyślałam, że jeśli ja nie mogę go mieć, to on nie będzie miał mnie. Wreszcie będzie między nami kwita. Straciłam go gdzieś po drodze. Teraz on straci mnie. Należało mu się.

Przytknęłam broń do swej pulsującej skroni, położyłam palec na spuście gotowa wymierzyć karę, na którą oboje zasługiwaliśmy - on i ja. Potem, zbierając się na odwagę, pomodliłam się cicho: „Boże, przyjmij mą grzeszną duszę”.

W tej samej chwili dwumiesięczny Lothair zaczął płakać. Chciał jeść. Po raz pierwszy od miesiący poczułam, że ktoś mnie potrzebuje.

Wciąż roztrzęsiona, ostrożnie odłożyłam pistolet na miejsce. Verlan poruszył się lekko, słysząc płacz dziecka, ale po chwili z powrotem głęboko zasnął.

Zdałam sobie sprawę, że potrzebuje mnie mały człowiek.

Poczułam nagle konieczność zajęcia się dziećmi i przysięgłam sobie zwalczyć koszmar, który mnie ogarnął. Nie dla religii, nie dla męża, ale dla miłości mych dzieci.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI.

Chciałam teraz wyjść z depresji, ale nie miałam pojęcia, jak tego dokonać. Sama nie potrafiłam uciszyć wewnętrznego chaosu. Znowu zostawiłam jedenaścioro swych zaniedbanych dzieci z Donna. Mój najstarszy syn, Andre, miał piętnaście lat i nie mieszkał już w domu.

Pracował w San Diego przy kładzeniu suchych tynków i pomagał utrzymywać rodzinę. Wiedziałam, że Verlan będzie mną rozczarowany - ponownie bez jego zgody podejmowałam ważką decyzję - ale byłam już tak zrozpaczona, że było mi wszystko jedno. W Los Molinos wsiadłam do autobusu do San Diego, z zamiarem ukrycia się na parę dni u mojej dobrej znajomej Judy (członkini naszego Kościoła, która przeprowadziła się do San Diego, by korzystać z pomocy społecznej w Kalifornii). Nie chciałam, by ktokolwiek inny widział mnie tak rozchwianą emocjonalnie.

U Judy modliłam się całą noc, by Bóg pozwolił mi na odrobinę snu, dzięki któremu odpocznę od nieustannej gonitwy myśli i nieprzerwanego samooskarżania się o kolejne przewinienia, z których tylko część rzeczywiście nastąpiła. To mentalne cierpienie było wykańczające. Tęskniłam za kimś - za kimkolwiek - kto pomógłby mi wyjść z piekielnego labiryntu. O siódmej rano usłyszałam, jak Judy się myje. Serce zaczęło mi bić tak szybko, że czułam dosłownie, że za chwilę wyleci mi z piersi. Nagle przeraźliwy ból odebrał mi oddech.

Judy, słysząc mój szaleńczy krzyk, zabrała mnie czym prędzej do centrum, do Szpitala Uniwersyteckiego.

Po badaniu lekarz poinformował mnie i Judy, że miewam ataki paniki. Przyszędł psychiatra i zaczął mnie przepytować:

- Czy jest pani zamężna? Gdzie jest teraz pani mąż? Czy ma pani dzieci?

Milczałam. Niezależnie od tego, w jak potwornym stanie byłam, nie mogłam narażać Verlana na niebezpieczeństwo i wyjawić komuś obcemu prawdy o swoim życiu.

Kiedy psychiatra naciskał, bym odpowiadała, rozbrzmiały w mojej głowie stare, dobrze znane słowa: „Niezależnie od okoliczności, nigdy nie zdradzaj braci!”.

Zatroskany lekarz wręczył mi następnie listę słów i poinstruował, bym zaznaczyła te, które odnoszą się do mnie.

Zaznaczyłam po kolei: rozpacz, strach, bezradność, zmęczenie... Kiedy skończyłam, doktor spojrział szybko na moje odpowiedzi. Zapytał mnie o dzień tygodnia. Nie umiałam odpowiedzieć.

- Jaki mamy miesiąc? - ciągnął. Jakże miałam to wiedzieć, skoro starałam się po prostu przetrwać z dnia na dzień. Bardziej przypominałam już trupa niż człowieka.

Wypuścili mnie ze szpitala, dopiero gdy podpisałam masę dokumentów. Zobowiązałam się, że będę od poniedziałku do piątku godzinę dziennie uczestniczyć w zajęciach na oddziale psychiatrycznym. Wszystko jedno. W tamtej chwili bardziej interesował mnie zdecydowany silny ból serca. Modliłam się, by Bóg pozwolił mi umrzeć na zawał. Wówczas nie musiałabym czekać na sen, by poczuć ulgę.

Po powrocie ze szpitala Judy skontaktowała się telefonicznie z Verlanem. Przyjechał do jej domu tego samego dnia, po zmroku, a ona przekazała mu zalecenia lekarza. Dała Verlanowi dokument uprawniający mnie do uczestnictwa w zajęciach w szpitalu.

On bez chwili zastanowienia odrzekł:

- Irene nie pójdzie na żadne zajęcia ani do psychiatrii. - Potem zwrócił się do mnie:
- Masz zamiar zakłócić życie całej mojej rodzinie?

Przecież od razu zajmie się tobą opieka społeczna. Będziesz musiała wyprowadzić dzieci na ten podły świat. A ja pójdę do więzienia, kiedy odkryją, ile mam żon. Spójrz na siebie, wyglądasz strasznie. Weź się w garść, zanim do końca zwariujesz, jak moja siostra Lucinda!

Te słowa odebrały mi resztki nadziei. Zanim mój mąż odszedł, zażądał, bym natychmiast wracała do dzieci, do Los Molinos.

Wcześniej łudziłam się, że ten mężczyzna kocha mnie chociaż tyle, by przejąć się moim tragicznym stanem. Jednak fakt, że nie pozwolił mi na przyjęcie jedynej pomocy, jaką mi oferowano, spowodował, iż zrozumiałam wreszcie, że muszę wziąć sprawy w swoje ręce. Kiedy o tym myślałam, w skołatanej głowie pojawił mi się pomysł odszukania mojej siostry Becky, mieszkającej w Las Vegas. Wraz z mężem byli monogamiстами. Kiedy tylko usłyszałam w słuchawce jej głos, zawołałam:

- Becky! Ratuj mnie... tracę głowę!

Andre, który mieszkał niedaleko Judy, przejął się zdrowiem matki na tyle, by kupić mi bilet na autobus do Las Vegas.



Kiedy Becky tylko mnie zobaczyła, od razu zaproponowała wizytę u lekarza. Wyjaśniłam, że nie mogę korzystać z tego rodzaju pomocy. Na sercu leżało mi już dość ciężarów, zbyt gorzkie było poczucie winy, bym mogła ryzykować jeszcze uwięzienie Verlana lub zachwianie funkcjonowania całej jego rodziny. Jeśli spowoduję dalsze nieszczęścia, Bóg ześle mnie do gorszego piekła niż to, przez które przechodzę już teraz.

Pozostałam więc u Becky i próbowałam poukładać myśli, starając się przede wszystkim nie zapomnieć, dlaczego w ogóle znalazłam się w rozterce.

Wiedziałam, że w drugiej połowie dziewiętnastego wieku Brigham Young nauczał o zasadzie pojednania przez krew: „Są grzechy, które człowiek popełnia, a za które nie może otrzymać przebaczenia (przez krew Chrystusa, więc) z ochotą zgadza się na przelanie własnej krwi, by dym mógł unieść się do Nieba jako ofiara za jego grzechy, i za jego grzechy ofiarą stanie się dym kadzidła... (Taki grzesznik) błagać będzie swoich braci, by przelali jego krew...”.

(Journal of Discourses, tom 4,51; „Deseret News”, 1856, str. 235). W naszej grupie cytowano zawsze Brighama Younga jako najwyższy autorytet. Wiedziałam, że nie zasługuję na dalsze życie, ale nie byłam w stanie przypomnieć sobie, przez które z moich grzechów stałam się tak niegodziwa.

O, tak. Podwiązałam jajowody i pozbawiłam kilkanaście nienarodzonych duszy-czek szansy przyobleczenia się w ciało i pobytu na ziemi, gdzie mogłyby wypracować swą przyszłą chwałę. Teraz musiałam odpokutować za swą nikczemność. Trzeba było zapłacić cenę. Jezus jej nie zapłacił, bo popełniłam zbyt przerażające przestępstwo. Postanowiłam poddać się rytuałowi przelania krwi, by zrzucić z siebie winę. Verlan wyjechał właśnie do Nikaragui, by przygotowywać fundamenty pod bliskie już przeniesienie tam Kościoła Pierworodnych. Miałam nadzieję, że rozwiążę swój problem jeszcze przed jego powrotem. Nie chciałam, by mi przeszkodził.

Jeden z młodszych członków Kościoła zabrał mnie ze sobą z Las Vegas do Colonia LeBaron. Uwięziona w potrzasku swego umysłu, żaliłam się sama nad sobą w czasie piętnastogodzinnej, bezsennej podróży. Będę męczennicą - oto moja ostatnia nadzieja.

Kiedy dojechaliśmy do Colonia LeBaron, mój młody znajomy poinformował mnie, że mamy sobotnią noc. Uznałam to za potwierdzenie faktu, że działam zgodnie z planem Boga. Większość mężczyzn była bowiem w domu tylko w soboty i niedziele. Następnego dnia opuszczą kolonię i swe żony by wrócić do Stanów, do pracy. Jeśli chciałam zastać w kolonii jakichś braci, to musiało być to teraz, dziś w nocy, późno, ale trudno.

Chyba tylko nagłący, niecierpliwy ton mojego głosu i niezwykajny wygląd nakłoniły dwóch braci - Bruce'a i Earla - do tego, by mnie wysłuchać. Kiedy obaj przysięgli, że dotrzymają tajemnicy, wyznałam przed nimi grzechy. Byli wstrząśnięci, szczególnie wtedy, gdy powiedziałam, że Verlan kocha mnie tak bardzo, że musiałam ukryć przed nim swe zamiary. Błagałam ich, by pozwolili mi podciąć sobie gardło i w ten sposób uwolnić się od swych podłych win.

Widząc moje cierpienie, a jednocześnie szczerość, Bruce przerwał mi i rzekł:

- Irene, nasza grupa już nie praktykuje krwawej ofiary. Nawet do głowy by nam nie przyszło zezwolić ci na jej wykonanie. Zły jestem, że Verlana nie ma tu przy tobie, kiedy tak mocno cierpisz. Czy on wie, jak się czujesz?

- Wie - odparłam. - Kiedy wyjawiałam mu, że chcę popełnić samobójstwo, powie-

dział, iż zawładnęły mną demony, które powinny zniknąć po tym, jak położył mi ręce na głowie i wypędził je w imię Chrystusa.

Earl uświadomił sobie wówczas, że stoję na krawędzi. Zapewnił mnie, że odtąd będzie za mnie odpowiadał, i obiecał Bruce'owi, że zostanie, by mi pomóc. Znałam Earla od dwunastu lat. Przeprowadził się do Colonia LeBaron, kiedy Joelowi udało się go przekonać, iż Stany Zjednoczone czeka zagłada, że wkrótce ogień i siarka zetrą je z map tego świata i że ocaleje tylko nasza grupa, która znajdzie schronienie w Meksyku. Myślałam, że znam Earla dobrze. Szanowałam jego kapłaństwo. Jednakże sposób, jaki zaproponował jako rozwiązanie mych problemów, był dla mnie całkiem nieoczekiwany.

Ten rzekomy człowiek boży wyjawiał mi, że poznał najnowsze techniki hipnozy Skuliłam się ze strachu. Jak człowiek, który posiadał władzę niemal boską, może mnie zachęcać, bym uciekała się po pomoc do diabła? Earl obiecał mi jednak, że przez hipnozę uwolni mnie od obaw i urojonych grzechów. Poddalam się tylko dlatego, że nie miałam już do kogo się zwrócić, a zarazem zdawałam sobie sprawę, że jeśli natychmiast czegoś nie zrobię, zginę. Wyznałam Earlowi, że obawiam się hipnozy jako narzędzia diabła. Spytałam, czy myśli, że poddając się jej, stracę zbawienie. Odrzekł:

- Zaufaj mi. Przysięgam, że wszystko będzie w porządku.

Usiądź teraz w tym fotelu i odpręż się. Policzę do dziesięciu, a kiedy skończę, bądź cicho i słuchaj, co mówię. Zamknij oczy.

Próbowałam uspokoić rozedrgane myśli, mając nadzieję, że diabeł nie przejmie mnie na własność. Skupiłam się na monotonnym głosie Earla.

- Jeden, zaczynasz być śpiąca... Dwa, jesteś jeszcze bardziej śpiąca... Trzy, leż spokojnie, spróbuj się odprężyć... Cztery, dobrze, pozwól swemu ciału jeszcze bardziej się rozluźnić... Pięć...

Do czasu, gdy Earl skończył, odleciałam. Wówczas powiedział mi, że podwiązanie jajowodów ocaliło mi życie i pomoże mi jeszcze lepiej opiekować się trzynastką moich dzieci. Powiedział, że tej nocy będę spać jak suseł. Zapewnił, że nie jestem potępioną na wieki grzesznicą.

- Nie będziesz już się martwić z powodu operacji. Jesteś piękną kobietą. Musisz słuchać samej siebie. - Przerwał na chwilę. - Nie będę musiał usypiać cię następnym razem. Kiedy zobaczysz mój podniesiony palec, od razu uśniesz.

Następnie zaczął liczyć od dziesięciu do jednego.

- A teraz otwórz oczy - powiedział.

Kiedy je otworzyłam, czułam się, jakbym przespała całe godziny. Zaskoczył mnie widok Rhonity, jednej z pięciu żon Earla, która była w pokoju. Uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że tu jestem.

Zdążyłam otworzyć usta, by odpowiedzieć, gdy Earl podniósł palec. W tej samej chwili opadłam bezsilnie na fotel - jak szmaciana lalka. Znow odleciałam. Earl powtó-

rzył swe poprzednie zapewnienia, dopytując się dodatkowo, czy na pewno rozumiem, że jestem dobrym człowiekiem i nie zrobiłam nic złego. Jego głos kołło me serce. Licząc od dziesięciu do jednego, łagodnie polecił mi otworzyć oczy.

- Teraz po dwóch sesjach, powinnaś poczuć się lepiej. Wróc jutro, to znowu cię trochę wzmocnimy.

Uśmiechnął się, kiedy wstałam.

- Jestem dostępny dwadzieścia cztery godziny na dobę, Irene.

Przyjdź w każdej chwili, kiedy będziesz mnie potrzebowała.

Tej nocy spałam jak dziecko, zapominając o bezsenności.

Przespałam trzynaście godzin. Byłam wycieńczona. Po każdej kolejnej sesji z Earlem splątany supeł mojego umysłu coraz bardziej się rozwiązywał. Nowy przyjaciel pomógł mi poskromić najgłębsze obawy. Przede wszystkim jednak otworzył mnie na nowy, obiecujący sens własnego istnienia, własnej osoby - osoby, która nie tylko pragnie życia i miłości, ale i osoby, której to pragnienie nie czyni złą. Jechałam do kolonii szukać śmierci, a znalazłam pragnienie życia. I kiedy żelazne zasady religijne zaczęły kruszyć się w mojej głowie, poczułam, jak wynurzam się z ciemności. Zobaczyłam coś, czego nie widziałam przed sobą już od dawna. Nadzieję.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY.

Nadszedł w końcu dzień, kiedy Verlan postanowił przenieść mnie do naszego nowego schronienia w dzikiej Nikaragui, w Ameryce Środkowej. Spędziliśmy tam prawie dwa pamiętne lata, walcząc o przetrwanie z malarią, biegunką, pasożytami przewodu pokarmowego, komarami, a szczególnie z samotnością.

Nasza podróż do Nikaragui, jak większość dotychczasowych podróży, była koszmarem. Verlan wiozł nas samochodem kemping-owym. Wszyscy trzynastoro byliśmy stłoczeni wraz z odzieżą, naczyniami, garnkami, patelniami i innymi niezbędnymi sprzętami. Z Colonia LeBaron jechaliśmy na południe siedem dni. Zatrzymywaliśmy się na noc tylko na tyle, by zregenerować siły przed kolejnym, czternastogodzinnym dniem jazdy. Biwakowaliśmy przy drogach pod drzewami lub nieopodal stacji benzynowych. Raz nocowaliśmy w tanim motelu i wtedy wszyscy się wykąpaliliśmy. Podczas jazdy szczęśliwcy, którzy cierpieli na chorobę lokomocyjną, mogli siedzieć z przodu, obok kierowcy. Cała reszta walczyła z klaustrofobią w dusznej, rozgrzanej do granic wytrzymałości części sypialnej samochodu.

Podróż upływała wśród ciągłych sprzeczek i narzekań, w związku z czym niemal nie podziwialiśmy pięknych krajobrazów Meksyku i Ameryki Łacińskiej. Z wielką ulgą przyjęliśmy wiadomość o tym, że wreszcie jesteśmy na miejscu - na naszej najnowszej „ziemi obiecanej”.

Verlan nabył niewielki kawałek ziemi w bajecznej dżungli, jakieś 50 kilometrów za niedużym miasteczkiem Jinotega. Ponieważ planował wybudować miasto Boga, na spółkę z innymi braćmi, którzy również zamierzali zbiec z Meksyku przed straszliwymi zakusami Ervila, dokupił trzysta sześćdziesięciohektarowe ranczo. Dla reszty świętych, co do których Verlan był przekonany, że ściągną do nas w najbliższej przyszłości, miała to być docelowa kolonia.

Kiedy po raz pierwszy ujrzałam łagodne wzgórza pokryte obfitą roślinnością, pomyślałam, że Nikaragua nie wygląda najgorzej.

Mijaliśmy bujne lasy liściaste, drzewa i plantacje kawy, bananów, pomarańczy i

grejpfrutów. Przyszło mi do głowy, że być może będziemy mieć tu lepsze warunki życia i pożywienie niż kiedykolwiek dotąd. Jednakże niewielka plantacja, na którą się wprowadziliśmy, cała była zarośnięta chwastami. Ziemi na niej nigdy dotąd nie uprawiano.

Chłopcy całymi godzinami wycinali maczetami niewielkie drzewa, wysoką trawę i zarośla, by wygospodarować miejsce pod ogród warzywny. Od razu posadziliśmy akr kapusty przeznaczonej na sprzedaż. W ten sposób zamierzaliśmy kolejny raz zarobić na skromne, niezbędne sprzęty. Wszystkie starsze dzieci codziennie pracowały przy pielęgnacji uprawy, by rośliny mogły przetrwać.

Do dżungli jako pierwsza wyjechała Lucy wraz z piątką swych dzieci. Stłoczyliśmy się wszyscy w jej drewnianej chatce z blaszanym dachem klepiskiem zamiast podłogi.

W trzypokojowym, prowizorycznym domku zamieszkało więc razem siedemnaście osób.

Jedynym źródłem wody pitnej był strumień, szemrzący u stóp wysokiego wzgórza, na którym stała nasza chata. Wodę trzeba było przed spożyciem przegotować, gdyż prali w niej ubrania i myli się mieszkańcy sąsiednich plantacji, położonych w górze strumienia.

Niemal całkowicie zniszczyłam sobie ręce, kiedy usiłowałam dopierać nasze ubrania, trąc je o wielki kamień pośrodku strumienia.

Wkrótce jednak poznałam sposób, w jaki prali tubylcy, i zaczęłam go z powodzeniem stosować, a mianowicie - uderzałam namydlonymi ubraniami o kamienie. Kiedy były już czyste i wypłukane, rozwieszałam je na krzakach, by wyschły w przerwie między burzami.

Na początku z radością witałam każdą z nich, gdyż woda deszczowa była czystsza od tej ze strumienia. Mieliśmy dwie dwustulitrowe beczki na deszczówkę. Często obserwowaliśmy, jak chmury gwałtownie zamykają się nad nami, jak latające stado owiec.

Tak szybko, jak się udało, Verlan zbudował dwa następne małe drewniane domy, jeden dla Charlotte i jeden dla Susan. One również przeprowadziły się do Ameryki Środkowej i osiedliły się, usiłując wykorzystać jak najlepiej to, czym dysponowaliśmy. Verlan oczywiście był u nas rzadkim gościem. Często jeździł z powrotem do Stanów, do naszych kolonii w Meksyku lub do innych posiadłości, które nasi ludzie zakupili w Nikaragui.

Chłopcy szybko nauczyli się uprawiać ogród i zbierać dzikie owoce. Czternastoletni Steven kupił parę byków. Często używał ich do przywlekania ogromnych pni, które potem cięliśmy na opał. Większość tysięcy drzew owocowych i orzechowych, które Verlan zakupił w Stanach i posadził w Nikaragui, nie przeżyła obcego klimatu, a te, które przetrwały, zostały szybko zduszone przez ekspresowo rosnące chwasty, których nie nadążaliśmy wyrwać. Musieliśmy więc kupować większość warzyw i owoców do jedzenia, szczególnie zaś zieloną cebulę, która zastępowała nam zielone meksykańskie

papryczki, stanowiące do tej pory podstawę naszej diety, a tu niedostępne. Raz w tygodniu chodziłam pieszo, z kilkorgiem dzieci, około pięciu kilometrów do autobusu, którym jechaliśmy do Jinotega po zakupy.

Wkrótce okazało się, że pora deszczowa trwa dziewięć miesięcy. W warunkach wiecznej wilgoci doskonale rozmnażały się komary, owady, węże i wciąż nękające nas choroby, które zaczynały się zawsze biegunką, a kończyły wszystkim innym. Do szalu doprowadzały nas gnieźdzące się w klepisku muchy, które dotkliwie kąsały nas w ręce i nogi, powodując opuchliznę i niegojące się rany. Kupowałam na litry środek antyseptyczny „Merthiolate” i opatrywałam wszystkim rany wieczorami, już w łózkach. Równie szybko, jak przysychały stare, pojawiały się nowe.

Pewnego razu Kaylen płakał przez całą noc z powodu bólu brzucha. Widząc, jak się skręca, byłam pewna, że to zapalenie wyrostka. Kiedy czekałam następnego dnia na autobus, by zawieźć go do Jinotega do lekarza, przewinęłam najmłodszego synka - Lothaira.

Zauważyłam coś płaskiego, podobnego do spaghetti, wystającego z pupy małego na jakieś dwa centymetry. Delikatnie pociągnęłam za to i, ku swemu przerażeniu, rozciągnęło się to w glistę bez końca! Zaczęłam przeszukiwać za pomocą patyczka zawartość pieluchy i naliczyłam czterdzieści pięć glist. Dalej nie liczyłam, bo miałam dosyć.

Przynajmniej byłam pewna, że Kaylenowi nie pękł wyrostek.

Wstydziłam się powiedzieć lekarzowi o swoim odkryciu. Ciężko mi było to wyznać, a co dopiero mówić o szczegółach. On jednak nonszalancko odpowiedział:

- A, to. Wszyscy chrześcijanie dostają tu robaków.

Zastanawiałam się, co chrześcijaństwo ma do tego, ale szybko odkryłam, że w ten sposób tubylcy określali obcokrajowców.

Doktor wypisał receptę dla całej naszej siedemnastoosobowej rodziny.

- Proszę przyjmować łyżkę stołową leku raz dziennie przez trzy dni. Potem trzy dni przerwy i znów od początku przez trzy dni.

Wysłałam od lekarza rozwścieczona. Pieniądze, których potrzebowaliśmy na jedzenie, musiałam wydać na środek odrobaczający dla całej rodziny. Pomaszerowałam prosto do urzędu pocztowego i wysłałam Verlanowi następującą wiadomość: „Przyjeżdżaj natychmiast - dzieci chore - małżeństwo skończone!”.

W czasie pięćdziesięciokilometrowej jazdy na naszą plantację ostrygłam nieco. Jednak przy odrobaczaniu niemal nie umarłam z obrzydzenia, gdy w rezultacie jednego ruchu kiszki jedno dziecko potrafiło wydalić sześćdziesiąt pięć glist mierzących od dwóch do dwudziestu czterech centymetrów długości.



Choć desperacko pragnęłam, by Verlan przyjechał i zabrał nas stamtąd, pamiętam też miłe chwile z pobytu w Nikaragui. Był to, na ironię losu, raj dla dzieci. Mogły tam pływać, urządzać wyprawy i buszować po dżungli w poszukiwaniu skarbów i zwierzą-

tek do udomowienia. Pewna mała małpka, którą przyniosły do domu, wpadła na niezwykły sposób samoobrony. Za każdym razem, kiedy czegoś się przestraszyła lub gdy po prostu chciała zrobić na złość, robiła kupę i rzucała nią w swoją ofiarę. Dzieciaki uważały to za zabawne, ale kiedy małpka zachowała się tak wobec Verlana, musiały się z nią pożegnać.

Największą satysfakcję przyniosły nam jednak zawarte wśród tubylczej ludności przyjaźnie i znajomości. Chociaż byliśmy ubodzy, dzieliliśmy się z nimi wszystkim. Verlan kupił dwie krowy mleczne, które dawały tyle mleka, że wystarczało dla czterech żon i całej gromady dzieci. Od czasu do czasu robiliśmy ser i twaróg, by urozmaicić posiłki. Cielęta - byczki - zabijaliśmy na mięso. Po uboju dzieliliśmy mięso między nasze cztery rodziny, a to, co zostało, oddawaliśmy znajomym tubylcom. Żadna część nigdy się nie zmarnowała - nawet skóra, krew, wnętrzności, głowa. Nie było prądu, a co za tym idzie, lodówek, a nie chcieliśmy, by jedzenie psuło się w upale. W tamtych czasach często nadarzały się okazje do prawdziwej biesiady.

Po jednej z takich biesiad sąsiadka z plantacji odległej od nas o jakieś pięć kilometrów przysłała jedno ze swych dzieci z wiadomością, że zaprasza mnie na obiad. Ryż był rzadkim rarytasem, ale na tę okazję ugotowała zupę ryżową. Kiedy mieszałam ją w swojej miseczce, odkryłam w niej małe ugotowane jajko. Powiedziałam więc:

- O, nigdy dotąd nie widziałam w zupie gotowanych jajek.

- O, nie - odparła - to nie jajko. To krowie oko. Podajemy je gościom, ponieważ oczy są wszystkowidzące. Temu, kto je spożywa, dają mądrość.

Wielkie nieba! Jakże miałam to przełknąć? Na szczęście stał obok mnie głodny dziesięcioletni syn mojej gospodyni. Kiedy się odwróciła, szybko podałam mu oko na łyżce prosto do buzi, a kiedy je przełykał, mrugnąłam do niego na znak, że to tajemnica.

Kiedy po otrzymaniu mego telegramu Verlan wrócił do Nikaragui, zastał mnie kompletnie załamana codziennością jego nowej utopii. Nie chciałam żyć tyłoma fałszywymi nadziejami, oświadczyłam więc, że go zostawiam. Tylko w ten sposób mogłam uwolnić się od kolejnych, niespełnionych przez niego oczekiwań.

Stwierdził, że potrzebuję wakacji. To wszystko. Obiecał, że jeśli pojedę z nim do Colonia LeBaron, do Meksyku, będziemy razem przez cały miesiąc. Mówił o tym, jak miło możemy spędzić we dwoje czas.

Miał zamiar załatwić sprawy kościelne i pobyć trochę z Lillie, Beverly i Esther.

- Ty jednak - stwierdził - będziesz miała u mnie pierwszeństwo.

Zgodziłam się więc.

Siedmiodniowa podróż przez Amerykę Środkową i Meksyk była długa i męcząca, lecz jednocześnie stanowiła mój najdłuższy pobyt sam na sam z Verlanem od wielu, wielu lat. Tył ciężarówki był załadowany rzeczami należącymi do trzech pozostałych żon. Verlan zabierał je z powrotem do Meksyku, gdyż cenne przedmioty i zdjęcia niszczały pod wpływem wilgoci, charakterystycznej dla klimatu Nikaragui. Nie mogliśmy

więc spać w części kempingowej samochodu. W nocy robiliśmy postój i spaliśmy na kocu pod drzewami. Będąc pewnym, że nie pocznę dziecka, a jednocześnie starając się mnie odwieść od rozwodu, Verlan, choć gnębiony wyrzutami sumienia, poddał się moim uwodzicielskim zalotom.

Od Colonia LeBaron dzieliło nas jeszcze jakieś 160 kilometrów, kiedy Verlan spytał, czy mógłby podzielić się ze mną swymi przemyśleniami.

Poczułam znajome ukłucie gdzieś głęboko, ostrzegające, że zbliża się coś nieoczekiwanego.

- Czuję się wstrętnie, że tak długo unikam Elizabeth - powiedział. - Już pół roku temu pytała, czy się z nią ożenię. Od tamtej pory wciąż to odkładałem, bo nie miałem ani czasu, ani pieniędzy.

Wiesz jednak, jak smutno jest być samemu. Pomyśl tylko, jest wdową, nie ma nikogo.

Zawsze mnie zdumiewało, jak bardzo potrafi współczuć obcym, zdesperowanym kobietom. Przez ostatnie dwa lata odbudowałam w sobie tylko cząstkę nadziei. Jeśli trzeba, jeszcze raz wyrzeknę się Verlana, ale nigdy, przenigdy już mu nie zaufam.

Spojrzał w lusterko, a potem na mnie.

- Daj spokój, Irene, ona ci nie zagrozi. Przecież to twoja bliska koleżanka od tak dawna.

W ciszy patrzyłam na drogę.

- Hej - powiedział i klepnął mnie w kolano. - Jeśli nie chcesz, żebym to zrobił, po prostu powiedz. Powiem jej, że musi poczekać, bo ty się nie zgadzasz.

Wciąż milczałam.

- No, Irene - próbował dalej. - I co ty na to? Kiedyś i tak się to stanie, więc po co to odwlekać? Lepiej zdecydować się teraz.

Jeślibym się rozplakała, jeszcze bardziej by mnie potępił.

- Dobrze, zrób to! - ucięłam.

- Nie denerwuj się. Ona tyle potrafi. Mogłaby uczyć nasze dzieci. Umie pisać na maszynie. Jest spokojna, skromna. Kochanie, przecież tyle wniosłaby do naszej rodziny.

Popatrzyłam na niego sarkastycznie.

- O, właśnie to mnie martwi. W naszej rodzinie jest już za mało miejsca.

Kiedy przyjechaliśmy do Colonia LeBaron, było już ciemno.

Verlan wysadził mnie pod domem Lindy i pojechał zobaczyć się ze swą przyszłą żoną Elizabeth. Wrócił koło północy, rozpromieniony.

- Wszystko ustaliłem, ślub odbędzie się jutro w południe u Elizabeth. Mała, prywatna uroczystość - tylko jej czworo dzieci, ty i ja... i ty też, Lindo, jesteś zaproszona.

Uśmiechnął się, uściśnął mnie na dobranoc i poszedł spać do Lillie.

Był 22 lutego 1976. Wcześniej rano Verlan posłał mnie do Elizabeth, żebym jej po-

mogła. Upiekła małe ciasto, ja je polukrowałam.

Przygotowałam dzbanek lemoniady i włożyłam do lodówki, by się schłodziła. Pomyslałam sobie, jak to dobrze, że mają już w kolonii prąd.

Miało to być trzecie małżeństwo Elizabeth. Nie mogłam uwierzyć, że aż tak się denerwuje. Cały czas poprawiała krótkie, siwe włosy i zdejmowała okulary, by przetrzeć szkła. Czy nie wiedziała, w co się pakuje? Zastanawiałam się, czy się boi, że jej małżeństwo źle wpłynie na naszą przyjaźń, która przetrwała jak na razie dłużej niż jej poprzednie małżeństwa.

Patrzyłam, jak przebierała się w różową sukienkę kupioną pół roku wcześniej w sklepie z używaną odzieżą. Nigdy dotąd jej nie włożyła, na wypadek gdyby Verlan jednak zdecydował się poprosić ją o rękę. Zapięła pasek.

- Dobrze wyglądam? - spytała.

Pokiwałam głową.

Przybył Alma, który miał odprawić ceremonię. Przywitał się ze wszystkimi i powiedział:

- Jestem z was obu ogromnie dumny. Robicie krok we właściwym kierunku.

Następnie weszła Linda w towarzystwie Verlana, który znów przeprosił za spóźnienie. Pozwolił sobie bowiem udać się w odwiedziny do dwóch swoich meksykańskich żon, które mieszkały w kolonii, a z którymi nie widział się od ponad miesiąca. Natychmiast po tym pokiwał na mnie, bym udała się z nim do niewielkiej sypialni, przylegającej do kuchni. Objął mnie swymi silnymi ramionami i trzymał tak mocno, że ledwo mogłam oddychać. Kiedy próbowałam powstrzymać go od ściągania mi na siłę z palca ślubnej obrączki, zaczął mnie całować. Usiłowałam zaprotestować, ale jego pocałunki stłumiły me słowa. Zdjął mi obrączkę i schował do kieszeni.

- Później ci ją oddam. Tylko ani słowa.

Powoli otworzył drzwi i wszedł do salonu, gdzie czekało już kilku gości. Powiedział do Almy:

- Możemy zaczynać.

I znów poczułam się tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć we mnie wulkan. Staralam się oddychać głęboko i powtarzałam sobie w myśli: „Nie płacz, to tylko obrączka”. Cały czas jednak myślałam o tym, że to jedyna biżuteria, jaką w życiu od niego dostałam. Teraz nie tylko oddawałam Elizabeth męża, ale musiałam podzielić się z nią świętym symbolem mego małżeństwa. Po wielu głębokich oddechach przyszałam, choć z trudem, do siebie, i weszłam do pokoju, gdzie wszyscy już na mnie czekali.

Alma odmówił modlitwę dziękczynną z racji tak wspaniałego wydarzenia, a ja prosiłam Boga, by pomógł mi nie płakać. Natychmiast po modlitwie Verlan, Elizabeth i ja zajęliśmy swoje miejsca przed kominkiem. Słyszałam, jak Alma chrząka, by oczyścić sobie gardło, i po raz czwarty zadaje owo straszne pytanie:

- Czy ty, siostrze Irene, bierzesz siostrę Elizabeth za prawą rękę i oddajesz ją swe-

mu mężowi za żonę w świetle prawa i zgodnie z prawem?

Posłusznie umieściłam jej spoconą dłoń w dłoni Verlana i starałam się nie słuchać dalszej części ceremonii. Wyglądało na to, że wszystkie moje wyjazdy z Verlanem szybko zmieniają się w jego podróż poślubną z moją dobrą koleżanką. Teraz pragnęłam tylko uciec gdzieś daleko, gdzieś, gdzie mogłabym płakać i nikt by mnie nie krytykował.

Alma kontynuował:

- Ogłaszam was mężem i żoną.

Tak jak w przypadku Helen, Elizabeth miała być w naszej rodzinie tylko w życiu ziemskim. Po śmierci miała znaleźć się u boku zmarłego męża, Earla. Wobec tego zastanawiałam się, jaka korzyść płynie dla nas w rzeczywistości z tego, że bierzemy ją do siebie.

Verlan zaskoczył wszystkich zgromadzonych, prócz mnie, wyciągając moją obrączkę i nakładając ją na palec swej pięćdziesięcioletniej wybranki, którą następnie pocałował. Elizabeth była zachwycona. Goście zaczęli składać im gratulacje.

Panna młoda pokazała mi i Lindzie swą śliczną obrączkę.

- Czyż nie jest piękna? Czy przypuszczalibyście, że Verlan jest tak przewidujący?

Verlan wpatrywał się we mnie ostrzegawczo, bym przypadkiem nie rozwiała jej złudzeń.

Wraz z Lindą pokroiłyśmy ciasto. Podałyśmy po kawałku Elizabeth i jej czworgu dzieciom. Alma i Verlan przy jedzeniu rozmawiali o interesach.

- Elizabeth, jesteś gotowa? - spytał Verlan po chwili.

- Za jakieś dwadzieścia minut - odpowiedziała. - Muszę tylko znaleźć kogoś, kto zajmie się dziećmi.

- O, to żaden problem. Irene to na pewno zrobi. Jesteśmy teraz rodziną. A ona przecież jest tu na wakacjach, nie ma nic do roboty.

Podszedł i objął mnie.

- Nikt nie dorówna Irene. To osoba, która wszystkim potrafi służyć.

Elizabeth, z walizką w ręku, uściskała mnie na pożegnanie.

Verlan z wdzięczności cmoknął mnie w policzek. W ten sposób rozpoczęła się kolejna podróż poślubna.

Dwa dni później Elizabeth z rozmachem otworzyła drzwi wejściowe, z hukiem upuściła walizkę i ze śpiewnym „Ta-ra!” wkroczyła do kuchni.

- O, Irene, on jest po prostu cudowny!

Serce ścisnęło mi się z bólu. W tym właśnie kontekście myślałam o nim zupełnie to samo, ale absolutnie nie potrzebowałam, by potwierdzała to inna kobieta.

Uśmiechnęłam się i uścisnęłam ją na powitanie. Miałam świadomość, że między nami nigdy nie będzie już tak samo. Za nic nie chciałam rujnować jej złudzeń, lecz ponieważ wyjeżdżałam, wiedziałam, że wszystko jedno, czy zrobię to teraz, czy kiedy in-

dziej.

- Liz - powiedziałam, siląc się na lekki ton - wystarczająco dużo kosztowało mnie, by oddać ci męża, więc czy mogłabym dostać z powrotem moją obrączkę?

Skamieniała.

- Chcesz mi powiedzieć - spojrzała na ślad po obrączce na moim palcu - że naprawdę wziął twoją obrączkę? - Pokręciła z niedowierzaniem głową. - Czasem nie mogę uwierzyć, do czego są zdolni mężczyźni - powiedziała i oddała mi obrączkę. Podziękowała mi, że zajęłam się jej dziećmi, a ja uściśniłam ją na pożegnanie.

Idąc ulicą, miałam nadzieję, że natknę się na Verлана. Po ślubie wyjechał w takim pośpiechu, że nawet nie zdążyłam mu pogratulować.

Każdy mężczyzna o ego tak potężnym, by próbować uszczęśliwić dziewięć kobiet naraz, zasługuje na pochwałę.

Nie dość, że warunki życia w Nikaragui mieliśmy fatalne, to w wielu częściach kraju rozszalała się rewolucja. Cztery żony Verлана zgodnie podjęły decyzję: pora się stąd jak najszybciej wynosić. Nawet Verlan zrozumiał, że daremna byłaby próba namówienia nas do pozostania. Zrozumiał też, że jeśli nie zaprowadzi zdecydowanych zmian w naszym życiu, straci mnie.

Ponieważ jego ślub z Elizabeth nastąpił w trakcie wyjazdu, który miał być „moim”, Verlan zdecydował się wynagrodzić mi to i zabrać mnie ze sobą do Teksasu, do Dallas. Wybierał się tam, by zorganizować przeprowadzkę paru żon, które miały odtąd zamieszkać w mieście, pracować tam i utrzymywać swoje rodziny. Leciałam już kiedyś małym samolotem, lecz teraz po raz pierwszy wsiadłam do normalnego, obsługiwanego przez linie lotnicze. Niemal umarłam ze strachu. Na wysokości tysiąca metrów czułam, że jestem w połowie drogi do nieba i zapewne za chwilę tam się znajdę. Przed lądowaniem obiecałam Bogu, że jeśli pozwoli mi przetrwać, postaram się odtąd być dobra. Kiedy wylądowaliśmy szczęśliwie, zaczęłam się zastanawiać, czy uda mi się dotrzymać słowa.

Nasz znajomy, Erv Lowther, zgodził się zatrudnić nas trzy do sprzedaży biżuterii w Dallas. Wróciłam więc z Verlanem do Nikaragui tylko po to, by zakończyć wszystkie nasze sprawy. Dobrze się stało, zwłaszcza że tereny te wkrótce potem ogarnęła rewolucja. Zostawiliśmy naszą ziemię i straciliśmy kilka sztuk bydła. Po powrocie nie mogliśmy się pochwalić prawie niczym, prócz zdobytego doświadczenia.

Mogliśmy tylko powiedzieć, że kiedyś mieszkaliśmy w Nikaragui.

Niedługo potem ja, Susan i Lillie wylądowałyśmy w Dallas.

Wynajęłyśmy tam kilka mieszkań, w których gnieździłyśmy się wraz z dziećmi. Moi najstarsi chłopcy pracowali już i mieszkali oddzielnie, a moja kochana Donna była mężatką i przebywała w Kalifornii. Dosyć już się napatrzyła na łzy i cierpienia. Chciała znaleźć się najdalej, jak to tylko możliwe, od biedy, poligamii i swego wuja Ervila, terroryzującego grupy fundamentalistów. Gdy ja, Susan i Lillie szłyśmy do pracy, by

sprzedawać biżuterię, wszystkimi dziećmi zajmowała się moja dwunastoletnia córka Barbara. Trwały wakacje letnie, więc aż do początku roku szkolnego nie musiałam martwić się o opiekę do dzieci.

Stoiska z biżuterią, należące do Erva, były ustawione w holach rozmaitych hoteli. Było to moje pierwsze doświadczenie w handlu i okazało się, że to lubię. Odkryłam też, że mam talent do sprzedaży.

Żeby utrzymać pracę, wstawałam wcześniej i późno wracałam do domu, gdzie również czekało mnie dużo roboty - trzeba było przygotować wiele rzeczy na następny dzień, by ulżyć Barbarze.

Verlana, jak zwykle, nie było. Prócz nas wszystkich miał na głowie jeszcze tyle obowiązków. Musiał też stale zmieniać miejsce pobytu, by ludzie Ervila nie wpadli na jego trop. Pewnego razu, wyjeżdżając, zabrał ze sobą na krótkie wakacje Susan. Przed odjazdem poprosił mnie, bym opróżniła jej skrzynkę na listy. Ona sama zaś poleciła mi wyrzucać wszystkie reklamy, a odkładać tylko korespondencję osobistą. Wielokrotnie mnie ostrzegała, bym uważała na naciągaczy, gdyż „w wielkich miastach pełno jest oszustów, którzy tylko czyhają, żeby cię wykorzystać”.

Kiedy tylko Susan wyjechała, właściciel jej mieszkania poprosił mnie, bym opróżniła lokal na dwanaście godzin celem przeprowadzenia dezynsekcji. Ja zaś poprosiłam, by przy okazji naprawił drewniane drzwiczki pod zlewem w kuchni, bo obluzowała się cała rama.

Najętemu stolarzowi zajęło to zaledwie parę minut. Wkrótce potem przyszedł do Susan list. Byłam przekonana, że to jakaś reklama i otworzyłam go z ciekawości. Okazało się, że był to zdumiewająco wysoki rachunek następującej treści: „Beatles - \$ 6.95, Carpenters - \$

13.90, Bread - \$ 13.90, Razem - \$ 34.75”. Załączony był również list: „Szanowna Panno Ray! Na Pani rachunku odnotowaliśmy znaczne zaległości. Prosimy o ich natychmiastowe wyrównanie. W przeciwnym razie będziemy musieli zwrócić się do agencji windykacji należności”.

Nie do wiary Zarówno firma przeprowadzająca dezynsekcję, jak i stolarz próbowali naciągnąć Susan na ogromne pieniądze!

Ponieważ sprawa była pilna i wiedziałam, że Susan nie wróci odpowiednio szybko, by ją załatwić, postanowiłam sama ukrócić nieuczciwe zamiary oszustów. Podpisując się jako Susan, wysłałam następującą odpowiedź:

Szanowni Państwo!

Nie mogę wprost uwierzyć, że chcecie mnie Państwo tak nikczemnie oszukać. W zeszłym tygodniu, zgodnie z Państwa prośbą, udostępniłam mieszkanie na jeden dzień celem przeprowadzenia dezynsekcji, czyli unicestwienia karaluchów. Nie żuków! Proszę nie wyceniać pracy stolarzy, bo był u mnie tylko jeden. Naprawa drzwiczek leży zaś w gestii właściciela mieszkania. Sama potrafiłabym przykleić je czy

przybić. Zresztą, miało to być wykonane bez opłat. Następnym razem, kiedy przyjdzie Państwu do głowy próba oszustwa, proszę się dwa razy zastanowić, ponieważ moim zdaniem jesteście Państwo po prostu nierozsądni! Jestem o tym przekonana, gdyż nigdy dotąd nie zamawiałam chleba pocztą. Przez większość swego życia sama wypiekałam dwanaście bochenków co drugi dzień. Ponieważ widzę, że nie jesteście Państwo uczciwi, liczę, że nie otrzymam od Was odpowiedzi.

Susan Ray

Po powrocie Susan przyznałam jej rację co do oszustów.

Zaczęłam opowiadać o firmie, która chciała ją naciągnąć na duże pieniądze i o mojej odpowiedzi na ich list. Śmiała się do łez.

- Irene, to były kasety z nagraniami, które zamówiłam. Nie słyszałaś o The Beatles, The Carpenters i The Bread?

Nie słyszałam. To była dla mnie całkowita nowość.

Nadszedł dzień, kiedy gwałtownie skończyło się nasze życie w Dallas - jak wszystko inne, w co wpędził nas Verlan. Pewnego razu przyjechał i bez uprzedzenia kazał nam spakować wszystko, co wejdzie do jego półciężarówki - na jutro. Nagle bowiem przyszło mu do głowy, że stajemy się zbyt niezależne. Tłumaczył to w ten sposób, że nie może już dłużej zostawiać nas samych wśród wszystkich niegodziwości tego świata i czyhających na nas ze wszech stron niebezpieczeństw.

Umieblałam sobie mieszkanie rzeczami z wyprzedaży garażowych i miałam teraz najlepsze łóżka i sprzęty w życiu. Cholera!

Po raz kolejny musiałam zostawić cały swój dorobek i było to wręcz nie do zniesienia! Później jednak okazało się, że było warto - wylądowałam bowiem na jakiś czas w Las Vegas u mojej siostry Becky. Postawiłam również milowy krok w kierunku spełnienia marzeń mego życia. Za zgodą Verlana i z pomocą Barbary i Lucy, które podjęły się opieki nad moimi dziećmi, z wyjątkiem dwójki najmłodszych, zapisałam się na sześciotygodniowy kurs twórczego pisania na Uniwersytecie Nevady w Las Vegas. Becky zaproponowała, bym jeździła na zajęcia jej samochodem. Nie mogła uwierzyć, gdy przyznałam się, że nie mam prawa jazdy.

- To jak wozilaś wszystkie dzieci do szkoły w Meksyku? - spytała.

- No, tam były tylko polne drogi, nie było świateł, skrzyżowań i znaków, tylko pustkowia.

- Dobrze, już ja się postaram, żebyś jak najszybciej zrobiła prawo jazdy - zapewniła. Została moim instruktorem jazdy. Pewnego poniedziałku poinformowała mnie, że w piątek zdaję egzamin.

Rzeczywiście tak się stało, lecz bardzo się denerwowałam, bo pierwszy raz w życiu miałam wystąpić oficjalnie pod nazwiskiem męża.

Wątpiłam też w siebie, martwiłam się, że nie zdam, bo zbyt długo żyłam w izolacji od świata. Kiedy Andre dowiedział się, że w wieku czterdziestu lat robiłam prawo

jazdy, kupił mi używanego, żółtego datsuna - mój pierwszy w życiu własny pojazd.

Wkrótce po tym, jak skończyłam kurs, Verlan zaczął nalegać, bym wróciła do Colonia LeBaron, gdzie kupił dla mnie i najmłodszych dzieci trzypokojowy dom - dom z elektrycznością, bieżącą wodą i toaletą wewnątrz. Chociaż dom był niewykończony i poza łazienką i jednym pokojem nie było w nim ścianek działowych, byłam wdzięczna, że mam prąd. Rząd wywiązał się wreszcie z obietnicy dociągnięcia linii energetycznej do kolonii.

Równocześnie w Kościele Pierworodnych Ervil siał spustoszenie. Przekonałam się o jego terrorystycznych poczynaniach osobiście, w straszny sposób. Było to 10 maja 1977. Szłam sobie drogą szutrową w Colonia LeBaron, popijałam colę i śmiałam się z Lindą, kiedy nagle wyprzedził nas samochód. Był to Verlan. Zdumiały mnie jego nerwowe pokrzykiwania przez otwarte okno.

- Irene! Twój wuj Rulon w Salt Lake City zabity! To sprawka Ervila, jestem pewien.

Stałam jak wryta. Po chwili zaczęłam szlochać. Mój kochany wujek, który od dziecka zastępował mi ojca, nie żyje.

- Irene, wsiadaj do wozu. Chcę z tobą porozmawiać, zanim stąd wyjadę - popędzał mnie Verlan.

Kiedy pędziliśmy do domu, wyznał ze strachem:

- Wiem, że jeśli nie będę uważał, mogę być następny. Ervil jest nieobliczalny. Wciąż jest dziko zazdrosny, że Joel wyznaczył mnie na patriarchę i przewodniczącego Kościoła. Boję się, że nas wszystkich pozabija. Naprawdę mi przykro, że nie zostanę, by spędzić z tobą trochę czasu, ale muszę się ukryć i dotrzeć też jakoś na pogrzeb wuja.

Od tego momentu Verlan sypiał już zawsze w ubraniu, a przy boku miał pistolet. Żył w ciągłej gotowości, by się bronić. Kiedy dokądś jechał, robił to zawsze w towarzystwie innych braci ze starszyny Kościoła, zachowując szczególną ostrożność. Wolał trzymać się z dala od żon, by ludzie Ervila nie mogli go namierzyć. A kiedy już do nas przyjeżdżał, nie chciał przestrzegać żadnych planów i kolejności.

Nigdy nie wiedziałyśmy, u której będzie spał, nie wiedziałyśmy, czego oczekiwać, nie wiedziałyśmy nawet, kiedy w ogóle przyjedzie. Zawsze też, co zrozumiałe, witałyśmy go z ulgą, szczęśliwe, że jest cały i zdrowy.



W tym samym czasie stało się to, czego obawiał się Verlan - Susan, mieszkając w Dallas, przekonała się, że jest w stanie poradzić sobie sama. Kilka miesięcy po śmierci wuja Rulona opuściła Verlan i wraz z pięciorgiem dzieci wyjechała do Cedar City w Utah, gdzie mieszkali jej bracia. Verlan przeżył jej odejście tak mocno, jak mógłby przeżywać jej śmierć. Zaczął lekceważyć inne żony, opłakiwał ją i próbował zdobyć ją na nowo, pisząc dla niej poezję i układając piosenki. Nic jednak nie nakłoniło jej do powrotu.

Pamiętam, jak po jednej ze swych długich nieobecności Verlan wziął mnie ze sobą w trzynastogodziną podróż do San Diego. Rozpacz dosłownie malowała się na jego twarzy, gdy opowiadał mi, jak bardzo zagubiony czuł się bez Susan.

- Przepraszam, Irene, że ci to wszystko opowiadam. Żadna inna żona nie chce nawet o niej słyszeć. Doceniam to, że ty mnie słuchasz, bo jakaś część mnie umiera. Tak ją kocham.

Próbowałam zrozumieć jego ból, lecz miałam również nadzieję, że on spróbuje pojąć mój. Chcąc otrzymać zapewnienie, że jego miłość do mnie ciągle trwa, powiedziałam:

- Verlan, wiem, że kochasz wszystkie żony. Dla mnie jest jasne, że próbowałeś zawsze traktować nas sprawiedliwie. Jednak, chociaż mówisz nam, że nas kochasz, myślę, że Susan była jedyną kobietą, w której naprawdę się zakochałeś.

O, jakże chciałam usłyszeć od niego zaprzeczenie! Patrzyłam, jak w jego niebieskich oczach zbierają się łzy.

- Wiesz co? - powiedział. - Masz rację! Nie chcę tego mówić, bo nie chcę za nic w świecie cię zranić, ale rzeczywiście, żadnej innej kobiety nie kochałem tak bardzo, jak Susan.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY.

Priscilla (u której w domu parę lat wcześniej Verlan oświadczył się Helen) była wdową po Joelu LeBaronie. Przedtem miała już dwóch mężów, lecz z oboma się rozwiodła. Priscilla była szczupłą, ładną i roztaczała wokół siebie aurę arogancji.

Od czasu, gdy skończyła 16 lat, Verlan na próżno starał się ją nakłonić, by za niego wyszła. Pamiętam moje uczucia, kiedy niemal przez całą noc siedzieli w jego samochodzie, zaparkowanym tuż przed moim oknem. On był przekonany, że nie mam prawa czuć się z tego powodu źle. Przecież byli oboje doskonale widoczni. Później przyznał mi się, jak skradł jej pierwsze pocałunki. Przed świtem przyrzekła, że za niego wyjdzie, lecz dwa miesiące później w tajemnicy poślubiła innego, młodszego mężczyznę i została jego drugą żoną bez wiedzy tej pierwszej. Związek ten przetrwał zaledwie sześć miesięcy.

Verlan był bardzo przejęty jej nieudanym małżeństwem - miał nadzieję, że Priscilla zdaje sobie sprawę z tego, że to on może ją teraz wywyżżyć. Dziewczyna jednak w zamian za swe wyrzeczenia potrzebowała jeszcze większego prestiżu i chwały. Dlatego znowu odrzuciła Verlana i poprosiła Joela, naszego samozwańczego proroka, by poślubił ją jako siódmą żonę. Gdy z ochotą się zgodził, urodziła mu trzy córki, jedną po drugiej, w niewielkich odstępach czasu. Następnie Joel został za sprawą Ervila brutalnie zamordowany.

Choć śmierć brata była dla Verlana prawdziwym ciosem, był teraz przekonany, że Priscilla zgodzi się go poślubić. Według Starego Testamentu, jeśli mężczyzna umiera, wdowę po nim powinien pojąć za żonę jego brat i hodować ziarno posiane przez zmarłego. Być może tylko to zaproponował Priscilli Verlan, który wykorzystywał każdą okazję, by zapewnić ją o swej miłości i oddaniu. Niezależnie od wskazówek zawartych w Piśmie, tym razem Priscilla zdecydowała się zostać drugą żoną przystojnego, nawróconego na naszą wiarę Bruce'a.

Jemu także urodziła córkę, ale rozwiodła się, gdy chciał, by się przeprowadziła do Stanów. Wierzyła bowiem w przepowiednie zmarłego męża, że Stany Zjednoczone cze-

ka zagłada.

Verlan już dawniej, a później po zakończeniu każdego z trzech małżeństw prosił Priscillę, by za niego wyszła. Dla mnie było jasne, że do tej pory powinien przyjąć do wiadomości, że ona go nie chce. Czyż jego ego mogło znieść jeszcze większe poniżenie z rąk tej samej kobiety?

Zadręczałam się Priscillą całe lata. Im bardziej Verlan jej pożądał, tym bardziej ja się starałam, by jej nie dostał. Próbowałam powstrzymać zazdrość, lecz to ja pragnęłam być tą jedyną, pożądaną, upragnioną i zdobywaną kobietą. W zamian za to czułam się zwykle jak narzędzie niezbędne do osiągnięcia chwały wiecznej.

Pewnej sierpniowej nocy, jakiś rok po odejściu Susan, mój czternastoletni syn Kaylen obudził mnie z głębokiego snu.

- Mamo, dlaczego tatuś wszedł do pokoju Priscilli, a potem zgasły wszystkie światła u niej w domu?

Choć byłam śmiertelnie zmęczona po dziesięciu godzinach pracy w polu przy okopywaniu pomidorów w upalnym słońcu, błyskawicznie się ubrałam i pędem wybiegłam z domu. Przeszłam na drugą stronę ulicy i skierowałam się do tylnych drzwi domu Priscilli.

Znałam tam każdy kamień, gdyż wiele razy przychodziłam do niej wieczorami, wchodziłam przez te same drzwi do jej pokoju i siedziałyśmy tam, gadałyśmy, czytałyśmy wiersze i zwierzałyśmy się sobie nawzajem.

Tak jak mówił Kaylen, nigdzie w domu nie paliło się światło.

Było ciemno, ale nie cicho. Z sercem w gardle podeszłam do drzwi sypialni Priscilli. Gdy uspokoilałam oddech, wyraźnie dobiegły mnie ich chichoty. Chciałam zastukać, lecz powstrzymał mnie ich wspólny, głośny śmiech. Natychmiast instynkt kazał mi go przerwać i walnęłam głośno w drzwi. Śmiech momentalnie się urwał. Zapadła cisza.

Kiedy zdałam sobie sprawę, że nie zamierzają zareagować, zawołałam głośno:

- Priscilla?!

- Późno jest - odpowiedziała. - Jestem w łóżku. Nie możesz przyjść jutro?

- Nie - nalegałam. - Muszę teraz.

- Czego chcesz? - spytała rozdrażniona.

- Mojego męża! - wrzasnęłam.

Natychmiast zapaliło się światło. Verlan uchylił drzwi do jej pokoju tylko na tyle, by się przez nie przecisnąć. Chwycił mnie za ramię i siłą wyprowadził przez żelazną, kutą bramę. Próbowałam mu się wyrwać, wrócić do Priscilli i wygarnąć jej, co o tym sądzę. Udało mu się jednak mnie obezwładnić i wyprowadzić na drogę. Cały czas wmawiał mi, że zachowuję się bezsensownie.

- Irene, wstyd mi za ciebie! Pilnuj własnych interesów!

- Tobie wstyd za mnie? - przerwałam. - Co masz na swoje usprawiedliwienie?

Dlaczego się do niej wykradasz za moimi plecami?

Wiesz, że nie ma innego powodu. Dlaczego się nie chcesz przyznać, że spotykasz się z Priscillą?

- Nie chciałem cię zranić. Pomyślałem, że później ci się przyznam, kiedy będę już wiedział, co zdecydowała. Ale nie martw się, na pewno mnie nie zechce po tej scenie, którą właśnie urządziłaś.

Verlan upewnił się, że położyłam się do łóżka, zamknął drzwi do mojego pokoju i wyszedł. Była już prawie północ i czekała na niego Elizabeth, u której miał spać tej nocy. Ogarnęła mnie wściekłość, kiedy później dowiedziałam się, że zarówno Elizabeth, jak i Lucy zrzekały się pierwszych części należnych im nocy z Verlanem, by mógł podrywać Priscillę.

Byłam zbyt rozzłoszczona, by zasnąć. Leżałam i próbowałam rozgryźć dziwaczne zachowanie Verlana. Przez większość czasu, myślałam sobie, wspierałam go w życiu w Regule. Wspierałam go nawet, gdy podrywał jedną czy dwie ze swych przyszłych żon. A jeśli nie zapewniałam mu wsparcia i tak robił swoje, wmawiając mi przez cały czas, że powinnam być wdzięczna, że Bóg obdarza nas równie wielkim błogosławieństwem. Wobec tego dlaczego chciał ukryć przede mną Priscillę?

Kiedy tak o tym rozmyślałam, nagle zrozumiałam. Przez całe lato zabierałam dwanaścioro w porywach do piętnaściora dzieci Verlana na pole pomidorów, gdzie wraz ze mną pielili od świtu do nocy. Około dziewiątej rano zabierałam całą brygadę do siebie na gorące śniadanie, po czym wracaliśmy do pracy i pieliliśmy do około drugiej po południu. Najgorętszą porę dnia spędzaliśmy w domu, ale około piątej znów wypędzałam zmęczoną już grupę na pole.

Robiłam tak w pełni przekonana, że trzeba pomóc Verlanowi wykarmić jego gigantyczne rodziny. Tyrałam szczęśliwa, że pomagam mu dźwigać ciężkie brzemię. Nie narzekałam. On w tym czasie rzekomo załatwiał inne ważne sprawy. Wreszcie zobaczyłam, co to były za sprawy.

Moje noce z Verlanem przypadają jednak zbyt rzadko, by je rujnować kłótniami. Do czasu, gdy znów nadeszła moja kolej, minęła już złość, zazdrość i byliśmy pogodzeni. Pragnąc się w niego wtulić, spragniona jego dotyku, obudziłam się wcześniej niż zwykle.

- Jakie masz na dzisiaj plany? - spytałam z pełną świadomością, że mam prawo dzielić z nim również dzień.

- Jadę załatwiać sprawy do Casas - odrzekł, po czym szybko dodał: - Ale ty musisz zabrać dzieciaki na pole i skończyć pielenie.

- Dziś mój dzień! Robię sobie wolne i jadę z tobą.

- Nie, naprawdę dziś nie możesz. Bez ciebie dzieci nie pójdą pracować.

Jedna z moich córek, Connie, przyszła na pole późno. Została dłużej w domu, by posprzątać.

- Mamo, córka Priscilli mówi, że tatuś zabiera jej mamę do Casas. Myślałam, że dziś twoja kolej.

Rozsierdzona, zostawiłam dzieci przy pielenu, a sama wsiadłam do swego żółtego datsuna i popędziłam wyboistą drogą. Przed domem Priscilli stała szara ciężarówka Verlana. Zatrzymałam się jakieś półtora metra przed nią, maska w maskę.

I wtedy wyszli z domu oni - ramię w ramię, oboje w uśmiechach - do chwili, gdy spostrzegli, że ich przyłapałam. Priscilla zignorowała mnie, wsiadła na przednie siedzenie samochodu Verlana i zatrasnęła drzwiczki, pokazując mi, kto tu rządzi. Yerlan pomachał do mnie, gdy przechodził pomiędzy naszymi autami. Bez słowa wyjaśnienia usiadł za kierownicą, obok Priscilli.

To, co zrobiłam następnie, uczyniłam pod wpływem czystego instynktu. Mój umysł przyglądał się z boku, jak zapuściłam silnik swego małego samochodziku, dodałam gazu i wjechałam wprost w maskę samochodu Verlana. Zgrzyt metalu i dźwięk tłuczonego szkła był okropny. Pamiętam, jak gratulowałam sobie, że wreszcie udało mi się zrobić na kimś wrażenie. Ich wspólny dzień doznał sporego, przyjemnego uszczerbku.

Priscilla przeszła mnie wzrokiem. Verlan próbował wycofać i odjechać. A ja znów wcisnęłam gaz i wjechałam w jego światła.

Verlan był porządnie zdumiony. Nigdy dotąd nie byłam agresywna.

Może pomyślał, że znów jestem opętana.

Za trzecim razem, gdy Verlan próbował wycofać, tylne koła jego samochodu wpadły do rowu irygacyjnego. Widziałam, jak buksują w błocie, a wyraz twarzy mojego męża staje się coraz bardziej zawzięty. Dał mi znak ręką, bym zostawiła ich w spokoju, ale ja miałam to gdzieś. Znów wcisnęłam gaz, uderzając z całej siły w jego samochód.

Verlan wyskoczył z auta i szybko podszedł do mojego otwartego okienka.

- Zwariowałaś?

- Tak, na twoim punkcie! - wrzasnęłam. - Zabierasz tę dziwkę do miasta w dzień, kiedy przypada moja kolej. Nigdy już mnie nie ujrzysz!

Miałam nadzieję, że Priscilla zobaczy, jaka jestem niegodna, i nie będzie chciała zostać członkiem Niebiańskiego Królestwa naszej rodziny.

Zdesperowany Verlan wrócił do samochodu, by odjechać. Po kilku próbach udało mu się pokonać tyłem rów, rozchlapując naokoło wodę. Odjechali. Patrzyłam za nimi z nienawiścią i niesmakiem.

Patrzyłam, jak mój mąż oddala się ze swą nową miłością, którą tak jawnie przedkłada nade mnie. Do domu dojechałam w takiej hysterii, że ledwo widziałam, gdzie jadę. Odrącona, rozwścieczona, wiedziałam już, co zrobić. Mąż poligamista nie powinien żenić się ponownie bez zgody swych dotychczasowych żon, a ja, po raz pierwszy w życiu, postanowiłam jej nie wyrażać.

Kiedy moje cierpienie zobaczył piętnastoletni Brent, tak się rozżłościł, że wskoczył do mojego samochodu i popędził co sił najpierw polną wyboistą, a potem asfaltową

drogą, aż dogonił ojca.

Zrównał się z jego samochodem i zaczął trąbić, by ten się zatrzymał.

Gdy Verlan, wściekły, odmówił, Brent go wyprzedził, cały czas krzycząc. W końcu Verlan się zatrzymał.

- Czego chcesz?! - wrzasnął przez okno do Brenta.

- Tato, proszę, podejdź na chwilę.

Verlan odmówił.

- Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to sam podejdź.

Blady ze złości, roztrzęsiony Brent zbliżył się do samochodu ojca i prosto w twarz Priscilli palnął:

- Jeśli weźmiesz tę panią do miasta, nigdy już nas nie zobaczysz!

- Jedź do domu i pilnuj swego nosa!

- Nie żartuję. Zanim wrócisz, już nas nie będzie.

Verlan odjechał, zostawiając Brenta samego na środku drogi.

Parę godzin później obudziły mnie pocałunki Verlana.

- Hej, rozstałem się z Priscillą. Nie chciała zostać członkiem takiej rodziny, widząc, jak się zachowujecie. Widzisz, co narobiłaś? Ale nie przejmuję się, wiem, że nie powinienem się z nią spotykać bez chociażby twojej wiedzy. Wygląda na to, że obydwójce musimy płacić za własne błędy. Chcę, żebyś jutro ją przeprosiła i powiedziała, jak bardzo ci przykro, że zniszczyłaś mój samochód. To było niesłychane!

- Kto kogo ma przepraszać? W życiu nie przeproszę! Nie rozumiem cię, Verlan. Ja nie mogę wlecieć na twój cholerny samochód, a ty możesz lecieć na nią?



Verlan zamierzał wziąć mnie ze sobą do Sierra Nevada na tradycyjną już wyprawę na zbieranie orzechów. Miały w niej uczestniczyć także starsze dzieci. Najpierw rozstawialiśmy obozowisko, w którym później gotowałam posiłki dla piętnastu do trzydziestu osób.

Wstawiałam zawsze o świcie, rozpalałam ogień między trzema dużymi kamieniami, ustawiałam na nich okrągły dekiel od beczki i robiłam śniadanie - zwykle złożone z pomidorów, jajek i naleśników, a do tego jakieś płatki zbożowe. Kiedy wszyscy jedli, ja pakowałam dla nich drugie śniadanie.

Kiedy załoga wyruszała na orzechy, ja zostawałam w obozie.

Najpierw sprzątałam i zmywałam po śniadaniu, później czyściłam namioty i prałam brudne ubrania. Następnie przystępowałam do gotowania obiadu i kiedy wygłodzona drużyna wracała po całym dniu pracy, rzucała się na gorącą zupę, kurczaka, ziemniaki, sos i warzywa.

Zawsze robiłam surówkę z marchewki lub kapusty i piekłam ciasteczka.

Taka bogata dieta była dla nas nie lada rzadkością. Verlan dbał o wyśmienite zaopatrzenie, bo chciał, by dzieci miały energię do całodziennej pracy.

Gotowałam wszystko na ognisku. Do pieczenia mieliśmy ogromny piekarnik gazowy w zaimprovizowanej kuchni - wokół czterech wkopanych w ziemię słupów była rozciągnięta czarna folia, a wszystko nakryte od góry prowizorycznym daszkiem. Piekłam tam prawie codziennie dwanaście bochnów chleba. Kiedy rodzina wracała do domu, zgłodniała po ciężkiej pracy, często odkrywała, że za jednym zamachem upiekłam im też dwadzieścia pięć bułeczek czy pasztecików.

Często robiłam szarlotkę, ciasto marchewkowe albo piernik.

Wstawiałam też wielkie michy galaretki do zimnego strumienia, by zastygła. Nigdy w domu nie jadaliśmy lepiej niż na tych wyprawach.

W tym roku Donna z mężem Marshalllem zaprosiła mnie w odwiedziny do Stockton w Kalifornii, gdzie mieszkali. Przysłali mi bilet na autobus.

Miałam jechać do nich na tydzień przed rozpoczęciem wyprawy na orzechy. W połowie pobytu u Donny zadzwonił do mnie Verlan z żądaniem, bym przyjechała natychmiast - chciał wyruszyć wcześniej i nazbierać orzeszków piniowych, by zarobić więcej.

Przybyłam do San Diego wcześniej rano i spotkałam się z gotowym już do drogi Verlanem. Miał przyczepę wyładowaną zapasami, namiotami i kilkuset workami na orzechy. Siedmioro moich dzieci i ośmioro innych pociech Verlana czekało już na wyjazd.

Na krótko przed wyruszeniem w drogę pojawiła się Charlotte i chciała zabrać się z nami. Spytałam cicho Verlana, czy zapomniał już o swojej obietnicy. Odpowiedział:

- Dobrze, jeśli nie chcesz, żeby jechała, to powiedz jej to.

- Obiecałeś, że jeśli będę całe lato pielic pomidory osiem do dziesięciu godzin dziennie, wezmiesz mnie na orzechy na dwa tygodnie. Obiecałeś, że będę tam jedyną żoną i że będziemy sami.

Nigdy nie dotrzymujesz słowa. Ty powiedz Charlotte, że nie może jechać.

Nie chciałam sama jej tego mówić.

Kiedy nadeszła godzina naszego wyjazdu, Verlan, zamiast powiedzieć jej wprost, że nie może jechać, poprosił ją tylko, by nie wsiadała z nami do samochodu, tylko pojechała moim datsunem. Ja bowiem nie widziałam się z nim od dwóch tygodni, a Charlotte właśnie spędziła z nim czternaście godzin w samochodzie, jadąc z Meksyku.

Kiedy odmówiła, Verlan wcisnął wreszcie gaz i odjechał. Charlotte miała zostać przez tydzień w San Diego, a potem dojechać do nas ze swoim synem Markiem. Liczyłam więc, że tydzień spędzę sam na sam z mężem.

Rok wcześniej zostawiliśmy dużo sprzętu, w tym drabiny, piec gazowy i inne rzeczy, na ranczu koło Ione w Nevadzie. Verlan zamierzał dotrzeć tam przed zmrokiem i odebrać ekwipunek. Chciał, bym została w obozowisku i pomogła dzieciom, lecz ja się uparłam, że z nim pojedę. Dzieci świetnie sobie radziły - rozstawiały namioty i szykowały się do nadejścia nocy. Owszem, przyjechałam tu do pracy, ale chciałam też spę-

dzić trochę czasu z mężem. Zaskoczona, że nie chce mnie wziąć ze sobą, skutecznie nalegałam.

Samochód był tak obciążony drabinami i wszelkim sprzętem, że musieliśmy jechać naprawdę powoli. Droga była kamienista, nierówna.

Mieliśmy mnóstwo czasu na rozmowę. Nie powinnam nawet wypowiadać jej imienia, lecz przy okazji naszej ostatniej dyskusji na temat Priscilli, Verlan obiecał mi, że wszystko między nimi skończone.

Moje dzieci zdawały zupełnie odwrotną relację, więc doszłam do wniosku, że oto nadszedł doskonały moment, by zapytać.

- Jak tam się miewa twoja kochana panna Prissy?

Verlan wpatrywał się w drogę przed sobą. Następnie powiedział:

- Lepiej zdecyduj się już teraz, bo niezależnie od twojej reakcji przyrzekłem jej, że się z nią ożenię.

- Jeśli tak się stanie, wiedz, że cię zostawię - odparłam. - Nie kochasz mnie! Gdybyś kochał, zastanowiłbyś się, jak ja się z tym czuję.

Verlan, czy możesz złamać mi serce i mimo to zostać wywyższony w Królestwie Niebieskim? Dla tej lafiryndy chcesz zrezygnować z dobrej żony, która stała przy tobie i która dała ci całą resztę żon? Czy nie widzisz, jak bardzo mnie ranisz, żeniąc się z wdową, która i tak nie będzie przy tobie w wieczności? - Rozpłakałam się.

Kiedy tylko zobaczył, że płaczę, krzyknął:

- Do cholery, mam już dość patrzenia, jak płaczesz! Tylko to potrafisz robić, i mam już tego dość. Uspokój się!

Tym razem Verlan okłamał mnie w żywe oczy. Wcale nie rozstał się z Priscillą i nie przestał o niej myśleć. A teraz, słysząc ostry ton jego głosu, upewniłam się, że już się nie liczę. Nagle przyszedł mi do głowy nowy pomysł.

- Nadejdzie jeszcze dzień, kiedy będziesz mnie prosił, żebym płakała. Już nigdy nie wyleję przez ciebie ani jednej łzy!

- Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa.

Zapowiedziałam, że rano wyjeżdżam. Był przekonany, że tylko straszę, ponieważ nigdy nie byłam w tym względzie konsekwentna.

- Dasz mi na benzynę do Vegas? - zapytałam.

- Nie. Nie chcę odpowiadać przed Bogiem za to, że pomogłem ci odejść.

Rozwścieczona, nie odpowiedziałam.

Kiedyw końcu przyjechaliśmy do obozowiska, poszłam od razu do namiotu Brenta i Stevena. Nie spali jeszcze, ale leżeli już w śpiworach. Zakomunikowałam im, że opuszczam ojca. Złożyli się i z osobiście zarobionych przy remontach w San Diego pieniędzy dali mi sto dwadzieścia pięć dolarów. Od lat wiedzieli o moich cierpieniach, ale równocześnie byli bardzo lojalni wobec ojca. Nigdy dotąd nie byłam konsekwentna i nie wypełniałam gróźb, więc teraz również mnie o to nie podejrzewali.

Kiedy wczółgałam się na posłanie obok Verлана, ten udawał, że śpi. Przez całą długą bezseną noc nie wymieniliśmy ani słowa, ani dotyku. Kiedy wczesnym rankiem chciałam opuścić przyczepę, znów na mnie napadł, żebym nie zdradzała dzieciom, że odchodzę. Twierdził, że wszystkie dzieci należą do niego. Jeśli mam zamiar go opuścić, mam to zrobić sama i z gołymi rękami, czyli tak, jak to dopuszcza wiara mormońskich fundamentalistów.

- A gdzie ty byłeś, kiedy rodziły się te dzieci? - zaprotestowałam. - Gdzie byłeś, kiedy chorowały i trzeba było siedzieć przy nich w nocy? Nigdy nie miały ojca. To absurd!

- Myślisz, że odbierzesz mi dzieci? Chcę, żebyś zrzekła się praw do nich oficjalnie, kiedy wrócimy do domu, do Meksyku.

- Po moim trupie! Zrobisz to, ale dopiero po moim trupie - za-syczałam.

- Dobrze, pozwolę ci zabrać te młodsze, ale tylko na razie.

Wyrażam zgodę chwilowo, dopóki wszystkiego nie ustalimy. Nie martw ich tylko, że chcesz się ze mną rozwieść.

Steven, Brent, Kaylen i Barbara zostali z Verlanem, gdyż bez ich pomocy nie mógłby wystarczająco dużo zarobić na orzechach.

Załadował na samochód drabiny, worki i z dwunastką dzieci wyruszył do pracy. Ja odjechałam zaraz po nim z trójką najmłodszych zbieraczy.

Z Ione w Nevadzie jechaliśmy z LaSalle'em, Margaret i Lothairem do Las Vegas, do mojej siostry Becky. Nigdy dotąd nie prowadziłam samochodu po autostradzie. Kiedy od Las Vegas dzieliła nas tylko godzina drogi, silnik się przegrzał. Zjechałam na pobocze i czekałam, aż ktoś się zatrzyma i nam pomoże. Doszłam do wniosku, że to kara boska za opuszczenie męża. Zjawił się jednak patrol policji i pomógł nam. Policjant zadzwonił do Becky, wytłumaczył jej, gdzie jesteśmy, i powiedział, że trzeba wezwać pomoc drogową. Zamiast tego przyjechała sama z mocną linką holowniczą i oznajmiła, że zjeżdżamy z autostrady. Dzieci przesiadły się do jej samochodu, a ja z duszą na ramieniu kierowałam datsunem uczezionym na końcu liny.

W Las Vegas Garlin, mąż Becky, pożyczył mi swój samochód.

Napisał oświadczenie, że mogę wywieźć go do Meksyku i potwierdził je u notariusza. Pojechałam sama. Pokonywałam piętnastogodzinną drogę do Colonia LeBaron, czując się bezbronna i przestraszona.

Jechałam tam po pozostałą czwórkę dzieci. Skierowałam się prosto do domu Lindy.

- Hej, myślałam, że jesteś na orzechach. Co się stało? - spytała.

- Zrobiłam to, Linda. Zostawiłam go! Przyjechałam tylko po dzieci, zanim jacyś bracia zdołają mnie zatrzymać.

- Mówisz serio? Tak myślałam, że kiedyś tak się to skończy.

O rany, ale będzie mi ciebie brakowało!

Czworo moich dzieci, pozostałych w domu, bardzo się uradowało na mój widok.

Jeszcze bardziej ucieszyły się, że jedziemy do Las Vegas. Kiedy pakowałam swoje osobiste rzeczy, otworzyłam małą, niebieską walizeczkę, w której trzymałam zdjęcia. Zdjęcia, przypominające dziesiątki lat spędzonych w biedzie i cierpieniu, z którymi wreszcie postanowiłam pożegnać się na zawsze. Rzuciłam walizkę.

Zdjęcia rozsypały się na wszystkie strony. Kiedy Verlan wróci do domu, będzie mógł zbierać wspomnienia. Wzięłam tylko po jednej zmianie ubrania dla każdego, dwa najlepsze koce i - dzieci.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY.

Patrzyłam, jak Priscilla idzie przez środek kościoła i klęka u boku mego męża przy ołtarzu. Krzyknęłam głośno do Verlana, licząc, że uda mi się przerwać ceremonię. Było jednak za późno. Pocałował pannę młodą, a ja histerycznie wybiegłam z kościoła prosto w ramiona Lindy. Obudził mnie własny szloch. To był tylko sen. Wiedziałam jednak, co oznaczał.

Dwa dni później, kiedy ciągle obsesyjnie o nim myślałam, Becky zaproponowała, że weźmie całą siódemkę dzieciaków do parku, a ja zostanę trochę sama w domu. Przyjęłam to z wdzięcznością. Kiedy wyszli, nastawiłam radio i próbowałam zagłuszyć swoją udrękę. Bonnie Tyler śpiewała „It's a Heartache”. „Kochaj go do utraty sił, a on i tak cię zawiedzie...”.

Czy Verlan nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo mnie zawiódł?

Minęło już pięć miesięcy, a nie zadzwonił ani nie przyjechał do nas.

Jeśli wkrótce nie pojawi się w Las Vegas, dostanę rozwód kościelny.

Zastanawiałam się, czy chce mnie po prostu ukarać. Jak może tak długo ignorować własne dzieci?

Muzyka grała głośno i nie słyszałam, jak wszedł. Podskoczyłam przerażona, że ktoś chce na mnie napaść. Przewrócił mnie i zaczął gwałtownie całować, a ja w szoku odpychałam go. Potem Verlan przewrócił mnie na plecy i przykuł swoim potężnym ciałem.

Tak, jakaś część mnie dalej chciała odpowiadać na jego amory i pozwolić, by pocałunkami uleczył mój strach. Wiedziałam jednak, dokąd to prowadzi, i na tym się skoncentrowałam.

- Jak tam się czuje moja najdroższa? - spytał.

Usiłowałam zepchnąć go z siebie.

- Nie tak dobrze, jak ty! - ucięłam. - Ożeniłeś się z Priscillą, prawda?

Od razu zaczął się wykręcać.

- Co ci przychodzi do głowy?

- W piątek śniło mi się, że się z nią ożeniłem. Dwa dni płakałam, miałam nadzieję, że to nieprawda, ale to prawda, tak?

Ukrył twarz w moim ramieniu.

- Irene, proszę, nie pytaj mnie o to, nie pytaj...

Przywarł do mnie tak mocno, jakby chciał uciec przed światem.

- Ożeniłem się z nią, ale jestem tu, z tobą. Czy to nic nie znaczy?

Wściekłam się, jak nigdy. Próbował mnie przytrzymać, ale wyrwałam mu się i uciekłam na parking. Wsiadłam do swego datsuna, ale zanim zdążyłam zapalić silnik, on wepchnął się na miejsce pasażera.

- Wynoś się! Wynocha z mojego samochodu! Z mojego życia! - krzyczałam.

Błagał, żebym go wysłuchała i spróbowała zrozumieć, dlaczego tak postąpił. Nie musiałam słuchać. Tym razem dokładnie wiedziałam, dlaczego to zrobił. Z piskiem opon, prawie nic nie widząc, wycofałam samochód. Jechałam tak szybko, że wpadłam w poślizg na zakręcie.

- Irene, uspokój się, uspokój - prosił Verlan. Jeszcze bardziej przyspieszyłam. Wyjechaliśmy na Marilyn Parkway.

- Zatrzymaj się, zanim kogoś zabijesz! - wołał.

Byłam bardzo blisko od tego, by dać upust swej złości i wściekłości, wjechać czołowo w nadjeżdżającą z naprzeciwka półciężarówkę i w ten sposób położyć kres naszej egzystencji - i mojej, i jego, na zawsze. Ostatecznie jednak wjechałam na stację benzynową. Byłam tak oślepiona łzami, że nie mogłam jechać dalej. Verlan wyłączył silnik i próbował na siłę wziąć mnie w ramiona. Wyrwałam się i krzyczałam, odpychając go..,

- Irene, kocham cię. Musisz to zrozumieć. Kocham cię!

Nie powiedziałam, a wysyczałam przez zaciśnięte zęby:

- Jeśli to ma być miłość, na Boga, Verlan, to nie chcę, żebyś mnie kochał ani chwili dłużej!

Pozwolił mi przez parę minut się złościć, aż w końcu, wyczerpana, uspokoiłam się. Potem powiedział:

- Życzę ci jak najlepiej, Irene. Uwierz mi. Kocham cię.

Byłam kompletnie otępiała. W głowie mi się kręciło, jakbym właśnie zesła z karuzeli. Siedziałam bez słowa i próbowałam zebrać myśli.

- Verlan, po raz ostatni spróbuję wytłumaczyć ci, co czuję. Nic nie mów, dopóki nie skończę. Zrujnowałeś mi życie. Wyszedłam za ciebie, bo myślałam, że możesz mnie wywyżczyć. Obiecałeś, że jeśli będę ci posłuszna, pewnego dnia zostanę boginią. Zrobiłam wszystko, o co prosiłeś, i patrz na mnie. Zostałam diabolicą! Byłam śliczną, zieloną roślinką, kiedy za ciebie wychodziłam, ale ty mnie zlekceważyłeś.

Wszystko, czego kiedykolwiek chciałam, o co prosiłam, to byś podlewał mnie swą miłością. Nigdy nie prosiłam o pieniądze. Brałam to, co dawałeś, ale było tego coraz

mniej, coraz mniej. Piękna, zielona roślinka zwiędła, niszczała, a potem uschła do cna. Pewnego dnia idziesz sobie i nagle widzisz, że z roślinki nic nie zostało, tylko jedna mała gałązka. Więc mówisz: „O, nie, trzeba ją uratować!”. - Głos mi się załamał, ale nie uroniłam ani jednej łzy. Mówiłam dalej. - Mówisz: „Uratuję roślinkę”. I co robisz? Sikasz na nią. Tak właśnie było, Verlan.

Teraz jest za późno. Już od tak wielu lat grozi mi piekło. Już się go nie boję. Nikt nie pośle mnie do piekła, bo już w nim jestem.

Przerwałam, więc próbował mnie pocałować. Odepchnęłam go.

- Wiem, że było źle, ale nie aż tak - rzekł. - Irene, masz złamane serce. A ja to naprawię, tylko musisz dać mi jeszcze jedną szansę.

- Nie, Verlan, jest za późno.

- Naprawię to, posklejam wszystko z powrotem w jedną całość.

- Nie ma co sklejać.

- Daj spokój! Nie ma nawet kawałeczków?

- Nawet pyłku.



Verlan nie szczędził starań, by odzyskać moją przychylność.

Namówił mnie nawet na wyjazd do Europy, którą zawsze pragnęłam zobaczyć. Wzięliśmy najstarszego syna, Andre, i przeżyliśmy podczas tej wyprawy wiele wspaniałych wrażeń. Kiedy jeździliśmy po szesnastu krajach, zwiedzaliśmy je i poznawaliśmy wielu serdecznych, przyjaznych ludzi, przypomniałam sobie nauki Joela o tym, że Bóg ześle ich wszystkich do piekła. Rozmyślałam o tym, jak to możliwe, by Bóg umiłowiał tylko garstkę ludzi z Meksyku.

Przez całą wycieczkę trzymałam się na dystans od Verlana. Nie braliśmy się nawet za ręce, choć on wielokroć próbował. Co noc spałam sama, a Verlan razem z Andre. Przez cały czas Verlan narzekał na moją bezwzględność, szczególnie że wyprawa, której celem było rozmiękczenie mego serca, kosztowała go masę pieniędzy. Było mi go żal, ale nie na tyle, by mu znowu zaufać.

Kiedy wróciliśmy do San Diego, wyjechały po nas wszystkie dzieci, cała dwunastka. Zrobiliśmy sobie pierwsze i ostatnie zdjęcie rodzinne. Był 3 lipca 1978, dokładnie dwadzieścia pięć lat od dnia, kiedy Charlotte, Verlan i ja staliśmy pod drzewami w Memory Grove i ona połączyła nasze dłonie „na czas obecny i po wszystkie czasy”.

Tego samego wieczoru, po zrobieniu zdjęcia, Verlan zabrał nas do meksykańskiej restauracji, gdzie wszyscy zasiedliśmy za jednym, długim stołem. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy całą rodziną jedliśmy w restauracji. Być może była to też jedyna taka chwila, kiedy całą rodziną siedzieliśmy przy stole. Widziałam, jak ludzie siedzący wokół uśmiechali się, gdy na nas patrzyli. Byłam dumna, a jednocześnie smutna. Wiedziałam coś, czego nie wiedzieli inni: w pewnym sensie była to tylko iluzja.

Następne trzy lata spędziłam w świecie - z dala od Verlana i pozostałych żon, z

dała od poligamii. Becky z mężem Garlinem próbowali pomóc mnie i dzieciom zaaklimatyzować się w normalnym świecie, poza enklawą fundamentalistów. Becky była jedynym dzieckiem mojej matki, które całkowicie zrezygnowało z poligamii.

Zawsze była wolnym duchem i w ogóle odrzuciła jakąkolwiek formę zorganizowanej wiary. Jako dziecko żyła jednak w tym samym koszmarze, co ja, i wiedziała, skąd pochodzę. Okazała mi wiele, wiele współczucia.

Ponieważ żyłam teraz sama, bez męża, a wszystkie dzieci chodziły do szkoły, okazało się, że mam dość dużo czasu dla siebie.

Jako że skończyłam tylko dziewięć klas, raczej nie miałam żadnych ambicji intelektualnych. Teraz jednak czułam się w pewien sposób zmuszona do pogłębienia edukacji. Zapisalam się na kilka kursów organizowanych przez lokalną uczelnię półwyższą w Las Vegas.

Sz szczególnie polubiłam kurs kreatywnego pisania, wystąpień publicznych i samoświadomości.

Kiedy je ukończyłam, doszłam do wniosku, że znalazłam się chyba na takim etapie, że miałabym coś do powiedzenia innym - coś ważnego. Były to narodziny mojego marzenia, marzenia, które hodowałam w sobie przez wiele lat - by pewnego dnia wszystko opisać, opowiedzieć ludziom o swych kolejach losu w małżeństwie poligamicznym.

Głód wiedzy pchał mnie do intensywnego czytania.

Pochłaniałam cztery, pięć książek tygodniowo, głównie z dziedziny psychologii, filozofii, biologii, samorozwoju i religii świata. W miarę jak poszerzały się moje horyzonty myślowe, doświadczałam czegoś, czego się nie spodziewałam - złości. Jako żona mormona fundamentalisty, zawsze byłam upominana, by nie „zagłębiać się w tajemnice” i nie słuchać rad innych. Zmuszano nas do ślepego podążania wąskimi, ściśle wyznaczonymi ścieżkami naszych mężów, nauczycieli i przywódców. Kropka. Nie pozwalano, byśmy zaprzętały sobie głowę czymś innym.

Heber C. Kimball, pierwszy doradca Brigham Younga, powiedział kiedyś: „Ucz się wykonywać to, co ci się poleca,.. jeśli zwierzchnik powie, by coś zrobić, zrób to. To nie twoja sprawa, czy jest to słuszne, czy nie”. (Journal of Discourses, tom 6). Kiedy zaczęłam eksplorować świat poza wiarą, odkryłam, że posuwali się do takich zaleceń po to, byśmy pozostali ignorantami. Istniało bowiem tyle różnych światopoglądów, tyle sposobów patrzenia na życie - niektóre z nich całkiem przekonywujące. Jakaś częśćka mnie chciała je zbadać, niezależnie od tego, jak bardzo się bała.

W pewnym momencie zaczął jednak zwyciężać strach. Życie poza enklawą okazało się po prostu niewygodne. Czułam się jak zwierzątko z zoo, wypuszczone nagle na wolność. Nie miałam kwalifikacji do żadnej pracy. Żyliśmy ze środków opieki społecznej.

Kiedy dzieci opowiedziały Verlanowi, jak dobrze jadamy, że mamy talony żywnościowe i dostajemy pieniądze, rozwścieczył się. Napisał do urzędu opieki społecznej pismo, w którym zapewnił, że łoży na moje utrzymanie i w związku z tym nie mam pra-

wa do zasiłku. Dodał, że zawsze utrzymywał mnie i dzieci i będzie to robił dalej, jeżeli tylko powrócę do swego domu w Meksyku, który opuściłam. Kiedy wezwano mnie na rozmowę, podczas której urzędnik odczytał mi list Yerlana, wprost trzęsłam się ze złości. Zażądano ode mnie wyjaśnień, a wtedy ze łzami w oczach wyznałam prawdę o poligamii. Widząc moją beznadziejną sytuację, urzędnik zdecydował, że kwalifikuję się do zasiłku, nawet podwójnie.

Miałam jeszcze wiele innych zmartwień. Znalazło się kilku mężczyzn, którzy chcieli się ze mną spotykać, lecz odrzucałam ich, bo myślałam, że natychmiast po tym, jak się dowiedzą, ile mam dzieci i że siedmioro z nich wciąż ze mną mieszka, stracą zainteresowanie moją osobą. Mówiąc szczerze, chyba bałam się wówczas rozpoczynać nową, bliską znajomość z mężczyzną. Było to po prostu zbyt sprzeczne z dotychczasowym życiem i obowiązującymi mnie przez całe życie zasadami religijnymi.

Wszystko było inne. Już sama różnorodność typów ludzkich i światopoglądów szokowała - w moim poprzednim życiu prawie wszyscy myśleli i postępowali w ten sam sposób i wierzyli w to samo.

Miałam też ciągle wątpliwości i poczucie winy, związane z odejściem od Verlana i Kościoła. Ogromnym wyzwaniem było samo przeciwstawienie się ponad czterdziestoletniej indoktrynacji, niezależnie od tego, jak daleko odchodzi się od dotychczasowego systemu wartości. Żeby podsycić poczucie winy, w każdej chwili mogłam sobie przywołać to poręczne powiedzonko, którym karmili nas nasi pierwsi prorocy: małżeństwo poligamiczne więcej ludzi skazuje na potępienie, niż zbawia. A dokładniej, to słabi ludzie nie są w stanie sprostać poligamii, lecz sama poligamia jest nieomylna.

To prawda, było mi ciężko, lecz jeszcze ciężej musiało być moim dzieciom. Ja przynajmniej mieszkalam w Stanach przed zamąż- pójściem, lecz dzieciaki znały tylko życie w koloniach religijnych w Meksyku i Ameryce Środkowej. Kultura i ludzie, z którymi się spotkali w Las Vegas, a potem w McKinleyville w Kalifornii (gdzie przenieśliśmy się w ślad za Becky i jej mężem do domu na wynajem, który kupili) - to były sprawy dla nich zupełnie obce. Uzmysłowiłam to sobie dopiero wtedy, gdy po raz pierwszy zapisałam ich do amerykańskich szkół państwowych.

Tydzień po tym, jak Seth zaczął chodzić do przedszkola, wezwał mnie na rozmowę przedszkolny psycholog. Kiedy przyszłam, był taktowny, lecz niezwykle poważny.

- Chciałbym z panią porozmawiać o pani synu Secie. Otóż przeprowadziłem z nim kilka testów. Nie przeszedł ani jednego.

Z mojej oceny wynika, że jest opóźniony i należy go przenieść do klasy specjalnej.

Nie mogłam powstrzymać wybuchu śmiechu.

- Opóźniony! To jedno z moich najmądrzejszych dzieci!

Z wyrazu twarzy psychologa wynikało, że uważa on, iż to we mnie tkwi problem i że za wszelką cenę chcę zaprzeczyć, że mam dziecko specjalnej troski. Uśmiechając się, poprosiłam:

- Czy mogłabym zobaczyć te testy? Coś tu się na pewno nie zgadza, bo wiem, że Seth jest bystrym dzieckiem.

- Pani wybaczy - przerwał mi - ale to ja jestem tu psychologiem.

Bardzo mi przykro, że pani się ze mną nie zgadza, ale Seth musi iść do klasy specjalnej. Oczywiście z przyjemnością pokażę pani testy.

Otworzył książkę z obrazkami. Na pierwszej stronie była rękawica do baseballu.

- O, proszę - powiedział psycholog, próbując mnie przekonać. - Nie wiedział, co to takiego.

Przewrócił stronę.

- O, i tu. Proszę spojrzeć. Nie wiedział, że to Myszka Miki, strażak, policjant, hydrant...

Położyłam dłoń na stronie z hydrantem, powstrzymując go przed dalszym wykładem.

- Seth nigdy nie widział żadnej z tych rzeczy - poinformowałam go. - Przez całe życie mieszkał w Meksyku i Nikaragui. Trzeba było go zapytać, co to jest osioł albo leniwiec, albo małpa, wół, orzech kokosowy, banan, maczeta, trzcina cukrowa - na pewno by odpowiedział. - Wskazałam na następny obrazek w książce i ciągnęłam: -Na przykład ta żarówka. Nigdy nie widział żarówki. Do tej pory nie mieliśmy prądu. Muszę zwracać Sethowi uwagę za każdym razem, gdy słyszę odgłos spuszczonej wody w toalecie. Uwielbia odrywać odcinki papieru toaletowego, wrzucać je do wody i obserwować, jak znikają. To wszystko jest dla niego nowe. Nigdy dotąd nie mieliśmy toalety ze spłuczką.

Psycholog był zdumiony. Wspólnie przejrzelśmy trzy książeczki. Żaden z obrazków nie przedstawiał przedmiotu znanego Sethowi. Psycholog pokręcił głową.

- Muszę pani powiedzieć, że po raz pierwszy przekonałem się, że takie testy mogą być niesprawiedliwe. Teraz widzę, że mogliśmy nieprawidłowo oceniać rozwój dzieci z innych krajów, gdy tymczasem one nie znały naszych realiów. Bardzo mi przykro i bardzo pani dziękuję, że zwróciła mi pani na to uwagę, pani LeBaron. A przy okazji, kiedy byłem na stażu w Szpitalu Stanowym dla Psychiczenie Chorych w Utah, poznałem jednego z najprzyjemniejszych ludzi, jakich dane mi było w życiu spotkać. Również miał na nazwisko LeBaron. Był życzliwym, wysokim blondynem o charakterze bez skazy. Byłem pod takim wrażeniem tego człowieka, że dałem synowi imię po nim.

- Jak dał mu pan na imię? - spytałam.

- LeBaron - odparł.

- Czy znał pan imię tego mężczyzny?

- Nie, nigdy go nie poznałem. Ale to był fantastyczny człowiek.

Otworzyłam portfel i wyciągnęłam zdjęcie Verlana z czasów, kiedy pracował właśnie w tym szpitalu w Utah. Było zrobione dobre trzydzieści lat wcześniej. Położyłam je na biurku psychologa.

- O, tak, to on! Nie do wiary. Rozpoznałbym go wszędzie. - Uśmiechnął się. - Więc to pani mąż?

- Tak - odpowiedziałam. - Sama nie mogę w to uwierzyć.



Mieszkając w Stanach, moje dzieci nie mogły widywać się ze swymi dorosłymi braćmi i siostrami, rodzeństwem przyrodnim, kuzynami i całą ogromną rodziną w Meksyku. Trzy najstarsze córki - Margaret, Sandra i Connie - ciągle mnie błagały, bym je tam zabrała.

Chodziło im przede wszystkim o ojca. Zarzucały mi stale, że wywiozłam je tak daleko od niego. Męczyły mnie ich łzy wylewane z tego powodu i sprawiały, że odczuwałam niepokój.

W pewnym sensie Verlan był dobrym ojcem i dzieci go potrzebowały. Wiedziałam jednak, co znaczy podporządkować się mu, i byłam przekonana, że nie wytrzymam dłużej bycia jedną z dziesięciu żon. Przede wszystkim jednak miałam nadzieję, że dzieci skorzystają dużo bardziej, jeśli będą mieszkać w Stanach, z dala od poligamii.

Z drugiej znowu strony, nie tylko dzieci tęskniły za swojskim Meksykiem. Ja również czułam, że bardziej pasuję tam niż tutaj. Jeśli zdecydowałabym się na powrót, mógłabym zrezygnować z zasiłku złagodzić poczucie winy, jakie gnębiło mnie z powodu opuszczenia Boga i Verlana. Może powinnam znosić dawne życie, dopóki dzieci nie wyjdą z domu? Toczyłam potężny spór wewnętrzny.

Męczyło mnie zarówno bronienie się przed dziećmi, jak i szukanie właściwego pretekstu, by wrócić do Meksyku. Równocześnie bałam się i czułam, że podejmując taką decyzję, ośmieszę się.

Zadzwoniłam do Becky, licząc, że podpowie mi, co robić. Poszłyśmy do kafejki, gdzie przy kawie i ciście zwierzyłam się jej z moich wątpliwości. Pragnęłam dobrej przyszłości dla dzieci. I dla siebie.

Becky była załamana, że chcę wyjechać, lecz jednocześnie pragnęła, bym wybrała rozwiązanie najlepsze dla mnie i dla dzieci. Nie była jednak pewna, co rzeczywiście bardziej nam wszystkim posłuży.

Kiedy tak rozmawiałyśmy, przypomniała sobie, że ostatnio znajoma poleciła jej osobę, która potrafi wyczytać przyszłość z dłoni, a jej wróżby doskonale się sprawdzają. Becky bardzo lubiła takie rzeczy, a w tym przypadku wierzyła, że pomoże mi to bardziej pozytywnie nastawić się do sprawy. Tak bardzo jej na tym zależało, że zadeklarowała, iż bierze na siebie całą odpowiedzialność za skutki mojego spotkania z ową kobietą. Osobiście miałam wiele wątpliwości, ale poddałam się, tylko dlatego, że wygrał we mnie stary nawyk - zawsze słuchaj innych i rób, co każą, zamiast ufać sobie. Do tego czułam, że tonę, i potrzebowałam koła ratunkowego.

Mimo to z wielką niechęcią zbliżałam się do drzwi. Krzyczało we mnie tysiąc głosów z przeszłości, ostrzegając, że mam trzymać się z daleka od wszelkiego rodzaju

wróżek i jasnowidzów, gdyż tego zabrania Biblia. Jako fundamentaliści mormońscy byliśmy nauczeni słuchać tylko starszych braci (których intuicja była rzekomo o niebo lepsza). Becky jednak nie zważała na to. Podeszła prosto do drzwi, zadzwoniła i powiedziała do mnie:

- Hej, siostrzo, może pani Maria zobaczy w twojej przyszłości jakiegoś przystojniaka, który weźmie twoje dzieciaki i tak dalej!

Byłam tak przytłoczona poczuciem winy, że nawet się nie roześmiałam. Zgodnie z ortodoksyjną wiarą mormońską zgrzeszyłam już, zostawiając męża. Nawet gorzej - pożegnałam się ze wszystkimi aspektami uprawiania poligamii. Ciekawe, czy teraz będę dodatkowo potępiona za wizytę u wróżki.

Drzwi otworzyła korpulentna ciemnowłosa kobieta kolorowymi wstążeczkami grubych czarnych warkoczach.

Przyglądałam się jej dokładnie, a w głowie miałam kołowrót. Czy była Włoszką? Meksykanką? A może wysłanniczką samego diabła?

- Ile pani bierze? - zapytała ją Becky.

- Czterdzieści dolarów od osoby.

Zastanawiałam się, czy Maria sądzi, że jej szeroki uśmiech sprawi, iż poczuje się lepiej, wydając taką fortunę.

- Dziękuję bardzo - usłyszałam własny głos - ale w tej chwili nie stać mnie na taki wydatek.

W duchu podziękowałam Bogu, że jakoś udało mi się wywinąć z tej okropnej sytuacji.

Ale Becky udaremniła moje zamiary.

- Ty idź pierwsza, siostrzyczko, a ja z przyjemnością zapłacę za nas obie.

Maria pokazała mi drogę. Becky chciała iść za nami, lecz Maria zatrzymała ją słowami:

- Wchodzi tylko jedna osoba. Żebym mogła się skoncentrować, musimy mieć całkowitą prywatność.

Usiadłam za małym stołem nakrytym czerwoną, lnianą serwetą.

W powietrzu unosił się dym kadzidła i gryzł mnie w nozdrza. Maria spoczęła na krześle naprzeciwko mnie.

- Poproszę pani prawą rękę - rzekła i rozczapierzyła mi palce szeroko, wpatrując się w dłoni.

- Widzę, że jedzie pani do Meksyku.

Serce mi zamarło. Skąd wiedziała? Dlaczego nie do Nowego Jorku albo Paryża?

- Widzę, że z powodu innej kobiety zostawiła pani męża. Proszę się jednak nie martwić. Nie kocha jej tak, jak panią. Ma pani trzynaścioro, może czternaścioro dzieci? - Kiedy pokiwałam głową, ciągnęła: - Wiem, że się to pani nie spodoba, czuję to, ale musi pani wrócić do męża.

- Dlaczego? - spytałam, zastanawiając się, czy rzeczywiście ona to wszystko wie.
- Ponieważ tylko pani jest w stanie nauczyć go pewnych rzeczy.

Pokręciłam głową.

- Nigdy nie wrócę.

- Wiem, co pani czuje - zapewniła mnie. - Ale, jak mówię, są pewne lekcje życiowe, które mąż może przyjąć tylko od pani. Obiecuję, że za rok dowie się pani, po co pani wróciła.

Kiedy wróżka przepowiadała przyszłość Becky, wyrzucałam sobie, że w ogóle tu przyszedłam. Nie wierzyłam w jasnowidzów i wróżki. Lecz jeśli ta nie była prawdziwa, skąd wiedziała tyle na mój temat? Wróciłam do domu wściekła, że zawracałam sobie tym głowę.

Teraz miałam tylko jeden kłopot więcej.

Becky otrzymała od kogoś dwa bilety na targi wróżbiarstwa i jasnowidzenia w College of the Redwoods. Jakaś znajoma zaproponowała jej, by wzięła mnie ze sobą. Stwierdziłam, że skoro zaszłam już tak daleko, to nie zaszkodzi zasięgnąć jeszcze jednej rady.

Usiadłyśmy po przeciwnych stronach sali konferencyjnej, by sobie nie przeszkadzać. Nie pamiętam, jak nazywała się osoba prowadząca. Była atrakcyjną blondynką i pracowała jako jasnowidz dla wydziału policji na Florydzie. Przez godzinę prezentowała swoje umiejętności na zdumiewające sposoby, a następnie zadeklarowała, że pokaże nam, jak wykonuje się „psychometrię”. Puściła w obieg puste pudełko po cygarach i prosiła osoby, które chciały wziąć udział w ćwiczeniu, by wrzuciły do niego pierścionek, zegarek lub inny drobny przedmiot.

Kiedy pudełko krążyło po sali, trzymałam swój złoty pierścionek z wygrawerowanym słowem MIŁOŚĆ, który dostałam na urodziny od Donny. Po obejrzeniu pokazu umiejętności tej kobiety wiedziałam już, że jej diagnozy są niezwykle celne. Włożyłam pierścionek do pudełka, równocześnie modląc się: „Boże, muszę wiedzieć na pewno, co mam dalej robić. Proszę, niech ona wyciągnie mój pierścionek i mnie wylosuje”.

Ktoś podał pudełko prowadzącej, a ona zwróciła się do przypadkowej kobiety z pierwszego rzędu, by ta wyciągnęła dowolny przedmiot. Poprosiła, by kobieta wstała i podniosła w górę wylosowany zegarek.

- Proszę teraz powiedzieć pierwszą rzecz, która przysła pani do głowy.

- Och, to głupie - broniła się kobieta, która krępowała się wyjawic, o czym pomyślała.

- Proszę się nie bać, proszę to powiedzieć niezależnie od tego, jak bardzo głupie się to pani wydaje.

- Dobrze, więc widzę stare, europejskie żaglowce na morzu. - Zaśmiała się, zawstydzona.

- Czyj to zegarek? - spytała wróżka wszystkich obecnych.

Podszedł trzydziestoletni mężczyzna.

- Nie do wiary! To się zgadza! Właśnie razem ze znajomymi pracuję przy wydobywaniu skarbów z zatopionego piętnastowiecznego statku!

Przez kolejne piętnaście minut w zadziwieniu słuchaliśmy „pierwszych skojarzeń” uczestników spotkania.

- A teraz ostatnim przedmiotem zajmę się sama - powiedziała prowadząca. Włożyła rękę do pudełka i wyciągnęła mój pierścionek.

Uniosła go.

- Widzę, że ta kobieta wybiera się do Meksyku. Nie chce jechać, ale musi. O, nieba, ileż ta osoba się wycierpiąca. Była pionierem.

Widzę, że ma trzynaścioro lub czternaścioro dzieci. Czyj to pierścionek?

Kiedy podeszłam, ciągnęła:

- Widzę, że zostawiła pani męża lub towarzysza życia. Musi pani do niego wrócić, nawet jeśli odeszła pani z powodu innej kobiety.

W rzeczy samej widzę w jego życiu wiele kobiet. Musi pani wrócić, bo ten mężczyzna ma otrzymać ważną lekcję, a tylko pani może mu ją dać.

- Wyczuwając moją niechęć, dodała: - Proszę się nie załamywać.

Dokładnie za rok dowie się pani, po co musiała pani wrócić. Widzę również szczęście i sukces w pani przyszłości.

Stałam twarzą w twarz z jasną odpowiedzią na pytanie, które sobie zadawałam. Muszę przyznać, że odpowiedź okazała się niemal niemożliwa do zaakceptowania. Doprowadziłam się do prawie całkowitej frustracji, ważąc argumenty i rozważając tragiczne skutki obu rozwiązań. Wreszcie, wykończona własnym strachem i niezdecydowaniem, poszłam na spacer, poszukując odpowiedzi od samego Boga. Wyjaśniłam, że zrobię to, co dla mnie zaplanował, niezależnie od tego, czy będzie to powrót do Verлана, czy próba ułożenia sobie życia tu, na miejscu. W tym samym momencie, kiedy jawnie i wyraźnie poddałam się Jego woli, doznałam cudownego, duchowego doświadczenia, które mnie uspokoiło. Było tak głębokie, że nie miałam już cienia wątpliwości, iż dam radę wrócić do Meksyku na rok i zaufać Bogu, cokolwiek miało się zdarzyć.

Uzbrojona w tę zesłaną z nieba odwagę, następnego ranka zadzwoniłam do Verлана. Był zszokowany, gdy usłyszał, że chcę, by po mnie przyjechał i zawiózł mnie z powrotem do Meksyku. Tak wiele razy próbował mnie ściągnąć do domu. Obiecował mi tysiące rzeczy, jeśli tylko się zgodzę. Teraz autentycznie zdumiała go tak radykalna zmiana mojego nastawienia. Równocześnie czuł się mile połączony.

Szesnastego sierpnia 1980 roku Verлан przyjechał po mnie samochodem z przyczepą. Załadowaliśmy na nią wszystko, co posiadałam, i ruszyliśmy do San Diego. Stamtąd następnego dnia wieczorem odjechaliśmy na południowy zachód i 18 sierpnia przybyliśmy do Colonia LeBaron.

Do dziś zastanawiam się nad tym wydarzeniem i rolą jasnowidzów w moim życiu.

Opowiedziałam wszystko dokładnie tak, jak się wydarzyło. Nie mogę więc zaprzeczać faktom. Zdaję sobie jednak sprawę, że jasnowidze nie są właściwym źródłem porady. Teraz mogę tylko przypuszczać, że Bóg kocha mnie tak mocno, iż, jak biblijnemu Balamowi, pozwolił przemówić do mnie oślicy, by skierować mnie na właściwą drogę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY.

Do następnego lata, przez prawie rok, kiedy znowu byłam żoną poligami-
sty, nic szczególnego się nie wydarzyło. Był już początek sierpnia. Prawie całe mia-
steczko Colonia LeBaron brało udział w dorocznym rodeo, organizowanym natychmiast
po drugiej sesji konferencji kościelnej. Ponieważ nie należałam już do Kościoła, posta-
nowiłam się wycofać zarówno ze wszystkich imprez kościelnych, jak i towarzyszących.

Kiedy inni bawili się na imprezie, ja przygotowywałam ogromne ilości spaghetti,
świeżej kukurydzy w kolbach, zielonych papryczek z rusztu i białego chleba domowego
wypieku. Wśród ludzi rozeszło się w mgnieniu oka nieoficjalne zaproszenie na poczę-
stunek do mnie po rodeo. Spodziewałam się, że zjawi się około sześćdziesięciu osób -
rodzina i przyjaciele.

Według rozkładu nie ja miałam spędzać dzisiejszy dzień z Verlanem. Miał zajrzeć
do mnie dopiero pod wieczór. Wiedziałam jednak, że wraz z przyjaciółmi ogląda rodeo
i przyjdzie do mnie coś zjeść.

Właśnie wydał własnym sumptem książkę Historia rodziny LeBaronów, w której
opowiada dzieje rodziny i pisze o Joelu jako proroku. Co do pewnej uwagi, którą po-
czynił w tej książce, miałam poważne zastrzeżenia. Napisał mianowicie, że „Irene ma-
rzyła tylko o sosie do spaghetti w puszcze, a Charlotte o tym, by choć raz wziąć udział w
letnim festiwalu na Uniwersytecie Stanu Utah”. Załamało mnie to. W dwóch słowach
powiedział wszem wobec, że nie miałam żadnych aspiracji. Owszem, w czasach, kiedy
niemal głodowaliśmy, napomknęłam parę razy, że dobrze byłoby od czasu do czasu
zjeść sobie spaghetti z sosem z puszki, lecz nakłaniałam Yerlana i do bardziej wykwin-
tych aspektów życia niż jedzenie. Żeby to udowodnić, poprosiłam wszystkich tego dnia
przybyłych, by przeczytali fragment o mnie i o spaghetti na stronie 103, po czym zaser-
wowałam ogromną michę spaghetti. Wszyscy pękali ze śmiechu.

Verlan widział moje pozytywne nastawienie do książki i do gości, więc wycho-
dząc, szepnął mi do ucha:

- Wrócę późno, koło północy, mam dużo spraw do załatwienia, ale zostanę dziś u

ciebie na noc.

Było to miłe, zwłaszcza że nie przypadała tego dnia moja kolej.

Bynajmniej jednak o niczym nie świadczyło. Przez ostatni rok okoliczności nie uległy żadnej zmianie. Akceptowałam po prostu po cichu wszystko, co przynosił mi los. Teraz odliczałam dni i czekałam na właściwy moment, by wyznać Verlanowi, że wkrótce opuszczę go na zawsze.

Na siłę odgoniłam sen, gdy kilka godzin później poczułam, iż Verlan kładzie się do łóżka. Nie chciałam, by w mgnieniu oka zasnął, jak zwykle to zawsze robić. Ostatnio spałam z nim sześć tygodni wcześniej. Wyjeżdżał dużo do Teksasu i załatwiał sprawy związane z wydaniem książki. Za każdym razem zabierał w podróż którąś z żon, ale moja kolej jeszcze nie nadeszła.

Wziął mnie w ramiona i trzymał w milczeniu. Choć to ja zamierzałam odejść, poczułam przypływ starego, dobrze mi znanego strachu, że Verlan wkrótce mnie opuści. Zawsze wyglądało to identycznie: czekaj i czekaj na niego, aż wreszcie się pojawi, a jak już się pojawi, to jest tak samo, jak było.

Nie chcąc być natrętna, ale rzeczywiście głodna jego miłości, zaczęłam delikatnie wodzić po jego skórze palcami. Złapał mnie za rękę.

- Proszę, nie naciskaj na mnie. Jestem zbyt zmęczony, by się z tobą kochać.

Słyszałam tę wymówkę już trzy razy z rzędu, kiedy u mnie spał.

Czy nie pamiętał, że ostatni raz kochaliśmy się cztery miesiące wcześniej? Zawsze przychodził do mnie późno i zawsze wykończony.

Ja jak zwykle czułam się zlekceważona, lecz ze wszystkich sił starałam się nie narzekać i nie wywołać awantury.

Trzymałam twarz blisko niego. Gdy poczułam znajomy zapach jego ciała, do oczu zaczęły napływać mi łzy. Przypomniałam sobie jego starą koszulę, którą tuliłam i w którą wylałam wiadra łez tyle lat temu, w górach. Chciałam chwycić i zatrzymać przy sobie jakąś jego część, nawet teraz, lecz na siłę odwróciłam się na bok, by pozwolić mu zasnąć.

Po chwili jednak objął mnie i zaczął przeraźliwie łkać.

- Co się stało? - spytałam zdezorientowana. - Czemu tak płaczesz?

- Miałem sen - wydusił między szlochami. - Więcej ci nie mogę powiedzieć. Miałem sen.

Widziałam, że mnie potrzebuje, i to sprawiło, że całkowicie straciłam ochotę do narzekań. Verlan się tak nie zachowywał, Verlan nie pokazywał emocji. Zawsze był silny, potrafił znosić wszelkie przeciwności. Wiedziałam, że to, co go trapi, musi być niezwykle poważne. Przeczesałam falcami jego włosy, by go uspokoić.

- Co to za sen? - spytałam.

Jego głos był wręcz zachrypnięty z emocji.

- Za kilka dni sama się dowiesz.

Obejmowałam go, lecz nic nie mówiłam. Szłochał dalej. Nie nalegałam, by opowiadał.

Kiedy się uspokoił, przeprosił mnie, że nie dotrzymał mi towarzystwa wcześniej, gdy poszłam na cmentarz, by zanieść nową płytę nagrobną dla Leah. Dodał rzewnie:

- Mam nadzieję, że zostawiłaś tę starą tablicę, którą kiedyś zrobiłem. Czy po tylu latach była ciągle czytelna?

- Tak - zapewniłam. - Zostawiłam ją dokładnie tam, gdzie ją umieściłeś. Wyrównaliśmy grób i położyliśmy nową płytę na nim. Leah skończyłaby dziś dwadzieścia siedem lat.

- Nie do wiary - wyszeptał. Milczał przez chwilę, po czym zaczął znowu: - Już pięć nocy nie spałem. Jestem tak zmęczony, że aż mi niedobrze, ale muszę z tobą porozmawiać. Wiem, że wąpiłaś w moją miłość. Wiem, że wydaje ci się, że zawsze uważałem, że mi się to wszystko należy, że cię nie doceniałem. Jednak to dzięki tobie udało mi się zorganizować życie mojej rodziny, spełnić moje największe marzenie. Byłaś moją kotwicą, moją mocą i siłą. Straciłaś do tego serce, ale przez te wszystkie lata stałaś twarde na wysokości zadania. Nic nie mogę na to poradzić, ale kocham cię za to. Na pewno Bóg wziął to pod uwagę i wiem, że ci to wynagrodzi.

Postanowiłam, że to dobry moment, by wyznać Verlanowi, co Bóg przekazał mi owego popołudnia prawie rok wcześniej.

- Czy miałaś kiedyś objawienie? Czy możesz z ręką na sercu wyznać, że wiesz wszystko, bez cienia wątpliwości? - spytałam.

- Nie - przyznał ze smutkiem. To mnie zdziwiło, bo zawsze wydawał mi się taki pewny swego. Dziś jednak odsłaniał swe czułe punkty, swą bezbronność. Dlatego właśnie czułam, że muszę mu to powiedzieć.

- Więc ja miałam. Wiem na pewno, że Bóg istnieje.

- Dobrze, powiedz - odparł szczerze zainteresowany.

- W nocy poprzedzającej dzień, kiedy zadzwoniłam, byś po nas przyjechał, przeżyłam pewne doznanie duchowe, niezwykle spontaniczne. Trudno mi je nawet opisać. Duch Pański jakby zstąpił na mnie i w mgnieniu oka opadły ze mnie wszelkie wątpliwości i niezrozumienie. Wszystko, co postrzegałam, było jakby bardziej żywe, może nawet po raz pierwszy ożywione. Nie było czasu ani przestrzeni, początku ani końca. Wszystko było wieczną teraźniejszością. Czułam się tak, jakbym stopiła się z boskością, zdjęła z siebie cały strach, nawet strach przed śmiercią. W tamtej chwili rozpacz i niepewność, które pochłonęły tyle mojej energii przez ostatnie lata, zostały zastąpione przez radość, pokój i zrozumienie. Dano mi do zrozumienia, że nie musiałam się starać być jakaś i coś robić. Miałam po prostu uspokoić się, uciszyć. Wiem, że doświadczyłam tego, bo się temu poddałam.

Kiedy przestałam kontrolować swoje życie i umysł, zrozumiałam, że to Bóg jest sprawcą. To tylko nasze silne ego powoduje rozczarowania i ból. Jeśli ustąpimy, pod-

damy się, to mówimy Bogu: „Nie moja wola, Panie, ale Twoja niech się stanie”. Przeżycie to uświadomiło mi, że wszystko dzieje się w odpowiednim momencie i dokładnie w ten sposób, w jaki ma się stać.

Verlan przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Potem rzekł:

- Irene, to, co powiedziałaś, jest piękne. Mam nadzieję, że masz rację. Jeśli jednak twoje doświadczenie jest prawdziwe, może położyć kres mormonizmowi. - Westchnął ciężko. - Wiesz, nigdy nie myślałem, że Joel może umrzeć. Miał najwyższy tytuł kapłański na ziemi. Ja - drugi pod względem dostojności. Bez tych dwóch najwyższych kapłanów Kościoła nie będzie funkcjonował.

Przerwał na chwilę, pogrążony w myślach.

- Irene, jeśli coś mi się stanie, wiedz, że Joel był normalnym, dobrym człowiekiem i że wszyscy po prostu się myliliśmy. Naucz moje dzieci, by były zwyczajnymi, prawnymi ludźmi i przestrzegały przykazań boskich.

Nawet się nie zorientowałam, że do pokoju zaczęło wlewać się światło. Była piąta nad ranem. Sen nie był nam tej nocy pisany - wspominaliśmy i dzieliliśmy najgłębsze myśli i uczucia.

Verlan powiedział, że musi wcześniej iść do biura nad czymś popracować. Biuro mieściło się u Lillie. Odgadł, o czym myślałam.

- Irene, nie odchodzę, by pobyć z Lillie. Naprawdę. Muszę postarać się zrobić parę rzeczy. I tak nie mogę spać. Czy mi wybaczysz, że wychodzę tak wcześnie?

- Jasne, idź - odpowiedziałam.

Następny dzień spędziłam z dziećmi, ale wciąż myślałam o Verlanie. Wkrótce musiałam mu wyznać, że odchodzę definitywnie -i od niego, i od jego wiary. Chociaż będzie to trudne, muszę w jakiś sposób zdobyć więcej niż parę minut na rozmowę z nim w cztery oczy. To, co chciałam mu powiedzieć, nie może zostać powiedziane w pośpiechu.

Położyłam się wcześniej. Byłam bardziej niż zwykle zmęczona, gdyż poprzedniej nocy nie spałam. Zbudził mnie jednak gwałtowny, przerażający sen. Obudziłam Barbarę, moją osiemnastoletnią córkę, która spała koło mnie.

- Ktoś umrze - powiedziałam. - Ciekawe, kto.

Opowiedziałam jej, że we śnie zobaczyłam wypadek samochodowy, którego ofiarą padły trzy osoby. Ciało dwóch z nich leżało na poboczu, przykryte kocami. Później na scenie pojawił się nieznajomy, który krzyczał do mnie: „Zginął ktoś, kogo kochasz”. We śnie prosiłam głośno Boga: „Proszę, daj mi siłę, bym to zniosła”. Już miałam unieść koc i zobaczyć twarz zabitego, ale się obudziłam.

Barbara wyciągnęła rękę, by mnie uspokoić.

- Mamo, to tylko sen. To tylko głupi koszmar.

- Nie - odpowiedziałam z uporem. - Wiem, że ktoś umrze. Czuję to.

Czy będzie to któryś z moich synów? Usiłowałam wyprzeć te myśli z głowy. Jeśli

je zatrzymam, sen gotów się spełnić.

Przez następne dwa dni prawie nie widywałam Yerlana. Znow miał zamiar wyjechać z miasteczka. Byłam niespokojna, podenerwowana, psychicznie zmęczona po roku rozczarowań i samotności. Bałam się też powiedzieć mężowi o zamiarze, z jakim się nosiłam. Zastałam go przy pakowaniu walizki i śpiwora do bagażnika volkswagena, należącego do Johna Adamsa, a zaparkowanego między kościołem i domem Lillie. Przywitałam się z Johnem – mężczyzną o bujnej, kręconej czuprynie, którego znałam od wielu lat. Przyjechał z Utah na naszą doroczną konferencję kościelną.

Verlan poklepał fotel volkswagena i odezwał się do Johna:

- Lichy masz ten samochód. Gdybyśmy mieli wypadek, to nikt nie wyszedłby cało. Mam nadzieję, że dojedziemy do Nikaragui i z powrotem bezpiecznie.

Jechali skontrolować jakąś posiadłość Verlana w Nikaragui, którą zatrzymał, żeby mieć gdzie się schronić w razie potrzeby.

- Nie przejmuj się - odparł John. - Ten mały wózek jest świetny na drodze. Do Mexico City dojedziemy jak się patrzy. Tam spędzimy dwa dni i potem prosto do Nikaragui.

Verlan przeprosił nas i zapewnił Johna, że za chwilę wróci.

Musiał jeszcze przed odjazdem załatwić coś ważnego. Objął mnie za ramiona i poprowadził drogą. Zmęczonym głosem powiedział:

- Nie chcę jechać, naprawdę nie chcę. Mam przeczucie, że nie wrócę.

Stałam jak wryta.

- Do cholery, Verlan, to nie jedź!

- Nie - odrzekł i poprowadził mnie dalej - kiedy twój czas dobiega końca, nic nie możesz na to poradzić.

Nie chciałam słuchać podobnych bzdur. Szliśmy teraz ścieżką Lillie do biura Verlana. Wiedziałam, że jeśli nie powiem tego, z czym się noszę, w tej chwili, nie będzie drugiej okazji. Będę musiała czekać, aż wróci. Nie chciałam jednak, by przerwała mi inna żona. Pomyślałam o jasnowidzach - przepowiadali, że pozostanę tu przez rok, a po roku poznam powód, dla którego musiałam wrócić do Verlana. Rok minie za tydzień. Verlan planował wyjechać przynajmniej na miesiąc, więc muszę powiedzieć mu teraz.

Włożył klucz do drzwi do biura. Przekręcił i wpuścił mnie do środka.

- Wiem, że się spieszysz - zaczęłam - ale muszę z tobą porozmawiać.

- Dobrze, ale szybko. Spieszę się i John czeka.

- Verlan, myślę, że jesteś wspaniałym człowiekiem, i szanuję cię, ale czuję się fatalnie, żyjąc tu w takich warunkach. Chcę się rozwieść. Chcę wyjechać do Stanów, nim zacznie się rok szkolny.

- Proszę - przerwał mi - porozmawiajmy o tym, jak wrócę. Może twój problem sam się rozwiąże, bo nie wrócę wcale.

- Verlan! - zawołałam. - Żyję w największym zakłamaniu, jakie można sobie wy-

obrazić. Nie chcę tak żyć ani minuty dłużej! Duszę się!

Postaraj się to zrozumieć. To nie o ciebie chodzi. Ja biorę pełną odpowiedzialność za swoje czyny. Chcę się stąd wydostać! Nie mogę już tak żyć, nie mogę.

Otworzył szufladę biurka. Wiedziała, że nie słuchał tego, co mówi, nawet przez sekundę.

- A teraz słuchaj uważnie - zażądał, wyjmując stos papierów. - Oto mój testament. Będzie tu, w pierwszej od góry szufladzie po prawej stronie. Proszę, dopilnuj, żeby nie było w związku z nim żadnych kłótni. Próbowałem, jak mogłem, potraktować was wszystkich na równi.

- Verlan, przestań - przerwałam. - To śmieszne.

- Uważaj dalej - ciągnął. - Mam tu też dwie polisy ubezpieczeniowe. Wiem, że dużo tego nie będzie, ale zawsze coś.

- Verlan, proszę, dość już.

Wstał i zdjął ze ściany namalowany własnoręcznie obraz.

- To dla Andre. Jeśli się przyjrzyysz, zauważysz, że na wszystkich tych obrazach, zdjęciach, książkach, napisałem z tyłu imiona. Każda rzecz jest podpisana i przeznaczona dla wskazanej osoby.

Znowu kazał mi zajrzeć do szuflady.

- Wszystkie ważne dokumenty są tutaj, dobrze?

Musiałam wyglądać na strapioną, bo wziął mnie w ramiona. W milczeniu trzymaliśmy się w objęciach. Jego wargi łapczywie odszukały moje. Oboje nie mogliśmy powstrzymać łez i nie kryliśmy ich. Płakaliśmy otwarcie, z rozpacz. Ja - ponieważ musiałam odejść, on - bo myślał, że nigdy nie wróci. Nagle odsunął się, wyjął z kieszeni chustkę i otarł oczy. Powiedział ze smutkiem:

- Tylko się za mnie pomódl.

Nie odwróciłam się, by na niego spojrzeć, bałam się bowiem, że zupełnie stracę panowanie nad sobą. Szybko, zdecydowanie odeszłam.

Nie mogłam mu powiedzieć, że muszę przestać go kochać zwyczajnie po to, by przeżyć. Nigdy nie będzie w stanie zrozumieć, że dam radę to wszystko znieść dopiero wtedy, gdy kompletnie przestanie mi na nim zależeć. Nie chcę, by na moich oczach obdarzał więcej jakkolwiek kobietę swoim uczuciem i czułością. Wolę nie mieć go wcale, niż dalej nim się dzielić. Dlatego znów muszę odejść, tym razem na zawsze.

Byłam wręcz odrętwiała, ale przynajmniej wolna.

Kilka godzin później, tuż przed wyjazdem z miasteczka, Verlan wpadł na moment do mnie (John czekał w samochodzie, nie wyłączając silnika). W kuchni była nasza córka Margaret, podobna do mnie jak dwie krople wody. Jej ojciec zapytał:

- Gdzie mama?

- Właśnie przed chwilą wyjechała do San Diego, bo żona Kaylena, Jean, ma rodzić.

Verlan przygarnął mocno Margaret i zapłakał. Kiedy się od niej odsunął, był wyraźnie zażenowany.

- Szkoda, że się z nią minąłem - rzekł, a potem dodał ze smutkiem: - Przekaż jej coś ode mnie, dobrze? Powiedz jej, że ją...

kochałem. Nigdy mi nie wierzyła, ale naprawdę ją kochałem.

W następnym tygodniu przygotowywałyśmy się z Jean do narodzin jej pierwszego dziecka. Z niecierpliwością czekałam na pierwsze bóle. Chociaż termin porodu wypadł dopiero za sześć dni, chciałam, żebyśmy obie miały już to wszystko za sobą. Pragnęłam jak najszybciej wrócić do własnych spraw.

Był 18 sierpnia 1981 roku. Przez otwarte drzwi domu kempingowego wiał lekki wietrzyk. Odpoczywałam na podłodze, cieszyłam się panującą wokół ciszą, próbowałam uspokoić przepracowane ciało i skołatany umysł. Wiatr miło chłodził mi twarz. Z transu wyrwał mnie dźwięk telefonu. Kaylen odebrał, myśląc, że śpię. Po sekundzie już krzyczał do słuchawki:

- Czy to pewne?!

Skoczyłam na równe nogi, prosząc Boga, tak jak to robiłam we śnie: „Błagam, Panie, pomóż mi to znieść, cokolwiek się stało”.

W oczach Kaylena zaczęły się zbierać łzy.

- John też nie żyje? - Zakrył dłonią słuchawkę, odwrócił się do mnie i powiedział: - Tata i John zginęli w wypadku koło Mexico City.

Byłam wstrząśnięta. Nie mogłam uwierzyć.

- Jaki dzisiaj jest dzień? - spytałam.

- Osiemnasty, mamó. Umarł trzy godziny temu.

Było to wręcz nierzeczywiste. Sięgnęłam myślami w przeszłość.

Verlan zobaczył to we śnie. Potem ja - też we śnie. Nawet wróżki wiedziały, że po roku dowiem się, po co wróciłam do Meksyku. Verlan zginął dokładnie rok od dnia, kiedy wróciłam.

Mówiły także, że miałam pokazać coś Verlanowi, i nie mógł tego zrobić nikt inny. Zastanawiałam się długo, co też to mogło być.

Może to, że powiedziałam mu, iż nie przestało mi na nim zależeć, choć zdecydowałam się odejść. Udało mi się również podzielić się z nim swoimi przemyśleniami odnośnie do obecności Boga, świętości, niezależności. Któż inny w tym życiu mógł mu to przekazać?

Trudno mi przypomnieć sobie, co się działo w ciągu następnych godzin. Razem z Kaylenem próbowaliśmy się nawzajem pocieszać i uspokajać, a równocześnie dzwoniłszy do wszystkich dzieci Verlana i do bliskich przyjaciół. Przekazałam wiadomość matce Charlotte, ciotce Rhei w Salt Lake City, która z kolei zawiadomiła dziennikarzy.

LeBaronowie byli dobrze znani w Utah ze względu na terror Ervila.

Śmierć Verlana i Johna była więc jednym z tematów nadawanych o dziesiątej w

wiadomościach. Natomiast informacja o samym wypadku dotarła do nas przez Elizabeth, dziewiątą żonę Verlana, z którą skontaktował się urzędnik Czerwonego Krzyża i zawiadomił o wypadku. Wydarzył się on niedaleko miejscowości Puebla w Meksyku.

John zginął na miejscu. Verlana odwieziono śmigłowcem ratunkowym do szpitala, gdzie zmarł dwie godziny później. Harvard Stubbs, ich znajomy, który podróżował z nimi, przebywał jakiś czas w szpitalu i wkrótce całkowicie doszedł do siebie.

Trzy pojazdy zapakowane po dach żonami, dziećmi, teściami i znajomymi wyruszyły w piętnastogodzinną podróż z San Diego do Colonia LeBaron. Całą noc spędziłam za kierownicą wśród jęków i płaczu dzieci, przerażonych stratą ojca. Wszystkie próbowały choć trochę się zdrzemnąć, żeby mieć siłę brać udział w pogrzebie.

Charlotte i Chad, najstarszy syn Lucy, polecili do Mexico City i załatwili przewóz ciała Verlana do Chihuahua. Stamtąd miało być przewiezione do Colonia LeBaron.

Wśród sporego tłumu osób przybyłych pożegnać Verlana, zgromadzonych na trawniku przed domem Charlotte, zapanował dziwny spokój i cisza. Cisza ta była wręcz nie z tej ziemi. Ludzie rozmawiali przyciszonymi głosami. Oczekiwano na przybycie karawanu. Większość zgromadzonych stanowiły własne dzieci, żony i krewni zmarłego.

W pogrzebie mogło brać udział czterdzieścioro dwoje z pięćdziesięciorga sześciorga dzieci Verlana. Priscilla i Lillie były w ciąży i za kilka miesięcy liczba dzieci Verlana miała wzrosnąć do pięćdziesięciu ośmiu. W dniu śmierci Verlanowi pozostało sześć żon - Charlotte, Lucy, Lillie, Elizabeth, Priscilla i ja. Pozostałe cztery - Helen, Susan, Beverly i Esther - odeszły i rozwiodły się z nim. Fakt ten wywołał u Verlana poczucie całkowitej porażki.

Sześć żon kręciło się cicho tu i tam z nadzieją, że karawan niedługo się pojawi. Każda chciała spędzić kilka chwil sam na sam z ukochanym mężczyzną.

Weszłam do domu Charlotte, by usiąść i odpocząć. W tej samej chwili wszedł Kaylen i rzekł:

- Mamo, przywieźli tatusia.

Przy drzwiach karawanu stłoczyła się dziesiątka czy dwunastka dzieci. Kierowca pokazywał, by wszyscy się odsunęli, odeszli na bok.

Otworzył tylne drzwi samochodu i wyciągnął dużą, drewnianą skrzynię.

Panowała absolutna cisza. Było słychać tylko skrzypienie drewna, gdy chłopcy wyciągali gwoździe za pomocą metalowych żabek. Wydarli je na siłę z sosnowych desek i naszym oczom ukazała się szara trumna.

Tłum rozstał się, robiąc miejsce dla sześciu najstarszych synów Verlana - Verlana Juniora, Marka, Stevena, Pierre'a, Kaylena i Andre.

Złapali oni za uchwyty na błyszczącej trumnie i wyjęli ją z pozostałości po drewnianej skrzyni. Z czcią wnieśli ciało ojca do salonu Charlotte.

Ustawili trumnę na masywnym, niskim stoliku.

Nadeszła godzina prawdy. Kiedy uniesiono wieko, natychmiast wybuchły szloch i

łkania. Żony i dzieci płakały jednym, przeszy-wającym głosem. Rzeczywistość była przerażająca. Nasz mąż i ojciec naprawdę odszedł.

Po mniej więcej godzinie Verlan Junior poprosił, by w pokoju pozostała tylko najbliższa rodzina, tak by każdy z osobna mógł oddać cześć zmarłemu. Gdy wszyscy wyszli, ja wręcz uczepiłam się Lindy.

Patrzyłam, jak pozostałe pięć żon dotyka Verlana, próbując -jakże nieporadnie, nieostosośnie - wyrazić swe najskrytsze, ostatnie myśli i uczucia. Chciało mi się głośno krzyczeć do Verlana, jakie ma szczęście, że już spoczywa w pokoju! Nie będzie już o niego sprzeczek. Nie będzie kłótni o ułamek jego czasu. Nie będzie wybuchów złości i zazdrości. Nie będzie kolejek i rozkładów spędzania czasu.

Lillie poklepała Verlana po stopie. Lucy całowała jego duże, zimne dłonie. Czułam, że w sercach nas wszystkich wzbiera ten sam, straszliwy smutek. Po twarzy popłynęły mi łzy smutku zmieszane ze łzami złości. Nawet po śmierci - jak za życia - nie miałyśmy cholernej prywatności. Zawsze sobie przeszkadzałyśmy, zawsze wchodziłyśmy jedna drugiej w drogę, zawsze musiałyśmy odkładać swe prawdziwe uczucia na później.

Pragnęłam po raz ostatni krzyknąć na głos do Verlana i zapewnić go o naszej przyjaźni, podziękować mu za wolność. Czułam potrzebę, by jakoś usankcjonować jego wartość - wartość jako wspaniałego człowieka, lecz również, by zasugerować mu, że oboje wpadliśmy w poplątaną sieć fanatycznej religii. Chciało mi się krzyczeć o tym na całe gardło.

Ten oddany człowiek - zaledwie pięćdziesięcioletni - przez wiele lat usiłował ciągnąć mnie w stronę nieba. Nalegał, bym towarzyszyła mu w chwale wiecznej. Teraz jednak, w głębi duszy wyznałam mu, że chyba nigdy nie pragnęłam zostać boginią. Wszystko, czego naprawdę głęboko pragnęłam, to żyć normalnie, kochać go i cieszyć się jego wyłączną miłością. Przede wszystkim zaś chciałam zaspokajać jego i swoje potrzeby. Chciałam być jedyną kobietą, jakiej kiedykolwiek pożądał.

Wróciłam myślami do naszej nocy poślubnej. Przypomniałam sobie wszystkie zamiary i marzenia, którymi podzielił się wtedy ze mną Verlan. Wówczas to jego pragnienie, by posiadać siedem żon i pięćdziesięcioro dzieci, wydawało się tylko nieosiągalną, mglistą iluzją.

Przeszedł jednak nawet swoje własne, wygórowane oczekiwania.

Łzy gwałtownie napłynęły mi do oczu i zamazały widok. Linda zacisnęła dłoń na moim nadgarstku.

- Spokojnie, dzieciaku. Spokojnie. Będzie dobrze.

Wieko trumny miało zostać opuszczone. Kilkanaścioro zapłakanych, krzyczących dzieci wyciągnęło ręce, by po raz ostatni dotknąć ojca. Patrzyłam, jak żony szybko całują jego ręce i usta, próbują jeszcze przez chwilę zachować go przy sobie.

Linda uczepiła się mego ramienia. Stałam przed trumną jak w transie. Nie porusza-

łam się. Nie mogłam jednak się zmusić, by go dotknąć. Pragnęłam utrwalić dobre chwile, zapamiętać jego gorące pocałunki.

Wieko zamknęło się głucho. Natychmiast do trumny rzuciły się oszalałe dzieci i uniosły je na kilkanaście centymetrów, by jeszcze raz zerknąć do środka. Jego syn Mark wołał w rozpacz:

- T-a-a-a-t-o-o!

Mój umysł eksplodował. Niczego więcej nie chciałam, jak tylko tego, by wygonić wszystkich na zewnątrz, podnieść wieko i powiedzieć wszystko, co leży mi na sercu. Jak jednak miałam odkryć swoją duszę przed pięcioma innymi żonami?

Jeszcze przez chwilę, zanim trumny nie zamknięto na dobre, wpatrywałam się w jego twarz. Czując obecność Verlana i wiedząc na pewno, że zrozumie, szepnęłam tylko:

- Żegnaj, kochasiu!

EPILOG.

Długo walczyłam sama ze sobą, by ostatecznie wybrać wolność, lecz okazało się, że moje trwające dwadzieścia osiem lat małżeństwo z Verlanem LeBaronem zakończyła tragedia. Do dziś poraża mnie zbieżność w czasie owych dwóch wydarzeń. Czy była to tylko przypadkowa zbieżność? Czy śmierć była mu przeznaczona, czy był to zwykły wypadek? Czy ostatecznie go zostawiłam, zdając sobie w podświadomości sprawę, że nasze małżeństwo dobiega końca?

W ciągu pierwszych dwudziestu jeden lat poligamicznego małżeństwa z Verlanem zostałam matką jego czternaściorga dzieci.

Dzieliłam męża z dziewięcioma innymi kobietami i pięćdziesięciorgiem ośmiorgiem dzieci. Żyliśmy w skrajnym ubóstwie, pracą własnych rąk zdobywaliśmy pożywienie, szyliśmy ubrania, budowaliśmy domy.

Przez większość czasu mieszkaliśmy bez elektryczności i bieżącej wody.

Sześcioro moich dzieci na pewnym etapie życia weszło w związki poligamiczne, lecz teraz wszystkie, prócz trojga, żyją w monogamii. Do dziś utrzymuję kontakt z niektórymi żonami Verlana.

Przyjaźnimy się i nocujemy u siebie podczas pogrzebów i wesel w rodzinie. Obecnie mam sto osiemnaścioro wnucząt, z których najstarsze ma dwadzieścia sześć lat. Mam trzydzieścioro siedmioro prawnucząt i dalsze w drodze. Tak, pamiętam imiona ich wszystkich! Sześć dziewczynek nosi imię po mnie - Irene. Wygląda na to, że mimo wszystko udało mi się jednak zrobić coś dobrego. Kiedy ktoś pyta mnie o drzewo genealogiczne mojej rodziny, odpowiadam, że u nas jest genealogiczny las!

Cieszę się, że udało mi się zachować wiele dobrych wspomnień z czasów, które opisuję w tej książce. Nie zawsze było źle, choć ogólnie były to lata strasznych rozczarowań. Poświęciłam tak wiele dla osiągnięcia „wiecznej chwały”, lecz myślę, że najcenniejszą rzeczą, jaką udało mi się w rzeczywistości zdobyć, jest niezwykła więź miłości i przyjaźni z dziećmi i wnukami. W tym sensie Verlan miał rację - naprawdę jestem szczęściarą. Jesteśmy ze sobą blisko, często się odwiedzamy.

Teraz mam przynajmniej męża, który jest mi całkowicie oddany.

Wysłałam za Hectora J. Spencera dziewiętnaście lat temu i jestem jego jedyną żoną. Jego miłość to skarb. Niezwykle ją cenię. Może dla niego to banał, ale to on spełnił marzenie mojego życia - marzenie o byciu jedyną, wybraną, ulubioną.

Cenię zapał i uczciwość - cechy, które odkryłam w sobie, pokonując życiowe przeszkody i cierpienia. Nauczyłam się ufać sobie, doceniać i wierzyć we własny styl, sposób życia, postrzegania i dokonywania codziennych wyborów. Gdzieś po drodze uwierzyłam, że lepiej jednak podążać własną ścieżką, niż ślepo wykonywać polecenia innych.

Dwadzieścia lat temu stałam się nowo narodzoną chrześcijanką.

Nawróciło się też wiele moich dzieci. Bardzo mnie to zaskoczyło, zwłaszcza że absolutnie nic mnie to nie kosztowało. Za namową ' syna, Kaylena, przeprowadziłam się do Anchorage na Alasce. Zabrałam ze sobą Księgę Mormona, by udowodnić mu, jak bardzo się mylił, nawracając się parę lat wcześniej na chrześcijaństwo. W byciu chrześcijaninem nie ma poświęcenia. Zbyt łatwe wydawało mi się zwyczajne uznanie Chrystusa za zbawcę i świadomość, że będzie się zbawionym. Byłam przekonana, że na zbawienie trzeba zapracować.

Nie mogłam uwierzyć, że Kaylen tak łatwo odwrócił się od mormonizmu. (Jak już mówiłam, korzenie skutecznego prania mózgu mogą wrosnąć głęboko, a moich, bardzo głębokich korzeni, nigdy, pomimo tak wielu doświadczeń, nie udało się wyrwać do końca).

Kiedy przybyłam na Alaskę, Kaylen zaprosił mnie do Centrum Chrześcijaństwa Abbotta Loopa. Poszłam z nim głównie dlatego, by sprawdzić, w co też dał się wciągnąć. Weszłam do przestronnego sanktuarium, usiadłam w ławce obok Kaylena i jego żony Jean i poczułam się winna. Po tylu latach poświęceń dla jedynej prawdziwej i jedynej odnowionej nauki na ziemi, co ja robiłam w tym pogańskim kościele? Przebywając jednak w tej otwartej, wolnej przestrzeni duchowej, doświadczyłam cudownego nawrócenia. Ile to lat pragnęłam Boga, błagałam, by przemówił do mnie osobiście, a potem wykonywałam polecenia innych, którzy rzekomo wiedzieli, czego Bóg ode mnie i dla mnie chce? Teraz usłyszałam w końcu, jak mówi bezpośrednio i tylko do mojego serca. Zwrócił się do mnie po imieniu: „Irene, gdzie byłaś, że nigdy dotąd mnie nie uwielbiałaś?”.

Potem Duch Święty odsłonił mi bezwarunkową, cudowną Bożą miłość, skierowaną do mnie właśnie teraz - dzięki poświęceniu, którego już dokonał Jego Syn. Zapłakałam, wstydząc się tych wszystkich lat, kiedy walczyłam, by zostać boginią i wraz z mężem władać własnym światem. Ogarnęło mnie Boże miłosierdzie i miłość, które od zawsze czekały. Wystarczyło, bym je tylko przyjęła. Po latach cierpień i wyrzeczeń zrozumiałam wreszcie, że Chrystus naprawdę wystarczy.

Już nigdy nie będę musiała dokładać nie wiadomo jakich starań, by zasłużyć na

Bożą akceptację. Odkryłam, że bóg, którego przez całe życie uczono mnie słuchać i sła-
wić, wcale nie istnieje. Bóg ten nie był potężny ani dobry i wymagał całkowitego od-
rzucenia najpiękniejszych rzeczy, jakie przygotował dla nas prawdziwy Bóg. Głęboka
ludzka potrzeba absolutnego połączenia z jedną osobą przeciwnej płci nie jest zła i nie
zasługuje na potępienie. Bóg ustanowił ją jeszcze przed upadkiem człowieka i nigdy jej
nie zmienił. Na pewno nigdy nie nazwał jej grzechem. Tak szczerze wierzyłam w naukę
mormońskich fundamentalistów o Bogu i zbawieniu, że przyjęłam ich nędzną wizję ży-
cia i małżeństwa. Można być niezwykle szczerym i równocześnie szczerze się mylić.

Mormonizm zapożyczył poligamię z dawnych zwyczajów społecznych pochodzą-
cych z czasów biblijnych i uczynił z niej warunek niezbędny do osiągnięcia chwały w
niebie. Po drodze poligamia stała się metodą kontrolowania wiernych i przekształcania
ich w bezwolne pionki. Przez poligamię prorocy utrzymywali w ryzach wiernych, a
mężczyźni - kobiety. Wszystko to działo się rzekomo zgodnie z wolą Bożą. Wydawało
się, że nikt nie zwraca uwagi na to, jak strasznie było żyć w Regule - i kobietom, i dzie-
ciom, i samym mężczyznom. Z całą pewnością nie mogę powiedzieć o Verlanie, że ży-
cie w poligamii przyniosło mu więcej radości niż trudu i cierpienia. Sam trud był uwa-
żany za wystarczający powód do dalszej walki, za honorową odznakę męczennika. Naj-
częściej jednak był po prostu negowany.

Jedynym powodem, dla którego poligamia jeszcze funkcjonuje, jest to, że jej wy-
znawcy są głęboko przekonani, że pełnią w ten sposób wolę Boga.

Uznałam, że nadszedł w końcu czas, by ktoś rozwiązał iluzję.

Wszystkie książki, jakie dotychczas czytałam o poligamii mormońskiej, są żywym
świadcstwem kobiet podkreślających, że gorąco kochają Regulę. Jestem przekonana,
że robią po prostu to, czego je nauczono - zawzięcie potwierdzają słuszność i zasad-
ność wielożeństwa, z uporem mnożą jego zalety. Nie pozwala im się jednak uświado-
mić sobie własnych uczuć, a co dopiero o nich mówić czy pisać. Duszą więc w sobie
potworny ból, tak jak ja to robiłam.

Poznałam osobiście setki żon poligamistów. Ich uśmiechy to tylko ściama, za którą
skrywają poszarpane wnętrza. Skrywają zgodnie z oczekiwaniami mężów i przywódc-
ców duchowych. To od samych kobiet zależy, czy poligamia będzie dalej funkcjonować
jako ta lepsza, nadrzędna wersja małżeństwa. Od żon wymaga się, by zawsze pokazy-
wały, że żyją w jedności z innymi żonami, mężami i całą wspólnotą religijną. Sukces
poligamii zależy więc całkowicie od ich woli dalszego poświęcania się - od chęci do
doskonałego odgrywania tej samej roli.

Zdarzało się wielokrotnie, że kiedy wrażliwe serca nie mogły dalej radzić sobie sa-
motnie z ogromnym napięciem, żony łamały zasady i opowiadały o swojej codziennej
udręce i bólu nie do zniesienia.

Widziałam, jak żony poligamistów tupały w obronie dotychczasowego życia, mimo
że na ich twarzach była wyryta prawda. Widziałam takie żony, w oczach których nie

było już światła, i takie, które porzuciły wszelkie swe marzenia i prawa. Widziałam wiele żon w ciężkiej depresji, które ogarnęło całkowite załamanie emocjonalno-nerwowe.

Widziałam wiele zaniedbywanych kobiet, które poddały się złudnemu czarowi cudzołóstwa. Niemal wszystkie wierne żony poligamistów oddawały się czystej walce o przetrwanie, a swoje radości, nadzieje i marzenia musiały odłożyć na później, na życie wieczne.

Jak one, przez dziesiątki lat zawzięcie broniłam poligamii. Była moją jedyną tożsamością. Wyrzekłam się dla niej wszystkiego, więc desperacko pragnęłam, by mnie nie zawiodła. Pamiętam, jak powtarzałam nedorzeczne argumenty pierwszych mormońskich proroków, którzy twierdzili, że poligamia uleczy wszelkie choroby społeczne. Nie będzie cudzołóstwa, bo kiedy kobieta zakocha się w żonatym mężczyźnie, będzie mogła prawnie go poślubić. Nie będzie prostytutki, ponieważ jeśli żona nie „zrozumie” męża pod względem seksualnym lub będzie mu niechętna, ten będzie miał do wyboru kilka innych żon, które zaspokoją jego potrzeby.

Tak czy owak, żadna kobieta w pełni nie zaspokoi mężczyzny.

Wiele razy słyszałam, że jedną kobietę mężczyzna kocha dla seksu, inną z powodu jej inteligencji, a jeszcze inną - bo dobrze gotuje (to ja).

Choć każdy mąż poligamista twierdził, że wszystkie żony darzy równą miłością, prawda była oczywiście zupełnie inna. Każdy mąż miał żonę legalną - zwykle żonę dominującą - i żonę ulubioną - tę, której nie lubiły pozostałe. A dla wielu poligamistów, niezależnie od tego, jak gorliwie starali się żyć według prawa boskiego, na pewnym etapie życia wielożeństwo stawało się sposobem na cudzołóstwo za zasłoną wiary.

Być może uważali, że po wszystkim, przez co w życiu musieli przejść, po prostu im się to należy.

Jako produkt czterech pokoleń poligamistów żyłam uwieczniona w zamkniętej społeczności, przekonana o tym, że byliśmy wybrańcami Boga. Wychowano mnie w strachu przed „zgubnym wpływem pogan” spoza naszej sekty. Bóg nazaczył nas jako ludzi „szczególnych”, którzy muszą trzymać się z dala od „podłości tego świata i społeczeństwa”. Moja nieufność topniała jednak z każdą osobą „spoza”, która stawała na mojej drodze. Ciepła, miła życzliwość, na którą - byłam przekonana - trzeba zasłużyć, wprost emanowała z tych ludzi.

Oni cenili mnie z powodu moich własnych zalet, a nie ze względu na przekonania religijne.

Spisanie mojej historii przyniosło mi uzdrowienie. Książka jednak nie opisuje wszystkiego. Nie mówi nic o terrorze, jakiemu przez wiele lat poddawał nas mój nikczemny szwagier Ervil LeBaron.

Spowodował śmierć przynajmniej dwudziestu ośmiu osób spośród naszej rodziny, przyjaciół i wiernych Kościoła. Moje nazwisko figurowało na liście jego planowanych

ofiar, przez co zgadzałam się na ciągłe przeprowadzki w obrębie Meksyku i Ameryki Łacińskiej. Kiedy pisałam tę książkę, stwierdziłam, że Ervil po trochu sprytnie ją dominuje - jak to było w jego zwyczaju we wszelkich dziedzinach życia. Dlatego wydzie-
rałam po kolei fragmenty mu poświęcone - strona po stronie. Doszłam do wniosku, że to ma być moja opowieść – opowieść o zniweczonych nadziejach i rozwianych złudze-
niach żony poligamisty oraz o podróży, która doprowadziła mnie do światła bezwarun-
kowej Bożej miłości.

Koniec.

O AUTORCE.

IRENE SPENCER, od dziewiętnastu lat żona Hectora J. Spencera, mieszka w Anchorage na Alasce. Z pierwszego, trwającego dwadzieścia osiem lat małżeństwa poligamicznego ma trzynaścioro własnych dzieci (nie ma wśród nich bliźniąt) i córkę adoptowaną jako niemowlę. Ma sto osiemnaścioro wnucząt i trzydzieścioro siedmioro prawnucząt.

Verlan M. LeBaron 1930-1981

**OJCIEC 29 CHŁOPCÓW I 29
DZIEWCZYNEK**

VERLAN M. LEBARON, 1930–1981
FATHER OF 29 BOYS AND 29 GIRLS

Wives	1.	2.	3.	4.	5.	6.	7.	8.	9.	10.
	Charlotte†	Irene†	Lucy**	Beverly	Esther	Susan	Lillie	Helen (widow)	Elizabeth (widow)	Priscilla
Children	Verlan Jr.	Leah*	Chad	Marcelo*	Oscar*	Melanie	Christian			Garlan
	Rhea	Donna	Norman*	Lorraine*	Judah	James	Albert			Sydney
	Laura	André	Roland*	Julie	Edith	Jeannette	Shawn			
	Mark*	Steven	Verla	Theron	Ruben	Forrest	Francine			
	Pierre	Brent	Clara*	Olivia	Aurora	Lance	Stephanie			
	Susanna	Kaylen	Bryon	Dorian	Veronica		Caroline			
	Beth	Barbara	Norine							
	Loretta	Margaret	Virginia							
	Natalie	Sandra*	Catherine							
		Connie	Walter							
		LaSalle								
		Verlana								
		Seth								
		Lothair								

*Deceased

†Charlotte and Irene are sisters (same father)

**Lucy is second cousin of Charlotte and Irene.

Lucy jest kuzynką Charlotte i Irene w drugiej linii.

Opis z okładki.

IRENE SPENCER wychowała się w rodzinie mormonów praktykujących poligamię. W dzieciństwie wielokrotnie słyszała, że wielożeństwo to warunek nie tylko pożądanym, ale bezwzględnie wymagany dla osiągnięcia nagrody w niebie. W wieku szesnastu lat została więc żoną poligamisty. Nie przypuszczała, że wybrana przez nią droga do nieba będzie prowadziła przez piekło. Skrajna nędza, izolacja od reszty świata, lekceważenie ze strony zajętego innymi żonami męża - oto warunki, w jakich przeżyła 28 lat. W poszukiwaniu lepszego jutra dla siebie i dzieci zdecydowała się na odważny

krok ku prawdziwemu światu i wolności, o której dotąd nie miała pojęcia.

www.swiatksiazki.pl

